

**RICHARD  
NORTH PATTERSON**

**WYROK OSTATECZNY**



**RICHARD NORTH PATTERSON**

# **WYROK OSTATECZNY**

Przełożył: Maciej Karpiński

Tytuł oryginału: *The Final Judgment*

***Dla Alison Porter Thomas***

CZĘŚĆ PIERWSZA

# DWIE KOBIETY

## JEDEN

Od morderstwa upłynęły dwa dni. Prawniczka z niedowierzaniem i zaciekawieniem słuchała Brett Allen. Jej relacja była tak bogata i żywa, że mogła sprawiać wrażenie autentycznej.

Milcząc, adwokat spojrzała na Brett - na jej owalną twarz, malutki dołek w brodzie, niesforne kręcone włosy, małe piersi i chyba zbyt szczupłe ciało nastolatki. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała na swoje dwadzieścia dwa lata. W jej twarzy uderzały jasnozielone oczy o spojrzeniu tak intuicyjnym i bezpośrednim, że aż wprawiającym w zakłopotanie.

Brett mówiła, że noc była chłodna, sucha i bezwietrzna. Światło księżyca odbijało się w spokojnych obsydianowych wodach, oświetlając otaczające je sosny, brzozy i wiązy. Brett słyszała jedynie oddech Jamesa.

Byli nadzy. Brett siedziała na nim tak, jakby się jeszcze kochali. Powiew nocnego powietrza osuszał jej skórę i chłodził piersi. Dygotała z zimna, gdy bezwładny i nieprzytomny James wyśliznął się z jej wnętrza.

Poczuła przypływ gniewu. Potem wróciły zawroty głowy i mdłości. Cierpki smak marihuany mieszał się z otępieniem po zbyt wielu kieliszkach wina. Nagle noc rozprysła się niczym potłuczone naczynie na nie powiązane ze sobą obrazy, barwne kadry filmu poosadzone gdzieś w czarnym chaosie.

To - jak tłumaczyła prawniczkę - miało wyjaśniać jej zachowanie podczas spotkania z policją. Wino, szok, halucynacje. Narkotyki należały do Jamesa. W oczach opowiadającej o tym Brett zabłyśły łzy i zdawało się, że stanęły przed nimi wspomnienia jakichś ważnych, mocno przeżywanych chwil. Widok ten dręczył w ciągu kolejnych dni coraz bardziej przekonaną o winie Brett prawniczkę.

Brett twierdziła, że pamięta wszystko, co się działo, zanim wzięła marihuanę.

James zadzwonił do domu jej rodziców, gdzie spędzała wakacje. Przez chwilę rozmawiali. Obawiając się, że może ich podsłuchać matka, Brett zaproponowała, że weźmie wino i ser i spotkają się nad jeziorem. Miała tam ulubione miejsce, w którym mogli być sami.

Wydawało się jej, że James ma jej do powiedzenia coś, czego nikt inny nie powinien słyszeć.

Brett powiedziała matce, że musi wyjść. Czuła na sobie uporczywe spojrzenie jej chłodnych szarych oczu, wypełnionych tym, czego nie wypowiedziała. Przez chwilę wahała się pomiędzy współczuciem a chęcią wdania się z nią w spór, lecz stwierdziła, że to bezcelowe. Wyszła,

zostawiając za sobą przytłaczający, mroczny dom.

Pojechała do college'u po Jamesa. W samochodzie był cichy i skupiony. Jego twarz była studium czerni i bieli: blada cera, czarne loki, cienie w rzeźbie jego oblicza. Jedna z nauczycielek z drwiną zmieszana z podziwem nazwała go kiedyś młodym Lordem Byronem.

Jechali wijącą się, wysadzaną drzewami cichą drogą. Od czasu do czasu światła reflektorów przecinały srebrzystą ciemność. Za nimi w stałej odległości jechał jakiś samochód. Nagle skręcili w wyboistą drogę - tak wąską, że między okalającymi ją sosnami zdawała się ginąć w czarnej otchłani. Samochód za nimi minął skrzyżowanie i zniknął.

Włączając długie światła, Brett mocno zwolniła, wypatrując rozcinaną przez reflektory ścieżkę wysadzaną drzewami o szorstkiej korze.

Dotarli do miejsca, w którym droga się urywała.

Brett zatrzymała samochód. Cicho otworzyła bagażnik sfatygowanego dżipa i wyjęła torbę z winem i serem. Pod ramię wzięła zwinięty wełniany koc. James podążył za nią w ciemności.

Niebo nad nimi zniknęło.

Ześlizgując się po stwardniałej ziemi, przedzierali się przez konary i gałęzie po lekko opadającym zboczu. Od ostatniego wiosennego deszczu minęły już dwa tygodnie. Gałąź uderzyła Brett w twarz. W ciemności dziewczyna czuła się mała niczym jakieś pierwotne stworzenie otoczone tajemniczymi siłami natury.

- Dokąd idziemy? - wyszeptał James. - Chcesz grać w *Dungeons and Dragons*?

Brett nie odpowiedziała. Zastanawiała się tylko, dlaczego w ciemności ludzie szepczą.

Wtedy dotarli do polany. Pokryta trawą połąć otwierała się na błyszczące w świetle księżyca jezioro. Brett stanęła, rozglądając się. James był tuż za nią. Milczał.

- Czy to twoje? - zapytał w końcu.

Poczuła, że w istocie pytają, czy potrafiłaby to porzucić, odpowiedziała tylko na pytanie zadane na głos.

- Tak, to moje. Jeśli będę nadal chciała.

Nie mówiła o jeziorze. Miało ponad milę długości i niemal tyle samo szerokości. Na przeciwległym brzegu było kilka ukrytych w ciemności domków wędkarskich i letniskowych. Parcelę, na której stali, rodzice trzymali dla Brett od chwili jej urodzin. Mogła być tak samo pewna, że będzie należała do niej, jak była pewna miłości swojego dziadka.

Brett przez chwilę wpatrywała się w wodę, odkładając rozmowę na później. Bardziej wyczuwała, niż widziała pomost, z którego uczyła się nurkować. Mogłaby tam teraz pływać z taką pewnością jak

za dnia. Pamiętała siebie stojącą na skalistym cyplu pomiędzy polaną a wodami jeziora i trzymającą w górze złowionego właśnie przez nią, mieniącego się kolorami tęczy pstrąga, tak żeby mógł go widzieć dziadek.

Odwracając się do Jamesa, położyła na ziemi sportową torbę i rozwinęła wełniany koc. Rozkładając go z pomocą Jamesa, Brett czuła pod dłońmi wilgoć trawy.

Usiadła po turecku, James zaś położył się u jej boku, podpierając głowę ręką. Z trzech stron otaczały ich drzewa. Przed nimi rozpościerały się czarne i gładkie wody jeziora. Gdzieś z drugiego końca jeziora doszedł ją krzyk czapli. Byli zupełnie sami.

- O co chodzi? - zapytała Brett. James odgarnął włosy z czoła. Znała ten gest obliczony na zyskanie czasu, oznaczający wahanie.

- Chcę, żebyśmy pojechali do Kalifornii - rzekł w końcu.

- Rozumiem. - Jej głos nawet nie zadrżał.

- Jak najszybciej.

Trudno było czytać z jego twarzy. Lecz Brett wyczuła, że za charakterystyczną dla Jamesa pozą luzu kryje się lęk.

- Skąd ten pośpiech?

Przez chwilę milczał. W czasie tego roku, który spędzili ze sobą, Brett nauczyła się rozumieć tę ciszę. Czekwała.

- Te dragi, które sprzedawałem... - powiedział w końcu. - Nie oddałem za nie forsy.

Brett gardziła interesami Jamesa. Walczyli ze sobą o to od dwóch miesięcy. James był przekonany, że to dla niego - człowieka bez pieniędzy i rodziny, o której mógłby poplotkować - właściwy sposób na życie. Pieniędźmi mógł torować sobie drogę do towarzystwa, które prześmiewczo nazywał *poison ivy league*. Obiecywał, że kiedyś z tym skończy.

- Nie zapłaciłeś... - powtórzyła Brett chłodnym głosem. - Nie wiedziałam, że twoi kumple dają ci na kredyt.

- Potrzebuję pieniędzy. My ich potrzebujemy. Żeby stąd wyjechać - James podniósł głos. - Twoja rodzina przecież ich nam, do diabła, nie da. Nie na wyjazd.

- Dlaczego mieliby to zrobić?

- Faktycznie, nie mają powodu. - Jego głos złagodniał. - Ale ja po prostu chcę coś zacząć robić. Zacząć żyć.

Wiedziała, że chce ją zrobić współwinną.

- A ja? - odparła. - Ty zamierzasz robić to, co ci się podoba, a ja mam po prostu na to właściwie

reagować.

James podniósł się i zwrócił twarzą do niej.

- Jestem winny trochę ponad trzy i pół tysiąca - patrzył na nią błagalnie. - Zarobiłem na tym prawie cztery tysiące trzysta. Wystarczy na podróż i kilka pierwszych miesięcy na Wybrzeżu.

Brett знаła jego marzenia. Chciał pracować na pół etatu i szukać pracy jako aktor. Ona wyrwałaby się wreszcie spod opiekuńczych skrzydeł rodziny, wyzbyła się zesztywnienia, które było wynikiem zbyt wielu lat próżnych oczekiwań, i zaczęła pisać książki, które, jak sądziła, pisać potrafi. Jednak dla Jamesa wyobrażenia te były żywsze niż dla niej.

- Mam swoje życie - prawdziwe życie. Niecałe należy do ciebie - zniecierpliwiona potrząsnęła głową. - Moi rodzice to też pewien obowiązek. Szczególnie matka. Został mi jeszcze jeden semestr szkoły. Muszę ją skończyć. Jestem im to winna. Sobie też, jeśli chcę w końcu zrobić tę magisterkę. A mój dziadek - bardzo go kocham, chociaż wiem, że tobie trudno to pojąć - ma problemy z sercem. Jakkolwiek bym wobec nich postąpiła, będę musiała potem z tym żyć. Tak samo, jak muszę żyć ze sobą. Tutaj nie chodzi o ciebie ani o to, czy w końcu napiszę tę Słynną Amerykańską Powieść. - Przerwała i dokończyła ścisłym głosem: - Ty nigdy nie miałeś rodziny, z którą byłbyś na dobre i na złe. To bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażasz.

James westchnął i wziął ją za rękę.

- Ty jesteś moją rodziną - powiedział łagodnie.

Wiedziała, że chce ją tym wzruszyć. Dostrzegała jednak to, do czego on sam nigdy nie chciał się przyznać: za jego wyrachowaniem kryła się samotność chłopca, który w wieku siedmiu lat stracił matkę, którego opuścił ojciec i który tułał się po domach dziecka przyjmujących go za pieniądze.

Miotana sprzecznymi uczuciami Brett śledziła jego spojrzenie, próbując dostrzec, kto się za nim kryje.

Nagle James wzdrygnął się. Zanim dosłyszała dźwięk, on już prawie stał.

Z zarośli dobiegł ich jakiś szelest - chyba trzask łamanej gałęzi. James zesztywniał. Brett widziała, jaki jest przerażony. Sama dostała gęsiej skórki.

- Co to było? - zapytał głucho.

Brett nasłuchiwała, obserwując jego szczupłą napiętą twarz. Jednak nic więcej nie usłyszała. Powoli odwróciła się od niego, obserwując mroczne gałęzie drzew stojących na skraju polany. Za nimi była tylko ciemność.

- Cóż - zażartowała niepewnie. - Mówią, że wilki wracają do nas z Kanady. W lasach pełno jest nocnych zwierząt. Wszystkiego poza ludźmi. - James nie zareagował. - Masz duże kłopoty? - zapytała zdławionym głosem.

James ścisnął jej ramię.



- Dzwonił do mnie mój dostawca.

- I?

- Chce pieniędzy. Powiedziałem mu, że ich jeszcze nie mam.

Brett zamknęła oczy. A więc była częścią jego planu i teraz miała się z tym pogodzić.

- To daj mu te pieniądze.

- Za późno. Wie, że go okłamałem.

Brett czuła, że to nie wszystko. Gdy odwróciła się do niego, ciągle patrzył przez jej ramię.

- Włamali się do mojego mieszkania, Brett. Wczoraj wieczorem. Wszystko było porozwalane, pościel pocięta.

Brett wpatrywała się w niego.

- Wezwałeś policję? - zapytała z namysłem.

Przez chwilę uśmiechał się do niej blado.

- Wiesz, prawdziwa z ciebie córka sędziego - powiedział z dziwną mieszanką goryczy i podziwu.

- Nie jest jeszcze za późno - Brett podniosła głos. - Chcą tylko pieniędzy. Co by im dało, gdyby cię skrzywdzili?

- To działa inaczej, Brett. Wierz mi.

Potrząsnęła głową, odwracając się od niego.

- Dla mnie to zbyt wiele niespodzianek w zbyt krótkim czasie. Jak mam sobie z tym wszystkim poradzić...

Jej głos ucichł. James dorósł, ucząc się bronić samego siebie. Nie przywykł do bliskości.

Brett podeszła na brzeg jeziora.

Po jakimś czasie usłyszała za sobą kroki, a potem dojrzała w wodzie słabe odbicie szczupłej sylwetki z rękami w kieszeniach, mającące obok jej odbicia. Nie zbliżył się do niej, by ją dotknąć. Nagle zdała sobie sprawę, że jakaś jej część wsłuchuje się w szum lasu za ich plecami.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Musimy zdecydować.

- Zdecydowałeś beze mnie, James. Teraz ja muszę zdecydować, czego sama chcę. Bez ciebie.

Jego cień zdawał się zapadać. Odezwał się dopiero po chwili:

- Po prostu ze mną bądź, dobrze?

Brett nawet wcześniej od niego wiedziała, co James ma na myśli. Instynktownie szukał w seksie ucieczki przed niepewnością. Robiąc to z nim, Brett nigdy nie wiedziała, czy James pragnie jej, czy też dąży do jakichś własnych celów. Odwróciła się do niego.

- Chcesz mnie sobie podporządkować, pieprząc mnie?

Znowu ten jego ironiczny uśmiech. Jednak Brett zdołała dostrzec pod nim cień wrażliwości - wrażliwości wobec siebie samego.

- Nie - odpowiedział.

Poczuła się winna.

- Dobrze - stwierdziła. - Bo jestem głodna i chce mi się pić.

Z wahaniem James wziął ją za rękę. Wrócili na koc. Uklękli.

James odpakował ser i pokroił go scyzorykiem, Brett nalała wino do papierowego kubka. Wokół panowała cisza.

Po drugim kubku Brett poczuła działanie wina. W okolicach bioder pojawiło się przyjemne odrętwienie.

W milczącej deklaracji zaufania siadła pomiędzy nogami Jamesa, opierając się o niego plecami. Przekazywali sobie z rąk do rąk wspólny kubek z winem. Brett nie przywykła do picia. Z każdym łykiem noc zdawała się otaczać ją coraz ciaśniejszym, ciepłym kokonem. Przemijające chwile wypełniały zmysłowe doznania: to narastające, to cichnące cykanie świerszczy, powiew wiatru, bogaty smak czerwonego wina, trochę szorstka twarz Jamesa dotykająca jej twarzy. Starła się odepchnąć od siebie myśli o problemach. Chciała poczekać z decyzją do chłodnego, czystego poranka, który oblałby wody jeziora srebrem, a potem złotem słonecznego blasku.

- O czym myślisz? - zapytał.

- Po prostu jestem - odpowiedziała, opróżniając kubek.

James wiedział, że nie ma co jej naciskać. W milczeniu sięgnął po butelkę i nalał wina.

- Może skręta? - zapytał. - Zabrałem trochę trawki.

Przez jej umysł przebiegła myśl, że nie powinna tego robić. Nie powinni się kochać oszołomieni narkotykami i winem. Cokolwiek miałyby się zdarzyć, powinno przecież być czymś więcej niż tylko

ucieczką. Potrzebowała jednak czasu, aby dać mu odpowiedź, która mogła przecież zakończyć ich związek.

James zapalił skręta, zaciągając się krótko, i podał go Brett.

Nie robiła tego często. Z pierwszym pociągnięciem poczuła w gardle gorąco i gorycz. Jednak z drugim, głębszym i wolniejszym, zapadła się w ramiona Jamesa.

Noc znowu była inna. Gwiazdy świeciły kryształowo czystym blaskiem, nie tłumionym przez chmury ani światła miasta. Brett zagubiła się pośród nich.

Trwali tak, przekazując sobie nawzajem skręta i dopijając wino. James wydawał się jej nie tyle osobą, ile samą obecnością. Brett czuła, że stopniowo stapia się z tym miejscem - z niebem, wodą, wiatrem szeleszczącym w niewidocznych drzewach. I tego właśnie pragnęła.

James z wahaniem i czułością dotknął jej piersi.

Nie miała stanika. Czuła, jak pod dotykiem jego palców twardnieją jej sutki, a nerwy nagle ożywają, pulsując ciepłem tam, gdzie docierają dłonie Jamesa. Niemy pomruk wypełnił jej gardło.

Znał ją przynajmniej pod tym względem. To im zawsze wychodziło. Jego palce delikatnie przesuwają się teraz po jej brodawkach. Poczucia, że wino, skręt i dreszcze wzbierają w niej i wybuchają nagłym impulsem. Odwróciła się, balansując na kolanach, i ściągnęła koszulkę.

James powoli - jak gdyby było to częścią jakiegoś rytuału - zdjął buty. Pieszcząc ręką jej plecy, położył ją na kocu. Potem rozpiął zamek błyskawiczny jej spodni i ściągnął je.

Sam się nie rozebrał. Wymownie świadczyło to o tym, co się z nim dzieje. Brett leżała na plecach i patrzyła w gwiazdy, gdy wsunął rękę pod jej majtki.

Rozłożyła nogi.

James pochylił nad nią twarz. Przez chwilę Brett pomyślała, że to jego ciche ofiarowanie, wyraz pragnienia bliskości. Potem czuła już tylko twarz dotykającą jej ud i błędzący po jej ciele język.

Jej biodra zaczęły się poruszać. Nie mogła, a nawet nie chciała tego powstrzymywać. Dźwięk, który wydobywał się z jej ust, był raczej jękiem niż pomrukiem. Jego coraz szybszy rytm stawał się dla niego wskazówką. Rozgrzana trawką i pożądaniem krew uderzała jej do miejsc, których James dotykał językiem. Jej ruchy straciły wszelki rytm.

W ciemności rozległ się jej krzyk.

Brett zacisnęła mocno oczy, kiedy jej ciałem targały spazmy. Gdy tylko przyjemne odrętwienie dotarło do jej palców, usłyszała w ciszy krzyk kobiety - coraz wolniejszy i słabszy. Rozpoznała w nim własny głos.

W końcu umilkła.

Nie mogła się poruszyć. Odrętwienie, seks, wino i narkotyki zapanowały nad obwodami jej mózgu.

Nieporadnie uniosła się na kolana. Czuła ciepło bijące od jej ud. James wydawał się teraz nierzeczywisty, rozbity na części: pragnące jej oczy, przygarniające ją ramię. W żołądku poczuła alkohol i trawkę. Noc zaczynała wirować.

- Jezu - wymamrotała.

Jakby jej nie słyszał. Jego ruchy nabrały nagle skupienia charakterystycznego dla kogoś, kto zbyt wiele wypił. Kiedy ściągał spodenki, przed oczami Brett majaczyła przymglona antyczna wizja kołyszącego się na boki i siejącego zniszczenie w Tokio potwora, którego widziała kiedyś w starym filmie.

Przełknęła ślinę, walcząc z mdłościami i wstrętem do samej siebie. Gdy zbliżył penis do jej twarzy, potrząsnęła głową. Tylko się nie połóż, powtarzała sobie.

- Kładź się - mruknęła do Jamesa.

Zrobił to. Niezdarnie odwróciła się i naga podczołgała do torby.

- Dokąd idziesz? - zapytał stłumionym głosem.

Milcząc, grzebała w torbie. W końcu wydobyła z niej prostokątną foliową paczuszkę. Czołgając się z powrotem, pokazała mu ją.

- Przecież bierzesz pigułki - powiedział.

- Nałożę ci - Brett wbiła w niego wzrok.

Patrzył na jej twarz, lecz nic więcej nie powiedział.

Kolejne sceny: nakładanie lateksu, uczucie oleistej śliskości między palcami. Wspinanie się na kolana, by go dosięść. Rozmyte odczucie, gdy w nią wchodził. Czuła palenie skóry - jednak nie było ono wyrazem podniecenia.

Gdy James postękiwał, myślała o kopulujących psach.

Robiła to z zaciętym uporem, walcząc z odrazą. James ciągle nie dochodził. Zdesperowana Brett wcisnęła dłonie pod jego plecy. James raptownie się pod nią wyprężył. Jak przez mgłę zdała sobie sprawę, że paznokciami zdziera mu skórę.

Otworzył szerzej oczy.

- Kocham cię... - wymamrotał.

Brett znieruchomiała. W geście wypełniającej ją teraz czułości dotknęła jego twarzy.

James zasnął.

Gdy wyszedł z niej, nagle poczuła przenikliwy chłód nocy. Wpatrywała się w niego z odrazą, ogłupiała. Z trudnością przewycięzała ochotę, by szarpać go za włosy. Jednak złość nagle

przerodziła się w smutek.

Wiedziała, że jest w nim jeszcze krztyna dobroci, której nie zdążył zabić. Wobec niej zawsze był czuły. Kiedy wściekała się na niego, nie odgrywał się. Patrzył na nią zaskoczony, starając się ją zrozumieć. Zdawał się słuchać muzyki, która jeszcze nie dobiegła jego uszu.

Delikatnie ułożyła jego głowę na boku. Spał niczym niewinne dziecko.

Zagubiona w ciemnościach i narkotycznym oszołomieniu Brett zapomniała o jeziorze. I oto ujrzała je znowu: zimna woda mogłaby pomóc jej ochłoniąć.

Podnosząc się, zwróciła się w stronę brzegu.

Jezioro wydawało się nieprzejrzystą szklistą skałą. Naga Brett przemierzała polanę, by dotrzeć do skalistego brzegu. Krzyczała z bólu, gdy ostre kamienie raniły jej bosc stopy.

Kiedy wskoczyła do wody, przeszył ją nagły dreszcz chłodu.

Płynęło się jej ciężko, powoli. Nagle zniknęła w ciemnościach, pochłonięta przez jezioro. W panice zaczęła gwałtownie poruszać ramionami, by nie utonąć. Czuła, że idzie na dno...

Po chwili, drżąc z zimna i dysząc z wysiłku, Brett leżała twarzą w dół na nie heblowanych deskach pomostu. Była zaskoczona, a później przerażona tym, że nie wie, jak się tutaj znalazła.

Powoli, niczym półtopielec, Brett przewróciła się na plecy. W ustach czuła słonawy smak alg i wody. Jej serce łomotało.

Stopniowo oddech uspokoił się. Nie myślała nawet o tym, by jeszcze raz wejść do wody.

Czas mijał. Przed oczami Brett stanął obraz z dzieciństwa: matka - wówczas spokojna i pewna - ucząca ją nurkowania; dziadek obserwujący to z rezerwą, lecz i zadowoleniem. Wpatrywała się w księżyc, który wydawał się teraz tak bliski, że mogłaby dotknąć kraterów na jego tarczy.

Wówczas ogarnęło ją pierwotne, instynktowne przeczucie, że nie są sami.

Wpatrywała się w wody jeziora. Straciła poczucie odległości. Gdy odwróciła się w stronę polany, na której spał James, zdawała się od niej oddalać. W słabym świetle księżyca trawa lśniła niczym fosfor.

Nagle z trawy podniósł się jakiś cień.

Brett poderwała się.

- James...

Spłoszony cień odwrócił się. Jej głos rozniósł się echem po wodzie.

- James...

Cień zniknął nagle pomiędzy innymi cieniami jej wyobraźni...

Nie.

Brett wstała i nie myśląc, wskoczyła do wody. Tym razem szok w zetknięciu z lodowatą wodą był w pełni realny. Mniej bała się płynąć niż zatrzymać i spojrzeć na polanę. Dopłynąwszy do brzegu, wstała, trzęsąc się z zimna.

Polana była ciemna i cicha. Brett ruszyła w kierunku koca, czując pod stopami miękką trawę.

James nie był już tylko cieniem. Leżał na kocu tak, jak go zostawiła, lecz teraz wpatrywał się w księżyc. Z jego gardła wydobył się dźwięk.

Chrapie, pomyślała Brett, zbliżając się do niego. Lecz nie było to chrapanie. W świetle księżyca dostrzegła, że ma otwartą buzię. Dosłyszała urywany oddech. I znowu dźwięk.

Gulgotanie, pomyślała nagle Brett. Dźwięk faktycznie przypominał oddech kogoś, kto ma płuca wypełnione wodą.

Przerażona pomyślała, że James dusi się własnymi wymiocinami.

Błyskawicznie instynktownie uklękła przy nim. Jego twarz oświetlały promienie księżyca. Chciała go reanimować.

Poczuła wilgoć na jego wargach. Słyszała, jak drży jej oddech. Zaciśnęła powieki. Nim przyłożyła swoje usta do jego, przed oczami pojawił się - niczym powidok - obraz jego twarzy.

Nagle cofnęła się, czując, jak w jej twarz, szyję i piersi uderzają ciepłe wilgotne kropelki unoszące się z jego ust.

Ciałem Jamesa wstrząsały spazmy. Twarz była pokryta kroplami krwi, a oczy patrzyły w pustkę. Z jego gardła wydobyła się ostatnia słaba fontanna krwawej pary.

Pomiędzy zebrami tkwił nóż.

Brett znieruchomiała. Stała, trzęsąc się i usiłując pojąć, co się stało. Dostrzegła krew na swych palcach. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wyciągnęła nóż z jego piersi.

Jej przenikliwy krzyk rozniósł się po wodzie i Brett - istota myśląca - przestała istnieć.

Wszystko to przypominało jakiś kolaż z sennego koszmaru: jej zaciśnięta na nożu ręka, jego portfel leżący tam, gdzie upadł, gdy James się rozbierał, ciemna szrama na jego gardle.

Oszołomiona Brett stała, wpatrując się dziko w las. Zawodzenie wiatru oznajmiało śmierć Jamesa.

Na oślep pobiegła w ciemność, która zamknęła się wokół niej. Gałęzie chłostały ją po twarzy i ciele. Szamocąc się w mroku, zgarniała sobie liście z twarzy. Teraz ciemność wdzierала się do jej

umysłu. Szaleńczy bieg wydawał się snem, a chwila nie różniła się od chwili. Polana za jej plecami nie była bardziej rzeczywista niż księżyc, którego teraz nie mogła dostrzec. Wszystko zdawało się trwać całą wieczność. Wtem w nagłym błysku światła księżyc pojawiła się przed nią sylwetka dżipa. Brett zwolniła. Wychodząc nago spośród drzew, nie była pewna, w co wierzyć. Z wahaniem położyła dłoń na aucie.

Było prawdziwe. Kluczyki ciągle tkwiły w stacyjce.

Brett otworzyła drzwi, rzuciła to, co niosła, na siedzenie pasażera i przekręciła kluczyk.

Zapalił. Brett zamknęła drzwi. Nie pamiętała, jak długo siedziała tam nago, wsłuchując się w pomruk silnika.

Potem włączyła światła. Gdy zawracała, ich snop rozcinał drogę pomiędzy pniami drzew. Tak jak wtedy, gdy tutaj przyjeżdżali.

Ruszyła, wrzucając kolejne biegi.

Brett obudziła się w ciemnościach.

W ustach poczuła smak krwi i wymiocin. Miała wyschnięte wargi.

Leżała naga, oparta na kierownicy. Wnętrze dżipa wypełniał ohydny zapach. Czuła ssanie w żołądku. Dudniło jej w głowie. Z zeszywniałymi plecami odchyliła się, oparła i rozejrzała wokół.

Stała na wiejskiej wysadzonej drzewami drodze. Nie wiedziała, jak się tam znalazła. Nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna. Nie była pewna, dlaczego właściwie płakała.

W jej kierunku zbliżało się jakieś światło.

Zmarszczyła twarz i odwróciła głowę. Światło wypełniło całą przednią szybę. Za nim dostrzegła cień jakiegoś człowieka. Obszedł on maskę samochodu, zmierzając ku drzwiom po stronie kierowcy. Brett skuliła się, obejmując się ramionami i przyciskając twarz do drzwi. Zacisnęła oczy i usta.

Ktoś zastukał w szybę.

Nie krzywdź mnie, pomyślała. Wbijając paznokcie we własną skórę, Brett zmusiła się do otwarcia oczu. Stukanie ustało. Promień światła przesunął się po jej ciele, oświetlając jej biodra i włosy łonowe.

Brett z przerażeniem patrzyła na własną nagość.

- Otwieraj - zażądał głos.

Głos młodego mężczyzny, pomyślała Brett. Przełknęła ślinę.

- Otwierać - powtórzył głos. - Policja.

Policja. Instynktownie zaczęła szukać korbki okna, jedną ręką zasłaniając piersi. Opuściła szybę. Funkcjonariusz patrzył na nią spłoszony i zbity z tropu.

- Co się stało?

Brett potrząsała głową. Słowa nie chciały przyjść.

- Ale smród... - Policjant zaświecił latarką do wnętrza samochodu i rozejrzał się. - Czy ktoś jest ranny? - zapytał z napięciem.

Przed oczami Brett nagle pojawiły się obrazy. Ich stosunek. Jego wbite w niebo oczy. Nóż w jej dłoni.

- Proszę pani?

Koszmar. To wszystko musi być tylko snem. James na pewno śpi w domu.

- Proszę mnie zabrać do domu - wyszeptała słabym głosem.

Latarka oświetliła miejsce pasażera. Sterta ubrań, portfel.

Zakrwawiony nóż.

- Idzie pani ze mną.

Z jej gardła wyrwało się raptowne westchnienie.

- Dlaczego...?

Chwila milczenia.

- Za jazdę pod wpływem narkotyków.

Strumień światła znowu zatrzymał się na Brett. Na swoich rękach i torsie zobaczyła krew.

Policjant dał jej swoją kurtkę.

Nie pamiętała nic z drogi na posterunek. Może tylko policyjny karabin i gadające samochodowe radio. Znalazłszy się w celi, oparta plecami o ścianę z czerwonej cegły, poczuła się niczym obudzona z głębokiego snu. Policjant stał nad nią.

Odwróciwszy od niego wzrok, naciągnęła kurtkę na uda i na nogach dostrzegła wymiociny.

Policjant trzymał portfel Jamesa otwarty na przekładce z prawem jazdy. Patrzący na nią z zalamowanego zdjęcia James wyglądał na sztywnego i przestraszonego.

Z przerażającą wyrazistością Brett dostrzegła dziurę w jego gardle.



Głos policjanta był dziwnie łagodny.

- Sądzę, że ktoś może potrzebować pomocy. Nie możemy go odnaleźć...

Oczy Brett wypełniły się łzami.

- Szukajcie nad jeziorem - wydusiła. - Może tam jest.

- Nad jeziorem Heron?

Brett pokiwała głową, przełykając ślinę.

Gliniarz zniknął w pośpiechu. Słyszała jego kroki, a potem głos. Rozmawiał przez telefon. Czekwała bezsilna, aż wróci.

- Odwiozę cię do szpitala - powiedział.

Przy wejściu dla nagłych przypadków czekała blondynka o ptasiej twarzy w mundurze policji stanowej.

Policjantka i policjant prowadzili ją pod rękę przez ponure korytarze. Niczym lunatyczka mijają fluorescencyjne lampy.

Na końcu korytarza znajdował się pusty pokój.

Policjantka wprowadziła Brett do środka. Dziewczyna stała, rozglądając się: stół do badań, dwa krzesła, metalowa szafa, zlew i lustro.

Poczuła, że młody policjant zatrzymał się w drzwiach.

- Czy to odpowiednie miejsce?

- Tymczasowo tak - skinęła policjantka. - Póki czegoś nie znajdą.

Policjant zawahał się, spojrzął na Brett i wyszedł. Kobieta zamknęła za nim drzwi i znowu stanęła twarzą w twarz z Brett.

- Przykro mi, ale musisz zdjąć kurtkę.

- Dlaczego? - Brett otuliła się nią mocniej.

- Takie są przepisy. - Nie czekając na reakcję, rozpięła kurtkę i ściągnęła ją z ramion Brett.

Brett znowu zadygotała.

- Mogę się umyć? - spytała.

- Nie. Jeszcze nie.

Brett wpatrywała się w nią. Policjantka odpięła kajdanki od paska, odwróciła jedno z krzeseł i z manierą nauczycielki powiedziała:

- Siadaj, proszę. Muszę cię skuć.

W Brett zawrzało.

- Dlaczego, do cholery?!

- Żebyś sobie nic nie zrobiła. - Policjantka obrzuciła ją beznamiętnym spojrzeniem.

Brett chciała wzywać rodziców, dziadka. Wtem ujrzała w lustrze swoje odbicie: zaschnięte krople krwi na ustach, szyi i piersiach.

Siadła.

Gdy wyciągnęła ramiona, zobaczyła krew na swoich palcach. Policjantka założyła jej ręce do tyłu i przykuła kajdankami do metalowego krzesła.

Do pokoju weszła pulchna pielęgniarka. Cicho wydobyła igłę i wbiła ją w ramię Brett, która w stanie dziwnej nieobecności obserwowała napełniającą się jej krwią probówkę. Prawie nie czuła bólu. Po chwili pielęgniarka wyszła, zostawiając Brett sam na sam z policjantką.

- Jak długo tu będę? - zapytała Brett.

Cisza.

Mijał czas. Może minuty, może godziny. Ktoś zapukał do drzwi.

Brett odwróciła się. Policjantka uchyliła drzwi i rozmawiała przez szparę, kryjąc nagą dziewczynę.

- Co jest? - zapytała.

- Znaleźli go. Nad jeziorem Heron - rzekł nie znany jeszcze Brett męski głos.

- Czy wszystko z nim w porządku? - zapytała Brett.

Dosłyszała tylko szepty. Policjantka zamknęła drzwi i wręczyła jej jakieś papiery.

- To jest nakaz przeszukania ciebie - powiedziała.

- Dlaczego?

Długie spojrzenie.

- On nie żyje.

Brett znowu zaczęła się trząść. Wszystko się zmieniło. Stała osamotniona i niema, przyciągając

uwagę obcych. Do pokoju weszła jeszcze jedna policjantka z polaroidem w ręku. Zrobiła zdjęcia jej twarzy, szyi, torsu i palców.

Nóż w jej dłoni...

Pielęgniarka w fartuchu odcięła Brett kosmyk włosów z głowy, a potem - klękawszy - także z łona.

Przed oczami Brett kolejne sceny następowały teraz szybko, jedna po drugiej. Niknący cień na polanie...

Pielęgniarka zdrapała do plastikowego pojemnika nieco zaschniętej krwi ze skóry Brett.

Kropelki krwi buchającej z jego gardła...

Odwróciła się do policjantki.

- Chciałabym się z kimś zobaczyć.

- Z kim? - Policjantka rzuciła na nią uważne spojrzenie.

- Z policjantem, który mnie tutaj przyprowadził.

Policjantka pokręciła głową.

- Najpierw musimy to skończyć. Potem go poszukamy.

Na znak policjantki do Brett zbliżył się wąsаты doktor. Delikatnie podprowadził ją do stołu, wyjaśniając, że musi pobrać wymaz z pochwy.

Brett leżała wpatrzona we fluorescencyjne światła. Rozchylając nogi, przypomniała sobie dotyk języka Jamesa.

- W porządku - głos doktora działał kojąco. - Już prawie kończymy.

Brett stała niespokojnie. Policjantka wręczyła jej bluzę.

- Teraz możesz się ubrać.

Brett nie próbowała się myć. Gdy włożyła ubranie, pielęgniarka ujęła jej dłoń i skalpelem spod każdego paznokcia wyskrobała zaschniętą krew.

James wyprężył się, gdy paznokciami rozorała mu skórę na plecach...

Zostawiła go tam. Na ileś minut czy godzin... Nie powiedziała im o tym.

- Proszę - naciskała. - Muszę teraz porozmawiać.

Zdjęli jej odciski palców i odwieźli do aresztu.

Niebo było karmazynowe od pierwszych promieni poranka. Teraz rozpoznała komisariat policji.

Zaprowadzono ją do ciasnej celi z dwiema metalowymi ławkami. Młody policjant siadł na jednej z nich; jakoś zdołał odzyskać swoją kurtkę. Na drugiej siadł nieznajomy, trzymając przed sobą magnetofon.

Był krępy i czerwony na twarzy, z bladoniebieskimi oczami. Wprowadzał atmosferę chłodnej władczości. Rozumiał, że Brett będzie chciała mówić. Miał nadzieję, że nie będzie miała nic przeciwko magnetofonowi.

- Masz prawo milczeć...

Brett odczekała, aż skończy, a potem zaczęła opowiadać o wszystkim, o czym mogła opowiedzieć. Kiedy skończyła, spojrzała im w oczy. Nie dostrzegła jednak nic prócz pustki.

Znowu odprowadzili ją do celi. Znowu była sama.

Z sąsiedniego pokoju dobiegały ją głosy.

- Wiesz, kim jest jej dziadek? - zapytał ktoś.

Dopiero po pewnym czasie zauważyła, że przed jej celą stoi jakiś człowiek. Był wysoki, niemal tyczkowaty. Wśród czarnych włosów pojawiały się siwe pasemka. Był nie ogolony, a jego koszulka i spodnie w kolorze khaki były pogniecione. Dwie głębokie zmarszczki wydłużały jego twarz i sprawiały, że duże brązowe oczy nabierały mądrego i nieco smutnego wyrazu. Wydawał się przyjazny, jakby skądś go znała.

- O, Brett! - jego głos był zatroskany. - Coś ty, na Boga, narobiła?

Było to, pomyślała prawniczka, dokładnie to pytanie, które sama chciałaby jej zadać. Ale była jej obrońcą i nie mogła tego zrobić.

- Kto to był? - zapytała Brett. - Ten człowiek w więzieniu.

Prawniczka zawahała się, wsłuchana w nagle przerwane pytaniem opowiadanie. Ciągle zastanawiała się, na ile może w nie wierzyć. Jednak twarz mężczyzny z relacji Brett wydała się jej bardzo realna.

- Prokurator. Jackson Watts. Przyjaźniliśmy się w czasach college'u.

- A teraz?

- Nie wiem - adwokat przerwała i zamilkła. - Ostatnio widziałam go, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie.

Przez chwilę Brett wpatrywała się w nią z zaciekawieniem. Nic jednak nie powiedziała.

- Czy policja pytała o coś jeszcze?

Brett zawahała się.

- Chyba zapytali, czy James miał inne dziewczyny.

Prawniczka potrząsnęła głową.

- I co odpowiedziałaś?

- Że nie - głos Brett był teraz pełen złości. - Nie.

## DWA

Dwa dni wcześniej szanowna pani adwokat Caroline Clark Masters wyciągnęła opalone na złoto nogi i wytrzepawszy piasek spomiędzy palców, wpatrywała się w zatokę Nantucket.

Było letnie południe. Powierzchnia wody połyskiwała w promieniach słońca. Północno-wschodni wiatr rozwiewał jej luźne loki czarnych włosów. Ocean był upstrzony łódkami żeglującymi do Edgartown. Fale załamywały się na piaszczystym brzegu wzdłuż kończącej się gdzieś za horyzontem plaży. W oddali zdawały się zlewać z białą, usadowioną na wodzie mgłą. Głowę Caroline wypełniły wspomnienia.

Być może sprawił to ten chłopiec - dzieciak z college'u. Wydawał się bardzo mały i odległy, idąc po plaży pokrytej naniesioną przez fale pianą. Pomyślała, że przypomina jej trochę Davida. Może nie włosy, ale to coś w jego oczach. Chyba dlatego skłonna do samotności Caroline zdecydowała się, że z nim porozmawia.

- Dzień dobry.

Zatrzymał się, przenosząc wzrok z Caroline na stojący za jej plecami na wysokim brzegu dom. Chyba czuł się nieco winny. Może dlatego, że siedł po prywatnej plaży.

- Cześć!

Ubrany tylko w kąpielówki, smukły i opalony wyglądał całkiem niezłe.

- To twoja posiadłość? - zapytał z pewnym podziwem w głosie.

- Tylko wynajęta. Na tydzień. - Caroline uśmiechnęła się, kręcąc głową. Przyjął to do wiadomości.

Tak, pomyślała Caroline, to zamyślenie w jego oczach, ten sam szaroniebieski kolor. Ale brak tamtego błysku.

- Myślałem o tym miejscu. Mówią, że plaża zmieniła się całkowicie z powodu erozji i sztormów. - Skinął głową w stronę skał i poręczy za jej plecami, ciągnących się z plaży na sam szczyt wzgórza. - Powiedziano mi, że kilka lat temu o mało co straciliby ten dom.

Caroline uśmiechnęła się.

- Trzydzieści lat temu - rzekła - stalibyśmy na trawie, na której właściciel wraz z rodziną grywał w krykieta.

- Znałaś ich?

- Tak, znałam - Caroline pokiwała głową.

Kiedy zaczął się jej przyglądać, stwierdziła, że próbuje ocenić jej wiek. Wówczas odwrócił się, wskazując palcem na znajdującą się w pewnej odległości górkę piasku.

- Widziałem tam skały i jakieś pilary. Wiesz, co tam było?

- Domek na sprzęt żeglarski. Ale on należał do sąsiadów. Trzymali tam różne rzeczy - rzekła, dostrzegając jeszcze coś tam, gdzie wskazywał chłopak. - Któregoś roku mieszkał tam stróż ich posiadłości.

- Myślę, że zmiotł go huragan.

- Tak sędzę. Stał tam jeszcze, gdy byłam tutaj ostatnio. - Caroline tonem głosu dała znać, że chce, by odszedł.

Chłopiec milczał, jak gdyby oddając tym fakt przemijania.

- Chyba nie gniewasz się, że pytam?

- Nie, wcale nie.

Jeszcze raz potrząsnął głową.

- Czy ja cię skądś znam?

Caroline zdała sobie sprawę z tego, że nie jest jeszcze gotowa, żeby się z nim rozstać. Uśmiechając się, postanowiła połechtąć jego dumę.

- Myślę, że bym cię zapamiętała.

- Nie, nie chodzi mi o to, że się kiedyś spotkaliśmy. Może występowałaś kiedyś w filmach czy czymś takim? - Chłopiec popatrzył na nią lekko zmieszany.

Ta delikatna aluzja do jej wieku, na którą z pewnością sobie, jak myślała, zasłużyła, sprawiła, że roześmiała się z siebie sardonicznie, co łagodził wyraz nakrapianych zielonymi cętkami brązowych oczu i dołek w policzku.

- Nie przypominam sobie.

Chłopiec podszedł bliżej.

- Ale tak naprawdę?

Caroline spojrzała na niego z rozbawieniem.

- Nie, na pewno nie - rzekła z przekonaniem.

Patrzyła teraz, jak odchodził. Stawał się coraz mniejszy, aż w końcu zniknął.

Czterdzieści pięć lat, pomyślała, rozdrapując rany młodości. Nie rozumiała tego do końca. Wydarzenia, które uformowały ją - Caroline Masters - uczyniły z niej kobietę pozbawioną sentymentów. A jednak przyjechała tutaj. Czasami zdawało się jej, że to, co najistotniejsze w jej życiu, nie wydarzyło się wcale w New Hampshire, domu jej dzieciństwa, lecz właśnie tutaj, nad wodą, na Martha's Vineyard.

Patrzyła przed siebie na wody zatoki. Nie wiedziała nawet, czy David jeszcze żyje. Jeśli tak, musiałby być po czterdziestce i zapewne niewiele o niej teraz myślał. A jeżeli już, to z goryczą. Nie sądziła, by kiedykolwiek miała się o tym przekonać. Prawdopodobnie to nominacja wyrwała jej przeszłość ze stanu uśpienia.

- Czy jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć? - zapytał doradca prezydenta. - Coś, co mogłoby zaniepokoić Biały Dom?

- Nie - odpowiedziała Caroline - Nic.

Dwadzieścia lat intensywnego i pełnego ambicji życia czekała, by zadano jej to pytanie. Być może perspektywa rychłej nominacji zmusiła ją do przemyślenia kolei losu, które uczyniły ją taką, jaka jest.

Prezydent miał teraz do wyboru dwie kandydatury: ją i świetnego latynoskiego prawnika. O piątej zadzwonił telefon i Caroline zostanie - albo nie zostanie - sędzią Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych. To już tylko krok do Sądu Najwyższego. Ta myśl wywoływała w niej przesadne lęki.

To wielki krok w karierze, choć może nie większy niż suma tych, które uczyniła do tej pory. Przyjechała do Kalifornii, mając dwadzieścia trzy lata, żadnych przyjaciół ani rodziny, którą mogłaby się pochwalić. Ukończyła studia prawnicze, a potem przez piętnaście ciężkich lat pracowała jako publiczny obrońca z urzędu, reprezentując morderców i drobnych handlarzy narkotykami z większym powodzeniem, niż wynikałoby to z rachunku prawdopodobieństwa, nauczając, wykładając i pisząc artykuły o prawie kryminalnym. Pracowała na własną reputację. Poszerzała kontakty z organizacjami kobiecymi i politykami. Zawsze jednak chroniła swą prywatność.

Po pewnym czasie otrzymała nominację na niższej rangi sędziego w Sądzie Miejskim San Francisco. To właśnie zamierzała osiągnąć. Późniejsze wydarzenia, związane ze sprawą Mary Carelli, były już czystym przypadkiem.

Chodziło o morderstwo. Oskarżoną była Mary Carelli, znana dziennikarka, ofiarą zaś popularny pisarz. Byli sami w hotelowym pokoju, gdzie Carelli zabiła go - jeśli można jej wierzyć - broniąc się przed gwałtem.

Caroline prowadziła przesłuchania wstępne. Lekarz sądowy uważał, że kondycja fizyczna Carelli nie jest zgodna z jej wersją wydarzeń ani z wyglądem miejsca przestępstwa. Sędziemu sądu miejskiego wystarczyło to całkowicie, by skierować do Sądu Najwyższego sprawę o morderstwo, którą załatwić miała Caroline. Jednak wówczas prawnik Carelli zażądał, aby przesłuchania wstępne były transmitowane przez telewizję.

Przez dwa tygodnie Caroline prowadziła przesłuchania oglądane przez najszerszą w historii widownię, wykazując się przy tym profesjonalizmem, inteligencją i - w czym zgodni byli wszyscy



obserwatorzy - nieskazitelną bezstronnością. Pod koniec tego okresu Caroline była znana co najmniej tak jak sama Mary Carelli.

Nie traciła czasu. Zaczęła pojawiać się w telewizji, starannie wybranym dziennikarzom udzielać wywiadów, w których dawała głos raczej swemu osobistemu urokowi niż faktom z biografii. Pojawiły się oferty współpracy. Wybrała propozycję partnerowania w dużej firmie z San Francisco, dawała jej bowiem możliwości nowych kontaktów w branży i szerokich doświadczeń zawodowych. Gdy zmienił się prezydent i demokraci zaczęli rozdawać stanowiska sędziów federalnych, zainteresowane kręgi dostrzegły zalety umieszczenia na takim stanowisku wykwalifikowanej i powszechnie znanej kobiety o dużym doświadczeniu. Na to właśnie Caroline liczyła.

Rozpoczęły się spotkania. Najpierw z feministkami i innymi grupami, z którymi sympatyzowała. Potem z komitetem prawników, który badał kandydatów na stanowisko starszego senatora stanu Kalifornia. Potem z samą panią senator. Caroline była początkowo zdenerwowana, lecz spotkanie było niezwykle udane.

List senator do Białego Domu był niezwykle wymowny, sam prezydent zaś był jej dłużnikiem. Caroline pozwoliła sobie żywić nadzieję.

Potem zapadła cisza.

Mijały miesiące i Caroline była coraz bardziej przekonana, że nominacja wymknie się jej z rąk. Grupa obywateli optujących za państwem „prawa i porządku” wysłała do senatora i prezydenta list z protestem przeciw jej kandydaturze. Organizacja walcząca o prawo do życia nie narodzonych uznała ją za wroga dzieci i rodziny. Caroline spędzała czas na pogłębianiu wiedzy prawniczej, długich wycieczkach rowerowych i spacerach.

To był naprawdę właściwy moment, myślała sobie, żeby kupić psa czy coś w tym rodzaju.

Któregoś dnia zadzwoniła senator.

- Jest pani ciągle na liście. Zadzwoń do pani Walter Farris, doradca Białego Domu. Niech pani będzie gotowa. I proszę zadzwonić do mnie, jak już będzie po wszystkim.

Farris zadzwonił dwa dni później. Mówił powoli artretycznym głosem. Caroline znała go ze zdjęć: siwy facet z nadwagą. Powiedział jej, że pozostało dwóch kandydatów i że ma parę pytań. Pytał o życiorys. Powierzchowne pytania dotyczyły rodziny, wykształcenia. Ale było to tylko wprowadzenie do ostatniego w kolejności pytania: Czy ma pani coś do ukrycia?

- Myślę, że głównie o to im chodzi - powiedziała jej później senator. - Drugi z kandydatów to przywódca społeczności latynoskiej w Tucson. Również ma wysokie kwalifikacje, a rekomendujący go senator należy do najstarszych w Komisji Finansowej Senatu. Jeśli któreś z was miało jakieś problemy, oszczędzi to prezydentowi trudu podejmowania decyzji.

- Nie - odpowiedziała Caroline obydwójgu. - Nie mam nic do ukrycia.

Spojrzała na zegarek. Trzecia czterdzieści pięć. Za godzinę i trochę zadzwoni Farris. Patrzyła teraz w górę, na dom. Nie, nie była jeszcze gotowa, by wejść do środka.

Z piasku plaży wyrastał wąski drewniany pomost, na tyle sięgający w głąb oceanu, by można było zacumować do niego łódź. Caroline boso przeszła po deskach do miejsca, w którym zacumowała wynajętą żaglówkę. Z pojemnika z lodem wyciągnęła butelkę piwa. Siadła na skraju pomostu z nogami zwisającymi nad wodą.

Powoli sączone piwo rozlewało się goryczką na jej języku, a butelka chłodziła dłonie. Bezczyinnie wpatrywała się w osiadającą na ściankach butelki rosę. Piwo było wczorajsze. Spakowała je do przenośnej lodówki wraz z serem, chlebem i wodą mineralną i wyruszyła żaglówką do zatoki Tarpaulin na Wyspie Elizabeth - zupełnie jak wtedy, gdy miała czternaście lat. Choć nie żeglowała od wieków, nie potrzebowała mapy: pamiętała dokładnie każdy dzwon i każdą boję.

Poranek był pogodny i czysty, w dzień zaś woda i niebo nabrały żywych odcieni błękitu. Caroline zmrużyła oczy, patrząc pod wiatr. Z natury była sensualistką. Słońce i morze pobudzały ją, deszcz wywoływał u niej depresję. Była w tym podobna do swej matki.

Żeglowała w kierunku latarni, niedaleko której leżała zatoka Tarpaulin. Zacumowawszy łódkę, dotarła do plaży wpław. Zasnęła tam w słońcu. Obudziły ją dopiero docierające do jej stóp fale przyływu. Gdy wracała, nad wodą unosiły się kosmyki rzadkiej mgły, a wiatr zmienił kierunek i wiał w stronę Middle Ground. Caroline zmagająca się z nim, halsując przez pomarszczone wody. Zagrożenie nie było poważne, ale wspomnienia miały jednak swoją moc...

Wróciła do domu.

Stał tuż opodal stromego zbocza: spory drewniany budynek z oknami na wszystkie strony świata - zbudowany w stylu Przylądka, lecz z dachem ze szczytami. Otaczały go róże i płot z białych sztachet. Jego najstarsza część została zbudowana w końcu siedemnastego wieku, a następnie przetransportowana za pomocą wołów z centrum Edgartown do Eel Pond. Resztę dobudował jej ojciec. Jakiś czas później zasadził róże.

- Dobrze im się tutaj rośnie nad wodą - powiedział kiedyś do niej, gdy była dzieckiem. - Tak jak tobie.

Jednak gdy wynajmowała dom od jego obecnych właścicieli, kojarzyli oni nazwisko Masters tylko z samą Caroline. Nie znali jej rodziny. Powiedziała im po prostu, że zna ten dom. Nie przyznała się do tego, że każdy jego pokój jest pełen jej wspomnień.

Gdy po schodach wspięła się na skarpe i otworzyła drzwi, stojący zegar wskazywał czwartą dwadzieścia.

Czterdzieści minut.

Przeszła przez alkowę obok sypialni, w której tamtego lata mieszkali Betty i Larry. Dotarła do jadalni, gdzie przy świecach jej rodzina zasiadała do obiadu - ojciec zawsze u szczytu stołu. W końcu weszła do jasnej łazienki, o której mogła myśleć tylko jako o łazience mamy. Przypomniała sobie lustro, które kiedyś tutaj wisiało. Mama robiła przed nim makijaż. Caroline stanął przed oczami ostatni obraz matki: niezwykła drobna kobieta intensywnie wpatrująca się w swoje odbicie w lustrze, lewą ręką nakładająca tusz na rzęsy i myśląca o czekającym ją wieczorze...

Jednak w lustrze w łazience widniało teraz tylko odbicie Caroline - kobiety starszej o sześć lat niż tamta w chwili śmierci; odbicie adwokata, a być może wkrótce sędziny, która nie przypominała zbyt matki.

Może mam chociaż jej dumę, pomyślała z uśmiechem.

Cała reszta - ku jej niezadowoleniu - zdawała się pochodzić od ojca. Przy wzroście pięciu stóp i ośmiu cali Caroline była o pięć cali wyższa od matki. Czarne włosy z kasztanowymi pasemkami, które musiała z wysiłkiem rozprostowywać, używając szczotki i suszarki. Orla twarz, którą jej jankescy przodkowie mogliby określić jako twarz z charakterem: lekkie zakola, wystające kości policzkowe, długi nos, pełne płaskie usta, silnie zarysowana broda z dołkiem. Każda z tych cech wydaje się zbyt wyrazista, pomyślała samokrytycznie Caroline. Ale w końcu to ludzie z mediów zaczęli pisać o jej stylu i arystokratycznym wyglądzie. Publicznie pozostawała na te komplementy obojętna, jednak w głębi ducha cieszyła się nimi. Zawsze to lepsze, jak sądziła, niż komentarze w rodzaju: „...kobieta szybkim krokiem zbliżająca się do menopauzy, a już wkrótce mogąca liczyć na cellulitis”, które chyba nie przystawałyby do sędziny na tak wysokim stanowisku.

Czwarta czterdzieści.

Dlaczego, pytała sama siebie, to dla mnie takie ważne? Kim byłabym, gdyby moje ambicje obróciły się wniwecz?

Prawdę mówiąc, nawet nie chciała tego wiedzieć. Ambicja była jej motorem napędowym - budziła w niej zainteresowanie i chęć podejmowania nowych wyzwań. Wypełniała jej życie - i tyle. Niektórych rzeczy nie ma co zmieniać.

Być może, myślała, głupio zrobiła, przyjeżdżając tutaj.

Nadal była impulsywna. Dopiero co nauczyła się hamować albo przynajmniej ukrywać swoje gwałtowne reakcje. Powrót tutaj był wynikiem impulsu. O tym, gdzie jest, nie wiedział nikt z wyjątkiem jej sekretarki. Nikt nie wiedział, że ten dom należał kiedyś do niej.

Caroline powoli wyszła na zabudowaną werandę. Wychodziła na zachód, na wody zatoki. Na zewnątrz wiatr świstał w różach ojca.

Prawie piąta.

Caroline usiadła w wiklinowym fotelu koło stolika o szklanym blacie, na którym stał telefon. Podniosła słuchawkę, sprawdzając, czy słychać sygnał - najpierw raz, potem jeszcze dwa razy.

Piąta dziesięć. Piąta piętnaście.

Piąta szesnaście.

Dzwonek telefonu.

- Caroline? - z oddali zabrzmiał artretyczny głos. - Tu Walter Farris.

Caroline skupiła się, starając się rozszyfrować jego ton.

- Jak się masz, Walter?

- Świetnie. A nawet wspaniale. Powiedz mi, czy znajdziesz chwilę, żeby porozmawiać z prezydentem?

Caroline wybuchnęła nerwowym śmiechem.

- Cóż, w zasadzie planowałam właśnie kosić trawnik...

- Poczekaj moment, on jest tutaj ze mną.

Caroline poczuła, że jej twarz płonie.

- Caroline - usłyszała znajomy łagodny głos.

- Pan prezydent?

- Walter mówi, że chcesz pracować w sądzie apelacyjnym.

Cisza.

- Ja muszę, panie prezydencie. Tak długo nie czekałam nawet na to, żeby jakiś facet zaprosił mnie w końcu na studniówkę.

Rozległ się szczery śmiech. Dowcip został właściwie odebrany na obydwu poziomach.

- Cóż, Caroline. Stanowisko jest twoje.

Caroline odczuła ulgę, a zarazem znikła w niej chęć błysnięcia erudycją.

- Panie prezydencie! Nie sposób wyrazić, jak wiele to dla mnie znaczy - przerwała i ciągnęła delikatniejszym głosem: - Pracowałam na to od studiów. I będę pracowała jeszcze ciężiej, by być godną tego urzędu, kiedy już go obejmę.

- Wiem. Walter chce z tobą jeszcze porozmawiać. Nie zapomnij do nas zajrzeć, kiedy przyjedziesz na rozmowy potwierdzające nominację, dobrze? - Chwila przerwy. - Gratulacje, sędzino Masters...

- Caroline? - Przy słuchawce był znowu Farris. - Będziesz musiała się tutaj zjawić na rozmowy potwierdzające. Jennifer Doran z Departamentu Sprawiedliwości pomoże ci się przygotować. Będzie z tobą w kontakcie. Ona sama przez to kiedyś przechodziła...

Odkładając słuchawkę, Caroline ledwie pamiętała, jak skończyła się rozmowa. W jej oczach pojawiły się łzy. To dziwne, myślała, pragnąć czegoś tak bardzo, że gdy już jest, nie możesz w to uwierzyć...

Siedziała tak, ze łzami ciekącymi po twarzy, szczęśliwa, że nikt nie może tego widzieć. Nie bardzo wiedziała, co powinna teraz ze sobą zrobić.

- Toast! - przypomniała sobie. - Za moje zdrowie.

Rozradowana poszła do kuchni i nalała sobie szklaneczkę martini. Sterylnie czysta martini w dwóch łykach zniknęła w jej gardle. Do diabła z obiadem. W takiej chwili każdego ogarnia szaleństwo. Przecież nikt się o tym nie dowie.

O siódmej wieczorem nadal siedziała na ganku, obserwując ocean blednący w szarym świetle zmierzchu. Przestały ją prześladować gorzkie wspomnienia. W tej chwili nie chciałaby znaleźć się gdziekolwiek indziej.

Zapadał zmrok, gdy zadzwonił telefon.

Zawahała się, starając się uporządkować myśli. Minęła chwila, zanim podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Caroline?

W pierwszej chwili nie rozpoznała głosu. Jednak wyczuła go przez skórę: choć nie słyszała go od dwudziestu lat, był jednak bardziej znany niż wszystkie inne. Należał do tego domu.

Caroline poderwała się, gotowa i czujna, lecz stwierdziła, że nie potrafi wydobyć z siebie ani słowa.

- Caroline - jego głos był teraz starszy, bardziej chropawy. Może też dlatego, że wiele kosztowało go, by do niej zadzwonić. - Mamy kłopoty z Brett. Musisz przyjechać.

CZĘŚĆ DRUGA

**POWRÓT**

## JEDEN

Następnego ranka Caroline Masters poleciała do Bostonu, wynajęła tam dżipa i pojechała na północ. Godzinę później przekroczyła granice stanu New Hampshire. Wypełniające jej głowę złe przeczucia przenosiły ją z przyszłości w przeszłość.

Dwadzieścia trzy lata temu opuściła na dobre te strony. Niewiele z tego pamiętała. Siedziała na tylnym siedzeniu za Betty i jej mężem, Larrym. Zmierzali w kierunku Martha's Vineyard. Miały to być ich ostatnie rodzinne wakacje, chociaż nie przeczuwała, że chwile te będą wyjątkowe. Z końcem tamtego lata poprzysięgła sobie, że nigdy więcej tutaj nie wróci. I nie zrobiła tego aż do dzisiaj.

Przed wyjazdem zadzwoniła do Waltera Farrisa, wyjaśniając, że ma nagłą sytuację rodzinną i prawdopodobnie będzie musiała poświęcić tej sprawie kilka dni. Był uprzejmy i wyrozumiały. Być może Caroline jedynie wyobraziła sobie bardzo delikatny ton niepokoju, wyrażający nie wypowiedziane pytanie o to, coż to za poważna i delikatna sprawa, by musiała w tej sytuacji poświęcać jej czas, decydując się nie wyjaśniać, o co chodzi. Lecz odmowa wyjaśnień była wynikiem jej dojrzałości. I tak walczyła już z irracjonalnym - głupim i egocentrycznym, jak sama je określała - przeczuciem, że powrót na Martha's Vineyard na nowo otworzył przed nią przeszłość, która czekała na Caroline i ową nie znaną jej dziewczynę. Mimo wszystko zdecydowała się przyjechać.

Wjeżdżając coraz głębiej w New Hampshire, czuła jego obecność. Rozrzucone tu i ówdzie farmy i małe miasteczka były pozostałością po dawno minionych czasach prosperity, w których mógł osiągnąć to, co osiągnął. Wspinając się na White Mountains, znowu widziała gwałtownie opadające zbocza, wijące się strumienie, wąwozy o stromych stokach, całe mile gęstych lasów posiekanych granitowymi skałami zniszczonymi przez czas i pogodę. Caroline przypomniała sobie jego przekonanie, że Nowa Anglia jest jedynym w swoim rodzaju miejscem na ziemi, jego kazania o naturze i zaletach zimy. O tym, jak w tutejszych mieszkańcach rodziły się pomysłowość i determinacja - świadomość stojących przed nimi wyzwań i rozsądek konieczny, by jedynie z boską pomocą stawić im czoło.

Zjeżdżając z opatulonego chmurami szczytu, kierowała się na północny zachód, w kierunku Vermont, wprost w szary mżący deszcz. Wczoraj zostało daleko za jej plecami.

Miasteczka stały się mniejsze, coraz bardziej od siebie oddalone, chociaż drogi były lepsze. Kilka drewnianych młynów wyglądało na zamknięte, lecz poza tym niewiele się zmieniło. Było to miejsce, w którym układy międzyludzkie znaczyły bardzo wiele, gdzie nie żyło się na pokaz, ale wspomnienia były trwałe, raz zaś zdobyty szacunek - dla człowieka czy dla rodziny, z której pochodził - pozostawał na długo w pamięci. Dlatego też nie było to miejsce, do którego przybywali obcy. Uciekinierzy z Massachusetts i poszukiwacze domków letnich trzymali się z dala od tej części New Hampshire. Tutejsi mieszkańcy zaś wrosli w tę ziemię przez pokolenia. Trwali tutaj, niekiedy podupadając. Dzieci niektórych wyjeżdżały w poszukiwaniu lepszej pracy. Inne zostawały. Ich życie zdawało się biec poza czasem, niczym trwanie prastarych jezior, rzek, głębokich i cichych lasów.

Okolice, przez którą teraz jechała, była pełna wąwozów, strumieni, wzgórz wznoszących się raptownie ku szerokiemu niebu. Drogi stały się węższe. Na skrzyżowaniu, przy którym stał zaniedbany kościół, Caroline skręciła w smolistokamienistą drogę, przy której widniał drogowy znak „Resolve Village”. Na milę przed miasteczkiem zjechała w bok. Samochód wspinał się kamienistą ścieżką pośród drzew rosnących w miejscu byłego pastwiska, aż dotarł do polany, którą nadal nazywano Masters Hill.

Caroline - nie w pełni świadoma tego, jak wolno prowadzi - bardziej wyczulona była na charakterystyczne cechy krajobrazu - postrzępione skaliste wzgórza, na które kiedyś się wspinała, odległe szaroniebieskie wody jeziora Heron - niż na uczucia związane z tymi miejscami, z jednej strony tak jej bliskimi, z drugiej zaś jakby z innego życia. Nagle zatrzymała się.

Zesztywniała od długiego prowadzenia wyszła z samochodu wprost w mgłę i deszcz.

Na stoku wzgórza, opodal gromadki brzoź, stała biała drewniana kaplica. Pierwsi Mastersowie zbudowali ją sto pięćdziesiąt lat temu, by służyła rodzinie i ludziom mieszkającym w sąsiedztwie. Kopuły jej wież i witraże w oknach robiły wrażenie, jakby pochodziły z innych czasów. To tutaj ojciec ożenił się po raz pierwszy, a potem drugi. Tu brali ślub Betty i Larry, a Caroline towarzyszyła im jako drużna. Tutaj po raz pierwszy wyobrażała sobie własny ślub. Spędziła tu większość niedzielnych poranków swej młodości, zasiadając - zgodnie z tradycją i prawem rodziny Mastersów - w pierwszej ławie. Pamiętała proste drewniane ławki, oszczędne umeblowanie i surowe obrzędy zbyt mocno już utrwalone, by wywoływały jakieś emocje. Chociaż wiedziała, że kościół jest otwarty, nie weszła.

Za kościołem rozciągał się cmentarz, na którym spoczywały pokolenia Mastersów. Caroline poszła tam, okrążając budynek. Jej twarz była chłodna i wilgotna. Otaczające cmentarz wierzby przesłaniały światło padające na słoczony, pokonany przez czas nagrobki. Granitowe tablice były zniszczone przez wiatr, deszcz i brud. Jedna z płyt - na grobie dziecka, którego imię zatarło się już dawno w pamięci - leżała napisami do ziemi.

Na samym środku znajdowały się nagrobki jej najbliższej rodziny. Na największym wznoszącym się pośród nich granitowym prostokącie widniały ich imiona: Channing Masters, Elizabeth Brett Masters, Elizabeth Wells Masters. Na samym dole znajdował się napis: „Caroline Clark Masters, urodzona 17 czerwca 1950 roku”. Data śmierci była umieszczona jedynie przy Elizabeth Brett Masters. Dodatkowa płyta wkopana w ziemię przed grobem Elizabeth Brett Masters upamiętniała ją dla potomności w słowach: „Ukochana żona Channinga i matka Elizabeth”.

Odwróciwszy się, Caroline doszła do skraju cmentarza. Płyta, do której podeszła, była brudna, oblepiona liśćmi. Przyklękając w deszczu, Caroline zaczęła nieporadnie oczyszczać ją zgrabiałymi z zimna dłońmi. Dostrzegła napis: „Nicole Dessaliers Masters, ur. 1925, zm. 1964”. Potem odczytała proste, lecz bolesne dla niej słowa: „Żona Channinga, matka Caroline”.

Caroline stała z chłodną i wilgotną twarzą, wyrażając w milczeniu przeprosiny za rzeczy, o których wówczas nie miała pojęcia. Dopiero kiedy odeszła od grobów, stwierdziła, że deszcz przestał padać.



O pół mili dalej Caroline zatrzymała się na skraju drogi. Po jej prawej stronie, za łagodnym, porośniętym lasem zбочem widziała odległe zabudowania miasteczka Resolve - kopułę kościoła, skrzyżowanie, białe drewniane domy z ubiegłych stuleci. Dalej znowu rozciągały się lasy. Gdy była dzieckiem, on opisywał jej - dopóki nie stanął przed oczami jej wyobraźni - wiejski krajobraz, składający się z farm, kamiennych murów, usiany tworamami ludzkiej pracy: czasy, w których Nowa Anglia kwitła, a jeden z Mastersów był senatorem.

Caroline odwróciła się w stronę domu, w którym przyszła na świat. Trzy kondygnacje i dwadzieścia pokoi. Dom wznosił się majestatycznie, zwieńczony ośmioboczną wieżyczką, z której Mastersowie mogli obserwować okolicę w promieniu kilku mil. Pomalowane na biało drewniane ściany, okna z łukami. Wrażenia masywności nie zakłócały żadne architektoniczne ekstrawagancje ani efekciarstwo. Luksusy kryły się wewnątrz: pokoje o wysokości dwunastu stóp, siedem granitowych kominków, kręcone schody, sala balowa.

Dla niego dom był symbolem przyrodzonych praw i obowiązków: tego domu nie można było opuścić jak innych. Należało go utrzymywać i przekazywać kolejnym pokoleniom Mastersów, podobnie jak przekazywało się im samo życie. Jednak członkowie rodziny często naśmiewali się z historii tego budynku. Adam, pierwszy z rodu Mastersów, zakochał się szaleńczo w młodej kobiecie z Portland, będącego wówczas prawdziwie kosmopolityczną oazą. Przekonany, że powinna go poślubić, Adam zbudował ten dom, ucieleśniając swe uczucia i mając nadzieję, że zrobi tym na niej wrażenie. Tydzień po ukończeniu budowy sam został zaskoczony listem zrywającym zaręczyny. Ojciec mówił Caroline, gdy ta była dzieckiem, że ich dom jest trwałym pomnikiem tego, jak bardzo kobiety mogą ogłupić niektórych mężczyzn. Mastersowie musieli płacić za to od pokoleń, a koszty ogrzewania tego budynku były istotnie wysokie. Wówczas wydawało jej się to zabawne.

Ojciec nadal ponosił te koszty. Zabudowania - stodoła, garaż (będący kiedyś stajnią) - były świeżo pomalowane. Idąc kamienną ścieżką, która łagodnie wznosiła się po stoku wzgórza w cieniu starych drzew, Caroline zauważyła, że posiadłość jest zadbana, a woda w niewielkim stawie w pobliżu stodoły świeża i czysta. Wszystko wyglądało całkiem jak wtedy, gdy była tu po raz ostatni.

Zatrzymała się na chwilę dla zaczerpnięcia tchu. Wtedy otworzyły się frontowe drzwi. Caroline przygotowała się na najgorsze, nim zdążyła dostrzec, kto za nimi stoi. Była to Betty. Trzymając ręce w kieszeniach spodni w kolorze khaki, wpatrywała się w swoją przyrodnią siostrę jak gdyby poprzez lata, które je rozdzieliły.

Caroline podeszła do Betty, badawczo patrząc jej w twarz. Usiłowała ją porównać z tym, co widziała ostatnio.

Betty wyszła na zadaszony ganek.

- Cześć, Caroline.

To kobieta w średnim wieku, pomyślała Caroline z zaskoczeniem. Poczowała się głupio. Betty miała na nosie druciane okulary, a blask jej brązowych krótkich włosów nieco przygasł. Przyprószyła je siwizna. Wiek wydobył bladeść, która czaiła się pod cerą młodszej Betty. Zadarty nos wydawał się wydatniejszy, zagłębienia jej twarzy głębsze, a szare oczy bardziej skupione w oprawie kurzych łapek i bladej twarzy. W czasie wspólnie spędzonych lat Caroline myślała z owym niewypowiedzianym okrucieństwem nastolatki, że Betty wygląda jak odbicie swej matki, która

zdążyła już osiągnąć świętość, wykiwawszy pełen nudnej stateczności średni wiek dzięki łasce śmierci w trakcie porodu. Spojrzenie Betty sprawiło, że Caroline posmutniała. Nie bardzo jednak wiedziała, kogo właściwie jej żal.

- Jak ona się ma? - zapytała bez wstępów.

Betty rzuciła ku niej ostre spojrzenie. A jak sądzisz? Jak ona się może miewać? - czytała w jej myślach Caroline.

- Wiesz przecież, że jej nie znam - dodała łagodniej.

Kolejne szybkie spojrzenie - tak jakby Betty faktycznie o tym nie pamiętała. Potem skinienie głową.

- Była bardzo emocjonalna, czasami gwałtowna, ale żywa. A teraz to wrak z zapadniętymi oczami. Jej stoickie mamrotanie potrafi w jednej chwili przerodzić się w lęk i rozpacz.

Caroline skinęła głową.

- Marihuana z pewnością nie pomogła. Być może sama nie jest do końca pewna, co się właściwie wydarzyło.

Kolejne przeszywające spojrzenie. Siostra wyglądała na wystraszoną i przemęczoną.

- Ona go nie zabiła.

Caroline w milczeniu obserwowała, jak Betty zdaje sobie sprawę, że odpowiedziała na pytanie, które nie padło. Potem sama pogrążyła się we wspomnieniach ich zawiłej wspólnej przeszłości.

- To ojciec wpadł na pomysł, żeby po ciebie posłać - dodała oschle Betty.

- Wiem - Caroline znowu skinęła głową.

Betty pobladła. Caroline widziała, że siostra jest wytrącona z równowagi i usiłuje doszukać się znaczenia wypowiedzianych przez nią słów.

- Obydwie wyszliśmy w tym z wprawy, Betty - powiedziała cicho. - A co się stało, to się nie odstanie.

Betty spojrzała w dół, głośno wzdychając. Kiedy znowu podniosła wzrok na Caroline, uczyniła to z nieco mniejszym napięciem.

- Nieźle wyglądasz, Caroline. Ale to w końcu dla nas żadna niespodzianka. Widzieliśmy ciebie w telewizji.

- My?

Oczy Betty na moment zabłysły zazdrością i ironią. A więc to nadal dla ciebie coś znaczy, Caroline czytała w jej myślach. Zawstydziała się swego pytania. Przez chwilę Betty przyglądała się jej.

- Jesteś znaną kobietą, Caroline. Osiągnęłaś to sama, bez pomocy jego i kogokolwiek z nas. Czy tego właśnie chciałaś?

Dobrze wiesz, czego chciałam, pomyślała Caroline z goryczą.

- Jak możesz w ogóle o to pytać? - rzekła ze spokojem, w którego utrzymanie zaangażowała całą swą wolę.

Betty odwróciła wzrok. Przez chwilę milczała.

- Brett jest na górze, Caroline - powiedziała w końcu.

Caroline pokręciła głową.

- Nie jestem jeszcze gotowa. Nie na coś takiego.

Betty odwróciła się do niej, zaskoczona.

- Więc po co tutaj przyjechałaś? Czy nie rozumiesz, że mogą ją oskarżyć o morderstwo?

Caroline nie pofatygowała się, żeby się wytłumaczyć.

- Gdzie jest on? - zapytała.

## DWA

W pożyczonej od Betty kurtce Caroline wspinała się krętą ścieżką na Masters Hill.

Zawsze chodził tam, żeby rozmyślać, przypominała sobie Caroline. Dobrą chwilę zajęło jej zdanie sobie sprawy, że jest już grubo po siedemdziesiątce. Aż trudno w to uwierzyć.

- Ma problemy z sercem - powiedziała Betty jak gdyby komuś obcemu. - W zeszłym roku miał atak. Lekki. Ale to ostrzeżenie. Jednak nie zrezygnował z długich pieszych wypraw. Nawet o tym nie mówi.

Przechodząc wzdłuż stromego zbocza, Caroline wspominała, jak zabierał ją - jako dziecko - na szczyt. Ani wtedy, ani teraz nie mogła go sobie wyobrazić jako słabego czy chorego. Jednak sama zorientowała się, że rzadziej tędy chadza. Ścieżka - ongiś dobrze wydeptana przez rodzinę Mastersów - niknęła pod zarastającym ją poszyciem i dywanem igieł. Jedynie ślady we własnej pamięci pozwalały Caroline odnajdywać ją na nowo. Prowadziła stromo w górę, pomiędzy grubymi pniami sosen, zmuszając ją do podchodzenia zygzakiem. Potykała się. Kilka razy zatrzymywała się, żeby zaczerpnąć tchu.

Wyszłam z wprawy, pomyślała ku własnemu niezadowoleniu. Lecz nie to było przyczyną tętnienia skroni. W jakiejś części przyłożyła się do tego Betty, w większej zaś owa nie znana jej jeszcze dziewczyna. Lecz najgorsze miała właśnie przed sobą.

Dotarła do polany: nagiej granitowej płyty zniszczonej przez wiatr i deszcze. Będąc dzieckiem zbyt jeszcze małym, by wspinać się na sam szczyt, zostawała z ojcem tutaj. Teraz zatrzymała się, jakby oczekując, że tu go może spotkać.

Nie było nikogo.

Caroline siadła na skale, odpoczywając. Widok z tego miejsca roztaczał się na wiele mil. W zasięgu wzroku było mniej pól. Natura zagarnęła na powrót ziemię, otulając swym całunem stare kamienne mury i opuszczone farmy, z których ludzka energia odpłynęła na zachód, zniknąwszy z tych okolic. Mastersowie kupowali ziemie uprawne, które stawały się ugorami, za pieniądze zarobione najpierw na drewnie, potem zaś na sprzedaży obsługującej ich młyny prywatnej linii kolejowej wiodącej do Bostonu oraz kolei stanu Maine. Nie była to inwestycja w zwykłym tego słowa znaczeniu, lecz raczej podszyta irracjonalną dumą deklaracja, że Mastersowie pozostaną tu na zawsze, wieczni jak sama ziemia.

Jednak tak się nie stało. Jakiś czas później zaczęli sprzedawać tyle ziemi, ile tylko mogli. Caroline podejrzewała, że utrzymanie wspinałego wyglądu domu kosztowało ojca fortunę i że w głębi duszy Channing Masters obawiał się, że będzie ostatnim z rodu, któremu dane było tutaj się urodzić i umrzeć. Wyprowadzając się stąd, Caroline opuściła coś więcej niż rodzinę.

Jednak Channing Masters nosił się z dumą i nikt spoza rodziny nie dostrzegłby po fasadzie domu, że fortuna podupada. To miejsce było w zbyt wielkim stopniu jego częścią, a on sam również do niego należał.

Wzgórze pozostało jego własnością. Widać było z niego całe miasteczko - leżącą na polanie małą niczym zabawka osadę stanu Nowa Anglia. Caroline przypominała sobie chwile, gdy siedzieli tutaj razem. Zapytała, skąd wzięła się nazwa Resolve. Oczekiwała jakiejś wzruszającej historii o walkach o niepodległość lub o stawianiu czoła Indianom. Lecz kiedy ojciec zwrócił się do niej, jego oczy błysnęły humorem.

- Resolve - rzekł z prześmiewczą powagą - zyskało swoją nazwę, odłączając się od Connaughton Falls. Poszło rzekomo o spór o chrzest przez pełne oraz częściowe zanurzenie. W tamtych czasach mieszkańcy Nowej Anglii brali sobie sprawy religijne do serca.

Widziała, że jednak nie żartuje.

- Po której stronie stanęliśmy?

- Byliśmy za całkowitym zanurzeniem, rzecz jasna. - Jak zwykle jego uśmiech złagodził w odczuciu Caroline ten nieco nazbyt poważny ton. - My, mieszkańcy Resolve, nie godziliśmy się na półśrodki.

Nawet w wieku ośmiu lat Caroline potrafiła dosłyszeć w tym nutę ironii. Sędzia Channing Masters był bowiem pierwszym obywatelem Resolve, który potrafił ze zdecydowaniem i przekonaniem występować w imieniu innych.

Później dotarło do niej, że Channing, który jako sędzia sam nie mógł zasiadać w lokalnych władzach, pomagał w wyborze członków rady miejskiej, szefa policji, rady szkoły, wikariuszy do swego kościoła, no i - rzecz jasna - pastora. Nigdy jej o tym nie mówił. O tym po prostu się wiedziało. Nie był to przywilej, lecz obowiązek. W jego interesie leżało znalezienie ludzi o nieskalanej uczciwości i jasności sądów. Ludzie, których Channing Masters wybrał, traktowali go inaczej. Siedząc tutaj przy nim, miała wrażenie, że ojciec sprawuje pieczę nad całym miasteczkiem.

Caroline wątpiła, czy wiele się od tamtych czasów zmieniło. W tym zakątku Nowej Anglii czas biegł powoli. Channing, ze swoją niechęcią do wszelkich zmian, uważał, że tak jest dobrze. Matka była odmiennego zdania.

Wstając, Caroline spojrzała w stronę gór, a potem na nowo podjęła wspinaczkę.

Na szczycie zastała ojca siedzącego na pniu powalonego drzewa.

Channing Masters patrzył na nią. Caroline dostrzegła, jak walczy jednocześnie z kilkoma uczuciami - bólem, tłumioną miłością, instynktowną przyjemnością czerpaną ze spotkania z nią, złością, że przyłapała go nie przygotowanego.

- Caroline - rzekł.

Zatrzymała się o kilka kroków od niego, zachowując niezbędną - jak się wydawało - dystans. Walczyła z paraliżem na widok tego, co z ojcem uczynił czas. Oczy o przesywającym spojrzeniu były zapadnięte i podkrążone. Od koniuszków ust biegły głębokie zmarszczki, a czoło sięgało do szczytu czaszki. Siwizna okryła jego włosy, wąsy i krzaczaste brwi. Wiek sprawił, że skóra leżała teraz bliżej kości i Channing wydawał się dosłownie rozpięty na własnym szkielecie. Jednak ciemne oczy pozostały czujne i niemal ogniste. Był taki, jak go sobie wyobrażała.

Nie potrafiła się zmusić, by powiedzieć do niego „ojcze”.

- Chciałeś, żebym przyjechała - powiedziała. - No i jestem.

Patrzył na nią, jak gdyby chcąc otworzyć to, co było przed nim zamknięte.

- Co robiłaś w naszym domku na Martha's Vineyard? - zapytał cicho.

- Żeglowałam. - Przerwała. - Cóż innego mogłabym tam robić?

Caroline widziała, że nie podoba mu się ten dzielący ich mur.

Sama odzyskiwała równowagę. Podeszła do drugiego końca pnia i siadła o kilka stóp od niego, patrząc na odległe wzgórza i doliny, które raczej kończyły się, niż rozpływały w nicości. Gdy była już gotowa, odwróciła się w jego stronę.

- Wezwałeś mnie tu jako prawnika. Wiesz, że mój przyjazd tutaj, nawet w tym charakterze, jest najgorszą rzeczą, jaka mogła się nam przytrafić.

Channing odwrócił się do niej.

- Brett jest niewinna. - Jego głos nagle spowaźniał. - Możesz sobie o mnie myśleć, co chcesz, ale ona nie będzie dla ciebie kolejnym, podobnym do poprzednich przypadkiem.

- Może pragnąłbyś, żeby nie była. - Caroline przypatrywała się mu.

Rozważał to, co powiedziała.

- Chyba stać cię na lepszą ocenę sytuacji - odrzekł cicho.

- W takim razie mogę ci powiedzieć, że nie wiem, czy zostanę tutaj dłużej niż do jutra.

- Jak mogłabyś odmówić...?

- Jak możesz tego nie rozumieć... - urwała. Jej głos złagodniał. - Myślałam, że nauczyłeś się na moim przykładzie, jak emocje mogą oddziaływać na sędziego. Nie chciałabym doświadczyć tego znowu w jej przypadku.

Channing ogarnął ją stoickim spojrzeniem. Jednak w jego oczach nadzieja mieszała się z obawą.

- Więc spotkałaś się już z nią?

- Nie - westchnęła Caroline.

Jego oczy zwęziły się.

- Czekala na ciebie...

- Najpierw chciałam się dowiedzieć, co wie policja. Zanim poproszę, żeby opowiedziała mi to, co jej akurat przyjdzie do głowy.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zaciętości.

- Nigdy by tego...

- Wystraszeni ludzie robią różne rzeczy - przerwała mu Caroline sarkastycznie. - Nawet ci, którzy wyglądają na bardzo niewinnych. Poza tym jestem pewna, że potrafisz mi powiedzieć znacznie więcej od niej o tym, co wie policja.

W kącikach ust ojca na wspomnienie ich intelektualnych potyczek po raz pierwszy pojawił się słaby uśmiech. Po chwili jednak zniknął, ustępując miejsca powadze i niemal poważaniu.

- Od czego mam zacząć?

- Od pierwszego telefonu od Jacksona. Po tym, jak stwierdził, że aresztowana dziewczyna to Brett.

Channing skrzyżował ręce na piersiach w zamyśleniu.

- Jackson zadzwonił mniej więcej o świcie - powiedział powoli. - Odebrała Betty. Zdążyła wcześniej wstać. Niepokoiła się.

- Czy miała pojęcie o tym, gdzie jest Brett?

- Przypuszczam, że podejrzewała, że Brett jest z nim. - Jego głos stał się beznamiętny. - Już dawno temu Brett zasmakowała w pozostawianiu na noc poza domem bez konieczności tłumaczenia się... - Nagle przerwał. Wtedy Caroline poczuła chłodny uśmiech, który pojawił się na jej twarzy. Ich spojrzenia spotkały się. Ojciec ciągnął ściszym głosem: - Betty była zbyt wstrząśnięta, by rozsądnie myśleć. Chwilę później sam musiałem dzwonić do Jacksona. Przedstawił mi tylko nagie fakty: znalezione ciało, stan Brett, krew, nóż i portfel, to, że złożyła jakieś zeznania. Potem zgodził się, żebyśmy po nią przyjechali i zabrali ją, pozostawiając w zamian jej paszport.

- I to mnie dziwi. Czyżby Jackson wątpił, że to ona go zabiła? Czy oczekuje, że Brett popełni jakiś błąd?

Ojciec skierował ku niej ostre spojrzenie.

- Jackson zna naszą rodzinę. Znał Brett jako dziecko, chociaż ona go nie pamięta. Nie mógł w to po prostu uwierzyć. - Przerwał. - Ale, rzecz jasna, nic mi nie mógł powiedzieć.

Caroline kiwnęła głową.

- A szef policji?

Ojciec lekko wzruszył ramionami.

- Zrobił mi uprzejmość, mówiąc, że Jackson zbiera informacje o tym chłopaku i oczekuje na wyniki badań z laboratorium kryminalnego. Grupa krwi, odciski i tak dalej. Sądzę, że Jacksona niepokoiło to, że Brett sama czekała na możliwość opowiedzenia o tym, co i gdzie się wydarzyło. - Jego głos znowu stał się chłodny. - Ale James Case naszpikował ją marihuaną i winem, a ona do tego nie przywykła.

Caroline była poirytowana. Sama miała trudności z jasnym myśleniem.

- To dobrze - rzekła sucho. - To przemawia przeciwko zabójstwu z premedytacją.

Nagle wstał, zbliżając się do niej. W jego głosie kryła się złość.

- Brett tego nie zrobiła, niech cię diabli. Jest wrażliwa do bólu i kocha wszystkie bezpańskie zwierzęta, tak jak kochała tego włóczęgę.

Caroline patrzyła mu w oczy, a jej twarz wyrażała nieustępliwość.

- Broniałam kiedyś seryjnego zabójcy, który podrzynał swoim ofiarom gardła, a potem gwałcił je, kiedy wykrwawiały się na śmierć - mówiła niemal tak, jak gdyby opowiadała anegdotę. - Potem szedł do domu i spał ze swoim angielskim spanielem. Kiedy go złapali, najbardziej martwił się o to, kto będzie karmił pieska.

- Przecież to twoja rodzina... - jego głos zaczął drżeć.

- A ja jestem prawniczką. Dlatego mnie tutaj wezwałeś, jak sądzą. Więc oszczędź mi historii z dzieciństwa. To wystarczająco bolesne. - Caroline uniosła się i stanęła z nim twarzą w twarz. - Kiedy się z spotkam z Brett, okażę całe współczucie, jakie powinna jej okazać ciocia Caroline. Ale teraz wróćmy do sprawy. Czy udało im się ustalić, do kogo należał nóż?

Odwrócił się od niej, spoglądając gdzieś daleko w kierunku gór. Caroline dostrzegła, że padający za dnia deszcz zmienił się teraz w osiadającą w dolinach mgłę.

- Nic o tym nie wiem - rzekł w końcu.

- Przeszukali dom?

- Tak.

- I co znaleźli?

- Nic. A przynajmniej nic nie zabrali.

- Co ze świadkami?

Znowu zwrócił się do niej.



- O ile wiem, to nikt nie widział żadnego samochodu ani ciężarówki wyjeżdżającej z tamtej drogi. Nawet samochodu Brett.

Caroline uśmiechnęła się lekko.

- Twój przyjaciel, szef policji, nie przypomina milczącego sfinksa, co? - rzekła, po czym jej uśmiech zbladł. - Domyślam się, że wszystkich was pytali o nóż.

- Policja stanowa. Powiedziałem, że nigdy go nie widziałem. - Przerwał na moment. - Po prostu zakładają, że Brett go tam ze sobą zabrała.

Caroline wzruszyła ramionami.

- Założyć inaczej oznaczałoby przyjąć, że ktoś, kto akurat znalazł się w okolicy, zdecydował się zarznąć Jamesa Case'a w szczególnie intymny sposób i zostawić nóż w jego klatce piersiowej jako swoją wizytówkę. Żeby przyjąć tę wersję, trzeba by istotnie poczynić o wiele więcej założeń.

Channing wyprostował się.

- To stało się inaczej. Ktoś za nimi podążał.

- Do lasu o zmierzchu? Na moją dawną działkę?

Zacisnął usta.

- Teraz należy do Brett, Caroline. Od dawna nie mieszkasz już w New Hampshire. Nie zdarzają się tutaj przypadkowe zabójstwa. Ktoś chciał zabić tego chłopaka i czekał na właściwą okazję.

Głowa Caroline zaczynała pulsować. Potarła skronie.

- W tej sytuacji to trudne do udowodnienia. Brett zabrała go tam, w odosobnione miejsce należące do naszej rodziny. Może to dla nich oznaczać premedytację...

- Gdyby Brett nie poszła pływać, mogłaby również zginąć. Miała szczęście, że spłoszyła mordercę...

- Kogo?

Channing powoli potrząsnął głową.

- Nie wiem. Może jakiegoś włóczęgę, który chciał zabrać portfel Jamesa, ale upuścił go, gdy usłyszał Brett. Może, jak mówi Brett, chodziło o narkotyki.

- Czy ona wie, kto był jego dostawcą?

- Oczywiście, że nie.

Teraz Caroline kręciła głową.

- Zawodowcy nie zabijają z powodu kilku tysięcy dolarów - przerwała na chwilę. - Czy są jakieś poszlaki, że był tam ktoś jeszcze? Poza relacją Brett, rzecz jasna.

Caroline dostrzegła, że nie obruszył się. Najwyraźniej zaakceptował, że teraz zajmują się faktami, i zdołał odsunąć swe cierpienie na bok.

- Jeszcze nie wiemy. Teren przeszukiwali ludzie Jacksona, policja stanowa.

- Kto znalazł ciało?

- Policja z Resolve. Dwóch młodych policjantów patrolujących teren.

- Znasz jakieś szczegóły?

- Tylko tyle, ile powiedzieli mi ludzie. Policjanci natknęli się na ciało i od razu przeszukali najbliższą okolicę. Nic i nikogo nie znaleźli. Wezwali pogotowie i policję stanową. Pogotowie oznajmiło, że Case nie żyje, a policja stanowa zadzwoniła do Jacksona, do jego domu w Concord. On i jednostka do spraw ciężkich przestępstw otrzymali pozwolenie na przeszukanie Brett i jej rzeczy, co uczynili z poniżającą drobiazgowością. Potem wysłuchali jej zeznań.

Caroline wyobrażała sobie to wszystko.

- A tymczasem czterech czy pięciu amatorów zdążyło przewrócić do góry nogami całe miejsce zbrodni, zostawiając odciski stóp, przemieszczając ciało i robiąc ogólny bałagan - uzupełniła. - Zapomniawszy pewno również o poinformowaniu aresztowanej o jej prawach.

- To możliwe. - Channing zamilkł, założywszy ręce na piersiach. - Ale policja stanowa jest doskonała. Tak jak i Jackson Watts. Nie myśl, że to ciągle ten sam chłopak, z którym się umawiałaś na randki. - Znowu przerwał. - Albo raczej ten, z którym zerwałaś.

Caroline nie zareagowała na ten przytyk.

- A jaki jest Jackson teraz?

- Sprytny i pozbawiony uprzedzeń. To jego wielkie zalety. Jest szefem wydziału do spraw zabójstw w prokuraturze generalnej. Ma szansę zostać sędzią w sądzie najwyższym. W innych warunkach by mnie to cieszyło, bo Jackson jest bardzo przyzwoitym człowiekiem. - Jego głos posmutniał, nabierając pożegnalnego brzmienia. - Chciałbym, żeby już teraz zasiadał w ławie. Jestem pewien, że wkrótce to osiągnie.

Caroline dostrzegła, że twarz ojca poszarzała. Jego wątle ramiona opadły, a pasja wyparowała.

- Być może Jackson nie zajmie się tym przypadkiem - dokończył i powoli pokiwał głową. - On nigdy niczego mi nie zawdzięczał. Może z wyjątkiem tego, że zawsze wiedziałem, że zostanie tym, kim jest teraz.

Caroline starała się doszukać w jego tonie jakichś aluzji, milczącego, skrywanego rozczarowania czy smutku. Lecz słyszała jedynie pulsowanie we własnych skroniach.

- Wyglądasz na zmęczoną, Caroline - powiedział niemal łagodnie ojciec.

Nie spałam, prawie się jej wyrwało.

- Lot, a później jazda. To długi dzień. A przecież jeszcze się nie skończył - powiedziała zamiast tego.

Channing zrozumiał aluzję.

- Polubisz ją, Caroline. - Jego głos nadal był łagodny. - Nawet w tych okolicznościach.

Caroline potarła skronie.

- Powiedz mi, jaki on był? James Case...

- Bardzo przystojny. - Przerwał. Jego głos stał się surowszy. - Ale był to jeden z tych nieustabilizowanych, słabych i samolubnych młodzieńców. Z rodzajem narcyzmu, który kobiety zdają się uznawać za tak atrakcyjny.

Oczy Caroline zwęziły się.

- Jak często go widywałeś?

- Dłużej niż przez chwilę? Dwa, może trzy razy.

- I udało ci się to wszystko zaobserwować? - Spojrzała na niego pytająco. - Łącznie z wpływem, jaki wywierał na Brett?

Channing zbladł.

- To właśnie utrzymywało cię w formie przez całe lata? A teraz dzięki temu masz zostać sędzią...

Caroline poczuła, że jej twarz sztywnieje. Coś w jej spojrzeniu kazało ojcu podnieść rękę, by dać znak, że jeszcze nie skończył.

- Cokolwiek o tym sądzisz, Betty jest dobrą matką. I dlatego Brett jest dobrym człowiekiem...

- A każdy jest tylko tak dobry jak jego matka.

Nie zraził się tym.

- Możesz być okrutna, Caroline. Ale ja nigdy tak nie uważałem. Ani wtedy, ani teraz. - Jego podniesiona ręka opadła. - Pomożesz jej? - zapytał łagodniejszym głosem.

Caroline wpatrywała się w niego.

- Zostając - odezwała się w końcu - czy wyjeżdżając?

- Zostań, Caroline. Proszę. Proszę cię o pokój. Chociaż przez ten czas. Nie dla mnie czy Betty, ale dla niej. - Znowu wyprostował się. - Znam moją wnuczkę lepiej, niż mogłabyś przypuszczać. A

przede wszystkim wiem, że jest niewinna.

## TRZY

Caroline zatrzymała się przed drzwiami, starając się sobie wyobrazić młodą kobietę w środku. Channing Masters po cichu otworzył drzwi i Caroline weszła do jego domu.

Z rękami w kieszeniach stanęła w salonie i rozejrzała się.

Wszystko było takie jak kiedyś: stare meble, chińskie dywany. Nawet zapach tych wszystkich przedmiotów zdawał się pochodzić z innej epoki. We foyer stał zegar szafkowy, pochodzący z pięćdziesiątych lat ubiegłego stulecia. Na ścianach salonu wisiały olejne obrazy przedstawiające jej przodków w bohaterskich pozach: generał, senator, magnat drzewny, kościelny dostojnik o krzaczastych brwiach. Książki ojca nadal stały w jego biblioteczce: pierwsze wydania Kiplinga i Poego, pełne edycje dzieł Dickensa i Henry'ego Jamesa, listy Pliniusza. To tu zawsze jej czytał.

Co ona tutaj robi? Caroline powoli przeszła do jadalni.

Rodzina jadła wszystkie posiłki razem, przy tym samym politurowanym mahoniowym stole, na porcelanowej zastawie z przeszklonej komody. Kiedy Betty wyprowadziła się do Smith College, a matka Caroline umarła, jadali tutaj tylko we dwoje: Channing i jego młodsza córka. Rozmawiali o jego pracy, jej przyszłych studiach czy po prostu o bieżących wydarzeniach. Caroline pamiętała, że było to coś więcej niż konwersacja. Były to kursy wiedzy o polityce i ludzkiej naturze - o ich wzajemnych związkach na przestrzeni dziejów, zarówno w skali wielkiej historii - Jeffersona i ekonomii niewolnictwa, jak i małej - dotyczącej Resolve i rozgrywających się tutaj wydarzeń oraz mieszkających w nim ludzi. Wszystko to Channing poddawał swym przenikliwym i trafnym, lecz nie pozbawionym dobroduszości sądom.

Caroline zasmakowała w tym. Wszystko, czego wówczas pragnęła, to zostać prawnikiem - jak najdalej iść w ślady ojca. W przeddzień wyjazdu do szkoły z internatem w Dana Hall Caroline poczuła swą samotność i dostrzegła smutek w oczach ojca. Chwytnając go za rękaw, jeszcze raz zapytała, czy może zostać. Pokręcił głową.

- Tam zadbają o twoją edukację lepiej niż ja czy jakakolwiek szkoła w okolicy - rzekł. - Dzieci nie zawsze żyją tylko po to, żeby sprawiać przyjemność swoim rodzicom, a rodzice, żeby sprawiać przyjemność sobie...

Właśnie to spowodowało, że za wszelką cenę pragnęła, aby był z niej zadowolony.

Nagle zdała sobie sprawę, że ojciec stoi obok niej. Dom wydawał się opustoszały.

- Gdzie ona jest? - zapytała cicho.

- Jej pokój jest na górze.

Caroline nadal stała nieruchomo.

- Który?

- Twój.

Skierowała się ku schodom, czując na sobie spojrzenie ojca. Zatrzymała się, kładąc dłoń na poręczy.

Odwracając głowę, zajrzała przez drzwi do pokoju muzycznego i wyobraziła sobie matkę siedzącą przy pianinie, którego już tam nie było.

Nawet wówczas, kiedy Caroline nie wiedziała, że tak to się skończy, matka zdawała się tutaj nie pasować: nadpobudliwa, nieustraszona, zmienna i zbyt żywa jak na to miejsce. Caroline pamiętała ją planującą podróże, które nigdy nie doszły do skutku, rodziców sprzeczącą się o politykę. Nicole pałała niepojętym podziwem dla Adlaia Stevensona, a potem Johna Kennedy'ego, których obejmowała klątwa jej męża republikanina. Caroline - wówczas zaledwie nastoletnia - odbierała ten konflikt jako metaforę konfliktu zbyt głębokiego, by móc o nim rozmawiać; pragnienia matki, by odejść od tego życia, które nigdy nie było naprawdę jej.

Zaczęła zauważać wieczory, kiedy ojciec wydawał się coraz bardziej odległy, a matka wymykała się do saloniku muzycznego, by grać tam na lakierowanym fortepianie. Śpiewała po francusku piosenki Edith Piaf. Nigdy nie pomyślała, by nauczyć tego języka Caroline. Nie znał go też nikt inny w domu.

Lecz nawet ów język nie był, jak zrozumiała któregoś dnia Caroline, własnym językiem matki. Historia pozostawiła ją bez rodziny, kraju czy domu - poza tym jednym.

W ustach matki nawet *La Vie en Rose* brzmiało ironicznie. Z zamarłą w bezruchu głową i wpółzamkniętymi oczami Nicole Dessaliers Masters śpiewała z bladym półuśmiechem...

Odwracając się od drzwi saloniku muzycznego, Caroline powoli ruszyła po schodach do pokoju Brett.

Brett siedziała zwrócona twarzą do okna. Wchodząca Caroline dostrzegła najpierw tylko jej plecy. Smukła sylwetka, ciemne kręcone włosy - takie były jej pierwsze spostrzeżenia. Delikatne policzki, regularne usta, szczupła twarz i wysokie czoło. Wyglądało na to, że Brett jest więcej niż ładna. Caroline zauważyła ciemne placki pod oczami - oznakę nie przespanych nocy. Lecz same oczy - zielone i niezwykle żywe - patrzyły na nią z przedziwną, niewytłumaczalną bezpośredniością.

- Ty jesteś Caroline? Moja ciotka?

Jej głos był łagodny, choć wyraźny. Przez moment Caroline wsłuchiwała się w jego brzmienie.

- Tak, jestem Caroline. - Zmusiła się, by przestać patrzeć na Brett i rozejrzeć się po pokoju, którego lekki nieład był typowy dla młodej kobiety. Czerwone spodnie od kostiumu wisały przerzucone przez krzesło. Tu i ówdzie leżało parę płyt Tori Amos, a na szczycie sterty książek w

papierowych okładkach spoczywała *Backlash* Susan Faludi. Dopiero po chwili zdołała powiedzieć: - Inaczej pamiętam to miejsce.

- To był twój pokój, prawda?

Caroline pomyślała, że istotnie należał do niej od dnia narodzin aż po dzień, w którym się stąd wyprowadziła. Gdy była dzieckiem, ojciec co wieczór wspinał się tutaj po schodach, by na dobranoc pocałować ją w czoło. Prócz tego były jeszcze owe niezwykle i bezcenne, lecz tak rzadkie wieczory, kiedy Nicole Masters jej czytała. Oddech matki pachniał słabo bordeaux, jej żywa zaś, akcentowana z francuska angielszczyzna nadawała każdej historii posmak egzotyki. Gasząc światło, Nicole pochylała się nad Caroline...

Caroline przyłapała się na tym, że nadal patrzy na Brett.

- Co? - zapytała Brett.

- Nic. Tylko głupie wspomnienia - Caroline starała się sklecić odpowiedź. - Mój pierwszy akt dziecięcego nieposłuszeństwa. Nocami słuchałam transmisji z meczów Red Sox. Kiedy matka lub ojciec wyłączyli światło i radio, ja chowałam przenośne radyjko pod kołdrą i słuchałam, stale czujna, żeby mnie nikt nie przyłapał. - Caroline uśmiechnęła się blado. - Teraz jestem pewna, że on i tak o tym wiedział. Może nawet był z tego zadowolony.

W oczach Brett pojawił się słaby, lecz przyjazny błysk zrozumienia.

- Dziadek zabierał mnie do Fenway Park na mecze Red Sox. - Szybka wymiana spojrzeń. - Ciebie też?

Caroline kiwnęła głową. I wtedy przypomniała sobie - tak niespodziewanie, że sama była tym przerażona - po co tutaj przyjechała.

Przeszedłszy pokój, siadła o metr od Brett. To, co wydarzyło się potem, zaskoczyło ją. Przez niemal pół swojego życia siadała w takiej odległości od klientów oskarżonych o gwałty, znęcanie się nad dziećmi czy okrutne morderstwa. Seryjny zabójca, o którym opowiadała ojcu - mężczyzna o ospowatej twarzy i krecich oczkach - mógł ją zgwałcić i zabić dla czystej przyjemności, gdyby nie dzieliła ich pleksiglasowa szyba. Caroline nauczyła się więc panować nad własną wyobraźnią. Jednak gdy dostrzegła wbite w siebie, wypełnione nadzieją i lękiem oczy Brett, wyobraziła sobie krew na jej palcach.

- Wybacz, jeśli będę teraz bardziej prawnikiem niż ciotką. Mamy sporo do omówienia.

Brett wydała się nagle spięta i przygnębiona. Caroline odrzuciła współczucie. Zbyt dobrze pamiętała, jak łatwo pomylić na twarzy klienta cierpienie z powodu niesłusznego oskarżenia z przerażeniem własną winą.

- W zasadzie - zaczęła - najbardziej interesuje mnie to, co powiedziałaś policji. To są już fakty dokonane.

Brett oparła się wygodniej. Jej głos był napięty.

- Powiedziałam im prawdę. Teraz mówię ją tobie.

Caroline zdała sobie sprawę, że Brett błyskawicznie przeszła na teren Caroline Masters - obrońcy. Że Brett jest winna. Że będzie kłamała. Że jej zadaniem nie będzie dociekanie prawdy, lecz uchronienie Brett przed wyrokiem.

- Prawda często bywa użyteczna - rzekła łagodnie. - Lecz z tego, co powiedziałaś policji, nie da się wycofać. A mieli chyba do ciebie jakieś pytania.

Brett przełknęła ślinę. Wpatrując się w nią, Caroline nagle wyobraziła sobie przerażone i samotne dziecko kryjące się pod powierzchownością kobiety. Kiedy milczała, Brett dotknęła jej dłoni.

- Uwierz mi, proszę.

Caroline spojrzała na palce Brett. Na tle jej opalonych dłoni wydały się białe. Poczowała, jak delikatny jest ich dotyk.

Pod wpływem impulsu, wbrew wielu latom doświadczenia, skinęła głową.

- W porządku. Opowiedz mi wszystko.

Gdy Brett skończyła, był już zmierzch. Cichy pokój tonął w szarym świetle, które wkrótce miało ustąpić miejsca ciemności. Caroline była wykończona.

- Czy ktokolwiek inny wiedział, że będziesz nad jeziorem? - zapytała.

- Nie, nikt. - Brett drążyła swoją pamięć. Jej odpowiedzi przychodziły powoli. - To było spotkanie umówione naprędce, żebyśmy mogli sami porozmawiać.

- Bałaś się, że będziesz podsłuchiwana?

Krótkie skinienie.

- Myślę, że słyszałam, jak ktoś podnosi słuchawkę drugiego aparatu. Ale może mi się tylko zdawało.

- Ktoś?

- Moja matka - głos Brett był bezdźwięczny.

- A nie ojciec? Albo dziadek?

Brett pokręciła głową.

- Ojca nie było w domu. A dziadek ma w swoim pokoju osobną linię. Poza tym nie robi takich rzeczy.



Caroline przez chwilę milczała.

- Ale twoja matka tak?

- To przez Jamesa. - Brett odwróciła się w kierunku okna. - Matka go nienawdziła. Wiedziała, że sprzedaje narkotyki - dodała zdławionym głosem.

- Powiedziałaś jej?

- Oczywiście, że nie. Ale do taty doszły pogłoski z posterunku policji w kampusie. - Brett przerwała, spoglądając na Caroline. - Wiesz, że on tam uczy.

Oczywiście, pomyślała Caroline. To właśnie tak ich tutaj zwabił: posada dla zmagającego się z problemami finansowymi doktoranta, dom dla jego rodziny, wnuczka zaś miała wypełnić pustkę w jego życiu. Za to wszystko Larry musiał jedynie utracić siebie samego.

- Więc twój ojciec musiał mieć o Jamesie wyrobione zdanie - powiedziała.

- Nie tak jak mama. - Złość na twarzy Brett pojawiła się i zniknęła. Dziewczyna była nawet na to zbyt zmęczona. - Mama pragnęła umieścić mnie w doskonałym świecie. Tak jak gdyby w ogóle to było możliwe! Bała się każdego, kto mógł temu zagrozić. Nawet teraz...

Caroline oparła się wygodniej. W tych kilku słowach Brett opisała jej Betty taką, jaką znała. Przez jej umysł przebiegło szybkie, lecz gorzkie wspomnienie wydarzeń sprzed dwudziestu lat. Słumiła je jednak. Powinna sobie radzić ze swoją Betty tu i teraz. Caroline prawnik miała więcej praktycznych powodów, by odciągnąć uwagę Brett od jej matki.

- A ten dealer, który groził Jamesowi? - zapytała. - Wiesz, kto to jest albo jak go znaleźć?

Brett pokręciła głową.

- James wiedział, że nienawidzę tego, co robi. - Na twarzy Brett pojawił się wyraz niezachwianej lojalności. - Mówił, że chce z tym skończyć, że musiał to robić, bo nie miał niczego innego. Bóg mi świadkiem, że chciałam mu wierzyć. Wierzyć w niego.

Caroline w milczeniu porządkowała swoje myśli. Sposób, w jaki Brett mówiła o Jamesie, nie sugerował, by mogła go zamordować. Jeśli, rzecz jasna, nie jest utalentowaną aktorką.

- Czy James miał jakiegoś współlokatora? - zapytała. - Albo przyjaciół, którzy mogliby znać tego dealera?

- Żadnych współlokatorów. James lubił samotność - nie licząc przebywania ze mną.

- Sąsiedzi?

Brett zawahała się.

- Spotkałam faceta, który nazywał się Daniel Suarez - powiedziała powoli. - Wyglądał na dobrego człowieka. Ale nie sądzę, żeby był blisko z Jamesem.

- A kobiety?

Brett spłoszyła się, a potem obronnie zamknęła w sobie.

- Byliśmy razem - odpowiedziała z naciskiem.

Caroline przerwała, zastanawiając się, co dziewczynę tak zaniepokoiło. Jakieś wątpliwości? Problemy z Jamesem? Chęć beatyfikacji nieżyjącego kochanka? A może była to złość, że Caroline w ogóle śmie pytać o związek, który został zrujnowany przez jego śmierć, o którą policja podejrzewała właśnie ją.

- Żadnych przyjaciółek - powtórzyła Caroline. - Tak jak powiedziałaś policji?

- Przynajmniej żadnych, o których bym wiedziała. - Brett skrzyżowała ręce na piersiach. - Musisz wiedzieć, jaki był przystojny. Nie wiem, co robił, zanim się poznaliśmy. Ani kto mógł się nim interesować - za jego wiedzą czy bez niej.

Caroline uniosła głowę, kładąc palec na ustach i wpatrując się w twarz Brett.

- Czy jest cokolwiek, co pozwoliłoby policji sądzić, że go zabiłaś? - zapytała cicho.

Brett z szeroko otwartymi oczami powoli uniosła się z krzesła. Jej głos drżał ze zdenerwowania i złości.

- Czy wiesz, ciociu Caroline, jak James wyglądał, kiedy go znalazłam? Bo ja to pamiętam aż zbyt dobrze. - Łzy cisnęły się do jej oczu. - Poderżnęli mu gardło. Dusił się własną krwią. Kiedy uniosłam jego głowę, prawie oderwała się od tułowia, a krew trysnęła na moją twarz... - Brett przerwała na moment, by spojrzeć na Caroline. - Kochałam go mimo jego wad. Jeśli nie wierzysz w to albo nie potrafisz tego uszanować, nie chcę, żebyś tu została.

Caroline starała się zachować spokój.

- Pytałam cię tylko - powiedziała spokojnie - czy policja ma powody, żeby podejrzewać cię o morderstwo.

Brett stała obok, sam na sam ze swym gniewem. Caroline czekała. Każde słowo lub gest mogłyby sprawić, że dziewczyna odsunie się od niej. A tego nie chciała tak bardzo, że sama była tym zaskoczona.

Brett uniosła głowę.

- Nie ma takiego powodu.

- W takim razie siądź, proszę.

Po chwili Brett siadła. Mimo wyczerpania patrzyła teraz na Caroline z nową determinacją.

Skronie Caroline pulsowały.

- Musimy pomówić o paru rzeczach, które nie będą przyjemne ani dla ciebie, ani dla mnie.  
Począwszy od mojego kolejnego pytania.

Brett wzruszyła ramionami. Coś w tym geście sprawiło, że serce Caroline zbliżyło się do Brett - nawet jeśli ciągle zastanawiała się, na ile gwałtowność reakcji tej dziewczyny, zmienność nastrojów i nagłe przebłycki temperamentu wynikają z poczucia winy, a na ile ze stresu i braku snu.

- Jak opisałaś ten strumień krwi? - zapytała Caroline cicho.

Oczy Brett znowu się poszerzyły, jednak ich wyraz się nie zmienił.

- To nie był strumień.

- Ale na zdjęciach, które zrobili, widać ślady krwi na twojej twarzy, szyi i torsie.

Wyraz twarzy Brett pozostawał niezmienny.

- To były kropelki.

Caroline odchyliła się.

- A więc ten strumień - coś w rodzaju sprayu - nie był silny?

- Nie.

Caroline oczekiwała, że Brett zapyta, jakie to ma znaczenie. Lecz dziewczynę dławiła własna złość. Nawet jej oczy nie wyrażały ciekawości. Caroline wstała i włączyła lampę stojącą obok na stoliku. Zmrok zapadał szybko. Jak gdyby przebudzona ruchem Caroline, Brett odwróciła się do okna, wpatrując się w ogarniające okolice ciemności.

- Jak dużo wina wypiałś tamtej nocy? - zapytała Caroline.

Lekkie wzruszenie ramion.

- Opróżniliśmy jedną butelkę.

- Zanim wypaliłaś skręta?

- Tak. - Brett nadal patrzyła w okno.

- Ile razy przedtem paliłaś skręty?

- W całym życiu?

- Tak.

- Pięć czy sześć.

Caroline lekko się uśmiechnęła.

- Jak możesz słuchać muzyki?

Znowu wzruszenie ramion. Profil jej twarzy stanowił teraz kompozycję światła i cieni. Wydawała się bardzo odległa, ukryta za niewidzialną szybą.

- Po skrócie gorzko mi w gardle i tracę panowanie nad sobą. Nie lubię tego - odezwała się po jakimś czasie.

- Czy możesz opisać, jak zadziałał na ciebie wtedy?

Brett jakby zagłębiała do swojego wnętrza i rozważała jakieś wątpliwości.

- Trudno to opisać - zaczęła, a jej oczy zwęziły się w wyrazie koncentracji. - Widziałaś kiedyś niemy film? To było coś w tym rodzaju. Błyskające obrazy rozdzielone czarnymi przerwami. Nie pamiętam żadnych dźwięków...

- A co pamiętasz z aresztowania?

Brett zamknęła oczy.

- Nóż.

- Gdzie był?

- Na siedzeniu.

- Policjant mógł go tam zobaczyć?

- Tak.

Caroline pochyliła się.

- Czy policjant, który cię aresztował, ostrzegł cię i udzielił ci informacji o twoich prawach? Że masz prawo do adwokata, że możesz milczeć, że twoje zeznania mogą być użyte przeciwko tobie?

Brett zmarszczyła brwi.

- Chyba nie... Pamiętam tylko, że gapił się na nóż. Nic poza tym.

- Dlaczego później powiedziałaś im, żeby szukali Jamesa nad jeziorem?

- Było tak, jak mówiłam. Facet, który mnie zabrał, mówił, że ktoś może być ranny i potrzebować pomocy. Ciągle miałam przed oczami umierającego Jamesa. Byłam taka roztrzęsiona. - Brett pobladała. - Wiem, jak to brzmi...

- Czy wtedy udzielił ci ostrzeżeń?

Brett nerwowo przełykała ślinę. Caroline nie była pewna, czy dziewczyna usłyszała pytanie. Wtedy Brett powiedziała:

- Nie pamiętam, żeby udzielał mi ostrzeżeń. Później - tak. Kiedy było ich dwóch i mieli magnetofon.

Caroline milczała. Wyglądała na zamyśloną. Brett zwróciła się do niej, jak gdyby obudzona tą ciszą.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

W jej głosie pobrzmiwało raczej zmęczenie niż ciekawość. Zupełnie tak, jakby utraciła wszystko i żadne nowe wydarzenie nie mogło mieć dla niej znaczenia.

Przez chwilę Caroline zastanawiała się, jak wiele powinna jej powiedzieć. Brett była inteligentna, a pod jej rozbudzonymi emocjami kryła się twarda i odporna osobowość.

- To kwestia prawidłowości procedur stosowanych przez policję - odpowiedziała Caroline. - Pierwszy policjant powinien chyba udzielić ci ostrzeżeń, zanim powiedziałaś mu, gdzie mają szukać Jamesa. A to oznacza, że przyzwoity prawnik mógłby dowieść, że twoich zeznań nie można uznać za materiał dowodowy...

Brett nagle uniosła się.

- Ale ja chcę opowiedzieć, co się stało...

- A skąd możesz wiedzieć, co właściwie się stało?

Brett wyglądała na zdezorientowaną.

- Co masz na myśli?

- Narkotyki i alkohol płątają figle pamięci. Powstają luki, których być może nigdy nie będziesz mogła wypełnić. W ten sposób ludzie myślą to, co rzeczywiście się wydarzyło, z tym, co miałyby się wydarzyć zgodnie z ich pragnieniami, czy też z tym, co mieli nadzieję, że się stało. Wierzą, że to logiczne.

Brett zaczęła przechadzać się po mrocznej sypialni.

- To brzmi tak, jak gdybyś nie chciała, żebym cokolwiek pamiętała.

- Nie, to tylko ostrzeżenie - odrzekła Caroline z chłodnym naciskiem - żeby nie przypominać sobie rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły. Bo mogą cię za nie powiesić.

- Jak to?! - wybuchła Brett.

Caroline wstała, podeszła do Brett i stanęła z nią twarzą w twarz. Delikatnie położyła dłonie na jej ramionach. Jest taka krucha, pomyślała. Spojrzenie dziewczyny wyrażało zmęczenie, lecz i zaskoczenie. Coś w twarzy Caroline trzymało ją tutaj.

- Wiem, Brett, że mnie nie znasz - rzekła Caroline cicho. - Ale chcę, żebyś posłuchała mnie jeszcze przez kilka minut niezależnie od tego, jak trudne to będzie. Zajmuję się takimi sprawami od

czasów, kiedy byłaś małą dziewczynką. A ktokolwiek zajmie się tą sprawą - jeśli w ogóle jest to sprawa - musi mieć pewność, że rozumiesz jasno.

- Więc ty się tym nie zajmiesz? - Brett wlepiła w nią oczy.

- Nie powinnam.

Teraz twarz Brett wyrażała przerażenie i opuszczenie. Caroline chwyciła ją mocniej za ramiona.

- Jesteśmy spokrewnione. Myślę, że uczyniłoby to wszystko trudniejszym, niż możemy sobie wyobrazić. Dla nas obu.

Brett odwróciła się. Caroline delikatnie odprowadziła ją do krzesła. Sama siadła naprzeciw niej. Brett milczała, usiłując zachować godny spokój.

Niech go szlag trafi, myślała Caroline. Niech go szlag! Ból głowy przerodził się w zawroty. Zdała sobie sprawę, że nie jadła od czasu, kiedy ojciec ją tutaj wezwał.

- Pozwól, że wyjaśnię ci, co może zrobić policja - powiedziała wolno. - Bo to już wiem. W zasadzie mają możliwość postawienia dwóch zarzutów. Pierwszy z nich to morderstwo z premedytacją. Tu muszą założyć, że planowałaś zamordować Jamesa dużo wcześniej. Dlatego zabrałaś go nad jezioro, w odludne miejsce. Znałaś je, a on nie. Zabrałaś nóż, mówiąc mu, że to do chleba i sera. Zachęcałaś go do picia wina, a potem do palenia trawki, żeby spowolnić jego reakcje. To ty siedziałaś na nim, kiedy się kochaliście...

Usta Brett były wpółotwarte. Wyglądała na wstrząśniętą. Caroline zmusiła się, by mówić dalej.

- Nie słyszałaś tam nikogo obcego. Historia z dealerem narkotyków jest mało wiarygodna. Wcale nie poszłaś pływać. - Caroline przerwała, zaczerpnęła tchu i dokończyła zdanie: - Po prostu poderżnęłaś mu gardło na chwilę, zanim osiągnął orgazm...

Brett pobladła. Jej oczy były zamknięte.

- Być może - ciągnęła Caroline - miałaś nadzieję, że nie pochłapie cię jego krew. Dlatego wymyśliłaś tę historię z próbami reanimacji człowieka z na wpół odciętą głową. Ale planowałaś, żeby wyglądało to na zabójstwo na tle rabunkowym. Dlatego zabrałaś ze sobą portfel i nóż, chcąc się pozbyć jednego i drugiego. Jednak byłaś wstrząśnięta i przerażona tym, co zrobiłaś. W panice pobięłaś do dżipa, chcąc uciec stamtąd jak najdalej. Ale ujechałaś tylko kawałek, bo musiałaś się zatrzymać, żeby zwymiotować...

- Nie. - Brett siedziała sztywno na krześle. - To nieprawda.

Caroline zmusiła się, by dokończyć.

- Złapano cię z nożem i portfelem, całą we krwi. Musiałaś wymyślić jakąś nową historię, a w tym stanie nic nie przychodziło ci do głowy. Więc udawałaś, że jesteś tak przerażona, żeby wzięli cię za ofiarę, nie za mordercę. Następne osiem godzin spędziłaś, starając się wykombinować jakieś alibi, które zgadzałyby się z tymi faktami. I najlepsze, co zdołałaś wymyślić, to ta historia z narkotykowym dealerem, który was śledził, żeby w końcu poderżnąć Jamesowi gardło za parę tysięcy dolarów.

Brett pochylała się, podkurczyła nogi i objęła je ramionami.

- Czy jesteś całkowicie pewna, że to ty zabrałaś stamtąd portfel? Może jednak James zostawił go w samochodzie? Tak byłoby chyba lepiej. Byłoby też lepiej, gdyby policja nie zebrała od ciebie trzech różnych zeznań: „nic się nie stało”, „on może być nad jeziorem” i „musiał go zamordować narkotykowy dealer”. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby nie stwierdzili, że dojdzie do ostatniej wersji zajęło ci aż osiem godzin. Dlatego mam wielką nadzieję, że pierwszy policjant nie udzielił ci ostrzeżenia. - Caroline przerwała, by zaakcentować kolejne zdanie. - Bo jeśli on to spieprzył, a ty będziesz miała wielkie szczęście, to nie będą mogli uznać za wiążące również dowodów, które uzyskali po tym, jak posłałaś ich nad jezioro. Żadnych śladów krwi, żadnych próbek pobranych spod paznokci. Krótko mówiąc - żadnych dowodów.

Brett milczała w bezruchu z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Czy słuchasz mnie? - zapytała cicho Caroline.

Brett powoli podniosła na nią wzrok.

- Miałabyś wtedy czyste konto, a wszystko, czym dysponowałyby policja, to ty, nóż i ciało. To by im nie wystarczyło. A jeśli nawet Jackson Watts myśli inaczej, to wówczas mogłabyś zdecydować się zeznawać, wiedząc, że cokolwiek powiedziałaś wcześniej, nie może być użyte przeciwko tobie. To właśnie w najgorszym razie pragnęłabym osiągnąć.

- To tak, jakbyś mnie oskarżała. - Brett zaczęła dochodzić do siebie.

- Nie oskarżam. Tylko pokazuję, jak to może być postrzegane.

- Nie miałam powodów, żeby to zrobić - Brett podniosła głos.

- Brak motywów to istotnie problem w wypadku tej wersji. - Caroline uśmiechnęła się blado. - I może dzięki temu nie będzie ona nigdy przedmiotem procesu. Pomówmy więc o tej drugiej. - Głos Caroline przybrał inny, cichszy i cieplejszy ton. - Czy dasz radę jeszcze przez chwilę? To ważne.

Pomogło to Brett zebrać się w sobie.

- Chyba muszę - wymamrotała.

Caroline usiadła głębiej na swoim krześle.

- Wersja druga to nieumyślne zabójstwo. Pod pewnymi względami może być tobie jeszcze trudniej się z nią pogodzić.

Brett milczała, wpatrując się w nią.

- To bardzo proste - ciągnęła Caroline ściszym głosem. - Nigdy nie planowałaś go zabić. Upiłaś się, byłaś zamoczona. Posprzeczaliście się o coś. Straciłaś panowanie nad sobą. Nie działałaś racjonalnie. W jakimś surrealistycznym impulsie po prostu poderżnęłaś mu gardło, zanim sama zorientowałaś się, co robisz.

Oczy Brett znówu były szeroko otwarte.

- Możesz nawet nie pamiętać tego, że go zabiłaś - dokończyła łagodnie Caroline. - Albo po prostu nie chcesz tego pamiętać i dlatego opowiedziałaś policji historię, w którą sama tak bardzo pragnęłabyś wierzyć.

Brett odwróciła wzrok.

- Nigdy się nie kłóciliśmy...

- Nóż... - przerwała jej Caroline.

Powoli, z oporem Brett odwróciła się do niej.

- Co z tym nożem?

- Jest niezwykle ważny. Jeśli będą w stanie stwierdzić, że należał do Jamesa lub do ciebie, to wersja wydarzeń, którą teraz przedstawiłam, przestanie być teorią oskarżenia, ale możliwe, że stanie się twoją najlepszą obroną przed oskarżeniem o morderstwo pierwszego stopnia. - Głos Caroline przycichł. Wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia Brett. - Zanim cokolwiek powiesz, musisz wiedzieć o czymś jeszcze. Prosiłaś, żebym ci uwierzyła - jej głos stał się jeszcze cichszy. - Nie obchodzi mnie, co się wydarzyło. Zależy mi tylko na tym, żeby tobie nie stała się krzywda.

Brett wyprostowała się, patrząc prosto w oczy Caroline. Równie delikatnym głosem odrzekła:

- Nie miałam powodu, żeby go zabić, i nigdy nie widziałam tego noża. Jestem niewinna.



## CZTERY

Zmęczona Caroline była zupełnie nie przygotowana na spotkanie z Larrym, który siedział za stołem w jadalni i odwrócił się w jej stronę, kiedy przechodziła. Gdy zamarł w świetle świec, za jego zmęczonym spojrzeniem pięćdziesięciolatka ujrzała owego młodego męża siostry - łagodnego i delikatnego człowieka, którego kiedyś znała. Nadal był szczupły, choć już posiwiiał. Sympatyczny wyraz jego twarzy znacznie mniej przywodził na myśl tamtego ironizującego doktoranta, który wiedział, że wybór literatury angielskiej był bezpłciowy, lecz miał nadzieję, że zostanie jakoś nagrodzony za własną głupotę, dostając pracę, której tak bardzo potrzebował, i dziecko, którego tak pragnęła Betty.

- Caro? - rzekł łagodnie.

Caroline ledwie skinęła głową. Właściwie nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Larry z wahaniem zrobił krok w jej kierunku, jak gdyby chciał się upewnić co do jej obecności. Caroline nie pomogła mu w tym. Zatrzymał się, patrząc jej w twarz tak długo, aż chyba odczytał, co jest na niej wypisane.

- Dlaczego? - zapytała Caroline grobowym głosem. - Dlaczego ją w ogóle tutaj przywiozłeś?

Larry nie drgnął. Caroline wiedziała, że przygotował się na to pytanie.

- Teraz ważne jest dla mnie tylko to, co dzieje się z nią w tej chwili.

W jego obronie Caroline wyczuła ton wyrzutu, jak gdyby jej żyjąca tutaj rodzina musiała płacić za to jakąś straszną cenę, o której Caroline nawet nie mogła mieć pojęcia.

- Tak - rzekła spokojnie. - Bardzo wam współczuję.

Larry obejrzał się szybko przez ramię.

- Caroline, proszę... - szepnął.

- Prawdę mówiąc, Larry, to nie wiem, co się z nią dzieje. Wiem tylko, że jest przerażona, że jest inteligentna i że usiłuje sobie jakoś z tym wszystkim poradzić.

Caroline nie zdawała sobie sprawy z tego, ile kosztuje ją walka o tłumienie gwałtownych uczuć. Gdzieś w głębi była już tą walką kompletnie wycieńczona. Larry obserwował ją przez moment.

- Czekamy na kolację. - W jego głosie pobrzmiwały ciche przeprosiny. - Jesteś blada, Caro. Dobrze by było, żebyś coś zjadła.

Caroline ze zmęczenia i głodu miała pustkę w głowie. Tak, pomyślała, to Larry, którego pamiętam: zawsze troskliwy, zawsze skłonny do empatii. Ten, przed którym otwierałam serce, kiedy nie mogłam się zwrócić do własnej rodziny.

Pokręciła głową.

- Tyle się dzisiaj wydarzyło...

Jak gdyby utwierdzony jej słowami delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

- Zostań, proszę - powiedział. - Przygotowaliśmy dla ciebie pokój.

Caroline spojrzała mu w oczy. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że obserwuje ich stojąca w kuchennych drzwiach Betty. Wzrok Larry'ego podążył za spojrzeniem Caroline. Dla Caroline twarz Betty zawsze była nieprzeniknioną maską.

Larry podszedł do żony.

- Pomogę przyrządzić makaron. - Wyraźnie wysiłał się, by jego głos brzmiał normalnie. - Będzie nas tylko troje.

Umysł Caroline wypełniły wizje pełne czarnego humoru: oto rodzinka rodem z telewizyjnych oper mydlanych. Wyobraziła sobie Betty komentującą cierpko, że ojciec będzie dzisiaj jadł w swoim pokoju, bo kiedy widzi Caroline, bywa nazbyt pobudzony. Nagle przyłapała się na tym, że patrzy na Betty z półuśmiechem.

Betty nieco się wyprostowała. Caroline kątem oka dostrzegła, że Larry rzucił żonie upominające spojrzenie i chyba wypowiedział parę niesłyszalnych słów. Oboje zniknęli za kuchennymi drzwiami.

Caroline z przyzwyczajenia zajęła przy stole miejsce, które ongiś należało do niej.

Jedli przy świecach, co było w ich domu tradycją od pokoleń.

Nastrój tej kolacji płątał figle pamięci Caroline. Światło tańczące na kryształowym świeczniku należało do jakiegoś innego wieczoru, poświata zaś w lustrze do czasów jej dzieciństwa. Patrząc na siedzącą naprzeciw niej siostrę, Caroline przypominała sobie zasiadającego u szczytu stołu ojca, Betty i siebie - twarz w twarz, i Nicole Masters, drobną, mroczną i piękną, siedzącą naprzeciwko swojego męża. Teraz znacznie bardziej uderzyła ją samotność tamtej Betty, siedzącej obok swojej obojętnej macochy i przyrodniej siostry, która była ulubienicą ojca. Wyobraziła sobie, że oczy Betty - tak jak wówczas - nadal pełne są zazdrości i zagubienia dziewczyny, która, sama nie wiedząc, jak to się stało, utraciła matkę i prawo pierwszeństwa. Jednak teraz na twarzy Betty malował się tylko koszt jej macierzyństwa.

Ciszę przerwał Larry.

- Dzięki, że przyjechałaś, Caro - rzekł cicho.

Caroline odwróciła się i patrzyła na niego tak długo, aż odwrócił wzrok. Wyobraziła sobie go mówiącego „przepraszam”.

- Wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo - wymamrotał, jak gdyby właśnie to miał na myśli.

Wiem, pomyślała jednak Caroline, że żadne z was nie chce mnie tutaj. Twarz siostry była nieprzejednana. Nie zrobiła nic, co pozwoliłoby sądzić, że przyłącza się do uprzejmej wdzięczności Larry’ego.

Caroline odłożyła widelec.

- Może najlepiej byłoby, gdybyśmy porozmawiali o tym, co się wydarzyło.

Betty milczała.

- Nie było mnie tutaj. Wyjechałem na kemping do Vermont - odezwał się w końcu Larry. Rzucił Betty szybkie spojrzenie. - Na pstrągi. Znajomy z college’u zarezerwował dla mnie miejsce.

- Byłeś sam?

Wolno przytaknął, po czym pokręcił głową.

- Nigdy nie przypuszczałem, że w czasie mojej nieobecności coś takiego może się wydarzyć.

Caroline widziała, że usta Betty są nadal zaciśnięte. Sącząc czerwone wino, obserwowała ją znad kieliszka.

- Ale ty tutaj byłaś - powiedziała.

Betty niemal niezauważalnie skinęła. Caroline zdała sobie sprawę, że gnębi ją coś więcej niż tylko obecność przyrodniej siostry. Larry i Betty wyglądali na kompletnie wycieńczonych wydarzeniami, z którymi do tej pory nie potrafili się pogodzić. Gdy Larry wyciągnął rękę, by dotknąć dłoni żony, ta nie zauważyła tego.

- Kto jeszcze tutaj był? - zapytała Caroline.

Betty patrzyła na rękę Larry’ego niczym na jakiś obcy obiekt.

- Tylko ojciec. Na górze.

- O której Brett wyszła z domu?

- Myślę, że około ósmej. - W głosie Betty zabrzmiała słaba nuta zniecierpliwienia. - Nie pamiętam dokładnie.

- I żadne z was nie wychodziło? Ani ty, ani ojciec?

- Nie.

- Czy wiedziałaś, dokąd idzie Brett?

- Oczywiście, że nie. - Betty ostro spojrzała na Caroline.

- Oczywiście, że nie? - powtórzyła Caroline.

Dłoń Larry'ego zacisnęła się na ręce Betty.

- Były tarcia - przerwał - co do związku Brett z Jamesem. Betty cierpiała z tego powodu.

- Co masz na myśli?

- Kłóciłyśmy się - powiedziała beznamiętnie Betty. - Chodziło o tego chłopaka i narkotyki.

Domyślam się, że wiesz, o co mi chodzi. Poszło o niego i tyle. - Betty odchyliła się na krześle, obserwując Caroline z nowym wyrazem szczerości na twarzy. Jakby pytała: „Czy przyjechałaś tutaj, żeby mnie osądzać?” - Trudno być rodzicem, Caroline - rzekła z naciskiem.

Caroline zauważyła, jak Larry ściska teraz dłoń Betty w geście wsparcia.

- Rozumiem - powiedziała Caroline najbardziej oschłym tonem, na jaki mogła się zdobyć.

Betty lekko się zaczerwieniła.

- James Case był dokładnie tym, kogo Brett nie było trzeba. Nieodpowiedzialny egoista. Widział w niej tylko okazję, którą można wykorzystać. Klęskę miał wypisaną na twarzy. Porażka i złamane serce - oto co znaczył. Nie chciałam, żeby ją to spotkało, i nie mogłam na to patrzeć. - Betty powoli, lecz zdecydowanym ruchem wysunęła swą rękę spod dłoni męża. - Brett widzi w ludziach tylko to, co dobre. I to znacznie więcej, niż powinna. Zamiast młodego próżniaka, który aspirował do miana artysty, widziała w nim biednego chłopca, który przeszedł ciężkie dzieciństwo i który mógł się poprawić, jeśli tylko będzie się dla niego wystarczająco cierpliwym - mówiła, tłumiąc rozgorączkowanie. - Żądał od niej, żeby porzuciła wszystko... - Betty przerwała raptownie, jakby sama przeraziła się własnymi słowami.

Wystraszone spojrzenie Larry'ego przeniosło się z Betty na Caroline. Lecz ta milczała, a jej twarz pozostała bez wyrazu.

Betty spojrzała wprost na nią, odzyskując dumną pozę.

- Powiedziałam jej, że lepiej niech ma nadzieję, że on nigdy nie odniesie sukcesu, bo wówczas z pewnością ją opuści. Przewracając przedtem do góry nogami całe jej życie.

Caroline czuła, że coś ją dusi w gardle. Cicho zapytała:

- A co na to Brett?

Betty patrzyła na nią badawczo.

- Że jest wystarczająco dorosła, żeby decydować, co dla niej najlepsze. I że zrobi, co zechce - głos Betty nie zdradzał teraz żadnych emocji. - Ona uważa, że jestem nadopiekuńczą matką, która nie

pozwała córce na samodzielność, bo ona jest dla niej wszystkim, co posiada w swej wąskiej i ograniczonej egzystencji. Ja natomiast wiem, że Brett nie potrafi jeszcze dostrzec subtelnej granicy pomiędzy romantyzmem i autodestrukcją.

Caroline obdarzyła ją długim chłodnym spojrzeniem.

- Czy rzeczywiście uważasz, że ona nie rozumie jeszcze w pełni siebie samej? - zapytała.

Ich spojrzenia spotkały się.

- A czy ty uważasz, że ona jest mordercą?

Nagle Caroline straciła wewnętrzną równowagę.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Ale to w końcu nie ja ją wychowywałam. - Usłyszała głośne westchnięcie Larry'ego. Usta Betty znowu były otwarte. Caroline ciągnęła spokojnym tonem, który zupełnie nie odpowiadał jej wewnętrznemu stanowi. - Ponieważ robiłaś to ty, więc mogłabyś mi powiedzieć, czy podsłuchiwałaś kiedyś jej rozmowy telefoniczne?

- Dlaczego? Dlaczego o to pytasz? - Betty zeszywniała.

- Ona uważa, że tak. A konkretnie tamtego wieczoru, kiedy umówiła się z Jamesem nad jeziorem Heron.

Betty była blada jak kartka papieru.

- Dlaczego tak sądzi?

- Słyszała, że ktoś podnosi słuchawkę drugiego aparatu.

Betty położyła palce na powiekach.

- Nie... - powiedziała.

- Nie?

- Nie. - Betty skrzyżowała ramiona na piersiach, wbijając wzrok w połyskujący blat stołu. - Dlaczego miałoby to mieć teraz jakieś znaczenie dla ciebie albo dla niej?

- Dla Brett? Bo dwudziestodwulatki nie lubią być szpiegowane. Dla mnie - bo zastanawiam się, czy powiedziałaś o tym jeszcze komuś.

Betty zamarła. Larry znowu położył dłoń na ramieniu Caroline.

- Po co to wszystko? O co ci chodzi? O przeszłość czy teraźniejszość? - rzekł głosem, w którym lęk mieszał się z niezamierzoną szorstkością.

Caroline nie spuszczała wzroku z Betty.

- O teraźniejszość. Chcę się dowiedzieć, czy wiecie, jak ktoś mógł się dowiedzieć, dokąd Brett zabiera ze sobą Jamesa.

Betty spojrzała jej w oczy.

- Nie - rzekła z naciskiem. - Nie szpiegowałam mojej córki.

Caroline zmierzyła ją wzrokiem.

- I nie masz pojęcia, jak ktokolwiek inny mógłby się dowiedzieć, dokąd poszła?

- Nie. - Na moment przerwała. - Może James komuś powiedział. A może po prostu byli śledzeni.

- Może - Caroline wzruszyła ramionami.

- Ona go nie zabiła - Betty podniosła głos.

Caroline do dna opróżniła kieliszek z winem. Betty przymknęła oczy. Caroline poczuła na sobie spojrzenie Larry'ego. Wino zdawało się wprawiać ją w odrętwienie.

- A nóż? - zapytała Caroline. - Rozumiem, że policja was o niego pytała?

Oczy Betty były wpółotwarte. Powoli przytaknęła.

Caroline zwróciła się do Larry'ego:

- A ciebie?

Larry pokręcił głową.

- Nie przesłuchiwali mnie jeszcze.

Caroline pochyliła się do przodu, obejmując wzrokiem ich oboje.

- To bardzo ważne, żeby nikt nie powiedział, że nóż należał do Brett czy pochodził z tego domu.

Betty znowu zeszywniała.

- Więc jednak myślisz, że to ona zabiła?

- Nic nie myślę - ucięła Caroline. - Lecz ktokolwiek będzie reprezentował Brett, powinien unikać tego rodzaju niespodzianek. To bardzo ważne, żeby nie było nic, co mogłoby pozwolić policji sądzić, że to Brett przyniosła ten nóż. - Ściszyła głos. - To nie tylko kwestia tego, że ty czy ojciec powiecie, że nic nie wiecie o tym nożu albo że żaden nóż nie zniknął z domu. Chodzi o to, żeby nie znalazł się ktokolwiek, kto mógłby powiedzieć co innego. Albo zostać przyłapany na kłamstwie. - Caroline przerwała. - Czy jasno rozumiecie, o co mi chodzi?

Betty zacisnęła szczęki.

- Rozumiem doskonale. Brett twierdzi, że nigdy nie widziała tego noża. Chcesz mieć pewność, że

jeśli ona kłamie, to damy radę to jakoś wspólnie zamaskować. Jeśli sami jesteśmy o tym wystarczająco przekonani.

- A wtedy problem z głowy, czyż nie? - dokończyła cicho Caroline. - Przypadkowo powiedziałaś coś bardzo głupiego. Nie chodzi o to, że tak myślisz, lecz że mówisz o tym na głos.

Betty wstała zza stołu, wpatrując się w siostrę.

- Pokazali mi zdjęcia tego noża, Caroline - rzekła. - Nigdy go przedtem nie widziałam. - Spojrzała na Larry'ego, a potem znowu na siostrę. - Wybaczcie mi teraz. Nie chcę zostawiać Brett samej.

Szybko opuściła jadalnię.

Poprzez zamyślane milczenie Larry'ego Caroline słyszała Betty wspinającą się po schodach. Sięgnęła po butelkę z winem. Nalała nieco sobie, a potem Larry'emu. Dopiero wtedy na niego spojrzała. W świetle świec widziała jego pomarszczoną twarz o zmęczonych, smutnych i chyba zawstydzonych oczach. Nie patrzył na nią.

- Więc... - rzekła Caroline cicho.

Larry westchnął, patrząc spod zmrużonych powiek na migocącą świecę.

Caroline po prostu czekała. Biorąc pod uwagę to, co teraz czuła, było to najlepsze wyjście.

- Przez długi okres nie było pracy dla nauczycieli - powiedział cicho. - W końcu wziąłem jedyną, jaka się pojawiła, w college'u w Connecticut.

- Tak, pamiętam z twojego listu. Pisałeś coś, że szukasz domu. Tak jak mi wcześniej mówiłeś.

Na twarzy Larry'ego pojawiło się napięcie.

- Pamiętam, co tobie obiecałem. Nie musisz mi przypominać. - Odwrócił się w jej stronę i dokończył zdławionym głosem: - Nie byłem wystarczająco dobry, Caro. Nudziłem ich. W końcu mnie zwolnili.

- Tak - rzekła Caroline chłodno. - Tyle sama się domyślałam.

Larry podniósł dłonie w błagalnym geście.

- Zostałem bez pracy...

- Masz przecież dziecko i swoje życie - Caroline po raz pierwszy podniosła głos. - Jak mogłeś mu na to pozwolić?

- To nie tak. - Larry dotknął nasady nosa. - Twój ojciec zaproponował mi wiarygodną posadę. Nie było to trudne dla człowieka pochodzącego z rodziny cieszącej się taką estymą w radzie college'u. W końcu najstarszy budynek kampusu to Biblioteka Channinga. A Betty chciała czy też potrzebowała

być bliżej niego. Kiedy odeszłaś, miał już tylko nas.

- Istotnie, miał.

Larry odwrócił się do niej.

- Do licha! Muszę się troszczyć o Brett. Wiem, co czułaś i dlaczego, ale ja żyłem swoimi uczuciami.

Caroline odchyliła się na krześle, postukując palcami.

- A teraz?

- Pytasz, czy za to zapłaciłem? Poczulałabyś się lepiej, gdybym powiedział, że tak?

- Lepiej? Niczego by to nie zmieniło. Szczególnie teraz. - Caroline potrząsnęła głową. - Nie. Jedyne, na co się mogę zdobyć, to rodzaj niezdrowego zainteresowania. Kimś, kogo kiedyś lubiałam.

Larry poczerwieniał i odwrócił się. Kiedy znowu na nią spojrzał, jego twarz wyrażała ciche cierpienie, milczące błaganie.

- Faktycznie - rzekła Caroline. - To wszystko wydaje się teraz tak niewiarygodne.

Larry nic nie powiedział. Caroline skrzyżowała ręce na piersiach, jak gdyby było jej chłodno.

- A więc - odezwała się w końcu. - Jak to było z tobą?

Larry badał wzrokiem swoje wino. W końcu wysączył je i odstawił kieliszek. Jego spojrzenie ciągle było nieobecne.

- Dopóki nie wydarzyła się ta historia z Brett, miałem mieszane uczucia. Życie w cichej desperacji, po cichu analizowane. Ale teraz zaczynam dostrzegać prawdę - jeśli prawda o mnie ma tu jakiegokolwiek znaczenie. I jest to znacznie smutniejsze niż bycie zięciem na posiadzie.

- Więc?

- Jestem widzem w swoim życiu. Chociaż Channing mieszka teraz na górze, ten dom nie należy do mnie. Jestem tutaj kimś w rodzaju kustosza. Rodzina też nie jest moja - przynajmniej pod względami, które są dla mnie najistotniejsze. - Zamilkł na chwilę. - Dokładnie, jak przewidziałaś to kilka lat temu - dodał cicho.

Caroline obserwowała go w milczeniu.

- Powinienem był zdać sobie sprawę z tego, jak wygląda sytuacja Betty - powiedział wolno. - Channing kochał przede wszystkim twoją matkę, a potem ciebie. Brett była czymś w rodzaju prezentu, który dała mu Betty, ponieważ nigdy nie kochał jej dla niej samej.

- Jezu...



- Wiem, wiem. Ale wtedy nie wiedziałem. To wszystko jest takie skomplikowane. Betty jednocześnie czci go i nienawidzi. Alienacja Brett w jej dorosłym życiu wynika w dużej mierze z tego, że Betty chciała jej dać w dzieciństwie całą tę miłość, o którą tak walczyła przez całe swoje dzieciństwo. Wszekochający, wszekogarniający rodzic...

- To właśnie miałam i niewiele brakowało, by mnie to zniszczyło. - Caroline przerwała i zniżyła głos. - A być może pod pewnym względem nawet do tego doszło.

Larry zamilkł, jakby niezdolny do wydobywania z siebie odpowiedzi.

- To kolejna rzecz, którą dała mu Betty - powiedział w końcu. - W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że ona częściej rozmawia o dziecku z nim niż ze mną. Channing odszedł na emeryturę, gdy Brett miała siedem lat. Mógł mieć dla niej więcej czasu. - Odwrócił się do Caroline. - Najpierw twoja matka, potem ty, a teraz Brett.

Caroline przez dłuższy czas wpatrywała się w zastawę, srebrną karafkę na stole, wodziła wzrokiem po obrazach olejnych. Czuła, jak narasta w niej ból.

- A ten chłopak? - zapytała. - Jaki on był?

Larry patrzył jej w oczy.

- Mniej więcej taki, jakim opisała go Betty. Z poprawką na jej emocje. Myślę, że był już zbyt zepsuty, by móc zepsuć Brett, gdyby miała z nim zostać. Martwiło mnie, że Betty może wpłynąć na właściwą skądinąd zdolność oceny Brett. Ale nigdy nie mogłem z nią o tym porozmawiać.

- Czy Betty mogłaby ją śledzić?

Larry wyglądał na zakłopotanego.

- Myślę, że tak. Mogłaby. Chociaż pewno zbyt się wstydziła, żeby się do tego przyznać. To chyba przypieczętowałyby jej porażkę w walce o Brett. Postępuje tak, bo się boi. A ludzie, którzy się boją, robią wiele złego. Próbują panować nad swoim światem i doprowadzać go do doskonałości. Ironia losu polega na tym, że Betty koniecznie chciała, żeby Brett pozostała w New Hampshire, co, moim zdaniem, poskutkowało by jedynie tym, że wyjechałaby stąd zaraz po ukończeniu szkoły i osiadła gdziekolwiek indziej. - Spojrzał gdzieś za plecy Caroline, jakby chciał się upewnić, czy są sami. - Czy Brett mówiła ci o kłótni? - zapytał cicho.

- Z kim?

- Pomiedzy Betty i Jamesem. Przyszedł do nas kiedyś, już po tym, jak odkryłem, że rozprowadza narkotyki. Betty mu otworzyła. Gdy wszedłem do salonu, właśnie go stamtąd wypraszała. - Larry patrzył teraz gdzieś przed siebie. - Mówiła zdławionym głosem, cedząc słowa. To u niej znak, że w każdej chwili może stracić panowanie nad sobą. Zanim zdążyłem się zorientować, James zrobił to, co mógł zrobić najgorszego - uśmiechnął się do niej z wyższością. Musiałabyś go zobaczyć. Ciemny, przystojny, z tym drwiącym uśmiechem na ustach. Wyglądał mniej więcej tak jak antropolog, który natknął się na jakiegoś nietypowego Pigmeja. - Teraz Larry spojrział na Caroline. - To było jak policzek - rzekł cicho. - Betty, zanim zdołałem ją powstrzymać, odwróciła się, chwyciła kryształową

wagę i cisnęła w niego. James nawet się nie pochylił. Uchylił tylko nieco głowę i waza roztrzaskała się na ścianie. Wkroczyłem pomiędzy nich. James nadal miał na twarzy ten zagadkowy uśmiech, Betty zaś łązy wściekłości w oczach. Wtedy zeszła Brett. „Twoja matka miała wypadek”, rzucił beztrząsko James. „Przedzwoń do mnie”. Po czym odwrócił się i wyszedł. - Larry przerwał. - Pozostał po nim bałagan na podłodze i pomiędzy moją żoną i córką. Żeby zrobić coś z tym drugim, potrzeba będzie być może całych lat. - Jego głos osłabł i stał się mniej napięty. - Mój Boże! Jak bardzo bym chciał, żeby był to nadal najgorszy z naszych problemów.

Caroline stała, milcząc, zaskoczona usłyszana historią.

- Nie mogłeś jej jakoś przekonać?

- Betty? - Larry patrzył na swoje kolana, jakby zastanawiając się, ile może powiedzieć. - Było trochę problemów. Do teraz jest nadwrażliwa. A moje konto bankowe prawie puste. Channing czuje to co ona.

- Tak. - Głos Caroline był chłodny jak jej emocje. - Trudno przełamać przyzwyczajenia.

Przez chwilę milczeli w migocącym świetle świec. Larry skrzyżował ramiona na piersiach.

- Rozmawiałaś z nim?

- Z ojcem? Tak. Nic się nie zmieniło. Wszystkie uczucia pozostały tak samo żywe jak wtedy, gdy się to wydarzyło. Z wyjątkiem tego, że nie mam dwudziestu dwóch lat, lecz właśnie tyle spędziłam, żyjąc z tym. - Wzruszyła ramionami, by po chwili dodać: - Jestem teraz prawnikiem i przyjechałam tutaj do pracy. Ale tylko ten jeden raz. To chyba jasne, że nie powinnam być obrońcą Brett. Przynajmniej jeśli dojdzie do procesu.

Twarz Larry'ego wydłużyła się.

- A myślisz, że dojdzie?

- Jeszcze nie wiem. Jutro spróbuję spotkać się z Jacksonem Wattsem. Może uda mi się wyczuć, co knuje.

- Jackson? - Larry pokręcił głową.

Caroline patrzyła na niego spokojnie.

- Powiedziałam, że nie powinnam być obrońcą.

Larry rozparł się na krześle. Wyglądał na równie zmęczonego co Caroline.

Kiedy jego włosy stały się takie rzadkie? Kiedy w kącikach ust pojawiły się zmarszczki i kiedy oczami zawładnął ów wyraz rozczarowania? - zastanawiała się Caroline. Kiedyś uśmiech przychodził mu z taką łatwością. Caroline pragnęła zobaczyć go jeszcze dzisiaj, choć nie mogła sobie wyobrazić siebie uśmiechającej się w takiej sytuacji. Jego ramiona opadły pod niewidzialnym ciężarem zmartwień.

- Daj spokój - powiedziała. - Pomogę ci posprzątać ze stołu.

Spojrzał na nią jeszcze raz. I wówczas, jak tego pragnęła, po raz pierwszy blado się do niej uśmiechnął.

Tamtego lata zmywanie naczyń należało właśnie do nich. Betty była kucharzem. Zmywając wspólnie naczynia, Larry i Caroline cieszyli się swoim towarzystwem, dyskutując o polityce, filmach czy literaturze. Larry podziwiał *Silasa Marnera*, Caroline zaś uważała George'a Eliota za niestrawnego. Obserwowała przez okno czerwone promienie zachodzącego słońca rozbłyskujące na wodach zatoki Nantucket. Larry, starszy od niej o pięć lat i właśnie w trakcie robienia doktoratu, traktował ją poważnie, choć uwielbiał zaczepiać i prowokować. Pewnego wieczoru, gdy wytarli już ostatni talerz i zakończyli dosyć abstrakcyjną dyskusję o George'u McGovernie, Larry pocałował ją w policzek i rzekł od niechcienia: „Poślubiłem nie tę siostrę...”

Dwadzieścia trzy lata później w oczach mężczyzny w średnim wieku dostrzegła tamtego Larry'ego.

- Jesteś pewna...?

Caroline wzruszyła ramionami.

- Macie chyba zmywarkę, co?

Znowu lekko się uśmiechnął. W milczącym duecie zanieśli naczynia do kuchni.

Dla Caroline było to pod pewnym względem najdziwniejsze pomieszczenie w całym domu. Nie wyglądało już znajomo. Wypełniały je kurioza umieszczone tutaj przez jej siostrę: jasne szmatki do garnków, haftowana ozdobna serwetka, kilka figurek zwierząt domowych, porcelanowy kogucik - zabawne pamiątki po matce, która robiła wszystko, by poczuć się tutaj jak w domu. Stojący obok niej Larry opłukiwał talerze i podawał je w rytmie sprzed dwudziestu lat. Tylko teraz Caroline umieszczała je w stojącej na środku kuchni zmywarce siostry.

Caroline wzięła od niego kolejny talerz.

- To wszystko? - zapytała.

- Mniej więcej - odparł i znieruchomiał, patrząc na jej twarz oświetloną kuchenną lampką. - Jesteś piękna, Caro. Wciąż - powiedział nieśmiało, jakby zaskakując samego siebie.

Caroline spojrzała mu w oczy, lekko się uśmiechając.

- Wciąż - powtórzyła. - Przyznasz, że jest w tym coś smutnego.

Pokręcił głową.

- Dla mnie - odpowiedział - to chyba jedyna rzecz, która nie jest w tym wszystkim smutna.

Caroline spuściła oczy. Po pewnym czasie powiedziała:

- Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

- Co takiego?

- Nie żartowałam co do tego noża.

- Co masz na myśli?

Podniosła wzrok.

- Byliśmy wychowywani pośród broni i noży - myśliwskich, wędkarskich i wszelkich innych. Ojciec miał w stajni całą ich kolekcję.

Larry cofnął się o krok, jakby chciał ją całą objąć wzrokiem.

- O co ci chodzi?

A o czym ty myślisz? - dopowiedziała w myślach Caroline.

- Po prostu chciałabym mieć całkowitą pewność, że nie uda im się dowieść, że nóż pochodzi stąd. I że ty będziesz przygotowany, kiedy przyjdą, żeby cię przesłuchać.

- Caroline! - głos Larry'ego był teraz stanowczy. - Przecież Brett ma pięć stóp i trzy cale. Waży może sto kilka funtów. Tchawica Jamesa była całkowicie przecięta...

- Nim skończyłam dziesięć lat - przerwała mu Caroline - potrafiłam odfiletować rybę. Betty również. Mając do dyspozycji właściwy, dobrze naostrzony nóż, każdy z nas w jej wieku mógłby podciąć temu chłopakowi gardło. - Dotknęła jego ramienia. - Proszę, nie łudź się, że istnieje jakieś proste rozwiązanie całej tej sytuacji, bo tak nie jest.

Larry zacisnął usta.

- Chyba nie powiedziałem ci tego dostatecznie wyraźnie. Mieliśmy wprawdzie problemy rodzinne, ale na pewno nie wychowaliśmy mordercy. I niezależnie od wszelkich uprzedzeń Brett bardzo zależało na tym chłopaku. A nawet jeśli by tak nie było, to przemoc nie jest w jej stylu. Niezależnie od tego, jak bardzo była zamoczona przez narkotyki.

Caroline patrzyła w dal.

- Ona ma temperament, Larry. Zauważyłam to.

- Widziałaś tylko kogoś, kto jest w szoku po przeżytej tragedii - podniósł głos. - Czy ty byś nie była?

- Jasne, że tak.

Te wypowiedziane wyraźnie i delikatnie słowa złagodziły gniew Larry'ego.

- Brett jest wytrzymała. Wytrzymała, odważna i niezależna - mimo całej opiekuńczości Betty. - Znowu blado się uśmiechnął. - Czasami patrzę na nas i zastanawiam się, skąd to się bierze.

Caroline patrzyła na Larry'ego, by w końcu zadać mu pytanie, którego nigdy nie zadałaby swojej siostrze.

- Opowiedz mi o niej - powiedziała. - Wszystko.

## PIĘĆ

Następnego ranka Caroline wzięła prysznic, ubrała się i wyruszyła do odległego o dobre dwie godziny drogi Concord, stolicy stanu.

Kiedy wieczorem Larry odprowadził ją do pokoju, była nazbyt zdenerwowana, by móc spać. Usiłowała uporządkować myśli przed spotkaniem z Jacksonem Wattsem. Z jednej strony jeszcze nie była na nie w pełni gotowa, z drugiej zaś nie mogła się go doczekać. O ósmej trzydzieści zadzwoniła do jego biura z aparatu telefonicznego w kuchni. Była zdenerwowana nie tylko sprawą Brett, lecz w ogóle tym, że będzie z nim rozmawiać.

Sekretarka powiedziała, że Jackson Watts jest właśnie na jakimś spotkaniu. Caroline przedstawiła się i powiedziała, w jakiej sprawie dzwoni. Po dłuższej chwili sekretarka wróciła z wiadomością, że Caroline może przyjechać. Z ulgą, lecz i z lękiem wolno odsunęła od ucha słuchawkę. W tym momencie usłyszała - a być może jedynie wyobraziła sobie - ciche kliknięcie na linii.

Mrużąc oczy, znieruchomiała ze słuchawką w dłoni. W domu panowała cisza. Wracając do sypialni, nikogo nie spotkała.

Zaczęła się przygotowywać. Poprzedniego wieczoru rozwiesiła w szafie swoją czerwoną sukienkę - być może niezbyt odpowiednią w takiej sytuacji, lecz jedyną, jaką ze sobą zabrała. Nie była pognieciona. Kiedy przyłapała się na tym, że nakłada makijaż z nadzwyczajną starannością, zbeształa się, że nawet tak poważny problem nie jest w stanie usunąć na bok jej próżności.

Znowu zdała sobie sprawę, jak wielką rolę w tym wszystkim odgrywa sam fakt spotkania z Jacksonem Wattsem.

Jej twarz i ciało były wtedy inne. Ona była zupełnie inna. Głupotą, jeśli nawet nie perwersją, byłoby oczekiwać, że ktoś, kto został tak głęboko przez nią zraniony, cały czas będzie uważał ją za atrakcyjną. Mimo wszystko liczyła na to.

Jaki on jest teraz? - zastanawiała się. Czy ma żonę? Dzieci? I jak się poczuł, kiedy sekretarka dostarczyła mu wiadomość, że spotkać się z nim i przedyskutować sprawę morderstwa Jamesa Case'a pragnie Caroline Masters.

Caroline ostrożnie dokończyła makijaż kredką do oczu. Kimkolwiek teraz jesteś, podnosiła się na duchu, a możesz być teraz kimś nieco innym, jesteś przecież profesjonalistką.

Chwyciła teczkę i wyszła z pokoju. Zastanawiała się nad trzaskiem, który usłyszała w słuchawce telefonu. Zatrzymała się na schodach, starając się ustalić, gdzie znajdują się pokoje pozostałych mieszkańców domu. Tuż nad nią był pokój Brett - kiedyś należący do niej. Kto wpadł na pomysł, by jej go dać? Jak wyglądało życie Brett w tym domu? Przez chwilę wyobraziła sobie Brett jako ją samą

- małą dziewczynkę zbiegającą po schodach i spieszącą z uśmiechem na ustach do szkoły, niewinną i obojętną na przyszłość...

Caroline ruszyła w kierunku pokoju Brett, żeby sprawdzić, jak dziewczyna się czuje. Nie, powiedziała sobie, zatrzymując się. Twoja rola tutaj jest inna. Musisz jechać do Concord i spotkać się Jacksonem Wattsem.

Przez kolejne dwie godziny, pokonując samochodem raz słoneczne, raz mroczne drogi, myślała przede wszystkim o sprawie Brett Allen.

Concord nie zmieniło się wiele. Sklepowe neony na Main Street były jaśniejsze, cegła i kamień budynków państwowych odrobinę brudniejsze. Miasto chyba nieco zbiedniało. Jednak ulice były trzypasmowe i jeździło się nimi wygodnie. No i ten budynek - taki sam jak w czasach jej dzieciństwa - który nadal stał jej przed oczami, gdy tylko słyszała słowo „kapitol”.

Zaparkowawszy samochód, skierowała się w stronę wejścia. Zielone trawniki, rzucające głęboki cień liściaste drzewa, pomnik Daniela Webstera, a w końcu ów granitowy budynek o typowej dla urzędów państwowych kolumnowej fasadzie, nakryty złotą kopułą. Jeszcze jedna rzecz przywodząca na myśl Channinga Mastersa.

Kiedy Caroline miała zaledwie dziewięć lat, ojciec zabrał ją tutaj na spotkanie ze swoim przyjacielem gubernatorem. Długo maszerowali po marmurowych korytarzach. Caroline trzymała ojca za rękę. Potem była galeria Senatu - miejsce o nieco bardziej intymnej atmosferze. W końcu Izba Reprezentantów - pomieszczenie olbrzymie i bogate, w którym - jak wyjaśniał Channing Masters - czterystu obywateli tworzących prawo - trzecie co do wielkości tego typu ciało w świecie Zachodu - służyło narodowi bezinteresownie za dwieście dolarów rocznie. Gubernator Powell przyjął ich przy czarnym mahoniowym stole, w wysokim na czternaście stóp, przestronnym gabinecie ozdobionym portretami dawnych gubernatorów i wyposażonym w obudowany rzeźbionym drewnem czarny marmurowy kominek.

Gubernator Powell był pełen godności, ale zarazem ciepły dla Caroline. Z Channingiem rozmawiał swobodnie, lecz nie bez szacunku.

Caroline siedziała na kolanach ojca w miękkim fotelu, gdy ten omawiał z gubernatorem niezrozumiałe dla niej sprawy. Czuła wówczas, że na całym świecie nie ma człowieka ważniejszego od Channinga i nie ma stanu wspanialszego niż New Hampshire. Nie mogła sobie wyobrazić życia w innym domu, z inną rodziną...

Myśląc teraz o Brett, Caroline minęła jeszcze dwie przecznice i dotarła do dawnego budynku bankowego, w którym obecnie mieściła się siedziba stanowego prokuratora generalnego. Windą wjechała na pierwsze piętro i poszła w kierunku wskazywanym przez strzałkę z napisem „Wydział Zabójstw”. Tam zapytała o Jacksona Watta.

Recepcjonistka zadzwoniła po niego. Caroline siedziała w recepcji z nogą założoną na nogę, starając się, by na twarzy zachować wyraz chłodnego dystansu.

Otworzyły się drzwi.

- Witaj, Caroline - powiedział męski głos. Caroline spojrzała w górę i ujrzała go.

Niemal odruchowo uśmiechnęła się. Człowiek, który stał w drzwiach, niewiele różnił się od Jacksona, którego pamiętała: wysoki, szczupły, o długich ramionach i nogach. Jego włosy nadal były czarne, choć nad uszami trochę przyprószone siwizną. Nieco zbyt duże uszy w zestawieniu z pełniejszą twarzą wyglądały teraz lepiej. Nie zmienił się jednak wiele: duża żuchwa, dołek w brodzie, przecięte zmarszczkami policzki, wydatny nos i lśniące brązowe oczy - w tym wszystkim najbardziej efektowne. Kiedy spojrzał na nią, zdała sobie sprawę, że jest teraz niemal przystojny - niczym Abe Lincoln.

Caroline wstała.

- Witaj, Jackson.

Nieco niezręcznie wyciągnęła do niego rękę: powitanie prawników. Jego dotyk był chłodny.

- Dzięki, że tak szybko znalazłeś dla mnie czas.

Jego spojrzenie wyrażało zaskoczenie. Szybko? - zdawał się mówić. Minęło dwadzieścia trzy lata od czasu, kiedy po prostu zniknął.

- Pewno jesteś przejęta tą historią - powiedział tylko. - Wejź, proszę.

Podążyła za nim korytarzem o surowym, nieco stalinowskim wyglądzie nowych biur instytucji rządowych. Weszli do ładnego kwadratowego gabinetu z biurkiem pokrytym drewnopodobnym laminatem zawalonym stertami papierów. Sam, z podwiniętymi rękawami i przekrzywionym krawatem, zasiadł za nim, jej zaś wskazał miejsce naprzeciw. Milczał, wpatrując się w nią, zmieszany.

- Zastanawiałam się, od czego zacząć - powiedziała Caroline. - Jesteś teraz szefem wydziału zabójstw, a na twoim biurku leżą papiery mojej siostrzenicy.

Miała nadzieję, że dostrzeże w jego oczach jakiś ślad nawiązanego z nią kontaktu. Jednak nie zobaczyła nic.

- To dla mnie bardzo przykra sprawa, i to z wielu powodów - westchnął. - Nie tylko dlatego, że bardzo szanuję twojego ojca, ale i dlatego, że pamiętam spotkania z Brett, kiedy miała osiem czy dziewięć lat - wzruszył ramionami. Nie chciał mówić nic więcej.

- Pozwól mi zacząć - rzekła cicho Caroline. - Jak się miewasz?

- Świetnie. W zasadzie. - Jackson przyglądał się jej. - Oto podstawowe fakty: nastoletnia córka, którą kocham, jeden pies. Już nie jestem żonaty. Dacza nad jeziorem Heron, ogólne zadowolenie z życia. To zadziwiające, ale wygląda ono w tej chwili w dużym stopniu tak, jak je sobie wcześniej wyobrażałem. - Jeszcze raz wzruszył ramionami. - Cóż, może nie jest to dla ciebie niczym nowym.



O, Jackson, pomyślała Caroline, to nigdy nie było tak, jak myślisz. Poszło o rzeczy, które nie miały z tobą nic wspólnego.

- Wiele o tobie myślałam. I nadal czasami myślę.

Oparł policzek na dłoni, patrząc na nią spokojnie.

- Nie dałaś żadnego znaku życia. Od czasu tamtego listu z Martha's Vineyard.

W Caroline zagrało poczucie winy. Jednak było wiele za późno na jakiegokolwiek przeprosiny czy wyjaśnienia.

- Nikt z nas go nie dał - odpowiedziała krótko.

- A teraz jesteś tutaj. Z powodu Brett.

- Tak.

Jackson rozparł się na swoim krześle.

- To nieciekawy przypadek.

Minęła chwila, zanim Caroline zdołała sprowadzić swoje myśli na właściwe tory. Ścisnęło ją w gardle.

- „Nieciekawy” czy tylko „wygląda nieciekawie”?

- Nieciekawy. - Zawahał się. - Nie muszę ci, oczywiście, mówić wszystkiego. Nie powstał jeszcze akt oskarżenia. Ale co do samych faktów, chyba nic się nie zmieni. Mogę opowiedzieć ci o tym, co już pewno sama wiesz albo czego się przynajmniej domyślasz.

- Proszę.

- W porządku - rzucił rzeczowym, iście prokuratorskim tonem. - Zaczniemy od pojęcia premedytacji. Zabrała go tam, w odosobnione miejsce, znane sobie, lecz nie jemu. Wtedy oszołomiła go winem i narkotykami...

- Zamierzając go zabić? - przerwała Caroline, trzymając jedną dłoń wzniesioną. - Na własnym terenie? Nożem?

- Na nożu i na jego gardle były jej odciski palców. I żadne inne.

- To znaczy, że zakończyliście już badania laboratoryjne?

- Większość - odparł.

- Cóż, nie słyszałam nigdy, żeby ktoś zostawiał odciski palców na ciele ofiary.

Jackson zmarszczył brwi.

- W obecnej chwili mogę powiedzieć ci tylko, co odkryli w laboratorium.

Caroline wyczuła, że Jackson nie jest przygotowany na to, by wywierać na niego nacisk.

- Czy w laboratorium odkryli coś jeszcze? - zapytała ciszej.

- Tak. Na całym jej ciele była jego krew, a sposób, w jaki ją pokrywała, wskazuje na to, że musiała tryskać z tętnicy. Pod jej paznokciami znaleziono ślady jego naskórka. A na jego portfelu jej odciski palców. I znowu tylko jej. - Przerwał. - Spotkałaś się z nią już, Caroline. Ona nie jest głupia. Potrafi myśleć nawet w najmniej sprzyjających okolicznościach. Wykazała się przytomnością umysłu, zabierając portfel, nóż i swoje ubrania. Być może chciała upozorować napad rabunkowy albo nawet udawać, że w ogóle nigdy tam nie była. Jednak przez kilka godzin była prawdopodobnie zbyt silnie zamroczona, żeby opowiedzieć policji, co się stało. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nie, tego nie kupią. Można łatwo pokazać, że nie spodziewała się, że znajdzie ją policjant i że następne kilka godzin spędzi, trzeźwiejąc. Przecież dopiero przed świtem zdołali coś więcej z niej wyciągnąć.

Jego wyjaśnienia były niepokojąco podobne do tych, których Caroline udzieliła Brett.

- Czy masz raport z jej aresztowania? - zapytała po prostu zamiast się z nim sprzeczać.

Jackson powoli przytaknął, po czym wyciągnął z szuflady teczkę i podał Caroline. Szybko przeczytała.

- Zgodnie z zeznaniem aresztującego ją policjanta włosy Brett były mokre.

- Więc?

- Jeśli włosy były mokre, a mimo to była we krwi, to wskazuje, że jednak poszła pływać. Tak jak powiedziała. - Spojrzała na Jacksona. - Tymczasem nic nie wskazuje na to, żeby James też pływał, prawda?

- Z tego, co wiem, nie.

- Kręcone włosy, o których pisze policjant, to nasza rodzinna klątwa. Robiły mi się takie, ilekroć chodziliśmy popływać. Pamiętasz? A jeśli Brett poszła pływać sama, to ktoś mógł rzeczywiście mieć czas, żeby zabić Jamesa. Tak jak powiedziała. - Przerwała na chwilę. - Powiedz mi, jaki był poziom alkoholu we krwi?

- Szesnaście setnych.

- Naprawdę?

Jackson potrząsnął głową.

- Myślisz, że to przemawia przeciw zabójstwu z premedytacją?

- Myślę, że to przemawia przeciw twojej teorii. - Caroline wyprostowała się na krześle. - Wprawdzie nie spodobała ci się opowiedziana przez nią historia, lecz ona wszystko wyjaśnia: krew,

odciski palców, skórę pod paznokciami, a nawet brak wytrysku. Niczego w niej nie brak. Wszystko to mogło się odbyć właśnie tak. - Caroline przerwała, by podkreślić swoje słowa. - Albo mówi prawdę, albo jest jakimś samorodnym geniuszem kryminalnym, który nie tylko zaplanował i dokonał morderstwa faceta o połowę wyższego i dwa razy cięższego, lecz potrafił w swoich zeznaniach wyjaśnić wszystko, włącznie z dowodami pobranymi z ciała, których znaczenia z trudnością mógłby się domyślać kryminolog. A wszystko to w czasie kilku godzin po podejrzeniu gardła swojemu chłopakowi. Pijana i pod wpływem narkotyków. Gdyby nie kwestia moralności i okoliczności prawne, byłabym z niej cholernie dumna.

Oczy Jacksona nieco się rozszerzyły. Jego spojrzenie stało się ostrożne, choć nadal intensywne. Biła z niego nie tylko duma zawodowa, lecz chyba i pragnienie, by siedząca przed nim kobieta nigdy więcej go już nie poniżyła.

- Osiem godzin to więcej niż wystarczająco, żeby wytrzeźwieć.

- Szczerze w to wątpię. - Caroline zastanawiała się, jak uniknąć protekcyjnego tonu. - Przepraszam, jeśli brzmi to zbyt arbitralnie...

- Nie, to bardzo interesujące. I wnosi dużo nowych informacji. A więc dlaczego w to wątpisz?

- W San Francisco narkotyki to poważny problem. Pracowałam tam jako obrońca publiczny. Wielu spośród moich klientów było uzależnionych od narkotyków i alkoholu. Sytuacja zmusiła mnie do zainteresowania się farmakologią. Po pierwsze, Jackson, skręt, którego paliły te dzieciaki, to nie to samo, czego my kiedyś próbowaliśmy.

- Nie? - Jackson uniósł brwi.

- Nie. Dzisiejsze skręty zawierają piętnaście procent THC, czyli trzy do pięciu razy więcej niż te z okresu naszej młodości. Jeśli Brett brała okazjonalnie - a sądzę, że tak - jeden skręt mógł na nią zadziałać w trudny do wyobrażenia sposób. Po drugie, jeśli najpierw wypijała wino, to działanie tych dwóch rzeczy zsumowało się. Intoksykacja była poważnie podwyższona i mogła wywołać luki w pamięci. Niektórych z nich nigdy nie da się wypełnić. Narkotyk wprowadza cię w rodzaj surrealistycznego snu, w którym obrazy wydają się częścią jakiegoś przedstawienia, a nie realnego życia. Nie powinieneś więc całkowicie ufać własnym doświadczeniom. - Caroline zamilkła. - A w doświadczenie tak potworne z pewnością wolałbyś wątpić - dodała po chwili.

Jackson spojrzał na nią sceptycznie.

- I ten jeden joint miałby to wszystko wytłumaczyć?

- Mogłoby wytłumaczyć wiele. Na przykład to, że początkowo próbowała zastosować sztuczne oddychanie. Że potem nie mogła sobie niczego przypomnieć czy też uwierzyć, że ta potworna historia w ogóle się wydarzyła. Mdłości i wymioty to typowe objawy efektu sumowania działania toksyn, które zostało - podobnie jak problemy z percepcją - wzmocnione przez orgazm. To chyba też możesz przypomnieć sobie z czasów swojej młodości.

Jackson był teraz bardziej ostrożny, jak gdyby niepewny, co odpowiedzieć. O co ci chodzi? - zdawał się pytać wyraz jego twarzy.

- Nie wiedziałem, co się dzieje. Myślałem, że to może trzęsienie ziemi - rzekł z ledwie dostrzegalnym uśmiechem i wzruszył ramionami.

Jakie tym rządzą prawa? - zastanawiała się Caroline.

- Chodzi mi przede wszystkim o to, że tak szybko nie doszłaby do siebie. Efekt działania narkotyku odczuwa się nie przez godziny, lecz przez całe dni. To, co Brett tak drobiazgowo opisuje - momenty niepełnej świadomości, migające przed oczami obrazy jego ciała, potem dojście do siebie na tyle, żeby móc o tym opowiedzieć policji - wszystko to pozostaje w najlepszej zgodzie z chemią pamięci będącej pod wpływem narkotyków. Proszę, zaufaj mi. To nie jest kit, który obrona lubi wciskać sądom. - Przerwała, by po chwili dodać delikatnie, jakby niechętnie: - Tak czy inaczej, znowu wracam do sprawy ostrzeżeń przy aresztowaniu.

- Cóż, przeczuwałem to. - Jego spojrzenie było ostre. - Mów dalej, słucham.

- Przecież rozumiesz, o co mi chodzi. Dobrze wiem, kiedy zacząłeś kontrolować tę całą sprawę: kiedy umieścili Brett w szpitalu do czasu zdobycia nakazów przeszukania jej i jej posiadłości nad jeziorem. Wtedy dopiero zaczęli robić wszystko jak należy. Ale było chyba trochę za późno. - Caroline starała się, aby jej ściszony głos wyrażał szacunek. - Czy kiedy zadzwonili do ciebie, żeby cię poinformować o zatrzymaniu tej nagiej i spryskanej krwią dziewczyny z nożem, z której w areszcie wydobyli, że powinni szukać kogoś nad jeziorem, powiedzieli ci coś o udzielonych jej ostrzeżeniach?

Ostrożny półuśmiech Jacksona w zasadzie nie był wcale uśmiechem.

- Widzę, że wiesz lepiej.

- Zapomnieli o nich. Co oznacza dużą szansę dla obrońcy Brett - ktokolwiek nim zostanie - żeby odwołać pierwsze zeznania dotyczące miejsca, w którym leżało ciało Jamesa, i anulować wszystkie związane z tym dowody. Wyniki przeszukania okolic jeziora, Brett, a być może nawet samo ciało i późniejszą relację Brett o śmierci Jamesa. Wszystko to mogłoby zniknąć, ot tak. - Caroline pstryknęła palcami. - Zostalibyście bez niczego.

Uśmiech zniknął z twarzy Jacksona.

- Caroline - rzekł zdziwionym głosem. - Nigdy nie wyobrażałem sobie, że moglibyśmy rozmawiać w ten sposób. - Jego głos stał się pewniejszy. - Ty także się mylisz. Zakrwawiony nóż leżał w widocznym miejscu, co było dla policji dostateczną przesłanką, by podejrzewać, że ktoś mógł być ranny. Nie wiedzieli jednak kto, gdzie i dlaczego. Nie wiedzieli, czy Brett, czy ktoś inny został zaatakowany przez osobę trzecią. Żaden sąd nie potępi policjanta za dopytywanie się w takich okolicznościach, gdzie może być ranna osoba, której można by ocalić życie. To się nazywa „zasada szczególnych okoliczności”. - Pochylił się. - Pozwól, że zapytam cię o coś jeszcze. Czy byłabyś skłonna namówić Brett, żeby poddała się testowi z wykrywaczem kłamstw? Mógłby go przeprowadzić jeden z naszych ludzi.

Caroline zrozumiała, że Jackson jest bardzo sprytny.

- Nie wierzę w nich - odpowiedziała cicho. - Ale policyjny specjalista mógłby wykorzystać test

kłamstw w przesłuchaniu. - Nie wierzysz w jej niewinność, Caroline czytała w myślach Jacksona. Zdawało się jednak, że sprawia mu to pewną przyjemność. - W takim razie, patrząc na tę sprawę z punktu widzenia profesjonalisty, musiałabym przyznać, że Brett ma poważne problemy. Z przyczyn, które po części znasz, a po części - jestem przekonana - nie.

- Twoja obrona - jeśli o niej już myślałaś - opiera się zapewne na tym, że ktoś pojechał za nimi nad jezioro. Lecz wyobraź sobie, czego musiałby dokonać taki zabójca! Wiedzieć, że Brett zostawi Jamesa samego. Kto przy zdrowych zmysłach sądziłby, że uda mu się bez problemu załatwić dwójkę sprawnych studentów? Musiałby również wiedzieć, że James będzie zbyt pijany czy zamroczony, żeby się bronić. - Jackson wpatrywał się intensywnie w Caroline. - No i znać sposób, żeby zniknąć w lesie bez śladu.

Caroline poczuła, że coś ją dusi w gardle.

- Czy powiedzieli ci to ludzie z laboratorium kryminologicznego?

Jackson wyprostował się i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Uciekając z miejsca zbrodni, Brett zostawiła ślady: połamane krzaki, gałęzie, krople krwi Jamesa na liściach. Jeśli opowiedziana przez nią historia jest prawdziwa, to zabójca również musiałby zostawić podobny trop. A do tej pory niczego nie znaleźliśmy...

- Jednak możliwe, że nie masz racji. Była tam przecież lokalna policja i pogotowie. Nie powiesz mi chyba, że wokół jeziora nie było odcisków stóp i wszelkiego rodzaju innych znaków pozostawionych przez policjantów czy kogoś innego chodzącego po tym lesie. Wątpię, żeby ludzie z laboratorium kryminologicznego mogli dojść, kto tam jeszcze był.

Jackson pochylił się na krzesło.

- Wygląda na to, że poza ścieżką, którą wybrała Brett, nie ma stamtąd innej drogi wyjścia. Zabójca musiałby mieć ślady krwi Jamesa Case'a na całym ciele - podobnie jak Brett. Jednak znaleziono tylko ślady krwi, które zostawiła ona. Nic i nikogo poza tym. Czy masz jeszcze jakieś inne pomysły? Myślisz, że jakiś wariat chciałby podprowadzić portfel dzieciakowi z college'u? To nie jest wiarygodne. - Jackson podniósł głos. - To musiały być porachunki osobiste, Caroline. Morderca zarznął tego dzieciaka jak zwierzę, bardzo ostrym nożem. Czy znasz przypadek, w którym ktoś zrobiłby coś takiego obcemu?

Caroline patrzyła na niego spokojnie.

- Charles Manson, na przykład. A co do Brett, to nie masz żadnych motywów, które mogłyby ją do tego popchnąć.

Jackson zamilkł, by po chwili odparować:

- A ty nie masz żadnego podejrzanego poza nią.

- Zapominasz o facecie, który zaopatrywał Jamesa w narkotyki.

Jackson uniósł brew.

- Być może nie jestem na bieżąco w kwestii THC, ale jestem pewien, że nie ma w tej historii miejsca dla żadnego drobnego dealera narkotykowego. - Zastanawiał się, czy powiedzieć coś jeszcze. - Przeszukaliśmy mieszkanie Jamesa. Nie znaleźliśmy żadnego śladu włamania. Może tylko podarte prześcieradła. Włamanie, o którym mówiła nam Brett, nigdy nie miało miejsca.

Caroline odebrała kolejny cios.

- Może okłamał ją. A co do dealera...

Na ustach Jacksona pojawił się melancholijny uśmiech.

- Cóż więc nam pozostaje? Dziewczyna, która być może w czasie popełniania morderstwa była wystarczająco naszpikowana narkotykami, żebyś mogła się starać o obniżenie jego kategorii do drugiego stopnia.

Caroline spojrzała na niego badawczo.

- Ale nie powiązałaś jej z tym nożem?

Chwila ciszy.

- Nie.

- Co to za nóż?

- Wędkarski, firmy Cahill. Całkiem niezły. - Jackson przerwał, przyglądając się jej. - Jak sama powiedziałaś, nie jesteś tutaj służbowo. Ale pewno chciałabyś go zobaczyć.

- Chciałabym.

Sięgnąwszy do drugiej szuflady, Jackson wy dobył z niej nóż w przezroczystej torebce i położył go na biurku.

Nóż był starannie wykonany. Kościana rączka, długie ząbkowane ostrze. Narzędzie dla wędkarza, który lubi takie rzeczy. Ostrze było pokryte krwią.

Caroline poczuła pustkę w żołądku. Dopiero kiedy uświadomiła sobie przenikliwe spojrzenie Jacksona, zaczęła się zastanawiać, jak długo gapiła się na ten nóż. Odwracając torebkę, dostrzegła na nim - tak jak się tego spodziewała - numer seryjny. Był zalany krwią. Caroline musiała mrużyć oczy - okulary miała w torebce, lecz nie chciała, żeby Jackson zorientował się, co robi. Od dzieciństwa miała dobrą pamięć do liczb.

Powoli przekazała torbę Jacksonowi.

- Miałaś rację. Rzeczywiście niezły.

Jackson położył nóż na biurku pomiędzy nimi i spojrzał jej w oczy.

- Czy to wszystko? - zapytał. - Czy chciałabyś się jeszcze czegoś dowiedzieć?

- Nie teraz. - Zawahała się. - Dziękuję.

Caroline wstała. Była nieobecna i oszołomiona.

Jackson stał za swoim biurkiem z rękami na biodrach.

- Czy właściwie zrozumiałem, że nie zajmiesz się sama tą sprawą?

To pytanie ściągnęło ją na ziemię. Spojrzała wprost na niego.

- Jeśli nie będzie oskarżenia, to w ogóle nie będzie tego problemu.

Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią z napięciem i zaciekawieniem.

- Słyszałem, że masz zostać sędzią federalnym.

- Na to wygląda.

Znowu przyglądał się jej przenikliwie.

- Cóż - rzekł powoli. - Przykro mi z powodu tej historii. Żal mi Brett i wszystkich, którzy z tego powodu ucierpieli.

Wyciągnął rękę. Caroline szybko ją uścisnęła.

- Dzięki - powiedziała. - Muszę iść.

Odwróciła się i wyszła, zostawiając go samego w gabinecie.

Prawie nie pamiętała swojej drogi powrotnej do samochodu. Nie patrzyła na kapitol ani na cokolwiek, lecz wyłącznie przed siebie. Zająwszy miejsce w aucie, siedziała przez chwilę bez ruchu.

Jej teczka leżała teraz za nią na siedzeniu. Sięgnęła po nią i wyjęła z niej długopis i kawałek papieru. Zapisała numer seryjny noża.

## SZEŚĆ

Wróciwszy do domu, Caroline nie zastała nikogo. Tego właśnie pragnęła. Jednak kiedy wspięła się po schodach do pokoju, w którym ją ulokowano, zastała na drzwiach karteczkę z wiadomością.

Wpatrywała się w staranne pismo Betty. Dzwonił Bob Carrow z manchesterskiej edycji „Patriot-Ledger”.

Caroline siadła na łóżku.

Nie była na to przygotowana. Jedyna gazeta obejmująca swym zasięgiem cały stan długo dominowała wśród prasy New Hampshire. Reprezentowała skrajną prawicę i zagorzale przeciwstawiała się polityce demokratów, feministkom i sędziom takim, jakim miała zostać Caroline. Odkąd pamiętała, „Patriot-Ledger” prowadził swoją krucjatę za większą liczbą wyroków w sprawach kryminalnych i ich wyższymi wymiarami. Nie było niczego, co mogłaby zyskać, odpowiadając na telefon Boba Carrowa. Szczególnie w sytuacji zaangażowania swojego prawniczego potencjału w sprawę kryminalną dotyczącą rodziny. To z pewnością dotarłoby do Białego Domu. Zła i zmęczona zaczęła gnieść kartkę z wiadomością.

Nagle zamarła w bezruchu. Otworzyła dłoń, patrząc na zwinięty w kulkę papier.

Kto mi to zrobił? - zaczęła się zastanawiać.

Chodziło o Brett. Jeśli doszłoby do procesu, to stałby się on głównym wydarzeniem w środkach masowego przekazu stanu New Hampshire, a już z pewnością w „Patriot-Ledger”. Dla Caroline obrońcy ważne było, aby jej klient został bezstronnie oceniony, a jeśli to możliwe, zyskał przychylną w relacjach prasowych. Nie mogła tego osiągnąć, ignorując największy dziennik stanu.

Zastanawiała się nad tym przez następne pół godziny. Myślała też o powodach, dla których stąd odeszła. O dwudziestu latach starań, by zostać w końcu sędzią. O prawie nieznanym dziewczynie.

W końcu poszła do kuchni, żeby zadzwonić.

- Bob Carrow.

Był to głos, jakich setki słyszała w niezliczonych programach informacyjnych - ostry, żywy, agresywny. Gdzieś w głębi gardziła nim. Zadbła jednak o to, by jej głos był uprzejmy, trochę znudzony i nieco zaskoczony.

- Mówi Caroline Masters.

- Ach tak! Dziękuję za oddzwonienie. Słyszałem, że Brett Allen jest pani siostrzenicą.



- Tak - odpowiedziała już nieco oschlej. - Też o tym słyszałam.

Chwila wahania.

- Mogą ją oskarżyć o morderstwo.

- Doprawdy? A kogóż to zabiła?

- No, Jamesa Case'a...

- Gdzie się pan o tym dowiedział? Chyba nie w biurze prokuratora generalnego? - głos Caroline brzmiał spokojnie i pewnie. - Brett Allen to młoda kobieta, która w przerażających okolicznościach straciła kogoś, kogo kochała. Nie ominęło jej nawet wstrząsające przeżycie odnalezienia jego zwłok. I nikt, ale to zupełnie nikt, nie ma żadnych powodów, żeby nawet myśleć, że mogła mieć jakiś związek z tym zabójstwem. A cóż dopiero mówić o jakimkolwiek motywie. - Caroline urwała. Jutro policja może przecież coś znaleźć. Posuwanie się zbyt daleko nie było w jej stylu.

- Więc wierzy pani, że jest niewinna? - zapytał Carrow.

- Niewinna czego? Brett mogłaby równie dobrze popełnić samobójstwo. I dlatego - jeśli w ogóle - można powiedzieć, że miała trochę szczęścia.

- Więc kto, pani zdaniem, zabił Jamesa Case'a?

- Z pewnością nie zakochana w nim dwudziestodwulatka. - Caroline ściszyła głos. - Mam nadzieję, że Brett może liczyć na to, iż oddacie jej sprawiedliwość.

Jej ton sugerował, że zamierza zakończyć rozmowę.

- Jeszcze tylko jedno pytanie - rzekł Carrow z wahaniem. - Biały Dom ogłosił właśnie pani nominację na sędziego sądu apelacyjnego. Czy sądzi pani, że dla świeżo nominowanego sędziego stosowne jest angażowanie się w sprawę kryminalną?

Caroline poczuła, jak ziemia usuwa się jej spod nóg.

- Sądzę, że niewłaściwie zrozumiał pan moją rolę. Przyjechałam tutaj jako członek rodziny.

- A jednak odwiedziła pani dzisiaj rano pana Wattsa, asystenta prokuratora generalnego. Jaki był cel tego spotkania?

- Wyrażenie troski ze strony mojej rodziny. Obojętnie, jak pan to rozumie - pozwoliła sobie na cień irytacji w głosie. - Proszę o tym pomyśleć, panie Carrow. Chodzi nie tylko o to, że ktoś zabił chłopaka mojej siostrzenicy, ale i o to, że ten ktoś nadal jest na wolności. Czy to pana nie przeraża?

Długa pauza.

- Czy będzie pani adwokatem panny Allen?

- Adwokatem? Ona nie potrzebuje adwokata. Potrzebuje jedynie wsparcia ze strony rodziny. -

Caroline przerwała. - Mam nadzieję, że wkrótce wrócę do San Francisco i zajmę się sprawą, którą ta tragedia przerwała, to znaczy przygotowaniami do rozmów potwierdzających przed nominacją. Co do samej nominacji, to - rzecz jasna - jestem wielce zaszczycona. Czy jest jeszcze coś, o co chciałby pan zapytać?

W jego głosie uprzejmość mieszała się z poczuciem wyższości.

- Wiem, że to trudna sprawa. Ale sądzę, że naprawdę byłoby dobrze, żeby panna Allen porozmawiała z nami osobiście.

Caroline zaczerpnęła powietrza.

- Sądzę, że pan rozumie, że Brett nie jest w tej chwili w odpowiednim nastroju, by z kimkolwiek rozmawiać. Tymczasem musi się pan zadowolić mną. Ale jeśli Brett zechce o tym mówić z kimkolwiek poza najbliższymi, z pewnością dam panu znać.

- W porządku - jego głos nieco złagodniał. - Jako pierwszemu, jeśli to będzie możliwe - dodał skwapliwie.

- Tak. Jeśli to będzie możliwe. Nasza rodzina żywi wielki szacunek dla „Patriot-Ledger”.

- Dobrze... Dziękuję, panno Masters.

W jego wahaniu Caroline wyczuła decyzję, by dłużej jej nie naciskać.

- Proszę bardzo.

Odwieszając słuchawkę, Caroline przytapała się na nasłuchiwanie trzasku drugiego aparatu. Jednak nic takiego nie dosłyszała.

Stajnia była mroczna i przestronna niemal jak stodoła. Promienie słońca przedzierały się przez okno ponad nią, rzucając cienie w kątach pomieszczenia. Z boku stał jej dżip. Wydawał się skarłowaciały wobec otaczającej go przestrzeni.

Caroline prawnik wiedziała, że powinna odwrócić się i wyjść. Jednak została.

Na tyłach stajni znajdował się warsztat ojca, jego narzędzia, imadło stolarskie. Channing Masters wierzył w samowystarczalność. Ileż to razy siedziała i obserwowała, jak coś tutaj budował lub naprawiał, niechętny - o czym wiedziała - by przyznać się do niepowodzenia. Stojący w foyer zegar został wykonany w połowie dziewiętnastego wieku przez słynnego zegarmistrza Tima Chandlera. Caroline dobrze pamiętała, jak Channing spędził pół niedzieli, manipulując w otwartym mechanizmie zegara za pomocą narzędzi jubilerskich. Nagle wahadło zakołysało się i zadźwięczał gong, a w kącikach oczu Channinga pojawił się uśmiech zadowolenia. Caroline miała wtedy sześć czy siedem lat.

Caroline minęła warsztat, dochodząc do stojaka na broń.

Wszystko było na miejscu: strzelby do polowań i strzelania do lotek, rewolwer, kusza i wędki do łowienia na muchę. Broń była wyczyszczona, naoliwiona i wypolerowana. Na kołowrotkach spinningów była nawinięta żyłka. Caroline przypominała sobie większość z tych przedmiotów. Ojciec dbał o swoje rzeczy z sentymentu i ze względów praktycznych. Zachowywał wszystko. Rzadko się czegoś pozbywał. Nowe go nie pociągało.

Za stojakiem na broń stał drewniany statyw na noże.

Dziesięcioletnia Caroline pomagała ojcu go budować: sama go polakierowała. Nie mogła się doczekać, aż wyschnie. Razem przymocowali go do ściany i zawiesili na nim noże. Później umieszczali je w nim kolejno, w skórzanych pochewkach.

Na końcu statywu Caroline dostrzegła puste miejsce. W jednej chwili poczuła chłód i przejmujące dreszcze. Odwróciła się i poszła do domu. Zamknęła za sobą drzwi i przez chwilę stała, opierając się o nie. W zasadzie powinna zdać teraz Larry'emu i Betty, a przede wszystkim Brett relację z dzisiejszych wydarzeń. Jednak wiedziała, że nie może tutaj zostać ani chwili dłużej.

Podeszła do telefonu i zarezerwowała pokój w hotelu Resolve.

## SIEDEM

Caroline obudziła się w obcym pokoju. W jej głowie majaczyły jakieś senne wizje. Szare światło za oknem zwiastowało rychły świt. Minęła chwila, nim dostrzegła rozstawione tu i ówdzie stare meble i kontur okiennej framugi. Dopiero po upływie kolejnej chwili zorientowała się, że jest w Resolve, mieście swego dzieciństwa. Czuła, że dryfuje: zbudowanie własnego życia zajęło jej dwadzieścia lat, a odejście od niego - trzy dni.

Włożyła niebieskie dzinsy i sweter, zeszła do recepcji i do dużego kubka naląa sobie czarnej kawy. Wypiła szybko i wymknęła się na główną ulicę miasteczka.

Po jednej stronie znajdowało się łagodne wzgórze, druga zaś wznosiła się stromo ku rwącemu strumieniowi. Sama ulica nie była już pokryta brukiem, lecz asfaltem. Jednak prócz tego niewiele się zmieniło. Caroline ruszyła okoloną drzewami drogą, ciągnącą się pomiędzy dziewiętnastowiecznymi białymi drewnianymi domami zbudowanymi w okresie rozkwitu miasteczka. Wieże kościoła, w którym spotykali się mieszkańcy, były smukłe, choć sam budynek surowy. Żółty parterowy budynek biblioteki nadal otwierano w dziwnych godzinach, zależnie od kaprysu bibliotekarza. Stojący na niewielkim wzniesieniu, cofnięty w głąb od ulicy drewniany masonski ratusz poczeriał ze starości. Channing przyłączył się do loży bardziej z konieczności niż z entuzjazmu. Caroline pamiętała prześmiewcze wyobrażenia matki na temat tajemnych masonskich rytuałów, włącznie z jelenimi rogami, kobiecymi strojami i krwawymi klątwami przeciw niemasonom. Channing znosił to w milczeniu.

Jedynym zaskoczeniem był tutaj nowy dom. Prawie ani śladu sklepów. Okna domu towarowego były zasłonięte żaluzjami, a należący do niego dystrybutor paliwa - nieczynny. Caroline wyobrażała sobie, że taki sklep i stacja benzynowa powinny się znaleźć przy bardziej uczęszczanej drodze.

Dochodząc do miejsca, w którym ulica lekko zakręcała, przechodząc przez most nad strumieniem, Caroline zawróciła. Nad miasteczkiem wisiała atmosfera przygnębienia.

Caroline wróciła do swojego pokoju, zadzwoniła do Brett i zapytała ją, czy zechciałaby z nią pozełgować po jeziorze Winnipe-saukee. Zgoda Brett jakoś wcale jej nie zaskoczyła.

Powietrze było ciepłe, a pogoda lekko wietrzna. Brett z łatwością trzymała rumpel wypożyczonej zagłównki, a jej kręcone włosy rozwiewał wiatr. Zdawało się, że żeglowanie ją odmienia. W czasie jazdy nad Winnipesaukee była zamknięta w sobie, wycofana. Teraz jej twarz nabrała kolorów, oczy stały się jaśniejsze, a instynktowne ruchy zdradzały żeglarską praktykę. Wyglądało to tak, jak gdyby wysiłek fizyczny pomagał jej w jakimś stopniu wydobyć się z depresji. Pojawiło się w niej coś nowego, czego Caroline dotychczas nie dostrzegła.

Powietrze stało się teraz wilgotne, a słońce mocno grzało. Caroline pociągnęła łyk z puszki.

- Tanie wodniste amerykańskie piwo - powiedziała. - W sam raz na takie dni jak ten.

Siadły naprzeciwko siebie na rufie, patrząc na wodę i wzgórza, podczas gdy zakotwiczona łódź kołysała się na falach. Brett trzymała puszkę z piwem i próbowała się uśmiechnąć. Jednak po chwili wróciła do tragicznej rzeczywistości. W jej wyglądzie odbijał się niemy niepokój. Caroline czekała, aż Brett sama zacznie rozmowę.

- Jak było u prokuratora? - zapytała powoli.

Caroline zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Brakuje mu dwóch niezbędnych rzeczy. Po pierwsze, nie może powiązać z tobą tego noża. I, co ważniejsze, nie zna powodu, dla którego mogłabyś zabić swojego chłopaka.

- Bo go nie ma - rzekła krótko Brett.

Znowu wydała się Caroline taka delikatna.

- Pojechałabyś z nim do Kalifornii? - zapytała.

Brett zamrugła.

- Nie sędzę - odpowiedziała ku zaskoczeniu Caroline.

- Czy coś było nie tak?

- Owszem. - Brett patrzyła wprost na nią. - Czasami w ogóle nie miałam pojęcia, co on myśli czy planuje. Kiedy dorastał, sam musiał się bronić. Nie był przyzwyczajony do czyjejś bliskości. Mogłam to zrozumieć. Ale tak przecież nie można żyć.

Więc dlaczego ci na nim zależało? - chciała zapytać Caroline. Nie było to jednak pytanie, które zadałby prawnik. Dostrzegła, że Brett znowu ją uważnie obserwuje.

- Dlaczego stąd odeszłaś? - zapytała Brett. - Nikt nigdy o tym nie mówił. - Przerwała na moment, jakby obawiając się, że popełniła nietakt. - Ani o tobie, ani o twojej matce - dodała szybko.

Caroline lekko się uśmiechnęła.

- Jakież to typowe dla Nowej Anglii!

- Tak, tłumienie wszelkich uczuć... - rzekła spokojnie Brett. - Nie słyszałam, by ktoś wymienił twoje imię przez całe lata, aż do czasu, kiedy zaczęłaś się pojawiać w telewizji. Pamiętam, że dziadek oglądał, jak bierzesz udział w procesie, ale nie odezwał się ani słowem. A moja matka siedziała z zaciśniętymi ustami, usiłując utrzymać nerwy na wodzy.

Caroline wzruszeniem ramion dała znać, że woli o tym nie rozmawiać.

- Czasami milczenie jest tylko milczeniem, a nieobecność - nieobecnością.

Twarz Brett nie zmieniła wyrazu.

- To nie jest milczenie, ciociu. To coś więcej. Szczególnie w wypadku dziadka i mamy.

Caroline pomyślała, że być może Brett sama stara się jakoś uporządkować swoje relacje z rodziną, traktując Caroline jako źródło wskazówek. Uśmiechnęła się krótko.

- Po pierwsze, daruj sobie to „ciociu”. Brzmi, jakbyś mówiła do jakiejś podstarzałej wdowy w potwornym broadwayowskim musicalu. Wystarczy „Caroline”. A co do naszej rodziny, to myślę, że wszystko sprowadzało się do tego, że chciałam być niezależna i byłam całkowicie przekonana, że jedynym sposobem, by to osiągnąć, jest wyjazd. Mogłam się tylko domyślać, co sądzili o tym inni. Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata i - najwidoczniej w przeciwieństwie do ciebie - nie przywiązywałam większej wagi do uczuć innych.

- Dokąd wyjechałaś?

- Spędziłam rok na Martha's Vineyard. - Caroline starała się, by jej głos brzmiał obojętnie. - Potem pojechałam do San Francisco, poszłam na studia prawnicze i tam zostałam. To wszystko.

- Dlaczego właśnie San Francisco? Czy byłaś tam wcześniej?

Caroline pokręciła głową.

- To niezłe brzmiało. Poza tym wydawało mi się, że to najdalsze miejsce, w które mogłabym pojechać.

- Jak sobie radziłaś?

- Pracowałam. Poza tym ojciec zostawił mi trochę pieniędzy z polisy ubezpieczeniowej.

Brett przyglądała się jej przez chwilę, jak gdyby rozdarta pomiędzy własną ciekawością a świadomością, że Caroline jest niechętna do zwierzeń.

- Nigdy nie widziałam nawet zdjęcia twojej matki - powiedziała cicho.

Caroline uśmiechnęła się słabo.

- Nic w tym dziwnego. Nie żyje od trzydziestu lat. - Przerwała. Nie podobał się jej własny ton. - Była drobna, ciemna i bardzo piękna - dodała łagodniej. - Dziecku mogła się wydawać egzotyczna.

Brett wahała się, zapewne widząc wyraz twarzy Caroline.

- Przepraszam - rzekła w końcu. - Ale obie jesteście rodzin nymi tajemnicami. O twojej matce wiem tylko tyle, że była Francuzką i zginęła w wypadku.

Caroline przez moment milczała. Stwierdziła, że łatwiej jej mówić o własnej matce niż o sobie.

- Francuzką i Żydówką - dodała Caroline. - Ten fakt sam w sobie był dla niej wypadkiem. Pierwszym i jedynym, który zaważył na jej życiu.

Była noc. Caroline miała wówczas dziewięć czy dziesięć lat. Mama przyszła do niej powiedzieć jej dobranoc. Zaskoczona i uradowana Caroline poprosiła ją, żeby wymyśliła i opowiedziała jej jakąś historię.

- Nie mam na dzisiaj żadnych historyjek - odpowiedziała Nicole z udawanym zagniewaniem.

Caroline wiedziała, że matka pije. Poznawała to po jej oddechu, lekkości nastroju i rosnącej w takich chwilach trudności z angielszczyzną.

- W takim razie opowiedz mi o twojej rodzinie. O rodzicach i o bracie - poprosiła, ośmielona.

Wiedziała o nich właściwie tylko jedno: że nie żyją. W mroku sypialni milczenie matki leżało Caroline ciężarem na piersiach. Nicole zamarła w bezruchu.

- Naprawdę chcesz posłuchać, Caroline?

Głos matki stał się teraz bardzo wyraźny. Ta nagła zmiana nastroju trochę wystraszyła Caroline. Nie mogła jednak teraz odmówić.

- Tak - odpowiedziała.

Pokój tonął w ciszy.

- Mieszkaliśmy w Paryżu - powiedziała w końcu Nicole. - Mój ojciec uczył prawa na uniwersytecie. Matka była w domu razem ze mną i Bernardem. - Przerwała, by po chwili ciągnąć z lekką ironią. - Pamiętam, że mówiła po francusku dosyć dziwnie. Z pochodzenia była Rosjanką i przyjechała do Francji dopiero w wieku kilkunastu lat. Wówczas czułam jedynie rodzaj dziecięcego zawstydzenia. Była Żydówką, a mój ojciec Żydem. Lecz jego rodzina była bardzo francuska. Tak, chodziliśmy do synagogi, przestrzegaliśmy świąt, lecz pod pozostałymi względami nie czułam się inna od dzieci przyjaciół ojca z pracy. No, może trochę, ale z pewnością nie było to przerażające. - Przerwała. - Czy rozumiesz, jak to jest być Żydem, Caroline? - zapytała cicho. - Wiesz, co działo się w czasie wojny?

Caroline pokiwała głową. Coś w pytaniu matki skłoniło ją, by chwycić ją za rękę.

Nicole Masters nie zauważyła tego.

- Kiedy doszło do inwazji niemieckiej - rzekła cicho - miałam piętnaście, a Bernard dwanaście lat. Marszałek Petain został głową marionetkowego rządu. A ja zaczęłam rozumieć, co znaczy być Żydem. Mając siedemnaście lat, musiałam nosić na ubraniu gwiazdę Dawida. I to z powodu rasistowskiego prawa wprowadzonego nie przez Niemców, lecz rodaków Francuzów.

Mój ojciec protestował przeciw tym prawom, uznając je za niemoralne. Kiedy stracił pracę na uczelni, kilku kolegów zadzwoniło, by wyrazić swoje współczucie. Nikt jednak nie przyszedł. Nigdy więcej nie spotkaliśmy żadnego z nich.

Caroline starała się wyobrazić sobie swoją matkę odizolowaną, swoją rodzinę - Channinga, Nicole i Betty - skazanych na wygnanie.

- Co zrobiliście? - zapytała.

- Ojciec sprzedał dom i całą posesję. Przenieśliśmy się do mieszkania w żydowskiej dzielnicy Paryża. Najostrzej w mojej pamięci rysuje się obraz rodziców siedzących przy stole w mrocznym pokoju: ojciec wąsaty, niski i nieustannie czujny; brat - równie ciemny i jasnooki jak ojciec. Matka wyglądała na posępną i zagubioną. Była w końcu Rosjanką. Widziała to wszystko już wcześniej.

Przez cały 1942 rok trwały łapanki. Żydzi pochodzący z innych krajów byli zabierani ze swoich domów przez francuską policję albo niemieckich żołnierzy, dowożeni do aresztów, a stamtąd na kolej. Nikt nie wiedział, dokąd ich wywożą. Miałam jednak nadzieję. - Nicole przerwała. - Wiesz, idealizowaliśmy naszego ojca. Jeśli on miał nadzieję, my też ją mieliśmy. Byliśmy w końcu Francuzami. A ojciec wierzył, że francuski rząd - jakikolwiek był - nie opuści swoich obywateli. Przynajmniej z powodu dumy.

Caroline obserwowała twarz matki w pokoju oświetlonym jedynie przez księżyc. Wyglądała tak, jakby recytowała znaną na pamięć historię, która ją samą zdążyła już znudzić i zmęczyć.

- Kiedy miałam osiemnaście lat - ciągnęła Nicole - posłali mnie na uniwersytet. Jak gdyby ta próba zachowania p'ozorów normalności mogła mnie przed czymś uchronić. Cóż, w pewnym sensie tak się stało. Pewnego dnia po zajęciach spotkałam Bernarda. Czekał na mnie. Miała być łapanka na Żydów. Dowiedział się o tym przyjaciel ojca z pracy i uprzedził go. Ojciec poprosił, żebym została u przyjaciółki, Catherine, która nie była Żydówką. Błagałam Bernarda, żeby poszedł ze mną. Ale on musiał wracać - w głosie Nicole pobrzmiwała ironia - żeby dać znać rodzicom, że jestem bezpieczna.

Caroline mimowolnie objęła się ramionami. Matka tego nie dostrzegła - ledwie zauważała obecność córki.

- Tej nocy zostałam u Catherine, lecz następnego ranka musiałam sprawdzić, co z rodziną. Dzielnica, w której mieszkaliśmy, powstała jeszcze w średniowieczu. Brukowane uliczki były mroczne i wąskie. Na rogu, o ulicę od naszego domu, natknęłam się na francuskiego policjanta. W każdej ręce niośwał walizkę i płakał. Nigdy przedtem nie widziałam płaczącego policjanta. Za nim, otoczona przez innych policjantów, szła kolumna dzieci i dorosłych niosących pakunki. Na końcu szli moi rodzice i brat. Czekałam, aż się zbliżą. Matka nie zauważyła mnie. Patrzyła wprost przed siebie, a z jej oczu płynęły łzy. Kiedy mnie mijali, dostrzegł mnie ojciec. Zaczęłam coś do niego mówić, chciałam się do niego przedrzeć. Lecz jego usta wymówiły jedno nieme słowo: „Nie”. Popatrzył na mnie jeszcze przez sekundę, by upewnić się, że go posłuchałam, a potem odwrócił wzrok. Wtedy zrozumiałam: moja matka nie była Francuzką, a ojciec i Bernard nie chcieli jej opuścić. Patrzyłam na nich, aż zniknęli za rogiem.

Nagle Nicole zamilkła. W cichym pokoju Caroline wyobraziła sobie, jak za rogiem znikają jej rodzice. Poczwała, że robi jej się duszno.

- Co się z tobą stało, mamó? - zapytała słumionym głosem.



W mroku Nicole wzruszyła ramionami.

- Ojciec Catherine miał jakichś znajomych - odrzekła w końcu. - Posłali mnie do Le Chambon w prowincji Cevennes. Ruch oporu miał tam duże tradycje. Wielu farmerów było protestantami i ich przodkowie cierpieli prześladowania. Resztę wojny spędziłam w rodzinie rolników. Byli dla mnie bardzo mili, podobnie jak reszta wieśniaków. Ale ja cały czas myślałam o rodzicach i Bernardzie, o tym, gdzie są i jak się czują. Modliłam się za nich najlepiej, jak potrafiłam. Po wojnie wróciłam do Paryża. Pracowałam jako tłumacz dla Amerykanów, starając się każdego pytać o dokumenty dotyczące deportacji, o jakiegokolwiek informacji, które mogłyby dotyczyć mojej rodziny. W końcu dowiedziałam się o ich losach od uprzejmego amerykańskiego oficera prawnika...

Nicole urwała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Wystraszona Caroline ścisnęła jej dłoń.

- Co, mammo?

Dopiero wtedy Nicole na nią spojrzała.

- Twoi dziadkowie zginęli w Auschwitz. Podobnie jak chłopiec, który byłby teraz twoim wujkiem.

Caroline instynktownie wyciągnęła ręce, by ją przytulić, lecz Nicole powstrzymała ją, wpatrując się intensywnie w twarz córki, aż łzy w jej oczach zniknęły.

- Jesteś Żydówką, Caroline. Nie ma rządu ani człowieka, któremu mogłabyś zaufać. Pamiętaj o tym, proszę.

Przez dłuższą chwilę Brett milczała.

Siedziały w ciszy, ściskając puszki z piwem. Brett przyglądała się Caroline.

- Jak to się stało, że poślubiła dziadka? - zapytała wolno.

Caroline zebrała myśli.

- Myślę, że po śmierci pierwszej żony, mając już córkę - twoją matkę - był trochę zagubiony. Zostawił więc Betty z jakąś ciotką i wujem i przyłączył się do wojskowego korpusu adwokatów. W powojennym Paryżu jego praca polegała na badaniu niemieckich zbrodni dla trybunału norymberskiego. - Caroline ściszyła głos. - To on był tym miłym oficerem, który powiedział matce o jej rodzicach. Kiedy się o tym dowiedziała, New Hampshire musiało się jej najwidoczniej wydać w miarę bezpiecznym miejscem. A ojciec zakochał się w niej.

Na twarzy Brett pojawił się wyraz sympatii.

- Myślisz, że ona go pokochała?

Caroline patrzyła gdzieś poza nią, na odległe góry.

- Matka zmarła, kiedy miałam czternaście lat - rzekła. - Byłam zbyt młoda, żeby to wiedzieć.

Spojrzenie Brett było łagodne, pytające.

- To musiało być dla ciebie okropne.

Bardziej, niż mogłabyś to sobie wyobrazić, pomyślała Caroline.

- To było trudne - powiedziała na głos, a na jej twarzy pojawił się słaby uśmiech. - Ale czternaście lat to trudny wiek.

Brett milczała. Caroline widziała, jak dziewczyna usiłuje uporządkować brakujące elementy historii swojej rodziny, zastanawiając się, czyich tajemnic serca jeszcze nie rozumie. Jednak Caroline pozostawała dla Brett kimś obcym, Nicole zaś tylko cmentarnym nagrobkiem. Jedyne Channing Masters był realną postacią.

- Jak jej śmierć przyjął dziadek? - zapytała w końcu Brett.

Caroline uchwyciła w jej tonie nie wypowiedziane pytanie: Jak mogłaś go potem tak zranić? Przynajmniej teraz zdecydowała się powiedzieć prawdę.

- Cóż, jestem pewna, że to złamało mu serce - rzekła cicho.

Było około czwartej. Promienie słońca delikatnie połyskiwały na niebieskiej tafli jeziora. Brett popadła w zamyślenie. Opowiedziana przez Caroline historia oderwała ją na chwilę od teraźniejszości. Dobre i to.

- Czy wyszłaś kiedyś za mąż? - zapytała Brett.

- Ani razu - uśmiechnęła się Caroline.

- Czy człowiek nie zaczyna po latach odczuwać samotności?

Caroline zamyśliła się. Zapewne część ciekawości Brett bierze się z tego, że dziewczyna próbuje znaleźć odpowiedzi na własne pytania. Jak często rozmawia teraz z Betty?

- Raczej nie - odpowiedziała. - W końcu zaczynasz się przyzwyczajać do własnego towarzystwa. Oczywiście, ciągle pokutuje pogląd, że samotna kobieta powinna czuć się jałowa, dosłownie i w przenośni. Szczególnie - dodała z przekąsem - jeśli pogarsza swoje położenie, odnosząc sukcesy.

Brett potrząsnęła głową.

- Więc nigdy nie chciałaś mieć dzieci?

Caroline wzruszyła ramionami.

- Moja przyjaciółka powiedziała kiedyś: „Już teraz kocham swoje dzieci za bardzo, żeby dać im matkę taką jak ja”. - Urwała. Brett zasługiwała na coś lepszego. - Być może nawet bym tego chciała, Brett. Ale o rzeczach, na które nic nie możesz poradzić, po prostu nie należy myśleć. Tak jest lepiej.

Brett pokiwała głową, przyglądając się Caroline. Było jasne, że o nic więcej nie zapyta.

Słońce zaczęło blednąć i pojawiły się pierwsze chłodniejsze powiewy bryzy. Caroline narzuciła na ramiona wiatrówkę.

- Co zrobisz - zapytała - kiedy to się skończy?

Brett wyglądała na zaskoczoną.

- Nie wiem - odparła. - Teraz wszystko wydaje mi się nierzeczywiste. Przedtem chciałam pisać. Opowiadania, powieści.

Caroline pomyślała, że dobrze byłoby skłonić ją do rozmowy o przyszłości, o czymś, co nie miałyby związku z Jamesem Case'em.

- Dlaczego pisanie?

- Zdaje się, że mam do tego talent. Tak przynajmniej sądzą moi nauczyciele. Czuję, że zwykła praca w jakiejś firmie to nie dla mnie. Ale myślałam o studiach. Mogłabym wtedy uczyć warsztatu pisarstwa. - Głos Brett stał się cieplejszy. - Pisanie to chyba jedyny zawód, w którym to, co myślisz i czujesz, ma naprawdę znaczenie.

- Dużo pisałaś?

- Mnóstwo. - Brett lekko się uśmiechnęła. - Zawsze to lubiłam. Nawet kiedy byłam mała, cały czas wymyślałam jakieś historie. Wyobrażałam sobie różnych ludzi, miejsca i przedmioty, których nigdy w życiu nie widziałam. Tata zwykł mawiać, że nie odróżniam świata fantazji od rzeczywistości. - Brett rzuciła ku Caroline krótkie spojrzenie.

Caroline udała, że go nie zauważyła.

- A co na to twoi rodzice?

Przez moment Brett milczała.

- Co do tego byli w porządku. Szczególnie dziadek. Zawsze mówił, że pisarz musi mieć swoje miejsce, jak Faulkner w hrabstwie Yoknapatawpha. A ja mam swoje miejsce właśnie tutaj.

- Cóż - rzekła łagodnie Caroline. - Byłoby to z pewnością wygodne dla wszystkich.

Brett uśmiechnęła się.

- Po części rozumiem, że chcą, żebym tutaj została. W końcu dziadek mnie wychował. Wycieczki, odrabianie lekcji, rozmowy o książkach czy pisaniu. Najczęściej czekał na mnie, gdy wracałam popołudniami ze szkoły. Żeby coś ze mną zrobić albo chociaż porozmawiać o tym, jak minął dzień. - Jej uśmiech zbladł. - Rozumiem to, nawet jeśli nie jest to dla mnie wygodne. W końcu wyglądało na to, że ja jedna mu zostałam.

Caroline zdziwiła się. Niezauważalnie prosta i naiwna Brett przemieniła się w Brett poważną i przenikliwą.

- Co masz na myśli?

Brett spojrzała wprost w oczy Caroline.

- To, że moja matka nigdy nie była jego ulubienicą. Ty nią byłaś.

- Nie sędzę. Nie uważam, żeby kiedykolwiek tak było.

Brett potrząsnęła głową.

- Kiedyś, kiedy byliśmy razem na wycieczce, zapytałam go o ciebie. Wyglądał na bardzo zmartwionego, więc nigdy więcej już o tym nie wspomniałam. - Brett zawahała się. - To dlatego tutaj wróciłaś? Dla niego?

- Świat nie kręci się wokół niego - rzekła Caroline. - Prawdę powiedziawszy, wróciłam dla ciebie.

Brett najpierw zdziwiła się, a potem przybrała sceptyczny wyraz twarzy.

- Dlaczego?

- Przecież wiesz, jesteśmy spokrewnione. - Caroline westchnęła. - Jestem prawnikiem i chcę ci pomóc. Sprawy pomiędzy mną a resztą rodziny nie powinny dla ciebie odgrywać żadnej roli.

- Przepraszam, nie chciałam, żebyś pomyślała, że cię olewam.

- Wiem, wiem. - Caroline machnęła ręką. Jej głos złagodniał i pojawił się w nim ton zaciekawienia. - Powiedz mi więc, co na to wszystko twój ojciec?

- Ty i tata przyjaźniliście się, prawda? - Brett odchyliła się.

- Tak, przyjaźniliśmy się.

Brett pokiwała głową.

- Tata jest czasami nie do rozgryzienia... Zostawił wychowanie mnie przede wszystkim mamie. - Głos Brett zabrzmiał sarkastycznie. - To przypadek, w którym wygrywa rodzic bardziej emocjonalny. Ponieważ mama jest, jaka jest, on nie miał w tych zawodach żadnych szans. Wolał uniknąć zaostrenia stosunków, do jakiego by zapewne doszło, jeśli chciałby o mnie konkurować. - Brett przerwała jakby zawstydzona. Caroline jeszcze raz miała okazję dostrzec, jak żywe są emocje tej dziewczyny. - Nie, nie powinnam była tego powiedzieć. Tata kocha mnie. Wiem o tym. Potrafi być taki słodki. Chodzi tylko o to, że on nienawidzi konfliktów. Mama przeżywa wszystko tak intensywnie, że to go przeraża. Czasami wyglądało tak, jakby to dziadek był moim ojcem.

Caroline pamiętała Larry'ego o łagodnych oczach i powoli pojawiającym się uśmiechu, który pierwszy nazwał ją Caro, który potrafił rozmawiać z nią nawet wtedy, gdy Betty i ona nie mogły już ze sobą rozmawiać. Pamiętała go trzymającego na rękach Brett jako niemowlę, patrzącego raz na Caroline, raz na śpiące dziecko z wyrazem zdumienia własnym niespodziewanym ojcostwem. Poczowała złość i smutek, że został odsunięty w kąt życia tej dziewczyny przez Betty i jej ojca.

- Czy kiedykolwiek buntowałaś się? - zapytała Caroline.

Na ustach Brett pojawił się blady uśmiech.

- Widzisz tę antenę satelitarną za domem? - W jej głosie pobrzmiwała ironia. - To była moja rebelia. Straszyłam go, że jeśli nie będę miała kontaktu ze światem - weźmy na przykład *Beverly Hills 90210* - odejdę do szkoły z internatem.

Caroline przypomniała sobie ojca mówiącego, że dzieci nie żyją tylko dla przyjemności swoich rodziców, a rodzice tylko dla przyjemności własnej.

- Nie posłał cię do szkoły? - zapytała cicho. Zauważyła, że żadna z nich nie powiedziała, kogo ma na myśli, mówiąc „on”. Nie było takiej potrzeby.

- Nie - odrzekła Brett podobnym tonem. - Zamiast tego kupił antenę.

- To niewiele jak na rebelię.

- Wiem. Pozwoliłam nawet, żeby mnie zapisali do Chase College, gdzie uczy tata. Wyszło znacznie taniej. Matka twierdziła, że mamy kłopoty finansowe, a ja nie mogłam się zmusić, żeby prosić o pieniądze dziadka. Więc w przeciwieństwie do mamy uczyłam się w sąsiedztwie. - Brett przerwała, jak gdyby przypominała sobie swój gniew. - Oczywiście mama mówiła mi, że James jest buntownikiem. Szczególnie kiedy dowiedzieli się, że sprzedaje narkotyki.

Caroline zamilkła, uwięziona pomiędzy obrazem dziwactw własnej rodziny i wątpliwościami co do niewinności Brett. Wtedy, zaskoczona, dostrzegła łzy ciekące po policzkach dziewczyny.

- Co się dzieje? - zapytała delikatnie.

- Pytałaś mnie o to wcześniej. O to, czy wyjechałabym z nim. - Brett przerwała, starając się zapanować nad swoim głosem. - Nie powiedziałam ci, że teraz cały czas myślę, że mimo wszelkich wątpliwości mogłam z nim pojechać. Po prostu wsiąść z nim do dżipa i już tamtej nocy pojechać na zachód. - Brett zamknęła oczy. - Do dzisiaj dotarlibyśmy do Kalifornii, a James by żył.

Caroline dotarła do swojego pokoju dopiero po jedenastej.

Brett zasnęła w samochodzie. Caroline jechała spokojnie, spoglądając na twarz opartej o zagłówek Brett. Nawet kiedy Brett w końcu się obudziła, Caroline nie zdobyła się, by zapytać ją o nóż.

Stała teraz ze wzrokiem wlepionym w wiadomość od Waltera Farrisa z Białego Domu. Tuż obok, na statywie, numer manchesterskiej edycji „Patriot-Ledger” rozłożony był na stronie zawierającej wypowiedź Caroline. Czemu, zapytała sama siebie, nie zadzwoniłam dzisiaj rano do Farrisa?

Przez otwarte okno do pokoju dostawał się zimny wiatr. Caroline domknęła je. W pokoju było wystarczająco chłodno, by zasnąć.

Przypomniała sobie wyraz twarzy Brett, jej głos, sposób, w jaki o wszystkim jej opowiadała.

Caroline prawnik wiedziała, że nikt nie potrafi odczytać winy czy niewinności z twarzy drugiego. Lecz inna Caroline, której istnieniu zaprzeczało jej prawnicze wcielenie, wierzyła w szczerą Brett, w to, że Brett, z którą spędziła dzisiejszy dzień, nie mogłaby poderżnąć gardła swojemu kochankowi, choćby była najbardziej naćpana.

Jutro zadzwoni do Waltera Farrisa. A potem, żeby zadośćuczynić obydwu połowom swego Ja” - do Jacksona Watta. Zapyta go, czy może zobaczyć miejsce zbrodni: posiadłość, którą ojciec zamierzał jej kiedyś przekazać.

## OSIEM

Caroline od razu dostrzegła w tonie Farrisa nową rezerwę.

- Powinłam była zadzwonić - powiedziała. - Po prostu wszystko działo się zbyt szybko. Możesz sobie wyobrazić, że i Brett, i cała rodzina wystawiona jest na ciężką próbę.

- Rozumiem to, Caroline. Jednak nie jest dla mnie w pełni jasne, czy działasz tam jako adwokat swojej siostrzenicy.

Caroline zamilkła na moment.

- Raczej jako ciotka...

- Niepokoi mnie to twoje spotkanie w biurze prokuratora generalnego. Niezależnie od tego, jakie były twoje intencje, może to stworzyć wrażenie, że nasz kandydat do federalnej ławy sędziowskiej będzie usiłował użyć wpływów swojego przyszłego stanowiska na korzyść własnej krewnej. Albo, co gorsza, że będzie usiłował wpłynąć na tok procesu o zabójstwo.

Caroline poczuła, że jej sytuacja jest krytyczna.

- Wiedz, Walterze, że tutaj to wcale tak nie wygląda. A co do praktyki prawniczej, to będę ją uprawiała, dopóki Senat nie zatwierdzi mojej nominacji. To standardowa procedura.

- Oczywiście. - Jego głos miał chyba w zamierzeniu brzmieć cierpliwie. - Ale za taką nie można uznać reprezentowania członka rodziny w świeżo otwartym procesie o tego rodzaju zabójstwo. To nie jest rozsądne. Na pewno nie unikniesz zaangażowania emocjonalnego, a tego adwokat powinien się strzec. Jeśli twoja siostrzenica potrzebuje prawnika, to najlepsze, co możesz dla niej zrobić, to pomóc jej go znaleźć.

Caroline wiedziała, że sama powiedziałaaby dokładnie to samo.

- Jeśli Brett zostanie oskarżona, zamierzam tak właśnie postąpić. Ale wszyscy tutaj mamy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Nawet jeśli do tego nie dojdzie - ripostował Farris - to w czasie twoich rozmów kwalifikacyjnych mogą się pojawić pytania, których żadne z nas nie chciałoby usłyszeć. - Dokończył już chłodniejszym tonem: - Żyjemy w świecie, który stawia przed nami ostre wymagania, Caroline. Republikanie kontrolują Senat i chociaż mamy dużą swobodę w obsadzaniu naszych stanowisk, adwokacki feministki nie są w tym roku na topie. Potrzeba nam tylko kogoś takiego jak Jesse Helms, kto nie omieszkałby wykorzystać tych „pozorów niestosowności”, żeby cię usadzić. Nie owijając w bawełnę - prezydent ma zbyt ograniczony kapitał polityczny, żeby się tutaj narażać. Wszystko, co tam

robisz, prócz trzymania tej dziewczyny za rękę, robisz na własne konto.

- Oczywiście - odrzekła Caroline ze spokojem, którego bynajmniej nie odczuwała. - Będę ostrożna. Powiedziałam prezydentowi, że ta nominacja oznacza dla mnie więcej, niż mogłabym wyrazić słowami. Równie ważne jest dla mnie jego zaufanie. - Przerwała. - I twoje.

- Wiem. - Farris był gotowy do odwieszenia słuchawki, a jego głos nabral podnoszącego na duchu brzmienia. - To przecież jeszcze żadna sprawa. A wszystko, czego chcemy, to żeby taką się nie stała. - Zamilkł, by podkreślić swoje słowa. - W porządku?

W ciszy swojego pokoju Caroline pokiwała głową.

- W porządku.

Przez jakieś pół godziny Caroline leżała na łóżku i rozmyślała.

Przez szyby wślizgiwały się do pokoju blade promienie porannego słońca. Znane z dzieciństwa miasto za oknami było bardziej obce niż wczoraj. Jednak gdy znowu podniosła słuchawkę telefonu, wyglądało na to, że jakoś na nowo w nim utkwiała.

- Jackson Watts - głos w słuchawce był szorstki.

- Tu Caroline - zaczęła bez wstępów. - Czy to przypadkiem nie ty powiedziałaś ludziom z „Patriot-Ledger”, że cię odwiedziłam?

- Nie, nie zrobiłem tego. W moim wypadku raczej nie wchodziłoby to w grę. Z zasady nie rozmawiam z prasą, chyba że są ku temu jakieś rzeczywiście ważne powody. A tu takich nie było.

Chociaż w jego głosie nie było słyhać złości, Caroline poczuła się skarcona.

- Przepraszam - powiedziała.

- W porządku - zamilkł na moment. - Czy właśnie po to dzwonicz?

- Niezupełnie...

- Bo chciałbym z tobą porozmawiać.

Teraz zaskoczona była Caroline.

- O Brett?

- Nie - mówił zdławionym głosem, jakby z oporem. - O wszystkim oprócz Brett.

Caroline siadła na łóżku, prostując nogi.

- Czy to rozsądne? - zapytała łagodnie.



- Nie zamierzam łamać żadnych zasad kodeksu etycznego, jeśli o to ci chodzi. - Znowu przerwał. - Kiedy wyszłaś z mojego biura, czułem, że nasza rozmowa pozostała nie dokończona. Pojawiłaś się nagle i równie nagle zniknęłaś. Nie powiedziałaś właściwie nic prócz tego, co miało związek ze sprawą Brett. Przypomniałaś mi o swoim istnieniu, ale nic prócz tego...

Caroline dotknęła palcami powiek.

- Kiedy i gdzie? - zapytała.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz?

- Tak.

- Dzisiaj wieczorem jadę do swojego domku kempingowego nad jeziorem. Zostanę tam na cały weekend. - W jego głosie słychać było odprężenie i niemal chłopięcą radość. - Jutro? Może zabiorę cię na ryby.

- Świetnie. - Caroline zawahała się, po czym dodała. - Jest jeszcze coś, Jackson.

- Co takiego?

- Miejsce przestępstwa. Chciałabym je zobaczyć. Dzisiaj, jeśli to możliwe - powiedziała łagodnie. - Bądź co bądź, należy do mojego ojca.

Przed wyjazdem nad jezioro Caroline wykonała jeszcze jeden telefon.

Było wczesne popołudnie, gdy dotarła do wjazdu na leśną drogę. Parkował tam wóz policji stanowej. Żółta taśma otaczająca miejsce zbrodni była już przecięta.

- On jest tam, nad jeziorem - powiedział jej policjant.

Caroline podjechała do końca drogi i zatrzymała się obok jego furgonu.

Siedziała w samochodzie, rozglądając się. W końcu wysiadła i brodząc w igłach i gnijących liściach, weszła w gęsty sosnowy las, całkowicie przesłaniający widok na wody jeziora Heron.

Ten zapach, jak zauważyła, był wszczepiony w jej zmysły. Nie pamiętała, by była w tym miejscu od czasu owej wiosennej nocy spędzonej tutaj z Jacksonem dwadzieścia trzy lata temu. Ojciec kupił tę ziemię dla niej. Miała tu zbudować altankę, a może nawet dom, który na wieki pomieściłby w sobie jakąś jej część. Jednak porzuciła te plany. I być może właśnie dlatego w niepojętym łańcuchu wydarzeń Brett Allen przyprowadziła tutaj swego kochanka, by zginął.

Caroline powoli weszła pomiędzy drzewa. Gęste konary filtrowały słoneczne promienie niczym okna katedry. Mimo to nie było trudno odnaleźć ścieżkę, którą uciekała Brett. Biegła chaotycznym zygzakiem i była oznaczona kawałkami żółtej taśmy. Caroline wzięła jeden z nich do ręki. Na liściach dostrzegła wyblakłą purpurową plamę. Była pewna, że to ślad krwi pozostawiony przez uciekającą Brett.

Poczuła bliskość otaczającego ją chłodnego lasu. Ruszyła szybszym krokiem. Gdy zbliżyła się do skraju polany, między drzewami prześwitywały niebieskie plamy tafli jeziora. Caroline zaczerpnęła głęboko powietrza.

Dostrzegła go, wychodząc spośród drzew.

Stał kompletnie nieruchomo nad wodą, patrząc poprzez jezioro w kierunku domku wędkarskiego, który w latach trzydziestych zbudował jego ojciec. Caroline najbardziej uderzyło to, że nadal trzyma się tak prosto.

Przystanęła przy brzegu.

- Witaj, ojciec - rzekła chłodno.

Odwrócił się do niej.

Nie czekając na odpowiedź, uklękła. Przez jakąś chwilę, myśląc o Jacksonie i ich pierwszym, pełnym zahamowań stosunku, przywołała owe podszyte poczuciem winy podejrzenia, że ojciec może ich podglądać. Jednak szybko skupiła się na swoim zadaniu. Zauważyła, że trawa w jednym miejscu wygląda na wygniecioną. Domyśliła się, że prawdopodobnie tutaj się kochali, a potem tutaj właśnie znaleziono ciało. Nie mogła jednak mieć pewności, bo od nocy, w której doszło do zabójstwa, padało.

Czuła obecność stojącego nad nią ojca.

- I co? - zapytał.

- Jackson robi wrażenie. - Odwróciła wzrok od trawy, patrząc teraz w jego czarne przenikliwe oczy. - Twierdzi, że nie ma śladów, które wskazywałyby na to, że był tu ktokolwiek inny.

- Żadnych śladów krwi? - Oczy Channinga zwęziły się.

- Żadnych. Z wyjątkiem tych, które zostawiła Brett.

Sztywno ukląkł naprzeciwko Caroline, wpatrując się w trawę.

- Oczywiście zakładają, że był unurzany we krwi... - powiedział.

- Kto taki?

- Morderca. - Channing wyciągnął rękę, jak gdyby trzymając wyimaginowaną głowę. - Przypuśćmy, że klęknął z tyłu, za głową Case'a. Wtedy... - W milczeniu Channing wykonał drugą, dzierzącą niewidzialny nóż ręką ruch podcinający gardło wyimaginowanej ofiary. - Siedząc w tym miejscu, nie zostałby ochlapany krwią.

Caroline przeszedł dreszcz.

- Jackson mówi też, że nie było podeptanych liści, żadnej innej ścieżki, którą mógłby uciec.

- A dlaczego miałyby być? Czy Brett mówiła, że coś słyszała?

- Nie wspomniała o niczym.

- W porządku. - Głos Channinga stał się niecierpliwy. - W takim razie nie uciekł stąd przez las.

Wstał, zakołysał się lekko przez moment, uskarżając się z niesmakiem na swój wiek. Dał znak Caroline, by poszła za nim.

Idąc w pewnej odległości od siebie, w milczeniu doszli nad brzeg jeziora. Caroline zdała sobie sprawę, że nie zamienili ani jednego słowa, które nie dotyczyłoby Brett.

Channing Masters zatrzymał się i wbił wzrok w łatę mokrego piasku.

- Tego właśnie szukałem.

Tuż przed nim widniały ślady cięższych i dwóch par lżejszych butów. Były różnych rozmiarów.

- Ślady lżejszych butów należą pewnie do policjantów, którzy podbiegli do wody, poszukując mordercy - mówił cicho. - Odcisk cięższego obuwia może należeć do zabójcy, który uciekł wodą.

- Poruszając się wzdłuż brzegu? - Caroline nie patrzyła na ojca.

- Tak. Może nawet użył małej łódki.

To wyrwało Caroline z wyimaginowanego świata, w którym niemal udało jej się uwierzyć w tę historię. Znowu stanęła twardo na ziemi.

- Łódki? To niemożliwe.

Channing zmarszczył brwi.

- Przecież przypływaliśmy tutaj łódką z obozowiska wędkarskiego - powiedział szorstko. Wskazał palcem na pomost. - Pamiętasz, urządzaliśmy tam pikniki.

Caroline wiedziała, że w jego słowach kryją się nie zagojone rany.

- Doskonale pamiętam - odpowiedziała cicho. - Ale jeśli ktoś przepływał łodzią obok nas, na pewno byśmy go zauważyli i usłyszeli. Brett również.

- Tak sądzisz? Pod wpływem narkotyków? Poza tym była noc.

Caroline pokręciła głową.

- Przykro mi, ojcze, ale to nie ma sensu. Czy planujący zabójstwo morderca przypłynąłby tutaj łodzią w przekonaniu, że półprzytomna ofiara odda mu swe gardło, podczas gdy jej dziewczyna pójdzie sobie popływać? Nie prosź mnie, żebym próbowała przekonać kogoś do tej wersji wypadków.

Channing zamilkł. Caroline odwróciła się od niego, śledząc wzrokiem wijącą się linię wybrzeża.

- Wersja z ucieczką wzdłuż brzegu wydaje mi się nieco lepsza. Przynajmniej dlatego, że nie będziemy musieli pokazywać Jacksonowi żadnych odcisków stóp. Tylko jak on się tutaj dostał?

Ojciec niechętnie odwrócił się w jej stronę.

- Tą samą drogą. A może zależy ci tylko na tym, żeby się ze mną sprzeczać?

To ją zabolalo.

- To byłoby niewyobrażalnie egocentryczne. Próbuję tylko znaleźć jakąś ścieżkę obrony Brett. Najlepiej skuteczną.

Oczy Channinga błysnęły nieprzyjaźnie.

- Więc próbuj - mruknął.

Caroline patrzyła na niego spokojnie.

- Właśnie dlatego cię tutaj poprosiłam - powiedziała, odwracając twarz w kierunku drzew.

Po chwili podeszła do łąty brudnego piasku nad brzegiem jeziora, oddzielonej od polany jedynie wąskim pasem krzewów i kilkoma drzewami. Dotarłszy tam, zatrzymała się. Nawet po deszczu ziemia była twarda. Poczwała za plecami podążającego za nią ojca.

- Teoretycznie - rzekła - mógł zacząć się tutaj. Nie musiałby łamać żadnych gałęzi, a ziemia jest zbyt twarda, żeby pozostawić wyraźne odciski stóp. Taką hipotezę można by przynajmniej podsunąć do zbadania ludziom z laboratorium kryminologicznego.

Channing przez chwilę milczał.

- Znaczy się, że znowu usiłujesz zrobić to samo: działasz jak obrońca, który dla swego klienta chce sfabrykować wiarygodne alibi.

- Znowu? Nigdy tak nie postępowałam. Mogłeś sobie to jedynie wyobrazić. - Zniżyła głos. - Dla każdego prócz ciebie jest jasne, że nie powinnam się zajmować przypadkiem Brett. Włączywszy, co ciekawe, moich znajomych z Białego Domu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Caroline z rękami w kieszeniach patrzyła w stronę jeziora. Odbijające się na jego powierzchni promienie słońca błędziły po drobnych falach.

- Dzwonił dzisiaj doradca Białego Domu - powiedziała w końcu. - Przeczytali ten tekst w „Patriot-Ledger”.

- Tak, widziałem to - rzekł obojętnie.

- Chodzi o to, że ktoś powiedział temu reporterowi o mojej wizycie u Jacksona. - Przerwała. - To stawia mnie w trudnej sytuacji, ojczy. Rzecz jasna, jeśli zależy mi na tym, żeby kiedykolwiek zostać

sędzią federalnym.

Channing skrzyżował ręce na piersiach.

- Kiedyś też miałem jakieś ambicje. Przynajmniej, żeby zostać sędzią stanowego sądu najwyższego. A może kimś więcej. Zapomniałem o tym, kiedy zmarła twoja matka. Z twojego powodu.

Caroline słuchała.

- Z mojego czy z jej powodu? - zapytała cicho.

Channing pobladł.

- A jak myślisz, Caroline? - odrzekł równie cicho.

Odwróciła się od niego.

- Te dwie sprawy wcale nie są do siebie podobne - powiedziała chłodno.

- Czyżby? - Channing wpatrywał się w nią.

- Przynajmniej dla mnie. Nie mogę tutaj więcej występować jako osoba publiczna.

- Ach tak. - W jego głosie pobrzmiwało lekceważenie.

Caroline znowu zwróciła się ku niemu. Mrużąc oczy, patrzył gdzieś w dal, ponad wodami jeziora, jak gdyby nie obchodziły go jej niepokoje.

Powiedziałeś im więc, zdała sobie sprawę, żeby zmusić mnie do wyboru. Utknęła pomiędzy wątpliwościami a chęcią rzucenia mu w twarz oskarżenia.

- O co chodzi? - zapytał cicho.

Caroline przez chwilę milczała. Lecz kiedy zdecydowała się mówić, również zaczęła od pytania.

- Czy pamiętasz nóż, który ci kiedyś dałam?

Jego twarz znieruchomiła.

- Co z tym nożem?

- Nie ma go tam, gdzie go trzymałeś.

Jego oczy poszerzyły się, a spojrzenie stało się chłodne. Caroline wiedziała, że zrozumiał, o co jej chodzi. Jednak kiedy się odezwał, jego głos brzmiał łagodnie.

- Był taki czas - zanim zacząłem przyzwyczajając się do różnych przedmiotów - kiedy wszystko, co kojarzyło się z tobą, sprawiało mi ból. Przypominało o utraconych nadziejach - powiedział obojętnie. - Oddałem komuś ten nóż. Przed wieloma laty.

Caroline zawahała się.

- Pamiętasz komu?

- Nie. Wtedy to nie było dla mnie istotne. - Na jego twarzy pojawiło się zdecydowanie. - Czy to wszystko, Caroline?

Nie czekając na odpowiedź, Channing Masters odwrócił się i poszedł do samochodu.

Caroline spędziła popołudnie w samotności.

Zdawała sobie sprawę z tego, że wszystko, co robi - telefon do biura, sprawdzanie poczty, odpowiadanie na gratulacje przyjaciół i klientów - to tylko próba ucieczki przed prawdziwym problemem. Jej wyrazy wdzięczności brzmiały pusto niczym kwestie recytowane przez kiepską aktorkę. Jak gdyby chcąc sama w to uwierzyć, powiedziała sekretarce, że zamierza wrócić w ciągu czterech dni. Jednak nawet mówiąc o tym, nie mogła przestać myśleć o Brett.

Jej portfel leżał na łóżku. Sięgnęła po niego, odkładając słuchawkę. Wewnątrz znalazła karteczkę z zapisanym numerem seryjnym noża. Wyjęła ją.

Po dziesięciu minutach spędzonych na rozmowach międzymiastowych udało jej się zdobyć numer Cahill Knife Company. Po kolejnych pięciu rozmawiała już z pracowniczką firmy, mając nadzieję, że ta jakoś będzie mogła jej pomóc.

Kobieta sprawiała wrażenie niezadowolonej.

- Jaki jest ten numer?

Caroline powoli go powtórzyła. W słuchawce zapadła cisza. Z jakichś przyczyn - być może z racji swego spotkania z Jacksonem Wattsem - Caroline wydawało się, że nie jest pierwszą osobą, która tam dzwoni.

- Do czego właściwie potrzebuje pani tych informacji? - zapytała ostrożnie pracownica.

- Żeby zbadać, do kogo mógł należeć. Albo przynajmniej komu go sprzedano.

- A to po co?

Caroline zawahała się, czując nagłe napięcie.

- Jestem prawnikiem - powiedziała powoli. - Ten nóż może stać się dowodem w sprawie sądowej.

- Jak się pani nazywa?

Znowu pauza.

- Masters. Caroline Masters.

- Aha. - I znowu cisza w słuchawce. - Cóż, nie wiem, czy uda się ustalić, gdzie go sprzedano...

- Mogłaby pani przynajmniej spróbować? - W głosie Caroline pobrzmiwała błagalna nuta. - Nawet rok produkcji byłby dla mnie jakąś wskazówką.

- Niech pani da mi dwa albo trzy dni i zadzwoni. Może wtedy będę coś miała. - Kobieta przerwała, jak gdyby żałując własnych słów. - A jak może pani pomóc rok produkcji?

- Cóż, to tajna sprawa. Ale rok produkcji może mi wiele powiedzieć. Proszę! To bardzo ważne.

- No dobrze - rzekła kobieta.

Caroline uprzejmie podziękowała i odłożyła słuchawkę.

## DZIEWIĘĆ

Caroline i Jackson Watts podążali wolno w kierunku środka jeziora Heron. Silnik za rufą czarnego, przypominającego łódź desantową pontonu wydawał głuchy dźwięk, pchając ich poprzez wody. Niebo było jaskrawoniebieskie, a promienie słońca połyskiwały niczym mika na powierzchni wody. Mogłoby się здаwać, że to dzień z młodości Caroline.

Rozmawiali niewiele. Jackson zabrał ją zielonym pikapem. Z tyłu miał załadowane wędkę. Jechali do jego domku wędkarskiego - spartańskiej chaty z lat trzydziestych nieco przypominającej domek ojca - z miłą, choć niewielką kuchnią i widokiem na jezioro poprzez drzewa. Jackson oprowadził ją nieco nieporadnie. Caroline zauważyła owczarka niemieckiego śpiącego na derce obok kamiennego kominka, oprawioną fotografię ładnej brązowowłosej, mniej więcej trzynastoletniej dziewczynki. Potem, jak gdyby przypominając sobie swoją przeszłość, zeszli drewnianymi schodami nad jezioro, wsiedli do pontonu i wrzuciwszy do niego dwa wędziska, odbili od brzegu. Dokładnie to samo robili kiedyś, gdy pragnęli być ze sobą, choć nie czuli się zobowiązani do rozmowy, jeśli z jakichś powodów im na tym nie zależało. Na jeziorze prócz nich nie było nikogo.

Leniwym ruchem ręki eksperta Jackson zarzucił spławik. Caroline odchyliła się. Obejmując rękami burty pontonu, cieszyła się pogodą. Sosny, brzozy i klony porastały brzeg i strome zbocza, jakby otaczał ich kokon. Miejsce śmierci Jamesa Case'a było zbyt odległe, żeby je stąd dostrzec. Caroline czuła, że Jackson będzie omijał je z daleka. Powietrze było chłodne i nieruchome.

Jackson wyłączył silnik. Ponton ledwie sunął, leniwie kołysząc się na wodzie.

- A więc pojechałaś tam - rzekł w końcu.

Caroline wpatrywała się w niebo.

- Masz na myśli miejsce przestępstwa? Tak. Wszystko wydało mi się dosyć dziwne.

- Mnie także - dodał Jackson.

Znowu zamilkli.

Wtedy był taki słodki, pomyślała Caroline. Był, rzecz jasna, nazbyt zapalczywy, ale szanował ją. Cóż mógł poradzić na to, że był to jego pierwszy raz - podobnie jak i jej. Cóż poradzić na to, że kiedy pożądanie Caroline odnalazło wreszcie swe spełnienie, to nie z Jacksonem Wattsem.

Patrzyła teraz na jego starszą o dwadzieścia lat twarz, na zmarszczki wokół śledzących spławik oczu. Kości policzkowe wystawały bardziej niż kiedyś. Wspominając jego dawny zagadkowy uśmiech, zdała sobie sprawę, że jeszcze go teraz nie widziała.



- Ten list... - powiedziała w końcu.

- Tak? - Na jego twarzy pojawiło się napięcie.

- Zawsze było mi przykro z tego powodu... - powiedziała z wahaniem. - Ale teraz, kiedy cię widzę, jest mi jeszcze bardziej przykro.

- Dlaczego? - Spojrzał na nią.

- Bo przypominam sobie, jak bardzo mi się kiedyś podobałeś.

Jackson zmrużył oczy w zamyśleniu, być może wspominając te bolesne przeżycia.

- Nie wiedziałem, co z tym począć: „Nie dzwoń, nie pisz, nie próbuj mnie szukać - nigdy już nie wrócę”. Byłem bezradny. - Wzruszył ramionami. - Nie miałem pojęcia, co ze sobą zrobić.

Mówił monotonna i beznamiętnie, lecz Caroline wiedziała, jak głęboko go wtedy zraniła. Pokręciła głową.

- Najtrudniej było mi wyjaśnić, że nie chodziło o ciebie. Wiem, że to tylko pogarsza całą sytuację. To, co zrobiłam, nie było miłe. Ale wtedy nie byłam miłą osobą. Teraz pewno też nią nie jestem.

Jackson spojrzał na nią pytająco.

- Powiedziałaś wtedy tylko, że to konieczne. Tak jak gdybyś nie miała wyboru. - Przerwał, by za chwilę ciągnąć zdławionym głosem: - Przez wszystkie te lata zastanawiałem się, jak to mogłoby być. Nie zostawiłaś po prostu mnie - zostawiłaś to miejsce, rodzinę, życie, które dla siebie zaplanowałaś.

- I dlatego możesz mi wierzyć, że to nie było z twojego powodu.

Odwrócił się i zapatrzył w jasne lustro wody.

- Wiesz - rzekł cicho. - W końcu zapytałem o to twojego ojca. Kiedy już nie mogłem wytrzymać.

Caroline poczuła ucisk w piersiach.

- I co powiedział?

- Że miałaś jakieś własne powody. I że on nie mógł nic zrobić, żeby cię zatrzymać. Miałem wrażenie, że przypominam mu o kimś, o kim pragnąłby zapomnieć. Potem rzadko go widywałem. - Znowu spojrzał jej w twarz. - Co sprawiło, że wróciłaś, Caroline? - dodał cicho.

Caroline uśmiechnęła się błagalnie.

- Proszę! Nie chcę być jednym z tych samodzielnych, samowystarczalnych i uznających własną osobę za punkt odniesienia samotnie żyjących ludzi, dla których każdy wstrząs z ich młodości wart jest opisanego w powieści dorosłego życia. To byłoby dla mnie żenujące.

Jackson nie uśmiechnął się. Po prostu patrzył na nią przez chwilę, a potem rzekł:

- W końcu to nie ty prosiłaś o tę rozmowę, tylko ja.

Caroline spoważniała.

- Gdyby rozmowa o mojej rodzinie miała jakiś sens, mogłabym o niej porozmawiać. Ale to nie ma sensu. Musisz mi po prostu uwierzyć. I, mam nadzieję, przyjąć moje przeprosiny, jeśli nie jest na nie za późno.

Jackson przyglądał się jej uważnie.

- Nie - rzekł w końcu. - Nie jest na to za późno.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Chyba zarzucę wędkę - odezwała się w końcu Caroline.

Wędkowali. Dla Caroline chwile te miały ponadczasowy wymiar rytuału, w którym uczestniczyła razem z przyjacielem: czynności, która po latach przerwy znowu ją pochłonęła w ciągu paru chwil.

- A więc chcesz zostać sędzią? - zapytała Caroline.

- Uhm - przerwał. - Zaczynam odnosić wrażenie, że walka na procesach to zabawa dobra dla młodych. Uważam - a właściwie mam nadzieję - że potrafiłbym poprowadzić proces. - Uśmiechnął się. - Nie tak jak ty, rzecz jasna.

- Masz na myśli widowiskowość? - Caroline uniosła brwi.

Na jego twarzy pojawił się pierwszy półuśmiech, który pamiętała.

- Miałem na myśli twoją godną podziwu sprawiedliwość. No i erudycję, oczywiście, którą tak świetnie się popisywałaś w Court TV. - Spojrzał na nią z ukosa. - Pamiętasz, kiedy zdecydowałaś, żeby zostać sędzią? Wówczas były to wielkie ambicje jak na kobietę. Nie mówiąc o nastolatce.

- Tak - rzekła sucho. - Byłam nazbyt pewna wszystkiego. Łącznie z tym, że to, czego chcę, po prostu mi się należy.

- Życie na Masters Hill - odpowiedział równie sucho - może czymś takim zaowocować.

W ciszy dzielili chwilę wspomnianego rozbawienia, żartu z minionych lat. Jackson, syn pastora z Connaughton Falls, nigdy nie narzekał na nadmiar pieniędzy. Podczas gdy Caroline poszła do Dana Hall, on musiał poprzestać na lokalnej szkole i walczyć o stopnie, by dostać stypendium Williamsa. Kiedy Caroline wracała z wakacji, on zawsze z tą samą powagą pytał ją o życie klasy wyższej. Jednak nawet jako nastolatek Jackson był daleki od wrogości czy zawiści. Stosunki pomiędzy nimi były pełne łagodności.

- Zawsze zastanawiałem się - powiedział po jakimś czasie - jak wiele z twoich sędziowskich ambicji zawdzięczałaś Channingowi.

- Wtedy? Pewno sporo. Lecz już dawno temu stało się to moją ambicją i przestałam pamiętać czy nawet zastanawiać się, jak się zrodziła.

Jackson lekko zakołysał swoim spławikiem, mając nadzieję, że zwabi w ten sposób jakąś przepływającą rybę.

- W takim razie musi to dla ciebie wiele znaczyć.

Caroline wbiła wzrok gdzieś w dal.

- Więcej, niż mogłabym wyrazić słowami - powiedziała w końcu. - Tak wiele, że nawet mówienie o tym mnie przeraża. Boję się zapeszyć.

Jego twarz stała się teraz poważna.

- No tak, sprawa Brett. Bardzo ci zależy, żeby się do niej nie włączyć.

Caroline patrzyła na niego, milcząc.

- Byłbyś świetnym sędzią, Jackson. Zawsze byłeś sprawiedliwy i, rzecz jasna, nadal jesteś.

Jackson oglądał kołowrotek. W tej chwili Caroline poczuła, że brak mu w życiu kobiety. Potem poczuła zażenowanie, że tak mało o nim wie, że o tak niewiele pytała. A Jacksonowi w pewien sposób ciągle na niej zależało.

- Opowiedz mi o swoim małżeństwie - poprosiła.

Jackson nawinał nieco żyłki na kołowrotek.

- Tak po prostu?

Caroline uśmiechnęła się.

- Jeśli już o tym myślałeś. A sądzę, że tak.

- Cóż, przynajmniej starałem się dokonać jakiejś racjonalizacji. - Pochylił się i oparł plecami o burtę pontonu. - Carole należy do osób, które potrafią rozruszać całe przyjęcie. Ma piękny uśmiech, często się śmieje, a nowe miejsca i ludzie to jej żywioł. Najpierw byłem nią oczarowany. Potem doszedłem do wniosku, że to nie tyle jej cecha, ile objaw.

- Objaw? Co masz na myśli.

- Według mnie Carole - a moje wyobrażenie o niej jest wygładzone przez liczne wizyty u adwokata - była kobietą wiecznie niezadowoloną z życia. Jakakolwiek przyszłość była dla niej lepsza od terażniejszości, bo w tej ostatniej zawsze coś było nie w porządku. - Odwrócił się do niej. - Pamiętasz, mówiłaś coś podobnego o swojej matce.

Przez umysł Caroline przemknęło krótkie bolesne wspomnienie.

- Sądziłam tak jako nastolatka. Teraz nie jestem tego taka pewna. - Usiłowała nadać swojemu głosowi barwę gorzkiej drwiny. - Ale jeśli chodzi o twoją żonę, ty jesteś przecież „wykwalifikowanym dorosłym”.

Wzruszył ramionami.

- W każdej sytuacji byliśmy różni. Żona dbała o moje przyjemności, sądząc, że dobrze się bawię. Zdecydowała się pójść do szkoły prawniczej. Ledwie zdołałem uzbierać na to trochę pieniędzy - to było na początku naszego małżeństwa - stwierdziła, że nie cierpi prawników. Co chyba wziąłem po trosze do siebie. - Cicho westchnął. - I, jak się okazało, miałem rację. Dla Carole wszystko było proste: oczarować pracodawcę, dostać pracę i szybko się nią znudzić; znaleźć następną i z niej też zrezygnować. Obawiam się, że to była przyczyna początku końca. Nasze weekendy przypominały tragikomedię: Carole wylegiwała się w łóżku, a potem do południa siedziała przy toalecie, zupełnie na mnie obojętna. Dopiero kiedy mieliśmy iść na jakieś przyjęcie, zapalała się niczym żarówka. Im szerzej uśmiechała się do nieznanomych, tym bardziej drażył mnie gniew na jej oszustwo. Ale bałem się powiedzieć o tym nawet słowo. Bo, podobnie jak wielu prawników, nie cierpię konfliktów, które toczą się poza sądem. A przynajmniej takich, w których nie przestrzega się żadnych reguł. - Przerwał, by po chwili ciszej dokończyć: - Trzeba przyznać, że miała duży temperament. Nigdy nie udało mi się rozgryźć, na czym to polegało.

- I jak się to skończyło?

Jackson milczał przez moment.

- Pewno zabrzmiało to jak dowcip - powiedział w końcu. - Jak z „New Yorkera”. Któregoś dnia zatrąłem się czymś w czasie lunchu i wcześniej wróciłem do domu. Zastałem ją w łóżku z jej osobistym trenerem. To była właśnie cała Carole w swym najlepszym wydaniu. Nie pieprzyłaby się z byle sąsiadem lub terapeutą, bo to akurat nie było w modzie. - W jego głosie pobrzmiwało wspomniane zaskoczenie. - I wiesz, co wtedy pomyślałem? Że po raz pierwszy od lat widzę ją w pozycji jeźdźca...

Caroline roześmiała się.

- Przepraszam - zdołała wykrztusić. - A dlaczego nie z ogrodnikiem?

- Bo nie było nas na niego stać. Już na trenera wydawaliśmy fortunę. W każdym razie w tym momencie straciłem resztki sił, żeby walczyć o przetrwanie naszego małżeństwa. Nie została we mnie ani krztyna dobrej woli. - Jego uśmiech objął tylko dolną część twarzy. - Tak więc pozostała mi po niej jedynie ta historyjka, którą do dzisiaj z nikim się nie podzieliłem.

Caroline przyglądała się mu, teraz już bez uśmiechu.

- To brzmi niczym kiepski żart.

- „Kiepski” to dobre słowo. Czułem się kiepsko, bo przecież kochałem ją wystarczająco, żeby się z nią ożenić, a potem nic już do niej nie czułem. Nie chciało mi się nawet walczyć o naszą córkę.

Caroline zamilkła.

- Wiesz, co mnie teraz niepokoi? - rzekł w końcu Jackson. - Wspomnienie, jak bardzo byłem pochłonięty swoją karierą. Może dlatego postąpiłem tak beztrzesko, żeniąc się z Carole. Nasze małżeństwo było do niczego. I to, że być może, kiedy to jeszcze dla mnie coś znaczyło, mógłbym coś zmienić. I że właśnie ja byłem dla niej powodem nieszczęścia.

Caroline przyglądała się mu przez chwilę.

- Wprawdzie nic o tym nie wiem, ale nie sądzę, żeby tak było.

- Cóż. Teraz już i tak po wszystkim. - Jackson wzruszył ramionami.

Caroline siedziała naprzeciw niego, dzierżąc wędzisko.

- Ile lat miała wtedy twoja córka?

- Osiem. To nie był dobry wiek na takie sprawy. - Lekko odchylając rumpel, Jackson zawrócił ponton, by utrzymać go w pewnej odległości od brzegu. - Teraz ma szesnaście. Co dla nas nadal nie wydaje się właściwym wiekiem.

- W jakim sensie?

Odwrócił się do niej.

- Powiedz, ile nieudanych obiadów z rozwiedzionymi facetami miałaś okazję przecierpieć? Ilu nasłuchiwałaś się historii o dzieciach, których nie znają i których - jak wnioskujesz z ich słów - nie mają szczególnej ochoty poznać.

- Z pewnością jeszcze nie za wiele. - Caroline uśmiechnęła się.

- Spróbuję opowiedzieć to w miarę zwięźle. Historia nie jest oryginalna, więc chyba nie będzie to trudne. Carole uczyniła z Jenny swojego małego konfidenta, zastępczego dorosłego. Nie byłem wystarczająco silny czy też bywałem w domu zbyt rzadko, żeby temu zapobiec. - Wzruszył ramionami. - Nasze relacje są teraz bardziej przyjacielskie. Ale ona ma szesnaście lat i najważniejsza jest dla niej szkoła, przyjaciele, chłopak i - z konieczności - radzenie sobie z matką. Zrozumiałe, że tatuś spadł gdzieś na koniec tej listy. - Uśmiechnął się. - Jesteś zadowolona, że o to zapytałaś?

- Owszem. - Caroline zamilkła. - Zawsze zastanawiałam się, co mnie ominęło z powodu braku dzieci. Myślę, że to zależy od okoliczności.

Jego uśmiech był teraz szerszy.

- To zależy od dnia. Tak czy inaczej, nie mógłbym bez niej żyć.

Dlaczego? - zastanawiała się Caroline. Przez chwilę mimo wszystko zazdrościła Jacksonowi tego uczucia. Nie była to jednak myśl, którą byłaby w stanie teraz jakkolwiek wyrazić.

Pogrążyli się w milczeniu. Caroline zwinęła żyłkę i ponownie zarzuciła spławik. Zadziwiła ją instynktowna łatwość, z jaką to robi. Cisza stała się głębsza, smutniejsza i bardziej przytłaczająca.

Nagle coś szarpnęło jej żyłkę.

- Mój Boże! Ryba!

Żyłka rozwijała się z kołowrotka. Jackson spojrział na Caroline z uśmiechem.

- O to przecież chyba chodziło, co? Pamiętasz chyba, co trzeba robić?

- Oczywiście. - Urwała i szarpnęła wędziskiem w bok, stopując kołowrotek. Rozbawiony Jackson śledził z zainteresowaniem jej poczynania.

Jakakolwiek była to ryba, musiała być silna. Caroline przypomniała sobie o groźących niebezpieczeństwach: zerwanie żyłki, zbyt słabe zacięcie. Walcząca pod wodą ryba wygięła wędzisko. Caroline popuściła je i wybrała żyłkę.

- Delikatnie - wyszeptał Jackson.

Żyłka była coraz krótsza i w pewnym momencie ryba wyskoczyła ponad wody jeziora. Jej barwne ciało zabłysło w słońcu.

- Pstrąg - uśmiechnęła się Caroline.

Jackson zatrzymał silnik. Wędzisko wygięło się ku powierzchni wody, a Caroline odchyliła się. Drugie pociągnięcie, trzecie pociągnięcie - Caroline szybko zwijała żyłkę.

- Piękność - zachwycił się Jackson.

Caroline patrzyła na pstrąga. Potem fachowo ostrożnie wyjęła haczyk. Przez chwilę trzymała wijącą się rybę w dłoniach, po czym lekko się uniosła, wrzucając rybę do wody - błysnęła srebrem i kolorami tęczy, by zniknąć.

Razem obserwowali powstałe na wodzie kręgi.

- Cieszę się, że tutaj jesteśmy - powiedziała.

Jackson uśmiechnął się lekko.

- Masz ochotę na obiad? - zapytał. - W Trout Club, rzecz jasna. Dla uczczenia twego humanitarnego gestu.

- Tak - odpowiedziała Caroline po chwili milczenia.

## DZIESIĘĆ

Trout Club znajdował się w jednokondygnacyjnym budynku z końca dziewiętnastego wieku. Przed nim, na plaży, ustawione były kanoe i łodzie, a na trawniku, zwrócone w kierunku jeziora, leżaki. Za tym wszystkim widać było osłoniętą werandę z krzesłami i stolikami dla gości pragnących coś wypić lub przekąsić. Pieniądze na budowę wyłożył pradziadek Caroline. Na ścianie w holu wisiał jego portret. Miał na nim ogniste spojrzenie i sztywne wąsy. Obraz otaczały stare bambusowe wędziska, fotografie dawno zapomnianych członków klubu celebrujących odwieczny związek pomiędzy człowiekiem a rybą. Triumfujący mężczyźni, a niekiedy i kobiety z innej epoki, trzymający imponujących rozmiarów okonie, pstrągi i węgorze. Caroline przychodziła tutaj już w dzieciństwie. Kiedyś, będąc już nastolatką, zauważyła ku rozbawieniu swego ojca, że ludzie, aby znaleźć się na tej ścianie, muszą być równie martwi jak trzymane przez nich ryby. Uśmiechając się, powiedział, że ma nadzieję, że nigdy nie zobaczy tutaj swojego zdjęcia.

- Nie martw się - rzekła Caroline. - Nie zobaczysz.

Stała teraz cicho w holu.

- Nic się nie zmieniło - powiedziała w końcu.

Jackson uśmiechnął się.

- To Nowa Anglia. Tutaj wsteczność jest sposobem na życie.

W istocie miał rację. Caroline pomyślała, że swoją drogą stworzenie miejsca, które zawsze wygląda, jakby powinno zostać pomalowane, wymaga odrobiny geniuszu.

- Chcesz napawać się nastrojem tych wewnątrz czy wolisz wypić drinka na zewnątrz? - zapytał Jackson.

- Dzięki, wolę na zewnątrz. A co jest do wyboru?

- Szkocka albo szkocka.

Caroline uśmiechnęła się. Nie było baru. Członkowie klubu trzymali alkohol w prywatnych skrytkach, piwo i wino w olbrzymiej lodówce koło kuchni, której zawartością zarządzano na zasadzie wzajemnego zaufania. Na werandzie stała maszyna do lodu.

- Wezmę szkocką - powiedziała Caroline i chwyciła wiklinowe krzesło, które stało na trawniku.

Jackson położył wiatrówkę na stojącym obok niej krześle, zakasał rękawy flanelowej koszuli i poszedł po drinki. Chwilę później wrócił z wiaderkiem lodu, dwiema poobijanymi przez zmywarke do naczyń szklankami z mlecznego szkła i butelką Glenliveta.

- Dobra szkocka - zauważyła Caroline.

Nie protestowała, gdy napełnił jej szklanę.

Znowu siedzieli, milcząc. Caroline wzięła pierwszy łyk i poczuła, jak wódka rozgrzewa jej wnętrze. Kolejny łyk. Patrzyła na stojące na trawie kajaki i kanoe, na szarzejący w świetle letniego zachodu słońca błękit jeziora.

- Zadziwiająca - powiedziała.

- Co takiego?

- Że tu jestem.

Odwrócił się do niej, jak gdyby próbując rozszyfrować jej ton.

- Czy to wydaje ci się takie dziwne?

- Tak - odpowiedziała Caroline. - Odejście stąd wiele mnie kosztowało.

Jackson odezwał się po chwili milczenia:

- A gdzie teraz mieszkasz?

- Mam apartament na najwyższym piętrze wieżowca. - Przywołując jego obraz, Caroline poczuła, że jest niepokojąco odległy. - Na Telegraph Hill. Bardzo nowoczesny, cały w szkło. Na dachu jest ogród. Przy dobrej pogodzie widać stamtąd nie tylko zatokę i centrum miasta, ale nawet całe mile dalej.

Jackson zdawał się wyobrazać to sobie.

- Nie bardzo przypomina to Hampshire.

- Wcale. - Caroline dopiła szkocką. - Byłeś kiedyś w San Francisco?

- Raz, z Carole. Jest piękne.

- Prawda? - Usiłowała go sobie tam wyobrazić, w operze czy też jedzącego kalmara na proszonym obiedzie. Ale jedyne, na co zdołała się zdobyć, to obraz praktycznego mężczyzny rozglądającego się wokół z zainteresowaniem, lecz zarazem grymasem dystansu. New Hampshire stało się w pewien sposób jego częścią.

Zamyślona Caroline patrzyła na trawę.

Po jeziorze kajakiem płynął człowiek. Zbliżał się do brzegu: przestał wiosłować i czekał, aż kajak siłą rozpędu dobije do skalistej plaży. Potem wyciągnął go jeszcze parę stóp na brzeg i podążył zdecydowanym krokiem w stronę klubu. Miał około sześćdziesięciu lat, był szczupły i siwy. Zza okularów spoglądały na nich jasnoniebieskie oczy. Na widok Jacksona uśmiechnął się.



- Witaj, Hugh - rzekł przyjaźnie Jackson, lecz nagle, jakby samemu sobie przerywając przedstawienie go Caroline, zamilkł.

Człowiek odwrócił się w ich kierunku.

- Cześć - rzekł nieco zaskoczonym głosem. Uśmiechnął się z wahaniem. - Przepraszam, czy ty nie jesteś Caroline, córka Channinga?

Caroline również zdobyła się na uśmiech.

- Tak, to ja.

Wyciągnął do niej rękę.

- Hugh Askew. Prezes Connaughton County Bank. Przez całe lata robiłem z Channingiem interesy. Przepraszam, ale chyba znam cię tylko z wywiadów telewizyjnych. Jestem pewien, że zapamiętałbym cię. Chyba tutaj nie zaglądałaś.

- Racja.

Jego uśmiech przybladł. Caroline uderzyło to, że z pewnością musiał wiedzieć, dlaczego tutaj przyjechała, lecz był zbyt uprzejmy, żeby o tym mówić. Tym bardziej w obecności Jacksona Wattsa.

- Cóż - rzekł słumionym głosem. - W takim razie witaj w rodzinnych stronach. Jestem pewien, że ojciec jest z ciebie bardzo dumny.

- Dziękuję.

Hugh lekko skłonił się Jacksonowi i poszedł swoją drogą, zasiewając w Caroline niepokój. Jej poczucie swobody zniknęło.

- Może nie powinniśmy się tutaj pokazywać - powiedziała cicho.

Jackson spojrzał na nią z zatroskaniem, po czym wzruszył ramionami.

- To nie jest pracownik sądu. A my znamy się przecież od lat.

Caroline odwróciła się do niego.

- Jak ci się tutaj żyło przez te lata?

Kontemplował jej pytanie.

- To świat, który znam. Być może nie świadczy to najlepiej o mnie, ale ten świat zawsze mi wystarczał. I nadal tak jest. - Wysączył swego drinka. - Jeśli wypiję odpowiednią ilość szkockiej, to zapewne zacznę tworzyć na poczekaniu Jeffersonowską filozofię, że północny wschód jest laboratorium obywatelskości: miejscem, gdzie ludzie są skromni i wstrzemięźliwi, miasteczka zajęte własnymi sprawami, a politycy mogą funkcjonować bez zbyt wielu kłamstw. - Znowu się uśmiechnął. - Ale musiałbym rzeczywiście się przed tym napić.

- A jak pasuje do twojej teorii „Patriot-Ledger”?

- Och, żeby je gdziekolwiek umieścić, musiałbym wypić faktycznie dużo. - Jego uśmiech zbladł. -  
Idziemy stąd? Jeśli masz ochotę, pójdziemy gdzie indziej.

Czego ja właściwie chcę? - zastanawiała się Caroline. Potem zdała sobie sprawę, że Jackson, a być może i szkocka sprawiły, że zapomniała o nagłym czasie.

- Zostańmy jeszcze chwilę - powiedziała, nalewając jemu i sobie whisky.

Obiad zjedli na werandzie. Jackson znalazł jakąś świecę, wyciągnął z lodówki butelkę schłodzonego Chardonnay i odebrał dwa ciepłe posiłki z kuchni.

- Pstrąg - powiedział. - Równowaga w naturze została zachowana.

Caroline uśmiechnęła się, wypijając trzecią szkocką i wpatrując się w wody jeziora.

Zapadał zmierzch. Ostatnie promienie słońca niknęły nad poczerniałą nagle wodą. Odezwały się pierwsze świerszcze. Wbrew własnym zasadom Caroline wyobraziła sobie tę noc tak, jak opisała ją Brett, znowu zastanawiając się, ile było w tym prawdy. Chciała zapytać Jacksona o dealerów narkotyków, lecz nie zrobiła tego w końcu ze względu na takt i taktykę. Jeśli nie znajdzie nic innego, to historia ze sprzedawcą narkotyków będzie dla sądu mniej wiarygodna. Znacznie lepiej dla Brett, jeśli jej prawnik będzie mógł przycisnąć do muru jakiegoś wezwanego na świadka detektywa, który o to nie zapytał.

- O czym tak rozmyślasz?

- Dlaczego pytasz?

- Bo masz ten sam tajemniczy i napięty wyraz twarzy, który kiedyś widywałem u ciebie, kiedy dyskutowaliśmy o polityce. Przybierałaś go tuż przed wrzuceniem w moje symboliczne ucho jakiegoś retorycznego argumentu.

Caroline znowu uśmiechnęła się.

- Myślałam o zagłębieniu mojego widelca w tym dosłownym pstrągu - odrzekła i tak też uczyniła.

Świeży, przyrządzony sauté na maśle, smakował wyśmienicie z odrobiną cytryny.

- Wspaniały - powiedziała. - Od wieków nie jadłam świeżego pstrąga.

Jackson nalał jej wina. Sącząc je i czując jego smak na drętwiejącym języku, zdała sobie sprawę, że przekroczyła już narzucony sobie limit. Z jednej strony zmartwiło ją to, z drugiej z zaskoczeniem zauważyła, jak dobrze się z tym czuje.

- Kiedy zapytałem cię, gdzie mieszkasz - powiedział Jackson - miałem na myśli również to, czy mieszkasz z kimś.

Caroline pokręciła głową.

- Nie mieszka ze mną nawet żaden pstrąg.

- Chyba gdzieś kiedyś przeczytałem, że nigdy nie wyszłaś za mąż... - rzekł Jackson ostrożnie.

Caroline spojrzała na niego z ukosa. Jak gdyby na czymś przyłapany, patrzył gdzieś w dal. Nagle Caroline roześmiała się.

- Czemu po prostu nie zapytasz mnie, czy jestem nadal hetero, Jackson?

Spojrzał na nią zaskoczony, po czym zakrył czoło dłońmi i potrząsnął głową niczym ktoś przyłapany na niewybaczalnej gafie.

- Niezupełnie to miałem na myśli. Po prostu, kiedy wypięłaś się na mnie, rozważałem wszystkie możliwości...

Caroline uśmiechnęła się.

- Czy masz na myśli to, że któregoś lata pojechałam na Martha's Vineyard i zostałam lesbijką?

- Proszę, litości! Pomóż mi teraz z tego wybrnąć!

Caroline znowu uśmiechnęła się.

- Lesbijka czy nie, po prostu samotna kobieta pozostająca poza związkami, do których mogłaby przywyknąć. Przypominam sobie, co powiedziała kiedyś Martina Navratilova, kiedy pewien sportowy dziennikarz idiota zapytał ją, czy nadal jest homoseksualistką: „A pan nadal nie jest?”

Jackson uśmiechnął się niewinnie.

- Przepraszam. Po prostu coś takiego pojawiło się w mojej głowie, no wiesz, jak wściekliczna czy Oliver North. - Przyglądał się jej z zaciekawieniem. - Wygląda na to, że jesteś zdeklarowanym samotnikiem.

Wypiła jeszcze parę łyków wina, zastanawiając się nad odpowiedzią. Od dawna stosowała graniczącą z przesadą zasadę, by nie mówić zbyt wiele o swoim życiu prywatnym. Patrzyła teraz na miłą twarz Jacksona Wattsa, odzyskanego - choć nie wiadomo na jak długo - przyjaciela, człowieka, któremu nie można odmówić pewnej wrażliwości. Tak więc przynajmniej pod tym względem mogła teraz czuć się dobrze i bezpiecznie.

- Zdeklarowanym? - zapytała delikatnie. - Cóż, sądzę, że to, co początkowo miało służyć z jakichś tam przyczyn samoobronie, stopniowo przerodziło się w zwyczaj. Tak więc jeśli nawet pomyślisz, że mogłoby być lepiej, to okazuje się, że twoje mechanizmy emocjonalne zdążyły już zardzewieć, że odwykłeś od bliskości, że brak ci umiejętności, by iść na małe kompromisy. - Wzruszyła ramionami. - Po prostu człowiek przestaje o to dbać...

- Więc co ty właściwie robisz? Po prostu żyjesz sama? - Spojrzał na nią poważnie.

Być może wino, panujące ciemności czy też potrzeba powiedzenia mu prawdy sprawiły, że miała nadzieję, że nie będzie jej osądzał.

Przyglądała się swojemu kieliszкови.

- Moje życie składa się z serii małych romansów. Czasami na wakacjach, czasami przez jedną noc. Dłuższy związek zawsze zdaje się zagrażać karierze, wiązać z wychowaniem dzieci czy czymś tam jeszcze. - Jej głos zaczął brzmieć ironicznie. - Ostatnio zauważyłam u siebie skłonność do starych małżeństw. Bywają wśród nich pary, z którymi dobrze się czuję, a przynajmniej mam pewność, że nie staną się one częścią mojego prywatnego życia. Nie będą tego - jeśli są wystarczająco wrażliwi - chcieli.

Jackson milczał. Caroline patrzyła na czarną taflę jeziora u podnóża oświetlonych światłem księżycy gór. Zauważyła, że Jackson dolewa im wina.

- Cóż - rzekł zamyślony. - Każdy sobie jakoś radzi.

Jego twarz była poważna, lecz nie pozbawiona łagodności. Wzniósł kieliszek i stuknął nim o jej.

- Twoje zdrowie, Caroline.

Rozparła się na swoim krześle. W milczeniu dokończyli obiad, a potem dopili wino. Gdy wychodzili, była już chłodna i cicha noc.

Wsiedli do pontonu i Jackson uruchomił motor. Jego niski pomruk był jedynym dźwiękiem, który zakłócał ciszę mrocznego jeziora.

Caroline siadła, czując na twarzy powiew chłodnego nocnego powietrza. Działanie wina nieco straciło na sile. Caroline odzyskała poczucie czasu. Chwile przyjemności musiały dobiec końca. Obserwowała, jak Jackson prowadzi ponton, wypatrując bystrym wzrokiem wędkarskiego obozowiska.

- Tam - powiedział.

Chwilę później dobili do brzegu. Jackson wyskoczył z pontonu. Caroline rzuciła mu cumę, a on związał ją na palu. Podał jej rękę i pomógł wsiąść z pontonu.

Ku jej zaskoczeniu nie puścił jej dłoni. Jakby sam zdziwiony, patrzył na nią, by w końcu pozwolić jej palcom wymknąć się.

Włożył ręce do kieszeni.

- Może chciałabyś się jeszcze czegoś napić, zanim odejdziesz? Kawa, brandy...? - zapytał.

Po chwili Caroline skinęła.

- Brandy.

- W porządku.

Jackson odwrócił się i zaczął się wspinać po stopniach na zbocze. Caroline podążyła za nim. Wiatr poruszał gałęziami sosen, a powietrze było przesiąknięte ich zapachem. Caroline przypomniała sobie wspinaczkę do obozowiska ojca i uspokajającą obecność otaczających ją drzew. Na niebie jasno świeciły gwiazdy.

Weszli do domku. Jackson podszedł do kominka, wrzucił parę szczap drewna, posypał podpałką i przykłęknął, by je zapalić. Caroline stała w kuchni i obserwowała w milczeniu pierwsze pomarańczowe i niebieskie języki ognia obejmujące palenisko.

Jackson wstał i odwrócił się do niej.

- Przyniosę tę brandy.

Nie oglądając się na nią, przeszedł przez kuchnię. Otworzył szafkę i wyjął z niej dwa kieliszki i butelkę koniaku. Pochylając głowę, ostrożnie nalał go do obydwu kieliszków. Odwracając się, podał jeden Caroline, a drugi wzniósł.

- Za co tym razem? - zapytał.

Caroline ukryła kieliszek w dłoniach.

- Doprawdy nie wiem. - Na moment zamilkła. - Nie chciałabym odejść, nie powiedziawszy ci czegoś - nie dziękując ci.

- Za co?

- Za to, że mi choć trochę przebaczyłeś. Za to, że pozwoliłeś mi poczuć, że nadal jesteś moim przyjacielem.

Spojrzał na nią z czułością, a zarazem zaskoczeniem.

- Mój Boże, Caroline... - wymamrotał.

Poczuła, że coś ściska ją w piersiach. Jak gdyby nie w pełni świadoma tego, co robi, podeszła do niego, odebrała mu kieliszek i postawiła razem ze swoim na szafce.

Odwróciła się do niego z wahaniem.

- Co? - zapytał.

Caroline ujęła jego twarz w dłonie, patrząc mu w oczy. Jej Jackson patrzył na nią, w dół, jak gdyby upewniając się, czy właściwie ją rozumie.

- Chyba to skądś pamiętam... - powiedział łagodnie.

Całowała go, wciąż się uśmiechając.

Jego usta były wilgotne, jakby znane. Zamknęła oczy, wtulając się w niego. Delikatnie objął ją i całował jej włosy.

Jak to możliwe? - zastanawiała się. Po jej skórze przeszły dreszcze.

Jackson odsunął się o krok i patrzył na nią pytająco. Skinęła głową. Powoli rozpinał guziki jej bluzki. Spojrzenie Caroline wciąż było wbite w jego twarz. Kiedy skończył, sięgnął za jej plecy. Po chwili stanik opadł na podłogę. Resztą zajęła się sama.

- Ciągłe jesteś piękna - powiedział.

Lekko się uśmiechając, zaczęła zdejmować mu koszulę. Nie poruszył się. Stwierdziła, że nadal jest szczupły, choć może już nie tak bardzo. Jednak to był on. Gdy ich ciała zetknęły się, poczuła jego ciepło.

Poprowadził ją do kominka. Stanęli obok kanapy. Jackson spojrzął na nią, a później - pytająco - na Caroline. Wzruszyła ramionami.

Ułożyli się obok siebie.

Jackson całował jej czoło.

- Nie mam nic - wymamrotał. - Ale jestem w porządku.

- Ja też niczego sobie.

Jego usta zaczęły przesuwac się ku jej szyi. Caroline ułożyła się pod nim.

Był ostrożny, lecz wiedział, co robi. Caroline rozpoznawała dotyk jego ust, jego dłonie i palce. Zauważyła, że zaczyna bezwiednie poruszać biodrami. Chwyciła go za szyję i pełna pożądania, przycisnęła jego usta do swoich.

Kiedy wszedł w nią, poczuła, że jest inaczej.

Caroline nabiła się na niego. Takie poczucie ciepła, odprężenia, pewności, że wszystko będzie dobrze, nigdy wcześniej nie było im dane. Dla Caroline istniało teraz tylko ciepło jego ciała. Napięcie rosło w niej falami, jak poruszał się w niej. Poruszała się razem z nim. Coraz szybciej...

Wyszeptała jego imię i eksplodowała w niej świadomość jego obecności.

Leżała potem obok niego. Nie chciała i nie musiała nic mówić. Obserwowała grę cieni rzucanych przez przedmioty oświetlone ogniem w kominku.

Liga seniorów, pomyślała z rozbawieniem. To, co nie było nam dane w młodości, możemy teraz zrobić wygodnie i z poczuciem przyzwoitości. Tak przynajmniej czuła się z Jacksonem. W milczeniu pocałowała go, wyrażając czułość i akceptację. Uśmiechnął się do niej.

- Lepiej?

- Lepiej. - Znowu go pocałowała. - Stara dobra Carole!

Roześmiał się. Kiedy godzinę później robili to znowu, Caroline była na nim.

Rankiem obudziła się w jego łóżku. Jej skronie pulsowały od szkockiej i wina.

- Witaj - powiedział.

- Cześć.

Oparł głowę na łokciu, jak gdyby starając się odgadnąć jej nastrój.

- Wszystko w porządku? - zapytał po chwili. - Nie zmieniłem się chyba w dynię, co?

Nie uśmiechnęła się.

- Nie. Wcale.

Uniósł brwi. Wyraz jego twarzy zdawał się znaczyć: „Mów, jeśli chcesz, ale ja nie będę cię naciskał”.

Nagle Caroline poczuła, że nienawidzi sama siebie.

- Byłam samolubna - powiedziała. - Podobało mi się z tobą i nie chciałam, żeby to się skończyło. Ale teraz, w świetle poranka, czuję się znowu prawnikiem Brett. obrońcą, który chciał załagodzić swe moralne dylematy, pieprzając się z oskarżycielem.

Jego spojrzenie było poważne.

- Pomyśl o mnie raczej jako o byłym chłopaku. Jeśli to może w czymś pomóc.

Myśli Caroline wypełniła znowu Brett.

- Chciałabym.

- Będziesz ją reprezentowała?

Caroline dotknęła palcami powiek.

- Nie wiem, Jackson. Proszę, muszę to wszystko przemyśleć. - Urwała. - Nie chodzi mi o to, czy Brett jest winna, czy nie. Sam fakt, że o tym mówię, przedstawia, jakiego rodzaju to problem.

Jackson milczał. Caroline siadła na brzegu łóżka.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli wrócę - powiedziała cicho.

- W porządku.

Milcząc, ubrali się.

- Gotowa? - zapytał i podszedł szybko do drzwi.

Zatrzymała go tam, chwytając za łokieć. Odwrócił się do niej.

Caroline próbowała się uśmiechnąć.

- Pomyślałam, że dobrze byłoby pocałować cię na pożegnanie tutaj, gdzie nikt nas nie widzi.

Jackson patrzył poważnie w jej oczy.

Caroline pocałowała go mocno, powoli.

- Tak bym chciała, żebyś to nie ty był oskarżycielem.

Uśmiechnął się słabo.

- Tak bym chciał, żebyś miała inną siostrzenicę.

Razem ruszyli do jego samochodu. Przez dziesięć minut jazdy do miasta rozmawiali o różnych drobiazgach: o planach Jacksona na dzisiaj, o tym, jak zmieniło się Resolve - o wszystkim prócz Brett.

Kiedy zatrzymał się przed drzwiami zajazdu, nie wysiadł z samochodu. Pochylił się nad kierownicą.

- Chciałbym się jeszcze z tobą spotkać, zanim wyjedziesz - powiedział.

Caroline dotknęła jego dłoni.

- Tak, przynajmniej porozmawiamy.

Powoli pokiwał głową.

Caroline zmusiła się, by w końcu wysiąść. Zanim samochód zniknął z pola widzenia, była już za drzwiami hotelu. Zaczynała nowy dzień i znowu była prawnikiem.



## JEDENAŚCIE

Minęło jednak jeszcze parę godzin, zanim adwokat Caroline Masters zdecydowała, co robić, kolejna godzina zaś do chwili, kiedy wyruszyła do Chase College. Jackson Watts ciągle nazbyt mocno zaprzętał jej myśli.

Zalesiony kampus leżał pomiędzy wzgórzami. Przecięty mostem strumień wił się meandrami, przepływając obok spiczastej wieży zegarowej, innych ceglanych neogotyckich budynków oraz poprzez rozległe połacie trawy otoczone drzewami. Jednak oddalony od miasta dwukondygnacyjny dom, w którym mieszkał James Case, był pozostałością z epoki Eisenhowera. Nawet cegła okazała się tylko cienką licówką.

Na piętrze mieszkał Daniel Suarez. Caroline weszła po schodach i odnalazła pokój 203. Zapukała.

Wysoki i szczupły chłopak, który jej otworzył, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Błyszczące brązowe oczy i wrażliwy, nieco zadumany wyraz twarzy sprawiały, że mógł się podobać.

- Jesteś ciotką Brett? - zapytał.

- Tak. Wspomniała, że chciałabym się z tobą spotkać?

Zaprosił ją do środka. Szare wnętrza o betonowych ścianach przypomniało Caroline pokoje znane jej sprzed wielu lat z Harvardu i Radcliffe. Rozrzucone ubrania, sterty książek i magazynów, zapach nieświeżego jedzenia dochodzący z kuchni. Nawet plakaty - Stonesów i Zeppelinów - wiele się nie zmieniły.

Caroline stwierdziła, że uśmiecha się, patrząc na posiwiałe włosy Charliego Wattsa.

- Lubisz ich? - zapytał Daniel.

- Lubiłam - rzekła beztrosko. - Teraz słucham raczej Sheryl Crow i REM. Ech, tamte czasy! Nostalgia rani.

- Szczególnie mojego tatę. To dopiero głupek! - dodał Daniel z lekkim rozbawieniem.

- Cóż. - Caroline wzruszyła ramionami. - W każdym razie dzięki, że zechciałeś się ze mną spotkać.

- Nie ma sprawy. Może coś do picia?

- Masz colę?

- Chyba tak.

Poszedł do kuchni i przetrząsnąwszy lodówkę, wrócił z puszką zimnej pepsi.

- Świetnie - powiedziała Caroline.

Siadła w kuchni. Daniel z wahaniem siadł na krześle naprzeciw niej.

- Więc widziałeś tutaj Brett? - zapytała.

- Uhm. - Skinął głową w kierunku sąsiedniego mieszkania. - Często z Jamesem pożyczaliśmy sobie wzajemnie różne rzeczy, jedzenie, mleko, a ona często u niego bywała. Ze dwa czy trzy razy rozmawialiśmy.

- Jaka była?

Ostrożnie pokiwał głową, jakby samemu się o czymś przekonując.

- Była naprawdę miła, towarzyska. Wyglądała na osobę uporządkowaną. Można było z nią rozmawiać prawie o wszystkim.

- A James?

Daniel zamilkł, wbijając wzrok w leżący przed nim na podłodze poplamiony dywanik.

- Inny - rzekł powoli. - Myślę, że był inteligentny i utalentowany. Ale bardziej niż ona zagłębiony w sobie.

- Miał jakichś przyjaciół?

Przez chwilę zastanawiał się, lecz Caroline nie potrafiła zgadnąć, czy nad tym, jaka była prawda, czy też nad odpowiedzią.

- Chyba przede wszystkim Brett. - Spojrzał na Caroline wodnistymi oczami. - Czy gliniarze naprawdę myślą, że to ona go zabiła?

- Tak. Ale nie wiem, jak mogli wpaść na ten pomysł. - Przyjrzała się mu bliżej. - Rozumiem, że byli u ciebie?

Nerwowo wzruszył ramionami.

- Tak, tak.

- I czego chcieli się dowiedzieć?

- Pytali mniej więcej o to samo. O przyjaciół Jamesa, o to, czy znam Brett, jakie były pomiędzy nimi stosunki...

- I czy sprzedawał narkotyki?

- Tak, o to też.

- Co im powiedziałaś?

- Że nie mnie.

- A czy kiedyś próbowałaś?

- Nie - odpowiedział. - W tych sprawach mam zasady.

Jego spojrzenie było spokojne, lecz Caroline była przekonana, że dokładne przeszukanie tego pokoju pozwoliłoby znaleźć torbę marihuany w szufladzie ze skarpetkami, chociaż Daniel Suarez nie chce o tym mówić. Caroline po prostu na niego patrzyła.

Daniel skrzyżował ręce na piersiach, poruszając się niespokojnie, gdy Caroline wytrzymywała ciężar jego spojrzenia.

- A właściwie dlaczego handel narkotykami ma tutaj jakiegokolwiek znaczenie?

Caroline wiedziała, że mówiąc mu prawdę, wciągnie go jeszcze głębiej w tę sprawę. Jednak nie miała wyjścia.

- Załóżmy, że James popadł w związku z tym w tarapaty. Wykiwał jakoś faceta, który dostarczał mu towar.

Daniel zastanowił się nad taką możliwością.

- Wiedziałbym o tym.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Odpowiedź była szczera. Caroline wyczuła to, podobnie, że zawarty gdzieś między wierszami sygnał Daniela, iż James rzeczywiście sprzedawał narkotyki, był zamierzony. Przez chwilę myślała, że historię o swoim przewróconym do góry nogami mieszkaniu James zmyślił, dla zwiększenia efektu dramatycznego, lecz sam problem, o którym opowiedział Brett, był prawdziwy. Nagle stwierdziła, że potrafi przejrzeć Daniela Suareza znacznie łatwiej niż Brett.

Caroline milczała. Daniel pochylił się, a jego oczy wyrażały nie wypowiedziany apel.

- Gdybym mógł pomóc Brett - rzekł cicho - zrobiłbym to.

Caroline zdecydowała, że najlepszą taktyką będzie zawstydzenie go.

- Tak? A to dlaczego? - zapytała ze sceptycyzmem.

- Nie podobało mi się, jak ją traktował. Chociaż miałem wrażenie, że ona uważa, iż sobie z tym poradzi.

W Caroline rosło zaskoczenie.

- Co masz na myśli? - spytała od niechcienia.

Daniel spojrział na nią twardo, a potem wzruszył ramionami.

- Może Brett o tym nie wiedziała?

- Że podle ją traktował? - zapytała Caroline, a potem niemal wbrew woli dodała: - Jak to możliwe, żeby o tym nie wiedziała?

Daniel skrzyżował ręce na piersiach. A więc, mówiło jego spojrzenie, ty też o tym nie wiesz.

- Przychodziła tutaj pewna dziewczyna ze szkoły. Blondynka. Chyba miała na imię Megan.

- Tutaj?

- Spotykała się z Jamesem.

- Może po prostu koleżanka. - Caroline przerwała, starając się zachować pozory bez troski, której bynajmniej nie odczuwała. - Często tu bywała?

- Parę razy. - Głos Daniela stał się łagodniejszy. - Pewnego ranka przysłała do mnie pożyczyć mleko. W koszulce Jamesa.

Caroline usadowiła się wygodniej na krześle. Minęła chwila, zanim zdecydowała się zadać kolejne pytanie.

- Czy powiedziała coś szczególnego?

Twarz Daniela była poważna.

- Nie. Robiła wrażenie, jak gdyby nawet mi chciała zmanifestować samym swoim wyglądem, że się z nim pieprzyła.

Myśl, co dalej! - nakazała sobie Caroline. Znowu odczekała chwilę, zanim zadała kolejne przemyślane pytanie.

- A co powiedziałaś policji, kiedy zapytali cię o relacje pomiędzy Jamesem i Brett?

Ich spojrzenia spotkały się. Milczące zrozumienie przeszło Caroline do szpiku.

- Powiedziałem, że było w porządku - uśmiechnął się blado. -

O ile mi wiadomo.

Caroline spacerowała po pokoju, gdy zadzwonił telefon. Rzuciła się, żeby podnieść słuchawkę. Nosowy głos sekretarki obwieścił, że senator z Kalifornii dzwoni do Caroline Masters. Usłyszała kliknięcie łączonej rozmowy.

- Caroline? - Jej głos brzmiał żywo i profesjonalnie. - W twoim biurze powiedziano mi, że mogę

znaleźć cię pod tym telefonem. Jak się miewasz?

Caroline odetchnęła.

- Przykro o tym mówić, ale bywało lepiej. Mam tutaj problem rodzinny.

- Rozumiem. - Przerwała na moment. - Dzwonił dzisiaj Walter Farris. Zdaje się, że chodziło mu o to, by zamknąć tę sprawę. Żebym i ja podkreśliła jego troskę i zaniepokojenie. Co niniejszym czynię.

Caroline zamknęła oczy.

- Dziękuję - powiedziała, ale nie zabrzmiało to zbyt zręcznie.

- Nie ma sprawy. - Senator przerwała, by nadać swemu głosowi bardziej współczujący ton. - Jestem przekonana, że dla ciebie i dla całej twojej rodziny to straszne przeżycie. I że pragniesz zrobić wszystko, co stosowne, by pomóc swojej siostrzenicy.

Caroline zwróciła uwagę na nacisk położony na słowo „stosowne”.

- Oczywiście, cóż innego mogłabym zrobić.

- Zakładam, że to prawda. Miejmy jednak nadzieję, że do niczego nie dojdzie, a twoja siostrzenica wyjdzie z tego bez skazy. - Jej głos miał teraz brzmieć swobodnie. - Więc kiedy zamierzasz wrócić?

Caroline zastanowiła się.

- Myślę, że to kwestia trzech lub czterech dni.

- Dobrze. - Senator znowu na moment zamilkła. - Wiele osób pracowało nad tym, żebyś dostała tę nominację. Choć, rzecz jasna, nikt ciężiej od ciebie.

- Dziękuję - odrzekła Caroline. - Doceniam to.

- Więc do zobaczenia wkrótce - zakończyła senator i odłożyła słuchawkę.

## DWANAŚCIE

Następnego dnia rano kobieta z recepcji zadzwoniła do pokoju Caroline, informując ją, że w holu czeka pan Watts.

Zaskoczyło ją to. Nie była gotowa na spotkanie z nim. Szybko poprawiła przed lustrem fryzurę i zeszła do holu.

Jackson siedział rozparty w fotelu. Wstał, lecz nie uśmiechnął się do niej, choć tego po trosze oczekiwała. Jego oczy były smutne.

- Co jest? - zapytała cicho.

Spojrzał na ladę recepcyjną.

- Chodźmy na zewnątrz, dobrze?

Wyszli na ganek i siedli na ławeczce obok siebie. Jeśli nie brać pod uwagę małego chłopca na rowerku, ulica była pusta.

- Powinieneś chyba być teraz w Concord? - zapytała.

Jackson rzucił ku niej nieszczęśliwe spojrzenie.

- Powinienem - odpowiedział. - I szkoda, że tam nie jestem.

Caroline zrętwiała z przerażenia.

- Brett - wymamrotała.

- Będziesz musiała znaleźć dla niej prawnika, Caroline - westchnął. - Dzisiaj wydajemy nakaz aresztowania. Jeszcze przed południem.

- Na jakiej podstawie?

- Morderstwo pierwszego stopnia.

Caroline przebiegło przez myśl, że wczoraj obudziła się u jego boku.

- Coś się wydarzyło - powiedziała.

Jackson powoli pokiwał głową.

- Wczoraj rano zgłosił się na policję nowy świadek. Dziewczyna. Spotkałem się z nią ubiegłego wieczoru.

- Co powiedziała? - Caroline ogarnęły złe przeczucia.

Jackson wstał, patrząc na ulicę.

- Twierdzi, że była kochanką Jamesa. I że James zaproponował jej wyjazd do Kalifornii.

Zdanie zabrzmiało, jak gdyby było nie dokończone.

- I?

- I że Brett była obsesyjnie zazdrosna. Miała obsesję na punkcie Jamesa. Obserwowała jego mieszkanie, żeby sprawdzić, czy przychodzą tam inne kobiety. - Przerwał na moment, po czym ciągnął beznamiętnym głosem. - Pewnej nocy ta dziewczyna była u Jamesa. Wtedy zjawiła się Brett. Miała własny klucz. Znalazła ich razem i zagroziła, że oboje zabije.

Caroline również uniosła się i stanęła obok Jacksona.

- Czy to brzmi dla ciebie wiarygodnie?

Wzrok Jacksona nadal był wbity w ulicę.

- Ta kobieta potrafi zrobić wrażenie. Nie wygląda to na oczywiste naciąganie.

- Dlaczego więc zgłosiła się dopiero teraz?

- Nie upłynęło jeszcze tak wiele czasu. - Odwrócił się do Caroline. - Pewno i ty nie miałabyś szczególnej ochoty zostać głównym świadkiem w publicznym procesie o morderstwo.

Caroline oparła się o poręcz schodów.

- Nawet jeśli wierzyć tej kobiecie, nie widzę tutaj morderstwa pierwszego stopnia.

- Jeśli wierzyć tej kobiecie, Brett zaplanowała to morderstwo na długo, zanim do niego doszło. - Zniżył głos. - Są dwie możliwości. Albo Brett zawiozła go nad jezioro po to, żeby go tam zabić, albo pod wpływem wina i narkotyków z powodu nagłego przypływu zazdrości i bez namysłu podcięła mu gardło. Jak sądzę, prawnik Brett będzie usiłował dowieść tego drugiego.

Caroline zamknęła oczy.

- Jak nazywa się ta dziewczyna?

Jackson powoli pokręcił głową.

- Mam obowiązek ochrony jej prywatności. Jeśli prawnik Brett zechce, by zeznawała, przekażę jej dane. Ale nie teraz.

Caroline wyprostowała się i skrzyżowała ręce na piersiach, walcząc z bezsilnością.

- A poręczenie?

Jackson zmarszczył brwi, a jego głos zabrzmiał rzeczowo, prokuratorosko.

- Będę musiał się temu sprzeciwić i wygram. W New Hampshire morderstwo pierwszego stopnia praktycznie wyklucza zwolnienie za kaucją.

Caroline spróbowała sobie wyobrazić Brett w więzieniu, lecz trudno jej było pogodzić się z tym.

- Na litość boską, Jackson! Przecież nie ma ryzyka, że Brett ucieknie.

Jackson odwrócił się do niej.

- Naprawdę nie ma sensu się o to sprzeczać - powiedział cicho. - Proszę, uwierz, że jest mi przykro.

- Czy przyszedłeś po to, żeby właśnie to powiedzieć?

Spojrzał teraz wprost na nią.

- Przyszedłem załatwić to tak, żeby Brett sama się do nas zgłosiła. I chociaż to trudne, żeby powiedzieć ci o tym osobiście.

- Co masz na myśli?

- Nie aresztujemy Brett aż do jutrzejszego popołudnia. Będzie mogła spędzić jeszcze trochę czasu z rodziną. Pozwolę wam zabrać ją do więzienia w Connaughton Falls. Tam nie ma problemów z odwiedzinami. I postaram się utrzymać z dala prasę.

Caroline wiedziała, że Jackson postępuje wobec nich najprzychylniej w jego sytuacji.

- I to wszystko.

Przez moment po prostu na nią patrzył.

- Tak, to wszystko.

- Dziękuję. - Caroline skinęła głową.

Jackson zaczął się zbierać. Zatrzymał się obok niej, dotknąwszy jej łokcia. Patrzyła w dół, na jego dłoń, aż ta opadła.

- Do widzenia, Caroline.

Poszedł do wozu i odjechał.



Caroline jechała na Masters Hill w drobnej mżawce, podobnej do tej, która towarzyszyła jej w dniu przyjazdu.

Larry był w bibliotece.

- Czy jest Brett? - zapytała bez wstępów Caroline.
- Wyszła na spacer. - Larry studiował jej wyraz twarzy. - Czy coś nie w porządku?
- Poszukaj Betty.

Poderwał się, zaalarmowany.

- Czy sprowadzić Channinga?
- Znajdź tylko Betty, na litość boską.

Po chwili Larry wrócił z bladą jak ściana Betty.

- O co chodzi, Caroline?
- Siądźcie, proszę.

Usiedli. Caroline przyglądała się siostrze i jej mężowi. Siedząc w tapicerowanych fotelach, byli teraz mali, jakby skurczeni. Larry desperacko starał się zachować spokój. Betty pozółkła.

- Niestety, nie znam odpowiedniego sposobu, żeby wam o tym łagodnie powiedzieć - zaczęła. - Widziałam się z Jacksonem. Brett będzie oskarżona o morderstwo pierwszego stopnia.

Betty otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Dlaczego? - zdołał wydusić z siebie Larry.

- Mają świadka. Kobietę. Twierdzi, że była z Jamesem. Że Brett to odkryła i groziła, że ich oboje zabije.

Betty zacisnęła dłonie w pięści.

- To śmieszne. Brett nigdy by nikomu nie wygrażała. - Urwała nagle, a Caroline dostrzegła, jak złość w jej szarych oczach ustępuje przerażeniu. - Kim jest ta kobieta?

- Nie wiem. - Caroline przez chwilę zastanawiała się, czy zapytać Larry'ego o studentkę imieniem Megan, lecz zrezygnowała. Ryzyko, że Betty czy nawet Larry zrobiliby coś nierozsądnego, było zbyt wielkie. - Jackson nie mógł tego powiedzieć.

- Bo to kłamczucha.

Caroline pomyślała, że w gniewie Betty jest coś godnego pożałowania. Widziała to przedtem: twarze matek, które dowiadują się, że ich dzieci dostały się w tryby maszyny prawniczej, którą one

nie mogą kierować, a nawet jej zrozumieć. Lecz do tej pory były to dla Caroline twarze obcych, a ich dzieci były tylko klientami.

- Miejmy nadzieję, że prawnik Brett wkrótce będzie mógł znaleźć na to dowody - rzekła cicho.

Caroline dostrzegła, że Larry zrozumiał, co ma na myśli. Również na poczerwieniałej twarzy Betty pojawił się wyraz zrozumienia.

- A więc nie pomożesz jej?

Caroline starała się zachować spokój.

- Nie sądzę, byście tego chcieli. Poza tym tak będzie lepiej dla Brett.

- Lepiej dla Brett? - Betty wstała. Jej głos drżał ze zdenerwowania. - I właśnie to nazywasz bezinteresownością? - zapytała z ironią.

Caroline skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Owszem - rzekła chłodno. - Z braku innej nazwy, na którą moglibyśmy się zgodzić.

Larry podszedł do Betty i ujął ją za ramię.

- To decyzja Caro. Musimy sami zacząć działać.

- Sugerowałabym kogoś z tego stanu, kto zna tutejsze prawo. Pisane i niepisane. Ojciec pewno będzie znał taką osobę.

Betty wbiła w nią spojrzenie.

- A co ty dla niej zamierzasz zrobić?

- Poza udzieleniem jej prawnikowi najlepszych wskazówek, na jakie mnie stać? - Caroline urwała, westchnąwszy. - Wrócić do domu. Dla dobra nas wszystkich. I dlatego, że nie byłam częścią tej rodziny przez ponad dwadzieścia lat.

Caroline obserwowała, jak na twarzy siostry malują się kolejno różne odczucia: wahanie, niechęć, a potem lęk o Brett, który przyćmił wszystkie pozostałe.

- Betty - zaczęła łagodnie Caroline. - Uważam, że jest to najwłaściwsze, co w tej chwili mogę zrobić. Zdecydowałam o tym, zanim tutaj przyjechałam. Niezależnie, co byście robili i co ja bym o tym sądziła.

Betty ociężała i bez wdzięku opadła na krzesło. Jej twarz wyrażała lęk i dezorientację. Larry położył dłoń na jej nodze. Żadne z nich nie patrzyło na Caroline.

- Jest jeszcze coś - rzekła Caroline - o czym dla dobra Brett powinnam wam powiedzieć.

Minęła chwila, zanim Larry zdołał podnieść na nią spojrzenie.

- Tak?

- Mój ojciec miał nóż wędkarski. Cahilla z kościaną rękojeścią. Trzymał go w garażu. Czy wiecie, gdzie on teraz jest?

Twarz Larry'ego spochmurniała.

- O czym ty mówisz?

- Betty? - Caroline czekała, aż siostra spojrzy na nią. - Ojciec powiedział, że przed laty komuś go oddał.

Spojrzenie Betty było ostre.

- O czym ty mówisz?

- Mogą was o to pytać - powiedziała Caroline spokojnie. - A jeśli zapytają, to w interesie Brett jest, aby zeznania całej rodziny były spójne. A przynajmniej aby żadne z was nie udzieliło pochopnej odpowiedzi.

Twarz Larry'ego stała się bardziej zacięta.

- Nie wiem, Caroline. Nie tykam rzeczy Channinga...

- Niech cię! - wybuchła Betty. - Myślisz, że to Brett go zabiła!

Caroline nadal zachowywała kamienną twarz.

- Niczego nie myślę. Sugeruję, że wy myślicie - powiedziała.

Betty zacisnęła usta.

- Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, to z pewnością nie możesz wątpić w słowa ojca.

Caroline patrzyła na nią przez chwilę, po czym zwróciła się do obojga:

- Sama o tym powiem Brett. Muszę z nią jeszcze porozmawiać o paru innych rzeczach. Jestem pewna, że nie macie nic przeciw temu, żebym poczekała na nią przed domem?

## TRZYNAŚCIE

Caroline dostrzegła w oddali zakapturzoną sylwetkę dziewczyny idącej w mżawce ze wzrokiem wbitym w ziemię. Caroline spojrzała w niebo. Potem wstała i ruszyła w kierunku Brett, by spotkać się z nią na zwirowej drodze. Brett dostrzegła ją dopiero, gdy zbliżyła się do niej na odległość, z której słycać było jej kroki. Zatrzymała się, obserwując twarz Caroline. Ręce trzymała w kieszeniach żółtej przeciwdeszczowej kurtki.

- Co tu robisz Caroline? Chcesz się nabawić zapalenia płuc? - Brak uśmiechu zdradził jej obawy.

Przez dłuższy czas Caroline tylko na nią patrzyła.

- Klienci stale okłamują prawników. Powinnam była do tego przywyknąć - rzekła dosyć delikatnie.

Twarz Brett przybrała zabawny skonsternowany wyraz, świadczący zarówno o poczuciu winy, jak i zaskoczeniu. Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Nie - ciągnęła Caroline. - Powinnam pomóc wybrnąć ci z kłopotów. Powiedz mi, kim do licha jest Megan.

Brett wbiła wzrok w ziemię. Potem wyprostowała się i spojrzała w twarz Caroline.

- To kobieta, która była z Jamesem.

- Tak też powiedziała Jacksonowi. - Caroline pokiwała głową.

Zielone oczy były wbite w twarz Caroline.

- Ale oni ze sobą skończyli, Caroline.

- Czyżby? Szkoda, że mi o tym nie wspomniałaś.

Brett powoli pokiwała głową.

- James był taki pociągający. Wiele miało do niego słabość. Ta dziewczyna, Megan, chodziła za nim po całym kampusie - do czytelnicy, do klubu studenckiego, po wykładach. Jak gdyby znała jego rozkład zajęć. - Na twarzy Brett malował się niepokój. - Było w tym coś, co mogło wywołać gęsią skórę.

- A jak reagował na to James?

Brett chciała już coś powiedzieć, lecz najpierw spojrzała na Caroline, jak gdyby jej jedna myśl

przerwała drugą.

- Przepraszam, Caroline. Nie chciałabym, żebyś się na mnie gniewała.

Caroline potrząsnęła głową.

- A gniewam się?

- Mam wrażenie, że tak.

Caroline milczała, a w zielonych oczach Brett widać było wyzwanie i wrażliwość.

- Moje emocje - jakiegokolwiek by były - nie mają tutaj nic do rzeczy. Chodzi o to, co czułaś ty. I co czuł on - odpowiedziała Caroline zdecydowanie.

Brett skrzyżowała ręce na piersiach.

- Myślę, że początkowo spodobała się Jamesowi. Uwiodła go pochlebstwami.

- A więc widziałas to tak - ona go uwodziła?

Brett przytaknęła.

- To częściowo mogłam mu wybaczyć. W końcu nie on zaczął... - powiedziała zdławionym głosem.

Caroline miała mokre włosy, a twarz wilgotną. W powietrzu wisiał obłok pary wydobywającej się z jej ust.

- A co było trudniejsze do wybaczenia? - zapytała cicho.

Brett przełknęła ślinę i wbiła wzrok w ziemię. Potem spojrzała na Caroline.

- Kiedyś poszłam do niego wieczorem, żeby zabrać jakieś notatki, które tam zostawiłam. Myślałam, że go nie będzie. I wtedy znalazłam Megan.

- Znalazłaś?

- Tak - odpowiedziała Brett bezdźwięcznym głosem. - Z nim w łóżku.

- I co?

- Po prostu gapiłam się na nich. James wyglądał na zawstydzonego. Ale ona niemal uśmiechała się do mnie w przedziwny sposób. Zupełnie jak gdyby chciała mi dać do zrozumienia, że wygrała te zawody. Nigdy nikogo tak nie nienawidziłam.

Caroline nagle zdała sobie sprawę, że niemal identyczne wrażenie Megan zrobiła na Danielu Suarezie.

- Co wtedy zrobiłaś? - zapytała ostro.

Brett westchnęła.

- Wiedziałałam, że nie wytrzymam tam ani chwili dłużej. Zaczęłamby krzyczeć albo płakać i wygłupiła się przed nim i tą kobietą. Odczepiłam więc kluczyk z łańcuszka, rzuciłam go na łóżko i powiedziałam jak najspokojniej, że jeśli chce mi to wyjaśnić, to może do mnie zadzwonić - wydusiła z trudnością, walcząc ze wspomnieniami. - Potem wyszłam.

- Czy powiedziałaś coś jeszcze? Do niej albo do niego?

- Jemu, owszem, i to wiele. Ale do niej nigdy nie odezwałam się słowem. Ani wtedy, ani później.

- Nie?

- Nie. Dlaczego miałabym dawać jej satysfakcję?

- A James?

- Przyszedł do mnie tej samej nocy. - Brett pokręciła głową i dodała zdławionym głosem: - Obiecał, że to nigdy więcej się nie powtórzy. Tłumaczył, że ona po prostu przyczepiła się do niego. Wtedy zdał sobie sprawę z tego, że to, co mówi, jest po prostu żalosne. Zaczął płakać...

- A ty?

- Tylko siedziałam i kiwałam głową. Zapytałam, czy może ma jakiś problem, z którym nie może sobie poradzić. - W jej głosie pojawiło się zdziwienie. - On chciał się ze mną kochać. Ale ja nie miałam nawet ochoty próbować...

Mimo woli Caroline zaśmiała się. Nawet w jej uszach zabrzmiało to grubiańsko.

Brett spojrzała na nią.

- Powiedziałałam mu, że nie bez gumki. - W głosie Brett żyła jeszcze złość i pogarda.

Caroline położyła dłonie na biodrach.

- I to dlatego przyniosłaś prezerwatywę tamtej nocy nad jezioro? I nie wybierałaś się do Kalifornii.

- Po części tak. - Zamilkła. - Może inna kobieta mogłaby żyć w takiej niepewności. Ja chyba jednak nie.

Caroline przyjrzała się jej.

- Dlaczego w ogóle z nim byłaś?

Brett próbowała zebrać się w sobie.

- Bo obiecał mi, bo zależało mu na mnie na tyle, by warto było spróbować. - Spojrzała gdzieś w bok. - O ile wiem, dotrzymał swojego słowa.

Caroline nadal ją obserwowała.

- Jak dawno temu to się wydarzyło?

- W kwietniu. Pamiętam, bo dwa dni przed moimi urodzinami.

Caroline przez chwilę milczała.

- Czy nigdy mu nie groziłaś? A może jej?

- Grozić? - Brett spojrzała na nią ostro, a jej ton znowu zdradzał alarmujący niepokój. - Nie. Nigdy. Kto coś takiego powiedział?

- Chyba właśnie Megan. Chociaż Jackson nie chciał mi tego zdradzić.

- To bzdura.

Caroline po prostu na nią patrzyła.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego nie powiedziałam ci o tej historii wcześniej? I dlaczego miałabyś mi zaufać tym razem? - wyszeptała Brett.

Caroline pomyślała, że nadszedł czas, żeby jej powiedzieć.

- Teraz to już i tak ma niewielkie znaczenie... - zaczęła.

- Nie - przerwała jej Brett. - Chcę to wyjaśnić.

Caroline poczuła zmęczenie.

- Wiem - powiedziała bezdźwięcznie. - Bałaś się, że będę cię uważała za winną.

- Do pewnego stopnia. - W jej oczach pojawiło się zrozumienie. - Ale jest jeszcze coś, czego ci nie powiedziałam...

- Co takiego?

- Tamtej nocy pokłóciliśmy się. - Brett urwała. - O nią... - dodała po chwili.

Patrząc w ciemnościach w twarz Jamesa, Brett potrząsnęła głową, tak jakby chciała ją oczyścić ze złych myśli.

- Zbyt wiele tego naraz. Nie wiem, co właściwie mam robić.

- Co masz na myśli?

Jego twarz wyrażała ból, co ją rozżłościło.

- Co mam na myśli? Oprócz tej ostatniej rzeczy?

James wpatrywał się w twarz Brett z nowym napięciem.

- Chodzi o nią? To skończone.

Brett wyprostowała się.

- Czy w ogóle wiesz, jak mnie zraniłeś? Czy myślisz, że kiedy zobaczyłam ciebie pieprzącego się z tą dziwką, to było przykre dla ciebie? - powiedziała ze zdziwieniem. - Czy ja w ogóle dla ciebie istnieję poza chwilami, kiedy mnie potrzebujesz?

James wyciągnął rękę.

- Brett, proszę! Przestań mnie potępiać!

- Jeszcze nie potępiłam cię wystarczająco - odpowiedziała chłodno. - To dlatego możesz się jeszcze czuć taki niesłusznie obwiniany. I dlatego wciąż czuję tak wielki ból i złość, kiedy budzę się w nocy, kiedy śnisz mi się z nią w łóżku.

Jej głos niósł się ponad wodą. James rozejrzał się, tak jakby podejrzewał, że mogą być podsłuchiwani.

- Wiem, że cię zraniłem. Widziałem to na twojej twarzy - rzekł ciszej. - Myślisz, że kiedy płakałem tamtej nocy, to płakałem nad sobą?

Zapewnienia na niewiele się zdały.

- Kto wie... - powiedziała bezdźwięcznie.

James zbliżył się do niej.

- Ja wiem.

- Ale ja nie. Nie mogę. Jeszcze nie mogę w to uwierzyć. - Znowu pokręciła głową. - Potrzebuję czasu, żeby zastanowić się, czy mogłabym znowu tobie zaufać. W porządku? Ale nie. Ty powiesz mi teraz, że nie masz czasu. Bo masz jakiś problem, o którym mi jeszcze nie powiedziałeś. Drobnutki problemik z narkotykami, który sprawia, że drżysz, słysząc każdy szmer w tym lesie. A może powiesz mi, że...

Brett odwróciła się od niego i skierowała nad brzeg wody.

Po chwili usłyszała za sobą jego kroki, a potem ujrzała jego słabe odbicie w tafli wody. Szczupła sylwetka z rękami w kieszeniach. Nie wykonał żadnego ruchu, żeby ją dotknąć.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał.

Brett bezradnie skuliła ramiona.



- Nie wiem...

Mimo deszczu widać było łzy płynące po twarzy Brett.

- Bałam się powiedzieć - wymamrotała - że byłam na niego zła.

- Bo myślałaś, że to będzie źle odebrane?

Brett pokiwała głową.

- Bo czułam się, jakbym zrobiła coś złego. - W jej głosie pobrzmiwał zabobonny lęk. - Tak jak gdybym była na niego taka zła, że mogło go to zabić....

Caroline ogarnęło przerażenie.

- I myślisz, że to się wtedy wydarzyło? - zapytała ostrożnie.

- Nie - odparła Brett z zaciętością. - Ale kiedy powiedziałaś, że oni mogą uważać, że narkotyki spowodowały, że straciłam panowanie nad sobą, przeraziłam się. Bałam się przyznać, że się pokłóciliśmy.

Caroline spojrzała jej w twarz.

- Cóż - rzekła łagodnie. - Nie musisz się do tego przyznawać. Nawet swojemu prawnikowi.

Brett wbiła w nią wzrok.

- Podjęli decyzję o aresztowaniu. Za morderstwo pierwszego stopnia - powiedziała Caroline, zanim Brett zdążyła o cokolwiek zapytać.

Przerażona Brett cofnęła się o krok.

- Dlaczego?

- Z powodu Megan. Twierdzi, że zabiłaś Jamesa z zazdrości i że groziłaś im obojgu śmiercią. Jackson nie miał w tej sytuacji wielkiego wyboru.

Brett nie zareagowała łzami ani protestem.

- Ona musi mnie potwornie nienawidzić - wydusiła.

Caroline wpatrywała się w nią, starając się zrozumieć znaczenie tych słów. Potem zmusiła się, by dokończyć.

- Jackson chce, żebyś przyjechała dobrowolnie, przed jutrzejszym popołudniem. Będzie cię trzymał w Connaughton Falls. Przypuszczam, że będziesz tam musiała zostać.

Brett zamknęła oczy.

- Twoi rodzice już o tym wiedzą - zaczęła łagodnie Caroline. - Myślę, że zanim o czymkolwiek zdecydujesz, powinnaś z nimi porozmawiać. Pomogę ci znaleźć prawnika.

Brett wolno pokiwała głową. Było w tym coś do głębi przejmującego: jak gdyby Caroline opuszczała ją teraz, karząc tym za kłamstwo.

Dziewczyna przełknęła ślinę i otworzyła oczy.

- Będziesz tam jutro? - zapytała wprost.

Caroline zawahała się, lecz spojrzała na Brett.

- Tak - rzekła łagodnie. - Oczywiście.

Milcząc, z rękami w kieszeniach, ruszyły w kierunku domu.

Następne popołudnie, kiedy przyszła po Brett, wydało jej się absurdalnie jasne.

Brett czekała na ganku ze sportową torbą. Za nią stali nieporadnie wyglądający rodzice i dziadek. Channing był wstrząśnięty, przybity i wydawał się o wiele starszy, jakby jego śmiertelność wydobyła się na powierzchnię jego skóry. Przygnębieni Betty i Larry nie bardzo wiedzieli, co zrobić czy powiedzieć. Oczy Betty wyrażały szok zbyt ciężki i gwałtowny, by mogła go przetrwać. Patrzyła na Brett z niewypowiedzianym lękiem i miłością. Caroline musiała odwrócić wzrok.

- Powinnyśmy już iść - powiedziała do Brett.

Brett skinęła głową i odwróciła się do swojej rodziny. Caroline usunęła się. Obserwowała, jak Betty sztywno obejmuje córkę, całuje ją w policzek, a potem krzyżuje ręce na piersiach i odwraca wzrok w stronę werandy. Larry z bladym uśmiechem poklepał Brett po ramieniu. Potem przyszła kolej na Channinga. Miał łzy w oczach.

- Nie martw się. - Jego głos był chropawy, ale silny. - Wkrótce cię stamtąd wydostanę. Uwierz mi, Brett.

Bezużyteczna obietnica starego człowieka, którego czas uczynił bezsilnym, pomyślała Caroline. Jak gdyby zdając sobie z tego sprawę, Brett przytuliła go. Potem powoli się od nich odwróciła, podeszła do Caroline i skinęła głową. Kiedy odchodziły, Betty patrzyła na Caroline tak, jak gdyby tamta kradła jej dziecko.

- Powiedziałam im, żeby nie jechali ze mną. To tylko pogorszyłoby całą sprawę - powiedziała w końcu Brett.

Caroline pokiwała głową.

- Wzięłaś książki? - zapytała Caroline, włączając silnik.

- Tak. Jak tam jest?

- Raczej beznadziejnie. - Caroline starała się brzmieć rzeczowo. - Ale to przebudowany szpital. Budynek nie miał być początkowo więzieniem i to chyba wyszło mu na dobre. Ekonomiczne posunięcie w duchu wielkiej tradycji New Hampshire.

Przez chwilę rozpacz w oczach Brett jakby przygasła. Caroline wiedziała, że Brett potrzebne jest w tej chwili przede wszystkim opanowanie i spokój. To było najdłuższe dwadzieścia minut, jakie pamiętała.

Sama procedura aresztowania, szybka i bez zbędnych słów, pozostała w pamięci Caroline zaledwie rozmytym obrazem, którego najwyraźniejszą częścią był stoicyzm Brett. Potem zgodnie z obietnicą Jackson pozwolił jej pojechać razem z Brett do więzienia.

Przebudowany szpital w Connaughton Falls - trzypiętrowy budynek z czerwonej cegły z końca dziewiętnastego wieku - służył również jako posterunek policji. Caroline i Brett szły przez jego teren pod eskortą dwóch policjantów. Brett patrzyła na okna wyższych kondygnacji.

- Czy tam będę?

- Tak. Mają dla ciebie jednoosobową celę.

Brett zwolniła. Odwróciła się, patrząc na oświetlony promieniami słońca dziedziniec. Caroline czekała, aż wejdzie, przytrzymując podwójne drzwi.

Recepcja znajdowała się w oszczędnie urządzonej kwadratowym zielonym pokoju. Obok młodego policjanta z patrolu przy biurku stał Jackson Watts oraz krótko ostrzyżona strażniczka.

- Są gotowi na jej przyjęcie - powiedział krótko Jackson.

Młody policjant wpisał do starego komputera nagie fakty z życia Brett. Jackson stał w rogu, Caroline zaś obok Brett. Stoicki spokój dziewczyny ścisnął jej serce.

Czy to możliwe, żeby ona go zabiła? - zastanawiała się, przekraczając chyba granicę bezstronności prawnika. Nagle zdała sobie sprawę, że policjant patrzy na nią.

- Gotowe - powiedział.

Wyrwana z zamyślenia Caroline odwróciła się do Brett.

- Już czas - powiedziała cicho.

W twarzy Brett coś się zmieniło. Caroline położyła dłonie na jej ramionach.

- Wszystko będzie w porządku.

Jedyną odpowiedzią było błagalne spojrzenie Brett. Caroline wiedziała, że dziewczyna nie poprosi jej, by została. W milczeniu Brett odwróciła głowę.

- W porządku - szepnęła Caroline i przytuliła ją.

- Nie zabiłam go...

Caroline poczuła, jak szczupłe jest ciało Brett.

- Poczekaj - szepnęła przez jej ramię do Jacksona.

Skinął głową, nie spuszczając z niej wzroku.

Brett bezgłośnie łkała. Jedyńm, co mogła zrobić Caroline w tej sytuacji, było poświęcenie jej tej odrobiny czasu.

Minęło kilka chwil. Brett wypłakała się. Jednak teraz to Caroline nie wiedziała, jak odejść. Brett powoli podniosła na nią wzrok. W jej oczach strach mieszał się z determinacją.

- Już w porządku...

Caroline czuła na sobie spojrzenie Jacksona - ostatni czynnik, który zmuszał ją do racjonalnego zachowania. Wówczas wbrew sobie, ujęła twarz Brett w dłonie.

- Zostanę - powiedziała łagodnie. - Aż do czasu, kiedy nie będziesz już potrzebowała prawnika.

Twarz Brett wyrażała zaskoczenie i wdzięczność, lecz jeszcze bardziej zaskoczony był Jackson. Kiedy zastępca szeryfa podszedł, by ją zabrać, jej oczy nadal były wbite w Caroline. Jackson obserwował je obie.

Caroline odwróciła się i wyszła przez drewniane drzwi.

Było po wszystkim.

Caroline siedziała sama w hotelowym pokoju. Nie zadzwoniła na Masters Hill. Z nikim nie rozmawiała.

Na łóżku za nią leżała kartka z numerem do Cahill Knife Company. Sięgnięcie po słuchawkę równało się dla Caroline odrzuceniu ostatniej krztyny nadziei.

- Cahill - odezwał się operator w centrali.

Caroline przeczytała zanotowane poprzednio nazwisko urzędniczki i poprosiła o połączenie.

- Tu Caroline Masters - powiedziała całkiem spokojnie. - Być może pamięta pani mój telefon sprzed kilku dni. Chodziło o numer seryjny noża państwa produkcji.

Chwila ciszy.

- Tak jak podejrzewałam, nie jesteśmy w stanie ustalić, komu go wysłaliśmy, kto go kupił ani

nawet od kogo - rzekła chłodno urzędniczka.

- Rozumiem - Caroline przerwała. - A może zdołała pani ustalić rok produkcji?

- Tak. Tyle mogę powiedzieć. - Głos był teraz bardziej cierpliwy. W słuchawce rozlegały się odgłosy przeszukiwania papierów. - Mam go. Z tego, co znalazłam, wynika, że wyprodukowaliśmy go na początku 1964 roku.

Caroline starała się panować nad głosem.

- Sześćdziesiąty czwarty.

- Tak.

- Dziękuję - rzekła Caroline uprzejmie i odłożyła słuchawkę.

W dziwnym odrętwieniu patrzyła na własne trzęsące się dłonie.

CZEŚĆ TRZECIA

**LATO 1964**

## JEDEN

Caroline była zaskoczona, gdy Nicole Masters zaproponowała, że zabierze ją na Martha's Vineyard trzy tygodnie wcześniej, niż planowali.

- Będziemy tam tylko my dwie - rzekła z uśmiechem matka. - Chociaż przez ten krótki czas, zanim ześlemy cię na wygnanie do szkoły z internatem.

Caroline podziwiała ojca i wiedziała, że będzie go jej brakowało. Jednak kochała dom nad Eel Pond, dni spędzane na żaglówce, którą ojciec kupił dla niej poprzedniego lata. Cieszyła się, że matka również jest tak przejęta ich wyjazdem. Nicole często była daleko od tego, co działo się wokół niej. Jej nastroje bywały tak zmienne, że Caroline nigdy nie była pewna, co matka w danej chwili czuje wobec niej czy Channinga. Stając się powoli kobietą, Caroline była nadwrażliwa na coraz dłuższe okresy ciszy pomiędzy jej rodzicami. Na podstawie własnych obserwacji budowała schemat wyjaśniający przyczynę i skutek: im większe było uczucie ojca wobec matki, tym głębsze jej wycofanie się.

Oznaki owego wycofania zawsze pozostawały - jak to często bywało w wypadku matki - nie nazwane. Jej okazjonalne wypadki z Channingiem do Nowego Jorku, które były dla Nicole największą przyjemnością, ustały. Caroline nie wiedziała dlaczego. Reakcją Nicole było jeszcze mniejsze zainteresowanie domem i okolicą. Całe dni spędzała w swoim pokoju. Z innymi kobietami z ich klasy - żonami prawników, lekarzy czy bankierów - utrzymywała uprzejme stosunki, będące efektem ubocznym sławy, jaką cieszył się jej mąż. Jednak i one zaczęły teraz tracić jakikolwiek pozór zażyłości. Tamtej wiosny Caroline zauważyła, że matka, która lubiła różne piękne drobiazgi, nie zasadziła jasnych kwiatów, które do tej pory zawsze uprawiała w ogródku za domem. Wiedzioną instynktowną ostrożnością nie zapytała dlaczego.

Wyjazd na Martha's Vineyard był w pewnym sensie zaskoczeniem. Siedzieli w trójkę przy obiednim stole. Ojciec opowiadał - w zasadzie samej Caroline - jak to jego dziadek musiał przetransportować za pomocą zaprzęgu wołów swój letni dom nad Eel Pond. Siedząca naprzeciw męża Nicole słuchała z tak niezmienną uprzejmością, że córka mogła wyczuć, jak liczy w myśli kolejne mijające minuty.

- Nie mogę się doczekać, kiedy tam pojedziemy - rzekła Caroline, starając się ratować sytuację.

- W lipcu. To już tylko miesiąc.

- Może będziesz mogła pojechać wcześniej. - Słowa matki, która od dłuższego czasu nie odzywała się, zaskoczyły Caroline. - Może zdołam się wycofać z moich licznych zobowiązań i pojechać wcześniej. Jeśli, rzecz jasna, zgodzi się na to twój ojciec.

Słyszając te przesiąknięte chłodną ironią słowa, Caroline spojrzała na Channinga. Lecz jego

niezglębione spojrzenie spoczywało na Nicole, która patrzyła na niego spokojnie. Być może tylko Caroline dostrzegła w tym jakiś rodzaj zmagania.

- Myślisz, że mogłybyśmy pojechać, ojcze? - Caroline z niepokojem zwróciła się do Channinga. - Mogłabym popływać nową żaglówką.

Jeszcze przez chwilę Channing mierzył spojrzeniem żonę. Potem z lekkim uśmiechem zwrócił się do Caroline:

- Tak, oczywiście, Caroline. To była długa zima. Dla was obu.

Obserwując go, Caroline zdała sobie sprawę, że sama myśl o tym, że będzie daleko stąd, mając Nicole tylko dla siebie, miała w sobie coś z dezercji. Teraz odczuła ulgę, ale i była pewna, że ojciec o tym wszystkim wie.

Wyruszyły dzień po zakończeniu przez Caroline szkoły.

Zatrzymały się w Bostonie, kupiły kilka letnich sukienek. Jadały i piły koktajle w Ritzu-Carltonie. Następnego dnia Nicole z jaśniejącym spojrzeniem pokazała Caroline złotą bransoletkę i jej pierwszy komplet drogich kolczyków.

- Staliśmy się tacy prowincjonalni - powiedziała jasnym głosem - że ryzykujemy stanie się bohaterkami angielskiej gotyckiej powieści: tak poważnej i beznamietnej, że nikt nie zechciałby jej czytać. Co byłoby tragedią w równym stopniu dla nas, jak dla reszty świata.

Zanim dotarły na Martha's Vineyard, ich wycieczka przekształciła się we wzniosłą rebeliancką krucjatę wymierzoną przeciwko przygnębieniu matki. Caroline z radością podtrzymywała ten nastrój. Pewnego popołudnia grały w tenisa w Edgartown Yacht Club, a potem jadły obiad w tym bastionie republikanizmu i spodni w szkocką kratę. W czasie pełnej śmiechu rozmowy i po być może zbyt wielu kieliszkach Nicole zaczęła się głośno zastanawiać, dlaczego Barry Goldwater tak współczuje czarnym z Południa, że nie chce ich obciążać prawem do głosowania. Nie zwracała uwagi, że spozjrzało na nie kilka osób.

- Ci ludzie - wymamrotała pod nosem na odchodnym - zawsze będą się zastanawiać, dlaczego wszyscy inni nie mogą być do nich podobni. A ja - dlaczego muszą chodzić w takich idiotycznych ubraniach.

Kryły się jednak za tym poważniejsze uczucia. Na wyspie przybierał na sile ruch praw obywatelskich. Ów ferment był widoczny w czasie uroczystości kościelnych, zebrań, w przemówieniach młodych ludzi zjeżdżających tu na wakacje, a pracujących obecnie na Południu. Następnej niedzieli ponura Nicole zabrała Caroline na nabożeństwo ku pamięci Medgara Eversa, zamordowanego bojownika o prawa obywatelskie. Chociaż matka nie odezwała się ani słowem, Caroline nie mogła przestać się zastanawiać, czy myśli teraz o własnej rodzinie. Gdy dotknęła jej dłoni, Nicole mocno ścisnęła jej palce.

Jednak większość czasu spędzały w swobodnym, niemal beztroskim nastroju. Gdy zdecydowały się pójść do kina, Nicole wybrała *The Longest Day*, a do kolekcji płyt zakupiła nowy krążek Beatlesów. Podczas partii krykieta nad zatoką Nantucket Nicole nałała sobie kolejny kieliszek wina i zaczęła się



bawić w zmienianie reguł. Ich gra stała się groteskową błazenadą - antytezą geometrycznego systemu wyznawanego przez Channinga. W końcu, kuląc się ze śmiechu, musiały zrezygnować z dalszej gry. Dopily razem resztę wina. Jednak kampanię przed wyborami prezydenckimi Nicole śledziła z najwyższą powagą. Wieczorem, kiedy konwent republikanów zakrzyczał Nelsona Rockefellera, pokręciła głową i wymamrotała:

- Przerazające. I pomyśleć, że rok temu był tam Kennedy - Przerwała, by po chwili dodać: - Teraz Amerykanie będą mieli własną wojnę rasistowską.

- Co masz na myśli?

- Wietnam. Morderczy, lecz zarazem tak prowincjonalny. Niczego się nie nauczyliśmy z tego, czego Francuzi zaiste powinni uczyć: etnocentryzmu.

Caroline odkrywała w matce kogoś zupełnie obcego: sarkastyczną i zrozpaczoną istotę ukrywającą się pod zmiennymi nastrojami matki. Było to dla niej odkrycie ekscytujące i zarazem bulwersujące. Dostrzegła, jak bardzo Nicole oddaliła się od nich pod płaszczykiem milczenia - od swojej rodziny. W czasie pierwszych dni ich wspólnej wyprawy Nicole ani razu nie wspomniała o mężu. To odkrycie zaniepokoiło Caroline. Jednak prawdziwy wstrząs przeżyła, kiedy którejś nocy zadzwonił telefon, a gdy Nicole podniosła słuchawkę, Caroline zrozumiała, że nie dzwoni Channing Masters. Być może zdradził to lekko podniesiony głos matki, może jakieś szczególne ułożenie jej szczupłego ciała, kociego w nagłym bezruchu.

- Kto to był? - zapytała Caroline.

Siedziały na przeszklonej werandzie, obserwując słońce rozświetlające tafłę wody. Nicole odstawiła kieliszek. Zawoalowane, lecz uważne spojrzenie, które skierowała na Caroline, wydawało się żywcem przeniesione z New Hampshire - tak bardzo różniło się od tego, co działo się przez ostatnie kilka dni.

- Ach - rzekła od niechcienia. - Przyjaciel. Paul Nerheim. Może go pamiętasz? Ma nadzieję, że się z nami spotka.

- Nami?

Kolejna pauza. Matka była wyraźnie ożywiona, lecz tylko machnęła ręką.

- Myślę, że to zależy od czasu - powiedziała nieco oschle. - Ale nie obawiaj się. Poświęcę ci wiele uwagi.

Ona wie, co czuję, pomyślała Caroline. Nie była przekonana, czy ta świadomość jest dla niej samej przyjemna.

Caroline nabrała niechęci do uśmiechu Paula Nerheima, zanim poznała uczucia, jakie wobec niego żywił ojciec.

- Jesteś bardzo wysoka - rzekł kiedyś do niej. - Jak tancerka lub sportsmenka.

W ubiegłym roku skończyła trzynaście lat. Nie przywykła jeszcze do tego, że jest wyższa od matki. Jej piersi nie wypełniły się jeszcze i obawiała się, że za bardzo przypomina ojca. Nicole wiedziała o tym.

- Wygląda niczym modelka na wybiegu, którą ja nigdy nie mogłabym zostać - rzekła, oszczędzając Caroline konieczności powiedzenia czegokolwiek. Channing nie uśmiechnął się nawet, jakby współczując córce.

Stali razem - Channing, Nicole i Caroline - przed wejściem do letniego domu Nerheima na Martha's Vineyard. Caroline odbierała ich obecność tutaj jako dopełnienie swoistego arbitralnego aktu społecznego, charakterystycznego dla świata dorosłych. Nerheim z jakichś powodów zaprosił ich do siebie, ktoś - przypuszczalnie matka - przystał na to, Caroline zaś nie mogła zrozumieć, dla czego komukolwiek na tym zależy. Wiedziała skądś, że Nerheim jest prawdopodobnie bankierem z Nowego Jorku, że poznał rodziców, kiedy Nicole usiłowała wyciągnąć opornego Channinga na tańce do Edgartown, i że znał osobiście Johna F. Kennedy'ego. Jednak najwyraźniej przeczuwała, że ów człowiek nigdy nie zostanie przyjacielem ojca. Bardzo różnili się nawet powierzchownością: Nerheim ze swoją równą opalenizną, w białej tenisowej bluzie, ze złotym zegarkiem; Channing w luźnych spodniach, prostej koszuli i wygodnych traperskich butach. Nawet szczupła twarz, ruchliwe oczy i żywa gestykulacja Nerheima kontrastowały z cichą godnością Channinga, jego aurą uważnej oceny rzeczywistości. Uśmiechnięta Nicole stała pomiędzy nimi, delikatnie dotykając ramienia Nerheima.

- To bardzo miło, że nas zaprosiłeś, Paul. A twoja wiejska sadyba - jak to ująłeś - jest urocza.

I w pewnym sensie rzeczywiście taka była. Jechali wijącą się wśród lasów Chilmark, pełną kurzu drogą, nieopodal zasłanianych przez drzewa urwistych wybrzeży Atlantyku. Nagle dotarli do otwartej przestrzeni akra równo wystrzyżonych trawników. Dom, który na niej stał, miał do tego stopnia ekscentryczną architekturę, że wręcz przeraził Caroline. Jego rozległą, przypominającą piernik bryłę pokrywały okna, okienka i kominki. Cała weranda osłonięta była szybami z pofalowanego szkła. Nicole jakoś zdołała się tym zachwycić.

Caroline patrzyła na ojca, który obserwował żonę z nikłym półuśmiechem.

- To doprowadziłoby moich przodków do szaleństwa - powiedział Nerheim i skierował ku Nicole porozumiewawczy uśmiech, którym zdawał się wykluczać z grona wtajemniczonych Channinga. - Ale cóż, nie wiem nawet, kim byli. Chodźcie, pokażę wam attykę.

Podążając za nim, Caroline szła blisko ojca.

Ukształtowana na wzór dziobu okrętu attyka była wykonana z polerowanego drewna tekowego. Caroline mimo woli była pod wrażeniem.

- Pierwotny właściciel wynajął specjalistę od budowy statków, ale skończyły mu się pieniądze - wyjaśnił Nerheim. - Stało to tak nie dokończone przez całe lata. Aż w końcu zabrałem się do tego w ubiegłym roku. To prawdziwe arcydzieło sztuki szkutniczej.

- Czy to pływa? - zapytał łagodnie Channing.

Nerheim zaśmiał się krótko.

- Zobaczymy - odrzekł. - Podczas następnego huraganu...

- Ale gdzie jest sala balowa? - przerwała mu Nicole. - Przecież tak bardzo lubisz tańczyć.

- Należę wam szampana i zaraz wszystko pokażę.

Z kieliszkami w dłoniach rodzice podążyli za Nerheimem poprzez trawnik po starannie ułożonej kamiennej ścieżce, wijącej się fantazyjnie pośród drzew. U jej końca znajdował się ziemny kort tenisowy.

Zatrzymali się przy siatce. Otoczone drzewami miejsce nie było widoczne z domu. Nie mógł też z niego docierać tam żaden dźwięk. Nerheim wykonał prześmiewczy ukłon.

- Sala balowa? - zapytała Nicole.

- Rzecz jasna - uśmiechnął się.

W czasie obiadu, przy którym obsługiwało ich dwóch milczących lokajów, Nerheim skierował rozmowę na temat sezonu operowego w Nowym Jorku, symfonii i klubów jazzowych, w których tu i ówdzie bywał. Nicole słuchała z zainteresowaniem. Jej pytania kierowały go na znane mu ścieżki, które - jak zdawało się Caroline - interesowały w istocie tylko matkę. Pytania kierowane przez Nerheima do Channinga były tak wystudiowane uprzejmie, iż zdawały się podkreślać, że ojciec Caroline nie jest w stanie dotrzymać im kroku w konwersacji na tematy, o których tak dobrze rozmawia się z jego żoną. Do Caroline Nerheim prawie wcale się nie odzywał.

- Czy mogę iść na spacer? - zapytała przed deserem. - Chciałabym zobaczyć, jak wygląda stąd ocean.

- Oczywiście - odpowiedział ojciec, uwalniając ją od obowiązku zasiadania przy stole Nerheima, nie spojrzawszy nawet na gospodarza.

Caroline wyszła na zewnątrz i zaciągnęła się chłodnym powietrzem wczesnego wieczoru.

Za drzewami zachodziło słońce. Caroline podążyła ciemniejącą ścieżką pośród drzew, aż dotarła do rozwidlenia. Przez chwilę stała, zdezorientowana, po czym wybrała drogę, która - jak sądziła - powinna prowadzić nad wodę. Jednak drzewa były gęste i powykrzywiane. Dopiero kiedy wspięła się na stromy pagórek ku błyszczącemu rąbkowi wieczornego nieba, znalazła się na nagim klifie, u którego stóp rozciągał się bezkresny Atlantyk.

Widok zaparł jej dech w piersiach i sprawił, że serce zaczęło bić jak szalone. Dwieście stóp niżej leżała piaszczysta plaża. Zbudowany z pomarańczowego piaskowca klif, nękany przez wiatry i deszcze, był tak urwisty, że zdawał się zapadać tuż pod stopami. Na skale umocowano prowadzące zygzakiem aż na samą plażę schody. Pod nimi widniały resztki innych schodów, zapewne zniszczonych kiedyś przez sztorm.

Caroline siadła, wpatrując się w wody oceanu.

To było dziwne uczucie. Zawsze patrzyła na ocean z podziwem graniczącym z czcią, chociaż nigdy się go nie bała. Jednak tym razem wyczuła to, czego - siedząc bezpiecznie na zniszczonym klifie - nie mogła dostrzec: utajoną pod jego powierzchnią niszczycielską moc sztormu. Chwilę później, trochę niespokojna, wstała i udała się w drogę powrotną.

Kiedy wróciła, rodzice ciągle siedzieli w salonie i nadal rozmawiali o operze.

- Zmęczona? - zapytał miłym głosem ojciec, spoglądając na nią ze swego miejsca.

Ku jej zaskoczeniu Nerheim przybrał wygląd wyrażający głęboki szacunek wobec Channinga i niemal ponuro uśmiechnął się do Caroline.

- Jest na pewno bardzo znudzona - powiedział. - Ostatnio byłem taki samotny, że zamiast zadbać o moich gości, gadam tylko o tym, co mnie interesuje. Przepraszam, Caroline.

Caroline nie wiedziała, co powiedzieć. Lecz wyraz jej twarzy zmienił się, jak gdyby ostatnie słowa zwróciły jej uwagę bardziej niż cała reszta konwersacji.

- To, co może wydawać się znudzeniem - odezwała się Nicole - jest u Caroline wyrazem samowystarczalności. Co do nas, opera w Resolve jest raczej rzadkim zjawiskiem, więc dziękujemy, że przypomniałeś nam o tym, co się dzieje w wielkim świecie.

Gdy Nerheim odwrócił się do Nicole, jego uśmiech stał się cieplejszy. Być może tylko dla Caroline jego uniżoność była nazbyt wyraźnie podszyta pewnością siebie.

- Dziękuję, Nicole. Jestem pewien, że Resolve ma inne atrakcje. Następnym razem - a mam nadzieję, że się spotkamy - poproszę, żebyście mi o nich opowiedzieli.

Powracający co rusz na usta Nicole uśmiech był aluzyjny i dwuznaczny. Dla Caroline mógł znaczyć wszystko od: „Oczywiście, wszyscy przecież wiemy, że już nigdy więcej się nie spotkamy” aż po: „Daj mi kilka dni, a może zdołam dopatrzeć się w Resolve jakichś atrakcji, o których mogłabym ci opowiedzieć”. Gdy obserwując żonę, Channing odstawił filiżankę z kawą, Caroline odczuła jakieś niewypowiedziane poniżenie.

- Jestem trochę zmęczona - rzekła do matki. - Jeśli moglibyśmy...

- Oczywiście - rzekł Nerheim, z tolerancyjnym uśmiechem wstając od stołu.

Przy drzwiach poklepał Channinga po ramieniu, co zapewne miało być przyjacielskim pożegnaniem dwóch mężczyzn. Caroline skrzywiła się, wiedząc, że ojciec nie lubi być dotykany przez obcych. Twarz Channinga nie drgnęła.

- Channing - rzekł Nerheim. - Dziękuję ci bardzo, że użyczyłeś mi towarzystwa twojej rodziny. Jak mówiłem, zbyt wiele czasu spędziłem sam.

Channing wyciągnął do niego rękę, lecz ów gest jeszcze powiększył dzielącą ich przepaść.

- Dziękuję - powiedział uprzejmie. - To miło, że zechciałeś nas zaprosić.

W kącikach oczu Nerheima pojawiły się zmarszczki. Zwrócił się do Nicole i ujął jej rękę.

- Nicole - powiedział. - Mam nadzieję, że cię jeszcze spotkam. I was wszystkich.

Matka potrząsnęła głową. W oczach Caroline wyglądało to tak, jak gdyby pragnęła mu nadstawić do pocałunku policzek, lecz nie zrobiła tego ze względu na Channinga.

- Oczywiście, Paul. - Rozejrzała się wokół z ironicznym uśmiechem. - Samotność w takim miejscu musi być dla ciebie wielką próbą.

Nerheim roześmiał się.

- W istocie - rzekł i zwolnił uścisk dłoni.

Podróż do domu upłynęła w milczeniu. Wyjeżdżając, Channing zatrzymał się na rozdrożu. Reflektory samochodu oświetlały powykrzywiane drzewo.

- W lewo - powiedziała Nicole. Poza tym nie odezwała się już ani słowem.

Później, gdy Caroline szła do kuchni, żeby napić się soku pomarańczowego, dobiegły ją głosy z sypialni rodziców. Ostatnie dosłyszane przez nią słowa należały do ojca. Wbrew sobie Caroline podkraśniała się pod drzwi.

- Ten człowiek jest bezwartościowy i zanadto przymilny - mówił Channing. - A ty z nim flirtowałaś.

- Ten człowiek jest po prostu uprzejmy. Dla nas obojga. A ja byłam uprzejma wobec niego.

- Jesteś moją żoną. - Caroline nigdy nie słyszała tak zagniewanego głosu ojca. - Nie musiałaś niczym za mnie nadrabiać.

Myślę, że jest wiele kobiet mogących dostarczyć mu wyrazów podziwu, których, jak się zdaje, tak bardzo potrzebuje.

Zapadła cisza. Gdy odezwała się Nicole, jej głos był tak cichy, że Caroline ledwie go słyszała.

- Podziw to wszystko, co mi pozostało.

Stojąca w ciemnym korytarzu Caroline zaczerwieniła się ze wstydu. Odwróciła się.

Następnego dnia opuścili wyspę - cztery dni wcześniej, niż planowali. Teraz, po roku, wspomnienie tamtych wydarzeń unosiło się niczym cień pomiędzy Nicole i Caroline.

- Nie mam ochoty się z nim spotykać - powiedziała Caroline.

Nicole dopiła swoje wino.

- Nie musisz - odrzekła beztróska. - Nie jestem pewna, czy ja również.

## DWA

Mijały dni, a Nicole Masters wydawała się coraz bardziej niespokojna.

Poświęcała mniej czasu na wspólne partie tenisa, nie podawała nowych propozycji wycieczek, zagrzebywała się w książkach. Zachęcała Caroline, by nawiązała kontakty z córkami innych letników, z przyjaciółmi z ubiegłych lat. Jednak sama przez dwa wieczory spacerowała samotnie po plaży. Caroline obserwowała ją z daleka: ręce w kieszeniach białej wełnianej kamizelki, spojrzenie skierowane na morze. Była osamotniona.

Gdy drugiego wieczoru matka wróciła z plaży, Caroline czekała na nią.

- Czy wszystko w porządku, mamó? - zapytała z nową dla siebie bezpośredniością.

Nicole wyglądała na spłoszoną tym pytaniem, jak gdyby ktoś wyrwał ją z głębokiego zamyślenia.

- A czy wcześniej nie było?

Caroline zawahała się, czy zdradzić swe instynktowne przecucia.

- Nie wiem...

Nicole uśmiechnęła się do niej słabo.

- Nie chodzi o ciebie, Caroline, jeśli o to się martwisz.

Caroline poczuła ulgę i odnowienie choć jakiejś wątej nici ich niedawnej więzi.

- W takim razie o co chodzi?

Matka wzruszyła ramionami.

- Czy to coś musi być czymkolwiek innym niż ja sama? - Głos matki był beznamiętny, lecz nie niemiły. - Miewam humory i tyle. Być może dostrzegasz to wyraźniej, kiedy jesteśmy same, bez ojca. Przepraszam, jeśli ci to przeszkadza.

Było to w zasadzie bardziej stwierdzenie faktu niż przeprosiny. Brzmiało tak, jak gdyby Nicole pogodziła się ze swoją innością i odrębnością i uważała, że inni również powinni to zaakceptować. Jednak Caroline tego nie chciała.

- Myślałam, że mogłybyśmy jutro wybrać się na cały dzień na żaglówkę - Caroline mówiła szybko, jakby pragnęła, aby jej podniecenie udzieliło się matce. - Pożeglowałybyśmy do zatoki Tarpaulin, tam gdzie ojciec zabrał mnie w zeszłym roku. Zjadłybyśmy na plaży, popływały. Na

pewno dobrze byś się bawiła.

- Tak sądzisz? - uśmiech Nicole nie zdołał ukryć smutku w jej oczach.

- Pewno - odrzekła Caroline. - Przygotuję kanapki i sama otakluję żaglówkę. Nie będziesz musiała nic robić. Po prostu popłyniesz ze mną.

Nicole przyglądała się jej nadal ze słabym uśmiechem.

- W porządku. Trudno w takiej sytuacji odmówić...

Nie czekając, aż Nicole zmieni zdanie, Caroline poszła do kuchni i zaczęła przygotowywać jedzenie. Gdy zadzwonił telefon, matka odebrała go w innym pokoju.

Po chwili Caroline wyszła z kuchni.

- Prowiant gotowy - powiedziała. - Czy to był ojciec?

Nicole przyglądała się jej badawczo.

- Twój ojciec pytał o ciebie. Jeśli chcesz, możesz do niego zadzwonić.

W jej głosie pobrzmiwał nie wypowiedziany wyrzut, który sprawił, że Caroline zamilkła i poczuła, że nie ma ochoty rozmawiać z Channingiem.

Kiedy nadszedł ranek, okazało się, że Nicole jednak nie popłynie.

- Przykro mi, Caroline - mówiła łagodnym tonem. - Nie czuję się najlepiej.

W oczach matki Caroline dostrzegła ciche błaganie o zrozumienie. Zrozumienie czego - nie wiedziała. Lecz Nicole nie powiedziała już nic więcej.

Caroline wybuchnęła niepoohamowanym gniewem:

- Przecież jest taka piękna pogoda! - mówiła. - Nie zamierzam przez cały dzień zamiatać wokół domu lub siedzieć w tym cholernym jachtklubie, rozmawiając o chłopakach.

Nicole spojrzała na nią poważnie.

- Co za język! Chociaż rozumiem, że faktycznie trudno inaczej ten klub określić. Co zatem proponujesz?

- Żaglówkę. Jeśli będę musiała płynąć sama, popłynę.

Nicole spuściła wzrok, jak gdyby wiedząc, że Caroline najbardziej pragnie zmiany jej decyzji.

- Czy twój ojciec by się na to zgodził? - zapytała.

- Pozwolił mi już w czasie poprzednich wakacji. Powiedział, że mogę płynąć, jeśli tylko sama czuję się gotowa.

- A jesteś?

- Tak. - Caroline zawahała się, mając nadzieję, że Nicole da jednak jakiś znak, że chciałyby popłynąć razem z nią. Nie dała. - Czy mogę płynąć, mamo? - zapytała monotonnym głosem.

Przez dłuższy czas z wpółzamkniętymi oczami Nicole analizowała pogodę.

- Kiedy byś wróciła?

- Przed szóstą. - Caroline starała się, by jej głos brzmiał obojętnie. - Nie ma sensu wybierać się na krócej.

Oczy Nicole znowu posmutniały.

- W porządku - odpowiedziała. - Możesz płynąć.

Pogoda była wspaniała. Sprawiała, że Caroline było lżej na sercu, a jej opory osłabły. Przez chwilę zapomniała nawet o tym, że ojciec, znając zdradliwość wód oceanu, nigdy nie pozwoliłby jej płynąć samej. Nie oglądając się, lekkim krokiem ruszyła do swojej jednomasztówki.

Łódź była piękna i zadbana - dwudziestostopowa Crosby z 1909 roku. Kiedy ojciec pokazał ją Caroline po raz pierwszy w dniu jej trzynastych urodzin, ledwie wstrzymała cisnące się jej do oczu łzy szczęścia.

- Twoje urodziny to dla mnie coś szczególnego - powiedział łagodnie. - Pływaj nią sobie z ostrożnością, na którą zasługujesz.

Rozgrzana wspomnieniami, lecz zarazem z poczuciem winy Caroline postawiła żagiel.

Niebo było bezchmurne, wiatr stały i silny. Caroline nie sprawdzała prognozy pogody.

Droga do zatoki Tarpaulin była prosta, a Caroline była pewna swych umiejętności. Halsując pod wiatr, zmierzała w kierunku latarni.

U wyjścia z zatoczki Caroline spojrzała za siebie i zmierzyła wzrokiem szmat wody, który przebyła z taką łatwością. Tylko dzięki dobrej pogodzie mogła nadal dostrzec Vineyard.

Zajmę się swoimi sprawami, pomyślała Caroline, i zrobię wszystko, co zrobiłabym, gdyby matka nie zostawiła mnie samej.

Siedząc z nogami dyndającymi za burtą, zjadła kanapkę i popiła ją colą. Gdy tylko skończyła, wskoczyła do wody i pewnie popłynęła do brzegu.

Plaża była pusta, a piasek ciepły. Leżała na nim, pogrążona w myślach, a ocean obmywał jej nogi.



Stwierdziła, że nie powinna złościć się na matkę. Przecież na długo, zanim ją urodziła, w życiu Nicole zdarzyły się rzeczy, na które nic nie mogła poradzić ani ich uniknąć. Będzie korzystała z kolejnych dobrych dni swego życia i zwalczy rozczarowanie. Pragnęła, żeby i dla ojca było to takie proste.

Kiedy w końcu spojrzała na ocean, pomiędzy niebo a wodę zaczął wdzierać się obłok mgły. Caroline podniosła się, zaskoczona. Wiedziała już, że będzie musiała wracać dużo wcześniej, niż zaplanowała.

Zapominając o rodzicach, szybko podpłynęła do żaglówki. Zanim wspięła się na burłę, mgła zdążyła zgęstnieć i pociemnieć, odgradzając ją mrocznym murem od domu.

Postawiła żagiel. Lakierowany pokład łódki nadał lśnił w słońcu. Caroline mówiła sobie, że będzie płynęła przez mgłę, aż w końcu ujrzy w promieniach słońca Martha's Vineyard.

Przy dźwięku skrzypienia takielunku Caroline wpłynęła we mgłę. Woda stała się nagle szara. Wszystko wokół zamknęło Caroline w otoczce samotności. Jej twarz była wilgotna i chłodna. Żaglówka posuwała się naprzód, tnąc ledwie dostrzeganą przez Caroline wodę. Pocieszała się, że jest na otwartym morzu, więc jeśli ktoś jej nie staranuje, zagrożenie jest niewielkie.

Nagle mgła przestała po prostu spoczywać na wodzie, lecz raptownie się po niej przetaczać. Wystraszona Caroline usiłowała sobie przypomnieć, co to oznacza. Gdy tylko ujrzała na horyzoncie mknącą ku niej czarną linię chmur, wiedziała, co się święci. Szkwał.

Miała tylko kilka minut. Teraz przypomniła sobie słowa ojca: wraz z burzą przychodzi zacinający deszcz i gwałtowne wiatry z wszystkich kierunków. Na wodzie nie było żadnych innych łodzi. Przez moment nie mogła wykonać ruchu. Potem przypomniło jej się kolejne ostrzeżenie Channinga: wiatr może wywrócić łódź dnem do góry. W panice podczołgała się do dziobu i oburącz chwyciła poręczy. Zdążyła jeszcze tylko zwolnić liny i opuścić żagiel.

Wówczas szkwał uderzył.

Pierwsza fala zrzuciła ją z dziobu. Przewracając się na bok, chwyciła za fał. W jednej chwili wiatr osiągnął prędkość siedemdziesięciu mil na godzinę. Łódź podskakiwała niczym korek na zalewających kokpit falach.

Caroline rzuciła się na pokład, a wtedy następna fala zalała łódź. Ledwie zdążyła chwycić wykonany z kutego żelaza rumpel, gdy łódź przechyliła się raptownie na bok. Fala ściągała ją do wody. Mięśnie zabołały z wysiłku. Zakotłowało się i łódź spazmatycznym szarpnięciem wróciła do pionu.

Oślepiąca przez słońcą wodę Caroline poczuła, jak pochłania ją pierwotny ocean. Kolejna wściekła fala może przecież oderwać jej ręce od rumpla. Ścisnęła go rozpaczliwie oburącz. Oczy piekły ją od morskiej wody, a po twarzy siekł deszcz. Przez wpólotwarte powieki dostrzegła w zalewanym przez fale kokpicie linę.

W głowie usłyszała głos Channinga, który nakazał jej przywiązać się do rumpla. Prawą ręką sięgnęła po linę. Łódź cięła powietrze. Caroline upadła na plecy, uderzając głową w dno. Jej uszy

wypełniło głośnie trzeszczenie. Nagle wszystko pociemniało jej przed oczami, a w żołądku poczuła próżnię. Dzięki jakiejś własnej woli palce jednej z dłoni nadal ścisnęły rumpel.

Woda uderzyła ją w twarz i cisnęła linę wprost w jej dłonie. Siadła wyprostowana. Gdzieś z oddali dobiegał do niej głos ojca każącego jej przewiązać się liną w talii i przymocować ją do rumpla.

W miotanej bałwanami żaglówce przeciągnęła linę pomiędzy ramionami rumpla, a potem wokół talii. W jednej chwili palce instynktownie zawiązały węzeł. Caroline i łódź stały się jednym.

W żaglówkę uderzyła ściana wody. Caroline rzuciło do przodu, lecz utrzymała ją lina. Poczuła, jak zatrzeszczały jej ściśnięte żebra. Modliła się, żeby węzeł wytrzymał i żeby łódź nie wywróciła się do góry dnem, więżąc ją pod wodą i topiąc. W maszt uderzył piorun, a ryk grzmotu ogłuszył ją. Caroline zamknęła oczy i modliła się, nie wiedząc, do kogo. Łódź raz pogrążała się w wodzie, raz unosiła na grzbietach fal. Wiatr świstał w uszach Caroline, a deszcz chłostał jej twarz.

I nagle wszystko ustało.

Caroline otworzyła oczy. Przemykała nad nią ostatnia ciemna chmura. Powietrze było rześkie i czyste. Rozpłakała się.

Nie... - powiedziała sobie. Zesztywniałymi dłońmi uwolniła się z liny. W jej głowie pulsowało, a klatka piersiowa była pocięta.

Stwierdziła, że nie może się ruszać. Poczuła się - jak to bywa w wypadku prawdziwie tragicznych przeżyć - zupełnie bezradna.

W końcu zdołała przewyciężyć ów paraliż i zatrzymując się co chwila, dotarła w końcu do takielunku. Postawiony żagiel zatrzeszczał, a potem wypełnił go świeży podmuch wiatru. Caroline widziała przed sobą Martha's Vineyard.

Odrętwiała, znowu chwyciła rumpel. W oczach czuła sól.

Przez zatokę toczyła się kolejna fala mgły. Caroline płynęła w jej kierunku przy południowo-wschodnim wietrze. Mgła poruszała się powoli, rozprzestrzeniając się po wodzie. Caroline czuła, że tym razem nie zwiastuje ona sztormu.

Głęboko oddychając, starała się jak najlepiej wykorzystać ostatnie dziesięć minut w słonecznym świetle, po czym jej żaglówka znowu zatopiła się we mgle. Jednak tym razem było zupełnie inaczej: cicho, spokojnie, bezwietrznie. Żagiel opadł i delikatnie łopotał na maszcie.

Caroline dryfowała na oślep wraz z prądem, który mogła jedynie wyczuwać. Wiedziała, że może wyrzucić ją na brzeg i roztrzaskać żaglówkę na skałach. Poprzez mgłę doszedł ją pierwszy głuchy dźwięk dzwonu boi. Nie była pewna, gdzie teraz jest. Dryfowała więc, straciwszy orientację.

Jedyne, co mogła zrobić, to nasłuchiwać groźnego podzwaniania coraz to bliższych boi. W końcu zorientowała się, że jest gdzieś pośród nich, niedaleko brzegu. Siadła przy sterze w tylnej części kokpitu, starając się utrzymać jacht z dala od raf i mielizn przy West Chop, czekając z nadzieją na bryzę, która powinna się pojawić wczesnym popołudniem.

Wiedziała, że klif jest coraz bliżej: wyczuwała, jak burzy się płytka woda. Wówczas - w ostatniej chwili - żagiel wypełnił się silniejszym tchnieniem wiatru.

Caroline chwyciła rumpel. Przechylając się na zawietrzną, łódź płynęła w pełnym słońcu, omijając przylądek West Chop.

Mogłoby się zdawać, że Martha's Vineyard pojawiła się za sprawą magii zza jakiejś półprzejrzystej zasłony. Caroline widziała domostwa na West Chop, odległe zaś maszty jachtów znaczyły kierunek do Vineyard Heaven. Zmęczona, lecz rozradowana tym widokiem nie mogła przestać się uśmiechać.

Nie mogła doczekać się, kiedy opowie o tym matce, kiedy ją zobaczy. Nawałnica, wicher i cud przetrwania wymazały z jej pamięci wspomnienie złości. Żegluga do domu ciągnęła się w nieskończoność.

Przybijając do brzegu, Caroline zmusiła się do przejścia wszystkich związanych z tym żeglarskich rytuałów. Tętniło w niej pragnienie opowiedzenia o wszystkim Nicole. Obolała i poraniona, lecz pełna miłości i wdzięczności pospieszyła do domu.

- Mamo! - zawołała.

Dom milczał.

- Mamo! - spróbowała jeszcze raz.

Może śpi, pomyślała i poszła korytarzem do sypialni matki. Kiedy tylko nacisnęła klamkę i było za późno, by się cofnąć, wiedziała już, co zastanie.

Obok twarzy matki zobaczyła twarz Paula Nerheima o wbitych w nią wielkich z przerażenia oczach. Matka i Nerheim zamarli w bezruchu. Leżał oparty na łokciach, z prześcieradłem zakrywającym lędźwie; ona pod nim, z rozłożonymi nogami. Jej sutki nadal dotykały skóry Nerheima. Cisza, jaka zapadła, wydała się Caroline tak krucha, że bała się drgnąć, by jej nie przerwać.

- Proszę. - Nicole spojrzała na nią błagalnie. - Zostaw nas samych.

Pod Caroline ugięły się nogi.

- Ojciec...

Nicole zamknęła oczy.

- Proszę.

Caroline powoli się wycofała.

Powłokła się do salonu, opadła na krzesło i czekała. Nie wiedziała, czy cierpi bardziej ze względu na siebie, czy też ojca.

Przed nią stanął Paul Nerheim. Jego włosy i ubranie były w nieładzie.

- Przepraszam, Caroline - mówił cicho, z wahaniem. - Jej również jest przykro.

Caroline tylko patrzyła na niego. Nerheim bezradnie wzruszył ramionami.

- Twoja matka chciałaby z tobą porozmawiać.

Caroline wyprostowała się na krześle.

- Wynoś się. Natychmiast - powiedziała tak lodowato, że nie przypuszczała dotąd, iż ją na to stać.

Ich spojrzenia spotkały się. Nerheim powoli pokiwał głową, odwrócił się i wyszedł z domu.

## TRZY

Chwilę później pojawiła się Nicole.

Miała na sobie jedwabny szlafrok. Najwyraźniej starała się zachować spokój, choć Caroline zauważyła, że był on bardzo wąty. Siadła naprzeciw Caroline i przyjrzała się jej uważnie. Wtedy dopiero zauważyła, w jakim stanie jest córka.

- Co ci się stało, Caroline? Masz poranioną twarz.

Caroline skrzyżowała ramiona. Nie odezwała się. Było już za późno, by troska Nicole mogła mieć jakiegokolwiek znaczenie, a myśl, że mogłaby zostać tak tanio kupiona, przepełniła ją wstrętem i złością.

Nicole chyba o tym wiedziała.

- W porządku - powiedziała łagodnie. - Chcesz, żebym się wytłumaczyła.

Caroline nie była tego wcale pewna. Najbardziej pragnęła, by ostatnie pół godziny po prostu zniknęło z jej życia niczym nocny koszmar. Nie mogła jednak znaleźć właściwych słów, aby to wyrazić.

Nicole założyła nogę na nogę i niedbałym ruchem poprawiła szlafrok. W padającym na nią z okna świetle jej twarz była wąta i blada.

- Postąpiłam źle - rzekła w końcu. - Przede wszystkim dlatego, że ty to zobaczyłaś.

- Przepraszam, że cię zaskoczyłam, mamó - powiedziała Caroline chłodno. - Wiem, że nie spodziewałaś się mnie.

Słowa córki uderzyły Nicole niczym policzek. Otworzyła szerzej oczy, siadła głębiej w fotelu i skrzyżowawszy ramiona, zapytała:

- Czy oczekujesz, że będę biła się w piersi Caroline? Myślisz, że to cokolwiek zmieni?

Caroline znowu przez moment nie mogła wydobyć z siebie słowa.

- Nie? - zapytała Nicole z ironią. - Więc zapewne niezręcznie ci jest mnie słuchać.

Caroline wzruszyła ramionami. Czuła, jak wali jej serce.

- Nie przypuszczałam, że coś takiego się wydarzy - ciągnęła cicho Nicole. - I nie mam gotowej mowy na tę okoliczność. Szczególnie takiej, z jaką mogłabym się w tym momencie zwrócić do córki,

która tak kocha ojca jak ty Channinga. Proszę więc, wybaczyć mi brak taktu czy delikatności.

Caroline przeszedł nieprzyjemny dreszcz, lecz zachowała kamienną twarz.

Nicole przełknęła ślinę.

- Channing jest w porządku, Caroline, a jego jedynym błędem było to, że poślubił właśnie mnie. Pomylił się, prosząc mnie o rękę, a mój błąd polegał na tym, że się zgodziłam.

Caroline zeszywniała w fotelu.

- On ci dał swoje życie, mamó.

Oczy matki po raz pierwszy zabłysły pasją.

- Właśnie, dał mi swoje życie. - Urwała nagle, starając się zniżyć głos. - Widziałam w nim dżentelmena. Być może nieco paternalistycznego, lecz miłego. Nie zauważyłam, że ten człowiek boi się. Boi się kobiet. Boi się wszystkiego, nad czym nie może panować...

- Tata nie jest zastraszony. - W Caroline zaczął wzbierać gniew. - Ludzie darzą go szacunkiem. Wszyscy, których znam.

Nicole powoli pokiwała głową.

- Tak, w jego świecie tak. W tym leży jego siła.

Caroline zimno i przecząco spojrzała na matkę.

- To był wybór człowieka pełnego lęku. - Głos Nicole znowu stał się delikatniejszy, jak gdyby pragnęła odsunąć od siebie to, co dostrzegła w oczach córki. - Wybór młodego mężczyzny, który nie zdążył jeszcze nigdzie zapuścić korzeni, obcego w mojej ojczyźnie i wstrząśniętego tym, co przeżyłam. Nie tylko tym, że straciłam rodzinę, ale że utraciłam cały świat, który nadawał sens mojemu życiu. Nie miałam już żadnego własnego świata... - Nicole przerwała. Jej głos był stoicko spokojny. Nie prosiła o współczucie. Jednak w Caroline zrodziło się poczucie winy. Milcząc, patrzyła na matkę. - Channing - ciągnęła Nicole - wierzył w swoje dobre serce. Lecz wierzył również, że nigdy mu się nie sprzeciwię, nie zostawię go czy nawet nie podam w wątpliwość to, co robi. - Nicole wbiła wzrok w ziemię. - Jako mężczyzna czy kochanek.

Caroline zeszywniała, a Nicole spojrzała teraz prosto w jej twarz.

- Ważne jest tylko to, Caroline, że byłam rozczarowaniem. Ty zapewne sądzisz, że Channing mnie uzdrowił.

W jej głosie pobrzmiwała delikatna gorycz. Caroline nie wiedziała, czy z powodu ojca, czy samej Nicole. Jednak chwyciła się tego.

- Przestań próbować zwrócić mi przeciw ojcu! - Caroline podniosła głos. - Nie zasługujesz na niego!

- Słusznie! - wybuchła Nicole. - Nie zasługuję na jego strach, zachłanność i złość. Myślałam, że stwierdzisz, iż to wszystko należy mi się i to z nawiązką.

Ten nagły wybuch w jakiś dziwny sposób zachwiał panującą pomiędzy nimi do tej pory równowagą. Zmieszanie Caroline przerodziło się w chłodną samokontrolę.

- Tego nigdy bym nie powiedziała, mamó. Dopóki nie zobaczyłam cię w łóżku z tamtym. Wygląda na to, że ojciec zawsze lepiej cię rozumiał.

Nicole wzdrygnęła się.

- Wiem - rzekła bezbarwnym głosem - że nie byłam dla ciebie dobrą matką. Jednak proszę, żebyś brała od niego to, co dobre, nie pozwalając mu kierować swoim życiem i kontrolować myśli. Bo wiem, że Channing będzie próbował to robić.

Caroline poczuła nagle, że musi rzucić się na matkę i ją powstrzymać.

- Niech cię szlag trafi! Czy myślisz - krzyczała - że potrzebuję ojca, żeby mi uświadomił, że po prostu pieprzyłaś się z Nerheimem...

- Proszę, Caroline. - Błada jak kreda Nicole poderwała się z fotela. - Jeśli musimy w ogóle o tym mówić, to chociaż spróbuj mnie zrozumieć jako kobieta. Wiem, że już sama zaczynasz odczuwać te rzeczy.

Caroline się zaczerwieniła. Nicole spojrzała na nią z napięciem.

- Nie mam zbyt wiele rzeczy, które należałyby tylko do mnie, Caroline. Ale pozostałam kobietą z kobiecymi potrzebami. - Jej głos brzmiał spokojnie. - Twojego ojca to prawie nie interesuje, a Paula Nerheima - obojętnie, jakie ma wady - tak. Dla Channinga Paul jest zwierciadłem własnych wad.

Dźwięk imienia Nerheima, wymawianego po to, by szargać dobre imię ojca, stał się dla Caroline nie do zniesienia.

- Nie mów tak. Nie mów tak o moim ojcu! - krzyczała. - On cię ocalił. Czy myślisz, że to, co stało się z twoimi rodzicami, może być dla ciebie usprawiedliwieniem? „Zamordowano ich, więc mam teraz prawo ranić każdego, kogo zechcę...”

Nagle Caroline pohamowała się. Twarz matki była zbyt przerażająca, by mogła na nią patrzeć. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, odwróciła się i patrzyła gdzieś w dal.

- Więc tak bardzo cię zraniłam... - Głos Nicole, delikatny i wyraźny, docierał jakby z daleka.

Caroline nie odpowiedziała ani nawet na nią nie spojrzała.

Zapadła długa cisza. Potem Caroline poczuła na ramieniu dłoń Nicole. Jej głos był jeszcze łagodniejszy.

- Wiem, że nigdy nie powiesz o tym ojcu. Ale nie chcę uczynić cię współwinną. Noga Paula Nerheima nigdy więcej nie stanie w tym domu.

Caroline milczała. Dopiero po chwili zorientowała się, że matka wyszła.

Caroline poszła na werandę od strony wody i płakała tak długo, póki starczyło jej łez.

Przez następne trzy dni prawie nie rozmawiały.

Caroline unikała towarzystwa matki i przyjaciół. Pierwszego dnia wyszła z domu wcześniej. Chciała popłynąć do zatoki Tarpaulin i z powrotem. Przez dwa kolejne dni sama chodziła na piesze wycieczki i jeździła na rowerze. Nicole nie próbowała się do niej zbliżyć.

Caroline nie wiedziała czy też nie chciała wiedzieć, co matka wtedy zrobi. W czasie wspólnych milczących obiadów nabierała przekonania, że ma do czynienia z kimś, kto oddalił się od niej na niewyobrażalną odległość. Miała takie wrażenie aż do czasu, kiedy przyłapała matkę na przyglądaniu się jej z ukrytym zaciekawieniem. W nocy słyszała kroki Nicole przechadzającej się po domu.

Caroline wiedziała, że w ciągu najbliższego tygodnia dołączy do nich Channing i nie mogła znieść tej myśli. Nie mogła sobie wyobrazić wspólnego obiadu, milczącej z powodu poczucia winy matki, nieświadomego niczego ojca i siebie wiedzącej o czymś, co tak pragnęła usunąć z pamięci. Jednak jedyną osobą, z którą mogła o tym porozmawiać, była Nicole.

W końcu Caroline nie wytrzymała milczenia. Kiedy czwartego popołudnia wróciła z roweru, poszła do pokoju matki.

Zobaczywszy matkę, Caroline zamarła. Nicole siedziała przy toalecie. Jej delikatna twarz odbijała się w lustrze do makijażu. Lewą ręką starannie nakładała konturówkę wokół swoich jasnozielonych oczu.

- Wychodzisz? - zapytała Caroline głucho.

- Tak. - Wyraz twarzy matki nie zmienił się. - Wrócę około północy. Nie czekaj na mnie.

Była do dla Caroline bardzo dziwna chwila. Ironia w głosie matki, napięte spojrzenie jej oczu, jej jasna twarz. Nicole nie odwróciła się do niej. Caroline miała wrażenie, że straciła ją na zawsze.

- Co zrobimy, gdy przyjedzie ojciec? - zapytała nagle.

Nicole wykonała drobny ruch kredką do oczu, wpatrując się w lustro.

- Nie zastanawiałam się nad tym. Myślę, że to, co robimy zwykle.

W uszach Caroline nie zabrzmiało to szczerze. Nawet brzmienie głosu matki wskazywało, że robi unik.

- To, co zwykle - powtórzyła zrozpaczona - nie będzie już nigdy dla mnie tym samym. Nie wytrzymam tego.

Po raz pierwszy Nicole odwróciła się do niej.



- Ale co mogę teraz zrobić, Caroline? Wiesz o wszystkim. Czy mam mu o tym powiedzieć dla ciebie? Czy po prostu odejść? - Przerwała. - Co oznacza, że będę musiała rozstać się również z tobą. Bo on nigdy nie pozwoli mi ciebie zabrać.

Caroline zaczęła drżeć.

- Proszę, przynajmniej nie wychodź. Proszę.

Nicole przyjrzała się jej.

- Muszę - rzekła w końcu. - Przynajmniej dzisiaj.

Caroline nie mogła wydobyć słowa.

Nicole spojrzała na nią jeszcze raz, po czym odwróciła się znowu do lustra, wpatrując się w nie z jeszcze większym niż uprzednio skupieniem, jak gdyby nie miała ochoty patrzeć w twarz Caroline.

Caroline wyszła na słoneczną werandę.

Obserwowała napływające, wznoszące się fale, rozbijające się na plaży. Zdała sobie sprawę, że woda miała w sobie coś hipnotycznego. Chociaż przerażający, ponadczasowy ocean działał na nią teraz kojąco.

Usłyszała kroki matki. Odwróciła się i spojrzała jej w twarz. Wzrok Nicole był łagodny. Pochyliła się, żeby pocałować ją w policzek. Caroline zamarła, ani tego nie akceptując, ani się temu nie opierając. Poczowała szybkie muśnięcie delikatnych ust Nicole.

Matka przez chwilę stała, po czym odeszła. Ku zaskoczeniu Caroline zatrzymała się w drzwiach i odwróciła do niej.

- Przykro mi - powiedziała i wyszła.

## CZTERY

Caroline czekała na nią.

Nie mogła robić nic innego. Nie mogła spać. Wyobrażała sobie, co robi matka, i modliła się, żeby nie zadzwonił ojciec. Dom był pogrążony w ciemnościach i w ciszy.

O pierwszej matki jeszcze nie było.

Caroline wyszła na dwór i stanęła nad urwistym brzegiem, wsłuchując się w pomruk purpurowych wód uderzających o klif. Noc była czarna, bezksiężycowa. W twarz wiał jej silny wiatr. Caroline przebiegł dreszcz. Z zimna objęła się ramionami. Na próżno nasłuchiwała odgłosu opon samochodu jadącego po żwirowej drodze. Białe porsche, które Nicole ubóstwiała, a Channing uznawał za samochód zbyt ostentacyjny, nie pojawiło się. Nic.

Caroline próbowała wyobrazić sobie matkę i sprawiło jej to ból. Może, pomyślała, Nicole wypła trochę więcej niż zwykle i zapomniała o obietnicy powrotu. Może kochali się więcej niż raz.

Na fosforyzującej tarczy zegarka było wpół do drugiej.

Caroline stwierdziła, że jeśli matka nie pojawi się do drugiej, będzie musiała coś zrobić. Nie wiedziała jeszcze co. Jakby wyznaczając ową godzinę, chciała wywołać powrót Nicole.

Czasami matka pije zbyt dużo, powiedziała do siebie szorstko i bez ogródek jak nigdy przedtem. Te słowa sprawiły, że przeszła rodzaj wewnętrznej przemiany - poczuła ból i przygnębienie.

Jednak wzdragała się na myśl o telefonie do Nerheima.

Czując ogarniającą ją samotność, wróciła do domu. Poszła do kuchni. W bladym świetle spojrzała na zegar przypominający te wiszące w szkolnych klasach. Pomyślała, że byłaby wściekła, gdyby rodzice zrobili jej coś takiego specjalnie, obserwując, jak postąpi. Myśl o rodzicach sprawiła, że znowu posmutniała.

Cholerny Paul Nerheim! Nie ma prawa.

O drugiej w nocy stwierdziła, że nie odważy się do niego zadzwonić.

Przecież w dwójce nie ma nic magicznego, myślała. Ale jak czułaby się, gdyby - niczym dziecko z twarzą przyklepioną do szyby okna - przerwała im, jeżeli właśnie by się kochali? Niczym dziecko, które - co gorsza - nie rozumie świata dorosłych, a tylko oczekuje od nich zwrócenia na nie uwagi...

Caroline zrobiła sobie herbatę.

Na zewnątrz usłyszała jakiś hałas. Wstała i szybko podeszła do drzwi frontowych. Uchyliła je lekko, tak, żeby matka tego nie zauważyła.

Jezdnia była pusta.

Caroline zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Poszła do kuchni i otworzyła książkę telefoniczną. Przez długie minuty wpatrywała się w numer Nerheima, aż w końcu знаła go na pamięć. Wstała i zmusiła się, by obrócić tarczę telefonu.

- Słucham?

Odebrał Nerheim. Mówił głuchym, zmieszonym głosem. Caroline zaczerpnęła tchu.

- Czy jest tam moja mama?

- Caroline?

- Tak.

Na chwilę zapadła cisza.

- Wyjechała - głos Nerheima był teraz wyraźny. - Kilka godzin temu.

- Kiedy? - Caroline ścisnęło w piersiach.

- Trochę przed dwunastą - powiedział dziwnie uprzejmie. - Chciała wrócić do ciebie, do domu.

Caroline poczuła, że zamykają jej się oczy.

- Nie ma jej tutaj - powiedziała cicho.

Milczenie Nerheima ciągnęło się w nieskończoność.

- Zadzwoń na posterunek w Chilmark. I do policji stanowej. - W jego głosie pobrzmiwała teraz zarazem troska i zdecydowanie.

Caroline milczała. Całą chwilę trwało, zanim zdała sobie sprawę, że nie chce, żeby to robił.

- Nie - powiedziała. - Ja to zrobię.

Godzinę później zadzwonił telefon. Caroline rzuciła się, żeby podnieść słuchawkę.

- Panna Masters?

Caroline westchnęła z rozczarowaniem.

- Tak?

Męski głos w słuchawce był spokojny i cichy, z typowym akcentem z Massachusetts.

- Mówi sierżant Mannion z policji stanowej. Poinformowano mnie, że zaginęła twoja matka. A przynajmniej nie wiesz, gdzie teraz może być.

- Nikt nie wie. - W jej głosie pobrzmiwała rozpacz.

- Powiedziano mi, że jechała z Windy Gates w Chilmark. Czy to się zgadza?

- Tak - odpowiedziała Caroline. - Odwiedzała przyjaciela.

- Czy wiesz, dokąd mogłaby jeszcze pojechać?

- Nie. Miała wrócić tutaj.

- Czy jest tam twój ojciec? - W jego głosie zabrzmiała nuta wahania.

- Jest w New Hampshire - odpowiedziała. - W naszym domu.

- Rozumiem - mówił ostrożnie i neutralnie. - Nie wychodziła dotąd na tak długo...

- Proszę - przerwała mu Caroline. - Czy możecie jej poszukać? Boję się, że miała wypadek...

Mówiąc te słowa, Caroline czuła ucisk w żołądku. Chciała powiedzieć: „Gdyby nie ja, moja mama byłaby już w domu”. Tego nie mógł wiedzieć. Lecz gdy odezwał się znowu, miała wrażenie, że dosłyszał jej myśli.

- Czym jechała?

- Białym porsche.

Caroline dosłyszała ciszę zamyślenia.

- W porządku. Poszukamy jej. Pewno będzie w domu, zanim znowu do ciebie zadzwonię.

Przez dwie kolejne godziny telefon nie zadzwonił, a pod dom nie podjechał samochód. Caroline włóczyła się po pustym domu, bezbronna wobec swojej pobudzonej wyobraźni. Nigdy nie była tak samotna.

Na krótko przed piątą pierwsze słabe promienie świtu rozjaśniły mroki szaroniebieskiego oceanu. Gapiąc się w okno, Caroline zdała sobie sprawę, że to noc utrzymywała przy życiu jej nadzieję. W chłodnym świetle poranka zrozumiała, że matka nigdy już nie wróci.

Usłyszała trzeszczący pod oponami żwir. Przed domem zatrzymał się jakiś samochód.

Podniecona podbiegła do drzwi. W jej wyobraźni żywa Nicole Masters wysiadała ze swojego nisko zawieszonych porsche. Zamarła, kiedy ujrzała przed domem czarny wóz patrolowy policji. Wysiadł

z niego człowiek w mundurze. Kiedy się zbliżał, dostrzegła jego rude włosy, różowawą twarz i łagodne niebieskie oczy. Zauważyła, że jest nieco szpotawy. Być może dlatego szedł, jak się jej wydawało, tak wolno.

- Jesteś Caroline, prawda?

Był to głos policjanta, z którym rozmawiała przez telefon. Teraz brzmiał nieco łagodniej. Caroline skinęła, milcząc.

- Jestem Frank Mannion - mówił nieco stłumionym głosem, lecz nie spuszczał oczu z jej twarzy. - Znalaziono samochód. Białego porsche. Muszę zadzwonić do twojego ojca.

Caroline zasłoniła drzwi, jak gdyby nie chciała dopuścić go do telefonu.

- Gdzie? - zapytała.

Jego twarz przeciął cień.

- Na plaży. Pod Windy Gates.

Serce Caroline stanęło. Zaczęła się trząść.

- A co z...

Chyba westchnął.

- Niedaleko znaleźliśmy ciało, Caroline. To kobieta.

Poczuła, że jej oczy zamykają się, a głowa opada. Usłyszała słowa Manniona:

- Proszę, pozwól mi zadzwonić do twojego ojca.

Nie otwierając oczu, Caroline powoli pokręciła głową.

- Ktoś musi ją zidentyfikować - mówił nadal cicho. - A twój ojciec powinien być tutaj ze względu na ciebie.

- Nie. - Caroline otworzyła oczy.

- Caroline, przykro mi, ale...

- Nie dam wam jego numeru - mówiła z zacięciem w głosie. - Nie mogę pozwolić, żeby się dowiedział.

Mannion pokręcił głową.

- On musi się o tym dowiedzieć... - zaczął, lecz nagle w jego oczach pojawiło się zrozumienie.

- Niech mnie pan tam zabierze - powiedziała cicho Caroline.

Jazda na miejsce wypadku była jak sen: świt wstający nad Vineyard, białe domy i płoty ze sztachet w Edgartown, lasy i farmy, słupy telefoniczne, rozległe pola przypominające szkockie wrzosowiska, sięgające aż nad ocean. Kiedy zbliżyli się do Chilmark, Caroline poczuła rosnący opór Manniona i ciężar trwającej pomiędzy nimi ciszy.

- Czy urodził się pan tutaj? - zapytała.

Zaskoczony policjant zawahał się.

- Nie, jestem nowy. Przede mną nigdy nie mieli tutaj na wyspie policji stanowej.

Caroline przez chwilę milczała.

- Podoba się panu tutaj?

Poczuła, że się do niej odwraca, jak gdyby odgadując, czego jej potrzeba.

- Mieszkańcy wyspy nie są co do mnie zbyt przekonani - rzekł w końcu. - Przecież przez tyle lat radzili sobie z wszystkim sami. Ale mojej żonie się tutaj podoba. Poza tym to dobre miejsce dla dzieci.

- Ile ich pan ma?

- Trójkę.

Skręcili w bok i podążyli kurzącą się drogą w kierunku Windy Gates. Caroline nie była w stanie powiedzieć ani słowa więcej.

Otoczyły ich drzewa: grube, wiekowe i przerośnięte. Ich gęste, wiszące nad drogą gałęzie tylko gdzieniegdzie przepuszczały słoneczne światło, które padało na czerwoną glinę powierzchni drogi. Caroline ścisnęło w piersiach i krtani. Nagle z wielką wyrazistością wyobraziła sobie matkę tańczącą tej nocy z Paulem Nerheimem na korcie tenisowym przy muzyce, której nikt nie mógł dosłyszeć; ich splecione ciała, a nieopodal wiaderko z chłodzącym się szampanem...

Kiedy dotarli do rozwidlenia dróg, z których jedna wiodła do posiadłości Nerheima, druga zaś prosto w kierunku wody, Mannion zwolnił. Jego usta były mocno zaciśnięte.

Kiedy zawracali, spojrzała w kierunku domu. Wyobraziła sobie matkę jadącą wijącą się drogą, którą Caroline wracała ongiś z rodzicami. Widziała, jak matka mruży oczy, oślepiona odbijającym się od drzew światłem, prowadząc samochód aż do powykrzywianego drzewa, znaczącego rozgałęzienie drogi: do domu i w stronę oceanu. Pamiętała jej głos, cicho podpowiadający ojcu: „W lewo...” Widziała Nicole samą w ciemności, skręcającą w drogę wiodącą prosto ku oceanowi.

- Przecież znała drogę... - wyszeptała.

Spojrzenie, którym obrzucił ją Mannion, kryło cień podejrzliwości. Wyglądało jednak, że boi się do niej odezwać. Minęli rozwidlenie i powoli posuwali się wijącą się dróżką, którą kiedyś szła

Caroline.

Teraz jechali wolniej. Zakręty stały się ostrzejsze. Zanim weszli w ostatni w prawo i wyłoniło się przed nimi otwarte niebo, powracające wspomnienie wywołało na skórze Caroline dreszcz.

Na skraju klifu stał ambulans.

- Powinni zamknąć tę drogę - powiedziała Caroline, gdy Mannion zatrzymał się tuż za nim. Bał się na nią nawet spojrzeć.

Wysiedli. Policjant został przy samochodzie, a Caroline ruszyła do miejsca, w którym droga po prostu się urywała, tak jakby kończył się tam świat.

Zaczerpnęła powietrza. Zmusiła się, by spojrzeć w dół, na leżącą dwieście stóp niżej plażę.

Natychmiast dostrzegła białe porsche. Leżało odwrócone do góry kołami, zaryte nosem w złoty piasek. Fale obmywały jego maskę. Obok auta chaotycznie poruszały się trzy sylwetki. Od czasu do czasu spoglądali na wodę, niczym czekający na świt miłośnicy natury. Jedna z postaci oddaliła się od pozostałych i wolno ruszyła przez piaski.

Człowiek zatrzymał się i spojrzał w dół.

U jego stóp leżała drobna postać w sukni matki. Jej ramiona były rozrzucone, a włosy rozłożone na piasku niczym pęki wodorostów zmytych przez przypływ. Na piasku było widać ślady - linie i łuki - ciemniejsze tam, gdzie dotarło czoło ostatniej fali.

Caroline nie mogła złapać oddechu. Poczwała za sobą Franka Manniona. Powoli ruszyła razem z nim w kierunku schodów. Widziała matkę opuszczającą tę ziemię i niknącą gdzieś w mroku. To ja ją tam posłałam, pomyślała.

Z opuszczoną głową, nie patrząc na plażę, zrobiła ostatnie kilka kroków w kierunku schodów. Mannion był tuż za nią. Może to nie moja matka, modliła się w duchu. Z góry kobieta wyglądała na zbyt małą i delikatną, aby być tą, którą znała Caroline.

Schody za nią zaskrzypiały pod ciężkimi stąpanieniami Manniona.

Na platformie zawróciła, żeby pokonać kolejny odcinek schodów. Potem kolejny i jeszcze jeden. W końcu jej stopy dotknęły piasku. Zatrzymała się, spoglądając na urwiste zbocze klifu. Na dole zobaczyła połąc gliniastej ziemi, w którą uderzył spadający samochód.

Chłodna woda podchodziła do jej stóp. Zdała sobie sprawę, że trwa przypływ. Caroline ostatnie kilka jardów do ciała Nicole pokonała niczym automat.

Jej twarz była porcelanowa. Z ust wyciekała cienka strużka krwi, a plecy były dziwacznie wykrzywione. Poza tym nie było widać żadnych obrażeń. Jednak duch, który niegdyś ożywił jej ciało, teraz je opuścił. Dla Caroline ta leżąca na plaży woskowa figura przestała być jej matką - kobietą, której czysty profil widziała po raz ostatni w lustrze i która pocałowała ją na do widzenia. Nie uroniwszy łzy, Caroline siadła obok jej ciała.

- Zostawcie ją - mruknął Mannion do pozostałych.

Caroline została sama, patrząc na matkę i pragnąc odwołać wszystko, co jej powiedziała, by już jej dłużej tym nie ranić. Po jakimś czasie poczuła, że stoi za nią Mannion. Jednak nie podniosła wzroku.

- To ona - powiedziała. - Moja matka.

Uklęknął przy niej, rozkładając puste dłonie.

- Próbowала hamować, Caroline. Są tam jeszcze ślady.

Caroline zamknęła oczy. Dopiero wtedy po jej policzkach popłynęły łzy.

- No widzisz... - rzekł Mannion łagodnie.

Caroline pokiwała głową. Nie mogła wydobyć słowa.

- Musimy ją stąd zabrać.

Po chwili Caroline wstała. Zaczepnęła do płuc morskiego powietrza i spojrzała na szczyt klifu. Na jego skraju dostrzegła Paula Nerheima.

- Zadzwońię do twojego ojca - powiedział Mannion.

Caroline ciągle patrzyła na sylwetkę na skraju klifu.

- Nie. Ja do niego zadzwonię.

Pochowali ją na Masters Hill, w pewnej odległości od miejsca, w którym miał kiedyś spocząć jej mąż. Ceremonia była krótka i prosta. Nikt nie wspomniał o tym, że była Francuzką czy Żydówką, o tym, jak się tutaj znalazła i jak zginęła.

Jednak Caroline niczego nie oszczędziła ojcu. Kiedy po nią przyjechał, objął ją i zachrypniętym łagodnym głosem powiedział:

- To ojcowie chronią córki, a nie na odwrót. Dlaczego sądziłaś, że tego od ciebie oczekuję?

Caroline nie potrafiła odpowiedzieć. Kiedy odwróciła się od niego, to nie po to, by chronić jego, lecz siebie przed świadomością jego cierpienia.

Po pogrzebie byli na Masters Hill sami. Pod wpływem nalegań ojca Betty powróciła do swojej przerwanej podróży po Europie. Ojciec traktował Caroline z przesadną uprzejmością.

Kiedyś, nie mogąc zasnąć, natknęła się na niego o północy w pokoju muzycznym.

- Chcesz porozmawiać? - zapytała.

- Nie Caroline. - Jego głos był chropawy. - Nie z tobą.



W tym momencie Caroline odczuła swoją samotność. Wiedziała, że owej szorstkości nie kierował do niej, lecz do siebie samego. Nigdy więcej nie rozmawiali o Nicole.

Channing nie chciał słyszeć o tym, żeby Caroline z nim tutaj została. Zapisali ją do Dana Hall, lecz serce bolało ją na myśl, że będzie musiała go opuścić. W ukryciu przed Channingiem płakała z tęsknoty za matką.

W ostatnich tygodniach przed jej wyjazdem zorganizowali sobie życie noszące pozory normalności. Na trzy dni przed wyjazdem przypadały urodziny Channinga. W tajemnicy Caroline kupiła dla niego prezent. Od rana nalegała, żeby zabrał ją na ryby nad jezioro Heron.

Po niebie sunęły rzadkie obłoki. Słońce to rozświetlało tafle jeziora, to nikło, aby po chwili znowu wrócić. Caroline i ojciec siedzieli naprzeciw siebie w łodzi.

- Kocham to miejsce - powiedziała. - Wolałabym go nie opuszczać.

Channing słabo się uśmiechnął.

- Nie opuszczasz go, Caroline. Po prostu wyjeżdżasz. To przecież twój dom.

Caroline patrzyła na niego: czarne włosy, ciemne głęboko osadzone oczy - twarz silnego człowieka, na której tylko Caroline była w stanie dostrzec rany po ostatnich przeżyciach.

- Chciałabym móc się tobą zaopiekować - powiedziała pod wpływem impulsu.

W jego oczach przez chwilę błysnął ból. Potem znowu pojawił się uśmiech.

- Nie jestem jeszcze taki stary. Będziesz musiała trochę poczekać.

Caroline poczuła się niezręcznie. Zdała sobie sprawę, że nie powinna wprost mówić o tym, co widzi.

- Zdecydowałam już, co chcę robić w przyszłości - powiedziała, jak gdyby chcąc to zamaskować.

- O! I cóż to takiego?

- Zostanę prawnikiem. Jeśli nie jesteś już sędzią, mogę mieć z tobą praktykę prawniczą.

Channing pokiwał głową.

- A potem?

Zawahała się. Być może było to głupie, ale chciała, żeby o tym wiedział.

- Zostanę sędzią. W końcu kobieta też nim może być.

Przez dłuższy czas Channing tylko na nią patrzył.

- Caroline - powiedział łagodnie. - Sprawiałabyś mi tym wielką radość.

Ścisnęło ją w gardle. Przez chwilę niemal zapomniała o prezencie. Niezręcznie sięgnęła do swojego plecaka i wyciągnęła z niego czarne podłużne pudełko obwiązane wstążeczką.

- Co to? - zapytał.

Caroline włożyła mu je do rąk.

- Wszystkiego najlepszego.

Patrzył na pudełko z zabawnym półuśmiechem.

- Powinienem to otworzyć?

- W końcu po to je tutaj przyniosłam.

Channing ostrożnie odwiązał wstążkę: w pudełku spoczywał piękny nóż wędkarski firmy Cahill. Przez chwilę trzymał go przed sobą, podziwiając skórzaną pochwę, kościaną rączkę i zgrabne stalowe ostrze.

- Caroline... - Urwał, a ona w pierwszej chwili pomyślała, że nie powie już nic więcej. - To najwspanialszy nóż, jaki kiedykolwiek widziałem - dokończył krótko.

Caroline próbowała się uśmiechnąć.

- Teraz będziesz mógł filetować ryby, kiedy mnie nie będzie.

Channing ukrył jej dłoń w swoich.

Kiedy Caroline wróciła do domu na Święto Dziękczynienia, nóż miał już swoje miejsce na stojaku w starej stajni. Ojciec utrzymywał go w nienagannym stanie.

CZEŚĆ CZWARTA

**ŚWIADEK**

## JEDEN

Caroline stała przy grobie matki.

Poranek był pogodny i zaczynało się robić ciepło. Jedynie w tym zacienionym przez drzewa zakątku cmentarza na trawie pozostały jeszcze krople rosy. Krawędzie nagrobka Nicole pokrywał mech.

Dwa dni przed telefonem ojca wzywającym ją na Masters Hill Caroline wróciła na miejsce, w którym zginęła jej matka. Droga do Windy Gates była teraz zarośnięta trawą i nie sposób było przejechać nią samochodem. Kamienny mur był ledwie widoczny zza krzewów i pokrywających go winorośli. Na końcu ścieżki stała drewniana zaporą, a za nią rozciągał się już nagi grzbiet urwiska. Sto lub nawet więcej stóp uległo w tym czasie erozji. Grzbiet klifu zdawał się zapadać pod jej stopami. Wychyliwszy się za jego krawędź i spojrzawszy w dół, Caroline zdziwiła się, że nie widzi tam samochodu ani ciała. Obraz, który kiedyś tutaj zobaczyła, na zawsze wrył się w jej pamięć. Nie poszła na plażę.

Zawróciła i ruszyła ścieżką prowadzącą do domu Nerheima. Był mroczny, zaniedbany i wpółzrujnowany. Stało przed nim kilka samochodów. Jak dowiedziała się, kupił go pewien muzyk rockowy z Kalifornii, który zamierzał przywrócić mu dawną świetność. Kort tenisowy porośnięty był zielskiem...

Patrząc na nagrobek matki, Caroline usłyszała za sobą kroki. Nie odwróciła się.

- Kto to? - zapytała.

- Musimy porozmawiać, Caroline.

- Mogłeś wybrać na to lepszy czas. I miejsce.

Przez chwilę ojciec milczał.

- Przychodziłem tutaj przez dwadzieścia lat twojej nieobecności - odpowiedział. - Te wspomnienia, niezależnie od tego, jakie są, należą do nas obojga.

Caroline odwróciła się od grobu i przeszła kilka kroków w kierunku ojca. Na jego twarzy nadal widoczny był szok z powodu aresztowania Brett. Jego czarne oczy patrzyły na nią z gorączkowym napięciem.

- Wiem, że zostaniesz, Caroline.

W Caroline odezwał się instykt ucieczki. Ów imperatyw sprzed dziesięcioleci, który nakazywał jej opuścić tego człowieka i to miejsce. Założyła ręce na piersiach.

- Czy przyszedłeś po to, żeby mi to powiedzieć?

Światło w jego oczach przygasło.

- Betty mówiła, że jedziesz do Concord, żeby przejrzeć akt oskarżenia. Chciałbym pojechać z tobą.

- Nie, dziękuję.

Zesztywniał.

- Brett jest moją wnuczką.

W Caroline wzbrał gniew.

- Czy właśnie do tego wszystko się sprowadza? Do tego, że coś jest twoje?

- Mówisz o mnie czy raczej o sobie, Caroline? - W jego głosie mieszała się duma i desperacja. - Nikt inny nie jest lepiej przygotowany, żeby ci pomóc. Czy zapominasz, że przez dwadzieścia pięć lat po Norymberdze pracowałem na stanowisku Jacksona? Znam prawo, prawników, sędziów i wszystkie niepisane reguły, które rządzą ich światem. Gdybym nie był twoim ojcem, pewno błagałabyś mnie o pomoc. - Pohamował się, starając się, aby ostatnie słowa zabrzmiały jak łagodna prośba. - Kiedyś pragnęłabyś tego jak niczego innego.

Caroline wpatrywała się w jego twarz.

- A więc takie to ma dla ciebie znaczenie - rzekła chłodno. - Zwycięzysz wreszcie dzięki Brett. A jej rola sprowadziła się tylko do zabicia kogoś.

Jego policzki poczerwieniały.

- Jak możesz tak mówić?

- Że ona go zabiła? - Caroline wzruszyła ramionami. - To prawda, że nie mogę być pewna. Ale teraz, gdy jestem jej prawnikiem, specjalnie nie interesuje mnie to, czy faktycznie zabiła tego chłopaka. A twoje odczucia interesują mnie jeszcze mniej.

Channing podszedł do niej. Przez chwilę wyglądało na to, że chce wyciągnąć do niej rękę, jednak niezręcznie i sztywno pozostały u boków.

- Proszę - powiedział zachrypniętym głosem. - Mogę wkrótce umrzeć. Chcę zobaczyć ją na wolności.

Caroline poczuła nagle zmęczenie.

- To nie będzie łatwe, ojcze. Możliwe, że będziesz musiał jeszcze trochę pożyć.

Westchnął, załamany.

- Jak ona się miewa? - zapytał.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, trzyma się nieźle. Oczywiście boi się. Jej nastrój często się zmienia. Sądzę, że jednak dysponuje pewną odpornością.

- Myślisz, że to wytrzyma?

- Tak. Przez jakiś czas.

Channing zwrócił się do niej.

- Wiem, że bardzo wiele zrzuciłem na twoje barki - rzekł cicho.

- Ty? Zostałam tutaj dla niej.

Nie odpowiedział.

- A ta twoja nominacja sędziowska? - zapytał po chwili. - W którym miejscu to utknęło?

Pytanie zaskoczyło ją. Przez chwilę poczuła, że grunt usuwa się jej spod nóg.

- Naprawdę, jeszcze nie mogę o tym myśleć...

- Mogę pomóc, Caroline. - Jego głos zyskał na mocy. - Tim Braddock jest w Komisji Sędziowskiej Senatu. Ma zostać prezesem. Mógłbym do niego zadzwonić...

Caroline pokręciła głową.

- To ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję. Rozumiesz?

Ojciec przez chwilę wyglądał na zranionego.

- Tak - odpowiedział z godnością. - Rozumiem.

- Tę część naszego życia mamy już za sobą, ojczcie. - Patrząc mu w oczy, Caroline zaczerpnęła powietrza. - Lecz jeśli chcesz przeanalizować sprawę Brett razem ze mną i bez emocji, jestem gotowa odłożyć to wszystko na bok. Przynajmniej na teraz - dokończyła.

Podniósł głowę.

- Dziękuję - powiedział krótko i odszedł.

Z fotografii patrzył na nią James Case.

Śmiertelne cięcie na jego gardle widoczne było w postaci ciemnej linii, głowa zaś była skrzywiona w stosunku do tułowia pod kątem niemożliwym za życia. Jego oczy były suche i szkliste, a twarz spryskana krwią. Na nieco rozchylonych ustach widać było czerwony bąbel. Caroline położyła zdjęcie obok innych na stole konferencyjnym.

Specjaliści z laboratorium kryminalistycznego skończyli swoją pracę. Było prawie dwadzieścia kolorowych zdjęć przedstawiających, jak pomyślała Caroline, kolejne stacje agonii i śmierci Jamesa Case'a. Jego nagie ciało spoczywało na kocu. Tors był zalany krwią. Na zwiotczały penis włożona była prezerwatywa. W klatce piersiowej widniał ślad po wbiciu noża. Na zbliżeniu przedstawiającym podcięte gardło Caroline zauważyła struny głosowe.

Nie mogła powstrzymać się od myśli o Brett.

- Twój morderca - rzekła - nie dał mu żadnych szans.

Siedzący obok niej Channing przeglądał zdjęcia z lekkim niesmakiem.

- Niektórym ludziom - wymamrotał - nie jest pisane długie życie. Jak ona mogła z nim sypiać?

Milcząc, Caroline odwróciła się od niego.

Siedzieli w sterylnym pokoju konferencyjnym na głównej komendzie policji stanowej w Concord i przeglądali dokumentację. Channing przez chwilę siedział nieruchomo.

- Jackson nie ma pomysłu, jak odpowiedzieć na to, że morderca mógł poruszać się wodą, wzdłuż brzegu - rzekł w końcu, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

- A kim to mógłby on być? Morderca, ma się rozumieć.

- Dostawca Case'a. A może nawet jakiś włóczęga.

- Sprawdziłam raporty policji. Nie odnotowali w okolicy żadnych bezdomnych. Żadnych rabunków. A co do rozwścieczonego dostawcy narkotyków, to historia Jamesa wydaje mi się naciągana. - Przerwała, wpatrując się w zdjęcie torsu chłopaka. - Nie, lepiej porzućmy ten narkotykowy wątek, którego policja i tak nie potraktuje poważnie. Im bardziej w to wnikamy, tym wyraźniej widać, że tego nie kupią.

Channing poderwał się niespokojnie.

- Potrzebujesz podejrzanego, Caroline.

Milcząc, Caroline sięgnęła po kopertę i wyjęła z niej przezroczystą torbę. Oczy ojca zamarły.

Bez słowa podała mu ją.

Trzymał ją, patrząc na cahillę o kościanej rączce. Jego rękojeść ciągle pokryta była krwią.

- Czy wiesz, gdzie była Betty? - zapytała Caroline cicho.

Channing spojrzał jej w oczy. Jego wyraz twarzy był zimny.

- W domu - rzekł. - Ze mną.

Ich spojrzenia spotkały się, a wówczas Caroline lekko skinęła głową w kierunku torby z nożem.

- Bardzo to dziwne. Ale, jak powiedziałeś, Jackson nigdy nie będzie w stanie przypisać tego noża Brett. Założywszy, że jest niewinna.

Channing bez słów schował nóż w torbie do koperty.

- Więc - cicho ciągnęła Caroline - możemy zwrócić naszą uwagę na inne rzeczy. - Podała mu fotografię torsu Jamesa.

- Co na przykład jest nie w porządku na tym zdjęciu?

Channing z roztargnieniem wziął je od niej i uniósł na wysokość oczu.

- Niezbyt wiele krwi - rzekł powoli.

Caroline pokiwała głową.

- Ten strumień jest zbyt delikatny. Powinien być cały zalany krwią tryskającą z tętnicy. Szczególnie jeśli zabójca podciął mu gardło, znajdując się za jego głową, i nie przyjął na siebie części strumienia krwi.

Channing studiował fotografię.

- A jeśli Brett siedziała na nim, jak sugeruje policja? - zapytał.

- Wówczas ona byłaby zalana krwią. Tymczasem zdjęcia policyjne pokazują, że nie była. A możemy założyć, że była na nim, bo zdjęli jej odciski palców z jego gardła i z zakrwawionej klatki piersiowej. - Caroline przerwała. - Jackson temu, oczywiście, zaprzeczy. Będę potrzebowała ekspertów.

- Serologa?

- Najlepiej tak. Z pewnością kryminologa, patologa sądowego i detektywa. A także kogoś, i to chyba najistotniejsze, kto będzie mógł orzekać na temat wpływu leków i narkotyków na funkcjonowanie pamięci.

Channing usiadł.

- Ile to wszystko będzie kosztowało?

- Jeśli dojdzie do procesu? Sto tysięcy. Może więcej.

Channing wbił spojrzenie w stół.

- Nie mam właściwie nic poza moją pensją - rzekł cicho.

Przeraziło ją to. Pamiętała siebie, młodą Caroline Masters, której nigdy niczego nie brakowało.

- Jak to się stało?



Skrzyżował ręce na piersiach.

- Jest tak już od dawna. Nic ci o tym nie mówiłem - powiedział zmęczonym głosem. - Był okres, kiedy myślałem, że to ty możesz utrzymać Masters Hill przy życiu. Ale wtedy wyjechałaś... - Urwał. - Moje interesy szły źle, a Betty i Larry nie mają swoich pieniędzy. Zostaliśmy z naszym domem i dobrym imieniem - dokończył fatalistycznie.

Caroline wiedziała, że ostatnie słowa wypowiedział bez ironii. Ojciec mówił z dumą na twarzy. Nawet na nią nie spojrział.

- To dlatego nie posłaliście Brett do lepszej szkoły czy college'u?

Jego oczy zwęziły się.

- Zrobiliśmy, co mogliśmy. Nie bacząc na koszty.

Caroline przyjrzała się mu.

- Dobrze powiedziane - zauważyła cicho.

Channing patrzył przed siebie i milczał.

- Jeśli o to chodzi - powiedziała powoli Caroline - możesz zaciągnąć pożyczkę pod Masters Hill.

Jego oczy nadal były nieruchome.

- Już to zrobiłem. Ale ceny nieruchomości w tych okolicach wciąż spadają...

Caroline zdała sobie sprawę, że zadaje mu ból.

- Dobrze - powiedziała. - Mogę zorganizować trochę pieniędzy. Ale już teraz potrzebuję dwudziestu tysięcy. Od ciebie lub Betty.

- Na co?

- Na przesłuchania wstępne. Zażądałam tego od Jacksona. Odbędą się już za dziesięć dni. Jeśli mam przez to przebrnąć, będzie mi potrzebna pomoc ekspertów.

Channing odwrócił się do niej.

- Jak obrońcom O. J. Simpsona?

- Właśnie. I z tych samych przyczyn. Podobnie jak prawnicy Simpsona - na tym etapie nie wygram. Sąd prawdopodobnie uzna, że są podstawy do wszczęcia procesu. Lecz jeśli uda mi się szybko uwinąć, przesłucham świadków Jacksona, zanim zostaną do tego przygotowani. Patologa i tych z laboratorium kryminologicznego. To pozwoliłoby im podsunąć jakąś gotową historię i przekonać ich do niej.

Channing przyglądał się jej.

- Albo - rzekł rzeczowo - zachęcić Brett, żeby - kiedy zobaczy dowody przeciwko sobie - rozważyła pójście na ugodę z sądem.

Caroline zeszywniała.

- Oczywiście, może mi się nie udać przymusić Brett do przyznania się do winy wystarczająco szybko, żeby ocalić moją nominację. Jest trochę uparta - rzekła zgryźliwie. - Lecz są inne korzyści, jak na przykład zyskanie przychylności przedprocesowej publiki. Albo, co jeszcze lepsze, w postępowaniu wstępnym tak przyzwyczajamy opinię publiczną do dowodów przeciw Brett, że już później nikomu nie będą się wydawały szokujące. Jak wiesz, nieco łatwiej jest sprzedać sędziemu jakąś uzasadnioną wątpliwość, kiedy znudzi się oczywistością tej najgorszej wersji. - Wzruszyła ramionami. - W końcu, jeśli mam znowu zacząć praktykować adwokaturę, nieoczekiwane zwycięstwo może być dla mnie cenne. Może nawet pomoże mi pokryć koszty obrony Brett.

Channing poczerwieniał.

- Nie pozwolę, żebyś ją naciskała...

- Nie pozwolisz? W takim razie powinieneś wziąć pod uwagę, że dożywocie dla Brett potrwa znacznie dłużej niż dla ciebie. - Ściszyła głos. - Nie mów mi, ojcze, że na coś pozwolisz lub nie pozwolisz. Bo to ja będę mówiła i robiła to, co uznam za najlepsze dla Brett. Włączywszy w to - chociaż jeszcze nie do końca o tym zdecydowałam - nakłonienie Jacksona do przeprowadzenia tych przesłuchań wstępnych.

Channing obserwował ją. Caroline przez moment dostrzegła na jego ustach ślad uśmiechu.

- Mogę zdobyć dwadzieścia tysięcy - powiedział cicho. - W ciągu trzech lub czterech dni.

Caroline nie odpowiedziała. Czekwała, aż oczyszczą się jej myśli, po czym włożyła okulary do czytania.

Zeznanie Megan Race zostawiła na koniec. Najpierw przeczytała je szybko, żeby poznać jego ogólny wydźwięk. Starła się powstrzymać od emocjonalnej reakcji na tekst. Po raz drugi czytała je wnikliwie, notując. Kiedy skończyła, popchnęła kartki po stole w stronę ojca.

- Przeczytaj to.

Jak gdyby naśladowując Caroline, Channing włożył na nos rogowe okulary. Zaskoczyło ją to. Nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej ich używał. Przeczytał zeznania w ciszy. Kiedy skończył, odłożył papiery na stół. Jego twarz była blada.

- Łże.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Musi kłamać. - Odwrócił się do niej. - Bez niej Jackson nie będzie miał dostatecznych dowodów. Przynajmniej jeśli twoi eksperci zrobią, co do nich należy.

- Zapewne.

Channing rozglądał się niespokojnie.

- To ze względu na nią chcesz tych przesłuchań wstępnych? - zapytał cicho.

Caroline uśmiechnęła się słabo.

- Załóżmy, że Megan ma obsesję. Załóżmy, że jechała za nimi i szpiegowała ich. Załóżmy nawet - obserwując jego twarz, dodała ze szczyptą ironii - że to ona go zabiła.

Channing patrzył na leżące przed nim kartki.

- A co, jeśli tamtej nocy była z przyjaciółmi? Zakładając, że mówisz do jakiegoś stopnia poważnie - powiedział słabym głosem. - Lub - patrząc bardziej realistycznie - że cieszy się dobrą reputacją?

Uśmiech Caroline stał się zimny.

- Wówczas będę musiała ją zniszczyć. Dla naszego dobra.

## DWA

- Mam wszystko, co potrzebne, żeby przygotować oskarżenie o morderstwo pierwszego stopnia - rzekł Jackson.

Caroline odnalazła go w jego obozowisku wędkarskim. Stał na pomoście w szarym świetle poranka. Promienie słońca przenikały przez cienką warstwę chmur. Jezioro było spokojne.

- Z wyjątkiem dowodu, że nóż należał do niej - rzekła Caroline, wkładając ręce do kieszeni niebieskich džinsów.

Jackson spojrzał na nią z ironią.

- Sprzedaż noży nie jest rejestrowana. Nie muszę wiedzieć, skąd on pochodził, Caroline.

Caroline poczuła, jak napinają się jej nerwy.

- Obyś się nie przeliczył. Jeśli w istocie uważasz, że to zabójstwo z premedytacją, mam na to świetną obronę: Brett planująca chłodno, że będzie nago biegła przez las, pochłapana krwią, a potem da się złapać jako rozhisteryzowana naga kobieta. Wszystko to po pozostawieniu ciała w widocznym miejscu na terenie własnej posiadłości.

Spojrzenie Jacksona wyrażało współczucie zmieszane z zaciekawieniem. Siadł na skraju pomostu, spuszczając nogi, i skinął na nią, żeby się przyłączyła.

Caroline w milczeniu siadła obok niego.

- Próbujesz mnie wyczuć - powiedział łagodnie. - Masz nadzieję, że skończy się na nieumyślnym zabójstwie i że Brett wyjdzie z więzienia przed trzydziestką.

Jest dobry, pomyślała Caroline. A może to ja jestem teraz gorsza?

- Warto - odrzekła - stanąć twardo na ziemi.

Wpatrując się w wody jeziora, Jackson powoli pokręcił głową.

- W twoim świecie - w San Francisco - dwieście morderstw rocznie to być może rzecz normalna. Oskarżenie musi iść na ugody, bo inaczej załamię się cały system. Ale tu jest New Hampshire, gdzie zdarza się najwyżej czterdzieści morderstw w całym stanie i cały czas jesteśmy pod presją, by je surowo karać. - Spojrzał jej w oczy. - Nie chcę bawić się z tobą w kotka i myszkę. Według tutejszych reguł nie może być mowy o nieumyślnym zabójstwie. Najlepsze, co mogę zrobić, to morderstwo drugiego stopnia z minimum dwudziestoletnim wyrokiem.

Caroline usadowiła się wygodniej i przez chwilę milczała.

- Ależ to średniowieczne zwyczaje - powiedziała w końcu. - Kiedy wyjdzie, będzie miała czterdzieści dwa lata.

Jackson był przygotowany do obrony.

- To właśnie New Hampshire. Poza tym James Case nigdy nie dożyje nawet dwudziestu czterech lat. Czy myślisz, że mogę go tak tanio sprzedać?

- Czy myślisz, że zamierzam go kupić? - Caroline gwałtownie obróciła się w jego stronę. - A może przesadzasz z powetowaniem jego straty?

- Żądając dwudziestu lat za czyjeś życie? - W jego oczach zabłysnął nagle silny, choć kontrolowany gniew. Zmusił się, by dokończyć wolniej i łagodniej: - Caroline, o jakim powetowaniu strat można tutaj mówić?

Caroline zamilkła, żałując swoich słów i nie wiedząc, co powinna teraz powiedzieć. Zauważyła, że gniew Jacksona ustępuje miejsca nastrojowi, który mu się od niej udzielił.

- W porządku. - Skrzyżował ręce na piersiach, patrząc gdzieś przed siebie. - Jeśli chcesz powołać się na moje dawne układy z Channingiem, możesz się spodziewać, że inni prawnicy z mojej sekcji nie są lepsi. Dwóch starszych dostało dzięki niemu pracę, pozostałych zaś dwóch zna poprzez kontakty z republikanami - mówił swobodniej, jak gdyby miał przekazać jakąś mniej istotną informację. - Jak mówiłem, od czasu twojego wyjazdu nie widziałem się z Channingiem prywatnie ani razu, chociaż obaj tego nieco żalowaliśmy.

- Ja zaś trafiłam dzięki temu do ciebie.

Odwrócił się do niej. Zabolało ją jego aż nazbyt spokojne spojrzenie.

- A mój problem polega na tym, że muszę występować w tym procesie przeciwko tobie. A z racji tego, co było czy też jest między nami - zakładając, że coś było lub jest - to przecież ciebie nie powinno tutaj być.

Jego ostatnie słowa, wypowiedziane monotonicznie i beznamiętnie, uderzyły Caroline niczym policzek. Starła się zapanować nad głosem.

- Cóż, tak się składa, że był to dla mnie bardzo miły dzień. Ale nie ma to nic wspólnego z powodem, dla którego tutaj przyjechałam. A ten sprowadza się do szukania sprawiedliwości dla mojego klienta.

- Zaproponowałem ci test z wykrywaczem kłamstw.

- Nie. Tłumaczyłam ci już dlaczego. Poza tym również dlatego, że alkohol i narkotyki mogły u niej spowodować zaburzenia pamięci.

Jackson uniósł brwi.

- A jedno proste pytanie? Na przykład „Czy zabiłaś Jamesa Case’a”? Co ona wówczas odpowie? Że nie pamięta? - Wzruszył ramionami, podkreślając absurdalność sytuacji. - Tak czy inaczej, oboje wiemy, że Brett go zabiła i że jedyną kwestią jest stopień morderstwa. Jesteś zarazem zbyt blisko i zbyt daleko tej sprawy: prawnik z Kalifornii, który mimo wszystkich swoich talentów nie wie prawie nic o tym, jak takie postępowania toczą się tutaj.

Caroline wzdrygnęła się. Komentarz był zbyt bliski jej nie wypowiedzianych lęków.

- Mogę się więc nauczyć, Jackson. Z moimi talentami...

- Dlaczego to robisz? - zapytał ostro. - Nie widziałaś jej od dwudziestu lat, więc dlaczego po prostu nie dasz sobie z tym spokoju...

- Nie powinieneś tego mówić.

- Nie? - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Czego i komu próbujesz tutaj właściwie dowieść? Myślałem, że porzuciłaś to miejsce na zawsze...

- O, Boże. - Caroline wsparła się na dłoniach, patrząc na niego, i dokończyła ciszej: - Nie próbuj poddawać mnie psychoanalizie. Nie wiesz o mnie wystarczająco wiele.

Wciągnął wargi.

- Wybacz, Caroline, ale w tym stanie jest wielu dobrych adwokatów sądowych, którzy nie są obciążeni tym, co ty, i którzy nie muszą ryzykować sędziowskiej nominacji. - Zamilkł na chwilę. - To tragedia dla Brett i jej rodziny. Nie chciałbym, żeby stało się tragedią również dla ciebie. Albo - co jest moją słabością - żebyś w jakikolwiek sposób się w to angażowała - dokończył łagodniej.

W Caroline wezbrały emocje.

- Obiecałam jej - powiedziała wprost.

Jackson przyglądał się jej przez chwilę.

- Żadnego nieumyślnego zabójstwa, Caroline. Jeśli chcesz tego dowieść, to dopiero na procesie.

Powoli pokiwała głową.

- W takim razie licz się z przesłuchaniem wstępnym, dobrze?

- Czy to wszystko? - zapytał.

- To wszystko. - Caroline wstała. - Dziękuję, że poświęciłeś mi swój czas.

Stali, milcząc i patrząc na siebie. Caroline lekko uśmiechnęła się i odwróciła. Jackson nie odprowadził jej do wozu.

- Megan Race - powtórzył detektyw i zapisał jej nazwisko w żółtym notatniku w linie.

Rozmawiali w biurze nowego lokalnego doradcy Caroline. Carlton Grey, weteran miejscowych sal sądowych, siedział w okularach na nosie za swym biurkiem z drewna orzechowego. Caroline oraz detektyw z Concord, Joe Lemieux - trzydziestoparoletni mężczyzna o czarnych włosach i ascetycznym wyglądzie - w fotelach dla gości, naprzeciw Greya. Lemieux zwrócił się do Caroline:

- Jakich informacji będziesz potrzebowała?

- Wszystkiego - odpowiedziała szybko. - I to w ciągu najwyżej dziesięciu dni. Skąd pochodzi, gdzie pracuje, jakie kursy kończyła. Rodzina. Czy przechodziła kiedykolwiek psychoterapię. Z kim się przyjaźni. I, co bardzo istotne, jej poprzedni chłopcy. To ostatnie jest najważniejsze.

Lemieux spojrzał z zaciekawieniem.

- Czego więc właściwie szukamy?

- Czegokolwiek, co mogłoby podważyć jej wiarygodność. - Caroline zamilkła, by podkreślić swe słowa. - Musi się znaleźć coś takiego. Na każdego się znajdzie.

Detektyw pokiwał głową.

- W takim razie jeszcze jej stosunki z nieżyjącym chłopakiem, Jamesem Case'em.

Carlton Grey pochylił się do przodu.

- Jeśli rozumiem, Caroline, to chcesz wiedzieć, kiedy się między nimi skończyło?

- Zgodnie z jej zeznaniami byli razem aż do śmierci Jamesa.

I to tak blisko, że prosił ją, by wyjechała z nim do Kalifornii. Jednak według słów Brett, James rozstał się z Megan w kwietniu.

Dwa i pół miesiąca wcześniej. Zastanawiam się, czy ktokolwiek widział ich od tamtego czasu razem.

Lemieux zapisał to w notatniku. Caroline zwróciła uwagę na otaczającą go aurę delikatności i jego długie palce. Nie należał do tych, którzy byliby skłonni popadać w skrajności w stosunkach międzyludzkich.

- I poprzedni chłopcy...? - zapytał.

- Po pierwsze, czy takowi byli. Jeśli tak, wówczas będziemy musieli się zastanowić, czy nawiązać z nimi kontakt. - Przeniosła spojrzenie z Lemieux na Greya i z powrotem na Lemieux. - Korzystne byłoby znalezienie kogoś, kto stwierdziłby, że jest zazdrosna, okrutna. A najlepiej, że jest niezrównoważona.

Grey pokiwał głową.

- Szukasz powodu, dla którego mogłaby kłamać.

- Właśnie. Dobrze byłoby mieć to już na przesłuchanie wstępne. Chociaż jeszcze nie wiem, czy to wówczas wykorzystam.

- Nie będzie jej tam - wtrącił Grey. - Jackson w żadnym razie jej nie wezwie.

Caroline uśmiechnęła się.

- Ale ja mogę ją wezwać na świadka, czyż nie? Założywszy, że pozwoli mi na to sędzia.

Grey uniósł brew.

- Widzę, że czytałaś nasze statusy sądowe.

- Tak. - Uśmiechnęła się blado. - Dociekliwość to jedna z moich zalet..

- Poprosiła mnie o to moja siostrzenica - powiedziała powoli Caroline. - Ku własnemu zaskoczeniu stwierdziłam, że nie potrafię jej odmówić.

Był późny wieczór. Caroline dzwoniła do Waltera Farris do domu. Teraz w odpowiedzi słyszała tylko szum słabego połączenia telefonicznego.

- Możesz mieć problemy - odezwał się w końcu.

Caroline robiła wszystko, by jej głos brzmiał spokojnie.

- Ale czy muszę? Nie ma żadnego realnego zagrożenia, że użyję tutaj swoich wpływów. Myślę, że w dobie akcentowania wartości rodzinnych ludzie - włączywszy w to senatorów - mogą nawet sympatyzować z moim postępowaniem. Cóż z tego, że przez dwadzieścia lat broniłam obcych, jeśli nie potrafiłabym obronić swojej siostrzenicy?

Starannie przygotowana odpowiedź sprawiła, że Farris znowu na moment zamilkł. Kiedy odezwał się, jego głos brzmiał neutralnie.

- Rozumiem, że wkrótce się z tym uporasz?

Caroline zastanowiła się, co powiedzieć.

- Robię, co się da - rzekła, by powrócić do przygotowanej wcześniej taktyki. - Jeśli mogłoby to w czymś pomóc, napiszę do prezesa komisji sędziowskiej, żeby wyjaśnić mu moje problemy, potwierdzić zainteresowanie tym stanowiskiem i wyrazić nadzieję, że rozmowy potwierdzające odbędą się, gdy tylko zakończy się proces.

W ciszy Caroline czuła własne napięcie.

- Jak długo to może potrwać? - zapytał powoli Farris.



Caroline zawahała się.

- Może sześć miesięcy.

- To za długo - powiedział szybko, energicznie. - Kiedy zbliżymy się do terminu wyborów, republikanie mogą zacząć bardziej dbać o swoje interesy, żeby przeforsować swego prezydenta. Wówczas staniesz się najbardziej oczywistym celem ataków.

Caroline zmuszała się, by mimo napięcia szybko myśleć.

- Bo jestem kobietą? - zapytała. - Albo, jak to ująłeś, feministką. Więc w tym problem. - Nadała swemu głosowi ton wahania i zamyślenia. - Ale sądzę, że można na to spojrzeć inaczej. Będzie to szansa dla prezydenta, żeby przypomniał im, że musi dotrzymać swoich obietnic. Chyba że są jakieś inne powody, prócz niechęci Jessego Helmsa, o której kiedyś wspomniałeś.

Jej głos był tak łagodny, że Farrisowi odechciało się konfrontacji.

- Co mam w takim razie robić? - zapytał, ukrywając rozdrażnienie.

Caroline wstrzymała oddech.

- Powiedz prezydentowi, że zrobię to, co sobie życzy. W końcu zostałam nominowana dla jego przyjemności.

Farris znowu milczał. Caroline wyobrażała go sobie: zagonionego w kąt, niezdolnego, by wydobyć z siebie słowo, zastanawiającego się, na ile ona to wszystko zimno wykalkulowała.

- W porządku - rzekł w końcu. - Porozmawiam z nim.

- Dziękuję - odpowiedziała Caroline, zamykając oczy.

Była sama w swoim pokoju.

## TRZY

Zastępczyni szeryfa przyprowadziła Brett do pustego, pomalowanego na żółto pokoju przesłuchań. Na środku stał stół z płyty wiórowej. Caroline stwierdziła, że pewno przekazano go z jakiegoś lokalnego urzędu. Brett siadła naprzeciwko niej. Za drzwiami było słychać kroki przechadzającego się zastępcy szeryfa, który co jakiś czas zaglądał do nich przez wbudowane w metalowe drzwi okienko ze zbrojonego szkła. Oczy Brett jakby nieco pojaśniały.

- Dzięki, że przyszłaś - rzekła do Caroline. - Liczyłam, że się zjawisz.

Caroline uśmiechnęła się.

- Och, to czysta zarozumiałość. Miejsce takie jak to stawia moją osobę w nowym atrakcyjnym świetle. Coś w sam raz dla ciotki, która zaniedbała swoją siostrzenicę.

Uśmiech na twarzy Brett pojawiał się powoli, a gdy wreszcie się pokazał, to tylko na moment. Caroline widziała ją wyobrażającą sobie nie kończące się dni w więzieniu.

- Czy przyzwyczaiłaś się już do tutejszego trybu życia? - zapytała.

- Trochę. - Brett ledwie wzruszyła ramionami. - Przypomina mi słowa mojego profesora filozofii: życie to sposób zabijania czasu.

Caroline zauważyła, że Brett wygląda na odległą, niemal oderwaną od rzeczywistości.

- Czym się zajmujesz? - zapytała.

- Joga, książki... Ludzie, którzy nas pilnują, są dosyć mili, a celę mam nadal tylko dla siebie. - Brett przysunęła się na krześle. - Odwiedziło mnie kilku przyjaciół - głównie ze szkoły średniej, bo ci z college'u są w większości na wakacjach. Przychodzą, ale nie wiedzą, o czym ze mną rozmawiać. Ja też nie wiem, co im powiedzieć. - Wzruszyła ramionami. - Nie mogę im przecież opowiadać o moich koszmarach, o tym, że brakuje mi Jamesa albo że sobie wyobrażam, jak razem mieszkamy w Kalifornii. To wydałoby się im zbyt dziwaczne. - Brett wbiła wzrok w stół. - Myślę, że to nie ich wina. W końcu niewiele osób przeżyło coś takiego. Nie mogą powiedzieć mi: „Wiem, co czujesz”. - Znowu przerwała. - Wiesz, co jest naprawdę dziwne? - zapytała po chwili. - To pierwszy raz, kiedy jestem zupełnie sama. Bez dziadka, rodziców, koleżanki z pokoju czy Jamesa. To jeszcze jeden powód, dla którego nie byłam przekonana, czy powinnam jechać z Jamesem. - W jej głosie pobrzmiwało zadziwienie. - I oto w końcu jestem sama...

Caroline odebrała to jak głośne rozmyślenia Brett w jej obecności. Poczwała, że łączy je jakaś dziwna intymna więź.

- Kiedyś - zaczęła powoli - chciałam być sama. Byłam wtedy w twoim wieku. Trochę to trwało. Może i kilka miesięcy. Próbowałam wtedy nawet coś pisać. A kiedy mi przeszło, doszłam do pewnych wniosków co do mojej przyszłości i tego, czym przyjdzie mi za nią zapłacić.

Brett przyglądała się jej z zaciekawieniem.

- Mówisz, że powinnam właśnie to zrobić - przeznaczyć ten czas na rozmyślenia. I może pisanie.

Caroline wzruszyła ramionami.

- A co innego mogłabyś tutaj robić?

Palce lewej dłoni Brett bezwiednie przeczesały brązowe włosy.

- Mogę myśleć tylko o tym, jak się tutaj dostałam - powiedziała w końcu.

Caroline dostrzegła prawdziwą treść tych prostych słów: „Myślę o tym, bo jestem niewinna”. Spojrzenie Caroline było spokojne.

- Myśl o tym, co przychodzi ci do głowy - mówiła łagodnie. - Ale mówić lub pisać możesz o wszystkim z wyjątkiem tego. Czy Jamesa.

Spojrzenie Brett stało się chłodne.

- Czytają to?

- I słyszą. A być może błędnie interpretują.

Brett oparła się o krzesło.

- Dlaczego tutaj zostałam, Caroline? Dlaczego nie wierzysz, że jestem niewinna?

Zaskoczony Caroline stanął przed oczami zakrwawiony nóż. Starła się zachować spokój.

- Prawnicy w nic nie wierzą. Wiara nie ma tutaj sensu. Ja i prawo zakładamy twoją niewinność. Moje zadanie polega po prostu na podtrzymaniu tego założenia.

- To takie wyrachowane.

Caroline nie spodziewała się, że ta dziewczyna jednym słowem będzie w stanie zranić.

- Czasami wyrachowanie to tylko punkt widzenia. Ty zaś powinnaś brać pod uwagę, że jakiś podstawiony świadek będzie próbował przechylić szalę sprawiedliwości, mówiąc o czymś, co przemilczałaś lub nie.

Brett skrzyżowała ręce na piersiach.

- Rozmawiamy z różnych pozycji. I nie tylko teraz. Kiedy byłaś w moim wieku i potrzebny ci był jakiś czas na przemyślenia, sama wybrałaś czas, miejsce i temat - powiedziała gorzko. - Tymczasem

ja nie mogę decydować o żadnej z tych rzeczy. I może nigdy nie będę mogła, jeśli mnie stąd nie wydostaniesz.

Caroline spuściła głowę.

- To, co powiedziałam, było głupie - przyznała. - Nie jesteśmy takie same i nie w takiej samej sytuacji. Próbowałam tylko zasugerować, że powinnaś być ostrożna.

- W porządku. Nie będę usiłowała nikomu wmawiać, że podcięłam Jamesowi gardło.

Caroline oparła policzek na dłoni. W oczach Brett dostrzegła łzy. Przez chwilę patrzyły na siebie w ciszy.

- Rozmawiałam z Jacksonem - powiedziała powoli. - Nie chce się zgodzić na oskarżenie o nieumyślne zabójstwo.

Twarz Brett stała się twarda.

- Ja nie zgodzę się na nieumyślne zabójstwo. Już ci o tym mówiłam. - Pochyliła się, patrząc w oczy Caroline. - Być może to brzmi szaleńczo dla kogoś, kto jedynie zakłada niewinność. Ale ja nie przyznam się do czegoś, czego nie zrobiłam.

Po chwili Caroline wzruszyła ramionami.

- Cóż, to upraszcza sprawę.

Brett wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. Nagle odwróciła się do Caroline.

- A to przesłuchanie, o którym mi mówiłaś? Kiedy ono będzie?

- Za osiem dni. Jeśli się na nie zdecydujemy.

- Chcę tego przesłuchania. I chcę zeznawać.

Caroline odsunęła swoje krzesło od stołu.

- Nie - ucięła krótko. - W żadnym wypadku.

- Zamierzam to zrobić - powiedziała Brett podniesionym głosem. - Siedzę tutaj dzień za dniem, bez szansy, żeby powiedzieć, że jestem niewinna. Chcę to powiedzieć.

- Rozumiem twoje uczucia - Caroline mówiła cicho, ze współczuciem. - Przynajmniej na tyle, na ile jestem w stanie je rozumieć. Ale chodzi mi przede wszystkim o to, żeby przesłuchanie przeprowadzić na nie przygotowanych świadkach Jacksona. Megan Race, która nawet nie chce ze mną rozmawiać, jest z nich najważniejsza. Nie mogę pozwolić, żeby on tak samo przyłapał ciebie.

Imię Megan sprawiło, że Brett zamilkła, czego spodziewała się Caroline. Caroline starała się wykorzystać tę chwilę.

- Proces jest niczym teatralny spektakl, Brett. Musisz dobrze znać swoją rolę albo przynajmniej znać treść sztuki na tyle, by móc improwizować. Nie mam jeszcze pełnego wglądu w ich materiał dowodowy. Nie mamy dość czasu, żeby cię odpowiednio przygotować.

- Teatr? - Brett spojrzała na nią z niedowierzaniem i złością. - Prawda jest prawdą i będę zeznawała. - Jej oczy błyszczały. - W końcu czyj to proces? Twój czy mój?

Caroline stała, patrząc na Brett po drugiej stronie stołu.

- Nie mogę się na to zgodzić. Odmawiam pomocy w popełnieniu samobójstwa. Jackson pokraje cię na plasterki, zanim zdążysz zauważyć, że nie jest Jimmym Stewartem...

- Słyszałaś, co powiedziałam?

- Tak. - Caroline przerwała, przygotowując się na najgorsze. - Teraz ty posłuchaj mnie. Jeśli upierasz się przy tym, ja rezygnuję.

Brett patrzyła na nią z otwartymi ustami. Pobladła.

- W porządku. Nie mogę znieść tego, że nie kontroluję własnego życia.

- To zła chwila, żeby zacząć decydować - przerwała jej Caroline. - Będiesz wiedziała, że do tego dorosłaś, gdy zdobędziesz się na pierwszą decyzję, która nie będzie tak głupia. Nie dokonuj błędnego wyboru tylko po to, żeby go dokonać. Proszę.

Spojrzenie Brett zdawało się falować. Jej usta były zaciśnięte.

- Możesz już iść. Dziadek znajdzie mi kogoś innego.

A co z pieniędzmi? - chciała zapytać Caroline. Lecz widok tej wrażliwej dziewczyny z dumą i przerażeniem starającej się panować nad wyrazem twarzy zatrzymał ją.

- Odejdę - rzekła. - Lecz nie prędzej, niż to zrobimy.

- Zrobimy co?

- Siądź - rzuciła krótko Caroline. - Ja będę Jacksonem, a ty sobą. Podobnie jak w tej wspaniałej scenie w sądzie, którą możesz sobie żywo wyobrazić bez mojej pomocy, a która nastąpi za zaledwie osiem dni. Nie zapomnij o notatkach.

Błada Brett siadła sztywno na krześle. Caroline stała, obserwując ją.

- Reguły są proste. Ja zadaję ci pytania, a ty odpowiadasz na nie w ciągu dziesięciu sekund. Żeby widownia mogła odczuć, że mówisz wprost i niczego nie knujesz.

Brett patrzyła na nią.

- Nie tak wrogo - doradziła Caroline. - Pamiętaj, że ja jestem Jacksonem, a prawda jest prawdą.

Brett poczerwieniała.

- Zaczynj wreszcie.

- W porządku. - W ciszy Caroline usłyszała własny puls. - Opisałaś morderstwo, własny szok i przerażenie, a wszyscy wokół patrzą na ciebie z niewiarygodnym współczuciem. Teraz jesteś przy scenie w samochodzie policyjnym. Masz tylko opowiedzieć o tym, co działo się dalej. - Caroline dostrzegła na twarzy Brett pierwszy cień niepewności. - Kiedy zatrzymał cię policjant - zaczęła Caroline - byłaś naga?

Brett skinęła głową.

- Musisz mówić, żeby mogli to zaprotokołować. Zalecałabym wyraźny spokojny głos.

- Tak - głos Brett był istotnie wyprany z emocji. - Byłam naga.

- I pokryta krwią.

Brett zawahała się.

- Owszem, było na mnie trochę krwi...

- Proszę, pamiętaj o kontakcie wzrokowym. Bez niego robisz złe wrażenie - powiedziała Caroline, by zaraz znowu wcielić się w swoją rolę. - Czy wiedziałaś wtedy, gdzie jest James?

- Byłam pod wpływem narkotyków.

- Ale nie byłaś pod wpływem narkotyków, zanim go znalazłaś?

Brett wzruszyła ramionami.

- Nie.

- Czy na pewno to pamiętasz?

- Tak sędzę. Pamiętam.

Caroline oparła dłonie na biodrach.

- Więc również wówczas sądziłaś, że James po prostu zniknął.

- Tego nie wiedziałam. - Brett zamknęła oczy. - Miałam przywidzenia i koszmary.

- W twoim samochodzie leżał zakrwawiony portfel, prawda?

- Tak. - Oczy Brett nadal były zamknięte.

- Czy myślisz, że to też był senny koszmar?

Brett powoli pokręciła głową.

- Pamiętałam tylko jakieś urywki. Nie chciałam w to uwierzyć.

- Och, to nie wszystko, co miałaś. Na siedzeniu pasażera leżał zakrwawiony nóż. Czy tak?

- Tak. - Twarz Brett wyrażała przerażenie.

- Myślisz, że przybył do ciebie z sennego koszmaru?

- Nie. - Oczy Brett milcząco błagały, jak gdyby widziała przed sobą jednak Caroline, a nie dręczącego ją oskarżyciela. - Musisz to zrozumieć. Żadna z tych rzeczy nie wydaje mi się bardziej lub mniej realna. Nie mogę sobie przypomnieć, co się wydarzyło.

Milcząc, Caroline siadła naprzeciwko niej.

- Masz na myśli to, że nie pamiętasz, czy go zabiłaś? - rzekła po chwili cicho.

- Nie. - Brett zeszywniała. - Wówczas nie pamiętałam.

Caroline milczała. Poczowała ucisk w żołądku.

- Nie pamiętałaś? Myślałam, że teraz nie pamiętasz.

- Przypomniałam sobie. - Brett spuściła oczy. - Ale później.

- Po ośmiu godzinach?

- Nie wiem, po ilu. Po prostu wtedy, kiedy zaczęło mi się przejaśniać w głowie.

- W takim razie jak sobie wcześniej tłumaczyłaś ślady krwi na twoim ciele?

Brett ze zmęczeniem pokręciła głową.

- Nie wiem.

- Lecz dwie godziny później przypomniałaś sobie tylko, że James może być nad jeziorem?

- Tak - odpowiedziała zachrypniętym głosem. - Myślałam, że może tam być.

Caroline pochyliła się do przodu.

- A dlaczego tak sądziłaś?

- Bo pamiętałam, że go tam zabrałam.

- Ale o tym pamiętałaś przez cały czas, czyż nie? Tak jak i o tym, jak wsiadał do twojego samochodu. Bo wtedy nie byłaś pod wpływem narkotyków.

- Nie wiem. - Brett podniosła głos. - Może to przez ten nóż w samochodzie.

Caroline powoli pokręciła głową.

- Nie, Brett. To dlatego, że wiedziałaś o tym wszystkim - o Jamesie, krwi, nożu, portfelu - już dwie godziny wcześniej, kiedy byłaś jeszcze w twoim samochodzie. - Ściszyła głos. - Ale wtedy nie powiedziałaś policjantowi z patrolu ani słowa.

- Nie pamiętam. - Brett dotknęła powiek.

Caroline położyła palec na ustach, patrząc w skupieniu na dziewczynę.

- Powiedz mi - zaczęła z delikatną ciekawością. - Czy twoja pamięć zawsze działa w ten sposób? Wspomnienia wracają do ciebie dopiero po kilku godzinach czy nawet dniach?

Brett patrzyła na stół.

- To вина narkotyków. Pamiętam, jak długo na mnie działały.

Caroline znowu zebrała się w sobie.

- Jak na przykład tę noc, kiedy znalazłaś Jamesa w łóżku? - Nastąpiła śmiertelna cisza. - Z nagą dziewczyną nazwiskiem Megan Race?

Brett opuściła głowę.

- Megan... - zaczęła.

Caroline pochyliła się w jej kierunku. Przeróżająco cicho zapytała:

- Czy wtedy też byłaś pod wpływem narkotyków?

- Nie.

- Ale kiedy policja zapytała cię o dziewczyny Jamesa, nie wspomniałaś o tym.

- Nie.

Caroline dostrzegła pulsujące skronie Brett.

- Nie chciałam o tym myśleć ani tego pamiętać.

- Rozumiem. - Głos Caroline stał się łagodny. - Tak jak nie chcesz pamiętać, że zabiłaś Jamesa.

Skurcz przeszył ciało Brett. Kiedy w końcu podniosła głowę, z oczu popłynęły jej łzy. Jej milczące spojrzenie było ostatnim środkiem obrony.

Caroline pragnęła ją jakoś ukoić, lecz ograniczyła się do jednego rzeczowego zdania:

- Twoje kwestie wymagają dopracowania.

Brett przełknęła ślinę, nadal milcząc. Caroline odczekała, upewniając się, że dziewczyna nie poczuje się gorzej. Po chwili powiedziała:



- Oczywiście improwizowałam. Musimy wziąć pod uwagę, że Jackson będzie w tym o wiele lepszy - powiedziała spokojnie. - Chyba, że zdołam dowieść, iż twoje pierwsze zeznania nie mogą być materiałem dowodowym. A będę próbowała zrobić to w czasie przesłuchań wstępnych. Jeśli mi się powiedzie, Jackson nie będzie mógł zadać żadnego z tych pytań.

Brett nie mogła się poruszyć ani mówić. Wyglądało na to, że jest wpatrzona w otchłań własnych wątpliwości.

Caroline sięgnęła po jej dłoń.

- Słuchaj, Brett - mówiła teraz łagodniejszym, własnym głosem. - Mogę ci jedynie obiecać, że zrobię dla ciebie wszystko, na co mnie stać. I że nie pozwolę nikomu i niczemu - nawet tobie - stanąć mi na drodze. - Przerwała na chwilę. - Proszę, pozwól mi to zrobić.

Brett spojrzała na ich dłonie.

- Czy mogę już iść? - zapytała po pewnym czasie.

- Oczywiście.

Przez szklane okienko Caroline obserwowała odchodzącą Brett. Jej ruchy były zmęczone i pełne napięcia.

Caroline wyszła z budynku i wsiadła do samochodu. Upłynęła dobra chwila, zanim nabrała chęci, by dokądkolwiek ruszyć.

Przybywszy do hotelu, poszła do swojego pokoju i zadzwoniła do Joego Lemieux. Gdy w słuchawce odezwał się jego głos, zapytała bez wstępów:

- Co z dziewczyną? Rozpracowałeś ją już?

## CZTERY

Z rogu otoczonego budynkami kwadratowego placu Caroline obserwowała młodą blondynkę wychodzącą z klubu studenckiego, gdzie pracowała, i zdecydowanym krokiem przemierzającą kampus. Dziewczyna nie wiedziała, że zmierza wprost ku Caroline. Wokół nie było zbyt wielu ludzi: grupka letnich studentów wraz z nauczycielami i chłopcy bez koszulek grający w południowym słońcu we frisbee. Wśród nich owa samotna młoda kobieta jakoś się wyróżniała. Caroline obserwowała ją. Dziewczyna była zbyt zamyślona, by ją zauważyć. Szła ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Zmagając się z własnym napięciem, Caroline zrobiła krok do przodu.

- Megan?

Kobieta zatrzymała się, otworzyła szerzej ostrożne szaroniebieskie oczy. Potem zmrużyła je, jakby szacując na jakiejś niewidocznej skali ryzyko wiążące się ze spotkaniem ze stojącą naprzeciw niej wysoką kobietą. Na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia i uśmiech będący raczej ostrzeżeniem niż powitaniem. Wyraz ostrożności nie zniknął z jej oczu.

- Jesteś prawniczką Brett. Dzwoniłaś do mnie.

- Tak. - Caroline nie chciała jej wystraszyć i starała się mówić łagodnie. - W zasadzie jestem jej ciotką.

Twarz Megan przestała cokolwiek wyrażać.

- Kto powiedział ci, że tu mnie możesz znaleźć? Jej ojciec?

Caroline pokręciła głową.

- Sama o ciebie popytałam i przyszedłam na własną rękę...

- To napastowanie. Już powiedziałam ci, że pan Watts zalecił mi z nikim nie rozmawiać. - Megan położyła palce obydwu dłoni na ustach. - Słuchaj, jeśli myślisz, że było to dla mnie łatwe...

Caroline podniosła ręce w geście prośby o zrozumienie.

- Nie, wiem, że to było dla ciebie potworne. Utracenie kogoś już samo w sobie jest wystarczająco przerażającym przeżyciem, nie mówiąc o sytuacji, w której trzeba o tym opowiadać w sądzie.

Megan wlepiała wzrok w Caroline, po czym założyła ręce na piersiach i zaczęła błędzić spojrzeniem po ziemi. Zaciśnęła usta, zamknęła oczy i wolno pokręciła głową.

- Czuję się tak, jak gdyby wyrwała mi serce, a moje ciało nadal się poruszało... - Głos Megan ucichł. Zmarszczyła brwi, spoglądając na ciągnącą się przed nią kamienną ścieżkę. - Naprawdę - rzekła zdradzającym wątpliwości tonem. - Nie powinnam z tobą rozmawiać.

- Ale to dla mnie takie ważne. - Caroline urwała. - Megan, po pierwsze muszę zdecydować, czy Brett w ogóle powinna iść na proces. Muszę przyznać, że to właśnie twoja osoba zaważy na tej decyzji.

Megan nieco się wyprężyła, przybierając bardziej naturalną dla siebie postawę. Caroline dostrzegła, że ma proste plecy i wysportowaną sylwetkę.

- I myślisz, że ci w tym pomogę?

Caroline zauważyła, że jej opór nieco się zmniejszył.

- Czy uniknięcie procesu nie byłoby najlepszym wyjściem dla nas wszystkich?

Oczy Megan zwęziły się.

- Pozwól mi to przemyśleć. Zadzwońię do pana Watta.

- Och, przecież wiesz dokładnie, co on powie - odparła Caroline. - Znam Jacksona. On uwielbia sprawy sądowe. Dla oskarżyciela to co innego niż dla nas - powiedziała łagodnie. - Kiedy będziesz się nad tym zastanawiała, mogłybyśmy chyba sobie porozmawiać przy kawie, czyż nie? Stałam tutaj dosyć długo i nie miałabym nic przeciwko temu, abyśmy gdzieś usiadły.

Megan zastanawiała się przez jakąś minutę.

- No dobrze - powiedziała w końcu.

Razem skierowały się do klubu. Kampus Chase College był esencją stylu Nowej Anglii. Jego serce stanowiły ciche i otoczone lasem stare ceglane budynki. Caroline i Megan przeszły przez biały drewniany most, który rozciągał się nad małym, leniwie toczącym wody strumieniem.

- Podoba ci się tutaj? - zapytała Caroline. - A przynajmniej czy podobało ci się do tej pory?

- Przed Jamesem? Nie wiem. Ludzie są tutaj dosyć naiwni. - Uśmiechnęła się z przekąsem. - No wiesz: „Chodźmy na narty, a potem będziemy tankować piwko”. Większość z nich nie odróżnia Guntera Grassa od Kurta Vonneguta. - Jej uśmiech nagle zniknął, a głos stał się gorętszy. - James odróżniał.

Dziewczyna, jak zauważyła Caroline, zachowywała się tak, jakby były rówieśniczkami. Instynktownie podążyła tym tropem.

- Tak trudno kogoś znaleźć - zauważyła. - Często zdaje mi się, że to, co uchodzi za konwersację, jest tylko wytwarzaniem hałasu. Kiedy na kiepskim przyjęciu zaczynam słuchać sama siebie, mam wrażenie, jakby mówił ktoś obcy. To przypomina życie na autopilocie.

Megan rozejrzała się wokół, jak gdyby zastanawiając się, czy zaufać rozmówczyni.

- W moim wieku to trudniejsze - rzekła w końcu. - Wierzę w prawdziwą przyjaźń, głęboko przeżywaną, bez zatrzymywania czegoś dla siebie. Ale jak możesz nawiązać takie kontakty z ludźmi, którzy boją się myśleć?

- Myślisz, że z wiekiem to się polepsza? - zapytała Caroline.

- Mam nadzieję. To znaczy nie mogę znieść myśli o randkach, które sprowadzają się do obmacywania. - Megan przerwała i zniżyła głos. - Starsi mają przynajmniej szansę, żeby dorosnąć, skonfrontować się z problemami. James był inny.

Przez pewien czas Caroline milczała. Dotarli do drzwi siedziby stowarzyszenia studentów, betonowej budowli w stylu Bauhaus, zupełnie nie pasującej do otoczenia.

- Próbowałaś kiedyś ze starszymi mężczyznami? - zapytała Caroline z ciekawością podszytą szacunkiem.

Megan spojrzała na nią ostro i skinęła głową.

- Z wyjątkiem seksu było lepiej. James był dobry i w tym.

Powiedziała to ze szczególną dumą, jak gdyby przypominając Caroline, że James należał do niej i że nie ma dla niej znaczenia, kto ją słyszy. Siedzący przy pobliskim stoliku chłopak w okularach spojrzał znad gazety. Megan poprowadziła Caroline do stolika w środkowej części pomieszczenia.

Lokal był sterylny i przepastny, przeszklony ze wszystkich stron. Caroline rozejrzała się wokół.

- Kto to projektował? - zapytała zdziwiona.

Megan machnęła z lekceważeniem ręką.

- Okropne, prawda? Niczym Le Corbusier z komputera.

Siadły naprzeciwko siebie. Megan odgarnęła proste jasne włosy, skrzyżowała nogi, wyprostowała się i spojrzała wprost na Caroline.

- Architektura przypomina mi politykę. W latach pięćdziesiątych nic się właściwie nie działo; no, może z wyjątkiem spychania kobiet tam, „gdzie ich miejsce”. Podobnie z tym budynkiem. - Rozejrzała się wokół lekko zde gustowana. - Mnie kojarzy się to z dwiema rzeczami: inżynierem i penisem. Brak temu miejscu uduchowienia.

Caroline pokiwała głową ze zrozumieniem, starając się jednocześnie nie przyglądać Megan zbyt dociekliwie. W owym ożywieniu dostrzegła drugie wcielenie dziewczyny: Megan wojowniczkę.

- Oczywiście - rzekła - że nasze czasy nie są uduchowione. Nie wierzymy już w rzeczy, w które wierzono kiedyś, a tymczasem nic nowego nie zajęło ich miejsca. Nawet uprzejmość - dodała łagodniej. - Spotkanie z tobą jest dla mnie czymś bardzo trudnym, Megan. Bardzo mi przykro z powodu tego, co się przytrafiło Jamesowi i tobie.

Megan wbiła wzrok w stół. Na jej czole pojawiły się zmarszczki, a usta drżały.

- Byliśmy ze sobą - wymamrotała. - A później rozstaliśmy się z jej powodu.

Caroline założyła ręce na piersiach.

- Nie znam zbyt dobrze Brett - przyznała. - Właściwie z żadnym z nich nie utrzymuję bliższych stosunków. Teraz muszę coś z tym zrobić...

- To nie ma sensu. - W głosie Megan słychać było złość. - Dopóki nie zrozumiesz, jaka naprawdę jest Brett Allen.

- Tego jeszcze nie wiem, ale nie zostało mi też na to wiele czasu.

- Jackson mówił coś o przesłuchaniach. - Megan podniosła wzrok.

Caroline zauważyła, że imię Wattsa miało zatwierdzić nowy poziom intymności ich wzajemnych stosunków: dorosłego rozmawiającego z dorosłym.

- Tak, to już za siedem dni - powiedziała. - Ale stale się zastanawiam, czyje przeprowadzić. - Przerwała, by jakby z niechęcią dodać: - Brett utrzymuje, że jest niewinna...

- A ty twierdziłabyś inaczej - mówiła ze złością - gdybyś komuś poderżnęła gardło?

- Ale trudno mi w to uwierzyć. Nawet wobec wszystkich dowodów.

- Nie znasz jeszcze wszystkich dowodów. - Megan pochyliła się, intensywnie wpatrując się w twarz Caroline. - Straszyla nas i śledziła. Jest chora. Cierpi na obsesję.

Caroline głośno westchnęła.

- To możliwe, Megan. Lecz ty jesteś jedyną osobą, która o tym wie.

- Tylko dlatego, że James nie żyje. - Megan chwyciła Caroline za rękaw. - Czy nie wyczułaś tego do tej pory? Jest w niej coś dzikiego. Widzę te zielone oczy w moich snach. - Nagle w jej oczach wezbrały łzy. - To takie potworne. Teraz widzę jej twarz wyraźniej niż jego. Jak gdybym miała być na nią skazana do końca życia.

Caroline spuściła wzrok.

- To nie moja sprawa - rzekła cicho. - Ale ty powinnaś jakoś trzymać go przy życiu. Mieć w sobie jakąś jego część.

Megan pokręciła głową.

- Co byś zrobiła, gdybyś była z kimś tak blisko, planowała z nim przyszłość i nagle pozostała tylko ze wspomnieniami? Z tymi samymi wciąż stojącymi przed oczami obrazami, które niczym nie są ciębie w stanie zaskoczyć? - Głos uwiązał jej w gardle. - Pamiętam, jak grał dla mnie sceny ze swojej sztuki...

Caroline dotknęła jej ramienia.

- Przykro mi...

- Kochaliśmy się cały czas. Cały czas mnie pragnął. Prosił, żebym się dla niego rozbierała, stała przed nim - tylko po to, żeby mógł widzieć, jaka jestem piękna. - Spojrzała żywo na Caroline. - Ale nasz związek nie opierał się na wyzyskiwaniu. Po prostu był tak intensywny jak wszystko, co razem robiliśmy. Każdą wspólną chwilę przeżywaliśmy tak świadomie.

Caroline wyglądała na zaskoczoną.

- A co z Brett? Kiedy się pojawiła?

Megan zapłonęła gniewem.

- Ach, ona cały czas była gdzieś w pobliżu. Czy wiesz, że groziła, iż się zabije, jeśli on odejdzie? - Jej głos przepełniony był złością. - Szkoda, że tego nie zrobiła. Zamiast tego zabiła Jamesa. Myślę, że od początku chodziło jej tylko o to.

- Ale czy ty się nie bałaś?

- Każdy by się bał. Twój kochanek jest wewnątrz ciebie, a po chwili widzisz, jak stoi przy łóżku i szamoce się z kobietą, która chce wydrapać ci oczy. - Megan pokręciła głową. - Po tym wydarzeniu oboje byliśmy ostrożni. W zasadzie zaczęliśmy się kryć.

Może, co chyba trochę dziwne, James nie zamykał sobie żadnej drogi, traktując mnie raczej jako kochankę, kogoś na stałe. - W jej głosie zabrzmiała delikatna nuta wyższości. - Ale co było, to było. James zdecydował się zostać ze mną.

Oczy Megan były jasne. W Caroline rozbudziło to instynktowną ostrożność.

- W takim razie jak to się stało, że Brett była z nim tamtej nocy? - zapytała z zamierzonym zmieszaniem.

Gorzki uśmiech Megan był jednocześnie wyrazem jej triumfu.

- Bo zdecydowaliśmy się porzucić to miejsce i wyruszyć do Kalifornii. Tego wieczoru miał jej o tym powiedzieć. - Nagle jej głos przycichł. - Kiedy dowiedziałam się, że nie żyje, zrozumiałam, że to zrobił.

Przez dłuższy czas Caroline po prostu patrzyła na nią. Nie przychodziło jej na myśl nic, o co mogłaby zapytać. Prawdopodobnie dzięki temu gniew Megan zelżał.

- Nie wiem, jak podejmujecie te prawnicze decyzje - rzekła spokojnie. - Ale obojętnie, co zrobicie, nie wciągajcie jej rodziny w proces, bo ich córka okaże się w nim mordercą. - Przerwała i przyglądała się Caroline, aż w końcu na jej twarzy pojawiło się współczucie. Delikatnie ujęła nadgarstek Caroline, a jej głos stał się niemal konfidencjonalny. - Wiem, że to twoja siostrzenica, Caroline, i jak trudno ci temu stawić czoło. Ale w końcu dojdiesz do tego, jaki był James. I do tego, że pod tą powierzchownością laleczki z porcelany kryje się samolubna i chora umysłowo kobieta. - Przerwała i ściszyła głos. - Zrozumiesz rzecz, której Jamesowi nigdy nie było dane zrozumieć: że kiedy będzie chciał wyjechać, ona go zabije.



## PIĘĆ

Brett siadła naprzeciwko Caroline. Stalowe drzwi cicho zamknęły się, zostawiając je sam na sam. Patrzyła na ciotkę ponuro opuchniętymi z braku snu oczami. Wyglądało na to, że ich wczorajsze starcie pozbawiło ją wszelkich iluzji.

- O co chodzi tym razem? - zapytała monotonnym głosem.

Caroline oparła ramiona na stole, próbując zapanować nad swoimi emocjami.

- Widziałam się z Megan Race. Jest znacznie gorzej, niż wynikało z samych jej zeznań. Ona twierdzi, że byli z Jamesem kochankami aż do jego śmierci. Zdecydowali, że wyjadą do Kalifornii. Tamtej nocy James miał tobie o tym powiedzieć.

Brett utraciła zdolność dziwienia się czemukolwiek. Jedynym znakiem, że usłyszała słowa Caroline, było jej nieruchome spojrzenie.

- To wszystko nieprawda. Wszystko.

Caroline przyglądała się jej.

- W najlepszym razie - powiedziała - nie wiesz, czy James się z nią widywał. A według Megan ty próbowałaś go „upolować”.

Twarz Brett zapłonęła gniewem, lecz jej głos nadal był spokojny.

- Nie musiałam na niego polować. Po tym, jak znalazłam ich razem, był ze mną prawie każdej nocy.

Samokontrola Brett poruszała Caroline bardziej niż uparte obstawanie przy swoim.

- Przez całą noc? - zapytała.

Brett patrzyła jej w twarz.

- Nie lubię szybkich numerów. Jeśli ktoś ma się ze mną kochać, chcę, żeby został na całą noc.

Caroline poruszyła pamięć o zasadach i chęć zachowania godności nawet w obliczu najgorszych wieści.

- Może Megan wyznaje inne reguły.

Brett pokręciła głową.



- Być może James był aktorem, ale nie potrafił kłamać. Zawsze to widziałam.

Słowa te wypowiedziała z odrobiną fatalizmu. Caroline zdała sobie sprawę, że Brett potrafi zaakceptować rzeczy, których nie może zmienić. W tym pełnym napięcia momencie, w którym ostatecznie pogodziła się z winą Brett, dziewczyna stała się dla niej jeszcze bardziej realna.

- W takim razie - zapytała Caroline - skąd wzięła tę historię o Kalifornii?

Po raz pierwszy Brett odwróciła wzrok.

- Nie wiem - powiedziała w końcu. - Musiała to wymyślić.

- Ale jak? Albo, co ważniejsze, dlaczego?

Brett znowu spojrzała w górę.

- Nie wiem jak. Ale dlaczego? To oczywiste.

- Zazdrość?

Brett patrzyła na nią.

- Ja byłam zazdrosna - powiedziała powoli. - Ale Megan Race jest chora umysłowo.

Caroline siadła wygodniej na krześle.

- Bo to wszystko wymyśliła...

- Bo wymyśliła mnie. - Na twarzy Brett pojawiło się nagle przerażenie, tak jakby zdała sobie sprawę, z kim ma do czynienia. - Zależało mi na Jamesie. Czasami czułam, że kocham go namiętnie. Ale nie miałam na jego punkcie obsesji. Zamierzałam pozwolić mu odejść, obojętnie jak trudne byłoby to dla mnie. - Jej spojrzenie znowu rozblęskło. - Caroline! Kiedy ta kobieta mówi ci o mnie, mówi o sobie.

Caroline obserwowała ją.

- Ale przecież nie znasz je zbyt dobrze.

- Znam ją tak, jak ona zna mnie. Przez Jamesa - powiedziała z naciskiem.

Caroline pochyliła się.

- W takim razie skąd możesz mieć pewność - zapytała cicho - że James nie powiedział ci, że jedzie z nią do Kalifornii? I proszę, zastanów się, zanim odpowiesz.

- Już się, do licha, nad tym zastanawiałam! - Brett poderwała się z krzesła. - Słuchaj! Dzisiaj w nocy nie mogłam spać. Leżałam tylko przerażona i myślałam w kółko o tym samym. Wczoraj znęcałaś się nade mną, dopóki nie poczułam się, jakbym to ja go zabiła. Ale pytałaś mnie tylko o to, jak zachowywałam się, kiedy już byłam na haju, kiedy już go znalazłam. Masz rację - wszystko, co

zdarzyło się przed paleniem trawki, pamiętam dokładnie - jej słowa rwały teraz niczym strumień. - Prosił mnie, żebym jechała z nim do Kalifornii, kłóciliśmy się o to, że pieprzył Megan. Powiedziałam, że nie wiem jeszcze, co zrobię. Wiesz, że wstydził się tej wpadki z Megan. To niemożliwe, żeby będąc na haju, powiedział mi, że bierze do Kalifornii ją zamiast mnie. Kochaliśmy się potem, a nie kłóciliśmy. Czy to nic dla ciebie nie znaczy? - Przerwała, jak gdyby zaabsorbowała ją jakaś niespodziewana myśl. Potem spojrzała na Caroline. - Wiem, że okłamałam cię co do tej kłótni. Ale wiedziałam o tym, że kłamię. Tak jak teraz wiem, że mówię prawdę. Obojętnie, co sobie o tym myślisz - dokończyła łagodnie.

Caroline siedziała i patrzyła na nią, milcząc. Zbyt wiele było rzeczy, o których nie mogła powiedzieć. Że wie o nożu. Że - w najlepszym razie - Brett może w ogóle nigdy nie przypomnieć sobie, co robiła w chwili śmierci Jamesa. Że zeznania Megan Race dobrze pasują do materiału dowodowego. I że pierwszą trudną lekcją dla niej jako prawnika, w czasach kiedy Brett była dla niej jeszcze nie znanym dzieckiem z drugiego końca Stanów, było to, iż winny często zaczyna naprawdę wierzyć we własną niewinność.

Jak gdyby sprowokowana milczeniem Caroline, Brett odezwała się pierwsza:

- A co ty myślisz o Megan?

Pytanie było zadane ze złością. Caroline wyczuła w nim jednak błaganie: Uwierz mnie, nie jej. I wówczas coś zaczęło się szamotać gdzieś w nieświadomości Caroline. Była to najprostsza z myśli: wspomnienie własnej miłości, tego, że kiedyś kogoś kochała.

- Myślę - odpowiedziała w końcu - że Megan nigdy go nie kochała. James, którego opisuje, jest jej lustrzanym odbiciem.

Kilka godzin trwało, zanim Joe Lemieux zdołał odpowiedzieć na wiadomość od Caroline. Kiedy zadzwonił z automatu, ona właśnie zasypiała.

- Przepraszam - powiedział. - Ale byłem cały czas zajęty. Rozmawiałem ze wszystkimi z sąsiedztwa, którzy chcieli ze mną rozmawiać.

Caroline robiła wszystko, żeby się obudzić.

- I?

- Większość z nich nie była studentami college'u, więc miałem nieco szczęścia.

- Podobnie ja. W pewnym sensie. Spotkałam się dzisiaj z Megan.

- I czego się o niej dowiedziałaś?

- Jest dosyć inteligentna. To jasne. Ale łatwo zmienia nastroje. Być może jest w niej szczypta narcyzmu. Po prostu lubi, kiedy ktoś zwraca na nią uwagę. Chyba nawet tego potrzebuje. Oczywiście tak można opisać wiele osób. - Caroline przerwała. - Nasze wielkie pytania w porządku ważności brzmią zatem: Czy ktoś widział Megan z Jamesem później niż w kwietniu? Czy miała przedtem lub potem jakiegoś chłopaka?

- Na razie krucho na obydwu frontach. - Lemieux porządkował myśli. - Widywała się z Case'em, owszem, ale początek kwietnia to dla jej sąsiadów pojęcie abstrakcyjne. Nie śledzili na bieżąco jej miłosnych przygód. Ale fotografie Jamesa były we wszystkich gazetach, a dwie osoby pamiętają, że widziały go z Megan i to być może zaledwie kilka tygodni temu. Co potwierdza to, co mówił ten dzieciak, Daniel Suarez. W każdym razie wszyscy zgadzają się co do tego, że nie widzieli ich razem od przynajmniej miesiąca. A to daje nam przynajmniej parę tygodni przed zabójstwem.

- Według niej wówczas się ukrywali. Nieustannie się kochając, rzecz jasna.

- Widać tak było. Cóż innego mógłbym powiedzieć? Bo nikt nie widział ich razem na zewnątrz.

Caroline przez chwilę rozważała jego słowa.

- Draż to dalej. Potrzebuję czegokolwiek, co by sugerowało istnienie lub nieistnienie relacji pomiędzy nimi w okresie poprzedzającym morderstwo.

- W porządku. Natomiast co do jej chłopaków, mam jeszcze mniej.

- Mało czy nic?

- Jeden drobiazg. Przed kilkoma miesiącami Megan zdybała sąsiadkę - kobietę w średnim wieku, która najwyraźniej nie miała ochoty na żadne rozmowy - w pralni i zaczęła opowiadać o swoim związku z jakimś starszym mężczyzną. Mówiła coś o tym, że było znacznie lepiej. - W głosie Lemieux zabrzmiała nuta rozbawienia. - Sporo upłynęło, zanim udało mi się nakłonić ową panią, żeby przyznała, że chodziło o seks i że Megan nie jest szczególnie wstydliva, jeśli chodzi o ten temat. Cóż, nawet nie mając z nią osobistego kontaktu, można wyczuć, że to osoba nieobliczalna. Chociaż ta kobieta opisywała ją jako czarującą i żywą, choć nieco nazbyt wyemancypowaną jak na jej gust.

- Właściwe słowo brzmi „wyzwoloną” - rzekła oschle Caroline. - Przy czym chodzi o wyzwolenie, które nastąpiło dopiero jakiś czas po upadku niewolnictwa. Zastanawiam się tylko, czy w wypadku Megan nie jest to coś więcej.

W słuchawce zapadła cisza.

- Jeśli masz na myśli zachwiania równowagi psychicznej, to nikt tak jej nie odbiera - powiedział Lemieux z powątpiewaniem.

- Czy ktoś twierdzi, że ją zna?

- Zna? - Lemieux zastanowił się przez moment. - Z tego, co mówili mi ludzie, wynika, że Megan potrafi być dosyć gadatliwa. Ale nie wiem, czy wszyscy mieli na myśli to samo, i nie mam pojęcia, jak zachowuje się wśród rówieśników.

- Nie odwiedzały jej przyjaciółki?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Znowu zamilkł. - W zasadzie nie spotkałem nikogo, kto by powiedział, że był w jej mieszkaniu.

- A co masz o jej rodzinie?

- Niewiele. Ale nie wygląda to zbyt różowo. Jej ojciec zginął w wypadku na łodzi, kiedy Megan miała około dwunastu lat. Prawdopodobnie z tego powodu jej matka popadła w głęboką depresję i wycofanie. Kilka razy przyjmowali ją do różnych placówek leczniczych.

Caroline milczała.

- Dowiedz się więcej o jej matce - powiedziała w końcu. - Daj przyjęcia do ośrodków psychiatrycznych, jeśli to możliwe. Interesuje mnie także, czy Megan poddawała się kiedyś jakiegokolwiek terapii. Mógłbyś dostarczyć mi jej rozkład zajęć?

- Po co?

- Po to, żebym wiedziała, co robiła od czasu, kiedy się tutaj pojawiła.

Lemieux zastanawiał się.

- Nie łamiąc prawa?

- Tak byłoby z pewnością najlepiej - oschle odrzekła Caroline. - Dla dobra nas obojga.

- Zgoda. W każdym razie zobaczę, co da się zrobić.

Caroline podziękowała mu i odwiesiła słuchawkę. Podeszła do okna. Nad białymi domami i całą okolicą zapadał zmierzch. Starsza para powoli przeszła pod oknami hotelu i po chwili zniknęła z pola widzenia. Ku własnemu zaskoczeniu Caroline zaczęła się zastanawiać, ile razy w życiu przytrafiło się jej jeść w samotności. A dzięki temu, bez wielkiego entuzjazmu, przypomniała sobie, że powinna coś przekąsić: słabła już z głodu. Kiedy zastanawiała się, dokąd pójść, zadzwonił telefon.

- Halo?

- Caroline? - W słuchawce zabrzmiał napięty głos Betty. - Chciałabym się z tobą spotkać. Proszę.

Caroline siadła na skraju łóżka.

- Możemy jutro? - zapytała.

## SZEŚĆ

- Dziękuję, że przyszłaś - powitała ją Betty.

Siadły na ganku. Poranek był pogodny, lecz chłodny. Z filiżanki z czarną kawą, którą trzymała Caroline, unosiła się para. Betty była smutna i zamyślona. Wyglądało na to, że ogrom problemów Brett pomniejszył ich wzajemną obcość.

- Prosiłaś mnie, więc jestem - odrzekła Caroline.

- Wiem, jak bardzo mnie nienawidzisz. Myślisz, że cię zdradziłam, i to dwa razy.

Caroline stłumiła cisnący się jej na usta gorzki uśmiech. Zainteresowało ją nie tyle to, że Betty wiodła takie rozmyślenia - nie, to nie było to - raczej że głośno wyraziła swe wnioski.

- Nie tylko mnie - rzekła cicho Caroline.

Oczy Betty zwęziły się. Przez chwilę Caroline zastanawiała się, czy siostra zrozumiała aluzję.

- Przez całe lata - mówiła Betty - wmawiałam sobie, że to, co robię, robię z miłości.

- A teraz?

- Wiem, jaka byłam zazdrosna - o ciebie i o niego. Szczególnie o ciebie.

Caroline patrzyła na zwirową drogę ciągnącą się po opadającym stromo zboczu aż do Resolve. Przypomniała sobie tamtych parę klas, kiedy to ona i Betty, różniące się wiekiem o całych pięć lat, czekały razem na szkolny autobus. Razem, choć osobno, pomyślała Caroline. Siostry i niesiostry.

- Byłam tylko dzieckiem - powiedziała. - Nikim szczególnym.

Betty pokręciła głową.

- Dla mnie byłaś ciemnowłosą księżniczką, której piękna matka zajęła miejsce mojej. Podobnie jak ty zajęłaś moje. - Dodała ciszej: - Wiem, że to żałosne. Wtedy ty nie myślałaś o mnie wcale. Ale nie to było najgorsze.

Caroline pomyślała, że istotnie było to żałosne.

- Jeśli tylko znałabym cenę, jaką za to płacisz - rzekła - byłabym bardziej czuła. Ale siedmioletnie dziewczynki rzadko takie bywają.

Betty odwróciła się do niej. W jej szarych oczach widniało oskarżenie.

- Wiesz, jak cierpię, widząc ciebie teraz? To tak, jakbym widziała swoją porażkę, winę i wszystko, co zrobiłam źle, usiłując naprawić swoje błędy. Nawet o to mnie obwiniasz, prawda? - zapytała łagodnie.

A więc zrozumiała, pomyślała Caroline. Sączyła kawę, chłodno obserwując siostrę znad filiżanki.

- Ryzykując ponownie oskarżenie o brak wrażliwości, stwierdzam, że nie dbam już o to. Ale każda z nas musi tworzyć jakieś własne wyobrażenia o tym, co i kto jest dla nas ważny. Szczególnie w okolicznościach takich jak te.

Betty poczerwieniała.

- Masz talent do okrucieństwa, Caroline. - Przerwała na chwilę, po czym ciągnęła rwącym się głosem: - Poprosiłam cię tutaj, bo chciałam z tobą porozmawiać o Brett, nie o moich uczuciach. Ale pomyślałam, że lepiej będzie się nam rozmawiało, jeśli jak najuczciwiej wyjaśnimy najpierw tamte sprawy.

Caroline przyglądała się jej.

- A w czym miałoby to pomóc? - zapytała. - Czasami jakieś wydarzenie przerasta swe przyczyny. Czy myślisz, że ma dla mnie jakieś znaczenie, że nie zrobiłaś tego naumyślnie? Zakładając, że to prawda.

Betty wbiła wzrok w ziemię. Na zmęczonej twarzy tej starzejącej się kobiety Caroline dostrzegła rysy znanej sobie Betty: ostrożnej, nieco wystraszonej, jak gdyby coś miano jej odebrać. Współczucie wykraczało poza jej możliwości i to było miarą wszystkiego, co się pomiędzy nimi wydarzyło.

- Betty - powiedziała delikatnie. - To nie jest dobry sposób. I nigdy taki nie będzie. Lepiej skoncentrujmy się na Brett.

Betty zamknęła oczy.

- Robiłam dla niej to, co uważałam za najlepsze - powiedziała w końcu. - Ale jeśli nie robiłabym tego i pozwoliła jej odejść, pewno nigdy nie spotkałaby żadnego Jamesa Case'a.

Caroline nic nie odpowiedziała. Ironia, którą wyraźnie widziała w oczach Brett, powstrzymała ją od reakcji.

- Myślałam, że jestem dobrą matką - ciągnęła Betty - bo trzymałam córkę przy sobie i obserwowałam ją. Kiedyś prawdziwa matka była przecież wszystkim, czego pragnęłam. - Zwróciła się do Caroline: - Wspaniała matka, którą miałaś i którą kochaliście oboje - ty i ojciec.

Caroline przyglądała się Betty uważnie, lecz nie dostrzegła na twarzy siostry śladu wiedzy o tym, co się kiedyś wydarzyło między rodzicami. Nigdy ci nie powiedział, jak i dlaczego zginęła moja matka, pomyślała z posepnym rozbawieniem. Jakby żyły w dwóch różnych rodzinach, a granice ich wzajemnego zrozumienia określała jedyna łącząca je osoba, którą z kolei postrzegali tak różnie. Zamyślona Caroline milczała.

- Czy on - zapytała w końcu powoli Caroline - też chciał utrzymać Brett blisko?

Betty wyprostowała się na krześle.

- Wszyscy tego pragnęliśmy. Pewno nie byłam najlepszą czy najmądrzejszą matką, ale próbowałam. - Zamilkła. - Być może to okrutne z mojej strony, Caroline, ale ty nigdy nie znalazłaś się w sytuacji, w której trzymałabyś na rękach dziecko i zdawałabyś sobie sprawę, że mimo wszystkich twych niedostatków i krótkowzroczności to właśnie ty w największym stopniu zdecydujesz, jakim będzie człowiekiem. - Zniżyła głos. - Był tylko jeszcze jeden moment, w którym byłam tak przejęta: chwila, kiedy posłałam Brett do przedszkola. Dotarło do mnie, że świat wokół niej jest pełen rzeczy, których nie mogę kontrolować.

Caroline trzymała zimną filiżankę, starając się uporządkować własne uczucia.

- Ale to nieuniknione - powiedziała cicho. - A w którejś chwili, kiedy dziecko dorasta, to, co nieuniknione, okazuje się właściwe.

Betty zacisnęła zęby.

- Dzisiejszy świat różni się od tego, w którym dorastałyśmy. Bardziej szkodliwe narkotyki, szerząca się przemoc. A przypadkowy seks czy gwałt może okazać się śmiertelny w skutkach. Kto chciałby wysłać swoją córkę w taki świat, zanim zdoła ona uformować właściwy światopogląd...

- Ale jak ma go formować - przerwała jej Caroline - będąc przywiązana do rodziców? A w tym wypadku - do kierującego się sztywnymi zasadami starego człowieka, który boi się wszystkiego i wszystkich, których nie może kontrolować?

Betty odwróciła się do niej raptownie.

- Myślisz, że James Case byłby lepszy? Chciałabyś, żeby twoja córka związała się z bezwartościowym, samolubnym chłopakiem, który namówiłby ją do brania narkotyków, który ma wypisane na twarzy: „Pieprzę się, z którą popadnie” i którego nie obchodzi ani krztyny nikt poza nim samym? Chciałabyś, żeby twoja córka zaprzepaściła swoje zdolności i odeszła, wierząc w czyjeś niedorzeczne obietnice?

Caroline trzymała nerwy na wodzy.

- Ale kto ma podejmować te decyzje? - zapytała. - Brett czy ty? Bo z własnego doświadczenia mogę ci powiedzieć, jak wspaniale się to kończy w tej drugiej sytuacji...

- Zapewne sądzisz, że tym razem to Brett podjęła decyzję, czyż nie? Decyzję, żeby go zabić. I że była zdolna do popełnienia morderstwa - przynajmniej dzięki narkotykom Jamesa.

Caroline zastanawiała się, co odpowiedzieć.

- Jeśli miałby zrobić to ktoś inny, musiałby podążać za nimi aż nad jezioro Heron. Albo przynajmniej wiedzieć, że tam będą.

Ich spojrzenia spotkały się.

- Czy przynajmniej bierzesz tę możliwość pod uwagę?

- Biorę pod uwagę wszystko, co może okazać się pomocne. Ale brak wyraźnych śladów, które mogłyby wskazywać na to, że byli śledzeni. Nie ma śladów opon. Nikt nie widział w okolicy innego samochodu. - Caroline obserwowała twarz siostry. - Jeśli założyć, że ktoś wiedział, że tam będą, to powstaje pytanie, kto to był i jak mógł się o tym dowiedzieć.

Betty wstała i podeszła do skraju werandy. W milczeniu patrzyła na odległe miasteczko.

- A co z tą dziewczyną? - zapytała. - Z tą, która twierdzi, że James miał tamtej nocy zerwać z Brett.

- Wydaje mi się to mało prawdopodobne. - Caroline pozostała w fotelu i nie widziała teraz twarzy Betty. - Czy Brett kiedykolwiek o niej wspominała?

- Nie. Nigdy. - W głosie Betty pobrzmiwała nuta zmęczenia i porażki. - Dotąd nie wiem nawet, jak ona się nazywa.

Caroline wstała i podeszła do Betty.

- Pod pewnym względem im mniej wiesz, tym lepiej. Dzięki temu będziesz obiektywna wobec tego, co usłyszysz od Brett lub ode mnie.

Betty odwróciła się do niej.

- Nie wezwą mnie, żebym przeciw niej zeznawała, prawda?

- Niby o czym? - zapytała ostro Caroline. - Czy jest jeszcze coś, o czym nie wiem, a o czym ma szansę dowiedzieć się policja?

Betty szybko pokręciła głową.

- Nie... Oczywiście, że nie. Chodzi tylko o to, że mogą przeinaczać i naciągać fakty. Na przykład nasze kłótnie o Jamesa...

- Ale dlaczego miałyby to zagrozić Brett?

- Myślę, że by nie zaszkodziło. - Betty przerwała. - Z wyjątkiem tego, że mogą sprawić, że wypadnie na - bo ja wiem - gwałtowniejszą.

Caroline przez chwilę milczała.

- Nie martwiłabym się o to - odpowiedziała. - Wątpię, czy Jackson będzie chciał dać sądowi zbyt wiele czasu na pokazywanie cierpiącej matki Brett. Niestety, ma lepsze rzeczy w zanadrzu.

Za ich plecami otworzyły się drzwi wejściowe. Caroline oczekiwała, że zobaczy w nich ojca. To jednak był Larry. Jego twarz była poważna.

- Cześć, Caroline.



Betty podeszła do niego.

- Sprawdziłeś, co u ojca?

- Jest u siebie. - Larry zwrócił się do Caroline. - To było dla niego zbyt ciężkie przeżycie. Zwykle wstaje o szóstej, ale wygląda na bardzo zmęczonego. Skoro już prawie dziewiąta, a nikt go jeszcze nie widział... - Wzruszył ramionami.

Caroline skinęła głową.

- Przepraszam - zwróciła się do niego. - Ale chciałabym cię o coś zapytać.

Larry również wyglądał na zmęczonego, a teraz i na wystraszonego.

- O co chodzi?

- O tę studentkę, która zeznawała przeciw Brett. Nazywa się Megan Race. Zastanawiałam się, czy może ją znasz - ty lub ktoś od ciebie z pracy.

- Megan Race? - powtórzył. Schował ręce do kieszeni, rozglądając się po werandzie. Betty patrzyła na niego uważnie. - Czy to ta dziewczyna, z którą spotykał się James?

- Tak.

Jego oczy zwęziły się.

- Wiesz, co studiuje?

- Tego nie mogę powiedzieć ci od razu. Czy jest jakiś sposób, żeby dostać się do jej danych?

- Żaden, który byłby zgodny z prawem...

- Nie proszę cię o to, lecz tylko o jakiegokolwiek informacje, które mógłbyś zdobyć.

Larry westchnął.

- Zastanowię się nad tym.

Kiedy Caroline wróciła do hotelu, czekały na nią dwie wiadomości.

Łatwiej było skontaktować się z Walterem Farrisem, więc od niego zaczęła. Zamówiła rozmowę i czekała około dziesięciu minut, chodząc po pokoju. Była przekonana, że dowie się od niego, że jej nominacja została wycofana.

- Caroline, rozmawiałem z prezydentem - powiedział krótko.

- I? - Poczowała rosnące napięcie.

- Zastrzegliśmy sobie prawo, by wycofać nominację, jeśli proces potrwa za długo lub jeśli dostrzeżemy coś niestosownego w tym, co tam robisz. Coś niestosownego w naszym rozumieniu. - Farris przerwał dla podkreślenia swoich słów. - Póki co twoja nominacja nadal jest ważna.

Caroline siadła na łóżku.

- Dziękuję.

- Dziękuj prezydentowi. Jest bardziej miękki, niż ja byłbymna jego miejscu. - I dodał łagodniej: - Proszę, Caroline, nie pojmij tego opacznie. Działasz tam na własną rękę. Zrobisz jakiś błąd i będę musiał z tym skończyć.

Druga wiadomość była od Joego Lemieux. Aby się z nim porozumieć, musiała dwa razy zadzwonić na jego pager.

- Mam jej rozkład zajęć - rzekł. - Nie mam ocen, ale przynajmniej wiadomo, na co się zapisała. Inna sprawa czy te wieści mają jakąkolwiek wartość.

- To początek. Dowiemy się, z jakimi profesorami ma zajęcia i z kim się na nich spotyka. A tak przy okazji - jak to zdobyłeś?

- Szkolna sieć komputerowa. Studenci mają do niej dostęp, żeby śledzić rozkład zajęć, zapisy i uzyskiwać masę innych informacji. - Lemieux lekko się zaśmiał. - Era komputerów stwarza nieograniczone możliwości ingerencji w prywatność. W tym wypadku potrzebowałem tylko studenckiego numeru identyfikacyjnego Megan, a jego zdobycie nie było zbyt trudne. Ale nie wspominałbym o tym nikomu.

Caroline zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Nie wspomnę, nie obawiaj się. Ale kiedy następnym razem będziesz zamierzał zrobić coś takiego, skontaktuj się najpierw ze mną. Nie zależy mi na oskarżeniach o brak etyki zawodowej.

- Rozumiem. - W głosie Lemieux słychać było lekkie zaskoczenie. - Czy chcesz te dane, czy nie?

Caroline zamilkła na chwilę.

- Tak - powiedziała. - Ale nie przesyłaj ich do mnie faksem. Dostarcz osobiście.

Odwiesiła słuchawkę i udała się do biura Carltona Greya. Przez kolejne dwie godziny czytała zapisy statutowe i rozmawiała telefonicznie z ekspertami: serologiem, kryminologiem i lekarzem zajmującym się leczeniem uzależnień narkotykowych i alkoholowych. Było zapewne około wpół do czwartej, kiedy wróciła do hotelu i znalazła wsuniętą pod drzwi brązową kopertę.

Otworzyła ją. Megan należała do starszego rocznika college'u. Caroline sięgnęła do danych z poprzedniego trymestru, lecz nagle zatrzymała się, patrząc na rozkład lekcji. Chciałaby nie wierzyć własnym oczom.

W tym momencie zadzwonił telefon. Caroline nie spieszyła się z podniesieniem słuchawki.

- Caroline - odezwał się głos Lany'ego. - Muszę ci coś powiedzieć.

- Tak - odpowiedziała. - Wiem.

## SIEDEM

Caroline znalazła go w biurze instytutu języka angielskiego. Siedział za swoim biurkiem. Był tak zdenerwowany, że nie mógł podnieść wzroku.

Caroline siadła naprzeciw niego.

- Powinieneś mi powiedzieć o tym wcześniej - rzekła delikatnie.

Larry patrzył teraz na nią.

- I co ty sobie o mnie pomyślisz? - zapytał z godnością. - Do wczorajszego ranka nie wiedziałem, kim jest ten świadek. Nie chciałem, żeby mojej spowiedzi wysłuchiwała Betty. W obecności was obu byłoby to dla mnie kompletne poniżenie.

Caroline spojrzała mu w oczy.

- Ona o tym nie wie?

- Sądzę, że nie jest pewna. A z pewnością nie wie, o kogo chodzi. - Gwałtownie wstał z krzesła. - Z nią jest coś nie w porządku.

- Masz na myśli Megan?

- Oczywiście, że Megan. - Chwycił oburącz za oparcie krzesła. - Najpierw jest z Case'em, potem staje się kluczowym świadkiem w sprawie Brett. Wygląda to tak, jak gdyby planowała zniszczyć moją córkę...

- Mam wrażenie, że nie liczyła na śmierć Case'a.

Larry zeszywniał.

- Skąd możesz wiedzieć, czy Megan go nie zabiła? To nie może być po prostu zbieg okoliczności...

Caroline podniosła rękę.

- Tego też nie twierdzę. Chcę tylko powiedzieć, że przyprowadziłeś tę kobietę do drzwi Brett.

Larry zbladł.

- Ale czy to nie znaczy, że Brett jest niewinna?

Caroline pokręciła głową.

- Nie. Ale może to oznaczać, że główny świadek zeznający przeciwko niej to zepsuty owoc. - Przerwała na moment. - Nie mówiąc o tym, co zrobiła z twoim małżeństwem.

- Nie ma na to rady - powiedział wolno. Jego spojrzenie wyrażało kompletne załamanie. - Podobnie jak w wielu innych sprawach, jest już o wiele za późno, żeby cokolwiek naprawić.

Caroline powoli pokiwała głową.

- Więc opowiedz mi o sobie i Megan. Weź pod uwagę, że wiele wskazuje na to, że jesteś jedyną osobą, która ją zna. Nie licząc Case'a.

Odwracając wzrok, Larry podszedł do drzwi gabinetu i dokładnie je zamknął. Potem podszedł do okna. Zatrzymał się tam, patrząc na oświetlony łagodnymi promieniami późnopołudniowego słońca kampus i budynki z czerwonej cegły.

- To przyjemne miejsce - rzekł. - Tak czy inaczej.

Milcząc, Caroline patrzyła na jego szczupłą sylwetkę. Promienie słońca rozświetlały pasemka siwizny w jego włosach.

Larry przygotowywał się do tej nieprzyjemnej dla niego rozmowy.

- Moim jedynym usprawiedliwieniem jest to, że nie szukałem jej. A przynajmniej nie świadomie. Ona sama do mnie przyszła.

Caroline przyjrzała się mu.

- Nie wierzę w kismet. Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie tacy jak Megan Race zawsze wiedzą, kogo szukają.

- Być może. - Larry odwrócił się od okna. - Ale na zajęciach to ja byłem tym, którego słuchano. Przeciwnie niż w domu.

W jego głosie pobrzmiwało lekceważenie własnej osoby, tak jak gdyby oba swoje wcielenia - podziwianego nauczyciela i zdetronizowanego męża - uważał za śmieszne.

- A Betty? - zapytała Caroline. - Czy odegrała w tym jakąś rolę?

- Milczącą - w zgodzie ze wspaniałą tradycją twojej rodziny, która powoli stała się również moją. - Znowu spojrzął jej w twarz. - Według mnie wszystkie te książki o życiu seksualnym nie trafiają w sedno. To nie jest kwestia włożenia wtyczki A w gniazdo B. Chodzi raczej o to wszystko, co nie wypowiedziane i nie rozwiązane. - Na chwilę odwrócił wzrok. - Niepostrzeżenie, podstępnie do twojej duszy wdziera się szara depresja. Ktoś tak żywy jak Megan Race robi wówczas na tobie tak oszałamiające wrażenie, że pozostajesz ślepy na to, że przecież ona nie widzi w tobie człowieka, którym w rzeczywistości jesteś, lecz kogoś, kogo chce widzieć. Początkowo nie zwróciłem na nią uwagi - ot, zadająca pytania blondynka z pierwszego rzędu, z otwartą buzią usiłująca pochłonąć całą wiedzę. Potem zacząłem zauważać, że kiedy wykład się kończył, ona zostaje jeszcze chwilę na swoim

miejscu z zamyślonym półuśmiechem w kącikach ust. Aż w końcu zacząłem co zajęcia szukać jej wzrokiem i - co dziwne - jakoś liczyć na jej obecność. Przy czym żadne z nas nie wypowiedziało o tym ani słowa. - Larry zamilkł. Smutek jego oczu współgrał z poorly zmarszczkami twarzy i szyją. Pochylona, skurczona sylwetka należała do osoby, która wraz z iluzjami utraciła całą witalność. - Kiedy zaczęła przychodzić do mojego gabinetu, zacząłem coś czuć - mówił cicho. - Wszystko do siebie pasowało. To, jak potrafiła podczas rozmowy przejść z T. S. Eliota na tematy nie związane z zajęciami. Sposób zamykania za sobą drzwi. Nie chciała iść na kawę czy pokazywać się w jakichś publicznych miejscach. Ta jej beztroska szczerość, z jaką mówiła o sobie i, po kilku spotkaniach, o swoich doświadczeniach seksualnych! Obserwowałem nas z pewną fascynacją. Niczym widz patrzyłem, jak mnie uwodzi. Żonaty profesor słuchający pięknej studentki, która prześlizguje się z Dylana Thomasa na teksty w rodzaju: „Sądzę, że seks jest uduchowiony. Mam na myśli to, że niepohamowanie jest bardziej pociągające niż dobrze zbudowane ciało...” - Zamilkł i pokręcił głową.

- Spotkałam się z nią - rzekła cicho Caroline. - Ty, Larry, rozwinąłeś swoje umiejętności mima. Ona zaś ma pewien szczególny sposób mówienia bez brania oddechu...

Larry zamknął oczy.

- O, kurwa! - wymamrotał. - Jak mogłem to zrobić?

- Podobnie jak w kilku innych rzeczach, nie dostrzegałeś konsekwencji. Przynajmniej niektórych.

Odwrócił się.

- Nigdy nie sądziłem, że z mojego powodu moja córka znajdzie się w niebezpieczeństwie. Myślałem, że ryzykuję co najwyżej swoje małżeństwo i być może posiadłość - powiedział z goryczą w głosie. - Później zastanawiałem się, czy nie kierowało mną jakieś pragnienie autodestrukcji. Żeby, mówiąc przerośnie, skończyć ze sobą takim, jakim do tej pory byłem. Obojętnie, co się stało, przekroczyłem pewną granicę. Kiedy przyszła kiedyś do mojego gabinetu i otwarcie powiedziała, że chce mieć ze mną romans, wcale się nie zdziwiłem. Siedziałem tu, a ona proponowała mi reguły z tym dziwnym światłem w oczach. Mieliśmy się spotykać tylko w jej mieszkaniu. Miała już nie przychodzić do mojego gabinetu. Miała nigdy nikomu o mnie nie wspominać. Nie wtrącać się w moje małżeństwo i nie wybierać więcej zajęć ze mną. Pragnęła tylko spędzać więcej czasu ze mną. - Głos Larry'ego znowu przycichł. - Kiedy wyciągnęła rękę nad biurkiem i położyła na nim klucz, już sobie nas razem wyobrażałem. Poszedłem do niej następnego popołudnia.

Caroline, która flirtowała przed dwudziestu laty z mężem siostry, miała już dosyć. Jednak Caroline prawnik uznała, że należy usunąć na bok wrażliwość czy resztki dumy.

- Proszę, nie oszczędzaj mi szczegółów - powiedziała. - Muszę mieć wyraźny obraz tej kobiety.

Larry oparł się o ścianę.

- Spóźnię się na obiad - powiedział jak gdyby do siebie.

Wpadające przez okno słabe światło podkreślało jego zapadnięte policzki. Caroline nie odezwała się.

- Po raz pierwszy byliśmy zupełnie sami - powiedział cicho Larry. - Powiedziała, żebym położył się na łóżku i na nią patrzył. Na ścianie było duże lustro. Powoli po kolei zdjęła wszystko, co miała na sobie... Na moment przed tym, kiedy została całkiem naga, odwróciła się, żeby się sobie przyjrzeć. - Larry przerwał, kręcąc głową. - Wiesz, co pamiętam? Kiedy nasze oczy spotkały się w lustrze, wyszeptała: „Kocham cię”. Potem pochyliła się. Zrozumiałem, co ma na myśli. Kiedy go jej włożyłem, masturbowała się, aż sama doszła. A kiedy ja doszedłem, z ciągle otwartymi oczami, ona uśmiechała się do siebie w lustrze. „Zrobię wszystko, co zechcesz”, wyszeptała. Nagle stałem się bogiem. Nie było niczego, czego nie mógłbym od niej zażądać. Robiła wszystko, o co ją prosiłem, a później stwierdziła, że jestem najlepszym kochankiem, jakiego sobie mogła wyobrazić... - Głos Larry’ego był zmęczony i pusty. - Użyła słowa „wyobrazić”. Jestem pewien, że moja nowo odkryta wielka wprawa w tych rzeczach była wyłącznie produktem jej wyobraźni. Lecz to samo stało się z moim umysłem. - Szukał właściwych słów. - W pewnym sensie wiedziałem, że nasz związek jest jej wymysłem. Ale znowu poczułem się kimś zdolnym do seksu. Chodziłem wyprostowany, łatwiej się uśmiechałem - ja, wielki kochanek w moim świecie. Nawet kiedy leżałem wystraszony na śmierć obok Betty...

Caroline patrzyła na niego spokojnie.

- Czy ta mieszanka *Intermezza z Fatalnym zauroczeniem* to wszystko, co zaszło między wami?

Skrzywił się.

- Nie. Wysłuchiwałem jej.

- O czym mówiła?

- Było kilka powracających tematów. Jej poglądy społeczne, które były dziwnym skrzyżowaniem Camille Paglia i „polityki znaczenia”. Oczywiście literatura. Czasami prosiła mnie, żebym jej czytał. - Zamyślił się. - Coraz częściej mówiła o dzieciństwie. Przede wszystkim tragiczne przeżycia, samotność... Jej ojciec zginął w wypadku.

Caroline pokiwała głową.

- Czy coś cię w niej uderzyło?

Zmrużył oczy.

- Wówczas nie. Ale teraz, z perspektywy... - Spojrzał na nią. - Kiedy zerwaliśmy, powiedziałem, że muszę to zrobić z powodu Brett. Pamiętam, że Megan stwierdziła, że stawiam Brett wyżej od niej. - Pokręcił głową ze złością. - Być może odebrała to jak ponowną utratę ojca.

Spojrzenie Caroline zmieniło się.

- Myślę, że chciała po prostu cząstki twego umysłu. I ciała.

- Na początku tak. Wszystko określały odpowiednie reguły: od poniedziałku do czwartku, od trzeciej do wpół do szóstej. Aż któregoś dnia przyszła niespodziewanie do mojego gabinetu. Po raz pierwszy złamała nasze zasady. Zaczęła mówić, zanim zdążyłem zaprotestować. - Larry urwał, zamyślony. - Chyba nie przekazałem ci pełnego obrazu jej wewnętrznej energii - podniecenia,

namiętności, z jaką na mnie patrzyła, tego jej promiennego uśmiechu. Potrafiła tym wszystkim przytłoczyć...

- Tak. Miałam okazję odrobiny tego doświadczyć. Ale wydało mi się to podszyte desperacją. - Caroline uważnie mu się przyglądała. - Przypuszczam, że potrzebowała lub chciała czegoś od ciebie.

- Poprosiła, żebyśmy wyjechali razem na weekend. - Twarz Larry'ego poszarzała niczym popiół. Nie był w stanie spojrzeć w oczy Caroline. - Potem wcisnęła mi do ręki białą kopertę i poprosiła, żebym do niej zajrzał, zanim podejmę decyzję. Wewnątrz było zdjęcie z polaroida. Zrobiła je sobie sama w lustrze. Trzymała aparat jedną ręką... - Jego głos zmatowiał.

- Tak - powiedziała Caroline spokojnie. - Chyba rozumiem. Mów dalej.

Larry skrzyżował ramiona.

- Była także notka. Obiecywała mi coś, o co nawet nie śmiałybym prosić. - Znowu przerwał. - Nie wiem, czy to dlatego, czy z powodu jej uśmiechu, który ujrzałem, kiedy podniosłem wzrok znad fotografii. „Widzisz”, powiedziała. „Znam cię”.

Caroline przeszył nieprzyjemny dreszcz.

- Więc pojechałeś z nią.

- Tak.

- A Betty?

- Kiedy powiedziałem, że jadę na kemping, zamilkła. - Larry patrzył przez okno. - Nie robiłem tego od czasu, kiedy Brett była małym dzieckiem. Betty ma jakiś instynkt, który ostrzegają przed wszystkim, co może jej zagrażać. Przez tydzień przed moim wyjazdem prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. W końcu Megan i ja pojechaliśmy do White Mountains. Z każdą milą byłem coraz bardziej przerażony i czułem się mniej bezpieczny. Kiedy tylko rozbiliśmy namiot, zmusiłem ją, żeby dotrzymała obietnicy. Ale robiłem to tylko po to, żeby uciec przed własnymi myślami... Dla Megan znaczyło to coś więcej. „Teraz będzie między nami inaczej”, mówiła. „Żaden chłopak nigdy mi tego nie zrobił. Czekałam na mężczyznę”. Coś w jej głosie sprawiło, że poczułem się głupio. Po części było to przekonanie - wówczas już całkiem wyraźne - że jej wyobraźnia uczyniła ze mnie kogoś znacznie bardziej wyrafinowanego niż w rzeczywistości. Lecz najgorszy był rozdźwięk pomiędzy mężczyzną z jej wyobrażeń a realnym człowiekiem - zgorzkniałym przez dwadzieścia pięć lat małżeństwa, lękającym się, że wpadnie, zanim zdoła spłacić swój dług. - Przerwał. - Wtedy, co najgorsze, zaczęła pytać o Betty. - Pokręcił głową. - Miałem złudzenie, że zdołam utrzymać te dwa światy oddzielnie. Miałem nadzieję, że wystarczy spędzić kilka godzin w jednym i trochę łągać w drugim. Tymczasem Megan chciała wiedzieć wszystko o tym, jak poznałem Betty, jaka ona jest, jaki jest nasz dom, jaką jest matką i co robimy w łóżku... To było takie dziwaczne. Byłem skłonny złamać nasze śluby małżeńskie, ale zdrada naszej prywatności to było już dla mnie zbyt wiele. - Jego głos znowu przycichł. - Przecież wszystko, co zaszło między nami - nasze rozczarowania, porażki, wzajemne zrozumienie czy nawet milczenie - należało do Betty i do mnie. Nie mogłem tego sprzedać, by zaspokoić potrzeby tej dziewczyny.



- A potem?

Larry odwrócił się do Caroline.

- Trwało to jeszcze dwa tygodnie.

Caroline położyła palec na ustach.

- Czy coś się jeszcze wydarzyło? - zapytała.

Larry milcząco pokiwał głową.

- Równowaga naszych stosunków została zakłócona - powiedział w końcu. - Megan zaczęła fantazjować na temat swojej roli w moim życiu, doradzać mi co do mojej kariery i pouczać, jak powinienem odnosić się do Brett. Mówiła nawet, że chce się z nią zaprzyjaźnić... - Znowu przerwał, kręcąc głową. - Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, co Brett o niej pomyśli...

- Ja mogę - rzekła chłodno Caroline. - Powiedz, czy Megan próbowała kiedykolwiek do niej się zbliżyć?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Jeśli Brett kiedykolwiek by się o nas dowiedziała, jestem pewien, że nie puściłaby tego mimo uszu. Jednak czułem, że Megan drąży moje życie i chce się dostać do jego jądra. - Włożył ręce do kieszeni. - Zanim zerwaliśmy, miałem w porze kolacji głucho telefony. Dwa dni z rzędu. Pierwszy odebrała Betty. Powiedziała, że ktoś przez chwilę czekał, a potem odwiesił słuchawkę. Wzruszyłem tylko ramionami, ale w głębi serca bałem się, że wiem, kto dzwonił... Następnego wieczoru zrobiłem wszystko, żebym to ja odebrał. Byliśmy w kuchni. Kiedy popędziłem do telefonu, Betty spojrzała na mnie znad zlewu. Chciała widzieć moją twarz, kiedy odezwie się Megan... „Chciałam tylko usłyszeć twój głos”, powiedziała. Betty odwróciła się do mnie. „Chyba to pomyłka”, zdołałem wydusić. „Dziękuję”, odpowiedziała i odwiesiła słuchawkę. - Larry spuścił wzrok. - Kiedy odłożyłem swoją, Betty patrzyła na mnie przez chwilę. O nic mnie nie zapytała. Poczułem, że wie. I że muszę znaleźć jakieś wyjście. Przez kolejne dwa dni, aż do poniedziałku, usiłowałem obmyślić jakieś usprawiedliwienie. Cokolwiek, co mogłoby stłumić wybuch gniewu, którego się spodziewałem i którego zaczynałem się bać. Kiedy mówiłem, Megan siedziała na krawędzi łóżka ze złożonymi przed sobą rękami. Usiłowałem wykorzystać w swoich argumentach osobę, z którą - jak mi się zdawało - Megan sympatyzowała najbardziej - Brett. - Jego głos stał się chropawy. - Przez cały czas słuchałem, jakim jestem próżniakiem - zerem, które usiłuje nadymać się i grać rolę prawdziwego ojca. A przecież, o dziwo, była to prawda. Ale kiedyś, kiedy Brett miała sześć lat, jeszcze zanim utknąłem w pracy w college'u, wyobrażałem sobie, że porzucę Betty, pracę, twojego wszechobecnego ojca i ten dom. - Jego głos złagodniał. - Wiesz, co mnie powstrzymało? To, że musiałbym opuścić Brett. Nigdy nie pozwoliliby mi jej zabrać.

Caroline skrzyżowała ręce na piersiach i opuściła głowę. Przez chwilę nie przychodziło jej do głowy nic, o co mogłaby zapytać.

- A Megan? - powiedziała powoli.

- Niepotrzebnie się bałem. Nie było łez, gróźb ani wściekłości. Powiedziała tylko, że, tak jak przewidywała, postawiłem swoją córkę wyżej od niej. Wyszedłem jak najszybciej. Przez kilka dni

balansowałem na krawędzi. Podrywałem się na dźwięk telefonu albo kiedy otwierały się drzwi do mojego gabinetu. Bałem się, że to może być ona. Ale nie. Przyszedł tylko jeden smutny list, który jednak w pewien sposób również mnie przeraził. Opisała w nim nasz związek. Ale był to związek, który istniał tylko w jej wyobraźni. - Larry westchnął. - Spotkanie dusz, jak to określiła.

Caroline spojrzała na niego.

- Czy zatrzymałeś ten list?

- Oczywiście, że nie.

- Miałam nadzieję, że będzie to jakiś dowód, że to, o czym mówisz, w ogóle się wydarzyło.

Larry wlepił w nią wzrok.

- Będę musiał zeznawać? Opowiadać o tym, co ta kobieta robiła i mówiła, żeby się do mnie zbliżyć? - Sama myśl o tym sprawiła, że zamilkł. - Muszę o tym powiedzieć Betty. Kiedy tylko wrócę do domu - dokończył po chwili chłodno.

Caroline nieco nieprzytomnie zaczęła masować skronie, ciągle patrząc na Larry'ego.

- Czy wcześniej wspominałeś komuś o Megan?

Oczy Larry'ego nieco się poszerzyły. Caroline z fascynacją obserwowała, jak na jego twarzy zaczyna pojawiać się zrozumienie.

- Nie - rzekł. - Byłem bardzo ostrożny.

- Więc nikt cię z nią nie widział?

- Nie sądzę.

- Nie ma żadnych zdjęć, podarunków? - zapytała Caroline łagodnie. - Nawet tego zdjęcia z polaroida?

Larry poczerwieniał.

- Nie.

Caroline poprawiła się w fotelu.

- Teraz wiesz, jak Megan zamierza się z tego wypłatać. Bo tobie, jak się zdaje, to się udało.

Larry ciężko opadł na krzesło. Milcząc, siedzieli w półmroku zapadającego już wieczoru.

- Dlaczego ktoś miałby uznać, że wymyśliłem tę całą historię - rzekł w końcu - żeby w nagrodę zniszczyć swoje małżeństwo?

- Och, wierz mi, wszystko to wydaje mi się prawdziwe. Ale powód, dla którego mógłbyś

wymyślić tę historię, jest prosty: chcesz ratować swoją córkę, twierdząc, że główny świadek w jej sprawie działa pod wpływem zazdrości. Jednak nawet twoja historia nie tłumaczy związku Megan z Jamesem czy jej zabójczego dla nas stwierdzenia, że chciał ją zabrać do Kalifornii. - Caroline mówiła teraz ciszej. - Jackson Watts może powiedzieć, że Betty jest współnikiem twojego podstępu.

Larry zacisnął usta.

- Uwierzą mi.

- Czyżby? Bo, póki co, jasne jest, że Megan była z Jamesem. Obojętnie, jak długo i z jakich powodów. Ty zaś nie możesz dowieść, że kiedykolwiek była z tobą. A swoją drogą, kiedy to się skończyło?

- Późną jesienią.

- Miły chłodny trop - skomentowała Caroline, unosząc jedną brew. - A więc ów bajeczny wypadek z Megan nie przypadł na tę noc, kiedy to zamordowano Case'a?

- Nie. - Larry spojrzął przed siebie. - Wtedy, o ironio, rzeczywiście byłem sam. Żeby porozmyślać.

Caroline uśmiechnęła się smutno.

- Cóż - rzekła. - Przynajmniej nie możesz dać jej alibi.

Ponad biurkiem dostrzegła, jak Larry zamyka oczy.

- Że też to lato kończy się dla nas wszystkich tak beznadziejnie...

Przez dłuższy czas Caroline milczała. Potem odezwała się łagodnie:

- Spróbuję to wykorzystać, nie wzywając cię na świadka. Pozwól mi najpierw porozmawiać o tym z Jacksonem. Jeśli boi się, że Megan jest zbyt niepewna, może odsunąć proces, starając się zebrać więcej materiałów. Również o samej Megan. - Jeszcze bardziej ściszyła głos. - Nie musisz więc na razie mówić o tym Betty ani Brett. Dam ci znać, jeśli stanie się to konieczne.

Larry otworzył oczy.

- A Channing?

Caroline wyprostowała się w fotelu.

- Nie sądzisz, że zbyt wiele nici w naszym życiu wiodło do tatusia? - rzekła łamiącym się głosem. - Ale odmawiam, chyba że będę musiała, pozostawienia tej rodziny w stanie gorszym, niż ją zastałam. To mogłoby być więcej, niż potrafię znieść - dodała spokojniej.

## OSIEM

- Tak więc ojciec twojej oskarżonej pieprzył twojego koronnego świadka - rzekła Caroline. - A ten, swoją drogą, wydaje mi się więcej niż nieco rozchwiany psychicznie.

Jackson siedział obok niej na parkowej ławce w pobliżu budynku policji. Z chłodnym wyrazem twarzy, jak gdyby w tym, co usłyszał, nie było nic godnego uwagi, podwinął rękawy.

- Fatalnie - powiedział w końcu. - Megan tak dobrze o tobie mówi. Wydaje się, że lepiej niż ty o mnie.

Caroline spojrzała na niego spokojnie.

- Wiesz, że musisz coś z tym zrobić. Obrona przychodzi do ciebie z istotnymi informacjami, które może wykorzystać w sądzie. Popełnisz błąd, jeśli nie przeprowadzisz w związku z tym dochodzenia.

Jackson odwrócił się do niej.

- W porządku - rzekł. - Co chcesz, żebym zrobił?

Caroline intensywnie się w niego wpatrywała.

- Na początek wyślij kogoś, żeby przesłuchał Larry'ego i sprawdził jego wersję. Musi być ktoś, komu opowiedziała o tym Megan. - Zaczerpnęła głęboko powietrza. - Ale jeśli nikt taki się nie znajdzie, to proszę cię o przeszukanie mieszkania tej dziewczyny.

- A nakaz? Cel?

- Znalezienie czegokolwiek, co potwierdziłoby jej związek z Larrym. I stwierdzenie, czy pozostawała w jakichkolwiek związkach z ofiarą później niż w kwietniu.

Jackson patrzył przed siebie.

- A więc o to chodzi. Oczekujesz, że prokurator sam załatwi swojego świadka, robiąc to, do czego nie ma prawa obrona. - W jego głosie zaczęło pobrzmiwać niedowierzanie. - Powiedz mi, Caroline, czy takie rzeczy udawały ci się w San Francisco?

- W San Francisco nie miałam takiej sprawy. - Caroline traciła zdolność utrzymania pozorów spokoju. - Wiele wskazuje na to, że Megan mogła to wszystko zmyślić...

- Ale nie wyjazd do Kalifornii - przerwał jej Jackson. - A ty, do licha, wiesz o tym. Proszę, nie myśl, że jestem aż tak głupi.

Caroline założyła ręce na piersiach.

- Mógłbyś wyjaśnić nawet to, jeśli tylko przeszukałbyś jej mieszkanie.

- Czyli jeżeli tylko potraktowałbym tę dziewczynę jak przestępcę? Czy to masz na myśli? - Patrzył przenikliwie w jej twarz. - Wiem, że tu chodzi o twoją rodzinę. Ale nie mam żadnych podstaw, żeby zrobić to, o co mnie prosisz.

- Krzywoprzysięstwo jest przestępstwem, wiesz.

- Tylko jeśli się go dowiedzie - Jackson przerwał. - No dobrze. Sam porozmawiam z Larrym. Poślę też moich ludzi, żeby powęszyli w tej sprawie. Potem zapoznam Megan z tymi oskarżeniami.

Caroline wstała.

- Z czym, do cholery? Zaprzeczy wszystkiemu! A ja jak głupia przygotuję ją do przesłuchań.

- Nie „jak głupia”. - Spojrzał na nią z napięciem. - Jeśli faktycznie sądziłaś, że uda ci się uratować Brett, niszcząc Megan Race, mogłabyś to już dawno zrobić w mgnieniu oka, niszcząc małżeństwo rodziców Brett. Jednak póki co, nie masz niczego konkretnego. I sama nie wierzysz, że uda ci się cokolwiek zdobyć. Bo wiesz, że jeśli pojawi się jakiś realny problem, to będę działał.

Caroline przyglądała się mu.

- Tak - powiedziała powoli. - Wiem o tym. Ale myślę, że zrobiłam wielki błąd. Grozi to również tobie. A wszystko to odbywa się kosztem Brett.

Jackson wstał.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedział. - Bo przesłuchanie, którego tak pragnęłaś, odbędzie się za pięć dni, a dobrze by było, gdyby dało nam ono jakiś obraz prawdy. A prawdą jest - w co, jak sądzę, nadal wierzysz - że Brett Allen zabiła tego chłopaka.

Odwrócił się i poszedł do swojego biura.

Caroline wysiadła z samochodu i samotnie stanęła naprzeciw kępy drzew. Była noc. Od jej przyjazdu z Concord minęło dwanaście godzin. Obraz tej chwili powoli formował się w jej umyśle. Wchodząc pomiędzy drzewa, wyobraziła sobie siebie jako Brett.

Spróchniałe drewno trzeszczało pod jej stopami, gałęzie uderzały ją po twarzy i ciele. Osłaniając się przed nimi, podniosła ręce. Prawie nic nie widziała. Wiódł ją jedynie instynkt.

Ciemności zdawały się nie mieć końca. Spomiędzy wznoszących się ku niebu sosen nie przedzierał się żaden promień księżycowego światła. Wokół nie słyszała nic prócz własnych kroków.

Po jakimś czasie pomiędzy pniami drzew dostrzegła pierwszy ślad światła. Przyspieszyła kroku i wkrótce dotarła do skraju lasu. Twarz miała wilgotną od potu.

Przed nią rozciągała się polana.

Uklękła w pobliżu miejsca, w którym zginął James Case, i wpatrywała się w jezioro. Księżyc, teraz wąski sierp, tamtej nocy był dwakroć większy. Czarna tafla wody połyskiwała. Caroline nie widziała pomostu, do którego - zgodnie z zeznaniami - dopłynęła Brett. Nagle wśród drzew za jej plecami coś trzasnęło.

Caroline odwróciła się gwałtownie, a serce zaczęło jej bić jak szalone. Las był cichy i mroczny. Stała, wpatrując się w te ciemności, a po plecach przeszły ją ciarki. Powoli i z oporem odwróciła się znowu w stronę jeziora.

Przez chwilę stała nieruchomo, przypominając sobie, gdzie znajduje się pomost. Potem zdjęła żakiet i dzinsy i ruszyła w stronę wody. Poczowała powiew chłodnego powietrza: miała na sobie tylko szorty i koszulkę bez rękawów.

Niepewnie podeszła do linii brzegu. Kamienie raniły jej stopy. Dokładnie tak, przypomniała sobie, jak opowiadała Brett.

Szok termiczny z powodu kontaktu z zimną wodą wyrwał ją z zamyślenia. Była teraz znowu Caroline płynącą w kierunku pomostu, który zbudował ojciec, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Unosił ją prąd wspomnień przepływający przez rozpadliny jej życia.

Jej ruchy były długie i płynne, tak jak za młodu. Stwierdziła, że dokładnie wie, w którym momencie jej dłoń dotknie pomostu, mimo że go nie widziała. Podciągnęła się i siadła na jego krawędzi, głęboko oddychając zimnym nocnym powietrzem.

Było tutaj nieco jaśniej. Drzewa nie zatrzymywały księżycowego światła. Linie brzegu okalała tonąca w mroku ściana zlewających się drzew. Jedynie polana wydawała się trochę bardziej rozświetlona.

Siedząc w bezruchu, nasłuchiwała.

Nic.

Powoli i systematycznie przeczesywała wzrokiem linię brzegu, starając się dostrzec na niej jakikolwiek ślad ruchu. Czuła chłód, wilgoć i mokre kosmyki włosów. Jej oczy łaknęły światła.

Nagle coś się zmieniło.

Kiedy się odwróciła, jakiś cień przemierzył polanę, oświetlony srebrzystymi promieniami księżycowego światła. Caroline zamarła. Jedynie kiedy cień stawał w bezruchu i ciszy, miała pewność, że w ogóle tam jest.

Caroline wskoczyła do wody.

Jej ruchy były urywane, paniczne - jakimi mogły być ruchy Brett. Caroline, napięta i odrętwiała, płynęła ku brzegowi. W uszach słyszała własny puls.

Kiedy dotarła do brzegu i wyszła z wody, cień był nieruchomy.

Jej oddech urywał się. Gdy ruszyła po trawie w kierunku polany, cień podniósł się i stanął naprzeciw niej.

- Witaj, ojciec - rzekła Caroline.

Channing Masters stanął w świetle księżyca. Jego głęboko osadzone oczy pozostawały w cieniu.

- Więc mogłaś mnie dostrzec.

- Tylko na polanie. Nie wcześniej. - Caroline urwała, by uspokoić oddech. - Skąd się tu wzięłaś?

- Dotarłem ścieżką przez teren Moshera. Kończy się jakieś sto jardów stąd.

W ciemności zdołała zauważyć, że jego buty są wilgotne.

- A potem wodą, wzdłuż brzegu?

- Tak. Dokładnie, jak wcześniej mówiłem - powiedział pewnie. - Dopóki nie wyszedłem na polanę, nie mogłaś mnie usłyszeć ani zauważyć, Caroline. Podobnie jak Brett.

- To prawda. Ale w takim razie twój morderca - obojętnie, kim jest - musiał znać drogę. I skądś wiedzieć, że Brett i James tutaj będą.

Milcząc, Channing usiadł i spojrzał na jezioro.

- Musiał wiedzieć tylko, że tutaj będą. Przy drodze stoi znak z napisem „Jezioro Heron” - stwierdził cicho.

Caroline włożyła żakiet i uklękła za nim na trawie.

- Zmęczony? - zapytała.

- Tak, trochę. - Nadal patrzył na wodę. - Wiesz, Caroline, co mnie zdziwiło? Przez chwilę, kiedy zbliżałaś się do mnie w ciemności, zdawało mi się, że widzę twarz Nicole.

Caroline skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Nie jestem teraz do niej bardziej podobna niż kiedykolwiek - rzekła łagodnie. - Patrzę na swoją twarz i widzę, że to ty jesteś w niej zapisany.

Siedział cicho w bezruchu. Caroline patrzyła na rosnącą przed nią trawę.

- Czy nie sądzisz - rzekła po chwili - że nóż nie jest dobrą bronią dla twojego mordercy? Jak mógł liczyć na to, że uda mu się nim załatwić dwoje młodych zdrowych ludzi?

Channing powoli pokiwał głową.

- Załóżmy, że miał pistolet. Ale zauważył, że Case jest sam i śpi - powiedział, zamyślony. - Nóż jest cichym narzędziem. A to mogło mu zapewnić bezpieczną ucieczkę.

Caroline zmrużyła oczy i wyrwała źdźbło trawy.

- Znaczy to, że musiał mieć i pistolet, i nóż. Bardzo dobry nóż.

Caroline odwróciła się do ojca, lecz ten na nią nie patrzył.

- Chcę tylko powiedzieć - odezwał się w końcu - że taka wersja wypadków jest możliwa. I że to, co możliwe, może okazać się dla sądu zadowalające.

Caroline nie odezwała się. Channing wstał, nadal patrząc na wodę.

- A ta Megan? Czy można ją - tak jak sugerowałaś - wziąć pod uwagę jako podejrzanego?

- Masz na myśli „poważnego” podejrzanego? W przeciwieństwie do kogoś, kto jest tylko kłamcą?

Channing zawahał się.

- Tak.

- Jeszcze nie wiem. - Caroline przez chwilę go obserwowała. - Ale do twojej teorii z pewnością kogoś takiego potrzebujesz. Podobnie jak potrzebuje go Brett.



## DZIEWIĘĆ

Caroline długo i uważnie przeglądała swoje notatki, zaczynając przygotowywać przesłuchanie świadków policji: funkcjonariuszy, którzy aresztowali i wypytywali Brett, badającego ją lekarza, ludzi z laboratorium kryminologicznego. Skromne biuro Carltona Greya było ciche. Pierwsze promienie świtu zaczynały wdzierać się przez okno do środka. Do przesłuchania pozostały jeszcze cztery dni.

Zaczęły się telefony z prasy. Caroline była uprzejma, sugerując, że przesłuchania pozwolą wykazać znaczne niedopatrzania w oskarżeniach sformułowanych przez prokuraturę. Jackson odmawiał wszelkich komentarzy. Caroline nie знаła obecnego statusu Megan Race.

Podniosła się z krzesła i wyjrzała przez okno. Brett stawiała czoło wypadkom z nowym samozaparciem. Chociaż z pewnością była zmęczona i przerażona, traktowała Caroline z pewną kurtuazją, jak gdyby wyczuwając, że ta oczekuje od niej samokontroli. Jakby zamieniły się rolami. Teraz Caroline była nazbyt nerwowa. Nawet nie zauważyła, kiedy przekroczyła granicę swojej wytrzymałości.

Gdy zadzwonił telefon, poderwała się.

Odwróciwszy się, dostrzegła aparat stojący na końcu stołu, którego wcześniej w ogóle nie zauważyła. Pozbierała się i podeszła do niego, żeby podnieść słuchawkę.

- Tak?

- Caroline? - odezwał się głos Jacksona. - Byłem w hotelu, ale powiedzieli mi, że wyszłaś. Wiem, że jest wcześnie, ale wiem też, jakie to dla ciebie ważne.

Jego głos brzmiał na tyle uprzejmie, że nadzieje Caroline zaczęły blednąć.

- Rozumiem, że chodzi o Megan.

- Tak. - Jackson mówił szybko, jak gdyby wyćwiczył swoją wypowiedź, zanim tutaj zadzwonił. - Jeśli chodziłoby tylko o sprawę zachowania Larry'ego, wszystko byłoby łatwiejsze. To, co mi powiedział, brzmiało przekonująco, dla niego zaś z pewnością było bolesne. Wychodząc, chciałem mu wierzyć, ale...

- Ale?

- Ale nie potrafił mi dać żadnego przekonującego dowodu, a nasi śledczy też niczego takiego nie znaleźli. Nikt nie widział ich razem. Nikt nie słyszał, żeby Megan o nim opowiadała. Poza kilkoma mało istotnymi uwagami na temat wyższości starszych kochanków, które wypowiedziała do swojej

sąsiadki, nie ma nic, co mogłoby chociaż tylko sugerować, że Larry mówi prawdę...

- Więc poddaj go testowi z wykrywaczem kłamstw - wyrwało się jej. Lecz Jackson, jak poniewczasie zauważyła, był zbyt uprzejmy, żeby odpowiedzieć odmową na odmowę.

- Jeśli to zrobię - powiedział spokojnie - będę musiał poddać testowi również Megan. A to z kolei przenosi odpowiedzialność oceny świadków, z których żaden nie jest o nic oskarżony, z sądu na maszynę, w której działanie wątpi wielu ekspertów. Nie prowadzimy tutaj spraw w ten sposób i nie przyjmujemy od teraz takich form działania. Nawet biorąc pod uwagę twoje zaangażowanie.

Caroline wyprostowała się.

- Przestań traktować mnie jak emocjonalnego kalekę u łoża śmierci członka mojej rodziny, dobrze? Jestem prawnikiem, którego klient został wskazany jako winny przez świadka będącego być może patologicznym kłamcą.

Po raz pierwszy Jackson zawahał się.

- Rozmawiałem z nią, Caroline. Z pewnym zniecierpliwieniem, choć dosyć przekonująco twierdziła, że Larry nie był dla niej nikim więcej niż przeciętnie interesującym profesorem, z którym miała jeden przedmiot. Przypomniała mi - jak gdybym jeszcze tego potrzebował - że jej zeznanie obejmuje potwierdzony związek z Jamesem Case'em, który został odkryty przez twoją klientkę. To jeszcze jeden fakt, którego - przynajmniej przed ewentualnymi zeznaniami Brett - nikt nie podważa. Nawet ty.

Przez chwilę Caroline milczała.

- Jackson - powiedziała powoli. - Z Megan Race coś jest nie w porządku. Jej zachowanie podczas naszego spotkania miało na celu przekonanie mnie o winie Brett. Instynkt mówi mi, że ona boi się zeznawać.

- W takim razie chyba poszła złą drogą, bo zgłaszając się do mnie, musiała brać pod uwagę duże prawdopodobieństwo tego, że będzie musiała składać zeznania w sądzie. A najskuteczniej przekonać cię o winie Brett mogłaby przecież, składając zeznania. Jeśli zaś historia Larry'ego jest prawdziwa, byłaby ona głównym punktem każdych przesłuchań...

- Ona zakłada, że nikt nie będzie w stanie tego dowieść - przerwała mu. - Tobie się to przecież nie udało.

- W takim razie staje się to twoim problemem, czyż nie? - powiedział powoli.

Palce Caroline zacisnęły się na słuchawce.

- Proszę - powiedziała. - Postaraj się o to pozwolenie. Zajrzyjcie do kalendarzy, notatników, przejrzyjcie papiery - wszystko, co może dotyczyć Larry'ego. Albo Jamesa.

Tym razem Jackson nie wahał się.

- Przykro mi, Caroline. Nie mogę tego zrobić mojemu świadkowi. A przynajmniej dopóki nie

znajdziesz czegoś poważniejszego. Czy masz coś takiego?

- Nie. Jeszcze nie.

- Więc zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miała - powiedział uprzejmie Jackson i odwiesił słuchawkę.

Za zamkniętymi drzwiami biura Caroline słuchała relacji Joego Lemieux o tym, czego dowiedział się na temat Megan Race. Było już po południu, a Caroline jeszcze nie jadła.

- Nie udało mi się znaleźć śladów, które wskazywałyby, że przechodziła jakąś terapię - powiedział, podsumowując. - Żadnych zapisów o jej dziwnych zachowaniach - a przynajmniej o niczym, co byłoby rzeczywiście dziwaczne.

- A chociaż ekscentryczne?

- Może tak. Wygląda na to, że właściwie nie ma przyjaciół. Być może dlatego zagadywała tę biedną kobietę z sąsiedztwa i ciebie, żeby dawać wam wykłady na temat swojego życia seksualnego. Jedyna koleżanka, z którą mieszkała, powiedziała, że Megan w pewien sposób okradała ją z jej życia, próbowała je przejąć. Relacjonując to, stwierdziła, że Megan ją „zużyła”. - Lemieux wzruszył ramionami. - Od tego czasu Megan mieszkała sama.

Caroline pokiwała głową.

- Wszystko to zgadza się z tym, co powiedział Larry. Ta dziewczyna ma jakiś rodzaj obsesji, Joe. Co z kolei potwierdza to, co mówiła Brett.

- Co masz na myśli?

- Że kiedy jesteś wystarczająco zdenerwowany, dokonujesz projekcji własnych zaburzeń na innych ludzi. Megan widziała w Brett wszystkie własne niebezpieczne cechy.

Lemieux zmarszczył brwi. Szczupła twarz i zamyślane oczy sprawiały, że wyglądał raczej jak zatopiony w swojej dziedzinie doktorant niż prywatny detektyw.

- Może. - Jego głos wyrażał wątpliwości. - Ale jeśli masz rację, Megan musi sobie z tym wszystkim nieźle radzić. Nie ma żadnych dowodów, żeby na przykład przechodziła jakąś terapię. W szkole średniej dostała wyróżnienie, a przez trzy lata college'u przeszła z dobrymi ocenami i bez większych problemów - nie licząc przyłapania na kąpiel w świetle księżyca. - Spojrzał uważniej na Caroline. - Jeszcze jedno: wiesz, że w południe i wieczorami pracuje w klubie studenckim?

- Uhm.

- Nie wiem, czy ta informacja jest cokolwiek warta, ale Megan z jakichś powodów zwolniła się z pracy tej nocy, kiedy zamordowano Case'a.

- Czy możemy to potwierdzić?

- Będą problemy z określeniem dokładnego czasu - jęknął Lemieux. - Problem leży przede wszystkim w tym, że nie mamy w zasadzie żadnych podstaw, by sądzić, że ona mogła tego faceta nienawidzić ani przebywać w tym czasie w okolicy jeziora Heron. Załóżmy, że przechadzała się wokół niego - z czym tam? - ach, z pistoletem i nożem.

Caroline przyjrzała mu się uważnie.

- Każdy może je przy sobie mieć. To takie amerykańskie - powiedziała łagodnie.

- W istocie. Ale jesteśmy jeszcze daleko od włożenia pistoletu czy nawet noża w ręce tej dziewczyny.

- Chciałam też jej bieżący rozkład zajęć.

- Mogę wiedzieć, po co? - Lemieux spojrzał na nią twardo.

- Czysta ciekawość. - Caroline wzruszyła ramionami.

Oczy detektywa zwęziły się.

- Bez zmian. Od południa do drugiej podawanie posiłków, a od ósmej do dziesiątej praca w kawiarni. Czasami, kiedy nie ma klientów, zamyka szybciej - mówił beznamiętnym głosem.

- Dzięki.

Lemieux przyglądał się swoim paznokciom.

- Co, nie powiodło się z prokuratorem?

- Nie. - Caroline założyła ręce na piersiach. - Jakie zabezpieczenia antywłamaniowe ma dom, w którym mieszka Megan?

Lemieux podniósł na nią wzrok.

- To budynek z lat pięćdziesiątych - powiedział powoli. - Podobny do tego, w którym mieszkał Case. Ma tylko domofon przy głównym wejściu.

- A zamki patentowe? - po chwili milczenia cicho zapytała Caroline.

Lemieux spojrzał jej w oczy.

- Tego nie mogę zrobić, pani adwokat - odrzekł równie cicho.

Caroline ścisnęło w żołądku. Jednak zdołała zachować kamienną twarz.

- Nie możesz mi powiedzieć, czy są tam zamki patentowe?

Oczy Lemieux były nieruchome.

- Nie widziałem - rzekł w końcu.

Około drugiej Caroline, niespokojna, opuściła biuro. Była ubrana w dżinsy. Jeszcze zanim zdążyła ustalić, dokąd jedzie, znalazła się za kierownicą samochodu.

Prawie nie patrząc na dom ojca, minęła Masters Hill. Dojechała aż do tej samej ścieżki, którą wspinała się dwa tygodnie temu. Wtedy to spotkała się po raz pierwszy z Brett Allen i zaczęła rozplątywać to, co sama zawikłała przez ostatnie dwadzieścia lat, nie będąc już pewna, co znaczy być Caroline Masters.

Powoli, równym krokiem przemierzała stok wzgórza, wspinając się pomiędzy krzewami i drzewami. Kiedy dotarła do wierzchołka chyba oczekiwała, że zobaczy tam siedzącego na zwalonym pniu ojca obserwującego Resolve i okolicę. Okazało się jednak, że jest sama.

Chociaż dzień był pochmurny, Caroline mogła stąd widzieć na bardzo dużą odległość: dachy budynków i wieże kościoła w mieście, z którego przyjechała, góry ciągnące się na zachód aż po horyzont. Jednak prócz tego nic nie wydawało jej się teraz jasne.

Przez dwadzieścia lat żyła zgodnie z prawem i jego zasadami, choć być może nie tak, jak rozumieją je zwykle ludzie. Caroline obrońca przyjmowała najtwardszą prawdę sprawiedliwości: założenie o niewinności musi chronić winnego. Kiedy policja i oskarżyciele łamią tę zasadę, zdarza się, że ktoś zły wychodzi na wolność. Zadanie Caroline polegało na dopilnowaniu przestrzegania tych reguł za wszelką cenę. Niekiedy przerażało ją to. Lecz pozbawiona zasad policja byłaby wszak równie niebezpieczna jak sami przestępcy. A co z wypuszczeniem na wolność notorycznych przestępców - morderców, gwałcicieli, molestujących seksualnie - tylko po to, żeby skrzywdzili kolejną ofiarę? To, że może przecież bronić kogoś naprawdę niewinnego, nieraz wydawało się zbyt mało prawdopodobne, by pozwolić jej w nocy na spokojny sen. Jednak zawsze stosowała się do tych reguł i zawsze podkreślała, że tak samo powinna postępować policja.

Zamykając oczy, wyobraziła sobie Brett.

Było to dla niej teraz aż nazbyt łatwe. Znała jej codzienny rozkład zajęć. Samotność, zbyt mało ruchu, czytanie, dopóki litery nie zaczną się zlewać przed oczami, pisanie pamiętnika, który musi sama cenzurować, by uchronić swoje najbardziej osobiste przemyślenia. Potem w myślach Caroline towarzyszyła Brett w odsiadywaniu zażądanego przez Jacksona w bezlitosnym poczuciu sprawiedliwości co najmniej dwudziestoletniego wyroku. Widziała jej potworne odosobnienie i utratę prywatności. Czuła brak przyjaciół, kochanków czy dzieci. Wietrzejącą seksualność kobiety, która po dwudziestu latach więzienia zbliża się do czterdziestki. Widziała niezdrową, bladą cerę Brett opuszczającej po dwudziestu latach celę. Zmarszczki na twarzy znaczyły czas, który spędziła tutaj, zostawiając za sobą całą młodość. A wszystko to za sprawą jednego świadka i jednej ciemnej nocy.

Do Caroline powróciły wspomnienia. Znowu była młodym prawnikiem z nie więcej niż rocznym stażem. Zjawił się u niej wypuszczony za kaucją klient. Nie zaprzeczał, że jest winny. Liczył jedynie na lżejszy wyrok. Był zaniedbany i wychudzony. Wyraz jego twarzy wskazywał, że czuje się nieco pokrzywdzony.

„To było dla nich takie łatwe”, żalił się. Caroline zauważyła, że jak wielu innych obwiniał o własne czyny bezimiennych „ich”. Żeby dowieść swych słów, zamknął drzwi biura, wyciągnął cienką

plastikową kartę kredytową i wcisnął ją w szczelinę na wysokości klamki. Drzwi otworzyły się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. „No proszę”, rzekł oskarżycielskim tonem. „Nie ma zamka patentowego”. „Cóż”, odrzekła Caroline. „A czy «oni» spodziewali się czegoś innego?” Mogli, pomyślała teraz, oczekiwać, że sędzia będzie honorował prawo. Niezależnie od ponoszonych przy tym kosztów.

Caroline patrzyła na odległe miasteczko. Kiedy skończy, zdecydowała, niezależnie od tego, jak sprawy się potoczą, poprosi o wycofanie swojej nominacji.

## DZIESIĘĆ

Caroline siedziała w samochodzie o pół przecznicy od słabo oświetlonej uliczki. Na jej zegarku była siódma pięćdziesiąt. Z niepokojem patrzyła w boczne lusterko. Nikt nie przechodził przez frontowe drzwi budynku.

Być może Megan dzisiaj nie pracuje, myślała. Czekwała, odczuwając na zmianę ulgę i napięcie.

Nagle drzwi budynku otworzyły się.

Caroline nie odwróciła głowy. Błysnęło światło, ktoś się poruszał. W ciemnościach kobieca sylwetka była w lusterku zaledwie drobnym cieniem. Caroline nie rozpoznawała jej jeszcze.

Okno po stronie pasażera było otwarte. Caroline czekała w bezruchu i całkowitej ciszy, wsłuchując się w kroki po drugiej stronie ulicy. Miała nadzieję, że mrok i cień drzew ukryją ją we wnętrzu samochodu.

Przez okno docierał do niej słaby dźwięk stukających o beton drewnianych obcasów. Caroline nadal nie odwracała się. Dopiero po chwili dostrzegła wysoką, wyprostowaną sylwetkę przechodzącej pod drzewem Megan Race. Włączyła się uliczna latarnia.

Caroline widziała jeszcze przez moment niknący w mroku cień pewnie kroczącej i nieświadomej niczego dziewczyny.

Caroline, ubrana w lekki żakiet, dzinsy i tenisówki, rozglądając się wokół, wysiadła z auta na cichą, pustą, okoloną drzewami ulicę. Bezgłośnie przebiegła na drugą stronę. Odległość dzieląca ją od domu, w którym mieszkała Megan, wydała jej się niezmiernie mała. Z niedowierzaniem dotarła do drzwi.

Budynek miał formę prostego czworokąta o czterech kondygnacjach. Megan mieszkała na trzecim piętrze. Caroline zdała sobie sprawę, że będzie to stanowiło utrudnienie przy wejściu oraz w razie konieczności ucieczki.

Przez chwilę stała niezdecydowana przed drzwiami. Nie powinna tego robić. Ktoś mógł ją zauważyć. Zaczęła walczyć z własną wyobraźnią. Po prostu trzeba robić krok po kroku to, co zakłada plan. Wiedziała, że może zaszkodzić sobie wahaniem i zostać zauważona. Sztywna ze zdenerwowania, nacisnęła jednocześnie wszystkie dziesięć guzików domofonu dla pierwszego piętra.

Cisza.

Zaczerpnęła powietrza i czekała. Wówczas jakaś łatwowierna dusza uruchomiła elektryczny zamek i Caroline wśliznęła się do środka. Stała w pustym korytarzu. Przed nią znajdowała się winda oraz

schody z zielonym neonem „Wyjście”. Otworzyła drzwi wiodące na klatkę schodową, weszła i zamknęła je za sobą. Klatka schodowa była nie oświetlona. Za chwilę otworzą się drzwi na drugim piętrze, a ciekawi lokatorzy wyjrzą, żeby sprawdzić, kto dzwonił. Caroline popędziła po schodach w górę.

Kiedy zakręcała na pierwszym piętrze, przez szybkę w drzwiach zauważyła samotną kobietę. Kiedy tylko znalazła się na trzecim, zdała sobie sprawę, że wszystko, co widzi, przypomina jej o Brett i więzieniu.

Szybko oddychając, wyjrzała przez okienko w drzwiach. Korytarz był pusty. Dwa piętra niżej też nie było słyhać żadnego poruszenia. Caroline mogłaby teraz bezpiecznie zniknąć w mieszkaniu Megan.

Spokojnie - choć bynajmniej nie będąc spokojna - wyszła na korytarz. Nie był długi: po każdej stronie pięcioro drzwi. Mieszkanie Megan znajdowało się po lewej stronie.

Nie myśl, mówiła sobie w duchu, po prostu to zrób.

Podeszła do drzwi Megan i wyjęła z kieszeni plastikową kartę, której używała, żeby dostać się po godzinach do swojego biura. Na karcie nie było jej nazwiska. Obejrzała się przez ramię, lecz nikogo nie dostrzegła. Zza zamkniętych drzwi obok dobiegały jedynie głucho dźwięki telewizji.

Caroline przygotowała kartę i położyła na metalowej klamce chusteczkę. Jeśli ktoś ją teraz przyłapie, nie będzie żadnych wątpliwości co do tego, co robiła. Rękawiczki sprawiłyby, że wyglądałaby bardziej podejrzanie, a kupując je, mogłaby zapaść komuś w pamięć. Wsunęła kartę w szczelinę, lecz ta wysliznęła się jej z palców.

Caroline zaczerpnęła powietrza. Karta z delikatnym trzaskiem spadła na kafelki podłogi i leżała teraz u jej stóp, połyskując w świetle. Caroline zdała sobie sprawę, że mogła jej przecież wpaść przez szparę za drzwi.

Szybko podniosła ją z podłogi.

Każde zawahanie przybliżało nieunikniony moment, w którym na korytarzu pojawi się następna osoba. Być może będzie to dozorca sprawdzający, czy ktoś obcy dostał się do budynku po owym głuchym dzwonku. Na zegarku Caroline była ósma siedemnaście.

Mrużąc oczy, jeszcze raz spróbowała wsunąć kartę. Włożyła ją nieco powyżej zamka, a potem opuszczała pod kątem, żeby wyczuć, gdzie jest języczek. Wstrzymując oddech, wcisnęła kartę na wysokości języczka zamka i lekko nacisnęła drzwi. Usłyszała delikatne kliknięcie, a klamka poruszyła się w jej dłoni. Otworzyła drzwi i wśliznęła się do mieszkania Megan, cicho zamykając je za sobą.

Panowały tam kompletne ciemności. Znalezienie po omacku, poprzez chusteczkę, włącznika na ścianie zajęło Caroline dłuższą chwilę.

Stała teraz w błyskającym świetle.

Mieszkanie było prosto urządzone: pokój dzienny z kuchnią po jednej stronie, obok zaś drzwi -



zapewne do sypialni. Caroline stała tak, niezdecydowana, gdy nagle usłyszała na korytarzu kroki.

Zamarła.

Były to ciężkie męskie kroki. Zbliżały się. Przez moment Caroline zdawało się, że zatrzymały się pod drzwiami Megan. Potem doszedł ją dźwięk innych kroków, a potem kolejnych. Już po chwili przestała na nie zwracać uwagę.

Przez jakiś czas, mówiła sobie, jestem tutaj bezpieczna. Rozejrzała się dookoła. Spodziewała się kolorowych żywych plakatów, może nawet zdjęć samej Megan. Tymczasem pokój był nijaki, bezosobowy. Meble wyglądały biurowo, ściany z nagiego szarego betonu. Caroline pomyślała, że sprawia to wrażenie, jak gdyby nikt - stary czy młody, mężczyzna czy kobieta - tu nie mieszkał.

Poszła do sypialni, stale z chusteczką owiniętą wokół palców lewej dłoni. Wewnątrz, na drzwiach szafy Megan, było duże lustro. Dokładnie tak, jak opisywał to Larry, lustro znajdowało się naprzeciw łóżka. Caroline wiedziała, że Larry mówił prawdę.

Na jej zegarku była ósma dwadzieścia pięć. Szybko przejrzała zawartość szuflad garderoby Megan. Nie znalazła nic prócz spodni, koszulek, staników i majtek - wszystko to chaotycznie ze sobą wymieszane. Otarłszy dokładnie uchwyty szuflad, podeszła do szafy.

Szafa była sporych rozmiarów, z przesuwanymi drewnianymi drzwiami. Jedna ich część wypadła z prowadnicy. Caroline odsunęła ją z wysiłkiem i zajrzała do środka. Były tam sukienki, kurtka z kapturem i buty. Wzrok Caroline zatrzymał się nagle na dużym otwartym pudełku. Leżał w nim aparat fotograficzny Polaroid. Caroline uklękła i ostrożnie odłożyła go na bok. Pod spodem znalazła notatnik, na którego okładce widniał tytuł zajęć prowadzonych przez Larry'ego.

Caroline otworzyła go. Notatki były szczegółowe - nie jakieś tam praktyczne zapiski, do których często ograniczają się studenci college'u, lecz dosyć niezwykle: zapis wykładu tak dosłowny, jaki tylko można było dokonać odręcznym pismem. Jednak nic poza tym.

Wówczas dostrzegła kalendarz.

Był z ubiegłego roku. Kartki z października i listopada - miesiące jej romansu z Larrym - wyrwane, zapewne w złości. Z boku wciśnięta była mapa White Mountains. Caroline otworzyła ją. Miejsce biwaku Megan z Larrym otaczało małe kółko.

Przez chwilę Caroline trwała w bezruchu.

A więc nie myliła się co do tego, kim jest Megan i jaki charakter miał jej związek z Larrym. Jednak nic z tego, co tutaj znalazła, nie mogło stanowić dowodu dla sądu. Nawet jeśli cokolwiek mogłaby zabrać. Starannie odłożyła wszystkie rzeczy do pudełka i zamknęła drzwi szafy.

Była ósma czterdzieści trzy.

Jedynym zwracającym uwagę meblem był stolik z jasnego drewna dębowego. Leżało na nim kilka książek. Wszystkie związane z psychologią: rodzina - patologiczna lub nie, dzieci, relacje pomiędzy ojcami a córkami. Jednak ani tutaj, ani nigdzie indziej nie było nic, co wiązałoby się z prawdziwą rodziną Megan.

Caroline wysunęła szufladę biurka.

Leżały w niej dwa drogie pióra i czerwony, oprawny w skórę notatnik z wystającą spomiędzy stronic zieloną zakładką. Otworzyła go. Notatki zaczynały się od okresu, kiedy Megan była na pierwszym roku college'u. Caroline czytała w pośpiechu. Pierwsza strona była zapisana jakimiś mętnymi wynurzeniami o duchowych tęsknotach, opisami stosunków seksualnych obywatelami się bez imion i twarzy. Przejierała z tego wszystkiego paradoksalna wrogość wobec mężczyzn jako grupy. Kolejne wpisy wydawały się coraz bardziej ekstrawaganckie i radykalne. Odwracając którąś z kolei stronę, Caroline trafiła na ślad po wyrwanych kartkach. Brakowało września, października, listopada i grudnia.

Bez większej nadziei, że cokolwiek jeszcze zdoła znaleźć, Caroline przeszła do notatek z lutego. Pismo było rozdygotane: najwidoczniej Megan robiła zapiski w przypiływie emocji. Jednak nie było żadnej wzmianki o Larrym.

Odwróciła kartkę i nagle znieruchomiła. Przeczytała raz, potem drugi. Trzęsącymi się palcami śledziła wpisy ciągnące się aż do maja. Znowu zatrzymała się, nie mogąc oderwać wzroku od strony.

- Jezu Chryste - powiedziała na głos.

Caroline przeczytała to uważnie jeszcze raz, siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Czuła, jak łomocze jej serce. Kiedy skończyła, siadła z pamiętnikiem na kolanach, starając się zebrać myśli. Na zegarku była dziewiąta piętnaście.

Nie mogła w żaden sposób skopiować tych stron i odłożyć pamiętnika na miejsce, tak jak gdyby nikt go stamtąd nie ruszał. Kserokopię mogła zrobić o tej porze prawdopodobnie tylko w bibliotece Chase College. Jednak pójście tam byłoby zbyt niebezpieczne. Mogliby ją tam zapamiętać, mogłaby nie móc powtórnie dostać się do mieszkania Megan, a w końcu sama Megan mogłaby ją nakryć. Caroline patrzyła na leżący na jej kolanach dziennik. Wiedziała, że niezależnie od skutków, jakie to za sobą pociągnie, nie może stąd bez niego wyjść.

Była dziewiąta dwadzieścia dwie.

Walcząc z własnym napięciem, Caroline jeszcze raz metodycznie przeanalizowała miejsca, w których była. Potem odłożyła pamiętnik i z chusteczką w dłoni poszła do pokoju dziennego, żeby zatrzeć ślady. Ścierała odciski palców ze wszystkiego, czego wcześniej dotknęła.

Lemieux powiedział, że czasami zamyka wcześniej.

Caroline w popłochu spojrzała na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści, a czekało ją jeszcze sporo pracy.

Poszła do łazienki, wycierając uchwyty szuflad toaletki. Potem przesuwane drzwi szafy. Zdała sobie sprawę, że największym problemem będzie pudełko. Wyciągnąwszy je z szafy, wytarła wszystko, czego dotykała: aparat, okładkę notatnika, jego krawędzie, narożniki mapy, samo pudełko.

Kiedy skończyła, zaczęła nasłuchiwać, lecz dotarły do niej tylko słabe dźwięki telewizora z sąsiedniego mieszkania. Była dziewiąta pięćdziesiąt jeden, kiedy Caroline czubkiem buta wsunęła

pudełko do szafy.

Odwróciwszy się, spojrzała na pozostawiony na podłodze dziennik. Wiedziała, że teraz musi zdecydować. Była to ostatnia szansa, żeby odłożyć dziennik do szuflady i wyjść. Podeszła do stolika i starła z niego ostatnie odciski palców. Była już dziewiąta pięćdziesiąt cztery.

Megan będzie tutaj w ciągu piętnastu minut.

Nie było więcej czasu na zastanawianie się.

Caroline podeszła do leżącego na podłodze pamiętnika, podniosła go i odwróciła się, chcąc już wychodzić.

Wówczas za drzwiami rozległ się brzęk kluczy.

Zamarła. Nie słyszała w tym momencie nawet głosu instynktu. Rzuciła się do ściany i zgasła światło w sypialni. Kiedy odwróciła się w stronę ciemnego pokoju, Megan zamykała za sobą drzwi.

Caroline wyczuwała drzwi szafy, jednak nie widziała ich. Jej skronie pulsowały. Szybko ruszyła do przodu, mając nadzieję, że o nic się nie potknie. Słyszac kroki przemierzającej dzienny pokój Megan, dopadła rączki i jedną dłonią odsunęła zacinające się drzwi. Kiedy weszła do środka, drzwi cicho jęknęły, a potem wróciły na swoje miejsce.

Caroline odwróciła się w miejscu. Dosłyszała kroki Megan wchodzącej do sypialni. Zapaliło się światło. Megan stała i rozglądała się wokół. Z boku wyglądała na wystraszoną, ostrożną, zaabsorbowaną jakimiś tajemniczymi myślami.

Caroline wiedziała, że jeśli Megan spojrzy teraz w kierunku szafy, to ją zobaczy. Zamarła w bezruchu.

Wychodząc na środek pokoju, Megan ściągnęła koszulkę. Caroline obserwowała to z zainteresowaniem, lecz gdy Megan zdjęła niebieskie dżinsy, przeraziła się, że może zechcieć powiesić je w szafie. Jednak dziewczyna po prostu rzuciła je na stertę ubrań. Naga podeszła do lustra. Wpatrywała się intensywnie i krytycznie w swoje odbicie. Potrząsnęła głową, otworzyła szerzej oczy, jak gdyby szukając w lustrze współczucia. Palcem dotknęła brodawek piersi. Stała tam niczym jakaś samotna statua. Caroline wstrzymała oddech.

Megan odwróciła się od lustra.

Przez chwilę z zadumą wpatrywała się w podłogę. Caroline widziała teraz całą jej twarz. Wystarczyłoby, żeby Megan podniosła wzrok, a ich spojrzenia spotkałyby się. Ona jednak powoli odwróciła się od szafy i znikając z pola widzenia Caroline, podeszła do komody. Wyciągnęła jedną z szuflad i zaczęła w niej czegoś szukać. Po chwili ubrana w koszulkę z krótkim rękawkiem przeszła przez sypialnię i znowu zniknęła.

Caroline zawahała się. Jeśli zostanie tutaj, Megan z pewnością ją znajdzie. A jeżeli nawet nie, to i tak nie może ryzykować próby przejścia przez sypialnię w nadziei, że Megan zasnęła.

Kroki Megan stały się cichsze.

Proszę, błagała Caroline, idź do kuchni. Wyśliznęła się z szafy i z pamiętnikiem w dłoni bezgłośnie przekradła przez sypialnię. Stojąc w drzwiach, zajrzała do pokoju. Był pusty. Wchodząc do środka, Caroline usłyszała dzwonięcie sztućców. Starła się przypomnieć sobie rozkład kuchni. Zlew i szafki były zawieszane na ścianie. Korzystając z nich, Megan nie mogła widzieć, co dzieje się w pokoju. Caroline zaczerpnęła głęboko tchu i szybko przemknęła w kierunku drzwi. O parę kroków dalej Megan mogłaby już ją dostrzec.

Caroline szybko odwróciła się, niemal oczekując, że zaraz usłyszy krzyk Megan. Zauważyła ją pochyloną nad zlewem z torebką herbaty w dłoni.

Bezszelestnie przemierzyła pokój. Zatrzymała się przy drzwiach, słysząc, jak Megan miesza łyżeczką w kubku. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i chwyciła poprzez nią klamkę. Drzwi cicho jęknęły. Nagle odgłosy dobiegające z kuchni ucichły. Caroline w panice wyjrzała na korytarz. Był pusty. Wyśliznęła się przez drzwi, które siłą własnego ciężaru zamknęły się za nią z delikatnym kliknięciem.

Pognała w kierunku schodów. Nie przejmowała się teraz hałasem. Z łomocącym sercem otworzyła drzwi, weszła przez nie i raptownie pociągnęła je za sobą. Przez okienko zdążyła jeszcze zauważyć, jak Megan wygląda na korytarz.

Caroline zbiegła po schodach i przez korytarz dotarła do drzwi, wydostając się na chłodne nocne powietrze.

Droga powrotna była koszmarem. Wszystko wokół stawało się odbiciem jej lęków. Wydawało się jej, że światła samochodów to ścigająca ją policja, a stary człowiek siedzący na schodach hotelu uważnie przygląda się niesionemu przez nią pamiętnikowi. Pospieszyła do swojego pokoju.

Siadła na skraju łóżka.

Teraz wiesz, pomyślała, jak to jest popełniać przestępstwo.

Stwierdziła, że nie ma bezpiecznego miejsca, w którym mogłaby ukryć dziennik Megan. W teczce znalazła szarą kopertę. Wpadłszy na ten pomysł, wiedziała, że nie ma wielkiego wyboru. Do tej pory Megan zapewne powiadomiła już policję. Z teczki wyciągnęła czerwony marker, którego używała do kreślenia po dokumentach otwierających sprawy sądowe. Na kopercie napisała nim swoje nazwisko, a pod spodem „dot. Betty Allen” oraz uwagę: „osobiste i poufne”. Pisane z wysiłkiem drukowane litery przypominały pismo dziecka. Z portfela wydobyła bloczek znaczków i nakleiła sześć na kopercie.

Przez chwilę jeszcze patrzyła na pamiętnik. Potem umieściła go w kopercie. Polizała skrzydełko i starannie je zakleiła.

Kiedy wyszła z pokoju i zeszła po schodach, stary człowiek nie siedział już na ganku. Główna ulica Resolve była mroczna i opustoszała.

Caroline samotnie przemierzała szlaki swojego dzieciństwa. W ciszy zaczęły powracać do niej

wspomnienia: ona i Jackson Watts w wypożyczonym przez niego kabrioletcie jadący ulicami w ciepłą letnią noc. Na tylnym siedzeniu sześciopak puszek piwa. W jednej chwili cofnęła się w czasie, a jej życie zaczęło się na nowo.

Jednak w rzeczywistości tylko Brett mogła jeszcze zacząć żyć na nowo. Wokół nie było słychać nic oprócz świerszczy i cichych kroków idącej po asfalcie Caroline.

Na zakręcie ulicy znajdował się stary sklep. Podchodząc do niego, Caroline zdołała dojrzeć w mroku zarys niebieskiej skrzynki na listy. Uchyliła metalową zasłonkę. Jeszcze przez minutę zastanawiała się nad tym, co robi. Potem wrzuciła kopertę przez szczelinę, powierzając przyszłość Brett, a zapewne również własną, państwowej poczcie.

Nie pozostało nic więcej do roboty.

Podeszła kawałek dalej, do mostu. Z dołu dobiegał ją delikatny szmer strumienia. Na wodzie dostrzegła w świetle księżyca własne odbicie.

Wyjęła z kieszeni marker i delikatnie rzuciła do wody. Wpadł do niej bezgłośnie.

## JEDENAŚCIE

- Pomyślałam, że dostarczę ci to osobiście - powiedziała Caroline.

Znalazła Jacksona w jego wędkarskim obozowisku, gdzie naprawiał motor łódki. Wytarł smar z dłoni w spodnie.

- Co to takiego? - zapytał.

- Wezwania dla świadków. Pięć. Dla kilku z twoich ludzi, no i oczywiście dla Megan Race. Chyba że wolisz, żebym sama jej to przekazała.

- Nie. Muszę się upewnić, czy tam jeszcze jest.

Caroline przyjrzała się mu.

- Wygląda na to, że nie jesteś tego pewny.

Jackson wziął od niej papiery. Mrużąc oczy, przyjrzał się im ostrożnie. Potem zwrócił wzrok na połyskujące w porannym słońcu wody jeziora.

- Wczoraj dzwoniła do mnie Megan - powiedział powoli. - Uważa, że w nocy ktoś włamał się do jej mieszkania.

Caroline uniosła brwi.

- Uważa? Albo się włamał, albo nie - powiedziała oschle. - Czy są jakieś ślady włamania? Czy może jest to kolejny, szczególnie bogaty rozdział w toczącym się w jej wyobraźni życiu?

Jackson odwrócił się do niej.

- Ona uważa, że to ty kogoś tam wysłałaś. Jakiegoś zawodowca.

Caroline wybuchła krótkim śmiechem.

- Nikogo nie wysyłałam.

Jackson spojrział na nią twardo.

- Zakładałem to nawet, kiedy jeszcze sama tego nie powiedziałaś. Ale ciągle pamiętam, jak bardzo naciskałaś na mnie, żebym przeszukał jej mieszkanie.

Caroline przyjrzała się mu.

- Dlaczego jej wierzysz? Czy coś jej zginęło?

- Nie wiem. - Jackson zmarszczył brwi. - Ale niezależnie, co się naprawdę wydarzyło, wygląda na to, że mocno ją to wystraszyło.

- Być może to lęki wynikające z poczucia winy. Jak u Lady Makbet. - Caroline uśmiechnęła się blado. - Jeśli Megan zacznie mamrotać coś w rodzaju: „Precz, przeklęta plamo”, będę się naprawdę o nią martwić.

Patrząc na pomost, Jackson oparł dłonie na biodrach.

- Caroline, co ci o tym wiadomo? - zapytał cicho.

- Czy to oskarżenie?

Jackson spojrzał na nią z boku.

- W takim razie pozwól, że sformułuję to inaczej - powiedział powoli. - Powiedz mi, jak zawodowiec zawodowcowi, czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Przez krótką chwilę Caroline zapragnęła z nim porozmawiać. Jednak teraz nie było to możliwe. Impuls przeminął, zostawiając po sobie jedynie smutek.

- Jak sam mi to dobitnie powiedziałaś, Megan jest teraz moim problemem. - Przerwała na chwilę, by dokończyć łagodniej. - Po prostu zatrzymaj ją tam, gdzie jest, dobrze? Byłabym niepokieszona, gdyby straciła szansę na swoje pięć minut w świetle reflektorów.

- Mam plan - rzekła Caroline cicho - jak poradzić sobie z Megan.

- Ale mi go nie zdradzisz. - Brett opuściła głowę.

Caroline patrzyła na nią z napięciem.

- Kiedyś prosiłaś mnie, żebym ci zaufała. Teraz ja proszę ciebie, żebyś uwierzyła przynajmniej w to, że zrobię, co będzie w mojej mocy. I że mam ważne powody, dla których nie mogę ci teraz o tym powiedzieć.

Brett powoli pokiwała głową. To dziwne, pomyślała Caroline, jak bardzo jest tutaj wyizolowana. Jak gdyby znalazła się w miejscu, którego z nikim nie może dzielić.

- Nie chcę, żebyś trafiła do więzienia, Brett. To byłoby dla mnie nie do przyjęcia.

W twarzy Brett coś się zmieniło, pojawił się jakiś ślad otwartości.

- Wierzę ci - odezwała się w końcu. - Może to po prostu wybór, jakiego dokonują ludzie, którzy decydują się wierzyć w Boga. Miałam mnóstwo czasu, żeby o tobie myśleć. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek uważała, że jestem niewinna. Czuję za to tę niewiarygodną akceptację - jak gdyby to, czy zabiłam Jamesa Case'a, nie miało dla ciebie żadnego znaczenia, a dbałabyś tylko o to, co dzieje się ze mną teraz. - Brett przyjrzała się Caroline. - Czy to normalne u prawników?

Caroline uśmiechnęła się blado.

- U prawników obrońców - ostatniej reduty miłości bezwarunkowej. Rzecz jasna, nie takiej, jaką dają ci rodzice.

Brett spojrzała na nią.

- Moi biedni rodzice - rzekła po chwili. - Ojciec zachowuje się, jakby to on był winny, a matka po prostu siedzi i usiłuje coś powiedzieć, chociaż naprawdę nie ma nic do powiedzenia, bezradna, kiedy ja potrzebuję pomocy. W pewien sposób jest mi jej żal.

Caroline przez chwilę nie odzywała się. Potem wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie może nic zrobić. Z wyjątkiem, być może, wymyślenia jakichś rozrywek na czas waszych widzeń. A to trudniejsze, niż mogłoby się zdawać.

- Dlaczego tak jej nie lubisz? - zapytała w końcu Brett.

- Czyżby?

- Oczywiście. Mówisz o niej tak beznamiętnie, jak gdybyś opisywała oglądany pod mikroskopem preparat. To znacznie gorsze niż gniew.

To znacznie głębsze niż gniew, pomyślała Caroline.

- Betty i ja jesteśmy różne, i w tym cała rzecz. Nasze drogi życiowe potoczyły się inaczej.

- Tak inaczej, że teraz nikt nie może się do ciebie zbliżyć? - Brett nie spuszczała wzroku z Caroline.

Caroline znowu poczuła tę dziwną siłę, z jaką Brett potrafiła ją zranić.

- Cóż - rzekła sucho. - Umknęło mi wszystko, co działo się tutaj w latach osiemdziesiątych. Ale czasami podejrzewam, że stało się wówczas więcej złego niż dobrego. Ale co do twojej matki i mnie, to jest to problem wyłącznie pomiędzy nami. - Znowu się uśmiechnęła. - Z odrobiną szczęścia możesz się postarać o własne. W końcu właśnie po to się żyje.

Brett przez chwilę milczała.

- Jakby przybyło ci trochę optymizmu - zauważyła.

Caroline znowu pomyślała o nożu, o którym nigdy nie chciałyby musieć wspominać.

- Lepiej się czuję - powiedziała w końcu. - Przynajmniej pod niektórymi względami.

Brett z roztargnieniem odgarnęła włosy. Było w tym geście coś, co wyrwało Caroline z zamyślenia.

- Jesteś leworęczna, czyż nie?



- Dlaczego „czyż nie”? - Brett obrzuciła ją pytającym spojrzeniem.

- Nic, zupełnie nic. - Caroline zamyśliła się. - Pewno sądziłaś, że to zauważę.

Z jakichś przyczyn rozbawiło to Brett. Jak gdyby w geście współczucia położyła lewą dłoń na dłoni Caroline.

- Nie martw się - rzekła z celowo przesadną troską w głosie. - I tak masz już wystarczająco dużo na głowie.

Przez chwilę uśmiechały się do siebie.

Caroline czekała dwa dni.

Pracowała w swoim pokoju, starając się zrobić notatki z zapamiętanych fragmentów pamiętnika Megan. Czasami przerywała, wyobrażając sobie, że brązowa koperta rozerwała się, czerwony zeszyt wypadł z niej i zaginął.

Po południu, w dzień przed pierwszymi przesłuchaniami, pojechała na Masters Hill, zatrzymując się po drodze przy cmentarzu.

Pogoda była ładna, a niebo czyste. Caroline stała przez jakiś czas przy nagrobku matki. Co ty byś o tym wszystkim pomyślała? - zapytała.

Na cmentarzu panował spokój i cisza. Uśmiechając się lekko do siebie, Caroline pokręciła głową. Opuściwszy cmentarz, skierowała się do domu ojca.

Na progu siedziała Betty.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

Caroline zatrzymała się niezgrabnie na trawniku.

- Tak, dziękuję... Chcę tylko powiedzieć, że zrobię dla niej wszystko, co w mojej mocy. I nie pozwolę, żeby cokolwiek mnie od tego odciągnęło.

- Wierzę. Wszyscy wierzymy. - Betty powoli pokiwała głową.

Caroline wbiła wzrok w trawę. Proszę, powiedz, że doszła, myślała.

- Przesłuchania zaczynają się o dziewiątej - odezwała się w końcu. - Sugerowałabym, żebyście pojawili się tam wpół do dziewiątej i zasiedli w pierwszej ławce. Ty w kostiumie, Larry w marynarce i krawacie. Wiecie, media...

- Oczywiście... - Betty przerwała, jak gdyby nagle coś się jej przypomniało. - Jest dla ciebie przesyłka. Z jakichś przyczyn dostarczono ją tutaj.

Ramiona Caroline opadły w geście ulgi i zmęczenia.

- Możesz mi ją dać?

Betty zniknęła w środku.

- Nienaruszona - powiedziała bezbarwnym głosem. - Jak widzisz.

Ich spojrzenia spotkały się. Caroline popatrzyła na paczkę.

- Dziwne - wymamrotała, biorąc pakunek. - Dziękuję. - Odwróciła się i ruszyła po trawie, czując w dłoni jego ciężar.

Uwaga Betty poruszyła w Caroline jakiś tryb. Minęła dobra chwila, zanim uchwyciła, w czym rzecz: było to wspomnienie sprzed wielu lat, kiedy to inna kobieta wypełniała pamiętnik sekretami swojego serca.

Caroline powoli podeszła do samochodu, wsiadła i odjechała.

CZEŚĆ PIĄTA

**LATO 1972**

## JEDEN

Po raz pierwszy Caroline zobaczyła go na dzień przed swoimi dwudziestymi drugimi urodzinami. Kierunek, w którym podążało jej życie, wydawał się już ustalony. Jesienią Harvard Law School, potem praktyka w New Hampshire. Z Jacksonem Wattsem łączyły ją stosunki pełne wzajemnego zrozumienia. Być może brakowało w jej życiu silnych namiętności czy niespodzianek, lecz była dumna z tego, że tak różni się od matki, która zawsze była sługą nastrojów i impulsów. Caroline знаła swoją przyszłość i była z niej zadowolona.

Zadowolenie to po części czerpała z oczekiwania, że po jakimś czasie samodzielnej praktyki będzie mogła zacząć pracować z ojcem. Channing chciał wycofać się z ławy sędziowskiej w wieku sześćdziesięciu lat, a swego nazwiska używać jedynie do przyciągania klientów. Zamierzał dzielić się z Caroline doświadczeniem, pomagając jej wyrabiać własne nazwisko i reputację. Dzięki swym republikańskim przyjaciołom mógł zrealizować kiedyś swoją ambicję, która stała się też ambicją Caroline, by któryś z kolejnych gubernatorów mianował ją na sędziego. To prawda, że Caroline i Channing różnili się w poglądach politycznych: Radcliffe i jej dojrzewanie nie pozostało na to bez wpływu. Jej poglądy na temat praw kobiet i wojny w Wietnamie były wręcz przeciwne niż ojca. Jednak ich różnice zdań nigdy nie nabierały charakteru osobistej zaciekłości. Dla kochającej ojca Caroline dyskusje były raczej formą ćwiczeń umysłowych. Co dziwne, to właśnie ojciec zachęcił ją w końcu, by pojechała na wakacje na Vineyard.

Nie sprzedał domu, choć Mastersowie do niego nie przyjeżdżali. Od czasu śmierci Nicole był wynajmowany obcym. Caroline nigdy nie wspominała o Martha's Vineyard.

Ku jej zaskoczeniu uczynił to sam ojciec.

- Co chciałabyś robić w czasie tych wakacji? - zapytał w ostatnie Boże Narodzenie przed końcem jej college'u. - Zakładając, że mogłabyś zrobić, co tylko byś chciała? Pojechać do Europy?

Caroline pokręciła głową.

- Pożeglowałabym. - Zamyśliła się na chwilę. - Może mogłabym pojechać na Karaiby, pracować gdzieś na łodzi czarterowej, a jednocześnie sobie żeglować.

Ojciec rozparł się wygodniej w fotelu, sącząc wino.

- A może pojechałabyś na Martha's Vineyard? - zapytał zupełnie zwyczajnie. - W końcu to tam uczyłaś się żeglować. No i masz tam prawdziwy dom.

Caroline przyjrzała się mu. Dotarło do niej, że ojciec w geście milczącego porozumienia pragnie pozostawić na zawsze za plecami przeszłość i matkę. Jednak koszt takich wakacji, podczas których musiałaby stawić czoło wspomnieniom i jednocześnie się ich wyzbyć, przeraził ją.

- Sama nie wiem - powiedziała. - Nie wiem, co z pieniędzmi.

Ojciec odstawił kieliszek z winem.

- Ciężko pracowałaś w Radcliffe, Caroline. Wkrótce ukończysz tę szkołę z wyróżnieniem i zaczniesz karierę, która będzie wymagała jeszcze cięższej pracy. Cieszyłbym się, gdybyś w te twoje ostatnie wakacje odpoczywała.

Z jego oczu Caroline wyczytała to, czego nie wypowiedział.

- Poza tym - ciągnął Channing - Larry i Betty mogliby też dać sobie chwilę wytchnienia od nauki. Larry musi mieć spokojne miejsce, żeby napisać rozprawę doktorską. Jestem pewny, że lato na Vineyard również dla nich byłoby przyjemnością.

Zapewne tak, pomyślała Caroline. Dla nich ten dom nie wiązał się z żadnymi przykrymi wspomnieniami. Ale tego nie mogła głośno powiedzieć. Byłoby to samolubne i dziecinne.

- Pozwól, że się zastanowię, ojcze.

- Oczywiście. - Lekko się uśmiechnął. - W razie czego każę przesłać tam twoją zagłówkę z Winnepesaukee. Jeśli zechcesz.

Kilka tygodni później Caroline zdecydowała, że pojedzie - że spędzi lato na Martha's Vineyard i że będzie się nim cieszyła. Nie rozmawiała o tym z ojcem.

- Cieszę się - rzekł, gdy się o tym dowiedział. - Oczywiście przyjadę, żeby was odwiedzić. Ale najbardziej się cieszę, że będziesz tam mogła pobyć razem z Betty.

Caroline domyśliła się, że chodzi mu o to, o co - jak sądziła - nigdy się nie troszczył. W ich niepisanych układach rodzinnych słowo „półsiostra” dobrze oddawało relację pomiędzy nią a Betty. Żadna z nich nie znała matki Betty, Elizabeth Brett, Nicole zaś traktowała Betty jak pasierbicę. Różniąc się od Caroline wiekiem, wyglądem i temperamentem Betty postrzegala ją niemal jako intruza, którego bliskie stosunki z ojcem odseparowały ją od niego. Pięć lat po tym, gdy Betty wyszła za Larry'ego Allena, Caroline i jej siostra były nie tyle antagonistkami, ile raczej obcymi.

- Z pewnością - powiedziała Caroline obojętnie.

O dziwo, wydawało się, że to prawda.

Kluczem do sytuacji był tutaj zapewne Larry. Już po pierwszych kilku dniach pobytu zawiązała się między nimi swobodna, żartobliwa nić porozumienia. Nie wyglądało na to, żeby Betty miała coś przeciw temu. Jakby sympatia Caroline do Larry'ego owocowała jakąś akceptacją Betty. I chyba w istocie tak było. Caroline widziała, jak bardzo Betty oddana jest mężowi i jak bardzo pragnie, by byli szczęśliwi. Betty bywała szczerą aż do bólu, bezpretensjonalna i skromna. Caroline wiedziała, że sama nie dysponuje takimi przymiotami. Zdała sobie sprawę, że nieobecność ojca może wreszcie pozwoli im się zaprzyjaźnić.

Jednym ze źródeł tarć pomiędzy nimi było obsesyjne pragnienie dziecka, którym pałała Betty.

Jako psycholog amator Caroline wyczuwała, że Betty chce obdarzyć kogoś całą troską, której jej samej w dzieciństwie brakowało. Powiedzenie tego Betty mogłoby ją głęboko zranić, lecz Caroline dostrzegła w tym źródło nacisków na Larry'ego. W rzeczywistości nie mogli sobie jeszcze pozwolić na dziecko, podczas gdy Betty najwyraźniej chciała próbować. Tymczasem, z niewiadomych przyczyn, potomek rodu Allenów nie pojawiał się. Dla Caroline wszystko to było zarazem tragiczne, jak i komiczne: Larry co noc uprawiający poletko Betty, modlący się w cichości ducha, by plony nie wzeszły, zanim sam nie zagnieździ się na dobre na swojej posadzie.

- Cóż - jęknął, gdy któregoś wieczoru kończyli wycieranie naczyń. - Nadchodzi pora powrotu do kopalni soli.

Powiedział to jednak dosyć dobrodusznie. Swoim chłopięcym wyglądem, zadartym nosem i burzą brązowych włosów rozsiewał wokół atmosferę optymizmu. Caroline uśmiechnęła się.

- Mam tylko nadzieję, że nie jesteś zbyt zadłużony w banku.

Larry potoczył zabawnym spojrzeniem człowieka wyczerpanego.

- To dziecko - jeśli się ona kiedykolwiek narodzi - będzie pierwszym, którego rodzice sypiali dłużej po niż przed jego narodzinami.

- Ona? - Caroline uniosła brwi.

- O, tak - to część tego kontraktu. „Nie stosować spermy chłopięcej”. - Larry znowu się uśmiechnął. - A ty nie włócz się po nocach, Caro. Z braku odpowiedniego potomstwa zamierzamy zostać *in loco parentis*.

- Włóczyć się po nocach? - zapytała Caroline niewinnie. - Niby z kim?

Larry uśmiechnął się dwuznacznie.

- Jeszcze nie wiem - odrzekł.

Do Caroline powróciło wspomnienie tamtego dnia, który - o ironio - tak bardzo przypominał wszystkie inne dni.

Żeglowała spokojnie, wracając z zatoki Tarpaulin. Szybko przypominała sobie swoje żeglarskie umiejętności. Po południu na południowym wschodzie było spokojne. Nie mogła tędy płynąć, nie wspominając matki. Dyskretnie dowiedziała się, że Paul Nerheim nie jest już właścicielem Windy Gates. Z zaskoczeniem zauważyła, że coraz bardziej rozsmakowuje się w czasie spędzonym tego lata na Vineyard. Oczywiście tęskniła za Jacksonem i przyjaciółmi z college'u. Ale z jednej strony pogodziła się z tym, że świat college'u dla niej się już kończy, z drugiej zaś dwoje znajomych obiecało odwiedzić ją pod koniec września. Co do Jacksona, to przyzwyczała się do trwających tygodniami lub nawet miesiącami rozstań z nim. Zrozumiała teraz, że ma w sobie coś z samotnika. W przeciwieństwie do wielu swoich koleżanek nie postradała nigdy głowy dla mężczyzny. A tym bardziej tego nie planowała.

Po raz pierwszy spotkała go na krańcu przystani Mastersów. Z daleka dojrzała szczupłą ciemnowłosą sylwetkę z rękami w kieszeniach. Chociaż w żadnym razie nie wydawał się jej znajomy, to miała nieodparte wrażenie, że właśnie na nią czeka.

Kiedy, precyzyjnie manewrując, przybiła do pomostu, rzuciła mu cumę.

- Mógłbyś przywiązać? - zapytała.

Chwycił linę i z dużą wprawą zawiązał odpowiedni węzeł. Caroline patrzyła na niego. Pochylił się i widziała teraz jedynie jego włosy - tak czarne i kręcone jak jej.

- Dzięki - powiedziała.

Wtedy podniósł na nią wzrok. Zobaczyła przed sobą dwudziestoparoletniego mężczyznę o urodzie, która przypominała jej urodę Nicole Dessaliers: długie rzęsy, garbaty nos i twarz o liniach tak czystych, jak gdyby była wykonana z kryształu. Do tego te niezwykle szaroniebieskie oczy.

Odwróciła się, żeby zrzucić żagiel. Kiedy skończyła, nadal tam był.

- Ładna łódka - powiedział.

Caroline wyszła na pomost. Odwróciła się, jeszcze raz spoglądając na jacht.

- Żeglujesz?

- Trochę. - Zamilkł. - Dokąd płynęłaś?

Caroline nadal nie odwracała się do niego.

- Do zatoki Tarpaulin.

- Pływałaś tam wcześniej?

- Kilka razy, siedem albo osiem lat temu. - Zawahała się. - Kiedyś miałam bardzo nieudany rejs, więc czułam, że muszę to zrobić jeszcze raz.

Stojący obok niej nieznajomy pokiwał głową.

- Powiadają, że te wody bywają zwodnicze. - Przerwał, przyglądając się oceanowi. - Żył tu kiedyś pewien sławny żeglarz, niejaki Joshua Slocum, który w końcu dziewiętnastego stulecia opłynął świat dookoła. Potem wrócił tutaj. Któregoś dnia przy dobrej pogodzie wybrał się na te wody i zniknął. Nikt go więcej nie zobaczył.

Caroline odwróciła się do niego z niemiłym wyrazem twarzy.

- Nie słyszałam jeszcze o tym - rzekła kwaśno. - Ale to faktycznie inspirujące...

Uśmiechnął się z przekąsem. Ów grymas dodał jego urodzie czegoś chłopięcego i pociągającego. Jednak uważny, ostrożny wyraz jego oczu nie zmienił się.

Wyciągnął do niej dłoń.

- Jestem Scott Johnson. Mieszkam w domu Rubinów. Opiekuję się ich posiadłością.

Uścisk jego dłoni był pewny i chłodny.

- Caroline Masters - przedstawiła się.

Znowu pokiwał głową.

- Widziałem cię. - Obejrzał się w kierunku domu. - Przyjeżdżasz tutaj co roku?

Caroline przyjrzała mu się bliżej. Jego zachowanie cechowało dosyć dziwne połączenie nieharmonizujących ze sobą rezerwy oraz pewności siebie.

- Nie, nie było mnie tutaj od lat - odpowiedziała w końcu.

Scott nieco się uśmiechnął.

- Rubinowie też rzadko tutaj bywają. Jak to powiedział kiedyś Fitzgerald: „Bogaci są inni”. - Odwrócił się w stronę oświetlonego łagodnym popołudniowym światłem białego, zwieńczonego dachem ze szczytami, wiszącego nad stromizną domu Mastersów. - Trudno sobie wyobrazić, że ktoś nie miałby ochoty tutaj siedzieć. Przynajmniej wtedy, kiedy może sobie na to pozwolić.

Caroline zirytowała się. Jak wplątała się w tę rozmowę?

- Moja matka zginęła tutaj przed kilkoma laty w wypadku - powiedziała krótko. - Rodzina znalazła inne miejsce na wakacyjne wyjazdy.

Znowu schował ręce do kieszeni.

- Przepraszam - powiedział. - Kiedy zadajesz zbyt wiele pytań, w końcu trafisz na takie, którego zadawać nie powinienes. Po prostu zauważyłem, że w twoim domu ktoś zamieszkał, i zaciekało mnie to. Chyba mam zbyt mało spraw, o których mógłbym rozmyślać.

Przeprosiny były uczciwe, lecz stworzyły sytuację, w której - jak stwierdziła Caroline - niegrzecznie byłoby po prostu odejść.

- Od dawna tutaj mieszkasz?

- Od stycznia. Zimy są tutaj bardzo spokojne.

- Czyli że nie jesteś tutejszy.

- Nie. - Uśmiechnął się. - Po prostu przyjechałem. Odpowiedziałem na ogłoszenie. Nigdy wcześniej tutaj nie byłem.



Caroline zauważyła, że opowiada o tym z beztruską. Jednak coś w nim nie pasowało do człowieka, który nie przywiązuje się do żadnego miejsca i nie ma jasnego wyobrażenia tego, do którego pragnąłby się udać.

- Dlaczego Vineyard? - zapytała.

- Wygląda na miejsce, w którym można poukładać sobie myśli. - Spojrzał na zegarek. - Powiniennem teraz zadzwonić do Rubinów, żeby zdać im sprawozdanie. - Znowu się uśmiechnął. - No wiesz, bogaci są inni. Oczekują, że będzie się o czasie.

I niespodziewanie odszedł, pozostawiając nieco zaintrygowaną Caroline samą.

Wieczorem rozpętała się raptowna wichura.

Trzęsła domem, podzwaniając drzwiami i szkłem w oknach. Przebudzona Caroline przypomniała sobie o żaglówce, wyobrażając ją sobie rozbitą o przystań lub dryfującą gdzieś na otwarty ocean. Przecież nie zawiązała cumy osobiście!

Niespokojna, włożyła dzinsy, pikowany żakiet i poszła na przystań, żeby sprawdzić łódź. Wyjący wiatr niemal przewrócił ją. Jednak noc była czysta, a świecące na bezkresnym czarnym niebie gwiazdy wydawały się bardzo bliskie. Cały świat był magiczny i tajemniczy.

Caroline dostrzegła maszt swej żaglówki nad przystanią. Kiedy już spokojniejsza zbliżała się do niej, zobaczyła nieruchomą sylwetkę na końcu pomostu. Ktoś stał tam z rękami w kieszeniach i patrzył w ocean. Wiatr wcale mu w tym nie przeszkadzał.

Wichura zagłuszała kroki Caroline. Zbliżyła się do łodzi i znalazła o jakieś dwadzieścia stóp od niego. Bałwany uderzały w żaglówkę, lecz ktoś za pomocą drugiej liny mocno ją przycumował. Prawie się nie poruszała.

- Jest bezpieczna - odezwał się.

Odwrócił się do Caroline, która miała wrażenie, że od kilku chwil wyczuwał już jej obecność.

- Czy to ty ją przymocowałeś?

- Uhm. Usłyszałem wichurę i pomyślałem, że może jej się coś stać.

Była to typowa żeglarska, bezosobowo wyrażona troska kogoś, kto bardziej dba o łodzie niż o ich właścicieli. Świadomość tego schłodziła wdzięczność Caroline.

- Dziękuję - powiedziała.

- Żaden problem.

Jego twarz była teraz pograżona w cieniu. Podeszedł bliżej. Caroline, która przecież była właścicielką przystani, odebrała to jak zagarnięcie jej prywatnej przestrzeni. Jednak wskazana była

odrobina kurtuazji.

- Może zrobić ci kawy? - zapytała. - Zobaczymy, co i jak?

Przyglądał się jej przez chwilę w mroku.

- Nie - rzekł. - Ale dzięki.

Ruszył, jednak raczej nie do niej, lecz tylko drogą, na której ona akurat się znalazła. Zatrzymał się naprzeciw niej. Caroline znowu miała okazję zobaczyć, jaki jest przystojny.

- Żaglówce nic się nie stanie - powiedział cicho. - Śpij dobrze.

I znowu zostawił ją samą.

## DWA

Przez kilka dni nie widywała go.

Pogoda była marna do żeglowania. Padał deszcz lub nie było wiatru. Kiedy w końcu przyszedł odpowiedni poranek - pogodny, rześki i wietrzny, Caroline zapakowała prowiant do przenośnej lodówki i pełna zapału wyszła z domu.

Scott siedział na plaży, tuż przy wejściu na pomost. W dłoniach trzymał kubek parującej kawy. Zupełnie jak gdyby wiedział, że będzie dzisiaj pływała, pomyślała Caroline. Jednak nie odwrócił się do niej.

Caroline zatrzymała się za jego plecami.

- Cześć - powiedziała.

Spojrzał na nią w górę z błyskiem w szaroniebieskich oczach.

- Widzę, że zagorzała z ciebie fanka żeglowania, prawda?

Caroline wyczuła w jego tonie podziw albo przynajmniej zrozumienie. Nie przywykła do tego. Jacksona, z którym dzieliła tyle zainteresowań, żeglarstwo nie pasjonowało.

- Chcesz popłynąć? - zapytała bez namysłu.

Przymknął oczy, jakby rozdarty pomiędzy brakiem zainteresowania jej towarzystwem a chęcią popływania jachtem. W końcu spojrzał wprost na nią.

- Myślisz, że mógłbym trochę potrzymać ster? - zapytał z uśmiechem w koniuszkach ust.

Nagle Caroline przypomniała sobie o samotności utraconej poprzez konwersację z nieznajomym. Ale było już za późno.

- Tylko pamiętaj o Joshui Slocumie - powiedziała.

Scott szybko zapoznał się z łodzią, z zainteresowaniem obserwując jej kaprysy. Żeglował z taką wprawą i pewnością, że nawet skromność w ruchach i w mowie nie zmieniała wrażenia, że robi coś, co jest dla niego rutyną.

Caroline wydawało się, że jest dla niego powietrzem. Przez ciągnące się minuty milczący Scott sunął pod wiatr, napawając się żeglugą. Jednak nawet sam ten widok dawał również Caroline

przyjemność. Kiedy była już pewna, że chłopak całkiem o niej zapomniał, ten odezwał się:

- Dzięki - rzekł z uśmiechem. - Trochę popływałem.

Caroline przejęła ster.

- Gdzie nauczyłeś się tak żeglować?

- Na jeziorze Erie. - Uśmiech Scotta stał się szerszy. - Słyszałaś o Wielkich Jeziorach?

Wspominali o nich w Radcliffe?

Wzburzenie Caroline zwyciężyło dyplomatyczną uprzejmość.

- Dajcie spokój! - odpowiedziała. - Ten chłopiec z klasy średniej równa do Daisy Buchanan [*Postać z Wielkiego Gatsby'ego S. Fitzgeralda, miłość tytułowego bohatera*]. - I dodała łagodniej: - To jak marny Fitzgerald. A nawet dobry Fitzgerald jest w istocie marny.

Scott nie odpowiedział. Caroline poczuła, że jego spokojne zamyślane spojrzenie zwrócone teraz ku wodzie jest przyznaniem się do winy. Nigdy więcej nie próbował się z niej naigrawać.

Płynęli przez zatokę Vineyard aż do miejsca jej połączenia z jeziorem Tashmo.

Caroline poczęstowała Scotta kanapką i piwem.

- Czy bywasz czasami w mieście? - zapytała. - Na przykład w Black Dog albo Square Rigger?

- Masz na myśli ubawy z dziećmi z college'u? Piwko i muzyka? - Uśmiechając się, pokręcił głową. - Obawiam się, że mam to już za sobą. Cztery długie lata takiego życia.

- Dopiero skończyłeś college? - Caroline przyjrzała mu się uważnie.

- O, nie. - Jego uśmiech osłabł, a na twarz powrócił wyraz tajemniczości. - Minęło już trochę czasu.

Coś w jego tonie i zachowaniu sugerowało, że nie życzy sobie dalszych pytań. Ale Caroline nie przejęła się tym.

- Więc co robiłeś przez ten czas?

Spojrzał na nią nagle tak bezpośrednio, że Caroline poczuła, iż przekroczył jakąś dzielącą ich do tej chwili niewidzialną linię.

- Niewiele - rzekł. - W każdym razie nic użytecznego.

Caroline postanowiła nie dać za wygraną. Spojrzała mu w oczy, pytająco unosząc brwi.

Po chwili westchnął, jak gdyby przyparła go do muru.

- Może na to nie wyglądam - rzekł w końcu - ale jestem ofiarą polityki zagranicznej naszego kraju. Poświęcałem się, żeby inni mogli umierać.

- Byłeś w Wietnamie?

- No właśnie! Nie byłem w Wietnamie. Nie dałem ojczyźnie wszystkiego z siebie.

Caroline słyszała pobrzmiwającą w jego głosie autoironię.

- Pozwól mi zgadnąć - powiedziała. - Jesteś psychotykiem, zakochałeś się w facecie i cierpisz na katar sienny.

- O tym ostatnim nie pomyślałem. - Scott powoli pokręcił głową, lecz już się nie uśmiechał. - To taka strata. Chociaż właściwie mogłem stracić tylko jedno - czas.

- Jak to?

Scott zbierał myśli.

- Kryłem się w Ohio Presbyterian, pewny, że najgorsze, co może mnie tam spotkać, to przymusowy udział w nabożeństwach. Zawsze mogłem pójść na jakieś studia... Ale rok sześćdziesiąty ósmy był w istocie magiczny. Zastrzelili Kinga i Kennedy'ego. Rosyjska inwazja na Czechosłowację. A L.B.J. [Chodzi o Lyndona Baines Johnsona, trzydziestego szóstego prezydenta USA w latach 1963-1969] wraz ze swym ostatnim politycznym oddechem odebrał prawo do odroczenia służby z powodu studiów. Absolwenci z sześćdziesiątego ósmego roku trafili na szczególny moment w historii: pierwsi straciliśmy prawo do odroczeń, a staliśmy się ostatnim rocznikiem przed loterią. Dzięki niej ocalono tyle ludzkich istnień, że powiedzenie „życie jest loterią” nabrało nowego sensu.

Caroline pomyślała o Jacksonie.

- Wiem coś o tym. Mój najbliższy przyjaciel dostał numer 301.

Spojrzał na nią ostro.

- Cóż, twój przyjaciel to szczęściarz. Jeden z moich kolegów z pokoju zginął. Inny trafił do więzienia za unikanie służby i przeżył załamanie nerwowe. Co do mnie, to byłem zmuszony odkryć w sobie powołanie pedagogiczne. - Jego głos znowu brzmiał ironicznie. - Klasy przedszkolne w szkole miejskiej. Istne spotkanie umysłów.

Caroline wzruszyła ramionami. Jego tumiwisizm nieco ją drażnił.

- Zgaduję, że dostałeś to odroczenie?

- Tylko na rok. Mojej poprzedniczce też się nie powiodło. Wróciła we wrześniu. Brałem pod uwagę zajście w ciążę, ale nie było nikogo, komu naprawdę chciałbym to zrobić, a trudno w takiej sytuacji działać w pojedynkę. Pozostałem więc przy zestawie tradycyjnych dolegliwości.

Patrzył w dal, na ocean. Wiatr rozwiewał mu włosy. Wyobrażenie Caroline o nim ewoluowało. Podejrzewała, że pod cynizmem mogą kryć się jakieś głębsze uczucia. Nagle Scott wzruszył

ramionami.

- W każdym razie był to skuteczny sposób. Po dwóch latach prób nabawiłem się przepukliny rozworu przełykowego. Na szczęście w pływaniu mi to nie przeszkadza.

- W takim razie to ci wystarczy, tak?

Scott powoli pokręcił głową, raczej nie w wyrazie przeczenia, lecz zadumy.

- Wystarczało, a może i wystarczy. Ale nie mam teraz przed sobą żadnego celu. Tak długo walczyłem z tym poborem, że teraz sam już nie wiem, kim jestem ani czego właściwie chcę.

Zamilkł. Zerwał się chłodniejszy wiatr. Nad ich głowami krążyła mewa. Podparty pod boki Scott patrzył na nią ze zdziwionym uśmiechem.

Obserwując go, Caroline zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Rzadko się zdarza, żeby ludzie zostali w swoim życiu unieruchomieni, myślała, chyba że sami tego pragną. Powody, którymi usprawiedliwiają swoją beczynność, często bywają bardzo iluzoryczne. Ten zaś jest wyjaśnieniem znacznie sprytniejszym, niż by się mogło zdawać. Wtedy dokonała pierwszej oceny Scotta Johnsona: brak ambicji. Otuliła się ramionami.

- Zimno mi - powiedziała.

Spojrzał na nią z boku wzrokiem wyrażającym coś pomiędzy zrozumieniem a rozbawieniem.

- Wracajmy.

Gdy przybili do brzegu, Caroline rzuciła mu cumę.

- Masz chęć na piwo? - zapytał. - Ale stawiasz.

W przenośnej lodówce była już tylko jedna butelka. Caroline rzuciła mu ją takim samym ruchem, jakim on rzucił do niej cumę. Chwycił ją jedną ręką.

Siedzieli obok siebie z nogami dyndającymi z pomostu i przekazywali sobie butelkę piwa. Caroline poczuła, że chce już wracać do domu.

- Co więc zamierzasz robić? - zapytał. - Poślubić numer 301?

Spojrzała na niego z wyrzutem. Wszak wspomniała o Jacksonie tylko jako o przyjacielu.

- Dlaczego? Czy sądzisz, że właśnie to powinnam zrobić?

Koniuszki jego ust lekko się uniosły, jak gdyby zdenerwowanie Caroline go rozbawiło.

- Tylko jeżeli będziesz chciała.

- Jeśli chodzi o to, czego chcę, to jest to kariera prawnicza.

Potrząsnął głową.

- Dlaczego prawo? - zapytał zainteresowany.

Caroline zdała sobie sprawę, że nikt jej nigdy o to nie zapytał. W zasadzie nie pytała o to nawet sama siebie.

- Mój ojciec jest sędzią - odpowiedziała w końcu. - Z nim się wychowałam.

Jej odpowiedź zabrzmiała jakoś płytko i niezręcznie. Ale Scott tym razem powstrzymał się od uszczypliwego komentarza, zaskakując ją milczeniem.

- A czym konkretnie chciałabyś się zająć? - zapytał po jakimś czasie.

Caroline zawahała się. Nie miała jeszcze aż tak jasnego obrazu swojej kariery.

- Pewno zacznę jako prokurator. Tylko żeby zdobyć doświadczenie.

Scott odwrócił się w stronę wody.

- Cóż, miło wiedzieć, czego się chce - odrzekł.

Tym razem to Caroline odeszła, zostawiając go samego.

## TRZY

- Czy słyszałaś o Eagletonie? - zapytał Larry przy obiedzie.

Caroline dołała sobie bordo.

- Co takiego?

- Przyznał się, że przechodził terapię wstrząsową. - Larry skrzywił się. - Nic wielkiego. Tylko małe wstrząsy w wypadku depresji.

- Poważnie?

- Owszem - wtrąciła Betty. - Ale to zdarzyło się tylko dwa czy trzy razy w latach sześćdziesiątych. Prasa usiłuje to teraz rozdmuchać.

Caroline patrzyła na nich oboje.

- McGovern jest przegrany - powiedziała w końcu. - Cała kampania Nixona będzie polegała na dowiedzeniu, że Eagleton siedzi stale z palcem na atomowym guziczku, a ludzie zaczną się zastanawiać, co się stanie, jeśli kolejny raz przewinie swoje zwoje mózgowe. Obudzi się na przykład i w przypływie optymizmu zdecyduje się w ten niesamowity wtorek posłać parę rakiet nuklearnych na Ukrainę. A jeśli McGovern zrezygnuje ze swojego kandydata na stanowisko wiceprezydenta, to sam wyjdzie na osobę niekompetentną. - Pokręciła głową. - Polityka stała się taka przygnębiająca. Przynajmniej dla mnie.

Larry, trzymając w obu dłoniach kieliszek z winem, rozparł się wygodniej na swoim krześle.

- A co sądzi o polityce Jackson? Nigdy wcześniej nie miałem okazji się tego dowiedzieć.

- To dlatego, że Jackson po prostu woli unikać sytuacji, które określa mianem ekstremalnych - rzekła Caroline. - Kiedy ktoś męczy się jeszcze w szkole, uprawianie polityki wydaje się mu luksusem. Nie ma czasu na nasiadówki.

Larry pokiwał głową.

- Byłem po prostu ciekawy. Wygląda na to, że dobrze się rozumieją z Channingiem.

Caroline zauważyła, że Betty zaczęła się przyglądać Larry'emu.

- A dlaczego ojciec miałby nie lubić Jacksona? - zapytała.

- Nie ma ku temu powodów - odpowiedział Larry, cały czas patrząc na Caroline. - Sam lubię



Jacksona. A co najważniejsze, Caroline go lubi.

- Cóż - rzekła w końcu Betty. - W takim razie jesteśmy co do tego jednomyslni. Przynajmniej w obrębie naszej rodziny.

Caroline czuła, że uwaga Betty miała być ciepła, być może nawet w obronie samej Caroline. Jednak coś drażniło ją w tej konwersacji. Może wrażenie, że była ona w istocie surogatem zajadłej kłótni pomiędzy Larrym i Betty.

- W takim razie - rzekła oschle - dam wam znać, kiedy będę zamierzała brać ślub z Jacksonem. Będziecie mogli to przegłosować.

Larry przeszył ją wzrokiem.

- Zastanawiam się, co by było, gdyby Betty zarządziła przeprowadzenie głosowania nad moją kandydaturą na jej męża - rzekł, jak gdyby chcąc odwrócić sytuację.

- Po prostu - powiedziała Caroline z udawaną władczością - zawetowałabym cię, zanim ojciec zdążyłby cokolwiek powiedzieć. Jesteś nazbyt zubożały, żeby być wystarczająco odrażający.

Larry uśmiechnął się, wznosząc kieliszek.

- Za wszystkich maluczkich - rzekł, a potem spojrzał na Betty. - Teraz i zawsze.

Caroline, uśmiechając się, stuknęła się z nim i Betty kieliszkami. Uśmiech siostry wydał się nieco wymuszony.

- O co chodziło? - Caroline zapytała później Larry'ego. Stali sami w kuchni, zmywając naczynia. Przez okno widzieli spacerującą po plaży Betty. W zapadającym zmierzchu na tle piasków plaży i ciemniejących wód rysowała się jej samotna sylwetka.

Zamyślony Larry bezwiednie wycierający kieliszek spojrzał na nią.

- O co chodziło?

- Ten szczególny nastroik przy obiednim stole. Nie mam na myśli dyskusji o Eagletonie.

Larry uśmiechnął się.

- Ani Jacksonie?

- Też nie.

Larry przez chwilę milczał.

- Twój ojciec wypuścił sondę - powiedział w końcu. - Do Betty, o ile nie do mnie. Postara się pomóc mi znaleźć pracę niedaleko siebie. W okolicy są ze dwa college'e i jakieś szkoły średnie.

Caroline odwróciła się do niego.

- Co ty na to?

- Nie wiem. Betty i ja utrzymujemy dobre stosunki z naszymi rodzinami, ale na bezpieczną odległość. - Wzruszył ramionami. - Poza tym bądźmy sprawiedliwi, Channing tylko próbuje nam pomóc. Jak wyłożył to Betty, jego wpływy kończą się w zasadzie na granicy stanu.

- Więc co zamierzasz zrobić?

- Jeszcze za wcześnie się nad tym zastanawiać - powiedział raźniej. - Praca w Syracuse jest całkiem niezła. Z doktoratem też się posuwam do przodu. Może uda mi się zatrzymać w Syracuse albo nawet znaleźć coś lepszego.

To właśnie Caroline w nim lubiła: ów optymizm i wielkoduszność, które udzielały się innym i przenikały jego samego.

- Mogę się domyślać, co uważa Betty: że ty mogłabyś zająć się dzieckiem. - Larry powoli przeszedł kilka kroków. - Tuż przed wyjazdem przeszliśmy z Betty całą serię badań. Były naprawdę szczegółowe! Musiałem nawet spuścić się do pucharu. Co z pewnością było przyjemniejsze dla naczynia niż dla mnie. - Przerwał. - Analizy trwały jakiś czas. Dzisiaj rano dostaliśmy wyniki. Mogą być problemy.

- To znaczy?

- Niska liczba plemników. Nie jakaś niezwykle mała, ale z pewnością niższa od przeciętnej. - Uśmiechnął się poważnie. - Trafiłaś w sedno, kiedy zażartowałaś z tym zadłużeniem w banku. Możliwe, że sam się wypstrykałem przed czasem.

Caroline poczuła nagle całą presję, jakiej musiał teraz podlegać Larry.

- Ale nie sądzisz, że to po części z powodu tych jej nacisków? - zapytała. - Jeśli ludzie są leczeni, żeby zająć w ciążę, i zaczyna to przypominać jakiś laboratoryjny eksperyment, nikt nie będzie chciał mieć dzieci. Ty i Betty przypominacie parę chomików.

- Coś w tym rodzaju powiedział nam lekarz. Zalecenia dla mnie głoszą, bym się oszczędzał. - Znowu się uśmiechnął. - Myślę, że w takiej sytuacji Betty i ja będziemy dzisiaj wieczorem gotowi na partyjkę scrabble. Dołączysz do nas?

Caroline roześmiała się.

- Jeśli tylko mogę w czymś pomóc. Póki, rzecz jasna, zostanie to w rodzinie.

- Wielkie dzięki. - Larry strzepnął swoją ścierkę i wytarł kolejne naczynie. - Tak czy inaczej, sądzę, że liczba plemników pójdzie u mnie raptownie w górę, kiedy tylko dostanę prawdziwą pracę. Cóż, wszystko jest kwestią tego, ile spermy możesz wyprodukować. - Przerwał znowu, zamyślony. - A ten facet z sąsiedztwa? Kim on właściwie jest?

Caroline zmrużyła oczy.

- Skąd mogę wiedzieć?

- Cóż, zabrałaś go któregoś dnia na żagle. Myślałem, że może przy okazji rozmawialiście.

Caroline wręczyła mu ostatni talerz.

- Skończył college w końcu lat sześćdziesiątych. I to wszystko. Nic nie robi, donikąd nie zmierza.

Larry otarł talerz od niechcenia.

- Wygląda na samotnika. Ale to chyba sympatyczny dzieciak.

- To nie dzieciak, Larry. Jest tylko parę lat młodszy od ciebie. Może po prostu brak mu jedynie napędzającego ciebie poczucia celowości.

Larry uśmiechnął się delikatnie.

- A więc jednak coś o nim wiesz.

Caroline obrzuciła go długim chłodnym spojrzeniem.

- Nie wiem, co masz na myśli. Ale wiem, że ja nic. Po prostu byłam wobec niego uprzejma. -  
Zaczęła wycierać ręce. - Sądysz, że dasz radę skoncentrować się teraz na scrabble? Bo zamierzam skopać ci tyłek.

Uśmiech Larry'ego poszerzył się.

- Caro! Jesteś piękna, kiedy się złościś.

## CZTERY

Minęło jeszcze kilka dni, zanim znowu zobaczyła Scotta Johnsona. A stało się to tylko dlatego, że nie pozwoliła Larry'emu wyprać się z resztek ludzkiej impulsywności.

Wróciła z samotnej wyprawy żaglówką, zdecydowana na samotność i nie zamierzając szukać żadnego towarzystwa. Było świetnie i być może dlatego, wspominając własne przeżycia, poczuła się nieco samolubna. Zaczumowawszy łódź, zatrzymała się na chwilę. Potem po prostu poszła go poszukać, by nie tracić czasu na zbędne rozmyślenia.

Mieszkał w domku ze sprzętem pływackim na końcu wąskiego pomostu Rubinów. Był to parterowy budynek stojący frontem do wody. Pod nią woda uderzała w mocne betonowe pilary.

Caroline zapukała do drzwi.

Czekała przez chwilę, niespokojna. Być może ciche kroki w domku były tylko tworem jej wyobraźni? Zaczęła patrzeć w stronę domu Rubinów, kiedy drzwi otworzyły się.

Odwróciła się i zobaczyła go przed sobą.

- Cześć - powiedziała.

Wyglądał przez wpółotwarte drzwi. Caroline przygotowała się na taką reakcję: ostrożność, obojętność czy nawet rozbawienie. Ale to, co zobaczyła, było prawdziwym zaskoczeniem.

- Pomyślałam, że dam ci ostatnią szansę - zaczęła - żeby wypić piwo z dziećmi z college'u.

Drzwi otworzyły się nieco szerzej. Na jego twarzy pojawiły się kolejno wahanie, zaskoczenie, zmieszanie i stres. Lecz to, co pozostało na niej na końcu, dało Caroline wyobrażenie o jego samotności.

- Gdzie?

Square Rigger znajdował się na przedmieściach Edgartown. Mroczne, zadymione pomieszczenie z drewnianymi ścianami i barem, stoły okupowane przez rzesze studentów pracujących na wyspie. Scott odzyskał zewnętrzną powłokę człowieka, który dobrze się bawi mimo pewnego oderwania od rzeczywistości. Ogarnął cały ten widok jednym spojrzeniem.

- Przyszli przywódcy Ameryki - rzekł - przyklepieni do kufla budweisera. Może gdzieś wśród nich siedzi nasz czterdziesty trzeci prezydent. - W jego głosie sarkazm mieszał się z zadumą.

- Nie mam nic przeciwko temu, że jest przyklejony do kufła, ale że jest mężczyzną.

Scott uśmiechnął się.

- Skoro teraz ty tutaj jesteś, szanse nieco się wyrównały. Poszukamy stolika?

Wypatrzyli jeden w rogu pomieszczenia w momencie, gdy na scenie pojawił się zespół: dwóch facetów i długowłosa blondynka, mniej więcej w wieku Scotta. Obydwaj mężczyźni grali na dwunastostrunowych gitarach. Kobieta wysunęła się nieco do przodu, na środek niskiej drewnianej sceny, i gardłowym głosem, niemal równie dobrym co głośnym, zaczęła śpiewać *If I Had a Hammer*.

- O, jasna cholera - wyszeptał Scott. - Przecież to Peter, Paul i Mary.

Z półuśmiechem Caroline przygotowała się na wieczór sarkazmu i ironii, zaczynając żałować, że wyrwała Scotta z dobrowolnego wygnania. Wówczas dostrzegła światło w jego oczach.

- Płacę za drinki - powiedział. - Co mógłbym ci postawić?

- Szkocką.

Nie miał problemu ze zwróceniem uwagi kelnerki, brunetki z południowym akcentem i uśmiechem, który - pomyślała Caroline - musiał być niezwykłym wyczynem w wypadku takiego stopnia odmóżdżenia. Panna Genialna w rekordowym czasie podeszła do ich stolika, powitana rozbrajającym uśmiechem Scotta, o który Caroline nigdy by go nie posądzała. Caroline była pewna, że obsługę tego wieczoru będą mieli bez zarzutu.

Patrząc na Scotta, kelnerka zagryzła wargę, jak gdyby z niechęcią oznajmiając złe wieści.

- Przykro mi - powiedziała - ale muszę was wylegitymować. Szef powiedział, że nie ma żadnych wyjątków.

Scott zrobił minę.

- Znowu przyłapany z nieletnią - rzekł i z wyrzutem zwrócił się do Caroline. - Wiedziałem, że nigdy nie przekroczysz dwudziestu jeden lat.

Dla Caroline to przedstawienie było niespodziewaną i nagłą zmianą ról. Uśmiechnęła się uprzejmie i pokazała swoje prawo jazdy.

Kelnerka przyjrzała się mu uważnie.

- Dziękuję - powiedziała i odwróciła się wyczekując do Scotta.

- Szkocką proszę. Dla nas obojga.

Kelnerka zawahała się. Wtedy Scott zabłysnął uśmiechem jeszcze bardziej promiennym od poprzedniego. Niepomna swoich obowiązków dziewczyna również odwzajemniła uśmiech. Obejrzawszy się na niego, poszła po drinki.

Dla Caroline było to zarazem dziwaczne i zabawne.

- Nie czujesz się nieco skrępowany, tak ją prowokując? - szepnęła.

Ten spojrzał na nią niewinnie.

- Kto mówi, że ją do czegoś prowokuję?

- Ja. Tylko to obserwowałam, a poczułam się... sprowokowana.

Scott skierował do Caroline uśmiech konspiratora.

- Uśmiecham się - powiedział - i pijemy. Tak lepiej się słucha muzyki.

Wypili więc pierwszą kolejkę, a potem jeszcze dwie.

Erzac Petera, Paula i Mary nie był wcale taki zły, pomyślała Caroline. Scott słuchał ich z uwagą. Najpierw wyglądało to tylko na grzeczność, potem na zainteresowanie czy nawet sympatię. Zdawał się nie zauważać usilnie uśmiechającej się kelnerki.

- To niełatwe śpiewać dla gromady pijaczków. Szczególnie rogowych - wymamrotał.

Caroline zauważyła, że palcami lewej ręki wystukuje rytm.

W sali zapanowała niemal zmysłowa atmosfera: czysty głos blondynki, pobrzękiwanie gitar, zapach papierosów i stłoczone ciała - ludzie kiwający się na boki, szepczący lub uśmiechający się do siebie. Scott zamówił czwartą szkocką. Jego twarz zaczęła przybierać całkiem beztroski wyraz. Jakby tylko częściowo był tutaj, z Caroline, podczas gdy jednocześnie znajdował się w innym miejscu - a może nawet dziesięciu innych miejscach: barach, imprezach i w studenckich mieszkaniach - w czasach, w których, jak pomyślała Caroline, bardziej siebie lubił. Blondynka na scenie wczuwała się w ten nastrój i każdy jej kolejny numer był bardziej przesycony erotyzmem.

- Bardzo chciałbym ją zobaczyć - wymamrotał kwaśno Scott - śpiewającą *Naprzód Żołnierze Chrystusa*.

Wyraz jego twarzy pozostał przyjemny, a nawet uprzejmy. Caroline zdała sobie sprawę, że to nie złośliwość, lecz raczej akceptacja człowieczeństwa piosenkarki, która w pewien sposób obejmowała wszystkich w tym pomieszczeniu. Caroline uderzyło to, że w przeciwieństwie do wielu ludzi, Scott był tym miłszy, im bardziej pijany.

Kiedy odwróciła się do niego, nadal z lekkim uśmiechem wystukiwał rytm, nieświadomy wszystkiego z wyjątkiem miejsca, w którym teraz przebywał. Nagle ucieszyła się, że go zaprosiła.

Zostali aż do zamknięcia.

Wrócili do zostawionego na parkingu samochodu Scotta: starego poobijanego volkswagena garbusa z podrapanym czarnym lakierem.

- Chcesz, żebym prowadziła? - zapytała Caroline.

Wyrwała tym Scotta z zamyślenia i przywróciła mu na nowo świadomość siebie samego. Przez chwilę zastanawiał się.

- Nie. Wszystko ze mną w porządku.

Caroline zawahała się. Do Eel Pond nie było zbyt daleko, a Scott nie wyglądał na faceta, któremu mogłaby po prostu odebrać kluczyki. Nie sprzecząc się, wsiadła i zapięła pasy.

Scott włączył silnik, cicho sobie pogwizdując.

W przyjemnej ciszy wjechali na Beach Road. Za ich plecami nikły sylwetki kolejnych okalających drogę drzew. Caroline pomyślała, że jedzie trochę za szybko. Nie traci kontroli, lecz przyspiesza i hamuje w jakimś specyficznym wewnętrznym rytmie, zabierając mimowolnie ze sobą do domu nastrój baru.

Samochód rozpędził się. Caroline poczuła rosnące i rozdzielające ich stopniowo napięcie. Wiedziała, skąd się bierze. Jeszcze tylko pięć minut, mówiła sobie. Droga była pusta. Prowadził szybko, lecz wystarczająco pewnie, by dowieźć ich do domu. Było jasne, że zna tę drogę.

Dostrzegła grymas na jego twarzy na sekundę przed czerwonym błyskiem policyjnego koguta.

Dla Caroline jego reakcja była niemal nie z tego świata. Z ust nie wydobyło się ani słowo, ani przekleństwo. Nie okazał żadnych emocji. Znowu stał się kimś innym - smutnym człowiekiem, przez którego umysł myśli maszerują równymi szeregami. Tylko Caroline mogła dostrzec, jak zbladł.

Samochód policyjny zatrzymał się tuż za nimi. Scott nadal nic nie mówił.

Promień latarki zabłysnął we wstecznym lusterku. Scott zmrużył oczy, zaczerpnął głęboko powietrza i wyprostował się. W końcu wysiadł, wychodząc na spotkanie policjantowi, jakby w ogóle zapomniał o istnieniu Caroline.

Instykt podpowiedział jej, by wysiadła razem z nim.

Policjant był pozbawioną twarzy sylwetką, ukrywającą się za światłem latarki, które skierował na nieruchomego Scotta.

- Będzie mi potrzebne twoje prawo jazdy, synu - powiedział do Scotta, kiedy Caroline obchodziła samochód.

W jego głosie, sylwetce i sposobie poruszania się było coś znajomego. Zesztywniały Scott nie zrobił żadnego ruchu, żeby wyciągnąć portfel.

Nagle Caroline przypomniała sobie o kelnerce proszącej Scotta o dowód tożsamości.

- Daj mi, proszę, swoje prawo jazdy - powtórzył policjant, tym razem bardziej stanowczo.

Scott spojrział w stronę samochodu. Nagle Caroline poczuła, że za chwilę krucha równowaga tej sytuacji runie. Instynktownie stanęła między nimi. Zamrugła, oślepią światłem latarki.

- Dobry wieczór - powiedziała.

Zauważyła, jak jego głowa przechyliła się. Przyglądał się jej zza snopu światła latarki.

- Caroline? Caroline Masters?

- Tak - odpowiedziała. - To ja.

Policjant zrobił krok do przodu, a na jego twarz padło niespodzianie światło własnej latarki.

- Jestem Frank Mannion - powiedział z wahaniem.

Do Caroline błyskawicznie wróciły wszechwładne wspomnienia. Przed oczami stanął obraz ciemnych włosów matki unoszonych przez wodę. Ścisnęło ją w żołądku.

- Pamiętam - odpowiedziała cicho.

Dostrzegła, że ramiona Manniona nieco się rozluźniły. W świetle latarki jego twarz wydała się nieco bardziej pucułowata, lecz nadal miła. Na skroniach pojawiła się siwizna. Zdjął policyjną czapkę, otarł czoło i zbliżył się do niej.

- Zawsze zastanawiałem się, co też się z tobą potem działo - powiedział łagodnie.

- Nic szczególnego, naprawdę. - Caroline z zadowoleniem stwierdziła, że jej głos brzmi niemal normalnie. - Ojciec i ja jakoś to przeżyliśmy. W przyszłym roku idę na studia prawnicze. Wszystko jest w porządku.

Powoli pokiwał głową. Caroline czuła na sobie spojrzenie Scotta. Jego milczenie sprawiało, że ścisnęło ją w gardle.

- A pan? - zapytała Manniona. - Jak pana rodzina zaaklimatyzowała się na Vineyard?

Spojrział na nią, zaskoczony.

- Pamiętasz?

- Pamiętam wszystko, co wydarzyło się tamtego dnia. Również to, jaki był pan dla mnie miły.

Mannion rzucił spojrzenie na Scotta, niezgrabnie przestępując z nogi na nogę.

- Dziękuję, wszystko u nas w porządku. Mój najstarszy syn właśnie kończy szkołę średnią i wkrótce wyjedzie do Boston College. - Przerwał. - Dobrze się nam tutaj żyje.

Caroline wcisnęła ręce do kieszeni.

- Cieszę się, że się panu powiodło.



Mannion pokiwał głową, po czym chyba przypomniał sobie o Scotcie.

- Możesz tu podejść?

Scott zawahał się, a potem ruszył w kierunku policjanta. Jego ruchy były dziwnie znużone.

Adrenalina, pomyślała Caroline.

- Czy masz prawo jazdy? - zapytał Mannion.

Scott nie odpowiedział. Caroline poczuła wewnętrzne napięcie.

- Synu? - głos Manniona był nadal łagodny.

Scott powoli wyciągnął portfel z tylnej kieszeni dzinsów. Pogrzebał w nim i w końcu okazał prostokątną kartkę.

Mannion przyjrzał się jej.

- Jesteś kawał od domu - powiedział w końcu. - Gdzie teraz mieszkasz?

- W Eel Pond. Pilnuję domu Rubinów - wymamrotał Scott.

Mannion przyjrzał się mu badawczo.

- Zrób w takim razie mnie i sobie przysługę i nie prowadź, jeśli piłeś. - Zwrócił spojrzenie na Caroline. - Z nią. Ale bez niej też. A teraz daj mi kluczyki.

Jak gdyby w transie Scott podał je policjantowi. Ten wziął kluczyki i łagodnie włożył je w dłoń Caroline.

- Czy możesz prowadzić? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała z ulgą. - Dziękuję.

Mannion nie przyjął podziękowania do wiadomości.

- Jedź ostrożnie, Caroline. I powodzenia na studiach.

W milczeniu odwrócił się do Scotta, oddał mu prawo jazdy i poszedł do swojego samochodu.

Caroline i Scott, nic nie mówiąc, wsiedli do volkswagena. Caroline trochę popracowała sprzęgłem i ostrożnie ruszyła.

Samochód Manniona jechał za nimi, aż dotarli do drogi do Eel Pond. W lusterku zniknęły jego białe światła, potem pokazały się tylne czerwone, a po chwili stracili samochód z pola widzenia.

Siedzący obok niej Scott położył palce na oczach.

Minęli dom Rubinów i zaparkowali nieopodal wody. Przednią szybę w całości wypełniał widok

czarnego oceanu i czarnego nieba. Caroline nadal czuła, jak łomoce jej serce.

- Co tam się wydarzyło? - zapytał cicho Scott.

- Chyba ocalałam twój tyłek. - Caroline spojrzała na niego ostro. - A przynajmniej uratowałam od mandatu za przekraczanie dopuszczalnej prędkości.

Scott przez chwilę milczał.

- Mówiłaś coś o swojej matce. O wypadku.

Caroline patrzyła przed siebie.

- Jechała wtedy - powiedziała głosem wypranym z emocji. - Kiedy to się wydarzyło, byliśmy tutaj tylko we dwie. Mannion zabrał mnie, żebym zidentyfikowała jej ciało.

- Piła?

- Tak - westchnęła Caroline. - Ale to było osiem lat temu. Już mam to za sobą. W porządku?

Odpowiedź była bardziej lakoniczna i mniej uprzejma, niż by tego chciała sama Caroline.

- Nie w porządku. Ani z tobą, ani ze mną - odpowiedział.

W jego głosie można było wyczuć odrazę do samego siebie.

- Chcesz się teraz nade mną rozczulać? - powiedziała w końcu Caroline. - Czy może zrobiłbyś mi kawę?

Przez moment Scott się wahał. Przyglądał się jej tak intensywnie jak nigdy dotąd.

- Wejdz, proszę - zaprosił ją.

## PIĘĆ

Scott położył dłoń na klamce i zawahał się. Potem otworzył drzwi.

Był to jeden duży pokój z drewnianą podłogą i boazerią. Na jednej ścianie ustawione były meble kuchenne. Rozejrzawszy się, Caroline stwierdziła, że pomieszczenie to nie nosi śladów zamieszkiwania go przez człowieka.

Pokój był schludny, choć skromnie wyposażony: kanapa, stolik, marynistyczny obraz na ścianie. Wszystko posprzątane. Rzeczą, która musiała należeć do Scotta - i teraz Caroline nie była już tym zaskoczona - była oparta w rogu o ścianę sfatygowana gitara.

- Grasz na niej? - zapytała.

- Trochę. - Uśmiechnął się. - Ale nie tak dobrze, żeby dorównać innym rozrywkom dzisiejszego wieczoru.

- Masz na myśli bar czy policję? - Caroline odwróciła się do niego.

- Sama wybierz - odrzekł Scott i podszedł do kuchenki.

Caroline zrozumiała, że nie będzie się tłumaczył. Być może w istocie nie było nic do tłumaczenia. Scott spojrział na nią przez ramię.

- Jaką kawę sobie życzysz?

- Mocną i czarną. Jak na egzaminy końcowe.

Caroline podeszła do okna. Pod podłogą słyszała napływające i odpływające fale zatoki Nuntacket. Odczucie było całkiem podobne do tego, jakie miewa się, stojąc na dziobie statku. Przypomniała sobie Scotta wpatrującego się w ocean w tamten sztormowy dzień.

- Gdzie sypiasz? - zapytała.

Scott pochylił się nad ekspresem.

- Na werandzie. Jest tam zasłona przeciw owadom, a w nocy słychać powiew bryzy.

Nalał kawę do dwóch kubków. Podając jej jeden, dotknął jej pleców. Caroline poczuła, jak po skórze przechodzą jej ciarki. Wystraszyło ją to: wspólne przeżycie z policją wytworzyło między nimi jakąś więź, która przedtem nie istniała.

Caroline odwróciła się.

- Mogę zobaczyć werandę?

Jego uśmiech był na poły pytający, na poły rozbawiony.

- Chyba tylko to zostało mi do pokazania - odpowiedział i otworzył drzwi koło kuchenki.

Caroline wyszła do zacienionego pomieszczenia. Przez szyby dobiegł do niej nieustający szum wiatru. Było ciepło i mocno pachniało solą. Caroline zatrzymała się, głęboko zaczerpnąwszy powietrza. Wówczas Scott włączył lampę.

Odwróciła się. Przed nią pojawiło się ukryte przedtem w ciemnościach łóżko polowe, zawalony książkami nocny stolik oraz krzesło zwrócone w stronę wody. Leżało tam też pióro, a spod sterty książek wystawała kartka prawdopodobnie nie dokończonego listu. Na samym wierzchu sterty książek leżał *Jeden dzień z życia Iwana Denisowicza* i biografia Roberta Kennedy'ego autorstwa Jacka Newfielda. Caroline zaczęła się zastanawiać, do kogo też Scott mógł pisać.

Wskazał jej ręką krzesło.

- Siadaj. Ja przywykłem do pozycji horyzontalnej.

Scott wyciągnął się na łóżku z kubkiem w dłoniach. W tym momencie Caroline poczuła, że zarówno on, jak i te nieliczne należące do niego przedmioty wypełnione są bólem samotności.

- W końcu nie podziękowałem ci, prawda? - powiedział.

- Za co?

- Za próbę ochrony mnie przed sprawiedliwością prawa. - Obserwował ją. - Swoją drogą, śmieszne, jak na przyszłego oskarżyciela.

Caroline wzruszyła ramionami.

- Po prostu to był zbyt udany wieczór, żeby zakończyć go w areszcie.

- Tak, z wyjątkiem tego był udany. Mój debiut towarzyski na Vineyard.

Caroline milczała. W jej głowie rodziło się kolejne pytanie, jednak zdecydowała się go nie zadawać.

- Prawdziwy sukces - z wyjątkiem twojego pomysłu, żeby prowadzić. Wiem nawet, z kim byłoby ci do pary...

Scott patrzył na nią uśmiechnięty.

- Nie jestem zainteresowany - rzekł.

- No cóż...

Zapadła niezręczna cisza.

- A skoro o towarzystwie mowa, to czy mieszka tu w pobliżu ktoś jeszcze? Do tej pory doliczyłem się tylko wychudzonego faceta, który rzadko się komukolwiek pokazuje, i kobiety, która samotnie spaceruje po plaży. Nikogo, kto wyglądałby na patriarchę rodu.

To nieco beztrioskie podsumowanie rozzłościło Caroline. Uderzyło ją też, jak wiele Scott potrafił wywnioskować z tak skąpych informacji: o pozycji jej ojca, o jej związku z Jacksonem.

- Ten wychudzony facet - odrzekła szorstko - to bardzo sympatyczny mąż mojej siostry, Larry. Pracuje nad doktoratem. A kobieta to moja siostra, Betty, która - tak się złożyło - lubi przyrodę. Co do patriarchy, to przybędzie na inspekcję swoich włości później.

Scott uśmiechnął się. Nie dawał się zbić z tropu.

- Co więc robicie tam we trójkę całymi dniami?

- Cóż, odprawiamy różne przedziwne tajemne rytuały. Gramy w scrabble, sprzeczamy się o wybory - powiedziała cicho i poważnie. - Czasami zmywamy z Larrym naczynia. W ciemności...

Na jego twarzy pojawił się uśmiech i skrucha.

- Przepraszam. Po prostu interesują mnie rodziny. Nie widziałem własnej już od jakiegoś czasu.

Ta biograficzna dygresja zabrzmiała wiarygodnie. Caroline co jakiś czas zmieniała swoje wyobrażenie o nim. W jednej chwili był wyznawcą tumiwizmu, a w kolejnej - osobą samotną, opuszczoną przez ludzi, na których mu zależało.

- A co z twoją rodziną? - zapytała.

- Czystej wody Amerykanie. - Spojrzał na swój kubek. - Rodzice nadal się lubią. Brat jest w niezłym college'u. I szesnastoletnia siostrzyczka, która urodziła się widać zbyt późno, bym mógł w pełni docenić, jakim była rozgarniętym dzieciakiem. Pewno nadal jest, tylko że pochłania zbyt dużo wszawego jedzenia.

W tym zdawkowym, choć i nie pozbawionym uczucia opisie Caroline dosłyszała ton żalu.

- Dlaczego więc nie jesteś w domu? - zapytała. - Nie musisz pozostawać na wygnaniu tylko po to, żeby być zagubionym.

Rzucił w jej kierunku zabawne spojrzenie, jak gdyby został na czymś przyłapany czy nawet zraniony.

- Zatracanie się - powiedział - nie jest tak proste, jak myślisz.

Ten komentarz zaintrygował ją. Scott spoglądał gdzieś w dal. Caroline przyłapała się na tym, że znowu patrzy na ów nie dokończony list, a potem książkę o Kennedym. Skinęła głową w jej kierunku.

- Pracowałeś dla niego?

- Uhm. Poświęciłem kilka tygodni college'u dla kampanii w Indianie. - Scott znowu oglądał swój

kubek. - Jego zabójstwo było dla mnie najgorszym przeżyciem. Nie licząc tych bardziej osobistych. Czasami zastanawiam się, ilu ludzi zmarło z tego powodu. Albo może tylko utraciło nadzieję.

Caroline zauważyła, że Scott nie czeka na odpowiedź. Być może mówił tylko do siebie. To sprawiło, że zamilkła. Scott odczuwał - tak jak niekiedy odczuwała i ona - że utracone zostało coś, czego nie da się nigdy odzyskać. Zapewne ojciec uznałby taką postawę za najbłędniejszą i pozbawioną perspektyw.

- Byłam wtedy trochę za młoda - powiedziała w końcu. - Potem często nasuwała mi się myśl, że giną nasi najlepsi przywódcy, a my powoli odsuwamy się wzajemnie od siebie.

Scott w milczeniu patrzył na swój kubek z kawą. Kiedy w końcu podniósł spojrzenie, uśmiechnął się do niej słabo. W uśmiechu tym mieszały się ironia i poufałość.

- Smutna z nas parka, co? Czego tu oczekiwać poza tym, że człowiek trochę jeszcze pożyje...

- Pożegluje i skończy studia. Jeśli zdołasz się kiedykolwiek zdecydować, jakie właściwie wybrać.

Scott wzruszył ramionami w milczeniu. Caroline pomyślała, że może po prostu ucieszył się, że przerwali w końcu tę nazbyt poważną wymianę zdań.

Jak gdyby wyczuwając jej myśli, znowu zmienił temat.

- A twój szwagier? O czym pisze ten doktorat?

- Literatura angielska. W Syracuse.

- A Betty?

- Chce mieć dziecko.

Scott spojrzał na nią zagadkowo.

- Czy twój ojciec to sponsoruje?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Aha.

Caroline zastanawiała się, czy wyjaśnianie czegokolwiek byłoby w tej sytuacji w porządku wobec Betty.

- Betty jest naprawdę sympatyczna. Ale uważam, że jest nie na swoim miejscu. Jej wyobrażenie o rodzinie wykracza poza to, co zwykle myślą ludzie. - Caroline przerwała. - Problem polega na tym, że przez to miewa odchyły. Zdaje się jej, że wszyscy, stąd aż po Mongolię, prócz niej, są w ciąży.

Scott skrzywił się w uśmiechu. Na jego twarzy pojawiło się natchnienie.

- Poczekaj - powiedział, wstał i wyszedł.

Wrócił z gitarą.

- A cóż to? - zapytała Caroline.

Siadł na skraju łóżka, przyjmując pozę wielkiej powagi. Potem spojrział na nią szklistymi oczami i prześmiewczo zaśpiewał soulowym głosem:

*She's having my ba-by...*

Caroline uśmiechnęła się.

- O, nie...

Scott ciągnął dalej niewzruszenie. W parodii przypiływu natchnienia przymknął oczy. W bladym świetle rysy jego twarzy wyglądały nieskazitelnie.

*Ona ma moje dziecko!*

*Cóż za wspaniały to sposób,*

*żeby powiedzieć światu, że mnie kocha...*

Caroline wybuchnęła śmiechem.

Przybierając pozę urażonej godności artysty nie rozumianego przez swych współczesnych, Scott zaśpiewał kolejne zapadające w serce wersy:

*Mogłaby zniknąć z mojego życia,*

*ale teraz tego nie robi,*

*bo ma moje dziecko.*

Toż to kompletne absurdy, pomyślała Caroline. A jednak był w tym dobry i to powstrzymało ją od komentarza.

Kiedy tylko skończył, znowu otworzył oczy. Jego nagłe spojrzenie zaskoczyło ją.

- Odtąd będzie to moja ulubiona piosenka - powiedziała. - Ujmuje cały mój światopogląd.

Scott uśmiechnął się, gnąc się w prześmiewczym ukłonie.

Caroline siedziała z łokciami opartymi na kolanach i twarzą wspartą na dłoniach. Patrzyła na niego.

- Jesteś naprawdę niezły, wiesz? - powiedziała cicho.

Scott usiłował obrócić to w żart.

- Wystarczająco dobry, żeby występować w kiepskich hotelowych barach. „Scott Johnson przybywa do Holiday Inn w twoim sąsiedztwie” - powiedział, lekko się uśmiechając.

Wówczas ich spojrzenia spotkały się. Nagle uśmiechy zniknęły z ich twarzy. W tej chwili Caroline poczuła, że Scott jest nie tylko zagubiony, smutny czy słodki, poczuła, że w każdym z nich tkwi coś, co przyciąga ich do siebie, i że on również to czuje.

Caroline nie wiedziała, na czym to polega. Wiedziała tylko, że w tej przelotnej, lecz zarazem trwającej wieczność chwili coś się dla niej zmieniło.

Scott odłożył gitarę. Stał, milczał i patrzył na nią. Dzieliło ich tylko kilka stóp. Podchodząc do niego, Caroline widziała tylko jego oczy i czuła tylko własny puls.

Jego usta były ciepłe.

Co ja tu robię? - zastanawiała się w głębi. Kim jestem?

Objęła go mocno ramionami.

Scott powoli i łagodnie odsunął się, opierając się czołem na jej czole. Dopiero wtedy pomyślała o Jacksonie.

- O, Jezu - wymamrotał.

Więc również to wyczuł. Ten przedziwny pociąg, instynkt, któremu powinni się oprzeć.

- Lepiej już pójdę - powiedziała.

Ledwie świadoma własnych ruchów podeszła do drzwi. Nie próbował jej powstrzymać. Odwróciła się. Scott nadal stał nieruchomo przy łóżku i patrzył na nią jak na coś, czego nigdy nie będzie mógł mieć.

- Pójdziemy jutro pożeglować, dobrze? - powiedziała jak gdyby na pociechę. - Jeśli chcesz - dodała, usłyszawszy własne słowa.

Patrzył na nią, znieruchomiał.

- Chcę - powiedział w końcu.





## SZEŚĆ

Następnego ranka wypłynęli razem żaglówką. Dwa dni później również.

Wszystko się zmieniło. Pomiędzy nimi zapanowała jakaś łagodność, duchowe spowinowacenie, choć dla Caroline w Scotcie nadal było coś ulotnego, nieuchwytnego. Czasami miała wrażenie, że nawzajem próbują czytać sobie w myślach. Jednak żadne z nich nie przekraczało nie nazwanej granicy. Nigdy jej nie dotknął.

Zawsze jednak był gotów, by z nią przebywać. Urządzali wycieczki na wzgórza w okolicy Menemshy, pojechali posłuchać Toma Rusha, pływali w jeziorze przy Long Point, oddalonym zaledwie o jakieś sto stóp od wzburzonego Atlantyku. Niekiedy bycie razem nie wymagało od nich żadnego wysiłku. Scott znał wdzięk ciszy i pozwalał Caroline pozostawać sam na sam z jej myślami. Rzadziej bywał sarkastyczny, a jeśli już, to przede wszystkim w stosunku do siebie. Traktował Caroline z szacunkiem, jak gdyby zbyt blizna do niej zbliżenie mogło zniszczyć to, co zaistniało pomiędzy nimi. Dni mijały spokojnie jeden po drugim, aż w końcu czas przestał mieć dla nich znaczenie. Nie wydarzyło się nic, o czym powinna była powiedzieć Jacksonowi.

Być może, myślała później Caroline, Scott wiedział więcej od niej. Lecz dla niej noc, kiedy się to wydarzyło, przypominała wszystkie inne.

Pomysł, by zjeść na plaży homara, należał do niej.

Scott uśmiechnął się.

- Jak Faye Dunaway i Steve McQueen w *The Thomas Crown Affair*?

Caroline pokiwała głową.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, skąd wziął tego homara? Myślę, że my kupimy je w Homeport. Na wynos.

- Homary na wynos? A gdzie twoja etykieta rodem z Nowej Anglii?

- Odeszła w zapomnienie - odparła.

Pojechali do Edgartown po chleb i butelkę schłodzonego wina. Caroline znalazła chleb. Natknęła się na Scotta oglądającego butelkę kalifornijskiego chardonnay z pewnym wystudiowanym odprężeniem, jak gdyby nie chciał się spieszyć z podejmowaniem poważnej decyzji.

- Trudny wybór? - odezwała się za jego plecami.

Odwrócił się do niej, zaskoczony.

- Tylko wtedy, kiedy nie znasz win - powiedział i wyciągnął na chybił trafił jakąś butelkę. - Spróbujmy tego.

W ramach milczącego porozumienia teraz Caroline zasiadła za kierownicą. Do Menemshy dotarli przed ósmą.

Rybacka osada była cicha i intrygująca. Kutry cumowały przy nabrzeżu, plaża była niemal opustoszała, a słońce zmierzało ku odległemu miejscu, w którym ocean stykał się z ciemniejącym niebem. Łagodny dźwięk silnika łodzi odbijał się echem od półwyspu.

Otwarta była tylko restauracja Homeport. Ludzie wchodzili i wychodzili z drewnianego budynku. Paru turystów, jedząc kolację, obserwowało z pomostu zachód słońca. Caroline poprowadziła Scotta do okienka, w którym sprzedawano potrawy na wynos, i zamówiła dwa homary. Scott czekał cierpliwie z butelką wina i zwiniętym kocem, który trzymał pod pachą. Gdy ich dania były gotowe, zabrali je i wyszli na dwór, żeby znaleźć odpowiednie miejsce na plaży.

Nie było pośpiechu. Powoli otaczały ich ciemności ciepłej nocy. Księżyc, który zamienił się teraz rolą ze słońcem, rzucił na fale pierwsze promienie światła. Caroline poczuła, jakim luksusem jest posiadanie czasu.

Szli plażą, aż światła Menemshy zostały daleko za nimi. Byli zupełnie sami.

Scott przerwał ciszę.

- Któregoś dnia przyglądałem się twojej żaglówce. Przecieka. Powinnaś ją jak najszybciej naprawić. Poza tym jedna z wręg kadłuba wygląda na obluzowaną.

Caroline uśmiechnęła się: troska o żaglówkę była jedną z łączących ich więzi.

- Czy kiedy wyjadę - zapytała - zająłbyś się moją łodzią? Możliwe, że zdecyduję się ją tutaj zostawić.

Scott zatrzymał się i zwrócił twarzą w stronę wody.

- Jeżeli zostanę. Ale nie sądzę, żebym został.

Caroline - zaskoczona tym, że tak ją to zmartwiło - odwróciła się do niego. Być może chodziło tu o przemijanie. Dni uciekały, a z każdym z nich to lato stawało się dla niej cenniejsze. Scott i Vineyard zaczęli w jej umyśle stanowić jedno. Nie potrafiła sobie wyobrazić tego miejsca bez niego.

Rozłożyli koc.

Caroline wyjęła chleb i homara. Scott otworzył butelkę z winem, napełnił dwa kubki i jeden z nich podał Caroline. Wyglądało na to, że chce zaproponować toast. Spojrzał znowu na nią.

- Czy coś jest nie w porządku? - zapytał.

Caroline udała, że poprawia koc.

- Och, nie wiem - powiedziała w końcu. - Jestem głupia. Sama nie wiem dlaczego, wyobrażałam sobie, że kiedy wrócę, nadal tutaj będziesz. Tak jak bym była upoważniona do rządzenia każdym zakątkiem mojego świata.

- I do zaludniania go?

- Tak sądzę.

Scott przyjrzał się jej.

- Myślę, że to się zdarza, kiedy człowiek jest zadowolony z biegu spraw. Ale wszystko ciągle się zmienia. Trudno mi sobie wyobrazić ciebie, twojego męża, dzieci i... mnie razem na żaglach. - Uśmiechnął się, jak gdyby starał się załagodzić wymowę tego zdania. - Na początek potrzebowałabys większej łodzi.

- Jak sądzisz, ile dzieci chciałabym mieć?

Scott uśmiechnął się.

- Nie wiem. Pewno więcej niż ja. - Podniósł kieliszek. - Za kontrolę urodzeń.

Caroline trąciła się z nim i zaczęła sączyć wino. Zdała sobie sprawę, że tak dobrego jeszcze nie piła. Oparła się na łokciach.

- Co więc zamierzasz robić?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie mogę tutaj dłużej zostać. - Patrzył na wodę. - Być może to po prostu odwrotna strona tego, o czym mówiłaś. Kiedy stąd wyjedziesz, żeby wrócić do prawdziwego życia, wyspa będzie dla mnie trochę opustoszała. - Zbywająco wzruszył ramionami. - Są w końcu inne miejsca. Nie należę do cierpiących na zbytnią nostalgię.

Caroline odwróciła się, by móc go widzieć. Było w nim tyle spokoju - jak gdyby zatrzymywał tę chwilę w swoim umyśle. I nagle, zdawszy sobie sprawę, że rozumie go po części instynktownie, pomyślała, że okłamuje ją, ale nie siebie: że nosi w sobie jakieś okruchy przeszłości, a to lato stanie się wkrótce jednym z nich.

- Cóż - powiedziała. - Przeżyliśmy, co przeżyliśmy. Nie było chyba tak źle.

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- A raczej zupełnie nieźle. Jeśli nie wystygły nam homary.

Caroline rozłożyła papierowe tacki i masło. Skorupki homarów były już otwarte. Nie pozostało więc nic, tylko jeść.

Noc była cicha, spokojna. U ich stóp falowała woda. Słaby wiatr unosił zapach morza i wody. Żadne z nich nie odzywało się. Nie czuli takiej potrzeby.

- Pamiętasz swoje pierwsze biwaki w dzieciństwie? - zapytał po jakimś czasie Scott.

Caroline uśmiechnęła się do siebie. Było im po prostu dobrze. Z jednej strony w bezpiecznej odległości od codziennych spraw, z drugiej - zaznając poczucia bezpieczeństwa. Wiedziała, że Scott nie oczekuje odpowiedzi.

Nagle zaczęły ożywać jej zmysły. Wszystko wokół niej zaczęło się zlewać. Na skórze i włosach poczuła powiew bryzy. Na pomarszczonej wodzie dostrzegła blask księżycowego światła. Gwiazdy stały się jaśniejsze i bliższe. Poczuła leżącego obok niej Scotta, podobnie jak ona zagubionego w tej nocy.

Czas się zatrzymał.

Nie wiedziała, jak długo leżeli tam w bezruchu. Wiedziała jedynie, czym dla niej jest ta noc i czym byłaby bez niego. W końcu znalazła słowa, żeby to wyrazić.

- Miałeś kiedyś doskonały dzień?

Scott nie poruszył się.

- Nie - odrzekł w końcu. - Ale za to doskonałą godzinę. Teraz.

Zawahawszy się, Caroline położyła swoją dłoń na jego. Wtedy odwrócił się do niej i spojrzał jej w oczy. Powoli wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. Nie miała wątpliwości, co wyrażały jego oczy.

- Tak - Caroline usłyszała własny głos.

Scott trwał w bezruchu. Wtedy Caroline pocałowała go - zarazem łagodnie i mocno.

Poczuła jego usta na swojej twarzy i szyi. Objęła go, zamykając oczy.

Czuła go teraz całą sobą. Jego niespieszne usta, szczupłe muskularne ciało. Gdziekolwiek ją dotykał, jego dłonie znajdowały się w dobrze sobie znanym miejscu. Czuła bicie własnego serca.

Zsunął się z niej. Caroline poczuła jego palce na najwyższym guziku swojej koszuli. Otworzyła oczy. Kiedy go odpinał, patrzyli na siebie.

Leżała bez słowa - tak jak i on. Jego spojrzenie nie drgnęło, dopóki bluza Caroline nie znalazła się obok, na kocu. Nie miała stanika.

Łagodnie ułożyła jego głowę pomiędzy swoimi piersiami. Po chwili poczuła dotyk jego ust na sutkach, potem niżej, na brzuchu. Poczuła, jak rozpina jej dzinsy. Uniosła biodra, żeby mu pomóc.

Leżała naga i patrzyła, jak on się rozbiera. Był szczupły i muskularny. Ukląkł przy niej, pochylając głowę. Dotykał ustami jej ud, posuwając się w górę.

Caroline znowu zamknęła oczy.

Wszystko to było takie nowe. Jego język. Jego ciało, tak różne od ciała Jacksona, kiedy rozchyliła przed nim nogi. Pożądanie, kiedy w nią wchodził. Gwałtowność, z jaką poruszali się, spleceni w uścisku. I ta dziwna, przyspieszająca bieg krwi w żyłach żądza...

Nie mogła się powstrzymać.

Z pierwszym raptownym skurczem swego ciała Caroline wykrzyczała jego imię. Nikt poza nim nie mógł jej usłyszeć.

Słaba i oszołomiona leżała w jego ramionach, czując ciepło tego, co w niej zostawił. Nie mówili do siebie. Ich umysły chłoneły to, co wiedziały już ciała.

Cóż to znaczy? - pytała siebie Caroline. I czy znaczy cokolwiek? A może wszystko?

- Czyż to nie kolejna doskonała godzina? - zapytała.

W odpowiedzi Scott przytulił ją mocniej do siebie.

Nie mogli się od tego powstrzymać.

Czasami wystarczyło tylko jedno spojrzenie Caroline. Bez słowa szli do domku Scotta. Rozbierali się, stojąc o parę cali od siebie. Spędzała z nim każdą noc. Każdy kolejny raz jedynie podsycał jego głód.

Caroline miała wrażenie, że Scott desperacko pragnął jej o czymś powiedzieć, choć nie była pewna, o czym. Jak gdyby mógł znieść milczenie, tylko kochając się z nią. Czasami w nocy słyszała jego ciche kroki w sąsiednim pokoju. Nie chciał jej budzić. Jej zmysły wyczuwały coś nieokreślonego.

Kiedy usiłowała mu o tym powiedzieć, Scott tylko uśmiechnął się.

- Cóż, chciałbym być taki intrygujący... - powiedział.

Nie mogła zebrać się, żeby zadzwonić do Jacksona. Zarówno prawda, jak i kłamstwo byłyby zbyt bolesne. Rozumiała jedynie, że miała kochanka, który dawał jej to, czego Jackson nie potrafił.

Usiłowała to pojąć: przecież Caroline, która tak rozpaczliwie pożądała Scotta, nie była inną osobą. Jednak świat, do którego przywykła, był teraz odległy. Tutaj była sama. Nawet Scott, a w zasadzie przede wszystkim Scott, nie był w stanie jej pomóc. Nawet sam świat Martha's Vineyard był podzielony. Wyglądało na to, że Scott celowo opiera się wszelkim sugestiom spotkania z Betty i Larrym. Interesowała go jedynie Caroline.

Dlaczego go pragnęła? Czego od niego pragnęła?

To, że Betty i Larry nie mówili o tym ani słowa, pogłębiało w Caroline poczucie izolacji. Jej nocne wyjścia i poranne powroty miały tak jasny charakter, że siostra i szwagier stali się ostrożni czy też nieco zmieszani. Być może, myślała smutno Caroline, jedynie matka byłaby w stanie mnie zrozumieć.

Była szczęśliwa tylko wtedy, gdy była ze Scottem.

Któregoś ranka zbudziła się pierwsza. Na jego twarzy igrał uśmiech rodem z jakiegoś przyjemnego snu. Patrzyła na niego, dopóki się nie obudził.

- Uśmiechałeś się - powiedziała.

Budząc się, Scott jeszcze raz się uśmiechnął.

- Czyżby? Widocznie musiałem we śnie uczyć cię żeglowania.

Pocałowała go w czoło.

- Nie - odrzekła. - To ja uczyłam cię prowadzić samochód.

Caroline nadal uśmiechała się, przekraczając próg letniego domu ojca. Na stole kuchennym znalazła karteczkę z pochyłym węzłkowym pismem Betty:

*Dzwonił ojciec. Zadzwoń do niego, jeśli znajdziesz chwilę.*

## SIEDEM

Caroline zadzwoniła do ojca. Jego głos był ostrożny. Pytał o żeglowanie, o plany na pozostałe tygodnie, o to, czy miała jakieś wieści od Jacksona. Dopiero kończąc rozmowę, powiedział, że przyjedzie wcześniej, niż planował. Jutro.

Odłożywszy słuchawkę, Caroline poszła poszukać Betty.

Ta siedziała na werandzie, pijąc kawę. Spojrzała na Caroline i zrozumiała wyraz jej twarzy.

- Więc powiedział ci, że przyjeżdża wcześniej?

Caroline patrzyła na nią.

- O co tu chodzi?

Betty westchnęła.

- Nie powiedzieliśmy mu ani słowa. Dzwonił kilka razy, chcąc z tobą porozmawiać. Za każdym razem któreś z nas cię kryło. Ale ojciec nie jest głupi.

- A ja mam dwadzieścia dwa lata.

- Rozumiem. - Betty pokiwała głową. - Ale musisz sobie wyobrazić, jak to wygląda z jego punktu widzenia. Jego stateczna, przewidywalna, mająca chłopaka córka znika gdzieś późną nocą. Nie sądzisz, że byłabyś tym trochę zaniepokojona?

- To moje życie, czyż nie?

Betty zmarszczyła brwi.

- Nawet Larry i ja martwimy się trochę o ciebie. Zupełnie nie znamy tego chłopaka. A ty chyba też nie wiesz o nim wiele, spędzając z nim tylko nocę. Nawet kiedy jesteś tutaj z nami, to nieobecna duchem - powiedziała łagodnie Betty. - Czy odczuwasz wielką niechęć, żeby mi cokolwiek o tym powiedzieć?

Caroline poczuła, że jej upór słabnie. Siadła obok na plecionym krześle, patrząc na połyskujące na wodzie promienie porannego słońca.

- Sama chciałabym wiedzieć.

Betty wypila łyk kawy.



- Cóż, jest bardzo przystojny.

- Nie, tu nie chodzi tylko o seks. - Pokręciła głową Caroline. Przerwała, szukając słów. - Sądzę, że wiem o nim o wiele więcej, niż on sam mi mówi.

Betty zamyśliła się.

- A wzięłaś pod uwagę to - rzekła w końcu - że być może nie ma w nim nic oprócz tego, o czym sam ci mówi? Może to tylko nie mający celu w życiu chłopak, który poza żeglowaniem nie ma żadnych głębszych zainteresowań? Ty zaś, z jakichś przyczyn, których jeszcze sama nie zdążyłaś rozgryźć, dokonujesz projekcji swoich potrzeb na kogoś, kto jest w zasadzie pustym ekranem.

Chociaż głos Betty nie był niemiły, słowa te uderzyły Caroline.

- Nie potrzebuję psychoanalityka, Betty.

- No cóż. - Ton Betty wskazywał, że reprimenda Caroline nie zrobiła na niej wrażenia. - A jak mają się sprawy z Jacksonem?

Caroline spojrzała w dal.

- Nie sądzę, żebym chciała teraz o tym rozmawiać.

Betty przyjrzała się jej uważnie.

- W takim razie pozwól, że jako twoja starsza siostra o coś cię poproszę. Pomyśl o tym. A na czas obecności ojca postaraj się trochę wyciszyć sprawę ze Scottem. Nie ma sensu denerwować ojca czymś, czego sama nie rozumiesz.

Caroline wiedziała, że to dobra rada i że Scott nie będzie oponował.

- Rób, co musisz - rzekł. - Naprawdę to rozumiem.

- Ale zostały nam tylko cztery tygodnie. A on ma tutaj zostać przez cały tydzień.

Scott wzruszył ramionami.

- Jest twoim ojcem od dwudziestu dwóch lat. I, co chyba wyraźnie widać, ma decydujący wpływ na twoje życie. - Wziął ją za rękę. - Nie oczekuję, że będziesz rozdmuchiwała tę sprawę. Nie chciałbym tego. Z pewnością nie na moje konto.

Caroline zastanawiała się, dlaczego zrozumienie, które jej okazał, upokorzyło ją. Być może, myślała, określił granice jej roli dla niego. A może, podobnie jak Betty, Scott zaakceptował bez większego zastanowienia konieczność uspokojenia Channinga Mastersa.

Caroline nie usłuchała jednak rad Betty.

Przez pierwsze dni Caroline spędzała większość czasu z ojcem, robiąc wiele rzeczy, które zwykle robiła tutaj ze Scottem: żeglując, chodząc na piesze wycieczki i jeżdżąc na wynajętych rowerach. Channing, choć już po pięćdziesiątce, był sprawny i pełen wigoru. Z przebywania na dworze ze swoją młodszą córką - cichą ulubienicą - czerpał wiele przyjemności. Jeśli nawet coś go gryzło, to nie zdradzał się z tym ani słowem. Być może czas, który poświęcała mu teraz Caroline, był dla niego wystarczającym powodem, by poczuć się pewniej. Jej chwile zamyślenia mu nie przeszkadzały. Caroline wyczuwała, że i on popadał w zadumę - wracało wspomnienie o Nicole. Kiedy nagle milkł, zapatrzonej w wodę, Caroline była niemal pewna, że wspomnienie to sprawia mu ból. Natomiast stwarzane przez nią pozory normalności zadowalały Channinga i umacniały go w przekonaniu, że nie dzieje się nic, czemu córka musiałaby stawić czoło.

Caroline czuła z tego powodu odrazę do samej siebie. Ale to uczucie nie mogło się równać z tęsknotą do Scotta. Trzeciej nocy poszła do niego.

Wystraszony Scott obudził się, kiedy zbliżała się do ganku. Siadł prosto, rozglądając się. Gdy zobaczył ją, zamarł.

- Caroline? - zapytał z napięciem.

- To ja - odpowiedziała.

W ciemności dostrzegła, jak odpręża się. Podeszła do jego łóżka, kładąc pasek podtrzymujący szlafrok na nocnym stoliku.

- Po prostu zatęskniłam za tobą.

Scott wyciągnął do niej ręce. Caroline przywykła do przenoszenia rytmu ich dni na wspólnie spędzane noce. Jednak teraz kochali się w pośpiechu, w konspiracji, oddzieleni od reszty jej życia. Stawały jej przed oczami dziecinne wyobrażenia nakrywającego ich tutaj ojca. Przypomniała sobie twarz matki, która patrzyła na nią, leżąc pod Paulem Nerheimem.

Scott chyba to wyczuwał.

- Trochę jak w czasach szkoły średniej, prawda? - powiedział. - Wykradanie się na dół, do dużego pokoju, kiedy zasnęła już cała rodzina.

Caroline leżała, słuchając w ciemności rozbijających się pod nimi o brzeg fal. Chłodna bryza pieściła jej nagą skórę.

- Tęskniłeś za mną?

Scott przez pewien czas milczał.

- I to jak! - przerwał, jak gdyby doszukując się w tym wszystkim fatalizmu. - Cóż, po prostu masz ojca, którego musisz spacyfikować, a ja nie mogę tragizować - *Plaźowi Romeo i Julia*. Szczególnie, że chodzi tylko o czas, który musisz jakoś zapełnić, zanim zaczniesz studia.

Caroline zastanawiała się, dlaczego pod tym realizmem kryje się jakaś gorycz. I przeciwko komu jest ona właściwie skierowana?

- Co mam zrobić?

- Nic. - Pocałował ją w szyję. - Nie martw się o mnie, Caroline. Nie chcę zostać jakąś postacią w twoim minidramacie rodzinnym. Nawet jeśli miałyby to być trzecioplanowa rola.

W ciemności nie widziała jego twarzy.

Następnego ranka powiedziała ojcu, że pójdzie pożeglować ze znajomym.

Channing uniósł brwi w przyjacielskim zaciekawieniu.

- Aha. A kto to taki?

- Chłopak, który pilnuje posiadłości sąsiadów. Jest całkiem niezłym żeglarzem.

- Ma jakieś imię?

Caroline uśmiechnęła się.

- Tak - powiedziała i poszła poszukać Scotta.

Scott otworzył jej drzwi, ale nawet się nie uśmiechnął.

- Co mu o mnie powiedziałaś? - zapytał.

- Nic. Nie ma tu nic do wyjaśniania. Idziesz czy mam dzisiaj pływać sama?

Scott obrzucił ją nieprzeniknionym spojrzeniem. Zawahał się, a potem zgarnął wiszącą na haku przy drzwiach marynarkę. Ze smutnym uśmiechem zapytał:

- Czy znane jest ci słówko „premedytacja”?

Caroline zastanawiała się, dlaczego tak wiele chwil czy nawet słów przypominało jej teraz matkę? Scott spojrział na nią i uśmiech z jego twarzy zniknął.

- Domyślam się, że tak - rzekł.

Następne dwa dni spędziła ze Scottem, nikomu się z tego nie tłumacząc. Jednak cały czas miała wrażenie, że w istocie stoi on gdzieś obok i tylko ją obserwuje.

- Czy zauważyłaś, że mnie wykorzystujesz? - zapytał łagodnie.

Pili piwo, siedząc obok łodzi. Mieli za sobą cały dzień żeglowania.

- Wykorzystuję? Do czego? - zapytała.

- Żeby określić swoje terytorium.

Caroline spokojnie patrzyła na niego przez dłuższy czas.

- Jeśli wpadnie ci do głowy jakiś lepszy sposób wykorzystania ciebie, daj mi znać.

Caroline pomyślała z nagłym bólem, że ich czas się kończy.

Tej nocy również przyszła do niego. Wyszła przed świtem, całkowicie zagubiona w jego uczuciu i chaosie własnych myśli. Wówczas dostrzegła słabe światło na werandzie domu Mastersów. Zatrzymała się na plaży, patrząc w górę. W półcieniu dostrzegła nieruchomy cień obserwującego ją ojca.

Przez chwilę nie poruszał się, jakby pogodzony z jej postępowaniem.

Caroline ruszyła, przechodząc przez plażę i wspinając się po schodach na skarpę. Szła na jego spotkanie i czuła, jak bije jej serce. Kiedy jednak dotarła na górę, światło było zgaszone, a ojciec zniknął.

## OSIEM

Następnego ranka przy śniadaniu ojciec milczał. Caroline popijała kawę i starała się wyglądać normalnie. Tej nocy nie spała.

Larry, nieświadomy sytuacji, gadał cały czas o swojej rozprawie. Ale Betty, co zauważyła Caroline, co chwilę przenosiła wzrok z niej na ojca i z powrotem.

Kiedy Caroline wstała, żeby pomóc zmywać naczynia, ojciec podniósł rękę.

- Chciałem zamienić z tobą parę słów.

Larry spojrział na niego jakby właśnie przebudzony. Betty dotknęła jego ramienia i popchnęła go w stronę kuchni.

- Tak? - rzekła Caroline.

Ojciec założył ręce na piersiach.

- Trudno nie zauważyć, że spędzasz z tym chłopakiem z sąsiedztwa mnóstwo czasu. Pomyślałem, że może poznałbym go, zanim stąd wyjadę - powiedział chłodno.

Ich spojrzenia spotkały się.

- Dlaczego, ojczu?

- Bo grzeczność wymaga, by przedstawiać rodzicom swoich przyjaciół. Również dlatego, że - co dziwne - Betty i Larry twierdzą, że go nie znają. - Jego spojrzenie znieruchomiało. - Co, niezależnie od tego, czyja to wina, w ogóle wydaje mi się mało cywilizowane. Czy zgodzisz się ze mną?

Caroline poczuła się przyciśnięta do muru. Ojciec wiedział lub domyślał się, czyja to wina, a ona nie miała nic na usprawiedliwienie Scotta. Całej rozmowie towarzyszył podtekst minionej nocy.

Caroline wzruszyła ramionami.

- Mogę spróbować go zapytać...

- Obiad? - Scott uniósł brwi. - A o czym będę z tym człowiekiem rozmawiał? I dlaczego ma to dla ciebie takie znaczenie?

- Ponieważ on wie o tym, co dzieje się pomiędzy tobą i mną.

Scott pokręcił głową.

- Ale czy to nie ty jesteś najważniejszą osobą, która mogłaby mu o tym opowiedzieć? - zapytał.

Caroline skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Nie przesadzaj. Myślisz, że spotkanie przy obiednim stole z facetem w średnim wieku to przeprawa przez Rubikon? - Przerwała, słuchając własnych słów. - Czasami ludzie po prostu robią coś dla innych. Proszę, nie wprawiaj mnie w zakłopotanie - dodała łagodniej.

Scott oparł brodę na złożonych ramionach i ze smutnym zamyśleniem wpatrywał się w ocean.

- W porządku - rzekł. - Jeśli rzeczywiście tak wiele to dla ciebie znaczy.

Pierwsza godzina upłynęła w złudnym spokoju.

Scott wydawał się teraz Caroline inną osobą: odnosił się z szacunkiem do ojca, z uprzejmością do Betty i Larry'ego, z uwagą - choć nie przesadną - do niej. W każdym razie robił wrażenie, że ceni Caroline.

Wydawał się całkowicie odprężony, jak gdyby pełen wzajemnych uprzejmości obiad z uprzywilejowaną rodziną stanowił dla niego chleb powszedni. Caroline zauważyła, że Betty i Larry oraz Scott odnoszą się ciepło do siebie nawzajem. Jeśli nawet Scott miał coś przeciwko pytaniom Channinga o jego wykształcenie i pochodzenie - a Caroline była przekonana, że miał - to niemal nie dał tego po sobie poznać.

Po koktajlach zasiedli do obiadu.

- Czy to prawda - zapytał Scott Larry'ego - z tym „publikuj albo giń”?

- Zależy od szkoły. - Uśmiechnął się Larry. - Myślisz, że znalazłoby się coś dla mnie w tej Ohio Presbyterian?

Scott zastanowił się.

- Powinno. Moje ostatnie zajęcia z literatury angielskiej przypominały raczej widowisko niż seminarium. Nawet martwi odpadali. Cóż, profesor dużo publikował - dodał złośliwie.

Channing obserwował go z drugiego końca stołu.

- Czy angielski był twoim przedmiotem kierunkowym?

Scott pokręcił głową.

- Nie, historia. Przede wszystkim dwudziestowieczna historia Europy. Swoją drogą niezbyt wesoła.

Channing nie uśmiechnął się.

- Historia rzadko bywa wesoła. I rzadko taka będzie. Obawiam się, że to wina naszej natury.

Caroline zwróciła się do ojca:

- To podejście w stylu Hobbesa, czyż nie?

Channing przyglądał się jej.

- Nie wierzę w całkowitą przewidywalność człowieka. Nawet jeśli wierzyłem, to przestałem. W Niemczech.

Caroline spojrzała na Scotta.

- Ojciec pracował dla trybunału norymberskiego. Jako śledczy - wyjaśniła.

- Dzięki czemu - Channing zwrócił się do Scotta - zacząłem wierzyć w prawo, a przestałem w ludzi. Ludzie zawsze okazują się tylko ludźmi.

Wzrok ojca był wbity w twarz Scotta.

- Ale to ludzie tworzą prawo - wtrąciła Caroline - i historię. Tak jak my próbujemy to robić w Wietnamie.

Larry ukradkiem zakrył oczy i jęknął cicho.

- Padło słowo na W - wymamrotał.

Channing uśmiechnął się lekko i unióśł brwi, patrząc na Caroline.

- Tak sądzisz?

- Sądzę, że jeśli historię będą pisać Wietnamczycy, to mogą powołać własny trybunał, a wtedy na ławie oskarżonych jako zbrodniarze wojenni zasiądą Nixon i Kissinger.

Channing zmarszczył brwi.

- Myślę, że to zbyt uproszczenie - rzekł. - Nasz rząd nie dokonał przestępstw, lecz działań wojennych.

- Ojczy, przecież oni bombardowali cywilów. Tysiące! I po co? Żeby ocalić twarz w wojnie, której nigdy byśmy nie wygrali, a teraz nawet nie planujemy wygrać? Ludzie to tylko pionki na tej geopolitycznej szachownicy.

Channing pokręcił głową.

- Komunizm jest formą tyranii, przez którą zginęło co najmniej tyłu ludzi, ilu zabili naziści, do których tak lekkomyślnie porównujesz panów Nixona i Kissingera. Wybacz, Caroline - dodał łagodniej. - Oczywiście masz prawo do własnych poglądów. Ale szczerze wątpię, czy rodzice twojej matki, którzy zginęli w Oświęcimiu, zgodziliby się z tym porównaniem, a nawet czy ona sama.

Caroline się zaczerwieniła. Przypomniała sobie, że poglądy na ten temat Nicole były podobne do jej i że ojciec o tym wiedział. Ale nie czuła się na siłach, by głośno o tym powiedzieć.

W owej ciszy dostrzegła, jak Scott patrzy na nią z zaskoczeniem, a później ze współczuciem. Channing odwrócił się w jego stronę.

- A co ty o tym sądzisz, Scott? Być może byłem zbyt szorstki.

Caroline zobaczyła, jak Scott zakłada ręce na piersiach. Milczał przez chwilę, patrząc na Channinga, jakby próbując podjąć jakąś decyzję.

- Nie wiem - powiedział cicho. - Ale śmierć sześciu milionów Żydów nie jest dla mnie kartą do przebicia. Dwoje z nich było moimi dziadkami.

Channing nie spuszczał z niego wzroku. Dla Caroline Betty ze spuszczonymi oczami i blady Larry wydali się postaciami z obrazu.

- Uważasz, że Wietnamczycy to nasi Żydzi? - zapytał cicho Channing.

Scott uśmiechnął się lekko, lecz nie zmieniło to wyrazu jego oczu.

- Mówię tylko - odrzekł równie cicho - że jeśli ten sam pluton Amerykanów wkroczyłby do jakiejś niemieckiej wioski i zaczął tam zabijać i gwałcić każdego, kto wpadłby im w ręce, aż załatwiliby wszystkich, to pewno nie wyszłaby płyta *The Battle Hymn of Lieutenant Calley*. Raczej by go powiesili.

- I z całą pewnością słusznie. Ale twoja aluzja do My Lai ma związek z szerszym problemem - śmiertelnie cicho powiedział Channing. - Ponieważ młodzi ludzie o, nazwijmy to, większej wrażliwości, uzurpują sobie prawo do wyboru własnych wojen. W istocie są tak wrażliwi, że zostawiają tę wojnę takim, którzy reprezentują sobą tak niewiele, a Wietnam staje się dla nich wręcz okazją do zrobienia kariery. Natomiast jeśli chodzi o tych, jak ich nazwałeś, zbrodniarzy wojennych, to odpowiedzialność za ich niskie morale ponoszą ci, którzy bezpiecznie siedzą w domu zamiast dawać im przykład.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

- Tak - rzekł Scott. - Jestem szczęśliwy, że nie musiałem dowodzić swoich poglądów, ginąc na polu walki. Dzięki temu jestem tutaj, pośród żywych, i mogę o tym dyskutować. W przeciwieństwie do mojego kolegi z pokoju, który tam bezsensownie zginął.

Twarz Channinga napięła się. Potem, jak gdyby opamiętawszy się, nagle się zmieszał.

- Proszę, wybacz mi, Scott. Tak przyzwyczailem się do sporów i adwokatury, że zapomniałem, iż jesteś moim gościem.

Scott przyglądał się mu.

- Nic się nie stało - rzekł. - Z ojcem spieraliśmy się cały czas. Zanim w ogóle przestaliśmy ze sobą rozmawiać.



Caroline wybuchła nerwowym śmiechem. Widziała twarz ojca, który ledwie się uśmiechał.

- Dlaczego nigdy nie opowiedziałaś mi o swojej matce? - zapytał ją Scott dwie godziny później.

Caroline nie patrzyła mu w twarz.

- O tym się nie mówi ot tak.

Stali na pomoście, opierając się rękami o poręcz i obserwując zachód słońca nad zatoką Nantucket. Scott odwrócił się do niej.

- Ale to ważne, prawda?

Potrząsnęła głową.

- A czy ja wiem wszystko, co ważne, o tobie? - zapytała cicho.

Nie odpowiedział. Caroline również milczała.

- W każdym razie - rzekła w końcu - bardzo mi przykro, że zaczęłam ten spór o Wietnam.

Scott zmrużył oczy.

- Tu nie chodziło o Wietnam, Caroline. Chodziło o ciebie. I o mnie. - Przerwał na moment. - Czy myślisz, że bywają w ogóle takie chwile, kiedy twój ojciec nie jest przekonany o słuszności tego, co robi i czego chce?

Dotknęła jego dłoni.

- On jest dobrym ojcem, Scott. Według tego, w co wierzy, pragnie dla mnie wszystkiego najlepszego.

Scott ścisnął jej dłoń.

- Zawsze uważałem, że sprawdzianem dla rodzica jest to, czy potrafi wychować dziecko na dorosłego.

Caroline cofnęła rękę i zeszywniała.

- Chcesz powiedzieć, że w moim wypadku mu się nie udało?

Oczy Scotta były nieruchome i poważne.

- Chcę tylko powiedzieć, że może zmusić cię, byś wybierała. Ale prawdziwy wybór to nie ten, który on sobie wyobraża: pomiędzy nim a złem, które symbolizuję dla niego ja czy ktokolwiek inny. - Przerwał. - To będzie wybór między nim a tobą - dokończył cicho.

Spotkała ojca na werandzie. Siedział tam i sącył brandy. W zmerzchu jego gęboko osadzone oczy wydały się pochmurne.

Caroline nie usiadła.

- To było niewybaczalne - powiedziała głucho.

Channing spuścił wzrok.

- Tak, zapewne było. Szczególnie, że nalegałem, żeby tutaj przyszedł. - W jego głosie brzmiał autentyczny żal.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała Caroline.

- Bo uważam, że to, w co się wierzy, ma duże znaczenie. Że znaczenie ma sposób rozumowania. - Spojrzał gdzieś w dal. - Być może chodziło jeszcze o coś więcej, Caroline. Będąc tutaj, mimowolnie zaczynam myśleć o Nicole. Pamiętam wszystko, co przeszła w czasie wojny i co, jak sądziłem, dla niej znaczyłem. Myślałem, że potrafię ją uratować - zrobić to, czego nie potrafili jej rodacy. Myślę też o Paulu Nerheimie. - Zamilkł na moment. - Mimo woli czuję gniew z powodu jej zdrady. Ten gniew przelałem na was wszystkich w czasie obiadu, choć tego nie chciałem. Po prostu miałem wrażenie, że wy dwoje umniejszacie wartość tego, w co ja wierzę. Wstyd mi za to.

Wyznanie to zabołało Caroline. Zrozumiała, że lata milczenia nie zaleczyły jego ran. Uszedł z niej gniew, ustępując miejsca smutkowi wspomnień. Pomyślała, że nie ma właściwie nic, co mogłaby jeszcze powiedzieć.

Podeszła do Channinga i pocałowała go w czoło.

- Dobranoc, tato - rzekła i odwróciła się, żeby wyjść.

- Chcesz wiedzieć, co myślę? - zapytał łagodnie. - O Scotcie, rzecz jasna.

Caroline znowu stanęła do niego twarzą.

- W porządku - powiedziała po chwili.

Zbierając myśli, ojciec odstawił brandy.

- Coś z nim nie jest w porządku, Caroline - powiedział łagodnie, jakby z oporem. - Prawdziwi ludzie są zintegrowani: składają się z tego, kim są i co zrobili. Nie muszą o tym rozmyślać. - Spojrzał na nią. - Czy zauważyłaś, jak rozumuje ten chłopak? Nie chodzi mi o jego poglądy. Ma aż nadto pasji. Chodzi mi o to, za kogo się uważa. Albo też kogo udaje.

- Co chcesz przez to powiedzieć, ojczy?

- Cóż, tego jeszcze nie wiem. - Zmrużył oczy. - Być może to pewien rodzaj instynktu, który nabędziesz za jakieś dziesięć lat, kiedy przesłuchasz już ze stu świadków. Będziesz patrzyła w ich oczy i zaczniesz w końcu dostrzegać ten ułamek sekundy, w którym dokonują swoich kalkulacji. Będziesz wiedziała, że niepotrzebnie się tak z tym wysilają. Podobnie jak ten chłopak, który spędził

pierwsze godziny u nas, udając mniej inteligentnego, niż jest. - Przerwał. - Nie wiem, jak się teraz mają twoje sprawy z Jacksonem. Ale wiem, że on jest prawdziwym człowiekiem. I to wspaniałym.

- Który we wszystkim się z tobą zgadza. - Caroline podniosła głos. - A może na tym właśnie polega problem ze Scottem? Że ośmiela się z tobą nie zgodzić?

- Jak możesz tak myśleć? Chodzi mi o charakter, nie o poglądy. - Spojrzenie ojca stało się odległe. - Nie chciałbym się w nic wtrącać, Caroline. I mam nadzieję, że tego nie robiłem - a przynajmniej w nie większym stopniu, niż mógłby to robić każdy inny rodzic o dobrych intencjach. Ale zły charakter to zgnilizna, na którą nie ma lekarstwa. Jeśli chcesz uniknąć zarażenia się tym, powinnaś z nim zerwać.

Nagle do Caroline dotarło, że ta rozmowa również dotyczyła nie tyle Scotta Johnsona, ile jej matki.

- Nie ma żadnej skazy - warknęła. - Ona istnieje tylko w twojej wyobraźni.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odwróciła się i wyszła.

## DZIEWIĘĆ

Konfrontacja z ojcem położyła się również cieniem na stosunkach pomiędzy Caroline i Scottem.

Obecność Scotta napełniała ją radością i namiętnością, choć uczucia te były podszyte wątpliwościami: instynkt mówił jej, że pod pewnym - choć nie wiedziała dokładnie jakim - względem Channing Masters miał słuszość. Siedząc samotnie w pokoju, wyliczała niespójności w zachowaniu Scotta: jego beztroskę w połączeniu z głęboko zakorzenioną ostrożnością, jego pozorną prostaczkowatość połączoną z ewidentnym obyciem, jego wystudiowaną niechęć do towarzystwa w zestawieniu z łatwością, z jaką nawiązał kontakt z tymi kilkoma osobami, które razem spotkali. Przybierając postawę cynicznej bezcelowości, wykazywał się jednocześnie niezwykle przenikliwym umysłem. Caroline wiedziała, że ich czas się kończy, i obawiała się, że nigdy go nie pozna.

Gdzieś w głębi czuła, że dotarcie do przyczyn takiego zachowania Scotta może okazać się niebezpieczne: jeśli były sprawy, którymi nie chciał się z nią podzielić, widać musiał mieć ku temu powód. Lecz dni mijały, a Caroline pragnęła spędzać z nim każdą wolną chwilę. Miała wrażenie, że jeżeli nie przestanie się lękać jego milczenia, a w zasadzie jego domniemyanych przyczyn, to na zawsze pozostanie pomiędzy nimi coś, czego nie będą mogli powiedzieć.

- Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś - odezwała się. - Chcę wiedzieć dlaczego.

Po długim dniu spędzonym na wodzie leżeli na pomoście. Delektowali się winem, serem i zachodem otoczonego pomarańczowoczerwonymi obłokami słońca. Caroline złamała swoim nagłym pytaniem przyjemną ciszę i nastrój tego dnia tak raptownie, że ją samą to przeraziło.

Scott nie był zaskoczony.

- Skąd ci się to wzięło? Czy to twój ojciec? - zapytał ostrożnie.

- Przestań się ze mną mierzyć, dobrze? Grasz kogoś, kim nie jesteś, a ja mam mieć gdzieś wszystko, co o tym myślę czy czuję. - Wstała pod wpływem siły swojego gniewu. - Spędzam z tobą każdą wolną chwilę, tak jak gdybyśmy byli ze sobą na śmierć i życie, a tak naprawdę to wszystko sprowadza się do tego, że pieprzyłam się z tobą przez to całe lato. Bo nie mogę do ciebie dotrzeć.

Scott odstawił wino i odwrócił się do niej.

- To przecież ty odchodzisz, Caroline. Nie oczekuję, że zrezygnujesz dla mnie ze studiowania prawa, więc i ty nie oczekuj ode mnie, że podetnę sobie żyły.

Za tymi chłodnymi słowami kryły się emocje. Caroline położyła dłonie na jego ramionach i spojrzała mu w oczy.

- Kiedy tylko zaczynam planować swoje dalsze życie, widzę, że wywróciłeś mi w nim wszystko do góry nogami. Czy to lato naprawdę nic dla ciebie nie znaczy?

Zauważyła, że zbladł, wystraszony. Nagle poczuła się odsłonięta i bezbronna ze swoimi uczuciami wobec niego.

- Spójrz na mnie - powiedział łagodnie.

Powoli podniosła głowę. Widząc płynące po jej policzkach łzy, Scott zamknął oczy. Przełknął ślinę. Kiedy ścierał je palcem z jej twarzy, patrzył na nią z tak wielką czułością, że wręcz bolesną.

- Dlaczego to robisz? - zapytał. - Czy nie zdążyłaś jeszcze zauważyć, jak bardzo cię kocham?

Był to dla Caroline szok. W milczeniu pokręciła głową.

Jego ramiona opadły.

- A myślisz, że dlaczego tutaj jeszcze jestem? Powiniennem stąd wyjechać dobrych parę tygodni temu.

- Dlaczego?

Scott pokręcił głową i objął ją. Robił to niemal rozpaczliwie i z tęsknotą.

- Chodź się ze mną kochać - wymamrotał zachrypniętym głosem. - Proszę.

Caroline zaczęła dygotać. Poszli do łóżka niczym ćmy, które przyciąga płomień.

Roztrzęsieni, rozpaczliwie zdierali z siebie ubrania. Usta i ręce błędziły po ciałach tak, jak gdyby byli kochankami spotykającymi się po tygodniach rozłąki. Nigdy nie robili tego w taki sposób - w zapamiętaniu, szaleńczo i gwałtownie. Caroline nie poznawała siebie.

Razem krzyknęli.

Potem leżeli obok siebie w ciemności, wstrząśnięci i bezbronni. Caroline udawała, że śpi. Była wewnętrznie rozdarta.

Leżący obok niej Scott miotał się niespokojnie, aż wreszcie poderwał się z łóżka. Caroline nie odezwała się ani słowem. Leżała sama w ciemności. Scott nie wracał. W końcu też wstała.

Powietrze było chłodne. Dostała gęziej skórki i stwardniały jej sutki. Grzebiąc w rozrzuconych na podłodze ubraniach, znalazła koszulkę i wciągnęła ją przez głowę.

Ubrany tylko w dżinsy Scott siedział na pomoście. Podeszła i stanęła za jego plecami. Wiedziała, że wyczuwa jej obecność. Nie poruszył się jednak.

- O co chodzi? - zapytała.

Odwrócił się do niej i w świetle księżyca mogła dojrzeć jego twarz.

- Nazywam się David Stern - rzekł cicho.

Caroline miała wrażenie, jak gdyby mówił o kimś, kogo utracił. Chwyliła go za rękę. Spuścił wzrok na ich splecione palce.

- Wybrałem nazwisko Johnson dla żartu, z powodu Lyndona. Ale Scotta dlatego, że zawsze lubiłem Fitzgeralda. Zdaje się, że już nigdy nie będziemy się w stanie dogadać.

Caroline patrzyła na niego.

- Ale dlaczego udawałeś?

- Czy nie domyśliłaś się tego? - zapytał gorzko. - Sam dałem sobie zwolnienie z wojska, Caroline. Uciekłem przed poborem.

Caroline zamilkła. Była wstrząśnięta, choć zarazem odczuwała ulgę. Patrzyła na niego, czekając.

- Jestem z Kalifornii, nie z Ohio - powiedział w końcu. - Byłem w Berkeley i miałem iść na studia prawnicze do Stanford. - Wbił wzrok w pomost. - Ale dostałem kategorię A. Jestem całkowicie przeciwny wojnie. Mój ojciec krzyczał na mnie, mówiąc coś o drugiej wojnie światowej. Matka błagała mnie, żebym pojechał do Kanady, a mój doradca poborowy radził mi, żebym wykorzystał argumenty religijne. Nic mi nie odpowiadało. Nienawidziłem wojny i nie chciałem tam umierać. Kanada nie była moim domem. Nie chciałem walczyć w wojnie mojego ojca. Przez dwa lata starałem się o odroczenie ze względów zdrowotnych. Potem skończyły się możliwości dalszych odwołań. Pomyślałem, że jedynym słusznym moralnie rozwiązaniem byłoby pójść do więzienia. - Przerwał, a potem spojrzał Caroline prosto w oczy. - Twój ojciec mnie przejrzał. W ostatniej chwili stchórzyłem. Na dzień przed terminem zgłoszenia się po prostu zwałem. - W głosie Scotta słychać było pogardę dla samego siebie. Jak gdyby chcąc go zachęcić, by mówił dalej, Caroline ścisnęła jego dłoń. - Matka dała mi trochę pieniędzy - rzekł w końcu. - Ojciec nic o tym nie wiedział. Któregoś ranka po prostu zniknąłem razem z moją gitarą, walizką z rzeczami i biletem do Miami na nazwisko Scott Johnson. Wybrałem Miami tylko dlatego, że nigdy tam wcześniej nie byłem. - Pokręcił głową. - Miałem przy sobie tylko tysiąc dolarów i kalifornijskie prawo jazdy na nazwisko David Stern. Wynająłem drogi pokój w hotelu, w którym nie dbano o nazwiska gości.

Skontaktowałem się z grupą przeciwników poboru, o której słyszałem jeszcze w szkole. Niektórzy z nich robili na lewo różne rzeczy. Na przykład przerabiali świadectwa urodzenia zmarłych na użytek innych ludzi. Dałem im więc pieniądze i tkwiłem w pokoju, wymyślając własną przeszłość. Dzień po dniu zapadałem się w sobie. Byłem nikim. Nie miałem przyjaciół. Nikomu nie mogłem się przyznać, powiedzieć prawdy. Nie mogłem zadzwonić ani napisać do moich kolegów. FBI mogło podsłuchiwać ich telefony lub czytać pocztę. Ktoś z nich mógłby przeze mnie skończyć w więzieniu. Nie byłem pewien, czy mój ojciec nie zrobiłby czegoś głupiego - na przykład nie przyjechał tutaj, żeby mnie szukać. Bałem się, żeby mój brat lub siostra się nie wygadali.

Caroline obserwowała jego twarz.

- A więc twoja rodzina to realni ludzie.

- O, tak. - Spojrzał na nią ostro. - List, na który patrzyłaś, kiedy przysłałaś tutaj po raz pierwszy,

był do mojej ciotki w Denver. Paliła koperty, a listy czytała przez telefon mojej matce. Nigdy nie mogłem przyznać się, gdzie jestem.

Caroline usiłowała wyobrazić sobie siebie w podobnej sytuacji, odciętą od rodziny. David zagubił się we własnych wspomnieniach.

- Zanim dostałem nowe dokumenty, FBI nakryło ludzi, którzy je robili. Wyniosłem się stamtąd, zanim ktokolwiek mnie znalazł. Nie mogłem wypożyczyć samochodu, bo wtedy moje nazwisko trafiłoby do komputera. Kupiłem więc bilet autobusowy do Bostonu, który wydał mi się jedynym miejscem tak gęsto zaludnionymi przez studentów, że mógłbym się bez problemu ukryć wśród nich. Było tam jednak zbyt wielu ludzi, których musiałem okłamywać. Zbyt wielu, którzy chcieli zobaczyć moje dokumenty - praca, kupno samochodu czy nawet drinki. Miałem mało gotówki i bałem się ryzykować kupno nowych papierów. Wreszcie zrozumiałem, jakim luksusem było życie Davida Sterna. Przyjechałem więc tutaj, na koniec świata, a przynajmniej Stanów Zjednoczonych. W Vineyard ludzie przywykli do przyjezdnych. - Przerwał. - Dostałem pracę, kupiłem samochód bez rejestracji i miałem nadzieję, że nikt mnie tu nie znajdzie, dopóki sam nie zdecyduję, co robić.

Caroline obserwowała go.

- A więc kiedy pojechaliśmy do miasta...

- Pozwoliłem sobie wyjść z tobą. Teraz mogę ci pokazać moje prawo jazdy. Skąd mogłem wiedzieć, z kim będziesz rozmawiała? - David potrząsnął głową. - Ale to nic w porównaniu z moją głupotą. Jak mogłem się tak wtedy zapomnieć! Wystarczyłoby, żeby ten twój gliniarz wprowadził moje nazwisko do komputera, sprawdził moją rejestrację czy w ogóle się mną zainteresował. - Zastanawiał się. - Gdyby nie ty, skończyłbym pewno w miejscowym areszcie, czekając, aż zabierze mnie stąd do Bostonu jakiś facet z FBI. Powinienem był wtedy wyjechać.

W ciszy dotknęła jego twarzy.

- Dokąd?

- Do Kanady - powiedział cicho i smutno. - Zamierzałem wyjechać stąd już od tygodni. Ale każdego tygodnia wymyślałem sobie inne powody, żeby zostać. Aż w końcu zrozumiałem, że wyjadę dopiero wówczas, kiedy ty to zrobisz.

Caroline odsunęła się od niego, dotykając teraz jego palców. Starła się przyjąć to do wiadomości.

- Więc to wszystko, o czym mi mówiłeś...

- Było kłamstwem. Owszem, w większości. Z wyjątkiem tej historii o Bobbym Kennedym. Ale to działo się w Kalifornii, nie w Indianie. Byłem tam, kiedy go zastrzelili. - Zaczął mówić wolniej. - Mogliśmy wygrać, Caroline. Byliśmy już tak blisko...

Nie dokończył. W ciszy ich palce splotły się.

Ten drobny gest przeniósł ją w jego świat. Poczowała głębię jego osamotnienia i strach, w którym żył. Poczowała nagle wagę własnej odpowiedzialności za ochronę go przed kimkolwiek, kto mógłby przez beztroskę lub zawiść go wydać.

- Czy możesz coś zrobić, żeby się z tego wszystkiego wyplątać? - zapytała.

Jego uśmiech wyrażał zrozumienie. Jakby pojął, że dowiedziawszy się prawdy i zrozumiawszy jego sytuację, Caroline nie będzie w stanie zareagować inaczej niż tylko pragnieniem, by sprawy zmieniły bieg.

- Bez odsiadki? Polityka tego rządu ani czasy nie sprzyjają przebaczeniu. Zbyt wiele dzieciaków znacznie młodszych ode mnie pojechało tam i zginęło, by teraz żałować kogoś, kto uciekał przed poborem. Obawiam się, że musiałbym to odpokutować. - Przerwał na chwilę. - Co robiłbym po więzieniu? Nie mógłbym pracować tutaj jako prawnik. Nie sądzę, żeby dali mi choćby prawo do głosowania. Po prostu podjąłem złą decyzję. Co noc o tym myślę i znowu, i jeszcze raz... Jestem już tym zmęczony. Mam siebie dość. W Kanadzie też są szkoły prawnicze. Tam mógłbym znowu być Davidem Sternem. Może po kilku latach zdołałbym się nawet dowiedzieć, kim jest teraz.

Wtedy pojęła jego samotność, jego lęk przed ludźmi i świadomość, że jedną chwilą strachu i niezdecydowania na zawsze zniszczył coś w swoim życiu.

- Jak więc widzisz, nie mam tobie zbyt wiele do zaoferowania - powiedział cicho.

Caroline siadła na krześle.

- Chciałbym żyć - powiedział David. - Żyć z tobą. Ale wiem, że nigdy nie będzie to możliwe.

Caroline robiło się słabo.

- Prosisz mnie, żebym z tobą została?

- Tak.

Caroline poczuła się tak, jak gdyby przeniesiono ją do czyjegoś życia. Nigdy nie była tak zagubiona.

David dotknął jej włosów.

- Jeśli odejdę stąd teraz, nie znając twojej odpowiedzi, nigdy się z tym nie pogodzę.

Caroline pokiwała głową.

- Ale to takie...

David cofnął rękę.

- Wiem. Twój ojciec. Twoje życie...

- Mam takie życie, jakie ty miałeś kiedyś. - Caroline podniosła głos. - To niesprawiedliwe zrzucać winę na mojego ojca. Jeszcze dwa lata temu twoje życie bardzo przypominało moje. Teraz dowiaduję się, że większość tego, co mi powiedziałaś, jest kłamstwem, że twoje życie jako Amerykanina jest skończone i że mam porzucić wszystko, wyjeżdżając w jakieś miejsce, w którym nigdy nie byłam i



nie zamierzałam być. W porządku, zostawię swoją rodzinę.

Odwrócił się od niej.

- Dlatego właśnie próbowałem się w tobie nie zakochać. To nie było w porządku wobec ciebie...

- Zostaw mnie tutaj samą, dobrze?

Na moment odwrócił się do niej. Potem bez słowa wstał i odszedł.

Było wiele rzeczy, z którymi musiała się teraz pogodzić. Przez jakiś czas stawały jej przed oczami tylko miejsca, które stanowiły jej część, i pragnęła, by na zawsze nią pozostały: Masters Hill, miasteczko Resolve, Harvard Yard, Boston, jezioro Heron, strumienie i góry New Hampshire. A potem twarze przyjaciół z college'u, Jacksona, Betty i Larry'ego, Channinga Mastersa - ojca, który był z nią i prowadził ją od zarania jej świadomości.

Z żadnym z nich nie czuła się nigdy tak jak z Davidem Sternem.

David.

Tak, to on był prawdziwym człowiekiem. Mimo ran, które sam sobie zadał, istotnie okazał się człowiekiem, jakiego w nim wyczuwała. Przez chwilę miała dziwne zawroty głowy i poczuła uniesienie. Wszystko wydawało się tylko możliwe... Ich wspólna przyszłość również.

Bo Caroline była zakochana w Davidzie Sternie.

Szczęśliwa i smutna, pełna miłości i przerażenia własną dezorientacją, Caroline poszła do niego.

Leżał na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit.

- Odtąd będziesz dla mnie Davidem, dobrze? To przynajmniej jakiś początek - powiedziała cicho.

Patrzył na nią spojrzeniem wypełnionym nadzieją i wątpliwościami.

- Rozumiem. Naprawdę cię rozumiem. Jeśli nie możesz jechać, z pewnością masz ku temu ważne powody - powiedział.

Caroline stała u wezgowia łóżka i patrzyła na niego, leżącego w świetle księżyca. Potem powoli zdjęła koszulkę.

Stała teraz przed nim, wyzbyta nieśmiałości. David patrzył na nią z łóżka w milczeniu. Pragnął jej. Caroline pragnęła, by ta chwila trwała całe wieki.

- Kocham cię, Davidzie.

W milczeniu wyciągnął do niej ramiona.

Podeszła to niego. Kochali się powoli i czule. Potem długo leżeli razem w ciemności.

Kolejne minuty mijały bez słowa. Scott, nadal nie odzywając się ani słowem, przejechał palcami w dół po jej plecach.

Caroline pomyślała, że może znowu jej pragnie. Dotknęła jego twarzy.

- Opowiedz mi o swojej matce - rzekł cicho. - Wszystko.

## DZIESIĘĆ

To było szaleństwo.

Leżeli tam, patrząc sobie w oczy, wilgotni od potu. Caroline nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego.

Ale przecież jej dotychczasowe życie było zupełnie w porządku. Postępowała w nim krok po kroku ku jednemu celowi, jaki sobie wymarzyła. Caroline Masters zawsze zdawała sobie sprawę, że nie żyje w próżni. Czuła się obywatelką Nowej Anglii, córką swego ojca, absolwentką Radcliffe - osobą, która ma przed sobą karierę. Poza tym była dziewczyną Jacksona. Bez tego wszystkiego nie istniała Caroline Masters, lecz tylko to pełne namiętności stworzenie, określone jedynie miłością do ledwie znanego sobie człowieka, którego imię wymawiała teraz z pewnym zdziwieniem. Nie mogła sobie wyobrazić życia z nim.

To było szaleństwo.

Nie mogła spać, straciła apetyt i miała zawroty głowy. Pod jej oczami pojawiły się ciemne obwódki.

I co noc szła do Davida.

Nie mogła podjąć decyzji i nie było nikogo, kto mógłby jej w tym pomóc. Caroline tęskniła teraz za matką bardziej niż w owych miesiącach bezpośrednio po jej śmierci.

Dzwonił ojciec, dzwonił też Jackson. Jeśli akurat była w pobliżu, by móc z nimi porozmawiać, miała wrażenie, jak gdyby gawędziła z obcymi ludźmi. Niemal nie dostrzegała ich reakcji.

Jedyną osobą, z którą mogła naprawdę rozmawiać, był David.

W środku nocy wysłuchiwał jej, gdy mówiła o swoich wątpliwościach i lękach.

- Caroline - rzekł w końcu. - Jeśli wiedziałbym, że postawię cię w takiej sytuacji, nigdy bym cię o to nie prosił. Powinienem być po prostu odejść.

Widząc jego smutek, Caroline przeraziła się nagle, że wyszedłszy, już więcej go nie zobaczy. Kiedy więc następnego dnia dostrzegła przez okno jego głowę i kręcone włosy, rozplakała się.

Został jeszcze tylko tydzień. Niczym automat, wyzbyta zapału i zdecydowania, przygotowywała się do wyjazdu na studia.

Następnego dnia Caroline, posługując się kiepskimi wymówkami, odwołała wizytę swoich przyjaciół z college'u. Poszła na plażę, czując się we własnej skórze jak więzień.

Siadła na piasku, próbując powstrzymać łzy.

Wodząc wzrokiem wzdłuż linii brzegu, dostrzegła w oddali sylwetkę siostry zbierającej muszle.

Instynkt kazał jej wstać, lecz była już tak wyczerpana, że w zasadzie przestała przejmować się tym, co może się wydarzyć. Widząc zbliżającą się Betty, Caroline zdołała jedynie powstrzymać się od płaczu.

Milcząc, siostra siadła obok niej. Przez jakiś czas przesypywała piasek między palcami, zmrużonymi oczami obserwując, jak ziarenka opadają z powrotem na plażę. Chłodny wiatr owiewał ich twarze.

- Proszę, Caroline, porozmawiaj ze mną.

- Naprawdę nie ma o czym mówić.

Betty milczała.

- W takim razie ja mam ci coś do powiedzenia - rzekła w końcu. - Chyba jestem w ciąży.

- Jak się czujesz?

- Nieźle, jak do tej pory. - Uśmiechnęła się. - Ale to trochę spóźnione.

Zmuszając się do uśmiechu, Caroline dotknęła jej ramienia.

- Mam nadzieję, że to prawda. W takim razie zostanę ciocią Caroline.

- No pewno! - Ta myśl sprawiła Betty przyjemność. Potem jej uśmiech zbladł. Położyła dłoń na ramieniu Caroline. - Wiem, że nie zawsze byliśmy prawdziwymi siostrami. Ale chciałabym, żebyś ze mną porozmawiała.

Caroline była jednak zbyt wycieńczona. Do oczu znowu napłynęły jej łzy.

- Proszę - naciskała Betty. - Nie możesz tak przecież żyć.

Przez dłuższy czas Caroline wpatrywała się w piasek.

- On nie ma na imię Scott - wydusiła w końcu z rozpacz i wyczerpania.

Przeszło jej to przez gardło z trudnością niczym słowa zdrady. Betty zacisnęła usta.

- Czy ma jakieś kłopoty?

Caroline chwyciła ją za ramię.

- Nie mogę o tym rozmawiać. Nie możemy.

- Ale o co tu chodzi? Ja i Larry zamartwiamy się o ciebie. Podobnie ojciec.

Caroline przełknęła ślinę.

- Oni nie mogą się tego dowiedzieć. Mówię to tylko tobie.

Po chwili Betty skinęła głową. Caroline zamknęła oczy.

- Szukają go. Nie zgłosił się do poboru. - Przerwała, by spojrzeć siostrze w oczy. - Poprosił mnie, żebym z nim wyjechała. Do Kanady.

Betty zbladła.

- Mój Boże, Caroline!

W jej głosie pobrzmiwało stłumione zaskoczenie, które odczuła również Caroline. Pomyślała, że być może Betty będzie mogła to zrozumieć.

- Wiem - rzekła Caroline. - To zmieniłoby całe moje życie.

- Więc jak w ogóle możesz o tym myśleć?

- Bo nigdy nie kochałam nikogo tak jak jego. Nie wiedziałam nawet, że potrafię. - Ścisnęło ją w gardle. - Czy wiesz, jak to jest?

Betty uśmiechnęła się do niej słabo.

- Że chciałabyś być jeszcze bliżej, że pragniesz, żeby był w tobie głębiej, choć to niemożliwe? Że rozdarłabyś przed nim swoją duszę? - Jej chropawy głos brzmiał smutno. - Świat rozpalonej nowej miłości jest pełen szaleństwa. Jego częścią jest złudzenie, że zdarzyło się to tylko tobie.

- Nie myślę tak - odparła ostro Caroline. - Chodzi tylko o to, że mi się to przytrafiło.

- Podobnie jak i mnie z Larrym - Betty przerwała. - Ale on nigdy nie poprosił mnie, żebym porzuciła dla niego całą rodzinę i wszystko, co mi bliskie. Nigdy później też nie musiałam tego robić. Udało mi się wtopić Larry'ego w kontekst życia takiego, jakim je sobie wyobrażałam. Stał się częścią całości. I, na moje szczęście, pasował do niej. - Chwyciła Caroline za ramiona. - Zaplanowałam swoje życie, Caroline. Scott, kimkolwiek jest, nie pasuje do niego. A osoba, na którą teraz patrzę, nie jest tobą.

- Ale to moje życie! - wybuchnęła Caroline. - Czy może tylko życie, które dał mi ojciec?

Betty wyglądała na zaskoczoną.

- Czy twoje życie to Kanada? - odpowiedziała, lecz zaraz ściszyła głos. - Wiem, że sądzisz, iż to miłość twojego życia, ale tak nie jest. Gdyby on nią był, nie prosiłby cię, żebyś z tego życia zrezygnowała. Nie na tym polega miłość...

- Na wszystko masz odpowiednie przepisy - na to, jak powinna funkcjonować miłość, jak powinny

funkcjonować rodziny. David mnie do niczego nie zmusza. Nie naciska mnie...

- David?

Caroline zawahała się.

- Tak.

Betty posmutniała. Jej głos znowu był cichszy:

- Tak mi przykro, Caroline. Nie wyobrażałam sobie, że dzieje się z tobą coś takiego.

Caroline widziała, że smutek siostry jest autentyczny.

- Co masz na myśli?

Betty spuściła wzrok.

- Zawsze wydawałaś mi się taka zaradna i silna. Nie myślałam, że kiedykolwiek będziesz kogoś potrzebowała tak, jak na przykład ja potrzebuję Larry'ego. - Pokręciła głową. - Chciałam ci pomóc, ale teraz to ja jestem wstrząśnięta. Myślę, że ojciec byłby jeszcze bardziej. - Przerwała. - Nie potrafię mu ciebie zastąpić. Nikt by nie potrafił.

Caroline wiedziała, jak trudne dla Betty jest to wyznanie. W milczeniu ścisnęła rękę siostry.

- Od śmierci twojej matki jest taki samotny. Czasami myślę, że nadzieja na otworzenie z tobą praktyki prawniczej jest dla niego wszystkim.

Caroline pomyślała, że to zupełnie tak, jak gdyby David odsłonił jej tę bolesną prawdę.

- Wiem - odpowiedziała w końcu. - Ale czy to oznacza, że powinnam to zrobić?

Betty znowu na nią spojrzała.

- Nie chodzi tylko o ojca. Chodzi przede wszystkim o ciebie. To nie on dostał się do Harvard Law School - powiedziała ostrzej. - Twierdzisz, że nie możesz poświęcić swojego życia dla ojca. Jak w takim razie możesz poświęcić je komuś, o czym istnieniu przed dwoma miesiącami jeszcze wcale nie wiedziałaś? To naprawdę błąd.

Caroline w duchu przyznała, że nie ma w tym nic prócz tego, co sama zdążyła już sobie powiedzieć.

Betty patrzyła jej w twarz.

- Porozmawiaj z ojcem, Caroline. Przynajmniej to mogłabyś zrobić. Dla niego i dla siebie.

Caroline zakryła oczy dłońmi.

- Nie mogę - jęknęła.

- Może Davida coś nagli, ale ciebie nie. Możesz jechać do Kanady, kiedy tylko zechcesz. - Betty mówiła znowu złagodnie. - Puść go, a sama porozmawiaj z ojcem. Nie mogłabym znieść, widząc, co mu robisz.

Myśl o zaniedbywanej i odsuwanej Betty, która teraz próbuje utrzymać więzi rodzinne, sprawiła, że w oczach Caroline znowu pojawiły się łzy.

- Proszę - nalegała Betty. - Zrób to dla siebie i dla niego.

Caroline chwyciła siostrę za rękę.

- Co zrobię i jak to zrobię, będzie zależało ode mnie, zgoda? Proszę, obiecaj mi to.

Betty wpatrywała się w nią, lecz nagle opuściła wzrok.

- W porządku - powiedziała.

- Lecę do Bostonu - rzekła Caroline. - A w zasadzie do Cambridge.

David milczał, ukryty w ciemności.

- Żeby odwiedzić stare śmiecie? Czy żeby zwiedzić nowe?

- Jeszcze nie wiem. - Dotknęła jego ramienia. - Chyba między innymi dlatego, że tutaj nie mogę myśleć.

Przyciągnął ją do siebie.

- To dobry pomysł - rzekł smutno.

Następnego wieczoru Caroline poleciała do Bostonu.

Po południu, w chłodny, prawie jesienny dzień Caroline bez celu włóczyła się po kampusie Harvardu. Ledwie dostrzegała to, co ją otaczało. W końcu przysiadła na schodach budynku wydziału prawa. Letni studenci wchodzili i wychodzili. Czowała się prawie jednym z nich. Lecz zdała sobie sprawę, że być może nigdy nim nie zostanie.

Zmusiła się, żeby do niego nie dzwonić.

Tej nocy, spędzonej w hotelowym pokoju, kiepsko spała. Nie zjadła obiadu ani kolacji. Rankiem wyjrzała przez okno wychodzące na park. Był zielony i miał pewien sielankowy urok niczym cząstka Londynu umieszczona w środku jakiegoś młodszego miasta. Niebo ciemniało. Instynkt żeglarski podpowiadał jej, że na Vineyard musi panować sztormowa pogoda. Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie Davida żeglującego z rozwianymi włosami i uśmiechającego się zza steru.

Podeszła do telefonu, żeby do niego zadzwonić.

Długo nie odbierał, lecz Caroline nie odkładała słuchawki. W końcu odezwał się.

- Cześć - powiedziała Caroline. - To ja.

- Cześć - odrzekł, a Caroline, słysząc jego głos, zaczęła nabierać życia. - Brakowało mi ciebie.

- Ja też za tobą tęsknię. - Zaczepnęła głęboko powietrza. - Jestem gotowa o tym porozmawiać.

Wracam dzisiaj po południu.

- Mam odebrać cię z lotniska?

- Nie, sama cię znajdę, kiedy wrócę. - Przerwała. - To da mi jeszcze trochę czasu.

Przez chwilę trwała cisza. W końcu odezwał się David:

- Możesz mi powiedzieć chociaż parę słów?

Caroline siadła na łóżku.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli porozmawiamy o wszystkim na miejscu, dobrze?

- Dobrze. - Starał się zachować spokój.

- Kocham cię, Davidzie - powiedziała cicho Caroline.

- I ja cię kocham, Caroline.

Powoli odłożyła słuchawkę, nie wiedząc, że po raz ostatni słyszy od niego te słowa.



## JEDENAŚCIE

Caroline leciała na Vineyard. Silny wiatr rzucał dwusilnikowym śmigłowym samolotem. Nagle nieopodal uderzył piorun. Niewielka maszyna opadła gwałtownie, po czym wyrównała lot. Kolejna błyskawica rozjaśniła wzburzone morze. Caroline trzymała się kurczowo podłokietników i usiłowała myśleć o Davidzie.

Schodząc do lądowania, samolot kołysał się z boku na bok. W końcu podwozie dotknęło lotniska. Zaczęli kołować. Ze środka, wprost na szalejący deszcz i wiatr, wysypała się garstka pasażerów. Caroline wysiadła ostatnia.

Przed lotniskiem, którego drewniany budynek pochodził z czasów drugiej wojny światowej, znalazła jakąś odrapaną taksówkę. Wsiadła, trzęsąc się z zimna. Miała mokrą twarz i włosy. Zacinający deszcz uderzał po szybach niczym bicz. Podała siwowłosemu taksówkarzowi adres. Potem już się do siebie nie odzywali.

Chciała jechać prosto do Davida.

Skoro ten dzień może zmienić całe jej życie, głupio byłoby w takiej chwili marzyć o lepszej pogodzie.

Taksówka zjechała na drogę w kierunku Eel Pond.

Caroline próbowała się uspokoić. W ciemności widziała przed sobą tylko gruby kark kierowcy. Czasami w światłach reflektorów pojawiały się sylwetki drzew i krzewów przypominających roślinność stepu. Minęli dom Rubinów i znaleźli się na przestrzeni otwierającej się na czarny wzburzony ocean. Taksówka zatrzymała się. Caroline w pośpiechu szukała drobnych w portmonetce. Potem wzięła walizkę i wysiadła na deszcz.

Przez jakąś chwilę stała pod urwiskiem, wpatrując się w odległą o jakieś dwieście stóp sylwetkę domu ojca. Kiedy w pobliżu błysnął piorun, zdawało się jej przez moment, że widzi również jego samochód. Ale to przecież nie było możliwe.

Caroline odwróciła się i zbiegła po schodach na plażę. Jej stopy grzęzły w wilgotnym piasku. W końcu dotarła do pomostu, zadyszana, z oczami zalanyymi deszczem. Podbiegła do drzwi domku. Jej kroki dudniły na deskach.

Caroline dostrzegła, że w środku pali się światło. Przebiegła ostatnie kilka kroków i wpadła do środka przez nie zamknięte drzwi. Zatrzymała się i zamrugała. Rzeczy Davida były powyciągane z szuflad i leżały na podłodze wokół jego walizki.

Wstrząśnięta i przerażona Caroline zaczęła szukać go wzrokiem. Błady jak ściana David stał w

drzwiach prowadzących na werandę. Caroline ruszyła do niego, pchana rosnącym w niej napięciem. Chwyliła go za koszulkę.

- Co ci się stało?

- Twój przyjaciel przyszedł mnie ostrzec - rzekł krótko. - Frank Mannion. Powiedział mi, że nie przepada za objectorami, ale nie chce, żebyś ty znowu musiała cierpieć. - Przerwał. - Jutro będzie tu FBI, Caroline. Ktoś mnie wsypał.

Caroline zamarła. David obserwował jej twarz.

- Powiedziałem tylko tobie. Nawet moja matka nie wie, gdzie jestem.

Caroline zamknęła oczy. W ciszy oparła głowę o jego pierś. David nie drgnął. Nie objął jej.

- Komu powiedziałaś? - zapytał.

- Tylko siostrze - wyszeptała zrozpaczona.

Delikatnie odsunął ją od siebie i przyklęknął, aby zamknąć walizkę. Zmrużył oczy, a na jego twarzy malował się smutek i wyczerpanie.

Caroline drżała z zimna.

- Nie, ona by tego nie zrobiła.

Zapinając ostatni pasek walizki, David podniósł na nią wzrok.

- Ale twój ojciec pewno tak? - rzekł cicho. - W końcu bogaci są inni...

Caroline zamurowało.

- Jego samochód...

- Owszem, wrócił - powiedział z goryczą. - Z pewnością na inspekcję swoich włości, jak to kiedyś ujęłaś. Do których i ty należysz.

Do oczu Caroline nabiegły łzy. Przeraził ją ciężar zdrady, której dopuściła się wobec Davida i której wobec niej dopuściła się Betty. Zdrady ojca...

- Chciałam jechać z tobą - powiedziała łamiącym się głosem. - Kiedy po naszej rozmowie stwierdziłam, że nadal mnie pragniesz, chciałam zostać z tobą.

David zbladł.

- Nie rób tego. Proszę. Przecież chyba nigdy byś tego nie zrobiła. Jesteś zbyt mocno z nimi związana. - Ton jego głosu zwiastował, że nie zmieni zdania.

Caroline skrzyżowała ramiona na piersiach i wbiła wzrok w podłogę. W ciągu tych kilku

przerażających chwil zdała sobie sprawę, że jej życie na zawsze się zmieniło.

- Co zamierzasz zrobić? - zrozpaczona zdołała tylko zapytać.

Spojrzał na nią i zdobył się na lekki sarkastyczny uśmiech.

Caroline miała nadzieję, że jest w nim choć krztyna uczucia.

- Sądzisz, że dasz radę dotrzymać tajemnicy?

- Powiedz, do cholery.

Znowu błysnęło. David wyjrzał przez okno i powiedział.

- Ukradnę twoją łódź.

Caroline patrzyła na niego.

- To szaleństwo.

- Czyżby? - David narzucił marynarkę. - Z wyspy można się wydostać jedynie przez lotnisko lub promem z Vineyard Haven. W obydwu miejscach będą mnie szukali. Jedyne bilety, jakie tam zdobędę, to bilety do więzienia. A nie zamierzam tam trafić jako trofeum łowieckie twojej rodziny.

Caroline nie panowała nad sobą z rozpaczy.

- Nigdy ci się nie uda. Nie tą żaglówką.

David patrzył na nią spokojnie.

- Żeglowałem już w o wiele gorszych warunkach. To będzie połowa drogi do Kanady. Dalej to już tylko przyjemna wycieczka wzdłuż wybrzeży stanu Maine.

Caroline, potrząsając głową, chwyciła go za klapy marynarki.

- Biorę żaglówkę - powtórzył. - Pomożesz mi czy pożegnamy się tutaj?

Caroline znowu wybuchnęła płaczem.

- Pomogę ci - rzekła zdławionym głosem.

David delikatnie zdjął jej zaciśnięte na marynarce ręce i ruszył do drzwi. Stojąca bezradnie Caroline dostrzegła w rogu pokoju jego gitarę. Podeszła tam, podniosła ją i odwróciła się do niego. Stał w drzwiach, patrząc raz na gitarę, raz na nią. Na jego twarzy znowu pojawił się blady uśmiech.

- Chodźmy - powiedział.

W potokach deszczu szli po pomoście. David niósł walizkę, a Caroline gitarę. Nie patrzyli na siebie. Nie spieszyli się. Przedzierając się przez piasek plaży, zostawili za sobą podwójny ślad. Przycumowana na końcu pomostu Mastersów żaglówka podskakiwała na falach. Caroline nagle

zatrzymała się.

- Nie naprawiłam łodzi - powiedziała. - Ani tej wręgi.

- Wiem.

David zatrzymał się na chwilę, patrząc na żaglówkę. Potem znowu ruszył. Caroline powoli podążyła za nim. Przez szum wiatru i deszczu dochodził ją głuchy odgłos jego kroków. Odwrócił się, spojrzał na nią i wrzucił walizkę do łodzi.

Caroline wskoczyła na łódź z gitarą. Deszcz lał strumieniami. Schyliła się i ostrożnie umieściła gitarę w rogu. David zaczął już wciągać żagle. Jego kręcone włosy były kompletnie przemoczone. Ze ściśniętym gardłem wstała, żeby mu pomóc.

Razem wciągnęli łopocący na porywistym wietrze żagiel.

Caroline wykonywała kolejne czynności bez słowa, jak robili to przez tyle wspólnych dni tych wakacji: znali się na tym na tyle, że nie było potrzeby cokolwiek mówić.

Łzy ciekące po twarzy Caroline niknęły w tnącym deszczu. David odwrócił się do niej.

- Myślę, że to wszystko, Caroline - rzekł.

Caroline nie drgnęła. David podszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie.

- Nie - powiedział. - Nie możesz.

Łódź raptownie zakołysała się. Po twarzy Caroline lały się łzy. David chwycił ją w talii i spojrzał jej w oczy, jak gdyby chciał ją zapamiętać. Miała jeszcze nadzieję, że zmieni zdanie. On jednak delikatnie przeniósł ją nad burtą i postawił na pomoście. Wyciągnęła ręce, ale nie mogła już go dotknąć.

- Może rzuciłabyś mi cumę? - zapytał.

Caroline uklękła, zwalniając węzeł. Przez chwilę trzymała linę, potem rzuciła ją do niego.

- Proszę, daj mi chociaż jakoś znać, że ci się udało - poprosiła.

Patrzył na nią bez słowa, starając się zdobyć na uśmiech.

- Nie obawiaj się. Pamiętam Joshuę Slocuma.

Wiatr szarpał żaglami. David patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem zajął się łodzią.

Caroline z rękami w kieszeniach obserwowała, jak łódź wypływa na wzburzony ocean. Już po chwili zaczęła się stapiać z pochłaniającymi wszystko ciemnościami. Caroline wyteżyła wzrok. Dostrzegła jego szczupłą sylwetkę przy sterze. Być może tylko zdawało się jej, że w ostatniej chwili odwrócił się, żeby pokiwać.

O ile jej było wiadomo, nie schwytali go. Nigdy jednak też nie dostała od niego żadnych wiadomości.

Później, będąc w Kalifornii, Caroline próbowała odnaleźć jego rodziców. Nie udało się jej. Być może dobrze, że tak się stało. Nie wiedziała, co mogłaby im powiedzieć.

Caroline sama zdecydowała o kolejach swojego życia. Czasami - już jako prawnik - wyobrażała sobie mieszkającego w Kanadzie człowieka - Davida Sterna. Miała nadzieję, że jej wybaczył, bo pragnęłaby mu tak wiele powiedzieć.

CZĘŚĆ SZÓSTA

# **PRZESŁUCHANIE**

## JEDEN

Przeciskając się przez tłum dziennikarzy, Caroline Masters weszła na stopnie Sądu Hrabstwa Connaughton.

Obecność owej najeżonej mikrofonami i kamerami gromady walczących o lepszą pozycję reporterów była w znacznej mierze zasługą Caroline. Na dwa dni przed przesłuchaniami poinformowała „Patriot-Ledger”, że zamierza wykazać słabości aktu oskarżenia, i wymieniła z imienia i nazwiska Megan Race. Wyzwanie to powtórzyła w telewizji, żeby mieć pewność, że dotrze ono do Megan. Przesłuchanie stało się więc wydarzeniem, w centrum uwagi zaś znalazły się zeznania Megan, mające nastąpić za jakieś trzy dni.

- Czy sądzi pani, że zdoła uwolnić Brett Allen od zarzutów?! - zawołała do niej jedna z reporterek.

Caroline zatrzymała się, patrząc w obiektywy kamer. Noc poświęciła na przygotowania i zamaskowanie podkrążonych oczu kosztowało ją dzisiaj więcej wysiłku niż zazwyczaj. Jednak w swoim eleganckim niebieskim kostiumie i ze świeżo ułożoną fryzurą wyglądała rześko i przytomnie.

- Na razie zamierzam wykazać, że akt oskarżenia przeciwko Brett Allen nie może usatysfakcjonować nikogo, kto przychodzi do tego sądu z otwartą głową. Mam nadzieję, że dotyczy to również prokuratora.

Rzuciwszy owym porannym stwierdzeniem wyzwanie Jacksonowi, Caroline odwróciła się. Pragnęła ukryć własne niepokoje. Pomyślała ponuro, że w końcu tylko ona domyśla się pochodzenia narzędzia zbrodni i tylko ona wie, iż Brett i James kłócili się przed zabójstwem. Ścisnęło ją w żołądku.

Na szczycie schodów sądowych odwróciła się, czekając na swoją rodzinę.

Ubrany w trzyczęściowy garnitur Channing mógłby stanowić wzorzec sądowniczej moralności. Z wysoko podniesioną głową wspinał się po stopniach w stronę Caroline. Betty ujęła go pod jedno ramię, Larry pod drugie. Ich twarze - zgodnie z instrukcjami Caroline - były otwarte i pełne nadziei. Dotarli do Caroline, tworząc obraz rodziny, która przychodzi szukać sprawiedliwości dla swego najmłodszego członka.

Parę minut wcześniej przybył Jackson.

Z pewną powściągliwością powiedział, że jedyne, co ma znaczenie, to dowody. Co do Megan Race, to była ona niemal całkowicie odizolowana. Dwa dni wcześniej kamera telewizyjna uchwyciła ją, gdy sztywna i zła wychodziła ze swojego domu. Nie odzywała się.

Poprzedniego dnia Jackson bez zapowiedzi pojawił się w hotelu. Poszli razem do pokoju Caroline.

- Co zrobiłaś Megan Race? - zapytał chłodniej niż zazwyczaj.

- A co Megan uważa, że jej zrobiłam? - odpowiedziała z udawaną obojętnością.

Jackson patrzył na nią, stojąc po drugiej stronie pokoju. Jego oczy były spuchnięte. Caroline wiedziała, że jest równie zmęczony jak ona.

- Megan chce, żebym cię przesłuchał - rzekł w końcu. - Nadal twierdzi, że ktoś włamał się do jej mieszkania.

Caroline usiadła wygodniej.

- Czy poza jej twierdzeniem są jakieś dowody włamania?

Jackson zawahał się.

- Nie. Nic nie znaleźliśmy.

- Więc pewno nigdy go nie było. Podobnie jak narkotykowy dealer nie włamał się do mieszkania Case'a...

- Nie igraj ze mną. Megan zachowuje się teraz jak drapieżna kocica. Zrobiłaś coś, żeby wyprowadzić ją z równowagi.

- Może to ona mnie próbuje wyprowadzić z równowagi. A może ty - powiedziała Caroline z napięciem w głosie. - Jeżeli chcesz mnie przesłuchiwać, to śmiało. Ale dopiero po przesłuchaniach, które już zaplanowaliśmy.

- Zachowaj to dla kamer, Caroline. Obserwowałem, jak przez ostatnie dwa dni stwarzałaś atmosferę nacisku na tę dziewczynę. Powiedz, jeśli masz jakieś powody, aby sądzić, że nie jest wiarygodnym świadkiem...

- Już je przedstawiłam - przerwała mu Caroline. - Ale ty mimo to upierałeś się, żeby ją powołać.

- Megan zaprzecza jakimkolwiek stosunkom z Larrym. - Jackson stał, podparty pod boki. - Jeśli masz coś jeszcze, to powiedz. Ale nie próbuj mnie ustawiać.

Caroline milczała, masując nasadę nosa.

- To poważna sprawa - rzekła w końcu. - Chodzi tutaj nie o mnie czy o ciebie, lecz o Brett. Ty zaś zdecydowałeś się oprzeć na zeznaniach Megan Race. Mam całkowite prawo, by ją dokładnie zbadać bez konieczności tłumaczenia się, co zamierzam zrobić.

- Jednak coś zrobiłaś, czy tak? - głos Jacksona był ostry. - Czy nie pomyślałaś, że prędzej czy później to też wyjdzie na jaw? Co z twoją nominacją sędziowską?

Caroline spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem. A co z twoją? - chciała zapytać. Zdała sobie



nagle sprawę, jakie skutki dla Jacksona może mieć rozdmuchanie tej sprawy. Zrobiło się jej żal ich obojga.

- Jestem adwokatem - odrzekła. - Brett jest dla mnie ważniejsza.

- Co zatem planujesz? - zapytał ojciec.

Kilka godzin po wizycie Jacksona siedzieli w biurze Carltona Greya. Być może z powodu zmęczenia do Caroline powróciło z całym swym ciężarem wspomnienie dawnej rozpacz, której nigdy więcej nie chciałyby przeżywać. Wiele wysiłku kosztowało ją, by rozmawiać z ojcem jak z prawnikiem.

- Kilka rzeczy - powiedziała. - Po pierwsze wykazać, że dowody rzeczowe, do których taką wagę przywiązuje Jackson, nie są jednoznaczne. Przedyskutowałam to z naszymi ekspertami - serologiem, specjalistą od narkotyków i lekarzem sądowym. Wyniki badań laboratoryjnych ciągle mi jeszcze mającą przed oczami.

- Tak - powiedział ojciec łagodniej. - Wyglądasz na zmęczoną.

Caroline nie chciała jego współczucia.

- Cóż, mam sporo na głowie - odpowiedziała oschle.

Channing przez moment milczał.

- Powinnaś tego unikać - rzekł w końcu. - Przemęczenie nie wyjdzie na dobre ani tobie, ani Brett. A ze sposobu, w jaki załatwiłaś sprawy z prasą, wnioskuję, że przywiązujesz do tego dużą wagę.

- Tak - odrzekła szorstko. - Przemyślałam to.

Channing odwrócił się do okna. W biurze panował półmrok, lecz na zewnątrz była wspaniała letnia pogoda. W padającym z okna świetle skóra jego twarzy wydawała się półprzezroczysta niczym pergamin.

- Mimo wszystko jesteś moją córką - powiedział łagodnie. - A Brett wnuczką.

Caroline nie miała ochoty nic więcej mówić.

Po jakimś czasie Channing odezwał się znowu, jak gdyby nie dostrzegłszy owego ciągnącego się milczenia.

- Sędzia Towle jest przyjacielem, Caroline. Z reguły nie sprzyja obronie, ale ma dosyć liberalne poglądy. Sądzę, że da ci swobodę wykazania, że Brett była pod zbyt silnym wpływem narkotyków, żeby mogła ją przesłuchiwać policja czy też żeby mogli ją formalnie i prawidłowo poinformować o jej prawach.

Caroline uniosła brew.

- Nawet jeśli będzie to oznaczało, że wszystko - jej zeznania, zezwolenia na przesłuchanie jej posiadłości i jej samej - staną się bezwartościowymi papierami? I że Jackson zostanie z prawie pustymi rękami?

Channing wzruszył ramionami.

- Jako sędzia okręgowy Fred Towle nie będzie musiał o tym decydować. Zrobi to sąd najwyższy, jeśli Fred stwierdzi, że przedstawione oskarżenie zostało prawidłowo przygotowane. Ale sądzę, że Fred pozwoli ci pozwać świadków Jacksona i przycisnąć ich do muru na temat kilku faktów.

- Nawet jeśli zgodnie z prawem New Hampshire nie mam prawa drażnić oskarżenia Jacksona? W końcu, teoretycznie, jedynym celem tych przesłuchań jest ustalenie brzmienia aktu oskarżenia.

- Może się okazać, że Fredowi trudno będzie tego odmówić.

Obserwując go, Caroline zaczęła się zastanawiać, czy aby nie rozmawiał już z sędzią Towle'em. Integralność korpusu sędziowskiego New Hampshire była dla niego powodem do dumy, a poza tym Channing pomógł Towle'owi w jego zabiegach o sędziowską togę. Kto wie, o czym mogli rozmawiać przy bourbonie w Trout Club.

- Mam nadzieję, że masz rację - powiedziała powoli Caroline. - Chcę, żeby świadkowie Jacksona złożyli pod przysięgą zeznania, zanim on zdąży ich za dobrze przygotować. Jeśli zdołamy pokazać, w jakim stanie była wówczas Brett, Jackson z pewnością poczuje presję, by poprzestać na nieumyślnym zabójstwie i żądać niższego wymiaru kary.

Channing zacisnął usta.

- Ona jest niewinna, Caroline.

- Wiem, już mi to mówiłeś.

Channing wyprostował się na krześle.

- Być może praca w sądach tak cię już znudziła, że kwestia winy i niewinności przestała mieć dla ciebie znaczenie. Ale powinna - powiedział twardo. - Jeśli zrobiłaś taki szum wokół tych przesłuchań - z powodów, których ja do końca nie rozumiem - to twoim jedynym wyjściem jest teraz podważyć oskarżenie Jacksona. Czy Fred Towle na to ci pozwoli? Bo jeżeli nie uda ci się dopaść Jacksona, Brett znajdzie się w jeszcze gorszej sytuacji. Nie tylko dlatego, że przegrasz bitwę o opinię publiczną, co zapewne wpłynie też na przyszłych przysięgłych, lecz dlatego, że już teraz zmarnujemy najlepszą linię ataku na oskarżenie, z jakiej moglibyśmy skorzystać w trakcie procesu.

Caroline zmarszczyła brwi. Aż nazbyt dobrze znała wady podjętej przez siebie decyzji.

- W ten sposób mi nie pomagasz. Zakładając, że po to tutaj przyszedłeś.

Ojciec skrzyżował ręce na piersiach.

- Co zrobisz, Caroline, z Megan Race? - zapytał w końcu.

W jego głosie mieszały się troska i przeprosiny. Caroline stwierdziła, że denerwuje ją to jeszcze bardziej niż zwykła niechęć. Nie chciała przejmować od ojca bagażu jego nie przespanych nocy.

- Zamierzam ją zniszczyć. Tak jak sam to sugerowałeś. - Caroline uśmiechnęła się słabo. - W końcu skąd mogę wiedzieć, czy to nie ona go zabiła? Zamierzam pokazać, że Jackson i policja tak szybko uczepili się Brett, iż nie pomyśleli o poszukaniu prawdziwego zabójcy.

Ojciec przyglądał się jej.

- Nadal uważasz, że jest winna.

Caroline przestała się uśmiechać.

- Wszyscy jesteśmy winni - powiedziała cicho. - A Brett nie bardziej niż każde z nas.

Ojciec obdarzył ją spojrzeniem wyrażającym zarazem zrozumienie, jak i wątpliwość.

- Więc nie powiesz, co zamierzasz zrobić z Megan?

Caroline założyła ręce na piersiach.

- Nie - odpowiedziała. - Życie nauczyło mnie, żeby radzić się tylko siebie.

Ojciec zbladł i spuścił wzrok. Po jakimś czasie odezwał się.

- Nigdy mi tego nie wybaczysz?

Zdobycie się na odpowiedź zabrało Caroline dłuższą chwilę.

- Niczego nie nauczyłeś się przez te wszystkie lata - mówiła spokojnie. - Myślisz, że uczucia można wybierać i że ja zdecydowałam się czuć to, żeby cię ranić. Ja po prostu wybrałam przetrwanie - powiedziała ciszej. - Ale kiedy patrzę na ciebie, widzę twarz Davida. Nic na to nie mogę poradzić.

Channing patrzył na nią wstrząśnięty.

- Nigdy nie będę w stanie wyrazić, jak bardzo mnie to boli, ojczu. I to nigdy się nie zmieni.

Caroline weszła wraz z kroczącym za jej plecami ojcem na salę sądową. Zatrzymała się, odwróciła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Zrobiła to tylko dla Brett. Potem spojrzała na Larry'ego i Betty.

Betty odwróciła wzrok. Żeby to jakoś zamaskować, Caroline ścisnęła jej rękę i pocałowała ją w policzek. Wargi Caroline ledwie musnęły skórę siostry.

Zaczerpnęła powietrza i skierowała się ku miejscu obrońcy.

Sala była niewielka i skromnie urządzona. Nad ławą sędziego wisiała flaga państwowa oraz stanu

New Hampshire. Reporterzy tłoczyli się w tyle pomieszczenia, a zgromadzenie zaczęło osiągać masę krytyczną. Jackson przerzucał na swoim stole papiery. Po chwili pojawił się woźny sądowy, przy ustawionej zaś przed ławą sędziego maszynie zasiadła protokolantka. Gwar widowni zaczął cichnąć.

Caroline splótła ręce pod stołem. Na tyłach sali otworzyły się drzwi. Weszła przez nie Brett, eskortowana przez zastępcę szeryfa.

Miała na sobie prostą niebieską sukienkę, którą wybrała dla niej Caroline. Włosy miała zaczesane tak, żeby nie zasłaniały twarzy. W efekcie, zgodnie z zamierzeniem, wyglądała na nieśmiałą i dobrze ułożoną. Kiedy weszła na salę, jej jasnozielone oczy poszerzyły się. Rozglądając się, zaczęła wzrokiem szukać Caroline. Dostrzegłszy ją, uśmiechnęła się nieco i ruszyła wprost w jej kierunku.

Caroline wstała, odczuwając dziwną lekkość. Przecież właśnie dla niej tutaj przyszła.

Brett spojrzała jej w oczy.

- Cześć - powiedziała prawie normalnym głosem.

- W porządku? - zapytała Caroline.

Brett znowu się uśmiechnęła.

- Tak. Aby tylko się stąd wydostać.

Nie zabrzmiało to jednak tak zabawnie, jak zapewne zamierzała Brett. Przez chwilę Caroline miała ochotę ją przytulić.

- Cóż - powiedziała jak najspokojniej. - Zobaczymy, co da się zrobić.

Usiadły. Pod stołem Caroline ścisnęła jej dłoń. Wtedy dołączył do nich Carlton Grey i Caroline puściła rękę dziewczyny.

- Proszę wstać, sąd idzie! - zawołał woźny.

Na sali pojawił się sędzia okręgowy, Frederick Towle. Był rudy, gruby, nie wyższy i nie starszy niż Caroline. Bez pośpiechu przemaszerował przez salę. Jego okrągła przyjazna twarz wyglądała na poważną i nieco zamyśloną, jak gdyby zdawał sobie sprawę, jak wiele osób teraz na niego patrzy. Zajmując miejsce za ławą, spojrzał na Jacksona.

Ten nie wyglądał na zadowolonego. Caroline wiedziała dlaczego. O wpół do ósmej sędzia spotkał się z prawnikami, żeby omówić preliminaria sprawy. Carlton Grey przekazał akces Caroline jako przedstawiciela Brett. Towle z zadowoleniem powitał ją z powrotem w New Hampshire, a następnie określił zasady prowadzenia przesłuchań. Ich jedynym celem miało być ustalenie, czy prokurator ma uzasadnione powody, by ścigać oskarżoną za morderstwo pierwszego stopnia. Jacksonowi miał pozwolić na opieranie się na dowodach pośrednich, czyli zeznaniach policjantów na temat tego, czego dowiedzieli się od innych świadków. Jednak wobec sprzeciwu ze strony Caroline Towle stwierdził, że oskarżenie Jacksona nie może się opierać tylko na dowodach pochodzących od głównego śledczego. Powinien on natomiast powołać czterech świadków oskarżenia wezwanych już wcześniej przez Caroline: policjanta, który aresztował Brett, policjanta prowadzącego dochodzenie w

tej sprawie, osobę, która przeprowadziła badania medyczne Brett, oraz Megan Race.

Jackson żywo protestował, twierdząc, że takie postępowanie ujawniłoby przed obroną pewne fakty, co nie jest dozwolone prawem New Hampshire. Jednak Towle pozostał przy swoim. Jak zauważył, celem jego decyzji nie jest zmuszenie do ujawniania faktów, lecz jedynie ustalenie brzmienia oskarżenia opierającego się przede wszystkim na założeniu wiarygodności zeznań Megan Race oraz na dowodach medycznych - włączywszy w to fotografie - zbyt złożonych, by ich opis powierzyć świadkowi nie będącemu fachowcem w danej dziedzinie. Jackson wyglądał na bardzo zaskoczonego. Caroline czuła obecność ojca, chociaż nie było go nigdzie w okolicy.

Teraz, nadal patrząc na Jacksona, Towle skinął głową.

- Panie Watts - rzekł i rozpoczął przesłuchania.

## DWA

Patrząc na wstającego z miejsca Jacksona, Caroline zastanawiała się, czy sama nie pojawia się w sądzie po raz ostatni. Poczucie pustki przerażało ją. Kim mogłaby być, jeśli nie sędzią lub prawnikiem? Wówczas przypomniawszy sobie o Brett.

Panuj nad sobą, strofowała się. Musisz teraz zrobić dla Brett wszystko, na co cię stać.

Otoczony przez media młody policjant przedarł się przez zatłoczoną widownię sądu i zajął miejsce świadka.

Był to funkcjonariusz Jack Mann z policji w Resolve. Wyglądał prawie dokładnie tak, jak opisała go Brett: potężny, dobrze zbudowany, ledwie dwudziestolatek. Krótko wystrzyżone po bokach brązowe włosy uwydatniały jego prostokątny podbródek oraz spory nos. Jednak twarz miał bardzo prostoliniwną i niewinną. W rezultacie wydawał się osobą uczciwą, szczerą aż do bólu i pragnącą należycie wypełnić swoją rolę. Caroline zrozumiała, dlaczego Brett mu zaufała.

Tuż obok podestu dla świadka stał Jackson w sądowym stroju: granatowym garniturze, białej koszuli i nie rzucającym się w oczy krawacie - trzeźwy przedstawiciel prawa i porządku trzeźwo badający pierwszą linię obrony.

Szybko zakończył czynności wstępne i przeszedł do tego, co najistotniejsze.

- W jakich okolicznościach spotkał pan tamtej nocy Brett Allen?

- Zauważyłem jej dżipa. - Mann rzucił krótkie spojrzenie w stronę Brett. - Stał na poboczu drogi z włączonymi światłami. Pomyślałem, że ktoś może potrzebować pomocy.

Brett siedziała obok Caroline z opuszczoną głową. Zmusiła się, żeby spojrzeć na Manna. W polu widzenia Caroline znalazły się dwie młode twarze: Brett patrzącej na policjanta i policjanta stojącego przed Jacksonem.

- Więc zatrzymał się pan? - zapytał Jackson.

- Tak, proszę pana. I podszedłem do samochodu.

Jackson włożył ręce do kieszeni.

- Co pan zobaczył?

- Na początku nic nie widziałem. Podszedłem więc z latarką do okna od strony kierowcy.

- I?

Mann patrzył teraz prosto przed siebie.

- Siedziała tam naga kobieta. Była skulona za kierownicą, z twarzą przyciśniętą do szyby drzwi. - Jego ton oddawał przeżyte wówczas zaskoczenie. - Siedziała skulona w pozycji embrionalnej, jak gdyby chciała się przed czymś ukryć.

Brett poczerwieniała. Caroline dotknęła jej ramienia.

- Wołałem do niej przez okno - ciągnął Mann. - Otworzyła dopiero za którymś razem. - Przerwał na chwilę. - Usiłowała się okryć, lecz zauważyłem na niej krew i wymiociny.

- Czy coś powiedziała?

- Tylko że źle się czuje. Można to było też wyczuć - razem z zapachem marihuany i chyba wina.

Caroline rozejrzała się po sali. Zapanowała w niej dziwna atmosfera uprzejmości. Sędzia Towle przyglądał się czemuś nieokreślonemu, reporterzy uważnie notowali. Betty i Larry siedzieli sztywno, spojrzenie ojca zaś było nieruchome.

Caroline odwróciła się znowu w stronę Jacksona. Ten zbliżył się do Manna.

- Czy powiedziała, jak się tam dostała?

- Nie.

- A coś o swoim chłopaku?

- Nie.

Jackson uniósł brew i zmienił rytm pytań.

- A o morderstwie?

- Nic z tych rzeczy, proszę pana. Nic o nim nie powiedziała.

W oczach Brett pojawiły się nagle wątpliwości. Caroline zdała sobie sprawę, że sama dziewczyna nie była pewna, co właściwie się stało. Zastanawiała się, czy to lepsze, czy gorsze niż świadome poczucie winy.

- Czy przeszukał pan jej samochód? - zapytał Jackson.

- Nie, proszę pana. Nie miałem nakazu. Lecz na przednim siedzeniu pasażera leżały łatwe do zauważenia przedmioty.

Głos młodego policjanta stał się oficjalny, jak gdyby chciał nim podkreślić, jak ściśle trzymał się przepisów. Ton Jacksona świadczył o tym, że to docenia.

- Cóż to były za przedmioty?

- Portfel i nóż. - Mann zniżył głos. - Na nożu była krew. Wyglądało na to, że jeszcze nie zdążyła zaschnąć.

Oto zaczął się proces nawarstwiania się kolejnych mających świadczyć o winie Brett faktów, pomyślała Caroline. Brett nadal słuchała uważnie.

- Czy zapytał pan ją o to?

- Zapytałem, czy ktoś jest ranny.

- Jaka była odpowiedź.

- Nie pamiętam dokładnie, ale wynikało z niej, że nie.

- Jak zachowywała się dziewczyna?

- Wyglądała na odrętwiałą z przerażenia. Ale śledziła mnie wzrokiem. Widziałem, że rozumie moje pytania. Kiedy zapytałem ją o nazwisko, odpowiedziała mi.

- I co pan wtedy zrobił?

- Powiedziałem jej, że zabieram ją na posterunek - odpowiedział Mann tonem usprawiedliwienia. - Nie wiedziałem, co się wydarzyło, ale było jasne, że dziewczyna jest pijana albo pod wpływem narkotyków.

Caroline wiedziała, że teraz padnie najważniejsze pytanie. Jackson zrobił przed jego zadaniem pauzę, a później starannie i wolno wymawiał każde słowo.

- Czy w momencie aresztowania pani Allen przypuszczał pan, że popełniono morderstwo?

Mann niespokojnie poruszył się na krześle, lecz jego głos nadal brzmiał pewnie.

- Nie miałem pojęcia, co się wydarzyło. Po prostu zauważyłem krew w samochodzie i pomyślałem, że ktoś może być ranny. Najpierw myślałem, że to może być jej krew. Ale ona nic mi nie powiedziała.

- Więc zabrał ją pan na komisariat w Resolve.

- Tak jest. Dałem jej swoją marynarkę i zabrałem ją na posterunek.

- Co zrobił pan potem?

- Przejrzałem portfel i znalazłem w nim prawo jazdy z fotografią i nazwiskiem Jamesa Case'a. Wtedy dopiero stwierdziłem, że portfel nie należy do niej.

Jackson skinął głową.

- Czy to pana zastanowiło?



- Tak jest. - Mann skulił ramiona i zmarszczył czoło. Caroline obserwowała, jak młody policjant zbiera się na oczekiwaną przez Jacksona odpowiedź. - Martwiłem się, że ktoś gdzieś może być ranny i potrzebować pomocy. Myślę, że to jeden z powodów, dla których człowiek podejmuje taką pracę - żeby móc chronić ludzi. Trzeba brać pod uwagę wszystkie możliwości. Na przykład, że gdzieś w okolicy grasuje morderca, który - jeśli go nie znajdziemy - może skrzywdzić kolejną ofiarę. I że taki ktoś mógł przecież zranić również pannę Allen. Ale po pierwsze pomyślałem o tym człowieku z prawa jazdy. Przypuszczałem, że to właśnie on jest ranny.

Być może to i prawda, pomyślała Caroline. W końcu Mann był wystarczająco młody, żeby w to uwierzyć. Siedząca obok niej Brett wbiła spojrzenie w stół.

- Patrz ciągle na niego, obojętnie, co mówi - szepnęła do niej Caroline.

Brett poszła za jej radą. Nie mogła jednak spojrzeć na ciotkę.

- Tak więc w tamtej chwili pana pierwszą troską było bezpieczeństwo publiczne? - pytał Jackson.

- Tak jest. Myślałem, że może chodzić o czyjeś życie.

- I nie sądził pan, że popełniono morderstwo czy też że popełniła je panna Allen?

Po raz pierwszy Caroline wstała, zwracając się do sędziego Towle'a:

- Sprzeciw - powiedziała spokojnym, czystym głosem. - Wobec obydwu pytań - dodała. - Nie chcę przerywać panu Wattsowi, ale nie powinien on sugerować świadkowi odpowiedzi. Powinniśmy się tutaj opierać przynajmniej na pewnej spontaniczności zeznań.

Sowie spojrzenie, które Towle skierował na Caroline, zdradzało, że rozumie on dokładnie, w czym rzecz. Jackson, niepewny własnego świadka, usiłuje przeprowadzić go przez teren, na którym zamierzała go usidlić Caroline. Chodziło o to, że policjant zbyt długo czekał z zapoznaniem Brett z prawami, jakie przysługują jej w wypadku oskarżenia o morderstwo. Caroline musiała to uciąć.

- Podtrzymuję - Towle zwrócił się do Jacksona. - Niech funkcjonariusz Mann opowie nam to własnymi słowami. I myślami, jeśli to możliwe.

Jackson wydał się nieporuszony. Swoim pytaniem zdążył już Mannowi poddać właściwą odpowiedź, a sprzeciw Caroline tylko podkreślił jej wagę.

- Czy pokazał pan to prawo jazdy pannie Allen? - zapytał.

- Tak jest.

- Czy cokolwiek wówczas pan do niej powiedział?

- Jak mówiłem, powiedziałem, że niepokoję się, że gdzieś może być ktoś ranny, i że jeśli mu nie pomożemy, może z nim być gorzej.

Jackson skinął głową z aprobatą.

- Czy odpowiedziała panu?

- Tak. Powiedziała, żeby szukać nad jeziorem Heron. Kiedy go znaleźli, miał podcięte nożem gardło - dokończył cicho, odwracając się w kierunku Brett.

Brett była biała jak ściana. Caroline dotknęła pod stołem jej kolana.

Jackson przez chwilę milczał.

- Co robił pan w czasie od uzyskania tej informacji od panny Allen aż do znalezienia ciała Jamesa Case'a?

Mann powoli odwrócił się do Jacksona.

- Zadzwoiłem po policję stanową. Zgodnie z ich instrukcjami zabrałem pannę Allen do szpitala w Connaughton, a potem wróciłem na posterunek.

- Kiedy zobaczył ją pan po raz kolejny?

- Gdy znaleźli ciało, wezwaliśmy jednostkę do spraw ciężkich przestępstw z policji stanowej. Zadzwonili do mnie ze szpitala i powiedzieli, że panna Allen chciałaby się ze mną zobaczyć.

- Co pan zrobił?

- Czekałem na sierżanta Summersa z jednostki do spraw ciężkich przestępstw w Concord. Kiedy dotarł, spotkaliśmy się z panną Allen w jednym pokoju.

- Czy wówczas uprzedził pan pannę Allen o prawie odmowy zeznań?

- Zrobił to sierżant Summers. Wszystko jest nagrane.

- Jak ona wówczas wyglądała?

- Była blada i zrozpaczona.

- Czy wyglądało na to, że rozumie swoje prawa?

- Tak jest. To też jest nagrane. Mówiła, że i tak chce zeznawać.

Jackson na chwilę zamilkł.

- Ile czasu wówczas minęło - zapytał powoli - od chwili, gdy zabrał ją pan z jej samochodu?

- To było koło szóstej. A zabrałem ją stamtąd około jedenastej trzydzieści.

- Czy, według pana, rozumowała trzeźwo?

- Tak jest.

Jackson skinął głową.

- O nagraniach będzie jeszcze mowa przy przesłuchaniu sierżanta Summersa. Jednak czy może nam pan w skrócie przedstawić, co wynikało z zeznań Brett Allen na temat śmierci Jamesa Case'a?

- Powiedziała, że ktoś inny go zabił. I że znalazła go umierającego.

- Czy w trakcie zeznania panna Allen wspomniała o tym, jakiego rodzaju stosunki łączyły ją z Jamesem Case'em?

- Tak jest.

- I co powiedziała na ten temat?

- Że był jej chłopakiem.

Caroline od razu zrozumiała, na co się zanosi. Chciała wnieść sprzeciw, zauważając, że taśma mówi sama za siebie. Jednak wniesienie go tylko pogorszyłoby sytuację.

Jackson zamilkł i skierował na Manna długie uważne spojrzenie.

- Zapytał ją pan wtedy, czy pan Case był zaangażowany w związek z jakąś inną kobietą?

- Tak jest.

- Co odpowiedziała?

Kiedy Mann odwrócił się w stronę Brett, ta objęła się ramionami.

- Panna Allen powiedziała: „Oczywiście, że nie”. - Mann posmutniał. - To był jedyny raz, kiedy się rozzłościła.

Na myśl o konsekwencjach tego zeznania Caroline ścisnęło w dołku: Brett była wówczas już wystarczająco trzeźwa, by kłamać. Była zmuszona skłamać co do Megan, ponieważ wszystko inne też było kłamstwem.

Brett spuściła wzrok.

- Przekazuję świadka pani adwokat - rzekł Jackson, zwracając się do Caroline z poważną uprzejmością.

## TRZY

Podchodząc do świadka, Caroline starała się uspokoić. Dostrzegła obserwującą ją rodzinę, śledzącego ją poważnym spojrzeniem ojca. Przede wszystkim jednak czuła obecność siedzącej za jej plecami Brett.

- Zaczniemy jeszcze raz od początku - powiedziała. - Znalazł pan Brett Allen nagą w jej dziupie na poboczu drogi.

Mann spojrzał na nią ostrożnie.

- To prawda.

- Była pochlapana krwią.

- Tak.

- I wymiocinami.

- Tak.

- Można zapewne powiedzieć, że była zdezorientowana. Mann pokręcił głową.

- Nie wiem, czy mogę tak to określić.

Caroline przyjrzała mu się. Powoli uspokajała się.

- Ale nie miał pan wątpliwości, że jest pod wpływem alkoholu lub narkotyków?

- Nie.

- Na czym oparł pan ten wniosek?

- Jak powiedziałem, zdawało mi się, że czuję zapach wina i marihuany. Poza tym te wymiociny.

- Czy to wszystko?

Mann odchylił się.

- Sądzę, że tak.

Caroline uniosła brew.

- Była naga, czyż nie?

- Tak.

- Ilu nagich kierowców aresztował pan w swojej karierze? Mann zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

- Żadnego.

- Ale zeznał pan, że kiedy zabierał ją pan na komisariat, wydawało się, że rozumie pana. Czy wniosek ten opierał pan na czymkolwiek, co powiedziała?

- Nie.

- Bo w ogóle się nie odezwała, czy tak?

- Nie pamiętam, żeby cokolwiek powiedziała.

Caroline zbliżyła się do niego.

- W istocie, kiedy tylko powiedział pan, że zabiera ją na komisariat, zwymiotowała.

Mann wyglądał na zakłopotanego.

- Tak, to prawda.

- W drodze na posterunek również się nie odezwała?

- Nie.

- A więc wniosek o tym, że owa naga, pochlapana krwią, wymiotująca i będąca pod wpływem narkotyków dziewczyna nie była zdezorientowana, wysnuł pan jedynie, opierając się na tym, że podała panu swoje nazwisko. Ach, no i na tym, że wodziła oczami, kiedy zadawał pan jej pytania.

Mann spojrzał szybko w stronę Jacksona.

- Tak sędzę - powiedział powoli.

- Lecz skąd pan wiedział, że pana zrozumiała?

Mann zmarszczył brwi.

- Tego nie mogłem wiedzieć.

- A tym bardziej, skąd mogła wiedzieć, co się jej stało?

Mann spojrzał na Brett.

- Później sama nam powiedziała, że wie. Przedstawiła w zeznaniach cały opis wydarzeń.

To była dobra odpowiedź. Caroline poczuła, że załamuje się nadany przez nią rytm przesłuchania, i zrozumiała, dlaczego Jackson do niego w ogóle dopuścił. Zaczerpnęła głęboko tchu.

- Czy był pan kiedyś pod wpływem alkoholu lub narkotyków?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - Jackson zerwał się na równe nogi. - Doświadczenia osobiste funkcjonariusza Manna nie mają nic wspólnego z zachowaniem panny Allen.

Caroline zwróciła się do Towle'a.

- Wysoki Sądzie! Funkcjonariusz Mann wyraził swoją opinię czy też przypuszczenie co do stanu umysłu panny Allen od chwili aresztowania do momentu zakończenia składania zeznań. Jeśli nie ma on przygotowania medycznego, opinia ta może się opierać jedynie na jego doświadczeniu praktycznym - zapewne własnym.

Towle potarł brodę, spoglądając na Channinga Mastersa.

- Oddalam sprzeciw - rzekł niezbyt przytomnie.

- A więc? - Caroline zwróciła się do Manna.

Mann poczerwieniał.

- Powiedziałbym, że tak. Kilka razy. Zawsze whisky.

- Czy kiedykolwiek upił się pan tak, że nie wiedział pan, gdzie pan jest?

Mann spuścił wzrok. Bolesny wysiłek zdobycia się w tej sytuacji na szczerłość napinał jego twarz.

- Raz. Po przyjęciu na zakończenie college'u.

- I czy pamiętał pan, co się działo tamtej nocy?

- Większość... - Zamilkł. Spojrzał na Caroline, a jego twarz wyrażała, że pojął, w czym rzecz.

- Ale przypomniał pan sobie to wszystko dopiero później - dokończyła za niego Caroline.

Powoli pokiwał głową.

- Prawda. I to nie wszystko.

Ten ostatni komentarz aż nadto zbliżył Caroline do celu.

- Czy kiedy aresztował pan pannę Allen - zapytała nagle - miała mokre włosy?

Zaskoczony Mann zamrugął.

- Tak, tak sędzę.

- Dlaczego pan tak uważa?

Mann przez chwilę zastanawiał się.

- Jak powiedziałem, dałem jej swoją kurtkę. Kiedy narzucałem ją na jej ramiona, poczułem, że ma mokre włosy. - Przez moment przyjrzał się Brett. - Jej włosy były wówczas bardziej kręcone i sztywniejsze niż teraz.

Przez moment Caroline milczała.

- A więc później, kiedy zeznawała, powiedziała przynajmniej jedną rzecz, w którą skłonny był pan uwierzyć, a mianowicie że pływała.

- Tak sędzę.

- Musiało się to wydarzyć, zanim James Case został zamordowany, czy tak?

Mann zawahał się i rozłożył ręce.

- Skąd mógłbym wiedzieć?

- Ponieważ kiedy ją pan aresztował, jej twarz, szyja i tors były spryskane krwią.

Mann wyglądał na zaskoczonego.

- To prawda...

- Jest więc całkiem prawdopodobne, że - tak jak powiedziała w zeznaniach - była gdzieś pośrodku jeziora Heron, gdy James Case został zamordowany.

Wśród reporterów przeszedł pomruk.

Jackson natychmiast poderwał się z miejsca.

- Wysoki Sądzie! obrońca może wysunąć taki argument. Lecz w tym wypadku świadek po prostu nie może wiedzieć, jak i kiedy panna Allen zamoczyła włosy.

Caroline zdawała sobie sprawę, że Jackson ma całkowitą słuszność.

- Niezupełnie - wtrąciła cierpko. - Skoro na ciele panny Allen była krew, jej włosy zaś były mokre.

Towle pozwolił sobie na uśmiech.

- Sprzeciw prokuratora Watta nie odnosi się do włosów, ale jeziora. Podtrzymuję go.

Caroline nie sprzeczała się. I tak zdążyła już wyłożyć, o co jej chodzi.

- Czy skórę i włosy panny Allen można by określić jako mocno poplamione krwią?

Mann zdawał się szukać czegoś w pamięci.

- Nie, nie powiedziałbym, że mocno.

- W takim razie jak by to pan opisał?

Mann założył ręce na piersiach, spoglądając znowu na Jacksona.

- Krew była jakby rozpylona na jej ciele w postaci drobnych kropli i kilku większych plamek.

- A więc powierzchnia jej skóry była ledwie pokryta krwią.

Mann pokręcił głową.

- Krew na twarzy wyglądała jak rozpylona, a na piersiach i brzuchu było kilka dosyć mocno rozrzuconych plamek.

Caroline przez chwilę pomyślała o tym, co - słuchając tego - musi czuć Brett. W tym momencie powstał Jackson.

- Wysoki Sądzie! Mamy zdjęcia panny Allen opryskanej krwią. Myślę, że najlepiej pokazałyby one to, do czego zmierza pani Masters.

Caroline nadal stała zwrócona twarzą do sędziego Towle'a.

- Jeszcze kilka pytań, Wysoki Sądzie, i prawdopodobnie zdołam wykazać, że zdjęcia, którymi dysponuje pan Watts, nie są najlepszym dowodem czegokolwiek. Czy mogę kontynuować?

Towle żywo przytaknął.

- Proszę, pani Masters. Ale szybko, bo będę skłonny zgodzić się z panem Wattsem.

Caroline znowu zwróciła się do Manna.

- Dał pan panie Allen swoją kurtkę?

- Tak, to prawda.

- Czy zapięła ją?

Mann zawahał się.

- W zasadzie ja to zrobiłem.

- I panna Allen miała ją na sobie aż do czasu, gdy znalazła się w więzieniu?

- Tak.

- Dokąd sięgała jej pańska kurtka?

- Myślę, że do połowy uda. - Mann spojrział w dół.



- A panna Allen owinęła ją wokół siebie, próbując się okryć?

Mann znowu poczerwieniał.

- Tak. Pamiętam to.

- Więc kurtka musiała dotykać jej skóry?

Mann opuścił wzrok.

- Kiedy odebrałem kurtkę, były na niej plamki krwi. Muszę więc powiedzieć, że tak.

Przez chwilę Caroline było go żal. Być może po raz pierwszy w życiu Mann dowiadywał się, że nawet najbardziej przemyślane - czy też nie przemyślane - działanie może stać się wodą na młyn sądowego obrońcy.

- Czy oddał pan kurtkę do pralni?

- Tak.

- I nie rozmawiał pan o tym nigdy z osobą, która badała Brett Allen, ani z nikim z policji stanowej?

Mann podniósł głowę.

- Nie, proszę pani - rzekł oficjalnie. - Nie rozmawiałem.

- W porządku. Wróćmy do pana rozmowy z panną Allen, kiedy już znalazła się ona w więzieniu. Nie udzielił jej pan wcześniej ostrzeżenia o możliwości wykorzystania jej wypowiedzi przeciw niej i nie powiadomił jej o jej prawach.

Twarz Manna znieruchomiała.

- To prawda - rzekł zdecydowanie. - Ale nie mieliśmy wtedy nawet ciała. Myślałem tylko o ochronie bezpieczeństwa publicznego i ewentualnym szukaniu kogoś, kto mógł być ranny.

Caroline oparła dłonie na biodrach.

- Jak pan sądził, w jaki sposób ów człowiek mógł zostać ranny?

- Tego nie wiedziałem. - Mann lekko wzruszył ramionami.

- Może doznał rany od noża? W końcu był zakrwawiony, na ciele zaś panny Allen nie zauważył pan żadnych ran ciętych. - Caroline przerwała. - A widział pan ją przecież prawie całą.

Mann znowu poczerwieniał.

- Tak, przypuszczałem, że może ktoś został zraniony tym nożem.

- Może? Czy prócz owego noża i krwi na ciele panny Allen miał pan jakiegokolwiek powody, by

sądzić, że ktoś został rany?

- Chyba nie.

Caroline zdobyła się na spojrzenie pełne niedowierzania.

- I jak, pana zdaniem, owa osoba mogła się zranić? Przewracając się na nóż?

Jackson wstał.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Obrona nie powinna w ten sposób drażnić świadka. Jeśli ma jakieś pytanie, niech je po prostu zada.

- Akceptuję to, Wysoki Sądzie. - Caroline odwróciła się w stronę Towle'a. - Przepraszam - dodała cicho. - Ale czy z całą uczciwością może pan powiedzieć, że nie brał pan pod uwagę tego, iż owa nieznana osoba mogła zostać zraniona przez Brett Allen?

Założywszy znowu ręce na piersiach, Mann przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Caroline zauważyła, że pocą mu się dłonie.

- Tak, proszę pani. Sądzę, że brałem to pod uwagę, ale to była tylko spekulacja - rzekł cicho.

- Więc kiedy pytał pan pannę Allen, czy ktoś jest ranny, brał pan pod uwagę, że to ona dokonała aktu przemocy?

Mann westchnął cicho.

- Tak.

- A kiedy panna Allen powiedziała, że byście szukali nad jeziorem Heron, wezwał pan policję stanową?

- Tak.

- Z kim pan rozmawiał?

- Z sierżantem Summersem. Tym, który przyjechał do nas, kiedy znaleźliśmy ciało.

- Co mu pan powiedział?

Mann zawahał się.

- Że możemy mieć do czynienia z zabójstwem lub próbą zabójstwa. I że może mieć coś z tym wspólnego człowiek nazwiskiem James Case.

Caroline skinęła głową.

- Czy powiedział pan panu Summersowi o Brett, nożu, portfelu i krwi? Żeby poradził panu, co robić?

- Tak.

- I wówczas sierżant Summers powiedział panu, żeby zabrał pan pannę Allen do szpitala w Connaughton. Chodziło o to, by zabezpieczyć materiał dowodowy, jaki można byłoby pozyskać z badań panny Allen.

- Tak.

- Zabezpieczyć do czasu, kiedy uzyska pan nakaz jej przeszukania.

Głos Manna stał się łagodniejszy.

- Tak.

- Ponieważ była ona potencjalnym podejrzanym?

- Sprzeciw! - Jackson szybko ruszył do przodu. Po raz pierwszy wyglądał na rozzłoszczonego. - To, co funkcjonariusz Mann powiedział lub usłyszał od panny Allen po jej pierwszej wypowiedzi, nie ma związku z tym, co myślał wcześniej. Panna Masters usiłuje obrócić rzetelną robotę policjanta w działanie wręcz szkodliwe.

Ignorując go, Caroline zwróciła się do sędziego Towle'a.

- To nieprawda, Wysoki Sądzie. Funkcjonariusz Mann był upoważniony do podjęcia rozsądnych kroków w celu odnalezienia przypuszczalnie rannej osoby, włączając w to wypytywanie panny Allen. Lecz jeśli nie udzielił jej przewidzianych prawem ostrzeżeń, to pan Watts nie może wykorzystywać zeznań tej będącej pod wpływem narkotyków i zdezorientowanej młodej kobiety jako dowodów oskarżenia jej o morderstwo, tak jak nie powinien był ich wykorzystywać jako podstaw do wydania kolejnych nakazów przeszukań, w wyniku których gromadzono wątpliwy materiał dowodowy.

Towle podniósł rękę, przenosząc spojrzenie z Jacksona na Caroline.

- Na to pytanie - rzekł do nich obojga - odpowie sąd najwyższy, jeśli w tym sądzie znajdziemy podstawy do wszczęcia procesu. Odpowiedź na nie nie jest celem odbywanych tutaj przesłuchań. Ale póki tutaj jesteśmy, pozwolę panie Masters na zadawanie pytań, jeśli będą one związane z podstawami oskarżenia.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. - Caroline zerknęła ukradkiem na ojca. Wyglądał na zamyślnego i opanowanego. Zdołała nawet w jego spojrzeniu doszukać się zadowolenia. Po chwili znowu zwróciła się do Manna.

- Pytanie dotyczyło tego, czy w chwili, kiedy wysyłał pan pannę Allen do szpitala w Connaughton Falls, była ona potencjalnie podejrzana o jakieś przestępstwo lub akt przemocy.

Mann poruszał żuchwą.

- Tak.

- Opierając się na zeznaniu dotyczącym tego, gdzie szukać Jamesa Case'a.

Formułując odpowiedź, Mann zawahał się.

- Na tym - rzekł. - I znalezionym nożu i portfelu.

- Lecz bez tego, co powiedziała panna Allen, nie wiedziałby pan, gdzie należy szukać?

Wyraz twarzy Manna stał się nieprzenikniony.

- Nie od razu.

Caroline pokiwała głową.

- Czy przed pierwszą wypowiedzią panny Allen sprawdził pan poziom jej intoksykacji?

- Nie.

- A jak wówczas wyglądała?

Mann znowu spojrzał na Brett. Wyraz jego twarzy nieco złagodniał.

- Była powolna, jakby pod wpływem narkotyków.

- Czy mówiła z trudnością?

- Tak, trochę.

- Czy aresztował pan kiedyś kogoś pod wpływem marihuany?

- Tak.

- Czy panna Allen zachowywała się podobnie do tamtej osoby?

Przez chwilę Mann milczał.

- Miała trudności z przypominaniem sobie słów. Mówiła niewyraźnie.

Caroline zbliżyła się do niego.

- Proszę mi powiedzieć, ile czasu minęło od aresztowania panny Allen do przewiezienia jej do szpitala w Connaughton Falls?

- Około dwóch godzin.

- Czy w szpitalu zbadano jej poziom intoksykacji?

- Tak.

- Widział pan wyniki tych badań?

- Tak.

- Czy wskazywały one na to, że panna Allen nadal jest pod wpływem narkotyków i alkoholu?

Mann założył ręce na piersiach.

- Zgodnie z tym raportem poziom intoksykacji panny Allen przekraczał prawie dwukrotnie poziom dopuszczalny.

- Czy zatem można powiedzieć, że była ona pod wpływem alkoholu i narkotyków przez cały czas pobytu z panem?

- Można tak powiedzieć.

Caroline pokiwała głową z zadowoleniem. Stało się teraz jasne nie tylko to, że Brett była pod wpływem narkotyków w chwili morderstwa, lecz - jeśli sąd najwyższy będzie się trzymał prawa - także to, że to, co Brett powiedziała, zanim dotarła do szpitala, nie zostanie włączone do materiału dowodowego. Może odrzucone nawet zostaną dowody uzyskane na podstawie dwóch pozwoleń na przeszukanie opartych na jej pierwszych zeznaniach.

Nadszedł czas, by przejść do ostatnich zeznań Brett.

- Jak pan uważa. Jak można określić czas oczekiwania panny Brett Allen na badania poziomu intoksykacji?

Mann zmrużył oczy.

- Z raportu wynika, że czekała dosyć krótko. Jakieś pół godziny po dotarciu na miejsce.

- Więc musiało to być około drugiej?

- Musiałbym jeszcze raz zajrzeć do raportu. Ale myślę, że faktycznie mogło to być około drugiej.

- Natomiast pan, wraz z sierżantem Summersem, zaczęliście ją przesłuchiwać około szóstej piętnaście? Tak przynajmniej wskazują nagrania.

- Tak.

- I przed tym przesłuchaniem pan Summers udzielił pannie Allen należnych informacji i ostrzeżeń?

- To prawda.

- Czy powtórzyliście wówczas test poziomu intoksykacji?

Mann zawahał się.

- Nie, nie zrobiliśmy tego.

Caroline zadbała, by jej głos wyrażał zaskoczenie.

- A więc nie wie pan, czy była ona nadal pod wpływem alkoholu i narkotyków?

Mann zmarszczył brwi.

- Wyglądała wówczas zupełnie inaczej. Była całkiem przytomna, chciała mówić. - Podniósł głos.

- Zanim ją przesłuchaliśmy, poprosiliśmy o opinię doktora Pumphreya, który ją badał. Powiedział, że po upływie czterech godzin efekt działania narkotyków powinien zniknąć.

- Ale ów lekarz nie obejrzał jej ponownie przed przesłuchaniem.

- Nie obejrzał.

- Ani nie przetestował.

- To prawda.

- A wiedział pan, kiedy panna Allen ostatnio jadła?

- Nie.

- A kiedy spała?

- Też nie.

- Czy dał jej pan coś do zjedzenia?

Przez chwilę Mann wyglądał tak, jakby poczuł się winny.

- Nie.

- Zna pan substancję chemiczną zwaną THC?

Mann przez chwilę milczał.

- Wiem, że zawiera ją marihuana.

- Wie pan, jak ona wpływa na pamięć?

- Nie, niestety nie.

- Albo jak długo pozostaje w krwiobiegu?

- Nie.

- Lub do jakiego stopnia siła działania marihuany może zostać wzmocniona przez uprzednie spożycie alkoholu i późniejsze odbycie stosunku seksualnego?

Usta Manna zeszywniały.

- Nie jestem lekarzem, proszę pani.

Tymczasem był nim ekspert powołany przez Caroline. I był on przygotowany, by zaświadczyć, że w czasie przesłuchania Brett nie mogła być trzeźwa, jej pamięć zaś z pewnością nie działała jeszcze właściwie.

- Rozumiem, panie Mann. Dziękuję.

Mann spojrział w stronę Towle'a - jak gdyby w nadziei, że ma to już za sobą. Wyglądał teraz zupełnie inaczej niż przed przesłuchaniem. Zniknęła pewność siebie i idealizm. Na jego twarzy zacięcie mieszało się z dezorientacją. Jednak Caroline miała jeszcze w zanadrzu kilka pytań.

- Proszę mi powiedzieć, czy w czasie, który spędził pan z panną Allen, zdążył się pan zorientować, czy jest lewo-, czy praworęczna?

Mann odchylił się na krześle.

- Leworęczna - rzekł w końcu.

- Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

- Pamiętam, że nerwowo odgarniała włosy z twarzy. Zawsze robiła to lewą ręką.

Caroline skinęła głową.

- Dziękuję panu, panie Mann. Nie mam więcej pytań.

## CZTERY

- Jesteś naprawdę niezła - powiedziała Brett.

W Caroline mieszały się różne odczucia, ale nie było wśród nich zadowolenia z siebie. Poziom wydzielonej w czasie przesłuchania adrenaliny powoli opadał, pozostawiając po sobie zmęczenie i depresję. Jednak nie wierzyła w fałszywą skromność i stwierdziła, że lepiej teraz porozmawiać o sobie, jeśli to ma pomóc Brett w przetrwaniu przesłuchań.

- Tak - odrzekła. - Jestem. I poradziłam sobie lepiej, niż się spodziewałam.

Siedziały przy stoliku w oszczędnie urządzonej sędziowskiej sali w Sądzie Hrabstwa Connaughton. Dalsze przesłuchania zostały odroczone do następnego dnia. Na zewnątrz czekał policjant, który miał dostarczyć Brett z powrotem do więzienia. Jednak Caroline wiedziała, że muszą porozmawiać choćby dlatego, że było to potrzebne Brett.

Dziewczyna przez chwilę milczała.

- Mimo wszystko trochę mi go żal. Tego policjanta.

- Możliwe, że chciał ci pomóc. Ale pewno następnym razem nauczy się kłamać. Pracując w San Francisco, już by to potrafił.

Brett przyjrzała się jej.

- Czy to dla ciebie jest trudne? Tak wprowadzić kogoś w zakłopotanie?

Caroline wzruszyła ramionami.

- Po prostu się o tym nie myśli. Prawnik nie może o tym myśleć, bo co wtedy byłoby z tobą?

Brett wyglądała na zaintrygowaną.

- Wygląda to tak, jakbyś potrafiła wyłączyć swoje uczucia. Pstryk - i już.

Caroline zdziwiła się, że nie drażnią już jej pytania Brett.

- Czy to takie niezwykle? - zapytała.

- To nie zdarza się często. Przynajmniej u kobiet. - Brett ze smutkiem pokręciła głową. - Tak bardzo różnisz się od mojej matki, że to wręcz komiczne.

- Mamy różne matki. Geny robią jednak swoje. - Caroline po raz pierwszy uśmiechnęła się. - Nie



musisz wszystkiego rozumieć. Wszystkiego ani wszystkich.

Wyraz twarzy Brett złagodniał.

- To po prostu takie dziecinne. Jeszcze trzy tygodnie temu w ogóle cię nie znałam, a teraz jestem od ciebie całkowicie zależna i tak cholernie się tego wszystkiego boję.

Caroline zastanawiała się, co powinna w tej sytuacji odpowiedzieć.

- Udział w procesie sądowym działa tak na większość ludzi - rzekła cicho. - To po części tłumaczy, dlaczego taka jestem. Albo przynajmniej staram się na taką wyglądać w twoich oczach.

Brett potrząsnęła głową, jak gdyby chciała spojrzeć na Caroline z jakiegoś innego punktu widzenia.

- A kto troszczy się o ciebie, Caroline?

Caroline uśmiechnęła się smutno.

- A czy ktoś powinien? Jestem tutaj tylko prawnikiem.

Brett patrzyła na biurko.

- Mam nadzieję, że kiedyś będziemy po prostu przyjaciółkami - powiedziała.

Caroline znowu uśmiechnęła się.

- To właśnie dlatego usiłuję cię stąd wydostać. Przecież jeszcze nigdy nie byłeś w San Francisco.

Na twarzy Brett malowało się odprężenie. Caroline obserwowała, jak dziewczyna wyobraża sobie miejsca znane jej tylko z pocztówek. W innej sytuacji z przyjemnością siedziałaby tak z nią, milcząc, lecz tym razem miały zbyt wiele do zrobienia.

- Jest coś, czego jeszcze nie przedyskutowaliśmy - odezwała się w końcu Caroline. - Twoja rozmowa telefoniczna z Jamesem przed wyjazdem nad jezioro.

Wyrwana ze świata fantazji Brett spuściła wzrok. Na to wspomnienie zmieszała się, a być może poczuła winę.

- Dlaczego to teraz takie ważne? - zapytała cicho.

Caroline nie mogła powiedzieć prawdy.

- Po prostu opowiedz mi o tym... - rzekła.

Kilka godzin później Caroline otwierała okno swojego hotelowego pokoju. Na skórze poczuła powiew świeżego i chłodnego powietrza letniej nocy.

Nie mogła spać.

Na biurku obok kubka z kawą leżały raporty policyjne oraz zapisy z przesłuchań Brett, Betty, Larry'ego, Channinga i Megan Race. Na samym wierzchu spoczywał pamiętnik Megan.

Caroline siadła przy biurku i jeszcze raz zaczęła czytać kolejne wpisy. Kiedy analizowała je, starając się na podstawie wykonanych węzłkowatym pismem notatek przygotować pytania do Megan, robiło się jej niedobrze na myśl, że w ten sposób wnika w czyjeś życie. Zbyt dobrze pamiętała własny pamiętnik. Przypominała sobie teraz lata po zniknięciu Davida, miesiące spędzone na Martha's Vineyard w oderwaniu od rodziny, z nadzieją, że dostanie od niego jakąkolwiek wiadomość. Zapełniała kartki litanią bólu rozstania, tęsknoty, poczucia winy, żalu i wściekłości - na ojca, Betty, lecz najbardziej na siebie samą. Kiedy zgasły resztki nadziei, Caroline z rezygnacją i determinacją zmusiła się, by zaplanować swoje życie na nowo. Skończyła spisywać pamiętnik na jego przedostatniej stronie. Spaliła go na dzień przed wyjazdem do Kalifornii.

Caroline wstała i podeszła do okna. Znowu widziała ów kościół, białe domy i strome wzgórza. Wszystko to tkwiło w jej pamięci niczym fotografia.

Nigdy nie sądziła, że tutaj wróci. Nigdy nie przypuszczała, że decyzja, którą niegdyś uważała za tak ważną dla owego nowego życia, w końcu zmusi ją do powrotu.

Okłamała Brett. W istocie pragnęła z kimś porozmawiać, lecz wiedziała, że to niemożliwe. Lecz owym kimś nie mogła być ta dziewczyna. Poza tym nie zamierzała zrujnować w sądzie resztek przyjaźni łączącej ją z kimś, kto mógłby ją zrozumieć.

Dwa dni dzieliły ją od przesłuchania Megan Race.

Caroline wróciła do biurka i notatek.

## PIĘĆ

Pierwszym obrazem, jaki utkwiał tamtego dnia w pamięci Caroline, był oparty na przegrodzie oddzielającej prawników od publiczności Jackson, szepczący coś do jej ojca. Wyglądało to trochę niezręcznie i oficjalnie: uпрzejmy uścisk dłoni, parę słów Jacksona, lekkie skinienie głowy ojca. Betty i Larry udawali, że ich nie widzą. Wówczas sędzia Towle zajął miejsce za ławą, Jackson zaś wezwał na świadka sierżanta Kentona Summersa.

Już od pierwszej chwili Caroline wiedziała, że będzie jej trudno sobie z nim poradzić. Jackson krótko wspomniął o jego szesnastoletnim doświadczeniu policyjnym i dochodzeniowym: kierował dwudziestoma siedmioma śledztwami dotyczącymi zabójstw. Na jego czerwonej, nie wyrażającej uczuć twarzy było wypisane również doświadczenie sądowe. Miał ciężkie powieki, chłodne kobaltowe oczy, kasztanowe włosy. Wyglądał stosunkowo młodo - mógł być nieznacznie po czterdziestce. Zarazem jednak sprawiał wrażenie kogoś, kogo nic nie jest w stanie zaskoczyć czy rozgniewać. Patrzył na stojący przed Jacksonem magnetofon.

- Jak opisałby pan stan panny Allen przed podjętym przez pana przesłuchaniem? - pytał Jackson.

Summers zastanawiał się nad każdą odpowiedzią. Caroline pomyślała, że to sposób zamaskowania momentów, w których był naprawdę zaskoczony.

- Była trzeźwa, przytomna i jasno odpowiadała na nasze pytania. Słysząc to na taśmie.

Jak gdyby na ten sygnał Jackson włączył magnetofon.

Salę wypełnił głos Summersa jasno wykładającego Brett jej prawa i udzielającego ostrzeżenia. Siedząca obok Caroline blada i spięta Brett słuchała, jak macha ręką na swoje prawa aresztanta. Jej wypowiedzi brzmiały całkiem jasno i zrozumiale.

Na sali panowała cisza. Wszyscy słuchali cichego głosu zadającego pytania policjanta i odpowiedzi Brett.

Kiedy Brett doszła do faktów związanych bezpośrednio z morderstwem, w jej głosie wahanie ustąpiło miejsca przerażeniu. Być może tylko Caroline dosłyszała pauzę w wypowiedzi Brett, która opowiadała o swojej ostatniej rozmowie z Jamesem, pomijając ich kłótnię. Każdy obserwujący Brett mógł dostrzec, jak ściskają w gardle, gdy słucha własnej opowieści o znalezieniu ciała Jamesa relacjonowanej głosem trzęsącym się z niezaprzeczonego przerażenia.

I wówczas taśma dotarła do miejsca, w którym Brett w oczywisty sposób skłamała.

- Czy James miał inne dziewczyny? - zapytał Summers.

- Nie, to niemożliwe. - W głosie Brett dało się wyczuć nieprzyjemne zaskoczenie i złość.

Brett słuchała w milczeniu. „Kiedy?” - zapisała Caroline w swoim notatniku. W tym momencie nagranie dobiegło końca.

Ktoś na sali zakaszłał.

- Czy dał pan wiarę zeznaniom panny Brett? - zapytał Jackson.

Summers skinął głową.

- Nie mieliśmy żadnych innych jasnych informacji. W istocie skoncentrowaliśmy się na potwierdzaniu tego, co ona nam powiedziała.

To sprytnie, pomyślała Caroline. Jackson zamierza wykorzystać Summersa, aby pokazać, jak bardzo pragnęli uwierzyć w historię opowiedzianą przez Brett.

- Czy może pan opisać swoje działania? - zapytał Jackson.

- Zaczęliśmy od miejsca zbrodni. Sześciu ludzi, w tym dwóch z laboratorium kryminalistycznego, ogrodziło teren o powierzchni około dwustu stóp kwadratowych wokół ciała. Podzieliliśmy go potem na dziesięciostopowe sektory. Przez tydzień przeanalizowaliśmy je cal po calu.

- Co znaleźliście?

- Stwierdziliśmy, że jesteśmy w stanie prześledzić całą trasę przebytą przez pannę Allen, poczynając od ciała. Znaczący ją połamane gałęzie, zgniecione poszycie, krople krwi na liściach. Nie znaleźliśmy jednak żadnych śladów innej osoby. Biorąc pod uwagę ilość krwi utraconej przez pana Case'a, byłoby niemożliwe, żeby zabójca opuścił miejsce zbrodni, nie zostawiając jej śladów na liściach lub poszyciu.

Sędzia Towle intensywnie wpatrywał się w Summersa.

- Czy podjął pan jeszcze jakieś inne kroki, by zbadać tezę panny Allen o istnieniu jakiegoś nie znanego zabójcy? - zapytał Jackson.

- Tak - odpowiedział Summers i podniósłszy dużą dłoń, zaczął je wyliczać na palcach. - Rozmawialiśmy z sąsiadami i innymi mieszkańcami okolicy, szukaliśmy śladów obcych ludzi lub pojazdów w pobliżu jeziora. Nic jednak nie znaleźliśmy. Sprawdziliśmy raporty o włóczęgach i włamaniach, sprawdziliśmy, czy ktokolwiek mieszkał ostatnio w lesie. I znów nic. Szukaliśmy dowodów na to, że James Case, jak twierdziła panna Allen, miał jakieś problemy z nie znanym jej narkotykowym dealerem, ale nie znaleźliśmy żadnych śladów włamania do mieszkania Case'a ani też ukradzionych przez niego pieniędzy. Przeprowadziliśmy wywiad z jego sąsiadami oraz właścicielem domu, w którym mieszkał - z wszystkimi, którzy mogli go znać. Nie znaleźliśmy nikogo, kto mógłby mieć jakiegokolwiek motyw, żeby chcieć zabić tego chłopca. - Summers przerwał. - Chłopca, którego gardło było podcięte tak głęboko, że głowa ledwie trzymała się korpusu.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane z takim przekonaniem, lecz zarazem bez jakichkolwiek emocji, że nawet Caroline dopiero po chwili przyjęła je do wiadomości.

- Więc na jakiej podstawie doszedł pan do konkluzji, że zrobiła to panna Allen? - zapytał spokojnie Jackson.

Summers potarł policzek.

- Po pierwsze, istniały na to dowody rzeczowe. Poza odciskami funkcjonariusza Manna na nożu były tylko ślady palców panny Allen. Znaleźliśmy jej odciski palców na szyi ofiary - lecz żadnych innych, prócz śladów zostawionych przez ekipę pogotowia. Podobnie na portfelu znajdowały się wyłącznie odciski palców panny Allen. Jedyna naznaczona śladami krwi droga ucieczki z miejsca zbrodni była jej ścieżką. Jedyne włosy znalezionymi na ciele ofiary były włosy panny Allen z głowy i okolicy łonowej. Nie było żadnych śladów walki i jedynymi śladami na jego ciele - prócz cięcia nożem - były zadrapania na plecach. Wyjaśniliśmy ich pochodzenie, znalazłszy ślady jego skóry pod paznokciami panny Allen. Oględziny panny Allen wykazały ślady krwi ofiary rozpryskanej na jej ciele i włosach oraz pozwoliły ustalić, że odbyła z ofiarą stosunek seksualny. - Po raz pierwszy Summers patrzył wprost na sędziego Towle'a. - Lecz ofiara nie osiągnęła ejakulacji.

- Czy były jeszcze jakieś inne czynniki? - zapytał Jackson.

Summers zmarszczył brwi i przez moment się zastanawiał.

- Natura tego morderstwa. Z mojego doświadczenia wynika, że narkotykowi dealerzy nie chodzą sobie po świecie, zabijając innych dealerów nożami. To dla nich zbyt ryzykowne.

Caroline wiedziała, że Summers ma rację. Dostrzegła, że siedząca obok niej Brett zamknęła oczy.

- Wyglądało to na morderstwo w wyniku bardzo osobistych porachunków - ciągnął sierżant. - Morderstwo powodowane silnymi emocjami i złością, nie zaś dokonane przez kogoś obcego.

- Patrz na niego - wyszeptała Caroline do Brett i wstała.

- Wnoszę o wykreślenie - przerwała mu. - Opinia świadka na temat tego rodzaju uwarunkowań zadania śmierci jest tylko czystą spekulacją, podobnie jak we wszystkich sprawach dotyczących trybu dochodzenia. Jak już raz wyłożyłam to panu Wattswi ani Charles Manson, ani wielu jemu podobnych nie znało ludzi, których pozarzynali.

Jackson zwrócił się do Towle'a:

- Wysoki Sądzie! - rzekł. - To nie jest proces z ławą przysięgłych, a sąd jest w pełni kompetentny, by rozważyć każdą cząstkę zeznań w ocenie zasadności aktu oskarżenia. Zamierzamy wykazać, że natura tego morderstwa wydaje się spójna z motywami, które do niego skłoniły.

- O tym dopiero się przekonamy - rzekł szybko Towle. - Oddalam.

Jednak kiedy Caroline siadła, Brett trzymała się nieco lepiej.

Jackson bezzwłocznie zwrócił się do Summersa:

- Przypomina sobie pan, sierżancie Summers, że panna Allen powiedziała panu, iż James Case pytał ją, czy pojedzie z nim do Kalifornii, i że - przynajmniej zgodnie z jej wiedzą - nie miał żadnych

innych związków miłosnych. Czy to prawda, że pojawił się świadek, który rzucił na tę sprawę inne światło?

- Tak - rzekł Summers i zrobił pauzę, jak gdyby starając się przyciągnąć uwagę sali. Kiedy reporterzy zatrzymali pióra nad notatnikami, pochylił się. Siedząca obok Caroline Brett wstrzymała oddech. - Studentka Chase College - ciągnął Summers - która powiedziała nam, że pozostawała z panem Case'em w trwałym i intymnym związku i że poprosił on ją, aby pojechała z nim do Kalifornii. Obiecywał poinformować o tym pannę Allen tej nocy, gdy został zamordowany.

Na sali zaszumiało. Z chłodną, pełną determinacji złością Caroline zdecydowała, że Jackson za to zapłaci.

- Czy był pan w stanie potwierdzić istnienie między nimi takiego związku? - zapytał Jackson.

- Tak. Poprzez wywiad wśród sąsiadów. - Summers znowu zwrócił się do sędziego: - I, zgodnie z ich opinią, panna Allen o tym wiedziała.

Wśród poruszenia, jakie zapanowało na sali, dał się słyszeć głos Jacksona.

- Do jakiej konkluzji doszedł pan, opierając się na tych nowych informacjach?

- Nie usiłowałem dochodzić do żadnej konkluzji. Jednak pojawił się motyw, który pozwolił wyjaśnić działania panny Allen. - Summers zebrał się w sobie. - Sądzę, że panna Allen wykorzystwała wino i marihuanę, żeby doprowadzić do stosunku seksualnego, a tym samym sprawić, aby jej ofiara stała się prawie zupełnie bezbronna. Potem, zanim doszło do ejakulacji, podcięła mu gardło - powiedział cicho i spokojnie. - To może również wyjaśniać, dlaczego zabrała później portfel. Wymyślony przez nią narkotykowy dealer miał odebrać ofierze swoje pieniądze.

## SZEŚĆ

Caroline oczy Summersa przypominały dwa bładoniebieskie chipsy: były nieprzeniknione i beznamiętne.

- Położył pan wyraźny nacisk - zaczęła Caroline - na zeznania Brett nagrane na taśmie. Ale pierwsze wyjaśnienia złożyła funkcjonariuszowi Mannowi, czyż nie? Wtedy zasugerowała, żeby szukać nad jeziorem Heron.

- Tak. Właśnie dlatego funkcjonariusz Mann do mnie zadzwonił.

- Czy wyraził zaniepokojenie, że gdzieś mogło dojść do aktu przemocy?

- Tak.

- Po czym zalecił pan mu, żeby zabrał pannę Allen do szpitala?

- Tak.

- Żeby tymczasem policja mogła zdobyć nakaz jej przeszukania?

- Jeśli byłoby to uzasadnione.

- A następnie stwierdził pan, że wydanie takiego nakazu będzie uzasadnione.

- Tak.

- Bo znalazł pan ciało pana Case'a?

- Tak.

Caroline przez moment milczała.

- Na podstawie wcześniejszych wskazówek panny Allen?

W jego oczach po raz pierwszy pojawiło się zacięcie - zadziałał instynkt oporu.

- Znaleźlibyśmy go tak czy inaczej - powiedział w końcu. - Jej wskazówki tylko to przyspieszyły.

To była dobra odpowiedź. Summers rozumiał, jaką pułapkę chce na niego zastawić Caroline: zamierzała dowieść, że większość dowodów zgromadzonych przeciw Brett opiera się na wnioskach z jej pierwszej wypowiedzi. Usiłował się z niej wymknąć.

Caroline przywołała na twarz wyraz niezrozumienia.

- Ciało znajdowało się w miejscu dosyć trudno dostępnym, czyż nie?

- Tak.

- Raczej nie znaleźlibyście go przed wschodem słońca.

- To możliwe. - Summers nieco się zawahał.

- A przed tym czasem przesłuchiwaliście pannę Allen po raz drugi.

- Tak.

- A jeszcze wcześniej, bo około trzeciej w nocy, otrzymaliście nakaz zbadania i przeszukania jej od sędziego Deane'a.

- Tak. - Summers jeszcze raz poprzestał na najkrótszej odpowiedzi.

- I szukaliście pana Case'a.

- Tak.

- Przeszukując posiadłość panny Allen.

- Na tyle, na ile było to możliwe w ciemnościach.

- Wszystkich tych działań dokonywaliście, opierając się na pozwoleniach, które wzmiankowały pierwszą wypowiedź panny Brett Allen?

Summers zmarszczył brwi.

- Tak.

- I wiedział pan, że te informacje zostały pozyskane od panny Allen bez udzielenia jej odpowiednich ostrzeżeń.

- Tak powiedział mi funkcjonariusz Mann, kiedy do mnie zatelefonował. - Summers usiadł głębiej na krześle.

- Czy w czasie tej rozmowy dyskutowaliście o tym, czy należy pannę Allen dalej przesłuchiwać?

Powieki Summersa nieco opadły.

- Tak - powiedział powoli.

Caroline odczuła ulgę: świadek przynajmniej udzielał jej uczciwych odpowiedzi.

- I czy zalecił pan wówczas funkcjonariuszowi Mannowi, by jej dalej nie przesłuchiwać? - szła za ciosem Caroline.



- Wtedy tak.

- Dlaczego?

Summers spojrział na nią uważnie.

- To była kwestia doświadczenia.

- Chodziło również o intoksykację?

- Tak, o to też.

- Zatem był pan zaniepokojony nie tylko tym, że nie udzielono jeszcze panie Allen ostrzeżeń, ale i tym, że mogła nadal pozostawać pod wpływem narkotyków i alkoholu.

Summers powoli wzruszył ramionami.

- Nie powiedziałbym „zaniepokojony”. Po prostu zawsze lepiej poddać badaniom osobę, co do której są jakiegokolwiek wątpliwości.

- Czy kiedy wykonano badania, wykazały one, że panna Allen jest pod wpływem narkotyków i alkoholu?

- Tak. To było około drugiej w nocy.

- A na czym oparł pan decyzję o przesłuchaniu panny Allen o godzinie szóstej?

- Na jej życzeniu.

Odpowiedź policjanta była sprytna i zarazem trudna dla obrony. Caroline na moment zamilkła.

- Mam na myśli to, czy przesłuchanie jej wynikało z faktu znalezienia ciała, wyników przeszukania panny Allen i jej posiadłości - rzekła spokojnie po chwili.

Summers zawahał się.

- W zasadzie tak.

- A to wszystko, z kolei, zostało oparte na jej pierwszym wyjaśnieniu co do miejsca poszukiwań, udzielonym funkcjonariuszowi Mannowi.

Zapanowała długa cisza. Summers doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że przy odrobinie szczęścia Caroline będzie mogła unieważnić wszystkie dowody uzyskane na podstawie pierwszej wypowiedzi Brett Allen.

- Poddalibyśmy ją przesłuchaniu, kiedy tylko by wytrzeźwiała, niezależnie od tego, czy mielibyśmy wówczas ciało, czy też nie. Znaleźlibyśmy je z pewnością za dnia. Ale ona sama przyszła, chcąc zeznawać.

Caroline musiała pogodzić się z kolejną porażką.

- Trzeźwa? - zapytała.

- Trzeźwa.

- Zgodnie z czyją opinią?

- Doktora Pumphreya.

- Który jej nawet nie obejrzał, czyż tak?

Caroline po raz pierwszy dostrzegła, jak Summers prowadzi wewnętrzną walkę. Chciał się z nią sprzeczać, lecz był nazbyt doświadczony, żeby się wdać w słowne utarczki. Wiedział, że Watts będzie musiał sobie z tym poradzić.

- Doktor Pumphrey badał ją w szpitalu - odrzekł. - O szóstej tylko opisałem mu jej stan.

- A więc pannę Allen o szóstej rano widzieliście tylko pan i funkcjonariusz Mann?

- Tak.

- I podobnie jak funkcjonariusz Mann, nie jest pan w stanie wydać medycznej opinii na temat jej ówczesnego stanu?

- Nie. Jedyne opinię naocznego świadka.

- A zna pan wpływ THC na funkcjonowanie pamięci?

- Nie.

- A na osobowość?

- Nie.

Caroline dotknęła ust.

- Czy wie pan o tym, że marihuana i alkohol mogą wywołać stan określany mianem paranoi?

Zdenerwowanie Summersa wyraziło się jedynie - jak dostrzegła Caroline - w znieruchomieniu jego oczu.

- Nie - odrzekł krótko.

Caroline odczekała chwilę.

- Zatem opierając się na pańskim założeniu, że panna Allen funkcjonowała normalnie, należałoby podejrzewać, że jeśli udzieliłaby jakiegokolwiek zwodniczej informacji, to byłoby to rozmyślne?

- Niekoniecznie - Summers podniósł nieco głos. - W końcu przecież przedtem była pod wpływem

narkotyków i alkoholu...

- Dokładnie. Lecz teraz stała się podejrzaną. Musiała - przecież w innym wypadku nie uprzedziłby pan jej o prawie odmowy zeznań.

Summers znowu założył ręce na piersiach.

- Uprzedzamy każdego, kto jest nawet tylko potencjalnym podejrzanym.

- Być może pan tak czyni, bo funkcjonariusz Mann nie - odparła Caroline.

- Sprzeciw - odezwał się Jackson. - Panna Masters sama udziela sobie odpowiedzi.

- Podtrzymuję. - Towle spojrzął na Caroline. - Pani pytanie jest wycofane.

Porządkując myśli, Caroline była świadoma obecności wszystkich wokół niej i stawki, o którą tutaj walczyła dla siebie, a przede wszystkim dla Brett. I wówczas, jak bywało to już w innych trudnych chwilach jej życia, spłynął na nią błogosławiony spokój.

- Czyż nie jest prawdą - zapytała - że od chwili pierwszego przesłuchania panna Brett Allen była waszym głównym podejrzanym?

Summers pokręcił głową.

- Głównym nie. Oczywiście, braliśmy ją pod uwagę jako podejrzanego. Ale, jak wspomniałem, szukaliśmy innych. Na przykład tego dealera narkotykowego.

- Lecz odrzuciliście te możliwości?

- Brak było dowodów. W pokoju pana Case'a nie znaleziono żadnych pieniędzy. Nie było tam też śladów włamania.

Caroline wyglądała na nieco zaskoczoną.

- Czy wydaje się panu logiczne, żeby ktoś, kto chciał ukryć pieniądze za ukradzione narkotyki, trzymał je w swoim mieszkaniu?

- Sprzeciw - przerwał jej Jackson. - Obrona nakłania do spekulacji.

- Nie w większym stopniu niż w razie twierdzenia świadka o tym, iż dealerzy narkotykowi są zbyt wrażliwi, żeby podrywać ludziom gardła. - Caroline zwróciła się do sędziego Towle'a: - Odwołuję się do rozległej wiedzy sierżanta Summersa na temat kultury narkotykowej, Wysoki Sądzie. Podobnie jak czynił to pan Watts.

Towle uśmiechnął się blado.

- Oddalam sprzeciw - rzekł i spojrzął na Summersa.

- To spekulacje - rzekł w końcu Summers. - Ale faktycznie, własne mieszkanie nie jest najlepszym

miejszem na przechowywanie ukradzionych pieniędzy.

Caroline przez moment milczała.

- Prawdą jest również to, że w drzwiach mieszkania pana Case'a nie było zamka patentowego?

Summers skierował w jej stronę przeciągłe twarde spojrzenie.

- To prawda.

- Czy opierając się na własnej wiedzy dotyczącej środowisk kryminalnych, może pan powiedzieć, że ktoś, kto chciał tam wejść, mógł po prostu dorobić klucz?

- Tak.

Caroline poczuła na sobie spojrzenie Jacksona. Miała przyspieszony puls.

- A dzięki odpowiedniej wprawie mógłby otworzyć drzwi, używając karty kredytowej?

Summers lekko trącał usta palcem, nie spuszczając wzroku z Caroline.

- To prawda - rzekł powoli.

- Natomiast jeśli ów włamywacz pozostawiłby w mieszkaniu nieporządek, James Case mógłby tam po prostu posprzątać.

- To możliwe.

Jackson w bezruchu wpatrywał się w stół.

- A czy może pan powiedzieć, czy James Case handlował narkotykami, a jeśli tak, to na jaką skalę? Dzieciaki z college'u zapewne niechętnie rozmawiają o tym z policjantami.

- Czasami tak - odrzekł szybko Summers. - Ale nie ma dowodów, że ów dealer narkotykowy kiedykolwiek istniał, nie mówiąc już o szansie na wykazanie, że to on w określonym czasie dokonał zabójstwa za pomocą noża. Wszystkie dowody rzeczowe wskazują na pannę Allen.

Na taką odpowiedź Caroline liczyła.

- Weźmy zatem pod rozwagę owe dowody. Na przykład to, że znaleziono odciski palców Brett na szyi ofiary. Czy nazwałby pan to istotnym dowodem?

Summers wzruszył ramionami.

- Jest to po prostu jeden z wielu dowodów. Nie chciałbym go klasyfikować.

- Czyż to nieprawda, że w literaturze fachowej nie wspomina się o zdejmowaniu odcisków z ciała człowieka?

Summers wydał bezgłośnie westchnienie, jak gdyby usiłując zaczerpnąć z powietrza spokoju.

- Nie wiem.

- A czy osobiście czytał pan o czymś takim?

- Nie.

- Ponieważ, nie biorąc pod uwagę szeregu innych przyczyn, szorstkość skóry ludzkiej i pokrywająca ją włosy czynią zdejmowanie odcisków palców trudnym.

- To prawda. Lecz panna Allen zostawiła odciski palców na skórze wokół rany na szyi pana Case'a. Pokrywająca ją krew ułatwiła ich zachowanie.

- Nic w tym dziwnego. Wszak panna Allen sama powiedziała, że dotykała go już po tym, jak podcięto mu gardło. Proszę mi powiedzieć, czy znalazł pan na krwi jeszcze inne odciski palców?

Summers przyglądał się jej przez chwilę chłodno.

- Jeden. Należał do człowieka z ekipy pogotowia.

- Czy jest on podejrzany?

- Nie.

- A na ciele ofiary nie znaleziono żadnych innych odcisków palców oprócz tych, które zdjęto z okolic rany?

- Nie.

Caroline skinęła głową.

- Odciski Brett na nożu również zostały odcisnięte na pokrywającej go krwi?

- Tak.

- Podobnie jak odciski funkcjonariusza Manna...

Summers znowu dotknął palcami ust. W końcu jakby oprzytomniał i położył obydwie dłonie na kolanach.

- Tak.

- ...który zostawił je, podobnie jak panna Allen, dotykając zakrwawionego noża?

- Tak.

Caroline potrząsnęła głową.

- Czy na nożu znaleziono jakiegokolwiek czyste odciski palców? To znaczy takie, które nie zostały odcisnięte na krwi?

- Nie... Takich nie znaleźliśmy...

- Nie może pan również udowodnić, że nóż należał wcześniej do panny Allen lub był przez nią używany.

- Nie.

- A jeżeli chodzi o portfel - czy odciski panny Allen, które na nim znaleziono, również zostały zdjęte z warstwy krwi?

Summers milczał przez moment.

- Tak.

- Czy znaleziono jakieś czyste odciski?

- Nie.

- Nawet odcisków Jamesa Case'a? Portfel należał do niego.

- Nie. - Summers przyglądał się swoim dłoniom. - Na skórze z reguły odciski palców nie pozostają.

- Więc możliwe, że wszystko przebiegło według scenariusza przedstawionego przez Brett? Znalazła Jamesa, próbowała go reanimować i wówczas zaplamiła sobie ręce krwią. - Caroline przerwała. - Stąd też jej krwawe odciski palców na szyi ofiary, nożu oraz portfelu. Podobnie jak ślady pracownika pogotowia i funkcjonariusza Manna.

- ...których pojawienie się tam możemy wyjaśnić - Summers podniósł wzrok, kończąc chłodno. - Jednak nie było tam żadnych innych odcisków palców.

- Ku czemu może być tysiąc powodów. - Caroline zauważyła, że Jackson siedzi nieruchomo. - Zabójca mógł, na przykład, mieć rękawiczki.

Summers odzyskał spokój.

- Pani adwokat, nie mamy wielkich możliwości wykazania, że ten ktoś był w rękawiczkach.

- W istocie. Lecz jeśli Brett trzymała nóż, zamierzając podciąć gardło pana Case'a, to powinna zostawić na ręczce noża choć jeden czysty odcisk.

- Rączka jest kościana. Na takim materiale również trudno znaleźć odciski.

- Lecz jedyny odcisk Brett znaleziony na rękojeści był krwawym odciskiem. Z pewnością zostawionym po tym, jak gardło pana Case'a zostało już podcięte.

Summers wpatrywał się uważnie w Caroline.

- To prawda.

- Więc nie było tam odcisków, które skłoniłyby pana do opinii, że mordercą musi być Brett Allen?

- W zasadzie nie. Nie same one. - Cierpliwość Summersa została nadwerężona. - Trzeba patrzeć na cały materiał dowodowy.

- Dobrze, zrobmy to, sierżancie Summers. Wybierzmy jakiś - jakichkolwiek z dowodów.

- Czy to pytanie? - wtrącił się Jackson.

Caroline zignorowała go.

- W porządku - rzekła do Summersa. - Zdaje się, że wspominał pan o tym, że u pana Case'a nie doszło do wytrysku?

Summers pokiwał głową.

- Owszem, wspominałem.

- Co wykazały badania poziomu intoksykacji pana Case'a?

- Był pod wpływem alkoholu i narkotyków.

Caroline uśmiechnęła się lekko.

- Czy na podstawie własnych obserwacji może pan powiedzieć, czy intoksykacja dorosłego mężczyzny może niekiedy doprowadzić do - nazwijmy to - niepełnej potencji seksualnej? Czy brak owej potencji mógł być jedynie skutkiem śmierci?

Na tyłach sali ktoś zakasłał, tłumiąc śmiech.

- Możliwe - rzekł Summers łagodnie. - Ale na takie pytania powinien odpowiedzieć raczej lekarz.

- Więc nie upierałby się pan przy stwierdzeniu, że śmierć była jedynym możliwym powodem nie dojścia przez pana Case'a do ejakulacji?

- Nie. - Summers uśmiechnął się po raz pierwszy, lecz dosyć ponuro.

- Czy w pańskim panteonie materiału dowodowego ów brak ejakulacji jest mniej czy też bardziej ważnym dowodem niż nieodnalezienie innych, prócz pozostawionych przez Brett Allen, śladów ucieczki z miejsca przestępstwa?

Summers zawahał się.

- Mniej.

- Znacznie mniej?

- Tak bym powiedział.

- W takim razie za moment do tego wrócimy. Teraz jednak proszę mi powiedzieć, czy miał pan

jakieś powody, by nie dowierzać stwierdzeniu funkcjonariusza Manna, że włosy panny Allen były mokre?

- Nie miałem na ten temat żadnych informacji.

- A więc również nie ma pan wyrobionego zdania na temat tego, czy panna Allen krytycznego wieczoru poszła pływać w jeziorze?

- Nie.

Caroline uniosła brew.

- Fotografie wykonane przez policję pokazują ślady bosych stóp na plaży, czyż nie?

Summers wolno przytaknął.

- Jeden. Ale on mógł być zostawiony przez kogokolwiek.

- Czy usiłował pan sprawdzić, czy ślad ten należał do panny Allen?

- Specjalnie nie.

- A czy stwierdzenie, że należał on do niej, nie potwierdzałoby w jakimś stopniu tezy, że poszła pływać? A i tego, że w czasie śmierci pana Case'a nie było jej w jego pobliżu?

- Sprzeciw! - zawołał Jackson. - Pytanie złożone. I każde z jego pytań składowych zachęca do spekulacji.

- Jedynie dlatego, że policja nie wykonała pewnych czynności - odparła Caroline. - A to czyni całe postępowanie opartym na spekulacjach. Zamierzam wykazać, że wbrew temu, co twierdzi prokurator, nikt nie pokusił się, by uwierzyć panie Allen.

Towle przeniósł spojrzenie z Jacksona na Summersa, a potem skinął głową.

- Oddalam - rzekł.

Summers przesunął krzesło.

- Może i potwierdzałoby - rzekł w końcu. - Ale nie istniała możliwość sprawdzenia tego.

- Podobnie jak i teraz. - Caroline skrzyżowała ręce na piersiach. - Czy na fotografiach wykonanych przez policję widoczny był również nie zidentyfikowany ślad ciężkiego obuwia około dwudziestu stóp w stronę jeziora, nad wodą, w kierunku prowadzącym do ścieżki przez posiadłość Mosherów?

Summers zmarszczył brwi.

- I ten ślad mógł należeć do kogokolwiek. Była tam przecież policja i ekipa pogotowia.



- Czy ktokolwiek z nich nosił tego typu obuwie?

- Nie wiem - odrzekł Summers z pewną wyższością. - Ale wszyscy wiemy, że mógł to być ślad obuwia jakiegoś wędkarza.

- Lub mordercy.

Summers gwałtownie opuścił ręce.

- Czy powinniśmy nabierać takich podejrzeń z powodu jednego śladu o czterdzieści stóp od ciała? Nie widzę powodów, żeby łączyć jedno z drugim.

- Zechciałby pan w takim razie opisać teren dzielący ciało od śladu obuwia?

Summers milczał. Jednak jego pauzy nie były już zamierzonym chwytem. Caroline ścisnęło w gardle.

- Trawa - odezwał się wreszcie Summers - wokół ciała. Potem pokruszone skały wzdłuż brzegu.

- Nie sposób zdjąć odciski stóp z trawy, prawda?

- Nie mogliśmy tego zrobić.

- Kamienie na wybrzeżu też zostały poruszone?

- To prawda. Ale to mogła być policja albo ktokolwiek inny. - Znowu przerwał. - Tam też nie mogliśmy znaleźć odcisków stóp - przyznał w końcu.

- Więc możliwe, że ktoś oddalał się w tamtym kierunku od ciała i pozostawił jedynie tamten ślad buta?

Summers patrzył na nią badawczo.

- Teoretycznie istniała taka możliwość. Jednak nie było śladów krwi.

- A także gałęzi i krzaków, na których można by pozostawić ich ślady.

Znowu pauza.

- Racja. Ale była trawa i kamienie.

Caroline wyglądała na zaskoczoną.

- Trawa i kamienie? Czy sądzi pan w takim razie, że ów teoretyczny zabójca oddalił się z miejsca zbrodni, czołgając się?

Summers pokiwał głową.

- W ogóle nie wierzę w istnienie tego zabójcy, pani adwokat...

- Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy zabójca, który - pana zdaniem - siedział okrakiem na Jamesie Casie, miałby krew na podszewkach?

Summers założył ręce na piersiach.

- Nie wiem.

- Rozsądna odpowiedź - zgodziła się Caroline. - A zastanawiał się pan, czy ów zabójca mógł dotrzeć na miejsce przestępstwa innymi drogami - na przykład wodą, wzdłuż brzegu czy nawet łódką?

Summers wyglądał na mocno podenerwowanego i wyraźnie usiłował się uspokoić.

- Nie wzięliśmy pod uwagę helikoptera. Ale wzięliśmy kilka innych możliwości dotarcia do jeziora niż przez posiadłość panny Allen. W żadnym wypadku nie uzyskaliśmy od okolicznych mieszkańców informacji o nie znanych osobach czy pojazdach.

- Weźmy więc konkretny przykład ścieżki przez posiadłość Mosherów, która leży najbliżej miejsca przestępstwa, czy tak?

- Można tak powiedzieć.

- I prowadzi nad samą wodę?

- Tak.

- Czy próbowaliście szukać tam świeżych śladów obuwia lub samochodu?

Summers spojrzał na nią kamiennym wzrokiem.

- Ziemia była mocno ubita - wyschnięte błoto jeszcze od wiosny. Poza tym ta ścieżka była dosyć mocno uczęszczana. Nie sposób ustalić, czy i kiedy ktoś nią przechodził.

- Tak więc zabójca mógł podjechać lub podejść do jeziora tą ścieżką, a następnie, posuwając się wzdłuż brzegu, dotrzeć do miejsca, w którym leżał James Case. I nie zostawić przy tym żadnych śladów obuwia.

- Tak sędzę. Ale trzeba byłoby założyć, że nikt go nie widział.

- Była noc, prawda.

- Oczywiście.

- W porządku - rzekła Caroline ze spokojem. - Czy dostatecznie szczegółowo przeanalizowaliśmy dowody rzeczowe, które pana zdaniem wskazują na winę Brett Allen - nóż, portfel, odciski palców, przypuszczalny brak innej drogi z miejsca przestępstwa i pożałowania godny brak ejakulacji pana Case'a?

Oczy i usta Summersa wydawały się teraz mniejsze.

- Nie może pani ujmować tego w ten sposób. W końcu na skórze panny Allen znajdowała się krew ofiary, co potwierdziła osoba prowadząca badania medyczne.

- Och - rzekła Caroline beztrąsko. - To już omówimy z ową osobą. Proszę jednak mi powiedzieć, sierżancie Summers, kiedy pan i pan Watts otrzymaliście raport z badań medycznych?

- Około czterech dni po zajściu.

- Miał już pan wtedy wyniki badań z laboratorium kryminalistycznego, prawda?

- Tak.

- Mimo to nie aresztowaliście panny Allen.

- Nie.

- Kiedy więc na podstawie tego samego raportu zdecydował się pan oskarżyć Brett Allen?

Na twarzy Summersa pojawił się kolejny słaby uśmiech świadczący o tym, że wie on, do czego zmierza Caroline.

- Pięć dni później.

- Czyżby? - Caroline wyglądała na zaintrygowaną. - Czy w tym okresie wydarzyło się coś, co sprawiło, że uznał pan nagle aresztowanie panny Allen za konieczność?

Summers na moment zamilkł.

- Musieliśmy mieć czas, żeby przeanalizować wszystkie zdobyte informacje...

- A czy nie wydarzyło się to wtedy, gdy pojawił się świadek w osobie panny Megan Race - domniemanej kochanki pana Case'a?

Summers otworzył usta, lecz po chwili je zamknął. Caroline zdała sobie sprawę, że Summers wie, iż co do Megan Race musi być ostrożny, choć ani on, ani Jackson nie wiedzą dlaczego.

- Tak - odparł w końcu krótko.

- Panna Race twierdziła między innymi, że owej nocy James Case miał powiedzieć Brett Allen, że wyjeżdża z Megan do Kalifornii.

- Już o tym dzisiaj mówiłem.

Caroline pokiwała głową.

- James wybrał zaiste interesujący sposób przekazania tej wiadomości, prawda? Być może właśnie dlatego nie zdołał osiągnąć orgazmu? Poczucie winy było zbyt wielkie...

- Czy to pytanie? - Jackson spojrział z rozdrażnieniem na Caroline. - Bo jeśli ma być to

stwierdzenie, to panna Masters powinna pozostawić je jednemu żyjącemu świadkowi tego wydarzenia.

Caroline widziała, że Jackson jest u kresu cierpliwości. Żądanie, by zeznawała sama Brett, pokazało, że Caroline pokonała go.

- Było tam dwoje świadków - odpowiedziała łagodnie. - Panna Brett oraz morderca.

Jackson przez chwilę patrzył na nią. Jego spojrzenie było teraz spokojne.

- Czy to ma być pytanie, Caroline? - zapytał cicho.

Caroline poczuła, że wybił ją z rytmu, a na dodatek rozproszył.

- Tak - wtrącił się Towle. - Proszę zadać pytanie.

Caroline skinęła w stronę Jacksona, a potem odwróciła się do Summersa.

- Czy z dowodów znalezionych na miejscu przestępstwa - włączywszy w nie prezerwatywę - wynika, że ich stosunek seksualny odbył się za obustronną zgodą?

- Tak.

- A czy z tych dowodów wynika w jakikolwiek sposób, że była to inicjatywa Brett?

- Musiałbym powiedzieć, że to przypuszczenie.

- W istocie, sierżancie Summers. Czy ktokolwiek prócz Megan Race jest w stanie poświadczyc, że James Case zamierzał zabrać ją do Kalifornii?

Summers na chwilę zamilkł.

- Widziano ich razem, panno Masters.

- Nie o to pytałam, sierżancie. Ale przyjmuję pana odpowiedź. Jednak chciałabym się jeszcze dowiedzieć, czy panna Race oraz ofiara byli widziani razem później niż na początku kwietnia?

Summers przyglądał się jej.

- Nie pytaliśmy akurat o to.

- Więc zna pan odpowiedź?

- Nie - Summers zamilkł. Nagle na jego twarzy pojawiła się ulga. - Lecz jak to się stało, że panna Race mówiła nam o tym samym co panna Allen? Że James Case chce ją zabrać do Kalifornii? A tu nagle okazało się, że został zamordowany.

Summers obserwował twarz Caroline, szukając na niej oznak zagrożenia. Ona jednak tylko się uśmiechnęła.

- Zatem uważa pan za istotne, że Megan Race wiedziała, iż ofiara zamierzała wyjechać do Kalifornii.

Summers zastanawiał się. Caroline pomyślała, że przeczuwa jakąś pułapkę, lecz jeszcze nie wie, na czym będzie ona polegała.

- Tak - powiedział wolno.

- I to zwiększyło jej wiarygodność?

Krótkie skiniecie głową.

- W moich oczach - tak.

- A również, zgodnie z pana porannym zeznaniem, pozwoliło dojść, jaki był motyw zabójstwa? Brett rozzłościła zapowiedź spuszczenia na nią bomby.

- Tak.

- Czy naprawdę wyjaśnia to pana zdaniem, dlaczego Brett zabiła Jamesa?

Summers patrzył na nią, próbując ukryć lekceważenie.

- Już o tym mówiłem.

- Czy można zatem powiedzieć, że zeznania Megan Race stanowią zasadniczą część materiału dowodowego przeciwko Brett Allen?

- Jest wiele innych dowodów... - Summers zaczął mówić, lecz urwał. - Ale ona jest ważnym świadkiem.

Przez moment Caroline pomyślała o siedzącym gdzieś za jej plecami Larrym. Kiedy obróciła się, by na niego spojrzeć, opuścił wzrok. Odwracając się na powrót do Summersa, zapytała:

- Czy to nie pojawienie się panny Race spowodowało decyzję o oskarżeniu o przestępstwo panny Allen?

- Obrona zachęca do spekulacji - odezwał się spokojny głos Jacksona. - Pani Masters wie, że to nie była decyzja sierżanta.

- Podtrzymuję - potwierdził sędzia Towle.

Lecz Caroline już stała twarzą do Summersa.

- Czy przed oskarżeniem panny Allen o morderstwo pan Watts zasięgnął pana opinii?

- Tak - odrzekł Summers, z niechęcią kiwając głową.

- Co pan mu wówczas powiedział?

- Że mamy wystarczająco wiele dowodów, by ją oskarżyć.

Caroline położyła palec na ustach.

- A czy przed pojawieniem się panny Race wyrażał pan swoją opinię na temat kwestii oskarżenia panny Allen?

Po raz pierwszy Summers spojrzął na Jacksona.

- Tak.

- I jak ona brzmiała?

- Że powinniśmy szukać dalej.

Caroline przyglądała się mu w milczeniu. Summers najwyraźniej miał nadzieję, że obrona zadowoli się tym, iż uznał znaczenie Megan jako świadka. Jednak Caroline jeszcze nie skończyła.

- Ile czasu - zapytała - dzieliło śmierć Jamesa Case'a od pierwszego pojawienia się u was panny Megan Race?

- Około sześciu dni.

- Czy nie zwrócił pan uwagi panu Wattswi, że to dosyć dziwne? W końcu, zgodnie z zeznaniami panny Race, byli w sobie tak zakochani, że chcieli stąd razem wyjechać.

Summers z pewnym roztargnieniem wpatrywał się w swój mankiet.

- Owszem, rozmawialiśmy o tym. Ale panna Race twierdziła, że bała się panny Allen.

- Czy to wyjaśnienie pana zadowoliło?

Summers lekko wzruszył ramionami. Jego spojrzenie było czujne. Caroline wyobrażała sobie, że sierżant zastanawia się, dlaczego nie poruszyła sprawy romansu Megan z Larrym.

- Nie jestem panną Race - rzekł.

Caroline przez chwilę dała mu odetchnąć.

- Czy głównym powodem, dla którego uwierzył pan pannie Race, było to, że panna Allen skłamała co do samego jej istnienia?

Summers pochylił się, jak gdyby Caroline rzuciła mu koło ratunkowe, lecz nagle uniósł głowę, a w jego lodowatych oczach pojawiło się zaskoczenie. Najwyraźniej zastanawiał się nad tym, do czego zmierza obrona.

- Czy mogłaby pani powtórzyć? - zapytał.

Caroline zbliżyła się do niego.

- Czy uwierzył pan Megan Race dlatego, że Brett nie powiedziała wam o jej istnieniu?

Summers zawahał się.

- Owszem, miało to pewien wpływ na decyzję.

Caroline uśmiechnęła się do niego.

- Ale na nagraniu nie pytał pan Brett o wcześniejsze związki Jamesa?

Summers położył jedną dłoń na poręczy, drugą zaś potarł policzek, ostentacyjnie zmęczony dzielącą włos na czworo prawniczką.

- Nie wprost - rzekł. - Liczyłem, że odpowie na to pytanie rozsądnie.

Uśmiech Caroline stał się złośliwy.

- Ponieważ założył pan, że związek Megan z Jamesem trwał aż do jego śmierci?

- Tak.

- Wobec tego powinien pan być wyjaśnić to założenie pannie Allen - Caroline na moment zamilkła - zanim oskarżył ją pan o kłamstwo.

Summers poczerwieniał.

- Przecież wszyscy wiemy, że to nie jest pytanie - wtrącił się Jackson.

Caroline odwróciła się do niego.

- Tak? W takim razie nie mam ich więcej.

Stając przed Summersem, podziękowała mu i siadła. Podobnie jak na początku dnia w sądzie, znowu widziała Jacksona i ojca razem. Teraz patrzyli na nią: Jackson z ostrożnością, Channing chłodno i z rozwagą.

Odwróciwszy się od nich, dostrzegła pełen ulgi i wdzięczności uśmiech Brett.

## SIEDEM

Caroline ukroiła sobie kawałek gruyere'a, zjadła i popiła wytrawnym chianti o głębokim czerwonym kolorze.

- Dzięki za to - rzekła. - I za informacje o matce Megan.

Joe Lemieux uśmiechnął się.

- I jak minął ten dzień? Był owocny czy tylko długi?

Caroline nic nie odpowiedziała. Chyba najtrudniejsze w tym wszystkim było udawanie przed każdym - włącznie ze sobą - że nic nie czuje. Popiła jeszcze nieco wina.

- To zależy - rzekła w końcu. - A co jeszcze zdobyłeś?

Siedzieli w biurze Carltona Greya. Była dziewiąta wieczorem.

Przedmioty oświetlone lampką Caroline rzucały cienie w rogach pokoju. Lemieux poruszył się na krześle.

- Trudno mieć pewność co do czegośkolwiek. Od zabójstwa minęły już trzy tygodnie i nikt nie pamięta, czy ją wówczas widział. Niby dlaczego mieliby pamiętać? W końcu tamten wieczór nie był dla nikogo innego szczególnie. - Lemieux obserwował ją. - Mogę tylko pani powiedzieć to, co wiedzieliśmy już wcześniej. Megan zadzwoniła wtedy do swojego szefa z klubu studenckiego, że jest chora.

Caroline wzruszyła ramionami.

- Niech więc szuka pan dalej.

- Szukam. Nikt z osób mieszkających wokół jeziora nie przypomina sobie, by widział ją lub jej niebieską hondę. - Lemieux przerwał, formując ze swoich palców wieżę. - Czy bardzo zależy pani na potwierdzeniu, że tam była, czy wystarczy, jeśli okaże się, że nikt jej nigdzie nie widział?

Caroline przyjrzała się mu.

- Oczywiście lepiej byłoby, gdyby znalazł się ktoś, kto widział ją w pobliżu jeziora.

- Bo wystarczy, jeśli okaże się, że oglądała wówczas z przyjaciółmi telewizję, i wszystko na nic. - Spojrzał na nią z ciekawością. - Chyba że wierzy pani...

Caroline uśmiechnęła się do niego lodowato.



- Nie wiem, w co wierzę. Ale w wypadku mojej pracy nie jest to najważniejsze. - Nagle uśmiech zniknął z jej twarzy. - Czy pokazał im pan wszystkie zdjęcia?

Lemieux spojrział na nią wymownie.

- Każde z osobna.

- Czy jest ktoś, kogo jeszcze nie sprawdzaliśmy?

Lemieux przyglądał się opuszkom swych palców.

- Widzę, że rzeczywiście traktuje to pani poważnie - powiedział cicho.

Caroline po prostu patrzyła na niego.

- Została jeszcze stacja benzynowa - rzekł. - Przy zjeździe na drogę Mosherów. Dzieciak, który pracuje tam wieczorami, wziął wolne i wyjechał do matki na Florydę. Wróci najwcześniej za dwa dni - w czwartek.

Caroline zamyśliła się.

- Megan Race zacznie chyba zeznawać w czwartek. Spróbuję ją przytrzymać do piątku. Mam przeczucie, że wcale nie będzie to takie trudne.

Oczy Lemieux wyrażały milczące pytanie.

- Chyba już pójdę - powiedział powoli.

Caroline odchyliła się na krześle.

- A przy okazji - czy Megan jest lewo-, czy praworęczna? - zapytała. - Nie zwróciłam na to uwagi.

Lemieux uśmiechnął się blado, zaskoczony.

- Chyba praworęczna.

Caroline pokiwała głową.

- To dobrze.

## OSIEM

Doktor Jack Corn, specjalista medycyny sądowej, był siwiejącym mężczyzną, miał proste blond włosy, okulary w drucianej oprawie i przyjemny uśmiech małomiasteczkowego bankiera. Niewiele w jego wyglądzie wskazywało, że - o czym wiedziała Caroline - jest uznanym w całym kraju patologiem, który z placówki medycyny sądowej w New Hampshire uczynił powszechnie szanowaną instytucję. Miał dobre maniery, a w jego łagodnym głosie słychać było lekki środkowozachodni akcent.

Corn metodycznie opisał Jacksonowi wszystkie etapy prowadzonego przez siebie badania, poczynawszy od oględzin miejsca zbrodni, a na odwiedzinach w kostnicy w Concord skończywszy. Corn i dwójka jego asystentów badała ciało i fotografowała je. Dokonali bardzo szczegółowej obdukcji, zmierzili głębokość i szerokość ran, pobrali próbki krwi, szukali odcisków palców. Caroline wiedziała, że nie jest to przyjemne zajęcie. Jednak Corn posiadał dar opowiadania o tych procedurach tak, by brzmiało to klinicznie, wyczerpująco i naukowo. A z pewnością jego działania miały właśnie taki charakter.

- Czy w wyniku opisanych przez pana procedur - pytał Jackson - określił pan przyczynę śmierci?

Corn powoli pokiwał głową.

- Śmierć ofiary została spowodowana głęboką raną w gardle, uszkodzeniem żyły i tętnicy szyjnej oraz dróg oddechowych. W wyniku tych ran drogi oddechowe zostały wypełnione krwią. Tak więc pan Case dosłownie utopił się we własnej krwi.

Siedząca obok Caroline Brett złożyła ręce na stole i zaczerpnęła głęboko powietrza, ale stale patrzyła na świadka.

- Czy może pan opisać przebieg takiej śmierci? - poprosił Jackson.

Z twarzy Corna zniknął półuśmiech.

- Nie była to śmierć natychmiastowa, panie Watts. Z gardła będącej w stanie agonii ofiary przez trzy do czterech minut wydobywał się gulgotący dźwięk. Pan Case doświadczał przerażającej świadomości, że topi się i że nie jest w stanie nic na to poradzić.

Caroline zauważyła, jak Brett zamyka oczy. Jackson podszedł do świadka.

- A skąd brało się owo gulgotanie? - zapytał.

- Asfiksja. Ofiara nie mogła mówić. Zamiast tego cierpiała na tak zwany oddech agonalny. Z jego ust przez dziesięć do piętnastu sekund obficie wypływała krew. - Corn przerwał, jakby wyobrażając

sobie opisywaną scenę. - W końcu musiało dojść do szoku oligemicznego i braku dostatecznej ilości krwi w mózgu. Powinienem dodać, że ofiara nie wykonywała przy tym zbyt wiele ruchów. Ale trzeba również wziąć pod uwagę, że cięcie było na tyle głębokie, iż głowa ledwie trzymała się na karku.

Caroline dotknęła ramienia Brett i poczuła, jak ciałem dziewczyny miota spazm. Zaciśnęła dłoń na jej nadgarstku.

- Czy były również jakieś inne rany?

- Owszem, w sumie trzy. Sądzę, że pierwsza z nich była również raną gardła, lecz o wiele płytszą. Śmiertelne cięcie zostało zadane dopiero za drugim razem. Ostatni cios, jak sądzimy, został zadany w okolice serca.

Chłodna i beznamiętna relacja Corna mimo wszystko przekazywała obraz zdeterminowanego mordercy, podryznającego gardło osobie, z którą musiały go łączyć intymne, głęboko uczuciowe stosunki.

- Czy określiliście, jak zadano ofierze rany? - zapytał Jackson.

Corn założył ręce na piersiach.

- Były to rany zadane nożem. Z rozdarcia skóry wnioskujemy, że był to nóż o ząbkowanym ostrzu. Opierając się na tym oraz na dokonanych pomiarach, stwierdziliśmy, że mógł być to nóż znaleziony przy panie Allen.

- Czy wykonał pan zdjęcia ciała ofiary i zadanych jej ran?

- Tak. Zrobił to mój asystent.

Jackson wyciągnął z koperty leżącej na stole plik fotografii. Z pewnymi oporami odwrócił się do Caroline, spoglądając na Brett.

- Czy zechciałaby pani je przejrzeć jeszcze raz? - zapytał.

Caroline na moment odwróciła się do Brett. Miała kopie tych fotografii. Stwierdziła, że oglądanie ich przez Brett może tylko przyprawić ją o nocne koszmary.

- Nie patrz na to - szepnęła. - To nie ma sensu.

Błada Brett kiwnęła głową i odwróciła się.

- Tak - Caroline zwróciła się do Jacksona. - Proszę.

Patrząc na Caroline, Jackson zawahał się. Potem wręczył jej zdjęcia i odszedł do swojego stołu.

Caroline brała zdjęcia - jedno po drugim - do ręki.

Za obopólną zgodą zostały one wstępnie ponumerowane. Pierwsza fotografia pokazana przez oskarżenie nosiła numer dwadzieścia siedem. Wyraźnie było widać na niej otwarte oczy człowieka,

dla którego śmierć stanowiła jedyną szansę wyrwania się z agonii. Caroline poczuła, że siedząca obok Brett drgnęła. Przez moment zastanawiała się, czy to przerażenie samym widokiem, czy też wspomnieniem.

- Nie patrz - szepnęła do dziewczyny. - Następne nie będą wcale przyjemniejsze.

Caroline przejrzała zdjęcia jak najszybciej.

- Dziękuję - powiedziała do Jacksona.

Zabierając fotografie, Jackson obrzucił Brett szybkim spojrzeniem. W tej samej chwili Caroline dostrzegła pogłębiające się wokół jego oczu zmarszczki świadczące o zmęczeniu.

W ciągu kilku minut asystent z biura Jacksona porozwieszał zdjęcia na tablicy. Nawet z tej odległości Caroline widziała wyraźnie plamy krwi na twarzy Jamesa i ziejącą dziurę w jego szyi. Zauważyła, że Betty i Larry opuścili wzrok. Jedynie ojciec bez emocji przyglądał się fotografiom. Caroline usłyszała, jak Brett zaczerpuje głęboko tchu.

- Było ciemno - wyszeptała. - Nie widziałam go.

Caroline odwróciła się w jej stronę. Brett siedziała ze wzrokiem wbitym w zdjęcia, a na jej twarzy malowała się groza.

- Jak ktoś mógł zrobić coś takiego...?

Jackson wystąpił o kilka kroków.

- Doktorze Corn, czy te fotografie zostały wykonane podczas autopsji zwłok Jamesa Case'a? - zapytał.

- Tak.

- A czy to, co przedstawiają, pozostaje w zgodzie z podaną przez pana opinią na temat przyczyny śmierci?

- Tak. - Corn opuścił miejsce świadka i podszedł do tablicy. Caroline zauważyła, że sędzia z napięciem śledzi jego ruchy. - Na przykład zdjęcie numer dwadzieścia siedem ukazuje rozmieszczenie śladów krwi na twarzy ofiary. W pewnych rejonach widzimy większe plamki, w innych zaś tylko drobne krople krwi. Układ śladów krwi powstający w wypadku takiej rany, jaką odniósł pan Case, można porównać do śladów, jakie pozostawia rozpylana z małej odległości farba w aerozolu. W zależności od ciśnienia oraz przepływu cieczy ślady te mogą się od siebie różnić. - Corn przerwał, poprawiając okulary. - Po jakichś dziesięciu, piętnastu sekundach ciśnienie niemal całkowicie zanika, lecz ślady powstałe wcześniej pozostają.

Caroline wiedziała, na co przyjdzie teraz kolej. Po krótkiej wymianie zdań pomiędzy Jacksonem i Towle'em obok pierwszej tablicy stanęła druga. Brett siedziała nieruchomo.

Na zdjęciach Brett była otępiała z przerażenia, a piersi, twarz i tors spryskane miała krwią.

- Przykro mi - rzekła cicho Caroline. - Nie możemy nic na to poradzić.

Spojrzenie Brett znieruchomiało. Być może, myślała Caroline, to tylko kwestia poniżenia. Ale chyba jednak raczej szok spowodowany widokiem twarzy martwego Jamesa oraz własnej - przerażonej i pokrytej kroplami krwi. Nawet sędzia Towle był pod wrażeniem tych obrazów.

- Czy zbadał pan również układ śladów krwi na twarzy, szyi, ciele i ramionach panny Allen? - zapytał Jackson.

- Tak.

- Czy przedstawione tutaj zdjęcia pozostają w zgodzie z tezą, że panna Allen zabiła pana Case'a?

- Moim zdaniem tak.

Zeszytniała ze złości Brett patrzyła na Corna. Tymczasem Jackson mówił zupełnie spokojnie. Caroline wyczuwała jednak, że wolałby przekazać tę sprawę w ręce kogoś innego.

- Na czym opiera pan tę opinię?

- Na rozmieszczeniu śladów krwi. - Corn przerwał i wskazał na zdjęcie szyi Brett. - Ślady krwi na zdjęciu trzydziestym dziewiątym na przykład są zgodne ze sposobem, w jaki krew musiała wydostawać się z pierwszej zadanej rany. Są to drobne kropelki krwi, które powstawały, kiedy ciśnienie się zmniejszało.

- Czy taki układ śladów krwi mógłby powstać w trakcie prób stosowania sztucznego oddychania, o czym zeznała panna Allen?

- Moim zdaniem nie. Na przykład na ustach panny Allen nie stwierdzono kontaktowych śladów krwi, których można by się tam spodziewać. I chociaż próba zastosowania sztucznego oddychania mogłaby zaowocować powstaniem śladów drobnych kropli krwi, które widzimy na fotografii trzydziestej siódmej, to nie wyjaśnia to pochodzenia większych kropli krwi na brzuchu panny Allen. Te widać na przykład na zdjęciu trzydziestym dziewiątym. - Corn odwrócił się w kierunku sędziego, niczym wykładowca prowadzący seminarium. - Widzimy tutaj krople, które niżej są delikatniejsze, a wyżej - większe. Taki układ śladów krwi nie mógłby powstać w wyniku prób stosowania sztucznego oddychania już po utraceniu przez ofiarę większości krwi. Ślady są zbyt silne. Z drugiej strony mogły one powstać od krwi wydostającej się ustami przez pierwsze kilkanaście sekund oddechu agonalnego.

Robi wrażenie, pomyślała o Cornie Caroline.

- W porządku - wyszeptała do Brett, a w notatniku zapisała: „Rozprysk krwi przy wyjmowaniu noża?”

- Czy potrafi pan wskazać jeszcze inne fakty, które pozostawałyby w zgodzie z hipotezą, że zabójstwa dokonała panna Allen? - Głos Jacksona brzmiał teraz pewnie.

- Owszem. - Corn odwrócił się do fotografii przedstawiającej brzuch Jamesa. - Jeśli rozumiem teorię oskarżenia, to panna Allen podcięła ofierze gardło, siedząc okrakiem na jej korpusie,

prawdopodobnie w czasie stosunku. Na fotografiach możemy zauważyć, że w okolicach klatki piersiowej i żołądka pokrycie kroplami krwi jest znacznie słabsze. Wskazuje to, że krople krwi zostały zatrzymane przez piersi i brzuch panny Allen.

Obserwujący go sędzia Towle przytakiwał głową.

- Czy zatem, podsumowując, można rzec, że układ śladów krwi na ciele panny Allen i pana Case'a pozostaje w zgodzie z hipotezą, że podcięła mu ona gardło, a następnie wbiła nóż w okolicę serca?

- Tak.

Jackson z odrobiną smutku w oczach spojrział na Brett.

- Lecz jak tak wąła kobieta jak panna Allen mogła zadać tak poważne rany?

Corn ponuro spojrział na Brett.

- Z łatwością.

- Na jakiej podstawie tak pan sądzi?

- Zaczniemy od narzędzia zbrodni. Nóż był ostry jak brzytwa. - Przerwał, przybierając znowu profesorską manierę. - Przed laty słynny patolog Bernard Knight ustalił, że aby wbić naostrzony nóż w ciało człowieka, wystarczy siła rzędu jednego funta. Jeśli się zastanowimy, okaże się, że znamy to z własnego doświadczenia. W końcu jakiej siły potrzebuje pielęgniarzka, żeby zrobić nam zastrzyk? - Zakładając ręce na piersiach, Corn dokończył cicho: - Nóż był bardzo dobrej jakości, a poza tym zadbane. Używając go, Brett Allen nie miałaby żadnych problemów z zabiciem tego chłopaka.

## DZIEWIĘĆ

Caroline nie spieszyła się, idąc w kierunku Corna i wyeksponowanych na tablicach krwawych zdjęć. Robiła wszystko, żeby wyglądać jak najspokojniej.

- Czy zaznajomił się pan z zeznaniami panny Brett dotyczącymi morderstwa? - zapytała.

Corn spojrzał na nią ni to zachęcająco, ni defensywnie.

- Tak sędzę.

- W szczególności chodzi mi o następujące fakty: ona i pan Case pili wino i palili marihuanę. Potem, kiedy się kochali, pan Case osłabł. Brett poszła pływać. Dostrzegła cień nad ciałem pana Case'a. Kiedy wróciła, dosłyszała gulgotanie dobiegające z gardła pana Case'a. Obawiając się, że dusi się własnymi wymiocinami, siadła na nim okrakiem i próbowała go reanimować. Stąd wzięły się ślady krwi na jej twarzy. I że w przerażeniu i pod wpływem szoku wyrwała nóż, który dostrzegła w jego klatce piersiowej. - Głos Caroline raptownie przycichł. - Czy wie pan o tym wszystkim?

Corn założył ręce na piersiach tak, jak gdyby siebie obejmował.

- Tak, panno Masters. Wiem o tym.

- Cóż, w takim razie czy w tym wyjaśnieniu coś jest nie tak? Czy przedstawione przez pana wyniki badań medycznych nie mogłyby wskazywać właśnie na taki przebieg wypadków?

Corn zmarszczył brwi.

- Nie sędzę.

- Lecz przebieg wydarzeń przedstawiony przez Brett Allen wyjaśnia brak śladów walki między nimi.

- Możliwe.

- I ślady krwi pochodzącej z opisanego przez pana oddechu agonalnego.

- To również możliwe.

Caroline dotknęła ust.

- Swoją drogą czy aby pan po prostu nie zakłada, że Brett Allen zabiła pana Case'a? Bo mam nadzieję, że twierdzi pan jedynie, iż mogła to zrobić.

- Tak. Określanie, kto zabił tego człowieka, wykracza poza moje kompetencje.

- Czy jedynym powodem, dla którego historia przedstawiona przez pana Watta wydaje się panu bardziej wiarygodna od opowiedzianej przez Brett Allen, jest brak śladów krwi wskazujących na podejmowanie prób sztucznego oddychania?

Corn wyduł usta w trąbkę.

- Chodzi o całość okoliczności. Ale co do samego rozkładu śladów krwi to trzeba wspomnieć o dwóch rzeczach. Po pierwsze, ich układ na torsie panny Allen tłumaczy ich brak na korpusie pana Case'a. Po drugie, kropelkowy charakter niektórych śladów krwi na korpusie panny Allen nie wskazuje na to, by próbowała wykonywać sztuczne oddychanie.

Caroline skinęła głową.

- W porządku, doktorze. Zajmijmy się więc najpierw reanimacją. Nie twierdzi pan, że całość układu śladów krwi na ciele panny Allen nie odpowiada układowi, który mógłby powstać w sytuacji prób sztucznego oddychania?

- Nie. Próba sztucznego oddychania mogła spowodować wydostanie się z gardła pana Case'a chmury drobnych kropelek krwi, które mogły opaść na twarz panny Allen. Lecz to nie wyjaśnia pochodzenia śladów o łezkowatym kształcie.

Caroline udała zaskoczoną.

- Ale zgodnie z pana opisem, ze śmiertelnej rany, przynajmniej przez pierwsze sekundy, na przemian z bluzgającą krwią mogła się wydobywać chmura drobnych kropli. Czy to prawda?

- Tak.

Odwróciwszy się w kierunku pierwszej tablicy, Caroline przez chwilę patrzyła w otwarte, martwe oczy Jamesa Case'a.

- W istocie, na zdjęciu dwudziestym trzecim strużki krwi odzwierciedlają zjawisko bluzgania krwią.

- To prawda.

Podchodząc do drugiej tablicy, Caroline zatrzymała się obok zdjęcia twarzy Brett.

- Jednak na twarzy panny Allen nie ma tego rodzaju śladów.

Corn przez chwilę milczał.

- Nie ma. Ale być może jest to wynik dzielącej ich odległości.

Caroline odwróciła się do niego.

- Proszę wybaczyć brak delikatności, ale chciałabym się dowiedzieć, czy zasięg krwi



wydobywającej się w postaci chmury kropelek jest większy niż krwi bluzgającej?

- Niekoniecznie. Ale pani zakłada, że twarz panny Allen znajdowała się w czasie tych kilku sekund w stałej odległości od podciętego gardła pana Case'a. - Corn przyjrzał się tablicy. - Proszę spojrzeć na zdjęcia trzydzieści pięć i trzydzieści sześć. Widać na nich silniejsze ślady krwi na piersiach i brzuchu panny Allen.

Przez chwilę Caroline tylko na niego patrzyła.

- Czy znany jest panu termin „rozprysk”?

- Oczywiście.

- Czy może go pan nam opisać?

W spojrzeniu Corna widać było podenerwowanie.

- To ślady krwi powstające przy wbiciu ostrego przedmiotu w ludzkie ciało.

- Czy także przy jego wyciągnięciu?

- Również przy wyciągnięciu.

- Czym się charakteryzuje taki układ śladów krwi?

Corn przez chwilę patrzył na zdjęcia Brett.

- Może on mieć formę rozpryskujących się lezkowatych kropli - przyznał. - Takich, jakie widać tutaj na pannie Allen.

- A czy taki efekt dać może również wyciągnięcie noża?

- Tak, to możliwe.

- Tak więc możliwe jest również, że ślady krwi bluzgającej ze średnią siłą, które znalazły się na twarzy panny Allen, były wynikiem próby wykonania sztucznego oddychania, ślady zaś na jej torsie, złożone z większych kropli, powstały, kiedy wyciągała nóż z rany. - Caroline zamilkła, by podkreślić swe słowa. - Nie zaś oddechu agonalnego, który przypisał pan panu Case'owi.

Zwracając się do Caroline, Corn przyglądał się jej z zainteresowaniem profesjonalisty.

- Tak, to również możliwe.

- Co pozostawia pana Wattsa jedynie z zagadką braku śladów krwi na klatce piersiowej ofiary.

Małe brązowe oczy Corna były czujne.

- Tak, jeśli mówimy o śladach krwi, lecz nie o całokształcie oskarżenia.

Caroline skinęła głową.

- Powiedział nam już pan, że ów brak śladów krwi mógł zostać spowodowany przez fakt, że morderca siedział okrakiem na ofierze. Sądząc po wyglądzie śladów krwi na twarzy ofiary, czego spodziewałby się pan na ciele mordercy?

Corn zdjął okulary i przetarł je chusteczką.

- Trudno powiedzieć, panno Masters. Tutaj również mogło to zależeć od odległości.

Odwróciwszy się, Caroline wskazała na rozpylone na ramionach i piersiach Brett drobne kropelki krwi.

- Czy oczekiwałby pan śladów silniejszych niż te?

Corn przyjrzał się fotografii.

- Mogę tylko powiedzieć - rzekł w końcu - że to jest możliwe...

- Więc możliwe jest również, że zabójca, nie zaś Brett, przyjął na siebie silne uderzenie krwi. Oślonił przed nią klatkę piersiową pana Case'a. Na ciele panny Brett Allen przy próbie sztucznego oddychania powstały znacznie słabsze ślady.

- To również możliwe. Ale co z brakiem kontaktowych śladów krwi na ustach panny Brett?

Caroline wzniosła brwi.

- Czy przypadkiem słyszał pan może, jaki czas upłynął pomiędzy morderstwem a wykonaniem tych zdjęć?

- Około dwóch godzin, jeśli się nie mylę.

- Jest to czas więcej niż wystarczający, by panna Allen zdążyła odruchowo zlizać krew z ust. Poza tym - jak wszyscy wiemy - wymiotowała, a potem ocierała usta.

- Tak. - Corn wstał i podszedł do drugiej tablicy. - Jednak skoro już o tym mówimy, nie zapomnijmy o plamie krwi na szyi panny Allen. Nie jest to ani chmura drobnych kropelek, ani też większych kropli, lecz rodzaj ochlapania krwią, które mogło powstać w wyniku wydobywania się jej z ust przy oddechu agonalnym.

- Chodzi o tę jedną plamę? - Caroline stanęła obok niego. - Czy znane są panu zeznania funkcjonariusza Manna, w których mówi on o tym, że pożyczył pannie Allen swoją kurtkę?

- Tak.

- A czy owa pojedyncza plama nie mogłaby być jedynie wynikiem rozmazania krwi w czasie wkładania kurtki?

Corn ze zmrużonymi oczami przyglądał się fotografii.

- Tak - rzekł krótko. - Ale tego nie da się obecnie ustalić.

Odwracając się, Corn ruszył w stronę miejsca dla świadka.

- Skoro już pan tu jest - zatrzymała go Caroline - chciałabym zapytać pana o jeszcze jedną rzecz. Chodzi o to zdjęcie.

- Tak? - Corn zawrócił.

Caroline położyła palec wskazujący pod rozmazaną plamką na szyi Case'a.

- Co to takiego?

Corn przyjrzał się śladowi.

- Przypomina siniak. Prawdopodobnie pozostawiony przez palec - stwierdził.

- Czy mógł pan zdjąć z tego miejsca odcisk palca?

- Nie mogliśmy tego zrobić - odparł Corn chłodno. - Jak sama pani zauważyła wczoraj, trudno jest zdjąć odciski ze skóry mężczyzny. Przynajmniej jeśli nie ma na niej krwi.

Caroline dostrzegła, że Towle pochylił się.

- Czy zdjęcie odcisku mogło być trudne również dlatego, że ten, kto go zostawił, nosił rękawiczki?

Corn przekrzywił głowę.

- Nie da się tego ustalić. Nie na podstawie tego zdjęcia.

- W takim razie zostawmy to. - Caroline szybko wróciła do stołu obrony i wyciągnęła zdjęcie z torebki. - Wnioskuje o przyjęcie tego zdjęcia jako dowodu - rzekła do Towle'a. - Przedstawia okolicę rany na szyi pana Case'a. Z pozwoleniem sądu chciałabym zapytać o nią doktora Corna teraz, by nie musieć powoływać go ponownie.

Towle spojrzał na Jacksona.

- Panie Watts?

Jackson podszedł do Caroline, wziął od niej zdjęcie i przyglądał się mu przez dłuższą chwilę. Jego twarz nie wyrażała niczego.

- Akceptuję jego przyjęcie jako dowodu - rzekł do Towle'a.

- Dziękuję - odpowiedziała Caroline i podała zdjęcie Comowi. Stojąc obok niego, wskazała palcem bladą linię prowadzącą od krawędzi rany. „Jeżeli jest uczciwy”, powiedział wcześniej wynajęty przez nią ekspert, „nie może powiedzieć nie. A przynajmniej nie może mieć pewności”. - Czy widzi pan tę linię? - zapytała.

Corn wolno pokiwał głową.

- Tak, widzę.

- Czy mogła powstać w wyniku dotknięcia tej samej skórzanej rękawicy?

Przez dłuższą chwilę Corn wpatrywał się w zdjęcie zmrużonymi oczami.

- Tak - rzekł w końcu. - To możliwe.

- Tymczasem z racji odcisków pozostawionych przez pannę Allen na krwi ofiary wiemy, że nie miała ona rękawiczek.

Corn wyglądał na zakłopotanego, choć Caroline nie wiedziała, czy dlatego, że sam zaczął mieć wątpliwości, czy też dlatego, że przyparto go do muru.

- Wiemy o tym, owszem. - Spojrzał na Caroline, oczekując, że ta pójdzie za ciosem. Ona jednak przekazała fotografię sędziemu Towle'owi.

- Dziękuję, doktorze Corn. Może pan usiąść - rzekła po prostu.

Corn rzucił w jej kierunku krótkie pytające spojrzenie i wrócił na miejsce przeznaczone dla świadka.

Stojąca przed nim Caroline pozwoliła sobie na chwilę milczenia.

- Czy jest pan nadal przekonany, że zabójca Jamesa Case'a musiał siedzieć na nim okrakiem? - zapytała w końcu.

Na moment na twarzy Corna pojawiło się zaskoczenie, które jednak zaraz ustąpiło szybko odzyskanej pewności siebie.

- Tak, jestem pewien.

- A to dlaczego?

- Jest kilka powodów. Brak śladów krwi na klatce piersiowej pana Case'a, kąt, pod jakim zadano ranę w okolicy serca, wskazujący na kierunek ruchu noża, oraz drobne kropelki krwi na trawie za jego głową.

Caroline przytaknęła.

- W porządku. Czy może pan zademonstrować ruch, którym - pana zdaniem - zabójca podciął gardło ofiary?

Corn zawahał się przez moment. Potem uniósł prawe ramię i wygiął nadgarstek, a następnie zdecydowanym ruchem w dół przeciął wyimaginowane gardło Case'a.

- Tak by to wyglądało - rzekł.

- Dziękuję panu. - Caroline urwała, jak gdyby skonsternowana. - Ale czy nie powinien pan użyć

lewej ręki? Zakładając, że imituje pan ruchy panny Allen.

- Tak sędzę - rzekł zaskoczony Corn, lekko się do niej uśmiechając.
- Dlaczego pan się ze mną zgadza?
- Odciski na krwi pokrywającej rączkę noża pochodziły z palców lewej dłoni panny Allen.
- No właśnie.

Caroline podeszła to tablic ze zdjęciami, zatrzymując się obok fotografii przedstawiającej podcięte gardło Jamesa Case'a.

- Czy zmierzył pan głębokość ran w szyi ofiary?
- Tak.
- Czy głębokość rany jest jednakowa na całej jej długości?
- Oczywiście, że nie. Jak można było oczekiwać, najgłębsza jest pośrodku.

Kątem oka Caroline dostrzegła, że Jackson poruszył się niespokojnie.

- Jeśli dobrze pamiętam - odrzekł Corn - głębsza była po prawej stronie.

Caroline pokiwała głową.

- Doktorze Corn, czy jest panu znane zjawisko efektu zmiennej głębokości cięcia?
- Tak - odrzekł po krótkiej pauzie.
- Może pan je nam opisać?

Corn spojrział na Jacksona, a potem znowu na Caroline.

- Zgodnie z bardzo ogólną zasadą, rana jest głębsza w miejscu wejścia noża - zakładając, że mówimy o horyzontalnym cięciu gardła - niż w miejscu jego wyjścia.
- A tutaj, w obydwu wypadkach, prawa strona rany była głębsza.
- Tak.
- Co więc - zakładając, że mamy do czynienia z tego typu efektem - można by powiedzieć o osobie, która zabiła Jamesa Case'a?

- Sprzeciw! - Jackson szybkim krokiem podszedł do ławy sędziego. - Pytanie nie tylko zachęca do spekulacji, lecz opiera jedną spekulację na drugiej. A pierwszą z nich jest hipoteza dotycząca ruchu, jaki wykonywał morderca podcinający ofierze gardło nożem.

- Spekulacją, z której pan Watts był całkowicie zadowolony, dopóki zabójcą była panna Allen

siedząca okrakiem na swojej ofierze. Pytałam o opinię doktora Corna z tych samych co on przyczyn.

- Zdaje się, że muszę oddalić pański sprzeciw, panie Watts - Towle zwrócił się do niego, kiwając głową. - Biorę to na siebie. - Zwrócił się teraz do świadka: - Może pan odpowiedzieć, panie Corn.

- W istocie, jest to spekulacja, lecz jeśli mam rację co do sposobu zadania tych ran, a mieliśmy do czynienia z opisywanym efektem, to morderca powinien być raczej praworęczny.

Caroline dosłyszała za plecami poruszenie na sali.

- Dziękuję - rzekła chłodno. - Nie mam więcej pytań.

## DZIESIĘĆ

- Czy zamierzasz nam przedstawić jakiegoś konkretnego mordercę, czy też wolisz bezimienną zjawę?

Caroline wzruszyła ramionami.

- Jeszcze sama nie wiem.

Była szósta. Oboje stali pod drzewami na trawniku przed budynkiem Sądu Hrabstwa Connaughton. Reporterzy rozeszli się do swoich redakcji, żeby dostarczyć tam zebrane materiały i wieść, że Caroline wezwała Watta do odstąpienia od oskarżenia. Brett wróciła do więzienia, a reszta rodziny Caroline na Masters Hill. Stała więc teraz sama z Jacksonem w szarzejącym świetle dnia.

Zrzuciła z nóg buty.

Zauważyła, że Jackson jest w kiepskim nastroju. Traktował ją z mieszaniną familiarności i braku zaufania, a jego głos brzmiał sarkastycznie. Ale podszedł do niej w jakimś celu, którego teraz usiłowała się domyślić. Zaczepnęła tchu i podniosła twarz do słońca, przeczekując milczenie Jacksona.

- Jakież to dziwaczne - rzekła - tkwić w tym miejscu przez okrągły dzień. Zapominasz o całym świecie.

Jackson, z rękami w kieszeniach, rozejrzał się wokół. Connaughton Falls leżało w samym sercu doliny obejmującej również Resolve. Otaczające okolicę wzgórza i lasy były znane im obojgu od dzieciństwa.

- Czy kiedykolwiek do tego tęskniłaś? - zapytał.

- Czasami. Bo wiedziałam, że nigdy tutaj nie wrócę.

Jackson spojrzał na nią z ukosa.

- Cóż, jednak wróciłaś - rzekł w końcu. - Na dodatek w najlepszej formie, w jakiej cię kiedykolwiek widziałem. Cóż, są ludzie z pewnymi umiejętnościami, jak ja, ale są też tacy, którzy mają coś więcej.

Mówił jak obojętny widz. Ponieważ uznał jej umiejętności i talenty, był wystarczająco sprytny, by ją pokonać.

- W twoich ustach brzmi to tak, jak gdyby obrona Brett była tylko próbą mojego talentu - odparła. - Być może powinieneś wziąć pod uwagę, że może tutaj chodzić o coś więcej.

Jackson odwrócił się do niej.

- Do tej pory twoja obrona Brett to jedno wielkie gdybanie, domysły opierające się na domysłach. Robi na mnie wrażenie łatwość, z jaką asymilujesz wnioski ekspertów. W zeznaniu każdego świadka potrafisz znaleźć jakąś dziurę, z której wydobywasz jeszcze jeden domysł.

Caroline pokręciła głową.

- W ich zeznaniach są luki, a możliwości alternatywnych wyjaśnień, które one stwarzają, są całkiem realne. Twój problem - a właściwie problem z twoimi świadkami - polega na tym, że zaczęli oni zbyt wiele zakładać po pojawieniu się Megan Race i dostarczeniu przez nią motywu. Uznaliście, że macie do czynienia z morderstwem, którego dokonano za zamkniętymi drzwiami, i że nie ma potrzeby poszukiwać innych podejrzanych.

Jackson wcisnął dłonie do kieszeni.

- Tak... Megan Race - jutrzejszy świadek.

Nie wymagało to żadnego komentarza ze strony Caroline, więc go nie uczyniła.

Po pewnym czasie Jackson zdjął marynarkę, rozwiązał krawat i siadł, opierając się plecami o drzewo.

- Więc dla kogo z nas Megan jest największym problemem? Dla Brett, dla mnie czy dla ciebie?

Caroline siadła obok niego, patrząc na trawnik.

- Dla jednego z nas dwojga. Brett jest poza tą całą sprawą.

- Więc nie powiesz mi niczego?

- Nie mogę. To ze względu na Brett. Chyba że oddalisz oskarżenie.

- Wiesz, do cholery, że nie mogę tego zrobić. Nie bez powodu.

Caroline wzruszyła ramionami.

- Cóż więc nam pozostaje...

Jackson odwrócił się do niej.

- Nawet jeśli przeszukanie mieszkania Megan cal po calu pozwoliłoby znaleźć jakieś dziwne odciski palców?

Twarz Caroline stała się nieprzenikniona.

- Jeśli dobrze rozumiem - rzekła chłodno - zakładasz konflikt pomiędzy interesami moimi i Brett. A być może między jej interesami a moimi ambicjami.



Jackson pokręcił głową.

- Próbuję cię zrozumieć, Caroline. Ale nie potrafię...

Caroline postukiwała palcami, a potem położyła dłoń na kolanie.

- W takim razie pewno pomoże ci w tym, jeśli dowiesz się, że odłożyłam swoje ambicje na bok. Z nas dwojga tylko ty ciągle pragniesz zostać sędzią.

W jego milczącym spojrzeniu nie można było doszukać się zrozumienia. Caroline miała wrażenie, że obserwuje ich oboje zatrzymanych w chwili, którą jedynie ona potrafi pojąć. Odruchowo dotknęła jego ramienia.

- Wiesz, Jackson, że wolałabym, żeby oskarżycielem był ktoś inny. Ale to wszystko, co mogę ci powiedzieć.

- Czy z powodu Brett? - rzekł, patrząc na jej dłoń.

- Tak.

Jackson powoli wysunął rękę spod jej dłoni.

- Cóż, w takim razie zostawmy w spokoju Megan i porozmawiajmy o nas.

Caroline poczuła się niezręcznie. Zadziałał odruch nabyty przy wkraczaniu w dorosłość: wycofanie uczuć, by dać miejsce myślom.

- Chcesz mi zaproponować nieumyślne zabójstwo - powiedziała.

- Jak się tego domyśliłaś? - Jackson uśmiechnął się ponuro.

- Z jakim wyrokiem się to zazwyczaj łączy?

- Dziesięć lat - rzekł, a uśmiech zniknął z jego twarzy. - Moja propozycja jest ważna przez jeden dzień, Caroline. Daj mi znać jutro rano, przed przesłuchaniami.

Caroline poczuła niemiły chłód.

- Chyba nie robisz tego z obawy o to, co mam w zanadrzu na twojego koronnego świadka?

Jackson zmrużył oczy.

- Myślałem, że ty się czegoś obawiasz. - Zamilkł na chwilę. - Nie wiem, co masz na Megan, ale nie mogę zmienić zbudowanej już formuły oskarżenia, a Fred Towle też nie zamierza mnie od niej odwozować. Twoje pytania dotyczyły pewnych rozsądnych wątpliwości, nie zaś samej istoty oskarżenia. A sądowni w New Hampshire będziesz musiała zaoferować coś więcej niż barwną opowieść o praworęcznym dealerze narkotyków w rękawiczkach, który w czasie, gdy Brett kąpie się w najlepsze w jeziorze, podpływa w kanoe do brzegu, podcina gardło Case'owi i odpływa. To po prostu nie przejdzie.

Caroline bała się, że Jackson może mieć rację.

- Więc skąd twoja propozycja?

- Ponieważ może ci się udać przekonać sąd, że pod wpływem zazdrości i intoksykacji Brett działała bezmyślnie. Możliwe, że jest to nawet zgodne z prawdą. Lecz nie możesz zagwarantować jej, że dostanie tylko dziesięć lat. - I po chwili Jackson dodał łagodnie: - Brett wyjdzie z więzienia w wieku trzydziestu dwóch lat, wszystko to będzie miała dawno za sobą. Chyba za niewielką cenę, jeśli wziąć pod uwagę to, co widzieliśmy dzisiaj na zdjęciach.

- Te zdjęcia mogą nigdy nie stać się materiałem dowodowym - odparła Caroline. - Przynajmniej zdjęcia samej Brett. Większość z tego, co macie, opiera się bezpośrednio na tym, co wynikało z pierwszego wyjaśnienia złożonego Mannowi. A to z pewnością zdołam obalić. Cała sprawa zacznie wyglądać wówczas inaczej: zdjęcia, przeszukanie Brett i jej posiadłości, jej drugie zeznanie - owoc trującego drzewa.

Jackson oparł ręce na kolanach. Spojrzał na nią spokojnie.

- Powiem ci, co będzie. Uda ci się unieważnić pierwsze zeznanie Brett. A jeśli będziesz miała szczęście, to i drugie. Lecz wszystkie dowody rzeczowe wynikające ze znalezienia ciała pozostaną ważne, bo przecież znaleźlibyśmy je i bez jej pomocy. W czasie procesu Brett będzie musiała przedstawić swoją wersję wydarzeń i próbować szczęścia ze mną lub z moim następcą w czasie przesłuchania. Żadna rozsądna ława przysięgłych nie puści jej płazem tych wszystkich dowodów.

- ...lub twojemu następcy? - powtórzyła niczym echo Caroline.

- Owszem. Stwierdziłem, że ta sprawa przestała mnie bawić.

Caroline oparła się wygodniej, zastanawiając się, czy Jackson zmienił zdanie z powodu niesmaku, czy też powodowany wrażliwością? Wiedziała, że przeżywa głęboki stres, być może wywołany niechęcią wobec własnej roli, lękiem o utracenie szans na posadę sędziego lub po prostu masą wątpliwości co do własnego powołania, które zaczynają dręczyć człowieka w jego wieku. Z doświadczenia wiedziała, że mogło być to wszystko naraz.

- Czy mógłbyś wyobrazić sobie tę rozmowę w czasach, gdy byliśmy w szkole średniej? - zapytała.

Jackson uśmiechnął się krzywo niemal tak samo jak tyle lat wcześniej.

- Nawet jeśli mógłbym to sobie wyobrazić, to nie wyobraziłbym sobie, co wówczas mógłbym czuć.

Nie wiedząc czemu, Caroline zamilkła. Po chwili dotarło do niej: być może jest to jej ostatnia przyjacielska rozmowa z Jacksonem Wattsem. Odwróciwszy się od niego, wbiła wzrok w trawnik i obserwowała gęstniejące na nim cienie.

- Porozmawiam z Brett - powiedziała. - Ale jeśli nadal chcesz przesłuchiwać Megan, jestem na to przygotowana.

Wieczorem w umyśle Caroline wszystko, co wiązało się z Brett - obraz jej żywych zielonych oczu, brązowych loków, zwinnych rąk - zdawało się drżeć w tłumionym lęku. Pełna wątpliwości Brett była dla niej teraz tak realna, że jej długie milczenie wystraszyło ją.

- Chyba nie wyjaśniłam tego wystarczająco jasno - rzekła Caroline.

- Wyjaśniłaś to już dostatecznie jasno. - Spojrzenie Brett było spokojne i przeszywające. - Dziesięć lat i po odsiadce. Próbuję tylko zrozumieć to, co mówisz między wierszami.

W głowie Caroline jedne myśli goniły drugie. Przypomniała się jej słynna sprawa pewnej znanej osobistości, która została oskarżona o okrutne zabójstwo żony. Caroline wiedziała, że oskarżony jest winny, tymczasem on, za namową swojego specjalisty od public relations, wyznaczył nagrodę za schwytanie „prawdziwego” mordercy ukochanej matki dwojga małych dzieci.

- Zastanawiam się, kto twoim zdaniem zamordował Jamesa. Czy ten dealer narkotykowy?

- Nie. Już w to nie wierzę. - Spojrzenie Brett było spokojne. - A przynajmniej nie bardziej niż ty.

Zaskoczona Caroline zawahała się.

- W takim razie kto?

- To mnie właśnie przeraża. - Brett przez chwilę milczała. - Patrzyłam na te zdjęcia przez cały dzień, a potem cały czas o nich myślałam. Z jednej strony jest to, co pamiętam; z drugiej wszystko to, o czym ty już wiesz. Nie mogłabym mu czegoś takiego zrobić. Nie znam nikogo, kto by mógł.

Siedząc teraz w żółtym pokoju o nagich ścianach, Caroline przyglądała się uważnie Brett. Chwila ta przywołała echa wielu podobnych rozmów, które odbyła w podobnych pokojach, kładąc różne stawki na szale ryzyka. Ale z drugiej strony była tak od nich wszystkich inna.

- Ale co ty o tym myślisz, Caroline? - zapytała Brett ironicznie. - Upieram się przy swojej niewinności, a ty przecież jesteś moim prawnikiem.

Caroline poczuła jakiś wewnętrzny ucisk.

- Pewno nie jestem od tego tak zdystansowana, jak powinnam.

Wyrwana z własnych problemów Brett spojrzała na nią przez moment z zaciekawieniem.

- Ostatnie trzy dni były potworne - rzekła łagodniej. - Czasami aż trudno mi sobie wyobrazić, co może czuć osoba obserwująca to z boku - powiedziała.

- Nie przejmuj się tym. Czyżby moje rady były jednak dla ciebie tak istotne?

- Tak - powiedziała cicho Brett. - Teraz tak.

Caroline westchnęła.

- Nie przyjąłabym oferty Jacksona.

Brett spojrzała na nią badawczo.

- Dlaczego?

- Ponieważ każdy dobry obrońca może wytargować taką ugodę później. Nawet oskarżenie Jacksona najwyraźniej sprowadza się do nieumyślnego zabójstwa. - Przerwawszy, Caroline zdała sobie sprawę z wagi ostatnich słów. - Oczywiście, nie jest mi łatwo o tym mówić. Zgodzisz się na dziesięć lat i masz całe ryzyko z głowy. Bez procesu, bez czekania, bez lęku. Po prostu zaczynasz oddawać swój czas, mając nadzieję, że kiedy wyjdiesz, będzie cię jeszcze czekało normalne życie - kariera, dzieci. Kto wie. Ale może następcą Jacksona będzie twardy i nie pójdzie na taki układ. - W Caroline wzbierało przerażenie własnymi słowami. - Nie mogę cię jednak do tego namawiać, ponieważ, chociaż boję się tobie o tym mówić, wydaje mi się, że mogę doprowadzić do korzystniejszego wyniku.

Brett patrzyła na nią z nadzieją i wątpliwościami. Po jakimś czasie zapytała:

- Czy z powodu Megan?

Przez długą chwilę Caroline milczała.

- Tak - odrzekła. - Może nie tylko dlatego.

## JEDENAŚCIE

Caroline pomyślała, że w sądzie zdarzają się dni o większym znaczeniu. Czasami wyczuwają to tylko prawnicy, ale niekiedy również publiczność. Swoją obecnością Megan Race wniosła na salę rozpraw coś szczególnego: przekonanie, że jest to chwila, w której będą się ważyły losy procesu.

Wydawała się świadoma wszystkiego: obecności reporterów i rodziny Mastersów, wagi własnych zeznań. Zachowywała się niczym aktorka, która udając, że ignoruje widownię, okazuje jej swe względy poprzez ruchy, szczególne gesty, wypowiedane słowa czy nawet znaczące milczenie. Zajęcie miejsca świadka przez wysoką, wyprostowaną i dumną Megan wywołało szczególną ciszę.

Caroline była niemal pewna, że tylko ona czuje, że dzisiaj publiczność będzie świadkiem niespotykanych wydarzeń i czyjegoś psychicznego załamania, którego oglądanie nie będzie z pewnością przyjemne. Jednak był to tylko jeden z wielu powodów, dla których pragnęła, aby ten poranek nigdy nie nastąpił.

Przed rozpoczęciem przesłuchań na boku szybko powiedziała Jacksonowi, że Brett nie może zgodzić się na jego ofertę - między innymi dlatego, że twierdzi, że jest niewinna. Jackson spojrział na nią bez słowa. Wyglądał na równie przygaszonego jak Caroline.

- Czy mogę zapytać, co jej doradziłaś? - rzekł wolno.

- Obawiam się, że to samo. - Caroline wzruszyła ramionami. - Więc ciągniemy to.

Jackson znowu przez moment na nią patrzył.

- Próbuję cię zrozumieć - rzekł. - Przecież chyba jej nie wierzysz?

- Zaczynam to poważnie brać pod uwagę, Jackson. Ty również powinieneś to zrobić. - Caroline przerwała. - Naprawdę chciałam z tobą porozmawiać o Megan. Ale to byłoby sprzeczne z interesem Brett.

Jackson uśmiechnął się smutno.

- No cóż - rzekł i odwrócił się, by wejść do budynku. Dla Caroline moment ten był bardziej bolesny, niż Jackson mógł sobie wyobrazić.

Teraz, siedząc obok Brett, wiedziała, po co tutaj przyszła.

Brett, rzecz jasna, nic z tego nie rozumiała. Była całkowicie skoncentrowana na Megan. Obserwowała ją z chłodną złością, która dla Caroline była prawdziwie przejmująca.

- Kto mógłby czerpać z tego przyjemność? - mruknęła Brett.

Właśnie o to chodziło i Brett zdołała to wychwycić: wypełniona sala sądowa była wodą na młyn narcyzmu Megan. Tak martwiąca się uprzednio o Caroline, teraz nie wahała się.

- Przygotuj się na długi poranek - Caroline szepnęła do Brett. - Ale potem sprawy potoczą się już lepiej.

Ze wzniesioną głową, patrząc przed siebie, Megan przysięgła mówić prawdę.

Caroline jeszcze raz obejrzała się, aby zobaczyć swoją rodzinę. Ojciec patrzył na Megan tak, jak gdyby była ona jakimś insektem. Dla Caroline było to nawet bardziej przerażające niż jawny gniew. Być może winne było temu wspomnienie chwil, w których jej samej otworzyły się oczy: kiedy zniknął David, ojciec zaś okazał się człowiekiem potrafiącym odrzucić błaganie innej istoty o odrobinę współczucia. Pomyślała, że mimo całego podobieństwa do niego, ta właśnie różnica sprawiła, że została obrońcą. Przynajmniej to czyniło z niej w pewnym stopniu córkę Nicole Dessaliers.

Odruchowo odwróciła się w stronę siostry. Ponuro pomyślała, że Betty brak tego, czym zawsze promieniał ojciec. Jej twarz była blada, zniekształcona przez lęk i gniew. Caroline wiedziała, że gniew ów jest znacznie głębszy, choć nie bardziej złożony niż w wypadku matki, której córkę zaczepia jakiś osiłek. Jednak najsilniejszy był nie opuszczający jej ani na chwilę lęk, że zabiorą jej to, co jest dla niej w życiu najważniejsze, i to z powodów, których nie może zrozumieć. Całe szczęście, że nie wiedziała, iż to właśnie Larry, naruszając jej zaufanie, przyczynił się do postawienia Brett w obecnej sytuacji. Nawet Caroline nie potrafiłaby się cieszyć z tego, co czułaby Betty, wiedząc o tym.

Larry siedział tymczasem obok Betty, trzymając ją za rękę. Nie był w stanie patrzeć na Megan. Dostyc bezlitośnie Caroline upewniła się, że jednak ją dostrzegł. Odwróciła się dopiero, gdy on opuścił wzrok.

Niech was wszystkich jasna cholera, pomyślała. Pod stołem dotknęła ręki Brett i poczuła, jak palce dziewczyny zaciskają się na jej dłoni.

- Nie martw się - powiedziała do niej łagodnie.

Stojąca na podeście dla świadka Megan była uosobieniem godności i przejmującego smutku.

Miała na sobie niebieski prosty kostium, jaki wkłada się na rozmowę w sprawie przyjęcia do pracy. Tak też mniej więcej traktował Jackson pierwsze minuty przesłuchania.

- Jaka jest pani średnia w Chase College?

Megan założyła ręce na piersiach.

- Trzy i siedem dziesiątych - rzekła. - Najwyższa byłaby cztery.

Caroline wyczuła w jej zachowaniu poczucie wyższości. Jackson szybko przeszedł do najbardziej efektownego tematu: Megan ukończyła z wyróżnieniem szkołę średnią, a w Chase miała częściowe stypendium. Jej ojciec zmarł, kiedy miała dwanaście lat. Teraz pracowała, żeby opłacić pozostałą część chesnego.

Z ciekawością Caroline obserwowała Jacksona wybielającego postać Megan, zastanawiając się przy tym, czy zdaje on sobie sprawę, że utrata ojca okaże się wkrótce rzeczywiście istotna.

- Czy pozostaje pani z matką w bliskich stosunkach? - pytał.

- Bardzo. Od czasu śmierci taty zostałyśmy tylko we dwie. Ale on zawsze marzył, żebym poszła do college'u, więc postanowiłyśmy, że spełnimy to jego pragnienie. - Spuściła wzrok i przerwała. - Teraz, kiedy jestem w Chase, mogę powiedzieć, że udało się nam.

- No właśnie - mruknęła Caroline.

Jackson przerwał, jak gdyby pragnąc dać Megan czas na pozbieranie się i powrót do swej pozy.

- Czy zna pani obecną tutaj Brett Allen?

Megan po raz pierwszy odwróciła się w stronę Brett. Przelotne, ukradkowe spojrzenie, którym obrzuciła Caroline, wyrażało pewną obawę.

- Tak, znam - odpowiedziała, jak gdyby coś ścisnęło ją nagle w gardle.

Caroline przyznała, że do tej pory Megan radzi sobie świetnie.

- Nie spuszcza z niej wzroku - wyszeptała do Brett. - Niech wie, że jesteś tutaj.

- A zna pani kogokolwiek z członków jej rodziny? - zapytał Jackson.

Siedzący na granicy pola widzenia Caroline Larry spuścił wzrok.

- Jej ojca - rzekła, krzyżując ręce na piersiach. - Ale tylko jako profesora na jednych z moich zajęć. Czasami, kiedy miałam jakieś pytania, zaglądałam do jego pokoju.

- Jaką ocenę u niego pani otrzymała?

- Najwyższą.

- Czy czuje pani niechęć wobec któregoś z członków rodziny Allenów?

Megan uniosła brodę, wystawiając na widok swoją smukłą elegancką szyję. Caroline zauważyła, że jej blond włosy zostały starannie przycięte tak, by ledwie dotykały ramion.

- Tylko wobec jednego - rzekła w końcu. - Brett Allen.

Dobra odpowiedź, pomyślała Caroline. Najwidoczniej Megan została jednak starannie przygotowana do tego przesłuchania.

- Czy może pani powiedzieć, jaki jest powód tej niechęci?

Jej oczy poszerzyły się z wrażenia, jak gdyby nagle przypomniała sobie, jaką poniosła stratę.

- Ja i James Case kochaliśmy się - odpowiedziała cicho.

I ta skromnie brzmiąca odpowiedź najwyraźniej została przygotowana z pomocą Jacksona.

- Jak długo byliście ze sobą? - Jackson ściszył głos, by dorównać w tym względzie Megan.

Megan znowu podniosła głowę.

- To się zaczęło w lutym i trwało aż do jego śmierci

- Czy wasz związek miał charakter intymny?

- Tak. Był bardzo intensywny. - Głos Megan przesiąknięty był asertywną dumą. - Fizycznie i emocjonalnie.

Brett zacisnęła zęby, w Caroline zaś obudził się niepokój. Jej uwagę zwróciła nie sama złożona przez Megan deklaracja intymności ich związku, lecz faktyczna potrzeba owej intymności. Był to smutny sekret młodej kobiety, którą Caroline widziała samotną, dotykającą się w chwili zapomnienia przed lustrem. Megan odwróciła się w jej stronę, jakby czytając w jej myślach. Caroline blado się uśmiechnęła. Gdy Jackson znowu się odezwał, Megan drgnęła.

- Jak często się widywaliście? - zapytał.

- Przynajmniej dwa razy w tygodniu - rzekła po chwili z wahaniem, jakby przebudzona z zamyślenia.

- *Dlaczego nie częściej?*

- *Musiałam pracować wieczorami, no i uczyć się. Moje stypendium zależy od utrzymania pewnej średniej i nie pokrywa wszystkich wydatków.* - *Zniżyła głos.* - Poza tym James musiał mieć czas na zastanowienie się.

- Nad czym?

Megan dotknęła obojczyka. Ten gest miał dla Caroline pewien posmak wdowiej zmysłowości, wspomnienia kochanka.

- *Pomiędzy Brett a tym, co znalazł we mnie* - odrzekła cicho.

Na twarzy Brett malowały się niesmak i oburzenie. Mimo całej jej wrażliwości, Caroline wyczuła u niej typową dla mieszkańców Nowej Anglii niechęć do dramatyzowania w odniesieniu do własnej osoby. Druga myśl Caroline podążyła jednak dalej, niż mógłby to usprawiedliwiać rozsądek: Brett wyglądała teraz zbyt prawdziwie, by mogła kryć jakieś inne wcielenie, które czekałoby w ukryciu i ujawniało się pod wpływem wina i narkotyków.

- A więc, jeśli dobrze cię zrozumiałem, James był jeszcze związany z Brett, kiedy pani zaczęła się z nim spotykać?

- Tak. - Głos Megan przybrał moralizatorski i nieco smutny ton. - Najwyraźniej usiłował się z tego jakoś wyplątać. Ale, podobnie jak wielu mężczyzn, miał owo błędnie ukierunkowane poczucie winy.



Caroline skwapliwie skorzystała z okazji, by jej przerwać.

- Wysoki Sądzie! - odezwała się. - Czy moglibyśmy pozostać przy tym, co robił James Case, a nie jak wyobrażała go sobie panna Race? Zakładając, że widzi ona między tymi dwiema rzeczami jakąś różnicę.

Głos Caroline brzmiał łagodnie, lecz zarazem na tyle jadowicie, że Jackson - najwyraźniej oczekujący od niej bardziej umiarkowanego zachowania - spojrział na nią z wyraźnym zaskoczeniem, które znalazło również wyraz w uniesionych brwiach Towle'a.

- Cóż, istotnie, najlepiej będzie, jeśli pozwolimy, by wydarzenia mówiły same za siebie - rzekł, po czym zwrócił się uprzejmie do Megan: - Jeśli byłaby pani łaskawa...

Ale wzrok zastygłej w dumnej pozie Megan nadal utkwiony był w Caroline. Dasz radę, Megan, pomyślała Caroline. W końcu co to dla ciebie.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - Caroline zwróciła się do Towle'a, nie spuszczać jednak oczu z Megan.

- W każdym razie - rzekł pośpiesznie Jackson - przyszedł czas, kiedy panna Allen zaczęła widywać was razem?

Megan odwróciła się do niego.

- Tak.

- Czy panna Allen była świadoma, co się dzieje?

- Tak.

- Skąd pani o tym wie?

Przez chwilę Megan wydawała się zaniepokojona.

- Na początku nie mogłam uwierzyć, kiedy James powiedział mi, że ona nas śledzi.

Sprytnie rozegrane, pomyślała Caroline. Dziwaczna historia, która kończy się tragiczną śmiercią Jamesa. Podniosła się z miejsca.

- Wnoszę o wykreślenie - powiedziała. - Opinia panny Race o tym, co prawdopodobnie wiedział James Case, jest dowodem pośrednim.

- Oczywiście, że tak - odparł Jackson. - Lecz jest on w tych warunkach wyjątkowo dopuszczalny: jego celem nie jest dowodzenie prawdziwości twierdzenia, lecz określenie stanu umysłu pana Case'a...

- Jakie ma to więc znaczenie dla sprawy? - przerwała mu Caroline.

- Między innymi pozwala wyjaśnić późniejsze zachowanie pana Case'a i to zarówno wobec panny

Race, jak i panny Allen.

Towle pokiwał głową i zwrócił się do Caroline.

- Oddalam pani sprzeciw, panno Masters.

Caroline siadła. Tak jak oczekiwała, najmniejsze wzmocnienie wywoływało u Megan poczucie triumfu. Teraz z błyszczącymi oczami rozejrzała się władczo po sali. Potem, spuściwszy głowę, wróciła do swojej roli.

- Czy w końcu sama pani przekonała się, że Brett Allen was śledzi?

- Tak. - Megan skinęła lekko głową, z pewnym oporem.

- Kiedy to nastąpiło?

Megan patrzyła gdzieś na środek sali. Jej oczy znowu się poszerzyły, jakby na wspomnienie przeżytego szoku.

- Wpadła do mieszkania Jamesa i zastała nas razem.

Siedząca obok Caroline Brett ścisnęła krawędź stołu.

- W jakich okolicznościach?

Oczy Megan były wpółzamknięte, a w głosie w przedziwny sposób skromność mieszała się z dumą.

- Kochaliśmy się. W łóżku Jamesa.

- Wszystko w porządku - szepnęła Caroline. Lecz Brett jej nie słyszała. Wyglądała teraz tak jak wcześniej: jak ktoś, kto wpadł w pułapkę rozprawy sądowej, słucha różnych wersji swojego życiorysu, których nie jest w stanie sprostować, i może się jedynie zastanawiać, jak jego reakcje odbierają inni.

Milcząc, Caroline dotknęła ramienia Brett.

- Wiem, że to dla pani trudne, ale czy mogłaby pani opisać, co się wówczas stało? - rzekł Jackson.

Megan przez moment milczała, odwróciwszy wzrok.

- James leżał na mnie, więc to ja zobaczyłam ją pierwsza.

- Co było dalej?

Megan pokręciła głową, jakby wspomniawszy tamto niedowierzanie.

- Brett szeroko otworzyła oczy. Potem uśmiechnęła się tym swoim szaleńczym uśmiechem, który tym razem był przepełniony nienawiścią. Chyba wtedy krzyknęłam. Pamiętam przerażone spojrzenie

Jamesa. Dopiero wówczas się odwrócił i ją dostrzegł. Najpierw rzuciła się na mnie. - Megan jakby w odruchu obronnym dotknęła swojej twarzy. - Byłam tak przerażona, że zdążyłam tylko nakryć się prześcieradłem...

Zaciśnięte na blacie stołu palce Brett zbieleły.

- Nasz czas nadchodzi - wyszeptała Caroline.

- Ale James był wspaniały. - Megan pokręciła głową. - Nie wiem, jak zdołał to zrobić, ale chwycił ją jakoś tak, że nie mogła się ruszać. Wiła się, wrywała... - Głos Megan nagle ucichł.

- Tak?

- Wtedy odwróciła się, splunęła mu w twarz i powiedziała, że go za to zabije.

Na myśl o tym, co czuje Brett, Caroline ścisnęło w żołądku.

Megan uniosła głowę.

- Nigdy tego nie zapomnę - powiedziała dobitnie. - James z jej śliną na twarzy, jej zielone, przerażające oczy. Potem, bardzo cicho, powtórzyła jeszcze raz, żeby mieć pewność, że usłyszał: „Zabiję cię”. - Megan dotknęła dłonią czoła. - Potem nagle zniknęła.

Ostatnie słowa wypowiedziane drżącym głosem miały inne znaczenie: Brett wcale nie zniknęła - ona go przecież zabiła.

- W porządku - szepnęła Caroline.

Ale Jackson pozwolił tej chwili trwać: tłumionemu, nieszczęśliwemu wyrazowi twarzy Towle'a, notującemu szaleńczo reporterowi, który nie mógł oderwać oczu od Megan. Przede wszystkim zaś samej Megan - tak nagle zamilkłej, nieobecnej. Wyraźnie było widać, jak dziewczyna odbiera Jacksonowi jego sprawę.

- Jak wpłynęło to na pani stosunki z Jamesem? - zapytał.

- Nadal się widywaliśmy. - Megan wydawała się teraz wyczerpana relacjonowaniem przebiegu tragedii, który znała na pamięć, a którego zakończenia nie sposób było zmienić. - Ale ona groziła, że się zabije.

Brett pochyliła się.

- O Jezu...

- Sprzeciw! - Caroline była już na nogach. - Znowu dowód pośredni. Poza tym, o czym stanie umysłu tutaj mówimy?

- Ofiary - warknął Jackson. - Czego dowiedzie moje kolejne pytanie.

- Dobrze. Niech pan kontynuuje. - Towle skinął głową.

Jackson odwrócił się w stronę Megan. Czekwała, przyjmując pozę cierpliwości, uprzejmości i zarazem rezygnacji. Caroline dostrzegała w tym zachowaniu próbę pokazania, że nie szuka ona odwetu, lecz usiłuje dotrzymać wierności mężczyźnie, którego kochała.

- Czy wpłynęło to na przebieg waszych spotkań, panno Race?

Megan powoli przytaknęła.

- James mówił, że chce się jej pozbyć, ale czuł się za nią bardzo odpowiedzialny. Przypuszczam, że faktycznie wierzył, że jeśli zerwie z Brett, to może ona zrobić sobie krzywdę. - Megan złożyła dłonie. - Wkroczyliśmy więc w okres, który wówczas dla mnie zdawał się nie mieć końca, a teraz wydaje się taki krótki. Byłam wtedy niemal jak ukrywana kochanka Jamesa - jego sekret, z którym nie mógł się zdradzić. Spędzaliśmy razem noce w moim mieszkaniu. Nie widywaliśmy się z nikim. W ten sposób czuliśmy się bezpiecznie z naszą tajemnicą. Ale jakaś część mnie tego nienawidziła. Teraz przypominam sobie, jak czytał mi poezję albo odgrywał sceny ze sztuk, i zdaję sobie sprawę, że nie potrzebowaliśmy nikogo więcej. Jako kochankowie potrafiliśmy stworzyć w moim małym mieszkaniu własny świat. - Znowu podniosła głos. - Nie potrzebowaliśmy nikogo.

Tak, właśnie czegoś takiego się po niej spodziewałam, pomyślała Caroline. Po raz pierwszy Jackson wyglądał na nieco zakłopotanego.

- Ale zostaliście razem? - zapytał.

- O, tak. Chociaż czasami myślałam, że jestem głupia, godząc się na to. - Megan uśmiechnęła się lekko z rozmarzeniem. - Ale w końcu wiedziałam, że warto czekać. Tamtego wieczoru, przed swoją śmiercią, James przyszedł do mnie. Kochaliśmy się. Było wspaniale, choć robiliśmy to tak rozpaczliwie, jak gdybym bała się go utracić. Przyszedł powiedzieć, że już zdecydował, że już jest po wszystkim, lecz widziałam, że bardzo go to bolało i potrzebował być jak najbliżej mnie.

Caroline zauważyła, jak ciało Brett napina się. James z relacji Megan musiał wydawać się jej na tyle prawdziwy, że zaczęła się zastanawiać, czy nie jest to prawda. Tragedia Megan, zdaniem Caroline, polegała na zrujnowaniu własnej wrażliwości. Jej sposób pojmowania innych charakteryzował się dziwną przenikliwością, choć był niepełny. Przedstawiony przez nią obraz tamtych ostatnich dni mógł więc posiadać znamiona realności.

Megan zwróciła się teraz do Brett:

- Ale myliłam się, mając wątpliwości - rzekła łagodnie. - James przyszedł, żeby zapytać mnie, czy wyjadę z nim do Kalifornii.

Brett otworzyła usta.

- I co pani odpowiedziała.

- Że go kocham, ale mam zobowiązania wobec matki i wobec nieżyjącego ojca. I że zanim spróbuję się nad tym zastanowić, on musi uporządkować sprawy między nami - powiedziała stanowczo. - Musi pójść do Brett, powiedzieć jej, o co mnie poprosił, i że nigdy więcej się z nią nie spotka.

- Co on na to?

- Zgodził się. - Megan wbiła w Brett oskarżycielskie spojrzenie, lecz jej głos był nadal łagodny. - Miał jej to powiedzieć tej nocy, kiedy zginął, panie Watts.

Złość na twarzy Brett ustąpiła miejsca bólowi, jak gdyby dziewczyna zastanawiała się nad prawdziwością własnych wspomnień, do czego już raz sprowokowała ją Caroline. Jackson podszedł do Megan nieco niepewnym krokiem, jak gdyby nie chciał zakłócać jej zapamiętania się w smutku.

- Gdzie była pani tamtej nocy?

- W moim mieszkaniu. - Oczy Megan wypełniły się nagle łzami. - Czekałam na Jamesa z butelką szampana. Miał jej to wszystko powiedzieć, a później przyjść do mnie... - Zdawało się, że Megan nie może wykrztusić ani słowa więcej.

Wspaniale, mruknęła pod nosem Caroline.

## DWANAŚCIE

Caroline wstała z półuśmiechem na ustach, patrząc w milczeniu na Megan. Ta nieco uniosła ramiona, oczekując, że Caroline podejdzie do niej. Lecz Caroline nie ruszyła się zza swojego stołu.

- Witaj, Megan - powitała ją łagodnie i z nutą smutku. Na te słowa Megan wyprostowała się na krześle.

- Dzień dobry - odpowiedziała ostrożnie.

Dla Caroline nie istniało teraz nic oprócz siedzącej przed nią dziewczyny.

- Powiedz, proszę, kiedy doszło do opisywanego przez ciebie incydentu. Chodzi mi o to, kiedy Brett znalazła was u Jamesa.

Megan skrzyżowała ręce na piersiach.

- W kwietniu.

- Jak często spotykałaś się później z Jamesem?

Megan zacisnęła szczęki.

- Już mówiłam, że raz czy dwa razy w tygodniu. W moim mieszkaniu.

- Czy razem spotykaliście się z kimś jeszcze?

- Nie. Potrzebowaliśmy czasu dla siebie nawzajem.

- A chodziliście dokądś?

- Nie - powiedziała szorstko Megan. - Już zeznałam, że James niepokoił się, że Brett może coś zrobić.

Caroline pokiwała głową.

- Bałaś się?

- Nie mogłam sobie z tym poradzić - odezwała się Megan po chwili.

- Czy rozmawiałaś z kimś o tym?

- Z Jamesem, oczywiście.

- A z kimkolwiek innym?

Znowu pauza.

- Nie. To było zbyt bolesne i wiązało się ze zbyt silnymi emocjami.

Caroline pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Czy można uznać, że James był miłością twojego życia - przynajmniej do tej chwili?

Megan znowu dumnie uniosła głowę.

- Tak, to prawda.

- Czy możesz w takim razie również powiedzieć, że w chwili śmierci był dla ciebie najbliższą osobą?

- Tak - odpowiedziała bezzwłocznie, lecz po chwili sprostowała: - Nie licząc mojej matki.

Caroline znowu pokiwała głową.

- Jak często rozmawiałaś z matką?

Megan przez chwilę milczała.

- Dwa lub trzy razy w tygodniu. Czasami częściej, czasami rzadziej.

- Czy kiedykolwiek wspomniałaś jej o Jamesie?

- Co ma pani na myśli? - zapytała, mrużąc oczy.

- Jego istnienie.

- Oczywiście. - Poczzerwieniała z oburzenia.

- Ile razy?

Megan zawahała się.

- Dwa albo trzy - odrzekła cicho.

- Dwa albo trzy? I co jej o nim powiedziałaś?

Megan zacisnęła usta.

- Nie pamiętam dokładnie. Ale jestem pewna, że wiedziała, że się spotykamy.

- A nie, że jesteś w nim zakochana?

Megan spojrzała na Caroline przeciągle, z oburzeniem.

- Naprawdę nie pamiętam, co powiedziałam. Rozmawiamy z matką o tak wielu sprawach.

- Zapewne tak. Czy zalicza się do nich fakt, że Brett groziła Jamesowi?

Megan zawahała się.

- Chyba nie.

- A że was śledziła?

- Nie pamiętam.

Caroline uniosła brwi.

- Czy po tym kwietniowym incydencie kiedykolwiek wspominałaś matce o Jamesie?

Po raz pierwszy Megan spojrzała w stronę Jacksona.

- Jestem tutaj - odezwała się łagodnie Caroline. - A pan Watts ci nie pomoże. Wiesz dobrze, czemu zadaję te pytania.

Jackson poderwał się z miejsca, by jego świadek mógł zyskać na czasie.

- Może zamiast pouczać świadka, mogłaby pani powtórzyć mu pytanie, panno Masters?

Caroline nawet na niego nie spojrzała.

- Megan, czy po tym, jak Brett znalazła was razem w łóżku, wspominałaś matce o Jamesie?

Megan wbiła wzrok w kolana.

- Nie pamiętam. Mówiłam już, że sytuacja, w jakiej znaleźliśmy się z Jamesem, była bardzo niezręczna.

- Czy nie sądziłaś, że matka mogłaby wam pomóc?

Megan zmarszczyła brwi.

- Nie chciałam jej niepokoić.

Caroline wyglądała na zaskoczoną.

- Na pewno musiałaś z kimś o nim rozmawiać, skoro był tak ważną osobą w twoim życiu.

Megan zawahała się.

- Naprawdę nie pamiętam. Bycie z Jamesem było w każdym razie ważniejsze niż rozmawianie o nim.

Caroline przez chwilę nie odzywała się.



- A więc mam rację, twierdząc, że od czasu owego incydentu w kwietniu nie wspomniałaś nikomu ani słowem o Jamesie?

Megan obrzuciła Caroline krótkim wrogim spojrzeniem.

- Nie pamiętam.

- W takim razie czy od kwietnia ktokolwiek widział was razem?

- Nie wiem.

- Czy wychodziliście czasami z twojego mieszkania?

- Nie.

- Czy kiedykolwiek zaprosiłaś kogoś w czasie, gdy był u ciebie James?

- Nie.

- Kiedy przychodził? W czasie weekendów czy w dni robocze?

Twarz Megan była napięta.

- W dni robocze, wieczorami.

- Czy w jakieś szczególne dni?

- Nie. Po prostu wtedy, kiedy mógł. I kiedy ja mogłam.

- Co wtedy konkretnie robiliście?

- To nasza prywatna sprawa - Megan ucięła beznamiętnie. - Nie widzę powodów, dla których miałabym odpowiadać na takie pytania.

- Co wtedy konkretnie robiliście? - powtórzyła Caroline dokładnie tym samym tonem i równie cicho.

Megan spoglądała na Jacksona i zbierała się w sobie.

- Kochaliśmy się. Byliśmy po prostu sam na sam ze sobą i to było piękne.

- Rozmawialiście?

- Oczywiście.

- O czym?

- O wszystkim. Byliśmy przecież najlepszymi przyjaciółmi.

Caroline przez chwilę nic nie mówiła. Jej współczucie dla Megan wyczerpało się, a jego miejsce

zajął śmiertelny chłód.

- Skąd pochodził James? - zapytała tonem znudzonej uprzejmości.

Megan oparła dłonie na poręczy otaczającej miejsce dla świadka.

- Nie pamiętam dokładnie.

- Czy wiesz, gdzie się urodził?

- Nie.

- A czy miał braci lub siostry?

- Nie wiem.

Twarz Caroline przybrała wyraz zdziwienia.

- Czy opisałabyś Jamesa jako osobę skrytą?

Megan nadal zachowywała swą dumną pozę.

- Może wobec innych - nie wobec mnie.

- A czy może wspominał przypadkiem o tym, że jest sierotą?

Caroline zauważyła, jak palce Megan zacisnęły się na poręczy.

- Nie.

- A może o tym, że mieszkał w kilku domach dziecka?

- Nie.

Oczy siedzącej obok Brett poszerzyły się ze zdziwienia, że Megan wie tak niewiele.

- Cóż, jestem pewna, że były to dla niego bolesne tematy - rzekła łagodnie Caroline. - Powiedz mi w takim razie, gdzie planowaliście zamieszkać w Kalifornii?

Megan spojrzała na Jacksona Wattsa.

- Tego nie zdążyliśmy ustalić - odpowiedziała. - Najważniejsze było dla niego zerwanie z Brett.

- Czy James miał chociaż jakieś ogólne plany? Na przykład czy wiedział, w jakim mieście będziecie mieszkać?

Megan odchyliła się na krześle, zeszywniała.

- Dlaczego pani o to wszystko pyta? To przypomina napastowanie. - Szybko odwróciła się, spoglądając raz na sędziego, raz na Jacksona. - Czy muszę na to odpowiadać?

Towle zdjął okulary, patrząc na nią zmrużonymi oczami.

- O, tak.

Jackson, co zauważyła Caroline, wbił w swojego świadka ostre spojrzenie.

- Więc dokąd? - przerwała ciszę Caroline.

Megan odwróciła się raptownie w jej kierunku z otwartymi ustami.

- Jeszcze nie zdecydowaliśmy - powiedziała.

- A co miałaś zamiar tam robić?

- Jeśli bym pojechała? Skończyć szkołę, rzecz jasna. - W jej głosie zabrzmiała pogarda. - Ale nie byłam pewna, czy porzuciłabym wszystko dla mężczyzny.

- To byłaby poważna decyzja, czyż nie? Rozmawiałaś o tym może przez przypadek z matką?

- Nie. Jak powiedziałam, jeszcze nie zdążyłam. - Przerwała, nadając teraz swojemu głosowi ton smutku. - I wtedy James został zamordowany.

- A ty czekałaś na niego w swoim mieszkaniu. Z butelką szampana.

- Tak. - Megan szukała jakiegoś oparcia zarówno w pytaniu, jak i odpowiedzi Caroline. - Tak - powtórzyła, a z jej oczu popłynęły łzy.

- Co zrobiłaś, kiedy James się nie pojawił?

Megan pokręciła głową.

- Dzwoniłam do niego. Przez całą noc...

- Tak? A może przypadkiem zostawiłaś jakąś wiadomość na jego sekretarce?

Megan zamknęła oczy.

- Nie pamiętam. To było takie okropne...

Caroline powoli sięgnęła pod stół i wyciągnęła stamtąd swoją teczkę. Położyła ją przed sobą i otworzyła z delikatnym kliknięciem. Na ten dźwięk oczy Megan gwałtownie się poszerzyły. Spojrzała na teczkę, a później na Caroline.

- Powiedz mi, jak dowiedziałaś się, że James nie żyje? - zapytała łagodnie Caroline.

Megan wyglądała na zdezorientowaną.

- Z radia.

- Co wtedy zrobiłaś?

Megan zbladła.

- Płakałam.
- Czy do kogoś zadzwoniłaś.
- Nie, nie mogłam.
- Mówiłaś o tym komuś?
- Nie.

Caroline na moment zamilkła.

- Nawet swojej matce?
- Nie.
- A kiedy powiedziałaś jej o tym, że James nie żyje?
- Nie pamiętam.
- Pamiętasz w takim razie, kiedy albo może gdzie pogrzebano Jamesa?

Szum na sądowej sali przerodził się w bolesną ciszę.

- Nie mogłam... - powiedziała drżącym głosem Megan.
- A zrobiłaś cokolwiek, żeby się dowiedzieć?
- Nie pamiętam.

- Dowiedziałaś się, czy będzie jakaś uroczystość pogrzebowa? Megan odwróciła wzrok i pokręciła głową.

- Nie - wydusiła piskliwym głosem. - Czy nie rozumie pani, jakie to bolesne...?
- A kto twoim zdaniem go zabił? - urwała jej Caroline. Megan zawahała się.
- To musiała być Brett.

Caroline skrzyżowała ręce na piersiach.

- Wiedząc, że będzie z tym tak trudno żyć.
- Tak.
- Że będzie to w zasadzie nie do zniesienia.
- Tak. - Megan nadal patrzyła gdzieś w bok.

- Więc kiedy powiadomiłaś policję?

Megan dotknęła w zamyśleniu ust, a jej twarz znieruchomiała.

- Kiedy powiadomiłaś policję? - Caroline podniosła głos. Megan pokręciła głową.

- Nie pamiętam.

- Czy było to sześć dni po znalezieniu ciała Jamesa?

- Bałam się jej. - Megan podniosła wzrok.

- Brett?

- Tak.

- Bo mogłaby cię prześladować?

- Tak.

Caroline oparła ręce na stole.

- Czy widziałaś kiedykolwiek śledzącą cię Brett?

- Tak. - W głosie Megan brzmiała złość. - Widziałam.

- Powiedz, jak to wyglądało.

Megan przełknęła ślinę.

- Podkraśniała się w zarośla przed moim domem - odpowiedziała łamiącym się głosem. - Widzieliśmy ją, jak siedzi w krzakach i na nas patrzy...

- Co zrobiliście?

- Nic. James powiedział, że ona ma już taki gwałtowny charakterek...

- Nie wezwaliście policji?

Megan drgnęła.

- Nie.

- Nie zapytałaś o radę matki?

- Nie.

Caroline wpadła teraz w inny rytm. Pytania padały szybko pewnie, jedno po drugim.

- Pozwól więc, że upewnię się, czy to wszystko dobrze zrozumiałam. James i ty byliście

kochankami, czy tak?

- Tak.
- Brett zagroziła, że go zabije.
- Tak.
- I że zabije siebie.
- Tak powiedział James.
- I śledziła was?
- Tak.
- Ukrywając się przed twoim domem?
- Jak powiedziałam.
- Tak więc przez dwa miesiące ty i James nigdy razem nie wychodziliście z twojego mieszkania.
- Tak.
- I w końcu James zdecydował się wybrać ciebie?
- Tak. - Megan zacisnęła dłonie na poręczy. - Wybrał mnie.
- I poprosił cię, żebyś pojechała z nim do Kalifornii?
- Tak.
- Natomiast tej nocy, kiedy zginął, miał powiedzieć o tym Brett Allen, a potem do ciebie przyjść. A ty czekałaś na niego.

Megan złożyła ręce, znowu usiłując nad sobą zapanować.

- Tak.

Caroline odczekała chwilę.

- I o żadnej z tych rzeczy nikomu nigdy nie powiedziałaś. Zrobiłaś to dopiero, przychodząc do pana Wattsa, żeby oskarżyć Brett Allen o morderstwo?

Przez jakiś czas Megan tylko na nią patrzyła.

- Tak - potwierdziła ledwie słyszalnie. - Nie mogłam o tym wcześniej rozmawiać.
- Nawet z własną matką?

- Nawet z nią.

Caroline znowu odczekała moment.

- Mimo że tyle razy do niej dzwoniłaś... dwa czy trzy razy w tygodniu, tak?

Megan wpatrywała się rozpaczliwie w Caroline, tak jakby chciała odczytać jej myśli.

- Nie pamiętam. Już o tym mówiłam.

- A pamiętasz, czy dzwoniłaś na koszt matki, czy na własny rachunek?

- Sprzeciw! - odezwał się Jackson. - To nie tylko bez znaczenia, lecz również napastliwe wobec świadka.

- Wręcz przeciwnie - Caroline zwróciła się do Towle'a. - To dotyczy wiarygodności świadka w kluczowych sprawach. Zaraz to wykażę.

Towle ponuro pokiwał głową.

- Proszę kontynuować, panno Masters.

Caroline odwróciła się do Megan.

- Więc kto płacił? - zapytała ostro.

- Zdaje się, że ona.

- Czyżby? A kto taki przyjmował te rozmowy?

Usta Megan otworzyły się, a po chwili znowu zamknęły.

- Bo chyba nie mogła to być twoja matka, czyż nie?

- Co ma pani na myśli? - zapytała Megan ze łzami w oczach.

Caroline podeszła do niej.

- Że była leczona w szpitalach z powodu depresji i z nikim nie rozmawia. I nie rozmawiała przez ostatnie pięć miesięcy.

Twarz Megan pobladła.

- Czy słyszałaś mnie? - odezwała się Caroline.

Megan drgnęła.

- Tak - rzekła głucho. - Nie czuła się dobrze.

- Więc rozmowy z matką, o których nam opowiadałaś pod przysięgą, nigdy nie miały miejsca?

Wymyśliłaś to.

Megan zacisnęła zęby.

- Chroniłam jej prywatność...

Caroline przez chwilę pozwoliła trwać wypełniającej sądową salę ciszy. Zza swojego stołu Towle patrzył na Megan z oburzeniem.

- Tak więc - ciągnęła Caroline - jedyną prawdą w tym, co powiedziałaś, jest to, że nigdy nie rozmawiałaś z matką o Jamesie Casie?

- Nie pamiętam. - Megan spuściła wzrok.

Wciąż patrząc na Megan, Caroline otworzyła swoją teczkę.

- A może kiedyś o nim pisałaś? - zapytała niemal od niechcenia.

Megan patrzyła na teczkę jak gdyby zahipnotyzowana.

- Co ma pani na myśli? - zapytała cicho.

Caroline powoli sięgnęła do teczki i wyciągnęła z niej czerwony pamiętnik. Postawiła go pionowo, przytrzymując z góry palcami, i jeszcze raz spojrzała na Megan.

Megan całkowicie straciła panowanie nad wyrazem twarzy. Dotknęła obojczyka, lecz poza tym siedziała nieruchomo.

- Czy kiedykolwiek pisałaś o swoim związku z Jamesem Case'em? - zapytała jeszcze raz Caroline.

Megan przycisnęła palce do piersi i obróciła się szybko, szukając wzrokiem Jacksona.

- Chciałabym prosić o przerwę...

Caroline obserwowała ją.

- Proszę, odpowiedz na to pytanie. Potem będziesz miała tyle czasu, ile zechcesz.

Megan wstała.

- Nie będę się na to godziła - powiedziała piskliwie.

- Bo jesteś chorobliwą kłamczuchą - rzekła Caroline lodowato. - Wiem o tym ja, wiesz ty, a za pięć minut będą wiedzieli wszyscy w tej sali.

Jackson pośpiesznie wyszedł z za swojego stołu. Mówił z napięciem:

- Świadek zeznawał prawie przez cały dzień, Wysoki Sądzie. Jeśli jest zmęczony lub zdenerwowany, jego zeznania nikomu nie posłużą. Czy możemy kontynuować przesłuchanie jutro?



Towle spojrział na Megan, a potem na Caroline.

- Pani adwokat?

Caroline nadal nie spuszczała oczu z Megan.

- Możemy na dzisiaj skończyć, kiedy tylko przyzna, że kłamała. Wystarczy, że powie: „Zmyśliłam wszystko, o czym wam opowiedziałam”. Chyba nie zajmie to zbyt wiele czasu.

- Nie. - W spojrzeniu Megan strach mieszał się z poczuciem zdrady. - Chcę porozmawiać z panem Wattsem.

Towle popatrzył na nią z niesmakiem, a potem zwrócił się do Caroline:

- Wygląda na to, panno Masters, że powinniśmy pozwolić świadkowi zastanowić się nad swoim stanowiskiem. I to gruntownie. Dotyczy to również pana Wattsa.

Caroline spojrzała na Megan z politowaniem i pogardą.

- W takim razie proponuję spotkać się jutro rano, Wysoki Sądzie. Mam nadzieję, że będę pamiętała swoje ostatnie pytanie, a panna Race - o czym jestem przekonana - też go nie zapomni.

Towle przeniósł spojrzenie z Caroline na Megan.

- Bardzo dobrze - rzekł. - Przesłuchania odraczamy do jutra, do godziny dziewiętej.

Na sali zapanowało gwałtowne poruszenie: przeciskający się i tłoczący ludzie, kakofonia dźwięków. Jackson szybko podszedł do Megan i przeprowadził ją obok Caroline. Dziewczyna była zalana łzami.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Caroline - powiedział Jackson. - Za pięć minut.

- W porządku. Nie spiesz się - odrzekła chłodno. - Megan ma chyba tobie coś do powiedzenia.

Dziewczyna nie mogła na nią patrzeć. Jackson wyprowadził ją z sali.

Brett spojrzała na czerwony notatnik.

- Co to takiego?

- Rodzaj pamiętnika - odrzekła przytłumionym głosem Caroline. - Prawie wszystko, co powiedziała Megan, to kłamstwa, i tutaj są tego dowody. James porzucił ją, kiedy znalazłaś ich razem. To ona zaczęła śledzić was, kryjąc się pod oknami mieszkania Jamesa. Dowiedziała się o Kalifornii tylko dlatego, że poszła błagać, by dał jej jeszcze jedną szansę. - Caroline odwróciła się do Brett. - James powiedział jej, że chce z tobą wyjechać. Więc prawdą jest to, co mówiłaś o waszej ostatniej rozmowie.

Brett powoli pokręciła głową.

- Skąd to wzięłaś?

Mimo zmęczenia i smutku Caroline słabo się uśmiechnęła.

- To właśnie chciałby wiedzieć Jackson.

Jackson zamknął pamiętnik i z trzaskiem odłożył go na stół.

- Co ty, na Boga, wyprawiasz?

Caroline wzruszyła ramionami.

- Po prostu dowodzę świadkowi kłamstwa. Z nią nie wszystko jest w porządku.

W niewielkim pokoju, w którym uprzednio Caroline spotykała się z Brett, Jackson patrzył teraz na nią sponad poczerńskiego stołu.

- Mogłaś z tym do mnie przyjść.

- Mogłam. Ale czy bezwarunkowo wycofałbyś oskarżenie?

- Więc zamiast tego pozwoliłaś mi wystawić kłamiącego świadka i bez skrupułów zniszczyłaś go. Całe oskarżenie wydaje się teraz taką parodią, że samo rozważanie, czy się go trzymać, wygląda wręcz nieprzyzwoicie.

- Ale ty będziesz musiał to ciągnąć - mówiła Caroline chłodno. - Kiedy tylko skończę z Megan.

- Przykro mi. Megan wpadła teraz w taką histerię, że mówi od rzeczy. Wycofuję ją jako świadka.

- Za późno. Została wezwana na przesłuchanie i należy teraz do mnie. Do jutrzejszego południa ta dziewczyna okaże się kimś więcej niż żalosną kłamczynią. Zostanie najlepszą podejrzaną o morderstwo, jaką kiedykolwiek przeoczyłeś.

- Tylko jeśli wykorzystasz ten notatnik - rzekł łagodnie Jackson.

- A zamierzam to zrobić.

Jackson pokręcił głową.

- Przecież już ją wykończyłaś - mówił. - Jeśli wykorzystasz jutro ten notatnik, zniszczysz sama siebie. Megan ocaliła cię przed tym dzięki temu, że już teraz się załamała.

Caroline przez chwilę milczała.

- Notatnik przyszedł do mnie pocztą. Taka jest moja wersja i Betty może to potwierdzić.

Jackson był czerwony ze złości.

- Nie drwij ze mnie, Caroline. Wiem, że wysłałaś go do siebie. Być może Betty się tego nie domyśla.

- W porządku, otwórz więc sprawę. Ale najpierw dokończmy tę. - Caroline przerwała, by podkreślić swoje słowa. - Chcę, żeby jutro rano stawiła się w sądzie. Albo bezwarunkowo oddasz oskarżenie przeciwko Brett.

Jackson zacisnął szczęki.

- Tego nie mogę zrobić. Megan może i jest kłamczynią, ale to nie znaczy, że Brett jest niewinna. Zamierzasz więc publicznie zrobić ze mnie głupca. I zaryzykujesz swoją reputację, a być może i karierę. - Jackson patrzył na nią ostro. - Zrobiłaś to sama? Włamałaś się do jej mieszkania, używając karty kredytowej, i szukałaś tak długo, aż znalazłaś ten notatnik?

Caroline wstała.

- Powiedziałam ci o Larrym. Prosiłam cię, żebyś sprawdził Megan. Prosiłam - nie, błagałam - żebyś przeszukał jej mieszkanie. Ale ty nie chciałeś jej urazić. Była przecież takim ważnym świadkiem...

- Wyglądała wiarygodnie, do cholery.

Caroline machnęła ręką z lekceważeniem.

- Przykro mi. Zapomniałam, że nie jestem moralnie uprawniona, żeby przerzucać problem Megan z powrotem na ciebie.

- Niech cię cholera, Caroline! Zataiłaś dowód i użyłaś go, żeby mnie wrobić. Ale przecież dla ciebie to też samobójstwo. Powinnaś przynieść to do mnie pierwszego dnia. - Jackson pohamował się i znowu spojrzał na nią twardo. - Czy jest jeszcze coś oprócz tego?

Caroline wstała.

- Po prostu chcę ją mieć jutro w sądzie - powiedziała i wyszła.

## TRZYNAŚCIE

Caroline wyciągnęła kopertę spod siedzenia samochodu i rozłożyła wyjęte z niej zdjęcia na kolanach. Joe Lemieux się sprawdził, pomyślała. Zadowolona, ułożyła je w innej kolejności: najpierw zbliżenie patrzącej na nią Megan, która na zdjęciu wyglądała niemal jak żywa. Potem włożyła wszystkie na powrót do koperty.

Minęła już ósma i zapadał zmrok. Caroline była sama.

Jutrzejszy dzień zapowiadał się na nieprzyjemny dla wszystkich: dla Jacksona, Megan i samej Caroline. Każde z nich będzie musiało później żyć z konsekwencjami tego, co się wydarzy. Ale to miało nastąpić dopiero jutro. Dzisiaj do zrobienia pozostała jeszcze jedna rzecz.

Mogła tam posłać Lemieux. Ale obrona Brett tak ją pochłonęła, że nie chciała takiego gadania powierzać komuś innemu. Uśmiechnęła się smutno, wspominając młodą Caroline, niecierpliwego, niekiedy nazbyt gwałtownego prawnika, który prowadził własne dochodzenia. Tutaj chodziło jednak o coś więcej. Więcej nawet niż o Brett. Instynkt podpowiadał Caroline, że powinna zrobić to sama.

Włączyła silnik i wyjechała z Resolve.

Droga do jeziora Heron musiała wyglądać tamtej nocy podobnie: wijąca się, otoczona drzewami i tonąca w szarzącym świetle zmroku. W przerwie między drzewami pojawił się ponad drogą srebrny sierp księżyca.

Caroline zwolniła przy drodze prowadzącej do działki Brett, lecz nie skręciła w nią. Jezdnia stała się teraz węższa i ciemniejsza. Jakieś ćwierć mili dalej dostrzegła neon stacji benzynowej i całodobowego sklepu. Bez wątplenia był to następca niegdysiejszego domu towarowego.

Kilka jardów dalej zaczynała się droga Mosherów. Caroline skręciła. Droga miała kilka odnóg i wiła się pomiędzy drzewami. Na chwilę do Caroline wróciło dziwne wspomnienie matki i drogi do Windy Gates. W tym momencie droga skończyła się, przechodząc w otwartą przestrzeń łągodnie opadającego w stronę jeziora stoku.

Caroline wysiadła z wozu.

Księżyc był teraz żółtawy, a jego blade światło migotało na powierzchni wody. Caroline podeszła na brzeg. Wiał łągodny wiatr, a woda delikatnie obmywała jej stopy. W zawirowaniu czasu ta noc wydała się podobna do pewnej letniej nocy spędzonej z Jacksonem. Była wtedy młodsza od Brett.

Caroline spojrzała w stronę terenu, który niegdyś należał do niej. Mogła dostrzec jedynie mroczną plamę pomiędzy linią brzegu, a stojącymi w pewnej odległości od niego drzewami. Tam znajdowała się pokryta miękką trawą polana.

Być może zbyt wiele oczekiwała lub też zbyt mocno się lękała. Do całości obrazu tej sprawy brakowało jeszcze tylu elementów. Jednak stojąc w tym miejscu, nie miała trudności z wyobrażeniem sobie kogoś, kto cicho podszedł na skraj wody i podążył wzdłuż brzegu w stronę dwojga leżących na trawie kochanków.

Mimo że brakowało jeszcze wielu elementów, niestety, nie należał do nich nóż. Chyba że, sięgając pamięcią w tak odległą przeszłość, pomyliła go z innym.

Megan mogła ich śledzić. Zakładając, że znała jezioro, mogła nawet ich tam znaleźć.

Nagle Caroline poczuła chłód. Wróciła do samochodu i jeszcze raz przejrzała fotografie. Potem powoli wróciła w miejsce, w którym zaczynała się prowadząca w kierunku jeziora polna droga. Tam znowu dostrzegła neon stacji benzynowej.

Budynek był biały, a fluorescencyjne oświetlenie wnętrza nadawało całości jaskrawego niezemskiego blasku. Gdy samochód dotoczył się do dystrybutora, z budynku wyskoczył szczupły chłopak w bejsbolówce na głowie i skierował się w stronę samochodu Caroline. Kiedy przechodził pod lampami oświetlającymi dystrybutory, stwierdziła, że ma co najwyżej dwadzieścia kilka lat. Kozia bródka i włosy spięte w kitkę sprawiały, że wyglądał młodziej.

- Do pełna? - zapytał.

- Tak, proszę.

Podszedł do dystrybutora, sięgnął po wąż i włożył go do wlewu baku, a potem zajął się czyszczeniem przedniej szyby.

Caroline wychyliła się przez okno.

- Chciałabym cię o coś zapytać.

- Nie ma sprawy - rzeki, strzepując z szyby rozpląszczonego owada.

Caroline oparła głowę na dłoni.

- Jestem prawnikiem i zajmuję się morderstwem, którego dokonano nad jeziorem Heron. Słyszałeś o tym?

Chłopak znieruchomiał, zaciekawiony.

- Coś słyszałem. Ale dopiero wczoraj wieczorem wróciłem z Florydy. Byłem u matki. - Zamilkł na moment. - A dla kogo pani pracuje?

- Dla podejrzanej, Brett Allen. Jest mniej więcej w twoim wieku. Nie sądzę, żeby ona to zrobiła. Staram się sprawdzić, czy widziano wtedy w okolicy cokolwiek, co mogłoby mi w tym pomóc.

Chłopak powoli pokiwał głową.

- Tak... Szef powiedział mi, że któregoś dnia był tutaj w tej sprawie jakiś facet. Ale kiedy zabili tamtego, to była moja ostatnia noc w pracy przed wyjazdem. - Przyglądał się Caroline. - A czego właściwie pani szuka?

- Czegokolwiek. - Caroline nadała swojemu głosowi smutne i melancholijne brzmienie. - Samochodu lub człowieka, którego nigdy tutaj przedtem nie widziałeś. Może kogoś skręcającego w drogę Mosherów...

- Ciężka sprawa. - Pokazał białe zęby w wyrazie zaskoczenia, jakby wymagano od niego, by doszukał się czegoś znaczącego w którejś z najzwyczajszych tiocy sprzed trzech tygodni. - No, prawdę mówiąc, wtedy pałętałem się między dystrybutorami a sklepem, bardziej myśląc o wakacjach niż pracy. Nie obserwowałem tamtej drogi.

Dało się słyszeć kliknięcie zaworu w końcówce węża dystrybutora. Chłopak podszedł tam, jeszcze raz nacisnął uchwyt, dopełniając bak, a potem odwiesił wąż na dystrybutor. Caroline dała mu kartę kredytową i obserwowała, jak idzie do budynku.

Po chwili wrócił z rachunkiem i długopisem. Caroline starannie się podpisała.

- Może zdjęcia w czymś by pomogły? - zapytała z nadzieją w głosie.

Chłopak milczał, nie chcąc najwidoczniej się w to pakować. Jednak po chwili wzięła górę lepsza część jego natury.

- W porządku - rzekł. - Jasne.

Caroline powoli wyciągnęła zdjęcia z koperty. Przetasaowała je.

- Zacznijmy od pojazdów.

- W porządku.

Zapaliła światło w samochodzie i wręczyła mu trzy fotografie.

Chłopak pochylił się, mrużąc oczy przed czarno-białymi refleksami odbijającego się w fotografiach światła. Przejrzał zdjęcia raz, potem drugi. Zatrzymał się przy ostatnim.

- Gdzie to było robione? - zapytał.

- Przed budynkiem sądu w Connaughton.

Chłopak nadał policzki, a potem wypuścił powietrze.

- Widziałem już tę furgonetkę. A przynajmniej jakąś do niej podobną.

- Kiedy? - Caroline starała się, by jej głos brzmiał spokojnie.

- Tamtej nocy. Kierowca wstąpił tutaj po benzynę.

- Mężczyzna czy kobieta?

Chłopak przez chwilę się zawahał.

- Na pewno kobieta.

Zachowaj kamienną twarz, mówiła do siebie Caroline. Pomyśl o tych wszystkich świadkach, którzy mylili się w swoich zeznaniach.

- Czy pamiętasz ją z jakiegoś szczególnego powodu?

Milcząc, chłopak pokiwał głową.

- Pamiętam, że wyglądała\*na zdenerwowaną. - Jego oczy zwęziły się, gdy z wysiłkiem odszukiwał fakty w swojej pamięci. - Jestem prawie pewien, że była sama.

- Zdenerwowana... - Caroline pokiwała głową.

- Taak. Zawsze lubię porządnie wyczyścić szyby, ale ona kazała mi przestać, tak jakby nie miała czasu. Jej głos brzmiał naprawdę ostro.

Caroline chciała zapytać, jak wyglądała, lecz powstrzymała

- Czy mógłbyś ją rozpoznać na zdjęciu?

Chłopak odwrócił się do niej.

- To ważne?

Caroline sięgnęła po pozostałe fotografie.

- Możliwe, że tak.

Chłopak przyglądał się jej przez kolejną chwilę, aż w końcu wziął zdjęcia i znowu pochylił się w stronę światła.

Przekładał zdjęcia po kolei. Zatrzymał się przy czwartym.

- I co?

Chłopak otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

- To ona - powiedział w końcu.

- Jesteś pewien? - Caroline ścisnęło w gardle.

- Tak. Na tym zdjęciu też jest zdenerwowana, tak jak tamtego wieczoru.

Caroline oparła się w fotelu.

- Czy zauważyłeś, dokąd potem pojechała? - Caroline miała nadzieję, że jej głos jest wystarczająco spokojny. Jednak chłopak spojrział na nią z nową podejrzliwością.

- Będę musiał zeznawać czy coś w tym rodzaju?

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie...

Milcząc, spojrział znowu na zdjęcie.

- Cóż, nie wiem, dokąd pojechała, ale muszę przyznać, że ją pamiętam.

Siedząca w samochodzie Caroline pozbierała się.

- Jeśli nie miałbyś nic przeciwko, wolałabym, żebyś nikomu o tym nie mówił. W końcu to mogło nie być nic ważnego.

- Nie ma sprawy - odrzekł z ulgą.

- Dziękuję. Dam ci znać, co się będzie działo.

- Oczywiście - rzekł i wręczył jej zdjęcia. - Miłego wieczoru.

Caroline położyła zdjęcia na tylnym siedzeniu.

- Dzięki.

Chłopak odwrócił się i powoli poszedł do budynku stacji. Chwilę później Caroline uruchomiła silnik.

Minęła drogę Mosherów i dojechała do miejsca, które nie było widoczne ze stacji benzynowej. Tam zatrzymała samochód.

Siedziała w ciemnościach, próbując zmusić się do myślenia. Jednak nic nie było w stanie zagłuszyć bólu poczucia winy i wspomnień, odrazy i złości. Nie mogła patrzeć na zdjęcie Betty.



## CZTERNAŚCIE

Kiedy Caroline przybyła na Masters Hill, w oknach na parterze paliło się mdłe światło. Na górze było ciemno.

Powietrze było ciche, nieruchome. Kiedy szła werandą, jej kroki głucho dudniły. Delikatnie zapukała do drzwi. W środku dosłyszała jakiś ruch, a potem zgrzyt zamka. Drzwi uchyliły się nieco.

Przez szparę wyjrzała Betty. Wyglądała na zaskoczoną i wystraszoną.

- Caroline?

Caroline patrzyła na nią przez chwilę w milczeniu.

- Czy ktoś jeszcze jest w domu?

- Tylko Larry - powiedziała Betty z napięciem w głosie. - Co się stało?

- Musimy porozmawiać.

Betty zawahała się, oglądając się przez ramię.

- Larry próbuje zasnąć. Jest wykończony dzisiejszymi przeżyciami.

- Chodźmy więc na zewnątrz. On nam nie będzie potrzebny.

Betty jednak nie drgnęła, tak jak gdyby ton Caroline ją powstrzymywał. Potem, niechętnie, wyszła na werandę.

Caroline odeszła od drzwi. Słyszała za sobą kroki siostry.

- Czy myślisz, że dasz radę podważyć wiarygodność tej okropnej kobiety?

Caroline odwróciła się do niej.

- Której?

W półmroku Betty zamrugała. Caroline ogarnął przerażający chłodny spokój.

- Wzywam cię jutro jako świadka. Myślę, że to bardziej pomoże Brett.

- Dlaczego? - Betty zeszywniała.

Caroline zignorowała pytanie.

- Zdaje się, że cię to nieco zaniepokoiło. Może więc byłoby dobrze, żebyś odpowiedziała mi już teraz na kilka pytań.

Betty znowu przez chwilę milczała.

- Jakie to pytania?

Caroline podeszła do niej. Kiedy się zatrzymała, ich twarze dzieliło nie więcej niż kilkanaście centymetrów.

- Dlaczego mnie okłamałaś? - zapytała.

- Okłamałam? - Oczy Betty poszerzyły się.

- Wiedziałaś, że Brett zabrała go tamtego wieczoru nad jezioro. Podśluchiwałaś ich rozmowę przez telefon. - Głos Caroline był lodowaty od tłumionego gniewu. - Swoją drogą radzę, żebyś teraz mnie nie okłamywała. Również jutro, w czasie przesłuchania. Nie stać mnie na ani odrobinę więcej nostalgii.

Betty, zaniemówwszy, cofnęła się o krok.

- Otwórz buzię, Betty, i sprawdź, czy możesz z niej wydobyć jakieś słowo. Coś w rodzaju: „Tak, Caroline, jestem podsłuchiowniczką”.

Betty zamarła w bezruchu.

- Caroline - wykrztusiła z przerażeniem. - Ty nie wiesz, co robisz.

- Wiem, wiem już od lat - odparła cicho. - Podśluchiwałaś ją, Betty?

- Tak. - Betty wyprostowała się. - Bo ją kocham. Kochałam ją przez te wszystkie lata, kiedy ciebie tutaj nie było.

Caroline zacisnęła dłonie.

- Co, do cholery, usłyszałaś? Że on chce ją zabrać do Kalifornii?

- Tak. - Betty podniosła gniewnie głos. - I że ma problemy z narkotykami...

- I że była dziewczyna imieniem Megan - przerwała jej Caroline. - O tym też kłamałaś?

Betty podeszła na róg werandy.

- Ile czasu potem wyszłaś z domu? - Głos Caroline znowu był łagodny.

Tonący w ciemnościach profil Betty był nieruchomy. Caroline podeszła do niej.

- Wiem, do cholery, że wychodziłaś. Powiedz mi tylko kiedy.

Betty powoli odwróciła się.

- Skąd o tym wiesz? - zapytała prawie spokojnie.

- Bo zatrzymałaś się na stacji benzynowej. - Caroline zamilkła. - To nie było zbyt rozsądne, Betty.

Betty opadły ramiona. Wyglądała na wychudzoną i wyczerpaną. Caroline patrzyła na nią bezlitośnie, widząc w niej tylko starzejącą się kobietę.

- Nie planowałam tego - odezwała się w końcu. - Niczego.

Przyznanie się w tak prostych słowach złagodziło gniew Caroline. Jednak zastąpiło go tak głębokie przerażenie, że pragnęła o tym wszystkim zapomnieć.

- Mój Boże, Betty. - Słyszała, jak drży jej głos. - Mój Boże...

Spojrzenie Betty wyrażało teraz błaganie.

- Więc teraz rozumiesz? - rzekła bezdźwięcznie.

- Rozumiem? A kto mógłby to zrozumieć? - Caroline patrzyła na nią.

Betty ruszyła w jej kierunku, lecz nagle zatrzymała się, a przerażenie wypełniło jej oczy.

- Czy ty myślisz, że to ja, Caroline? Myślisz, że ja jestem... - mówiła zdławionym głosem. - Że jestem kobietą tak szaloną, by zabić chłopca Brett, a potem pozwolić, by ją o to oskarżono?

Caroline nie mogła wydobyć słowa.

Betty chwyciła ją za kołnierz.

- To ty jesteś chora, Caroline. Zatruta przez poczucie winy, nienawiść i spędzone w samotności lata...

Z przerażającym rozmysłem Caroline uderzyła Betty w twarz. Rozległ się ostry dźwięk policzka, a potem krzyk Betty. Caroline poczuła odrętwienie w nadgarstku. W jej oczach pojawiły się łzy. Betty stała przed nią, przyciskając dłoń do twarzy.

- Co tam robiłaś? - zapytała Caroline beznamiętnie.

Betty odwróciła się od niej.

- Wracalam z domku wędkarskiego ojca - wymamrotała.

- Dlaczego?

Betty położyła palce na powiekach.

- Był bardzo zdenerwowany i chciał, żebym zostawiła go samego.

Caroline poczuła ucisk w piersiach. Podniosła rękę, jak gdyby sama chciała się uspokoić.

- Powiedziałaś mu.

- Tak. - Na twarzy Betty wstyd mieszał się z dumą. - Nie było Larry'ego, a ja musiałam z kimś o tym porozmawiać.

Caroline przeszły dreszcze.

- Czy masz pojęcie, co mogłaś znowu zrobić?

Betty, jakby z zimna, otuliła się ramionami.

- Ojciec i ja nie mogliśmy nikomu o tym powiedzieć. Gdyby policja dowiedziała się, że Brett i James kłócili się o Megan... - Odwróciła wzrok.

Wówczas Caroline nagle zrozumiała.

- Myślisz, że to Brett go zabiła. Dlatego chroniłaś ją, kłamiąc...

Betty patrzyła teraz na nią nieruchomym spojrzeniem. Nie mogła się jednak zdobyć na odpowiedź.

- Jakimi głupcami jesteśmy! - Caroline przerwała, kręcąc głową. - Brett nie jest morderczynią.

- Więc kto? - Betty przełknęła ślinę.

Caroline kręciło się w głowie.

- O Boże, Betty, czy pamiętasz, kto uczył nas filetować ryby?

Milcząc, Betty zamknęła oczy.

- Gdzie on jest? - zapytała Caroline.

- W swoim domku wędkarskim. - Betty otworzyła wreszcie oczy, a jej głos drżał. - Pojadę z tobą. Lepiej porozmawiajmy o tym razem.

Caroline znowu wyprostowała się.

- Nie - rzekła łagodnie. - Ja powinnam to zrobić. W końcu to ja jestem matką Brett.

W wietrze i deszczu Caroline powoli przemierzała plażę, zostawiając za plecami wzburzone morze.

Była odrętwiała. Ciągłe myślała o Davidzie walczącym ze sztormem i nie wiedzącym o czymś, o czym - w poczuciu winy za swą zdradę - nie zdołała mu powiedzieć. Półprzytomna poszła do domku i zabrała stamtąd walizkę.

Domek był opustoszały. Na próżno rozglądała się za jakimś śladem pozostawionym przez Davida.

Zostały jedynie dwie książki, o których zapomniał. Otworzyła swoją walizkę i wcisnęła je do niej. Zamierzała je dla niego przechować i odesłać, gdyby napisał.

Wtedy znowu poczuła ból. Jeszcze pół godziny temu stali w tym pokoju naprzeciwko siebie. Teraz go tutaj nie było, a wszystkim, co po nim pozostało, był ów mały nie wypowiedziany sekret.

Odwróciła się, wyszła na zewnątrz i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

W domu ojca nie paliło się żadne światło. Po schodach wiodących z plaży wspięła się na stromy brzeg, wiedząc jedynie, że nie może powiedzieć, że David wyjechał. W całej swojej rozpaczy wpadła jednak na pomysł, jak kupić czas swojego kochanka.

Otworzyła drzwi i cicho weszła do domu. Na ciemnej werandzie natknęła się na ojca. Kiedy stanęła w drzwiach, przechadzał się, zamyślony, aż w końcu zatrzymał się, patrząc w morze.

- Witaj, ojciec.

Drgnął, zaskoczony.

- Caroline - powiedział. - Gdzie byłaś? - Do jego głosu wkrađło się wahanie i Caroline wiedziała już, że to on ich zdradził.

- W Bostonie. Przecież wiesz.

- Jesteś przemoczona.

Caroline nie odpowiedziała. Opanowała nagłą chęć, by zacząć na niego krzyczeć, żeby powiedzieć mu, co zrobił. Jednak nie mogła ze względu na Davida. Wyprostowała się.

- Przyszłam, żeby ci o czymś powiedzieć.

W przyćmionym świetle w jego głęboko osadzonych oczach dostrzegła zmęczenie i wiedziała już, czego oczekuje: że powie mu, iż jest zakochana w Davidzie i że z nim wyjeżdża.

- Cóż to takiego? - zapytał ostrożnie.

- Jestem w ciąży, ojciec.

- W ciąży? - W jego głuchym głosie brzmiała odraza i zaskoczenie. - Jesteś pewna?

- Tak. Właśnie dlatego pojechałam do Bostonu. Do mojego lekarza.

Caroline stwierdziła, że jej głos brzmi uprzejmie, lecz nie było w nim nic z przeprosin. Ojciec nawet nie drgnął. To, co wiedział i czuł, powstrzymywało go od podejścia do niej.

- Nie możesz mieć tego dziecka, Caroline - powiedział łagodnie. - To musi być jasne.

Caroline podniosła rękę.

- Teraz zamierzam się przespać. Jutro przemyślę to i pójdę do Scotta. To my o tym zdecydujemy.

Ojciec zbladł. Ze zrodzoną z nienawiści satysfakcją Caroline obserwowała igrające na jego twarzy emocje - świadomość, że zadenuncjował i wpakował do więzienia ojca dziecka swojej córki. Potem z najwyższą odrazą dostrzegła, że ma nadzieję, iż Caroline nigdy się nie dowie, kto zdradził ją i jej kochanka.

- Caroline - powiedział szorstko. - Musimy o tym porozmawiać. I to teraz.

- Przykro mi ojcze, ale nie teraz. Chyba łatwiej się ostatnio męczę.

- Jesteś moją córką...

- Wiem - rzekła cicho Caroline, po czym - tylko dla dobra Davida - podeszła do ojca i pocałowała go w czoło. - Wiem.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Deszcz i wyjący wiatr napierały na okna jej sypialni. Usiłowała walczyć z pojawiającymi się w jej wyobraźni przerażającymi obrazami Davida przedzierającego się przez sztorm. Życie, które pozostawił w jej wnętrzu, wydawało się wówczas tak mało realne.

Rano była wykończona. Cierpiąc z powodu mdłości, zmusiła się, żeby się ubrać.

Stwierdziła, że jej brzuch jest ciągle płaski, ale ciało nieco opuchło od zatrzymywanej wody. Kawa przestała jej smakować. To oraz mdłości były jedynymi objawami świadczącymi o istnieniu rosnącego w niej stworzenia - stworzenia, o którym marzyła jej siostra - lecz nie ona.

Larry i Betty siedzieli w kuchni. Z ich twarzy, wyrażających jedynie nerwową ostrożność, wynioskowała, że Channing o niczym im nie powiedział. Zawsze tak ostatnio wyglądali, gdy mieli być świadkami spotkań Channinga z nieobliczalną Caroline.

Pomyślała, że to do niego podobne. Aborcja, potem Harvard i życie toczy się tak, jak miało się toczyć. I nikt prócz ich dwojga - nawet David - nie miałby poznać prawdy.

Larry uśmiechnął się do niej żartobliwie, Betty z większą ostrożnością.

- Jak się czujesz? - zapytał Larry.

Jednak Caroline nie patrzyła teraz na niego, lecz na Betty.

- Jestem w ciąży.

Betty otworzyła usta.

- Jeśli nie czujesz mdłości, Betty, to u ciebie prawdopodobnie fałszywy alarm. Wiem to po sobie - ciągnęła Caroline swobodnie i bez zajknięcia.

Betty podniosła się z krzesła. Ignorując to, Caroline minęła ich i wyszła na zewnątrz, na podwórko

za domem.

Poranne słońce migotało i wiał świeży, orzeźwiający wiatr, który zwykle przychodzi po silnym sztormie.

Pogoda wymarzona na żeglugę, pomyślała Caroline. Ojciec patrzył przed siebie na pusty trawnik. Caroline podeszła do niego po cichu.

- Tak - powiedziała. - David wyjechał. - Channing odwrócił się do niej. - To była najtrudniejsza decyzja w moim życiu. Ale mam to już prawie za sobą. Bo dzisiaj rozmawiamy ze sobą po raz ostatni.

Na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Caroline. - Wyciągnął do niej rękę. - Proszę...

- Podjąłeś tę decyzję za mnie. Stwierdziłeś, że nie powinnam być z Davidem, więc posłałeś go do więzienia, pozwalając mi myśleć, że po prostu miał pecha. - Przerwała, ciężko dysząc. - Cóż, utraciłeś mnie. A wiesz, czego najbardziej w tobie nienawidzę? Tego, że nie żał ci Davida. Żał ci tylko siebie...

- Caroline. - Channing cofnął wyciągniętą rękę, starając się zachować godność. - Nie wiesz, co to znaczy kochać dziecko.

- Nie. Ale znam różnicę pomiędzy kochaniem a posiadaniem. - Caroline próbowała trzymać w ryzach swój temperament. To, co czuła, było jednak głębsze i silniejsze niż gniew. - Jeśli mnie kochasz, to nie licz na wybaczenie. Licz tylko na to, że David Stern przeżył.

Odwróciła się i odeszła, zostawiając go samego.

Tej jesieni została sama na Vineyard.

Ojciec poddał się. Wyobrażała sobie, jak sam w New Hampshire próbuje przeczekać jej gniew i odrzucenie. Nie dbała o to, czego by się dowiedział, gdyby jeszcze kiedykolwiek porozmawiali.

Rosło w niej życie.

Uważała, że jest to w pewnym sensie część Davida, który mógł już nie żyć, choć sama przyznawała się przed sobą z brutalną szczerością, że to irracjonalne. Gdyby tutaj był, pewno byłaby w stanie skończyć z tym dzieckiem. Jego donoszenie stanowiło raczej akt odwetu. Caroline nie mogłaby żyć z myślą, że najpierw zabiła Davida, a potem jego dziecko.

To było najważniejsze. Caroline nie miała sztywnych zasad co do tego, co w takich sytuacjach powinny robić kobiety, chociaż generalnie uważała, że to one mają decydować. Z drugiej strony w pełni zdawała sobie sprawę, że decyduje się tutaj o życiu. Nie mogła tego zrobić ze względu na Davida, na dziecko, a przede wszystkim - na samą siebie.

Tak więc z braku innych możliwości dziecko było nadal w niej. Pozostawał jedynie wybór czy je zatrzymać, czy też oddać.

Nawet jeśli wbrew wszystkiemu miała nadzieję, że David da jakiś znak, to zaczęła sobie wyobrażać przyszłość bez niego. Wiedziała, co zrobiłaby, nie mając dziecka: wyjechałaby jak najdalej od New Hampshire, skończyła studia prawnicze, stanęła na nogach i została takim prawnikiem, jakim powinna być w zgodzie z własnymi przekonaniem. Trudno było sobie wyobrazić realizację tych zamiarów z dzieckiem, ale równie trudno było wyobrazić sobie obcych, którzy mieliby zostać jego rodzicami. Tej beznadziejnej zimy na Vineyard Caroline miała aż nazbyt wiele czasu, żeby rozmyślać o tym, co rodzic może zrobić dziecku.

Pewnego mroźnego ranka w drzwiach domu pojawił się Larry. Uśmiechnął się, jakby nieco zawstydzony.

- Przyjechałem cię odwiedzić.

Ku własnemu zaskoczeniu Caroline stwierdziła, że cieszy się, widząc go tutaj. Była wdzięczna, że nie dał się zarazić jej zgorzknieniem.

- Wejdz - zaprosiła go. - Nie mieszkam teraz zbyt wielu gości. W zasadzie żadnych.

Spojrzał kątem oka na jej brzuch.

- Owszem, jednego - poprawił ją. - Ale on czy może ona jeszcze nie mówi.

Caroline uśmiechnęła się.

- Nie. Ale zdaje się, że już trochę chodzi.

Larry szybko podszedł do niej i objął ją.

- Cieszę się, że cię widzę, Caro. Nikt nie wie, co teraz robić.

Przycisnęła twarz do jego ramienia.

- Ja też - wymamrotała. - Szczególnie co z dzieckiem.

Przez chwilę milczała, przytulona. Zdziwiona, poczuła, że chce się jej płakać.

- Caro - rzekł łagodnie Larry. - Tak mi przykro.

- Wiem, wiem.

W końcu zaprowadziła go na werandę, ciągle trzymając go za rękę. Razem siedli na sofie. Rozciągający się przed nimi ocean był płaski i szary. Na trawie pozostały jeszcze smugi szronu. Caroline objęła się ramionami.

- Czy miałaś od niego jakieś wieści? - zapytał Larry.



Caroline pokręciła głową.

- Albo nie żyje, albo nie chce mi wybaczyć. Mam nadzieję, że to drugie.

Larry przez chwilę milczał.

- Myślisz o zatrzymaniu dziecka? - zapytał po jakimś czasie.

- Nie wiem. Nie powinnam. Ale jeśli je oddam, to jakbym grała jego życiem na loterii. Skąd mogę wiedzieć, kto się nim zajmie? - zwróciła się do niego. - Nie wystarczy, że ktoś chce mieć dziecko. Zobacz, jak bardzo pragnął mnie mój ojciec.

Larry odwrócił wzrok, jak gdyby zbierając się w sobie.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Caroline. Chyba najlepiej, jeśli powiem wprost. Chcę, żebyś coś przemyślała.

Do Caroline dotarło nagle, po co tutaj przyjechał.

- Co to takiego? - zapytała chłodno.

Larry nie mógł spojrzeć jej w twarz.

- My nigdy nie będziemy mieli dziecka, Caro. Okazuje się, że to nie tylko moja wina. Z Betty również coś jest nie tak...

Caroline poderwała się.

- Nigdy. Dla naszych stosunków będzie lepiej, jeśli udam teraz, że jestem niemową. Nie mogę uwierzyć, że ty - jedyna osoba w tej rodzinie, na której ciągle mi zależy - przyszedłeś do mnie właśnie po to. - Podniosła głos. - Do cholery, wszyscy jesteście pieprzonymi sępmi! Ale ty...

Larry patrzył na nią.

- Kto inny mógłby cię o to poprosić? - zapytał cicho. - I kogo innego chciałabyś dać temu dziecku za ojca?

Caroline zaczerpnęła głęboko tchu, nie spuszczać wzroku z Larry'ego.

- Możesz nienawidzić Betty aż do śmierci - ciągnął Larry. - Na jej obronę muszę jednak powiedzieć, że bardzo cierpi i wstyd jej z powodu tego, co się stało. Nie proszę cię o to dla niej. Proszę o to dla dobra dziecka i dla siebie...

- Ten pomysł z dzieckiem należał do Betty, pamiętasz?

- Tak - odparł Larry. - Dopóki nie dowiedziałem się, że nie możemy go mieć. I że ty będziesz miała. - Podszedł do Caroline, położył dłonie na jej ramionach i spojrzał jej w twarz. - Obojętnie, co myślisz o Betty, możesz być pewna, że będzie je kochała. A ja dopilnuję, żeby wszystko było jak należy. Będę jego ojcem. Czy byłabyś bardziej skłonna zaufać komuś obcemu?

Caroline odwróciła się i wróciła na sofę.

- To zbyt wiele jak dla mnie - rzekła.

Larry obserwował ją w milczeniu.

Caroline siadła, opierając łokcie na kolanach i kryjąc twarz w dłoniach. Wzrok wbiła w ceglana posadzkę.

- Nie chodzi tylko o Betty. Chodzi o mojego ojca.

- Przecież to nie on będzie ją adoptował.

Caroline spojrzała na niego rozpalonym wzrokiem.

- Mój ojciec adoptuje życia. Jeśli nie zachowasz ostrożności, twoje stanie się jednym z nich. - Jej słowa były ostre; mówiła teraz wolniej. - Nie chcę, żeby to dziecko żyło życiem zorganizowanym mu przez niego. Jeśli chodziłoby tylko o ciebie, byłoby to możliwe. Ale kiedy patrzę na was wszystkich, nie wierzę, że to da się zrobić.

Larry siadł obok niej.

- Czego w takim razie ode mnie oczekujesz? - zapytał w końcu.

Mój Boże, pomyślała Caroline. Przez chwilę wyobraziła sobie swoje dziecko z Larrym - dziecko mające własny dom i ojca, który potrafiłby odróżnić jego życie od własnego.

- Chciałabym - rzekła - żebyście trzymali się od niego z daleka. Zamieszkali w innym mieście, innym stanie. Tak żeby nigdy więcej nie mógł sterować czyimś życiem.

Larry wpatrywał się w wodę.

- To możliwe - rzekł po chwili. - Tak czy inaczej da się to zrobić.

Caroline powoli się odwróciła.

- Teraz pozwól, że się nad tym zastanowię - powiedziała ku własnemu zaskoczeniu. - Proszę, zostaw mnie samą.

Dwa dni po narodzinach dziecka do szpitala przyjechał Larry. Był sam. Caroline nie musiała go o to prosić. Ze smutną zadumą i zadziwieniem spoglądał na trzymane przez nią dziecko.

- Mój Boże - powiedział. - Ile włosów! Nie wiedziałem, że dzieci rodzą się z włosami.

- Ani ja.

Caroline opuściła wzrok, patrząc na twarz małej dziewczynki. Była czerwona, jeszcze nieco

spuchnięta po porodzie, ale w jej twarzy najbardziej uderzające były oczy. Niemowlę zmarszczyło się i wyciągnęło rączkę, jakby próbując jej dotknąć. To dziwne, pomyślała Caroline, z jaką łatwością przychodzi matce przypisywanie znaczenia najprostszym odruchom dziecka.

- Chcesz ją potrzymać? - zapytała Larry'ego.

Larry niezgrabnie wyciągnął do niej rękę. Kołysząc dziecko, Caroline podała mu je. Siadł na krześle dla gości, patrząc z uśmiechem w nie widzące jeszcze oczy dziewczynki. Chwila ta zapadła na zawsze w pamięć Caroline: snop światła wpadający przez szpitalne okno oświetlał główkę dziecka, kiedy Larry przytulił do niego policzek.

- Ładnie pachnie - mruknął. - Jak nowa!

- Wiem.

Siedział tam tak długo, aż Caroline domyśliła się, że nie może zdobyć się na to, co powinien teraz zrobić.

- Jestem spakowana, Larry. Nie mam tutaj nic więcej do roboty - powiedziała do niego cicho.

Larry powoli podniósł na nią spojrzenie.

- W porządku.

Caroline wstała.

- Poniosę ją.

- Dasz radę?

- Uhm.

Po raz ostatni Caroline wzięła dziecko na ręce. Pocałowała je w główkę, a potem, nie mogąc się powstrzymać, powąchała znowu jego skórę.

Robiąc pierwsze kroki, poczuła się dziwnie. Nadal ją bolało, a brzuch wydawał się bezkształtnym skórzanym workiem. Pomyślała, że za jakiś czas wszystko wróci do normy.

Kiedy znaleźli się na korytarzu, Larry chwycił ją pod ramię.

- Już do domu? - zapytała z uśmiechem recepcjonistka.

- Tak, do domu - skinęła głową Caroline.

Recepcjonistka wyjęła odpowiednie dokumenty do podpisania.

Podając dziecko Larry'emu, Caroline nie mogła patrzeć ani na niego, ani na nie. Bez słowa podpisała papiery.

Pielęgniarka poklepała ją po ramieniu.

- Miej z niej wiele radości - powiedziała.

- Z pewnością będę miała - rzekła Caroline. Odwracając się, zauważyła, że teraz to Larry nie mógł spojrzeć jej w oczy.

Na zewnątrz był pogodny, choć chłodny kwietniowy dzień. Caroline zatrzymała się na moment, mrugając.

- Mój samochód jest tam - wskazał Larry.

Ruszyli w kierunku auta. Caroline wiedziała, że Betty czeka po drugiej stronie zatoki, w Woods Hole. Larry zabierze dziecko na prom i za dwie lub trzy godziny będą razem.

Lecz Larry nie wiedział, jak się z nią pożegnać.

- Nie chcę, żebyście próbowali się ze mną kontaktować - powiedziała Caroline. - Nie chcę wiedzieć nic o żadnym z was. Proszę tylko, żebyście się o nią dobrze zatroszczyli.

Stojąc z dzieckiem na ręku, Larry patrzył na nią spokojnie.

- Zaopiekujemy się. Zaopiekuję się.

Caroline ścisnęło w gardle.

- Jakie dacie jej imię? - zapytała cicho.

- Jeszcze nie wiem. - Larry usiłował się uśmiechnąć. - Na razie dla mnie wygląda jak Baby Allen.

Caroline patrzyła na dziecko, które w tym momencie otworzyło oczy.

- A mnie przypomina matkę - powiedziała.

Larry powoli pokiwał głową.

- Może cię podwieźć? - zapytał.

- Nie, dzięki. Wezmę taksówkę.

Z dzieckiem na rękach Larry podszedł do Caroline i pocałował ją w czoło. Małe ciało dziecka dotknęło jej ramienia.

- Idź już - powiedziała.

Nie odzywając się, Larry ułożył dziecko w samochodzie i wsiadł do środka. Kiedy odjechali, Caroline odwróciła się.

Pod wpływem władających nią teraz sprzecznych uczuć łagodności i gniewu oraz instynktu samozachowawczego uczyniła to, co jej zdaniem matka w takiej sytuacji uczynić powinna. Pojechała do Kalifornii i rozpoczęła studia prawnicze. Nigdy więcej nie spotkała się z córką.

Koszttem Brett stworzyła sobie nowe życie.

CZĘŚĆ SIÓDMA

# WYROK OSTATECZNY

## JEDEN

Po raz pierwszy od dwudziestu trzech lat Caroline zbliżyła się do drewnianych drzwi rustykalnego wędkarskiego domku ojca.

W chłodzie i otaczającym ją mroku powróciły do niej wspomnienia z dzieciństwa: skrzypienie konarów sosen poruszających się pod naporem porywistego wiatru, biwakowanie pod rozgwieżdżonym niebem, jedzenie upolowanej zdobyczy przy świetle starego kamiennego kominka. Nadal dobrze pamiętała wnętrze domku.

Z walącym sercem zapukała do drzwi.

W środku panowała cisza. Po chwili, ze starczą niecierpliwością, ojciec przekręcił zamek.

- Caroline?

Zamrugnął - może ze zdziwienia, a może po prostu przyzwyczajając oczy do światła. Miał na sobie szlafrok i pantofle. Widząc ją, wyprostował się, usiłując przybrać godną postawę. Nie był pewien, czy zaprosić ją do środka.

- Spałem, jak widzisz - rzekł.

Caroline nie odpowiedziała. Channing zawahał się przez chwilę, by w końcu niezdecydowanie otworzyć jej drzwi.

Pokój dzienny nie wyglądał dokładnie tak jak za czasów jej dzieciństwa. Pozostały w nim znajome przedmioty - wędki, półka z książkami o wędkarstwie i przyrodzie, sielankowy obraz przedstawiający jakieś angielskie jezioro - oraz porządek. Zaskoczyło ją, że jedynym zdjęciem w pokoju była fotografia przedstawiająca ją w wieku szesnastu lat, śmiejącą się z zadartą głową i rozwianymi włosami. Caroline dokładnie pamiętała tamtą chwilę. Złowiła wtedy pstrąga, lecz wypuściła go do wody. Jednak dopiero teraz zauważyła, że uchwyciona w tej losowo wybranej, krótkiej niczym mgnienie oka chwili, niezwykle przypominała matkę. Niezwykle przypominała Brett. Stała ze wzrokiem wbitym w fotografię. Ojciec podążył za jej spojrzeniem.

- Poza tym niewiele mi po tobie zostało - rzekł.

Caroline powoli odwróciła się do niego.

- Tylko Brett - odpowiedziała. - I nóż.

Channing był blady. Poruszył ramionami, jak gdyby chcąc się uspokoić.

- Tak - powiedział w końcu. - Nigdy nie mogłem się zdobyć, żeby się go pozbyć. - Rzucił krótkie

spojrzenie na drewniane biurko. Caroline dostrzegła na nim szary rewolwer. Serce załomotało jej w piersi.

- Poszedłeś wzdłuż brzegu - powiedziała. - Dokładnie tak, jak to opisywałeś.

Z cichą godnością Channing Masters podniósł głowę i popatrzył w oczy Caroline. Jego spojrzenie nie drgnęło.

W jednej chwili Caroline poczuła miazdzący ciężar prawdy, z którą bała się pogodzić. Zakręciło się jej w głowie. Nie była w stanie dokończyć. Wyraz jego twarzy - zraniony i surowy - był lustrzanym odbiciem tego, co malowało się na jej twarzy.

- Straciłeś moją matkę - mówiła powoli drżącym głosem. - A potem mnie. Myślałeś, że z powodu innych ludzi. Nie mogłeś pozwolić, żeby ktoś zabrał Brett...

- Niech cię licho, Caroline! - Twarz ojca stężała. - W tym wszystkim chodzi ci tylko o tamto lato, czy tak? Zły i zaborczy człowiek wrabiający młodego Lochinvara? Nie chciałem, żeby twój David zrobił to, co zrobił, chociaż pogodziłem się z poniesieniem konsekwencji. Ale nie myl twojego cierpienia z tym ani tamtego chłopaka z tym. James Case był narcystycznym typem, który potrafił manipulować ludźmi. Chciał nakłonić Brett do narkotyków...

- Więc postanowiłeś ją uratować. Podobnie jak uratowałeś mnie.

- Nie osądzaj mnie - uciął ojciec. - Gdzie byłaś, Caroline, kiedy Brett dorastała? Realizowałaś w Kalifornii swoje ambicje, ignorując córkę i rodzinę. Byłaś dla Brett nawet czymś mniej niż Nicole dla ciebie. - Channing wyprostował się. - Tamtej nocy nie wiedziałem, co robić. Wiedziałem tylko, że jej związek z Jamesem musi się skończyć i że nikt - ani Betty, ani Larry - nie potrafi do tego doprowadzić. Wziąłem więc nóż i pistolet, a kiedy ich zobaczyłem, poczułem, że muszę to zrobić. - Jego spojrzenie było nieobecne, jak gdyby usiłował przywołać obrazy, które straciły wyrazistość. Głos przesiąknięty był gniewem i smutkiem. - Widziałem ich razem. Piła razem z nim, paliła marihuanę. Zatracała sama siebie. Ta piękna dziewczyna robiąca obrzydliwe rzeczy z jego ciałem. A on zachęcał ją do dzielenia z nim jego brudnego życia...

4

- Mój Boże - powiedziała drżącym głosem Caroline. - Czy ty wiesz, co jej zrobiłeś? Jesteś szaleńcem!

Twarz Channinga zamknęła się, napełniła odrazą.

- Lekarz daje mi rok życia, Caroline. Może dwa. - Przerwał. - Stwierdziłem, że daje to pewne poczucie wolności. Pewną jasność myśli i celów, a zarazem zanik sentymentów. Moje życie - i nasze wspólne życie - ma się ku końcowi. Wszystko to sprawia, że myślę o Brett. Obserwując ją z krzaków, stwierdziłem, że skoro mi pozostało tak mało, mogę ocalić resztę jej życia.

Coś w zachowaniu Channinga sprawiło, że Caroline zmieniła stosunek do niego. Był teraz spokojny, niemal oderwany od rzeczywistości. Sama walczyła z podobnym odczuciem. Spłynął na nią spokój serca i umysłu.



- Opowiedz mi więc, jak to się stało. Bo zdaje się, że zadanie ocalenia Brett spadło jednak na mnie.

Na zewnątrz była ciemna noc. Caroline, słuchając oszczędnego opowiadania Channinga, przypominała sobie pełną pasji opowieść Brett. Teraz wszystko stawało się dla niej jasne.

Kłęcząc za krzakami, ojciec obserwował ich: dwie sylwetki oświetlone księżycowym światłem. Głowa mężczyzny pomiędzy jej nogami, srebrnoczarny zarys ciała cicho pojękującej kobiety.

Czy tak wyglądało to pomiędzy Nicole i Paulem? Z Caroline i jej kochankiem? Z jednej strony nie chciał na to patrzeć, ale z drugiej nie mógł się od tego powstrzymać. Noc była dla niego chłodna i zaczęły dawać się we znaki bóle w stawach.

W świetle księżyca Brett dosiadła Jamesa.

Poruszała się w rytmicznym zapamiętaniu. Mężczyzna leżał pod nią nieruchomo. Po chwili Brett spojrzała na niego. Niezręcznie oswobodziła miednicę i - ku odrazie obserwującego ją ojca - uklękła, by pocałować Jamesa w policzek.

Być może o wszystkim zdecydował jej obraz w tym momencie: zniewolonej i zagubionej. Channing powoli wyciągnął rewolwer z za pasa. Na twarzy czuł chłodny powiew. Dłonie w skórzanych rękawiczkach niczym sztylet przeszły artretyczny ból.

Naga Brett stała nieporadnie na tle czarnych wód jeziora. Tkwiła tam przez chwilę nieruchomo, aż nagle, jak pod wpływem jakiegoś impulsu, pobiegła stronę brzegu. Channing usłyszał plusk płytkiej wody rozpryskiwanej przez jej stopy, a potem bezwładne uderzenie ciała o powierzchnię jeziora. Podniósł się, obolały. Bał się o nią - wyglądała na zbyt nieprzytomną, by pływać. Wówczas dostrzegł, jak miarowo - tak jak ongiś ją uczył - porusza w wodzie ramionami. Posuwała się w stronę platformy, na której przed laty razem wygrzewali się w słońcu.

Zostawiła dwóch mężczyzn samych.

Channing powoli włożył rewolwer z powrotem za pas.

Odgłosy płynącej Brett ustały. Dał się słyszeć plusk wody spływającej z jej ciała, gdy wdrapywała się na pomost. Nawet na tle ciemnego jeziora Channing z ledwością mógł ją dostrzec. Była tylko nieco głębszym cieniem pośród oświetlonych światłem księżyca desek platformy.

Zesztywniały Channing wyszedł z za krzaków. Chłopak leżał na kocu z ramionami rozrzuconymi niczym żołnierz, który zmarł tam, gdzie upadł. Idąc po trawie, Channing nie wydawał żadnego odgłosu.

Gdy klękał na kocu, jego twarz wykrzywił ból. Jednak jedynym dźwiękiem było głucho trzaśnięcie chrząstek i kości kolan, a potem już tylko ledwie słyszalny szmer oddechu Jamesa.

Channing spojrzał na jego twarz. Skóra Jamesa była gładka, a lekko rozchylone usta pełne i regularne. Gdy spał, cała jego arogancja spała wraz z nim. Jednak Channing wiedział, że kiedy się zbudzi, znowu zamknie Brett w swym egoizmie i żądzy. Siłą woli zmusił się, by wyjąć z pochwy nóż,

który kiedyś dała mu Caroline. Przez chwilę trzymał go nieruchomo nad twarzą śpiącego chłopaka. Gdzieś w tle słyszał cykanie świerszczy i czuł obecność Brett.

Zaczerpnął tchu i zamknął oczy. Ułożył nóż nad nagim gardłem Jamesa, czując, jak drży jego niezdecydowana dłoń...

Teraz.

Ciął. Jednak zawiodła go stara odretwiała ręka i własne niezdecydowanie. Oczy Jamesa otworzyły się. Z płytkiej rany na szyi spłynęła strużka krwi. Mój Boże, mój Boże!

- Nie - jęknął James.

Channing chwycił go za gardło. James usiłował wyrwać się ze snu i szoku. Serce Channinga biło jak szalone.

Drugie cięcie było szybkie i pewne.

Channing poczuł nagle na twarzy i koszulce uderzenie strumienia ciepłej krwi. Zobaczył rozpoznające go, przerażone oczy Jamesa. Kolejne bluznięcie krwi oślepiło go. Spazmatycznym ruchem James chwycił go za ramię. Wtedy wbił mu nóż w serce. Ręka Jamesa opadła, a z jego gardła wydobyło się potworne bulgotanie.

Channing cofnął się, przerażony.

- James... - dobiegł go głos wołającej z pomostu Brett.

Chwiejąc się, Channing wstał. Leżący na kocu James wił się w agonii i przerażeniu. Wydobywające się przy tym dźwięki przypominały kogoś tonącego.

- James...

Za plecami Channing dosłyszał, jak Brett wskoczyła do wody. Z mdłościami i goryczą w gardle, chwiejąc się, zniknął w ciemnościach, zanim na miejscu zjawiła się jego wnuczka.

## DWA

- Brett... - rzekła cicho Caroline. - A więc rzeczywiście tak było.

W bladym świetle starej lampy twarz Channinga wyglądała tak, jak gdyby odpłynęła z niej cała krew.

- Wiedziałem, że to będzie dla niej potworne. Ale stało się. Nigdy nie przypuszczałem, że mogą ją o to obwinić. Odciski palców, ślady krwi, oddychanie usta-usta, zabrany nóż i portfel... Jak mogłem to wszystko przewidzieć? - przerwał. Jego głos był matowy. - Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, jak to jest zabić w ten sposób człowieka.

Caroline zwalczyła w sobie współczucie i odrazę.

- A czy mogłeś sobie wyobrazić, jak to jest zostać niesłusznie oskarżonym o morderstwo? - zapytała chłodno.

Channing odwrócił się, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Nie chciałem, żeby się dowiedziała. Nie chciałem, żeby śmierć tego chłopaka powiązano z naszą rodziną, ze mną. - Ściszył głos ze wstydu. - Wiedząc, że jest niewinna, myślałem, że nigdy jej nie oskarżę. A nawet jeśli by to zrobili, nigdy by to nie przeszło. Przynajmniej co do tego miałem rację.

- Co za przewrotność skłoniła cię, żeby zadzwonić po mnie? - Odrętwiała Caroline pokręciła głową.

Channing sięgał w głąb siebie.

- Wiedziałem, że będziesz czuła się za nią odpowiedzialna. W końcu zdecydowałaś się ją urodzić, a potem opuściłaś. Poza tym widziałem - nawet na odległość - że jesteś bardzo uzdolnioną prawniczką. - Znowu zwrócił się w jej stronę. - Wiem, jak to dla ciebie zabrzmi, bo sam też tak to odbieram, ale w całym tym nieszczęściu ostatnich dni znajdowałem pewną przyjemność w obserwowaniu ciebie - powiedział łagodnie. - Jesteś świetną prawniczką, Caroline. Ale ja zawsze wiedziałem, że nią będziesz.

Caroline ścisnęło w żołądku.

- Więc musiałeś liczyć się z tym, że dojdę prawdy. Może miałeś na to nadzieję?

Pokręcił głową.

- Wiedziałem, że to możliwe. - W jego głosie słyhać było dumę zmieszaną z żalem. - Ale nigdy nie sądziłem, że przypomnisz sobie ten nóż. Myślałem, że jestem jedynym, który pamięta ten prezent

tak, jakby go dostał wczoraj. - Jego oczy ożyły. - Myślałem, że wszystkie tamte lata i całe nasze wspólne życie wyrzuciłaś z pamięci. Że chciałaś pamiętać tylko tamto jedno ostatnie lato.

Przez chwilę Caroline nie mogła wykrztusić słowa.

- A może sprawiło ci przyjemność zmierzyć się ze mną? - Gdy w końcu zdobyła się, by mówić, jej głos był lodowaty. - Odegrać przede mną całą scenę morderstwa i obserwować, czy jestem wystarczająco bystra, żeby przyjąć twoje wskazówki?

Channing poczerwieniał.

- Jak możesz tak myśleć? Powiedziałem ci to tylko ze względu na Brett.

- Ze względu na Brett! - Caroline kipiała z wściekłości. - Nie wyobrażasz sobie, co przez ciebie przeszła!

Channing patrzył na nią w milczeniu, potem odwrócił się i poszedł do sypialni. Caroline objęła się ramionami i czekała. Po chwili wrócił z przezroczystą plastikową torbą. Znajdowała się w niej poplamiona krwią koszula i spodnie. Do pakunku przyczepiony był list. Channing wręczył go Caroline.

- Przeczytaj.

Caroline popatrzyła na torbę. Plamy krwi, mocno przyschnięte do niebieskiej flanelowej koszuli, wyglądały tak, jak wiedziała, że wyglądać powinny.

- Przeczytaj - powtórzył Channing chropawym głosem.

Caroline odłożyła torbę. Trzęsącymi się rękami otworzyła kopertę. List był adresowany do niej. Przełknąwszy ślinę, zmusiła się, by zacząć go czytać. Pomyślała, że nikt inny nie mógłby tego napisać.

List był chłodny, wyzbyty emocji. Channing wyjaśniał w nim równie szczegółowo, co beznamiętnie, jak zabił Jamesa Case'a. Pisał o swoich motywach, lecz nie liczył na współczucie. Jedynym usprawiedliwieniem jego czynu była Brett.

Caroline, milcząc, podniosła na niego wzrok.

- Oryginał jest w mojej skrzynce depozytowej w banku - powiedział. - Gdybym nagle odszedł.

- A jeśli byś...? - pytanie zamarło w jej gardle.

Ojciec wyprostował się.

- Byłem gotów pójść do Jacksona, jeśli nie poradziłabyś sobie na tym przesłuchaniu. Ale zdawało się, że jesteś bliska podważenia wiarygodności tej odrażającej Megan.

- I czekałeś, patrząc, jak Brett cierpi.

- Trzy tygodnie to nie tak długo. - Twarz Channinga wyrażała teraz stoicki spokój. - Wiem o tym. Ja musiałem żyć z tym, co wydarzyło się na Vineyard, dwadzieścia trzy lata.

Caroline spojrzała na niego.

- Żyć, z czym?!

Ojciec milczał.

- Twój David nie żyje, Caroline - powiedział w końcu wprost.

Caroline odsunęła się o krok. Jej serce biło jak młot.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Zginął tamtej nocy, w zatoce. - Ojciec przerwał i zmusił się, żeby na nią spojrzeć. - Na skałach w pobliżu zatoki Tarpaulin znaleźli roztrzaskaną żaglówkę.

Caroline pochyliła głowę, kołysząc się do przodu i do tyłu na piętach, powstrzymując się, by nie skręcać się z bólu.

- Wiedziałaś - mówiła zdławionym głosem. - Cały czas o tym wiedziałaś...

Channing dotknął dłonią czoła.

- Przez trzy dni miałem nadzieję, Caroline. Miałem nadzieję - a nawet modliłem się, żeby się jakoś uratował. Nigdy nie chciałem, żeby to się stało. - Powoli pokręcił głową, jak gdyby na nowo przeżywając tamtą chwilę. - I wówczas zadzwonili ze straży przybrzeżnej. Łódź była zarejestrowana na moje nazwisko. Ale nie powiązali jej z Davidem. Powiedziałem im więc, że musiała zerwać się z cumy...

- Dlaczego?

- Żebyś ty się nie dowiedziała. - Twarz Channinga wykrzywił ból. - Nie chciałem ciebie stracić, Caroline - dokończył cicho.

Caroline bezradnie odwróciła się od niego. Nie mogła złapać tchu.

- Teraz wiesz już wszystko. - Głos ojca pozbawiony był życia. - Jutro pójdziesz z tym do Jacksona. Proszę, zrób to.

Caroline zobaczyła przed sobą książki, zdjęcie roześmianej dziewczynki i pistolet. Zmusiła się, by znowu spojrzeć na ojca.

Jego twarz pozostała tylko cieniem tego, czym była dawniej. Żywe pozostały tylko wilgotne oczy.

- Caroline... - próbował coś powiedzieć.

W tej chwili przypomniała sobie wszystko, co między nimi było. Wspólne wyprawy, dni spędzone

nad jeziorem, śmierć matki, rozmowy przy obiednim stole, plany na prawniczą przyszłość. Utratę Davida. Sposób, w jaki przez wszystkie te lata wbrew jej woli określał, kim była Caroline Masters. Cokolwiek zamierzał powiedzieć, widziała, że nie może mu to przejść przez gardło.

- Wróciłaś do domu, Caroline. W końcu. Obojętnie, z jakiego powodu. A teraz, proszę, zostaw mnie tutaj.

Caroline zebrała się w sobie. Przez chwilę patrzyła mu w twarz. Potem, niezdolna, by cokolwiek odpowiedzieć, pokiwała głową. Nic nie widząc, przeszła obok niego i wyszła na zewnątrz. Zatrzymała się o kilka stóp dalej, koncentrując się na tym, by zachować chociaż zewnętrzny spokój. Podniosła głowę i głęboko zaczerpnęła przesyconego zapachem sosen powietrza. Nie ruszała się z miejsca, nasłuchując. Noc była chłodna i cicha.

Przez wpółotwarte drzwi usłyszała głuchy huk. Zamknęła oczy. Nie mogła drgnąć w okropnej, bolesnej ciszy, która wokół niej zapadła. Ale nie było nikogo innego, a ona powiedziała Betty, że sama musi załatwić tę sprawę. Powoli odwróciła się i z powrotem weszła do domku. Zatrzymała się, zeszywniała i wstrzymała oddech.

Ojciec zdecydował się rozwiązać tę sprawę. Jego twarz i głowa były nienaruszone. Z rany w sercu ciągle jeszcze wypływała krew. Koło jego dłoni leżał pistolet. Patrzyły na nią jego nie widzące, otwarte oczy. Nigdy więcej już jej nie zobaczą.

Caroline uklękła i zamknęła je.

Zrobiwszy to, spojrzała na jego twarz. Wiedziała, że w ciągu kilku chwil uleci z niej człowieczeństwo i stanie się tylko woskową maską śmierci. Jednak na razie skóra była jeszcze ciepła i miała naturalne barwy.

Powoli cofnęła rękę.

Kłęcząca tak przy nim przez chwilę z bijącym sercem. Potem wstała, odwróciła się i poszła, żeby zadzwonić do Jacksona. Nie spojrzała więcej na ojca.

## TRZY

Samochód z włączonymi światłami zatrzymał się o kilka jardów od niej. Silnik zgasł, otworzyły się drzwi i Caroline usłyszała odgłos kroków na żwirowej drodze. W ciemnościach stanął przed nią Jackson. Wyglądał na zaskoczonego i nie przygotowanego, tak jakby wyrwano go ze snu. Spojrzenie jednak miał całkiem przytomne.

- Jest tam, w środku - powiedziała Caroline.

Jackson nie ruszył się z miejsca. Spojrzał jej w twarz.

- Proszę - powiedziała. - Zajmij się tym. Zrób to dla mnie, bo ja już nie mogę.

Jednak Jackson nadal stał przed nią. Być może czuł, że w głębi Caroline nie chce, żeby odchodził. Chwycił ją za nadgarstki.

- O co w tym wszystkim chodziło?

- O zbyt wiele. - Caroline urwała, patrząc mu w oczy. - Brett jest moją córką, Jackson.

Jego oczy pozostały nieruchome.

- O mój Boże - wymamrotał, lecz nie puścił jej.

Kiedy przyjechało pogotowie, nadal tam stali. Za ambulansem pojawił się błyskający samochód policyjny.

Nagle Caroline pomyślała o Brett.

- Idź - powiedziała. - Musisz zobaczyć, co zostawił, zanim cała ta ekipa zdąży to gdzieś zapodziać.

Spojrzał na nią jeszcze raz, teraz już rozumiejąc.

Stojąc nadal w bezruchu, Caroline słyszała, jak Jackson wchodzi do domku. Była tam jeszcze, kiedy policja i pogotowie, niemal jej nie zauważając, szybko odjechały w kierunku drogi.

Przypomniała sobie, że od strony jeziora stała pod domkiem ławka. Poszła tam po zbudowanych przez ojca schodach. Siedziała, patrząc na gładką w bezwietrzną noc tafle jeziora. Było cicho. Co jakiś czas dochodziły ją tylko głosy z domku - czasami głos Jacksona. Caroline chciała móc coś czuć, jednak odczuwała tylko pustkę.

Ojciec nie żyje, mówiła sobie, a Brett jest wolna. Dlaczego więc niczego nie czuję?

W tym momencie usłyszała za plecami Jacksona:

- Wezwałem policję stanową - powiedział. - Zabieram cię stąd. Oni zajmą się resztą.

Caroline nie podniosła wzroku.

- Muszę zadzwonić do innych - odrzekła. - Betty...

- Ona może poczekać.

Caroline nie sprzeczała się.

Jazda do letniego domku Jacksona trwała może dziesięć minut. Caroline siedziała obok niego na miejscu pasażera. Jackson spoglądał na nią co jakiś czas, ale nic nie mówił. Wchodząc do jego domku, Caroline dostrzegła kominek i przypomniała sobie, że przecież tutaj się jakiś czas temu kochali. Wydawało się jej, że od tamtej chwili minęły całe lata.

Jackson zaprowadził ją na oszkloną werandę. Caroline siadła na sofie. Poprzez przerwę pomiędzy drzewami można było stamtąd dostrzec ciemną owalną taflę jeziora. Ona jednak patrzyła przed siebie, niczego nie widząc.

- Podać ci coś? - zapytał.

- Nie, dziękuję.

Jackson siadł w rogu sofy. Nie dotknął jej. Caroline czuła jedynie swoje oddzielenie.

- Możesz ze mną porozmawiać - odezwał się w końcu. - Albo radzić sobie dalej metodami, którymi, jak sądzę, radzisz sobie od lat.

Caroline nie spojrzała na niego. Nawet mówienie było teraz dla niej wysiłkiem.

- Nie jestem pewna, czy sobie radzę - odpowiedziała. - Poza tym nie wiem nawet, od czego zacząć.

- Od czegokolwiek, Caroline. Od pierwszej rzeczy, która przychodzi ci na myśl.

Była zbyt słaba, żeby się bronić. W milczącej odpowiedzi wbrew sobie Caroline otworzyła swój umysł. Widok pierwszego obrazu, który stanął jej przed oczami - czarne włosy unoszące się na wodzie - sprawił, że zrobiło się jej duszno.

- Moja matka... - Caroline usłyszała własny głos, lecz nie była w stanie dokończyć zdania. Objęła się ramionami.

- Opowiedz.

Zanim zdążyła cokolwiek przemyśleć, opowiedziała mu jednostajnym głosem całą historię. O matce i jej śmierci. O tym, jak zakochała się w Davidzie. O zdradzie siostry, a później ojca. O tym,



jak urodziła i oddała Brett. I o tym, dlaczego wróciła.

Potem przeszła do wypadków ostatnich trzech tygodni, bo Jackson musiał je poznać. Brakujący nóż ojca. Włamanie do mieszkania Megan. Sposób, a w zasadzie po części intuicję, jak doszła do tego, że winny jest ojciec. Ich ostatnią konfrontację. Chwilę, w której po dwudziestu trzech latach dowiedziała się, że David nie żyje.

Kiedy skończyła, nie mogła się zdobyć, żeby na niego spojrzeć.

- Wiesz, co powiedział mi ojciec? - zapytała głucho. - Że bał się mnie stracić.

Poczuła, że Jackson ją obejmuje.

- Cóż - powiedział. - Mnie nie straciłaś. Jedynie na chwilę zagubiłaś.

W Caroline coś drgnęło. Odwróciła się i spojrzała w jego zmęczoną przyjazną twarz. Wtedy nagle wybuchnęła niepokonanym płaczem, jakim nie płakała od nocy, w której zniknął David.

Jackson przytulił ją.

Na jeziorze błysnęły pierwsze promienie słońca.

Wyczerpana Caroline leżała na sofie w ramionach Jacksona. Pomyślała, że wszystko wokół wygląda przerażająco normalnie.

- O czym myślisz? - zapytała.

Jackson przez chwilę milczał.

- O tym, że do pewnego stopnia miałaś rację, nie mówiąc mi o tym. Wtedy nie mógłbym tego zrozumieć.

- A teraz?

- Myślę, że tak.

Gdyby tylko mogła z nim tutaj zostać! Wówczas znowu powrócił do niej obraz ojca.

Jackson jak gdyby o tym wiedział.

- Mamy sporo do załatwienia, począwszy od sędziego Towle'a, który oczekuje nas w sądzie.

Mimo zmęczenia w Caroline znowu obudził się prawnik.

- Jak to załatwimy?

- Ja to zrobię. - Jackson odsunął się, patrząc jej w oczy. - Powiem Fredowi o śmierci twojego ojca. I że warunkowo wycofuję oskarżenie.

- Warunkowo?

- To wszystko, co mogę zrobić, Caroline, dopóki nie przeprowadzimy autopsji i nie dokończymy przesłuchań. Nie powiem Fredowi ani mediom o tym, co się wydarzyło, dopóki tego nie przemyślę. Ale zrobię wszystko, żeby Brett wypuścili już dzisiaj rano. - Jackson zamilkł. - Twoje zadanie będzie polegało na wyjaśnieniu jej tego wszystkiego. Przynajmniej na tyle, na ile uznasz za stosowne.

Milcząc, Caroline skinęła głową. Jackson spojrzał na nią.

- Czy Brett myśli, że jest ich córką?

- Tak. - Caroline odwróciła wzrok.

Jackson podszedł do skraju werandy, zatrzymał się tam i z rękami w kieszeniach patrzył na jezioro.

- Zamierzasz powiedzieć jej prawdę?

Caroline zdała sobie sprawę, że to pytanie cały czas tkwi w jej podświadomości.

- Nie wiem, Jackson. Nie jestem teraz w odpowiednim nastroju, żeby to zrobić, a nawet żeby o tym decydować.

Jackson odwrócił się do niej, przyglądając się jej twarzy.

- Życie toczy się dalej, czyż nie? Być może dzisiaj właśnie z tego powinniśmy się cieszyć.

Caroline pomyślała o Betty. Przez chwilę jednak była zbyt zmęczona, by wstać. Potem powoli podeszła do telefonu Jacksona, żeby powiadomić Betty, że ich ojciec nie żyje.

## CZTERY

Samochód Caroline nadal znajdował się na terenie domku ojca. Jackson wykonał kilka telefonów, żeby mogła go stamtąd zabrać. Kiedy ją tam podrzucił, żółta taśma otaczająca to miejsce była przecięta w miejscu wyjazdu na drogę. Czekał na nich policjant. Ciało ojca zniknęło. Poranek przyniósł Caroline poczucie bezlitosnej beznadziejności.

- Dziękuję - powiedziała do Jacksona.

Skinął głową, ale nie dotknął jej. Znowu byli profesjonalistami.

- Zadzwoń do mnie po spotkaniu z Brett. Musimy zająć się paroma sprawami. Między innymi oświadczeniem dla mediów.

- Jasne.

Caroline stwierdziła, że jej głos brzmi całkiem normalnie, a to było jej teraz potrzebne. Jednak patrząc na odchodzącego Jacksona, poczuła samotność.

Podeszła do wozu i wsiadła do środka. Odrętwiała, jeszcze raz przejrzała zdjęcia zrobione przez Joego Lemieux, gdy wchodzili do budynku sądu.

Megan. Betty. Larry. Ojciec...

Sztywno, nie spuszczać wzroku, kroczył po stopniach sądu. Ten stary człowiek patrzył prosto przed siebie w ostatniej próbie zachowania godności.

Oczy Caroline znowu wypełniły się łzami.

Brett nie powinna nigdy zobaczyć tych zdjęć. Przed włączeniem silnika Caroline ukryła je pod siedzeniem.

Kiedy strażniczka przyprowadziła Brett do więziennej recepcji, ta wyglądała na oszołomioną. Pierwsze kroki w stronę Caroline zrobiła z wahaniem.

Przez chwilę Caroline nie mogła wydobyć z siebie słowa. Nie mogła w to uwierzyć: owa młoda, stojąca przed nią kobieta, córka Davida, odzyskała swoje życie.

- Już po wszystkim - powiedziała w końcu Caroline. - Jesteś wolna. - Odwróciła wzrok, widząc pierwszy nieśmiały uśmiech Brett.

- Co się stało? - zapytała dziewczyna.

Caroline ścisnęła jej rękę.

- Wyjdźmy stąd.

Gdy wyszły na zewnątrz, Brett obejrzała się przez ramię. W słonecznym świetle ceglany budynek wydawał się spokojny, a nawet przytulny. Caroline pomyślała jednak, że jego cienie nie opuszczą już żadnej z nich do końca życia.

Brett znowu spojrzała na nią.

- Jak to zrobiłaś? - zapytała.

Nic nie mówiąc, Caroline wyprzedziła ją i siadła na trawie. Brett zatrzymała się, patrząc na nią w dół. Caroline mogła dostrzec wyraz własnej twarzy odbity w spojrzeniu zielonych oczu dziewczyny. Brett uklękła, nie spuszczać wzroku z Caroline. Ta zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Twój dziadek nie żyje. Zastrzelił się.

Twarz Brett wykrzywiła się. Pozostał na niej dziwny wyraz cierpienia i próby zrozumienia.

- James...

- Tak. Mój ojciec go zabił.

To dzień łez, pomyślała Caroline.

Brett płakała bezgłośnie. Nawet gdy łzy spływały jej po policzkach, oczy cały czas były wbite w Caroline, jak gdyby szukając wyjaśnienia. To dla niej zbyt wiele, pomyślała Caroline. Ujęła Brett za rękę.

- Powiedz, jak to się stało - poprosiła ku jej zaskoczeniu Brett.

Caroline spojrzała na nią uważnie. Potem przedstawiła jej złagodzoną wersję wydarzeń, mówiąc tyle, ile uznała za stosowne.

- Nie zostawiłby cię tutaj - rzekła, kończąc. - Ale nie potrafili też spojrzeć ci w twarz.

Brett skrzywiła się. Caroline domyśliła się, że przypomina sobie chwilę, kiedy znalazła umierającego Jamesa. Teraz było jej jeszcze trudniej się z tym pogodzić, a nawet pojąć to. Jak gdyby świadoma tego Brett wróciła myślami do Caroline.

- To ty znalazłaś dziadka?

- Tak.

- Mój Boże...

- Wszystko ze mną w porządku... - Caroline urwała. - A właściwie nie. Ale chciałam sama ci o tym opowiedzieć.

Ta odpowiedź zdała się znowu popchnąć myśli Brett ku sobie samej. Tam, gdzie - zdaniem Caroline - powinny być. Nie chciała szukać u niej współczucia, szczególnie że nie wpływałoby ono ze znajomości całej prawdy. Wystarczało, że po prostu była z nią tutaj.

Z założonymi rękami Brett patrzyła na dzielący je skrawek trawnika.

- Kochałam dziadka - powiedziała w końcu. W wypełniającym jej głos bólu Caroline dosłyszała przerażenie czymś zbyt potwornym, by to znieść. - Przepraszam... Nie wiem, co z tym wszystkim zrobić.

Caroline miała wrażenie, że słowa Brett rozdzierają ją.

- Z niektórymi rzeczami - z tymi najpotworniejszymi - tak właśnie bywa. Nie wynika z nich żadna nauka. Nie ma niczego, co mogłoby pomóc je wytłumaczyć. Żadnego wyjaśnienia - i kropka. W końcu zostajesz tylko sama ze sobą. I, jeśli masz szczęście, z przyjaciółmi.

Do oczu Brett znowu napłynęły łzy.

- Mówisz też o sobie.

Caroline zawahała się, po czym skinęła głową.

- Nie jestem pewna, kiedy uda mi się przespać normalnie noc. Ale byłam tutaj już kiedyś, więc znam drogę powrotną. Poradzę sobie z tym.

Brett znowu wyciągnęła do niej rękę. Jej palce splótły się z palcami matki i poczuły jej ciepło.

- Możemy tutaj zostać? - zapytała w końcu. - Nie chcę jeszcze się z nimi spotykać. Z nikim.

Caroline wypełniał niewypowiedziany ból. Pragnęła jej powiedzieć, że David - jej ojciec - nie żyje, lecz nie mogła tego zrobić. Brett miała teraz, na dobre i na złe, ojca, którego dała jej Caroline. Caroline nie miała pojęcia, jak zastąpić go teraz wspomnieniem, które żyło tylko w jej pamięci.

- Zostanę z tobą - odpowiedziała. - Tak długo, jak zechcesz.

## PIĘĆ

Caroline pomyślała, że Jackson miał rację: ich zadania na dzisiaj wymagały łagodności.

Odwiozła Brett na Masters Hill. Larry i Betty czekali na werandzie. Caroline nie wysiadła z samochodu. Kiedy Brett obejrzała się na nią, doznała irracjonalnego, gorzkiego uczucia, że po raz drugi ją opuszcza. Zobaczywszy, jak Betty bierze Brett w objęcia, Caroline odjechała.

Razem z Jacksonem pracowała w biurze Carltona Greya. Jackson znowu okazał się absolutnym profesjonalistą: jego notka prasowa niemal nie wymagała poprawek. Obwieszczała, że emerytowany sędzia Channing Masters zginął, prawdopodobnie popełniwszy samobójstwo. Czynności wstępne pozwoliły odkryć znaczące dowody - w tym pisemne przyznanie się do winy - wskazujące, że to on zabił Jamesa Case'a. Do czasu zakończenia śledztwa oskarżenie wobec Brett Allen zostało zawieszane. Bardziej szczegółowa relacja ukaze się, gdy tylko śledztwo ujawni wszystkie istotne fakty.

Oświadczenie Caroline było równie lakoniczne. Potwierdzało śmierć Channinga Mastersa. Wyraziła w nim zrozumienie, że do niesłusznego posądzenia Brett Allen doprowadziły określone dowody i podziękowała prokuraturze za szybkie uwolnienie dziewczyny. Rodzina nie wydała żadnego oświadczenia, z wyjątkiem wyrazu ulgi z powodu uniewinnienia Brett i smutku z powodu okoliczności śmierci sędziego Mastersa. Ani teraz, ani nigdy później.

Jackson przeczytał jej tekst.

- Bardzo uprzejme. Szczególnie wobec mnie.

- Jasne.

Jackson odsunął swoje krzesło, patrząc na nią zza biurka.

- Idę do prasy, a ty się dobrze ukryj.

Popołudnie stało się wieczorem, a wieczór - nocą. Caroline siedziała w swoim pokoju. Nie chciało się jej jeść ani spać. Betty zajmowała się w tym czasie prozaicznymi formalnościami związanymi z nieprozaiczną śmiercią ojca. Organizowała ceremonię pogrzebową, zastanawiając się, co powiedzą na to duchowni. Brett była razem z nimi - tam, gdzie być powinna. Podobnie jak Caroline, odpowiadali tylko na najpilniejsze wiadomości, lecz w przeciwieństwie do Caroline mogli szukać wsparcia w swoim rodzinnym kręgu.

Dla Caroline nie pozostało nic więcej do roboty. Leżała, zbyt zmęczona, by panować nad myślami,

nie mogąc zasnąć.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Kto to może być? - zastanawiała się. Wcześniej odmówiła prasie wszelkich wywiadów. Jedne po drugich pojawiały się pod jej drzwiami kartki papieru z nazwiskami dzwoniących osób. Wszystkie łądowały w koszu, jeśli reakcja na nie nie mogłaby jakoś pomóc Brett.

Caroline ostrożnie uchyliła drzwi. Stał w nich nocny portier, nieśmiały człowiek o sterczących włosach i wiecznie zatroskanym spojrzeniu.

- Jeszcze jeden telefon, proszę pani - rzekł. - Ten człowiek twierdzi, że jest prezydentem. Co gorsza, jego głos rzeczywiście brzmi jak głos prezydenta.

Przez chwilę Caroline nie wiedziała, co powiedzieć.

- Odbiorę. Proszę mnie połączyć.

Chwilę później w jej pokoju zadzwonił telefon.

- Caroline?

- Panie prezydencie?

- Cóż, cieszę się, że udało mi się z tobą skontaktować. - W jego głosie, jak zauważyła w chwili, gdy przerwał, mieszało się ciepło i niezręczność. - Przesłali mi właśnie depeszę. Rozumiem, że przeżyłaś wielką tragedię. Chcieliśmy, żebyś wiedziała, jak bardzo ci współczujemy. Wyobrażam sobie, co możesz czuć po śmierci ojca. - Znowu zamilkł. - A może nadto pospieszyłem się z tym telefonem? Pewno jeszcze nie zdążyłaś się z tym uporać...

Caroline poczuła się dotknięta.

- Nie, nie jest zbyt wcześnie. W zasadzie dobrze, że dzwoni pan właśnie teraz.

- W takim razie jest jeszcze coś, co chciałbym powiedzieć, choć może nie wyda ci się to zbyt istotne w takich okolicznościach. Miałaś rację, wierząc w swoją siostrzenicę i pozostając przy niej bez względu na wszystko. - Zamilkł. - Mówią, że wielu z nas nie powinno dostać naszych posad, bo za bardzo ich pragnęliśmy. Wiem teraz, że to nie dotyczy ciebie. Wybór, którego dokonałaś, skłania do refleksji, że jesteś dobrym człowiekiem i będziesz dobrą sędzią. Nie można w żadnym razie uznać go za podstawę do zdyskwalifikowania twojej kandydatury.

Caroline dostrzegła nagle ironię całej sytuacji. Przecież nigdy nie dokonałaby żadnego innego wyboru niż pozostanie przy Brett. Nie wiedziała, dlaczego prezydent podziwia ją za coś, od czego nie mogła się powstrzymać. Była jednak zbyt zmęczona i zbyt wdzięczna za takie właśnie zinterpretowanie jej zachowania, żeby o tym powiedzieć.

Podziękowała więc i odłożyła słuchawkę.

Dwa dni później ciągle żyła w zawieszaniu. Jadła właśnie z Jacksonem w jego domu wędkarskim. Powoli dotarło do niej, że wzięwszy ze sobą tylko kilka niezbędnych rzeczy i parę dni wolnego, został tutaj ze względu na nią. Nie wiedziała jednak, jak wyrazić, że to docenia.

Caroline zjadła soczysty stek, popijając go kabinem.

- Po prostu nie mogłam mu odpowiedzieć - rzekła, nawiązując do rozmowy, którą porzucili przy obiedzie. Jednak Jackson, patrząc na nią z kieliszkiem z winem, od razu zorientował się, że chodzi jej o prezydenta.

- Domyślałam się, że po prostu nie chciałaś - odparł.

Caroline poczuła się przyciśnięta do muru.

- Powiedziałaś mi już przed przesłuchaniami, że straciłam ochotę na bycie sędzią. Jakże może mieć to dla mnie po tym wszystkim znaczenie?

Jackson patrzył na ogień w kominku.

- Przez te lata stałaś się kimś, Caroline. Nie przestaniesz być sobą tylko dlatego, że stawiałaś czoło temu, co cię ukształtowało.

Caroline przypominała sobie, jak sama pytała siebie, kim mogłaby zostać, jeśli nie sędzią lub prawnikiem.

- To nie tylko to. Nie chodzi nawet o czas, który zajmie mi przetrwanie tego, co zrobił ojciec. Chodzi o to, że włamałam się do mieszkania Megan - powiedziała beznamiętnie. - Nie zrobiłby tego człowiek, od którego oczekuje się zachowania godnego sędziego.

Jackson znowu patrzył na ogień.

- Megan sama się pogryzła - powiedział w końcu. - Kto by jej teraz uwierzył?

- Nie - odpowiedziała ostro Caroline. - Nie mogłabym w tej sprawie skłamać.

Jackson odwrócił się do niej.

- Nigdy nie będziesz musiała tego robić - powiedział z wielkim spokojem. - Bardzo dobitnie wyjaśniłem twojej przyjaciółce Megan, że to, czy zostanie oskarżona o kłamstwo pod przysięgą, zależy wyłącznie ode mnie. I że oczekuję, iż nie będzie próbowała oskarżać nikogo o żadne przestępstwa - obojętnie, czy w sądach, czy w mediach. - Zamilkł na chwilę. - Zrezygnowała z college'u i zniknęła z pola widzenia. Teraz pragnie tylko uniknąć największego upokorzenia, jakie mogłoby ją spotkać. Nie jest już dla ciebie problemem i nigdy nim nie będzie. W końcu mam teraz jej pamiętnik...

Caroline zmarszczyła brwi.

- Nie chcę, żebyś mnie bronił. Proszę, nie próbuj tego robić...



- Próbowalaś ratować własną córkę, Caroline. Ludzie robią gorsze rzeczy na co dzień. Nawet ja postąpiłem gorzej, nie łamiąc przy tym żadnego prawa. Miałem przez to o czym myśleć w czasie bezsennych nocy. Ale szczerze wątpię, czy powstrzyma mnie to od dążenia do posady sędziego.

Caroline pokręciła głową.

- Ty tylko źle oceniłeś świadka, Jackson. A ja złamałam prawo. W sądzie apelacyjnym będę musiała rozpatrywać, przypadek za przypadkiem, sprawy ludzi, którzy je łamią. Wielu z nich przytoczy z pewnością motywy budzące najgłębsze współczucie. Jak mogłabym pracować ze świadomością tego, co sama zrobiłam?

- Będiesz mogła, bo zrezygnowanie z tej propozycji byłoby kolosalnym głupstwem. Jesteś wspaniałym prawnikiem, a do tego prawnikiem, którego stać na współczucie. To, co zrobiłaś, nie zmienia ani jednego, ani drugiego.

Caroline nagle wstała i podeszła do ognia. Przez jakiś czas patrzyła na migocące różowo i niebiesko płomienie.

- Teraz istotniejsze jest dla mnie to, co zrobię z Brett - powiedziała w końcu.

Jackson stał o krok za nią.

- A co chcesz zrobić?

- Co chcę? - Odwróciła się do niego gwałtownie, czując głębię i moc własnej tęsknoty. - Każda moja część pragnie, by była moją córką. Jestem już tak cholernie znużona tymi ciągłymi kłamstwami. Ale tutaj chodzi o coś więcej. - Spojrzała na niego poprzez łzy napływające jej do oczu. - Chcę, żeby zaistniała w moim życiu, Jackson. Patrzyłam na nią, kiedy Betty brała ją w ramiona, i tak bałam się, że znowu ją tracę.

Spojrzał na nią ze współczuciem i czymś jeszcze, czego - pogrążona w rozpacz - nie mogła zidentyfikować.

- Zastanawiam się, jak przyjęłaby to Betty.

- Nie wiem. Myślę, że po jakimś czasie pogodziłaby się z tym. Ale powiedzenie Brett, kim dla niej jestem, to chyba jedyny sposób, aby ją przy sobie zatrzymać. Jeśli ktokolwiek zna moc rodzicielskich więzów, to z pewnością ja. Ona jest jeszcze młoda. Mogę jej pomóc. - W jej głosie brzmiało niemal błaganie. - Przedtem nigdy w to nie wierzyłam. Ale teraz byłam razem z nią i wiem, że to jest możliwe. Jak mogę tak po prostu odejść, znowu ją zostawiając?

Jackson przyjrzał się jej uważnie. Nie próbował jej jednak objąć.

- Powiedziałem ci już, że jesteś zdolna do współczucia. Jestem pewny, że potrafisz dokonać dobrego wyboru.

## SZEŚĆ

Trzy dni później odbył się pogrzeb Channinga Mastersa. Caroline nadal nie potrafiła podjąć decyzji.

Uroczystość odbyła się w kaplicy na Masters Hill. Rodzina zasiadła w swojej ławie: Larry na końcu, Brett pomiędzy Caroline i Betty. Prawie się do siebie nie odzywali. Przed rozpoczęciem ceremonii Brett dotknęła dłoni Caroline. Wyglądała na zmęczoną, ale spokojną.

- Wszystko w porządku? - zapytała Caroline.

Brett nie mogła się zdecydować, co odpowiedzieć.

- On był moim dziadkiem - rzekła w końcu wprost.

Prawie wszystkie miejsca w ławkach były zajęte. Caroline знаła twarze wielu przybyłych - ludzi zbyt przyzwoitych, by odsunąć się i zapomnieć, kim był dla nich Channing Masters. Poczowała czas, który upłynął tutaj pod jej nieobecność. Wielu z gości postarzało się. Channing był na emeryturze od ponad dziesięciu lat i wiele z jego dzieł pozostało już tylko w ludzkiej pamięci. Z pewnością był ostatnim, którego chowano tutaj, na Masters Hill.

Sama ceremonia była skromna i oszczędna. Nie znany Caroline pastor o łagodnym głosie przytoczył proste słowa Starego Testamentu, wyraz nadziei i odkupienia. Caroline słuchała go nieuważnie - zostawiła to Betty i Larry'emu. Nie wierzyła w życie po śmierci, a jeszcze mniej w publiczne ceremonie religijne - rytuały, którymi żywi usiłowali pocieszać się, przesłaniając prawdę o śmierci i umieraniu. Wystarczyło jej już pogrzebu matki. Caroline wolałaby pogrzebać ojca i Davida w sposób, w jaki pragnęło tego jej serce.

Mimo wszystko poszła na cmentarz.

Pochowali go obok matki Betty, Elizabeth Brett. Caroline zastanawiała się, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby Elizabeth żyła. Może dochowałyby się synów, którzy lepiej spełniliby oczekiwania ojca? Nicole Dessaliers mogłaby jeszcze żyć - teraz jako staruszka - w Paryżu. Nie byłoby wówczas, rzecz jasna, ani Caroline, ani Brett, a ich ojciec zmarłby - tak jak zamierzał - dożywając pełni wieku.

Grób zasypano ziemią. Została nad nim ich czwórka. Stali wokół nad świeżo rozkopaną ziemią, patrząc na siebie; Brett pomiędzy Betty i Larrym. Jakie będzie ich wspólne o nim wspomnienie? - zastanawiała się Caroline. W tej chwili jasne stało się dla niej, jak powinna postąpić. Chociaż być może zawsze o tym wiedziała.

Spojrzała na Brett, a potem na Larry'ego.

- Zostawcie nas - poprosiła.

Wiedzieli, co ma na myśli. Larry skinął głową i odwrócił się do Brett. Caroline patrzyła, jak pod chłodnym szarym niebem idą do domu.

Potem, ponad grobem ojca, spojrzała na Betty.

- Nie powiem jej - odezwała się w końcu.

Spojrzenie Betty było nieruchome i stoickie.

- Dlaczego, Caroline? Przecież widzę, że chciałabyś to zrobić.

Caroline pokiwała głową.

- Tak, bardzo. Ale nikogo nie powinno się zmuszać do reinterpretowania całego własnego życia w wieku dwudziestu dwóch lat. Do tego zmusiliście mnie ty i ojciec. Nie mogę zrobić tego samego Brett. - W głosie Caroline słychać było emocje. - Chociaż chwilami zapomniałam o tym, jak bardzo byłoby to samolubne, widząc, co zrobiliście, by ją ograniczyć.

Betty poczerwieniała.

- Tak. To byłoby samolubne.

- Ale pod pewnym warunkiem - ciągnęła Caroline. - Opuściłam ją, kiedy się urodziła. Mogę teraz też pozwolić jej odejść, jeżeli wy również tak postacie.

- Co masz na myśli?

- To, że przyszedł czas, by Brett stąd wyjechała. Odeszła od was, jeśli tego zapragnie. Jestem przekonana, że będzie chciała to zrobić, kiedy tylko dojdzie po tym wszystkim do siebie.

Milcząc, Betty patrzyła na grób ojca.

- Jeśli zechce, teraz nie będziemy jej zatrzymywać.

Caroline przyjrzała się jej.

- W takim razie wątpię, czy jeszcze kiedyś mnie zobaczycie.

Może - mam nadzieję - kiedy coś ważnego wydarzy się w życiu Brett. Ślub, dziecko. Ale nie musisz o mnie myśleć, Betty. Chyba teraz mogę pozwolić ci odejść. - Przerwała na moment i spojrzała na odległe sylwetki Brett i jej ojca. - Co do Larry'ego, to powiedz mu, że chyba od początku wiedziałam, co robi, ale nie chciałam o tym myśleć. To było dla mnie zbyt wiele.

Betty - siwiejąca kobieta, która dawno temu wielkim kosztem zyskała córkę - zdawała się patrzeć na nią poprzez dzielące je lata.

- Czy naprawdę możesz z tym żyć, nie mówiąc jej o tym? - zapytała. - Czy nie spojrzysz kiedyś na

nią lub na jej dziecko i nie stwierdzisz, że chcesz, żeby wiedziała?

Caroline popatrzyła przed siebie.

- Stałam się bardzo zdyscyplinowaną osobą, Betty. Powinnaś to do tej pory zauważyć. - Caroline przerwała na chwilę. - Wystarczy mi, że dla niej tutaj wróciłam. Brett nigdy nie będzie moją córką, ale czuję, że zasłużyłam sobie na to, aby czuć się matką.

## SIEDEM

Caroline została sama nad grobem matki. Cóż, pomyślała, sprawa skończona. Zrobiłam, co mogłam.

Wśród głosów kilku ptaków dosłyszała, że ktoś stoi za jej plecami. Odwróciwszy się, zobaczyła swoją córkę.

- Mogę? - zapytała. - Mama powiedziała mi, że możesz tutaj być.

- Tak, chciałam się z tobą spotkać, zanim stąd wyjadę. - Caroline zamilkła. - Chcę powiedzieć ci, jak bardzo mi przykro, że będziesz musiała teraz z tym żyć.

Brett, z rękami w kieszeniach, podeszła bliżej. Wydawało się, że unika widoku grobu Channinga.

- Kochałam dziadka przez całe moje życie. A on zabił kogoś, na kim mi zależało. Jak mógł sądzić, że robi to z miłości do mnie?

Caroline zastanawiała się, co odpowiedzieć.

- Był stary, Brett. Kiedyś przytrafiło mu się w życiu coś przykrego.

Brett z niezadowoleniem pokręciła głową.

- Kiedy stąd wyjechałaś, nie był jeszcze stary. Czy poszło o chłopaka?

Caroline zauważyła, jak bardzo twarz Brett przypomina jej Nicole. Tylko usta i policzki miała po Davidzie.

- Tak - odparła krótko.

Brett patrzyła na nią w milczeniu.

- Nie potrzebuję już, żeby mnie chroniono przed prawdą - obojętnie, jaka ona jest.

- Wiem. Staram się tylko ochronić przed nią siebie. A mam już wystarczająco wiele rzeczy, które muszę przemyśleć i uporządkować. - Caroline zamilkła, starając się odnaleźć jakąś część prawdy, którą mogłaby się z nią podzielić. - Twój dziadek był bardzo strapionym i skrytym człowiekiem. Nie wiem dlaczego. Nie mówił - nie potrafił mówić - o sobie, swoich rodzicach, swoim cierpieniu, czymkolwiek. Coś było w nim nie w porządku: chociaż tak bardzo tego pragnął, to nie wiedział, jak kochać moją matkę, twoją matkę, mnie, ciebie. Nie wiedział, jak nam dać to, czego potrzebowaliśmy. Coś sprawiało, że nie potrafił tego zrozumieć. W końcu wszyscy na tym ucierpieliśmy. Ty chyba najmniej. Jesteś młoda. Masz przed sobą całe życie. Teraz należy ono do ciebie. Nie ma nic, co

stałoby na przeszkodzie, byś mogła z niego w pełni korzystać.

Brett przyglądała się jej.

- Wiem, że nie spotkamy się więcej - powiedziała w końcu. - Ale od kiedy tutaj przyjechałaś, czułam, że nie pozwolisz, żeby stało mi się coś złego. Przynajmniej jeśli będzie to leżało w twojej mocy.

Caroline spojrzała córce w oczy. Kochała ją, lecz musiało to pozostać jej tajemnicą. Stały teraz przy nagrobku babki Brett, Nicole. Caroline mimo woli uśmiechnęła się, chociaż nie wiedziała właściwie dlaczego.

- To prawda - odparła. - Nie miało dla mnie znaczenia, co zrobiłaś, chociaż przyznam, iż cieszy mnie, że nic.

Brett pokiwała głową.

- Czy to z powodu dziadka? Spraw, które nas - twoim zdaniem - łączą?

- Być może zwróciłam na to uwagę na początku. Ale potem chodziło mi już tylko o ciebie.

Brett zawahała się, po czym chwyciła Caroline za rękaw.

- Czy jeszcze cię kiedyś zobaczę?

- Może przyjedziesz mnie odwiedzić? Bardzo bym się cieszyła. - Caroline uśmiechnęła się.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Przecież nigdy nie byłaś w San Francisco.

Brett uśmiechnęła się. Przez chwilę Caroline pragnęła ją objąć, powiedzieć jej, co naprawdę czuje. Spojrzała jednak na świeży grób ojca i wiedziała, że znowu sama będzie musiała dokonać wyboru i sama znosić rany milczenia.

Przez ostatnią chwilę Caroline przyglądała się twarzy córki.

- Mogę już iść - powiedziała. - A ty?

Brett przez chwilę milczała.

- Tak. Ja też.

## OSIEM

- Więc jutro wyjeżdżasz - powiedział Jackson.

- Uhm. Przed szóstą będę w San Francisco. Już najwyższy czas, Jackson. Zanim popełnię jakiś straszny błąd.

Siedzieli na końcu pomostu Jacksona, popijając piwo z puszek i obserwując, jak ostatnie promienie zachodzącego słońca toną w jeziorze Heron.

- Wiesz, postąpiłaś słusznie - cicho odezwał się Jackson.

- Czyżby? - Caroline odwróciła się do niego.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się nieco. - Kto by przypuszczał, że okażesz się taką wspaniałą matką. Czy twoja też taka była?

Caroline spojrzała na niego chłodno.

- Nie bądź złośliwy. A co do mojej matki, to chyba nie była szczególnie dobra. Myślę, że w pewnym sensie sama sobie musiałam matkować.

Uśmiech zniknął z twarzy Jacksona.

- W takim razie cofam, co powiedziałem. - Przez chwilę milczał. - Jesteś dobrym człowiekiem, Caroline. Moim zdaniem potrafiłaś uchwycić w tym wszystkim to, co naprawdę ważne. Milczenie twego ojca cię boli, ale racja była po twojej stronie. W odniesieniu do tego rodzaju sytuacji nie ma żadnych reguł. Co najwyżej możesz mieć nadzieję, że zdołasz się w nie wczuć.

Siedząc po turecku na deskach pomostu, patrzyła mu prosto w oczy.

- Jesteś jedynym człowiekiem, któremu o tym wszystkim opowiedziałam. Prawdopodobnie jedynym, który kiedykolwiek się o tym dowie.

Patrzył na nią przez chwilę, słuchając.

- Co czyni mnie nieodzownym, czyż nie? Albo raczej po prostu niewygodnym.

Caroline pokręciła głową.

- Nie - powiedziała. - Bardzo mi pomogłeś. I wiesz o tym.

Jackson spojrzał na nią pytająco, z wahaniem.

- Bo zastanawiałem się, czy zechcesz się jeszcze ze mną spotkać, kiedy to wszystko się uspokoi. Czy może, dla własnego dobra, wolisz pozostawić wszystko tak, jak jest?

Przez dłuższy czas Caroline milczała.

- Myślę, że to wszystko posunęło się już za daleko. Ale wolałabym, gdybyś - tak jak Brett - przyjechał kiedyś do San Francisco. Oczywiście, zaoszczędziłbyś na hotelu, mieszkając u mnie. Słyszałam, że urzędnikom państwowym w New Hampshire nie płacą zbyt dobrze. Nawet sędziom. - Dotknęła jego dłoni. - Zależy mi na tobie Jackson. Bardziej, niż przypuszczałam.

Po chwili Jackson znowu się uśmiechnął.

- Zrób mi przysługę, dobrze?

- Jaka?

- Przyjmij to stanowisko, Caroline. Nie musisz poświęcać wszystkiego. Może dzięki temu staniesz się bardziej towarzyska.

Patrząc teraz na Jacksona, Caroline wiedziała, że to coś więcej niż uprzejmość. Prosił, by przyjęła dar jego szczodroliwości. Żeby przyjęła to dla samej siebie.

Być może będę mogła to zrobić, pomyślała. Być może będę w stanie zaakceptować to, kim jestem: córką Channinga i Nicole, a w skrytości ducha - matką Brett. Błądzą, brnąc przez swoje życie, którego do końca nie rozumiem. Jednak ciągle się uczę.

Poczuła na sobie spojrzenie Jacksona.

Tej nocy została z nim.

Następnego ranka Caroline Clark Masters, w niedalekiej przyszłości sędzia Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych, odleciała do San Francisco, żeby przygotować się do rozmów potwierdzających nominację. Na lotnisko odwiozła ją jej siostrzenica, Brett.



## PODZIĘKOWANIA

Jak zwykle pracę ułatwili mi nowi i starzy przyjaciele.

W San Francisco konsultowałem się z adwokatami Billem Faziem, zastępcą prokuratora okręgowego, Hugh Anthonym Levine'em i Jimem Collinsem, specjalistą medycyny sądowej Boydem Stensensem, inspektorem do spraw zabójstw Napoleonem Hendrixem oraz prywatnym detektywem Halem Lipsetem. Jeszcze raz adwokat A. Giannini, zastępca prokuratora okręgowego, udzielał mi wskazówek i przeglądał rękopis. To już trzecia moja książka, przy której jego pomoc okazała się bezcenna.

Czytelnicy znający stan New Hampshire stwierdzą, że Masters Hill i miasteczko Resolve są miejscami fikcyjnymi. Każda ze społeczności zamieszkujących niewielkie miejscowości tego regionu jest zbyt specyficzna, by móc ją tutaj sprawiedliwie opisać. Mam nadzieję, że mimo wszystko zdołałem uchwycić niepowtarzalną atmosferę New Hampshire i panujących tam prawniczych obyczajów. Mój przyjaciel i kolega po piórze, Maynard Thomson, zaraził mnie swoją wielką miłością i podziwem dla tego stanu. Wiele czasu poświęcili mi również tamtejsi prawnicy: Janice Rundles, Lincoln Soldati, Jennifer Soldati z New Hampshire Trial Lawyers Association oraz prawnik i pisarz John Davis, adwokaci Bob Stein i Paul Maggiotto, Kathy Deschenaux z New Hampshire Medical Examiner Office i sierżant Kevin Babcock z policji stanowej New Hampshire. Właśnie im w dużej mierze zawdzięczam to, co zdołałem osiągnąć. Jednak winę za wszelkie błędy czy uproszczenia wynikające z przyczyn kompozycyjnych należy przypisywać wyłącznie mi.

Nie sposób nie wspomnieć o doktorze Rogerze Fossumie (główny specjalista medycyny sądowej New Hampshire). Spędzając z nim czas, szybko doceniłem jego profesjonalizm, inteligencję, humanizm i humor, którymi zjednywał sobie wielu przyjaciół.

Martha's Vineyard jest miejscem o unikalnym klimacie i historii. William Marks - badacz środowiska, pisarz i wydawca - niezwykle szczerze dzielił się ze mną wiedzą o historii wyspy, sugestiami co do umiejscowienia poszczególnych scen i wskazówkami żeglarskimi. Fragmenty powieści rozgrywające się na wyspie bez jego pomocy wyglądałyby całkiem inaczej.

Dziękuję również George'owi Manterowi, byłemu szefowi policji w West Tisbury, który pomógł mi wypełnić kilka luk w historii wyspy. John Bitzer wraz z rodziną oprowadził mnie po swoim wspaniałym domu i uprzejmie zgodził się, by wziąć go za model letniego domu Mastersów.

W ocenie potencjalnego wpływu narkotyków i alkoholu na zachowanie i percepcję Brett pomógł mi doktor David Smith z Haight-Ashbury Free Clinic oraz pisarz Rick Seymour. Doktor Rodney Shapiro udzielił konsultacji co do potencjalnych emocji i motywów Brett Allen, Channinga Mastersa i Megan Race. W przeanalizowaniu dróg, którymi Caroline Masters mogła dojść do stanowiska sędziego sądu apelacyjnego, a także wszystkiego, co mogło się jej przytrafić w opisywanej tu sytuacji zawodowej, pomógł mi mój przyjaciel, sędzia Thelton Henderson. Renomowany serolog,

doktor Henry Lee, był uprzejmy telefonicznie odpowiedzieć mi na kilka pytań dotyczących możliwych do uzyskania w opisanym przypadku dowodów medycznych. Mam nadzieję, że właściwie skorzystałem z ich wskazówek.

Moja żona Laurie, przyjaciel i agent Fred Hill oraz moi wspaniali wydawcy - Sonny Mehta z wydawnictwa Knopf oraz Linda Grey i Clare Ferraro z Ballantine - skomentowali rękopis. Dobrych rad nie szczędzili mi jak zwykle Philip Rotner i Lee Zell.

Przede wszystkim zaś muszę wspomnieć o mojej asystentce Alison Thomas. Na co dzień pomagała mi analizować rezultaty mojej pracy, odnajdując różne słabości opisów, języka i wątków tej książki. Pisarstwo to praca w samotności, lecz bez wprawnego oka i duchowego wsparcia ze strony Alison byłaby ona znacznie trudniejsza. Stała się ona bliskim przyjacielem i integralną częścią mojego pisarskiego warsztatu. Z tych i wielu innych przyczyn książkę tę dedykuję właśnie jej.